

ROMANITAS

SOPHIA McDOUGALL



ROMANITAS

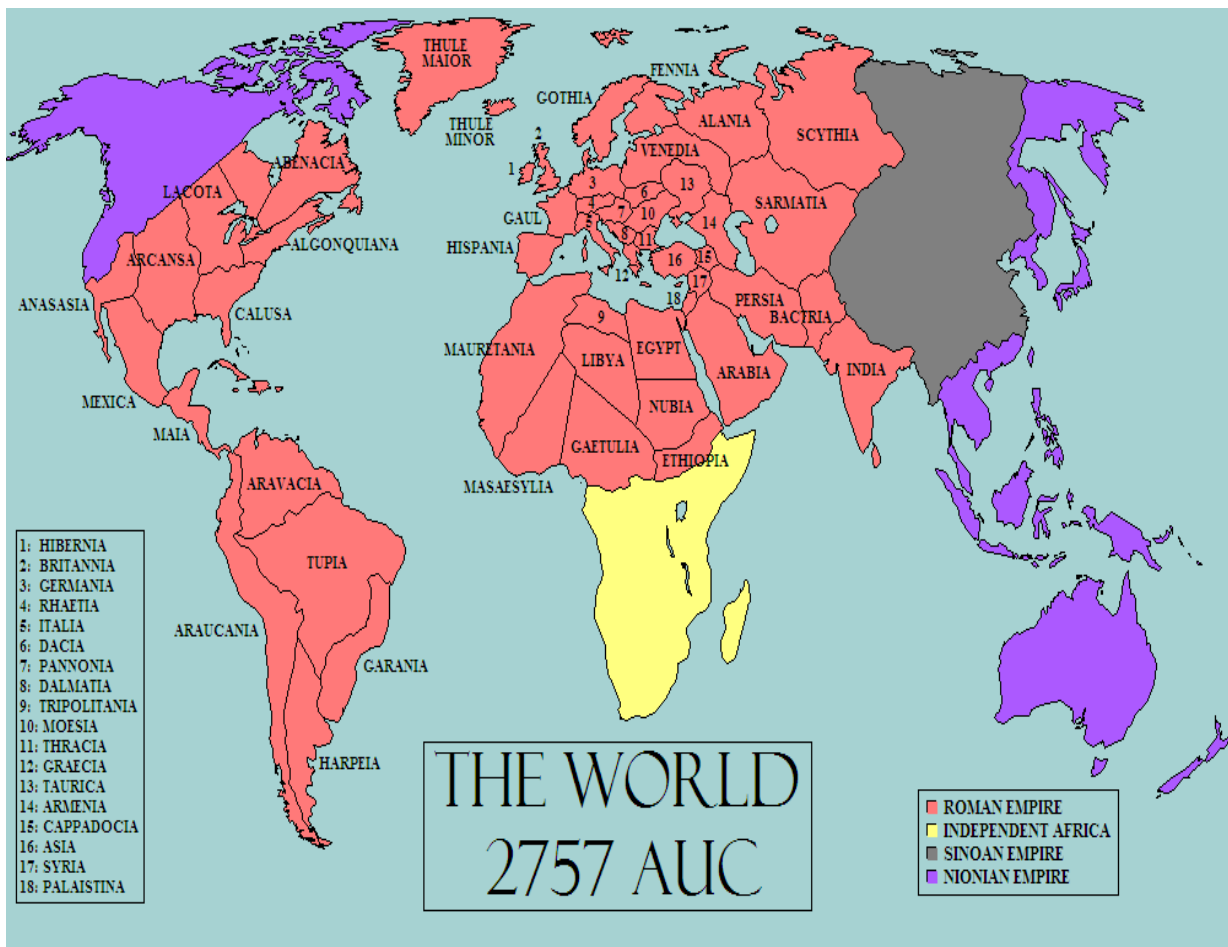
SOPHIA McDOUGALL

Z angielskiego przełożyła **MACIEJKA MAZAN**



Copyright © for the Polish translation by Maciejka Mazan 2007

Dla mojej matki



Jest to pierwszy tom trylogii rozgrywającej się w Cesarstwie Rzymskim, które nie upadło, lecz podbiło pół świata.

SPIS TREŚCI

PODZIĘKOWANIA	11
I ZABALSAMOWANI	15
II ZIELONA TAMIZA	26
III STALOWY KRZYŻ	35
IV MOZAIKA Z ORFEUSZEM	62
V SREBRO I BIEL	97
VI SYBILLINA	111
VII PRZEZ DYM	122
VIII ŻŁOTY DOM	146
LX NIEBIESKA DROGA	172
X WILCZY KROK	198
XI JESTEM OBYWATELEM RZYMSKIM	234
XII DAMA	254
XIII MAPA ŚWIATA	280
XIV MORDERSTWO	299
XV WYNIOSŁE CEDRY	332
XVI CZARNE SZTANDARY	337
XVII CIERNIE	359
XVIII JASKINIA RĄK	384
XIX SAEVA URBS	393
XX CELIUS	412
XXI SANATORIUM	448
XXII MROK	469
XXIII MAKARIA	486
XXIV SYBILLA, PĘDZELEK I POLE MARSOWE	510
OD AUTORKI	529
KRÓTKA HISTORIA CESARSTWA RZYMSKIEGO	531

DYNASTIA NOWIUSZÓW

DRZEWO GENEALOGICZNE RODZINY CESARSKIEJ



PODZIĘKOWANIA

Jestem wdzięczna Jonowi Woodowi za jego pogodną i uważną pracę redakcyjną i niezłomną wiarę w tę książkę, Simonowi Trewinowi za to, że jest agentem tak życzliwym i dalekowzrocznym, St. Johnowi Donaldowi, także z PFD, za to, że postawił na mnie i podjął się całego procesu opublikowania Romanitas. Dziękuję także Sarah Ballard za wnikliwe uwagi redakcyjne na wczesnym etapie pisania, Claire Gili za zachętę w kwestiach dotyczących okładki i innych spraw, Alice Dunn za pytanie, co się wydarzy dalej, i Genevieve Pegg za pociechę w trakcie redakcji.

Jeśli moje zrozumienie historii, geografii, anatomii i polityki nadal pozostawia wiele do życzenia, i tak prezentuje się znacznie lepiej niż przed rozpoczęciem zbierania materiałów do tej trylogii. Nadal zadziwia mnie i zachwyca gotowość wszystkich spotkanych osób do dzielenia się swoją wiedzą i czasem. Szczególną wdzięczność jestem winna panu Nicolasowi Ferrerowi z Jaskiń Gargas, bez którego wspaniałomyślniej pomocy nie mógłby powstać rozdział „Jaskinia Rąk”. Muszę także podziękować doktorowi Simonowi Hawkesowi, który rozmawiał ze mną na temat pleksopatii splotu ramiennego i miał wiele wyrozumiałości dla mojej wyjątkowej oporności pojmowania. Żałuję, że nie starczyło mi uprzejmości, by zapytać o nazwisko rozbawionego i pomocnego pana z Dovetail Greenhouses, do którego zadzwoniłam bez uprzedzenia, by spytać o prawdopodobieństwo włamania się i ukrycia w przemysłowych cieplarniach. W każdym razie - dziękuję. A Alan Samson sprawdził latynizację amerykańskich i innych imion, poczynił inteligentne komentarze do mojej „Historii Imperium Rzymskiego” i map i ogółem nieco złagodził mój strach przed wpadką.

Moja przyjaciółka Maisie Tomlinson zasługuje na podziękowania za niewyczerpaną cierpliwość i pomoc (nie każdy chętnie wcieli się w ofiarę ukrzyżowania od razu po powrocie z pracy do domu), podobnie jak Elena Misra za rozmowy o truciznach, Richard Dawson, który także poma-

gał mi w sprawach łaciny, mój ojciec za pewne sugestie w kwestii konstrukcji historii alternatywnej i geopolityki oraz moja matka za to, że jest wnikliwą i otwartą czytelniczką wszystkiego, co piszę.

Kiedy szliśmy na miejsce modlitwy, zabiegła nam drogę jakaś niewolnica, opętana przez ducha wieszczego. Przynosiła ona duży dochód swym panom.

Dzieje Apostolskie 16,161

Zawładnie Romul ludem, założy gród wielki Swym mianem zwąc go: Romy marsową osadę Ich władztwu granic w ziemi i czasie nie kładę; Bezczesne mają berło.

Eneida, księga I2

1 Biblia Tysiąclecia, wydanie piąte.

2 Przełożył Tadeusz Karyłowski.

ZABALSAMOWANI

Rodziców Marka balsamowano przez osiem dni, lecz choć mieli zamknięte oczy i nie było widać ich ran, nie wyglądali na śpiących, jak prawdopodobnie planowano. Wosk rozpierał im żyły, a spod grubego makijażu prześwitywała lekko przezroczysta żółta barwa. Powietrze było gęste od kadzidła, z powodzeniem maskującego woń chemikaliów zatrzymujących wilgoć w tkankach. Mimo to Marek wiedział, że ta woń tu jest. Z brązowych włosów ojca znikła siwizna, usta matki pomalowano na rdzawy odcień, którego nigdy nie używała, choć teraz rzucało się w oczy, że było jej z nim do twarzy. Wyglądali spokojnie, jak sztuczne owoce.

Pomiędzy dachami i oknami górnych pięter budynków na wszystkich ulicach wisiały długie czarne flagi, ale nad Leonem i Klodią pomiędzy marmurowymi, zwierciadlanymi ścianami bazyliki i srebrzonymi płytami świątyni Saturna pulsowało światło, lśniło w licznych soczewkach i ze szklanego dachu Koloseum rzucało przeszywające promienie na wschód. Rozjarzone budynki i posągi zdawały się wyrastać z trzęsawiska dźwigających ciężary, z trudem poruszających się, ubranych na czarno ludzi. Z góry budynki i ludzie wyglądali jak jedna płaszczyzna, tak gęsty i niemal zastygły w bezruchu tłum wypełniał ulice. Święta Droga, którą oczyszczono w oczekiwaniu na przejście procesji, zamykała się za nią nieodwołalnie, jak strzykawka wypełniająca się czarnym atramentem.

Nie wszyscy ci ludzie pochodzili z Rzymu czy nawet Włoch. Przez te osiem dni wszędzie na krańcach imperium - w Meksyce, Indiach, Gocji, Getulii - musieli walczyć o czas oraz koszty podróży i noclegu w Rzymie, by teraz mogli swobodnie dać się wciągnąć aż tutaj, jak na fali przypływu. Tutaj, w samym środku, Leon i Klodia leżeli przed mównicą, jakby na szerokiej wyspie wśród ludzi, a rozsypane wokół płatki róż nadal lśniły w świetle nieskalaną bielą, niczym muszle. Tłum, który powstrzymywali pretorianie, ciągnął się daleko od tego centralnego punktu, wokół Koloseum, na inne fora, aż po Panteon, mimo że ludzie nie widzieli nic z wyjątkiem długich ekranów, które mogły się znajdować

gdziekolwiek.

Marek Nowiusz Faustus Leon spojrział z mównicy w kamery. Zmrużył oczy w ostrym świetle, a miał w sobie dość cech Nowiuszów - zatem aktorów - by przez ułamek sekundy żywić nadzieję, iż to zmrużenie wygląda jak walka z napływającymi łzami. Natychmiast naszło go obrzydzenie do samego siebie. Siłą woli wyrzucił z pamięci wspomnienie tej myśli.

Nie potrafił się pozbyć krępującej świadomości, że przemówienie idzie mu bardzo kiepsko. Czytał tekst autorstwa jednego z pisarzy wuja, ale przejrzał go tylko raz. Zamierzał się bardziej przyłożyć i nawet powiedział sobie, że powinien go mówić z pamięci, ale dni mijały, a on ledwie zdołał się zmusić do spojrzenia na to dziełko. Teraz widział, że znalazła się w nim chwytająca za serce młodzieńcza wrażliwość. Dostrzegał akapity, przy których czytaniu powinien się zająknąć, a głos powinien mu uwieźnąć w gardle, gdzie powinien wymownie zadrżeć - ale on czytał bezbarwnym głosem o altruizmie i patriotyzmie swego ojca. Szło mu kiepsko, ale powinno jeszcze gorzej.

- Mój ojciec miał trzy wielkie miłości, które cenił nad życie - mówił. - Moją matkę, mnie, a nade wszystko swój kraj.

Rozległy się ciche oklaski i ktoś zaszlochał, ale Marek nie zrobił przerwy. Żałobnicy nie dosłyszeli następnych akapitów, napisanych mniej więcej w tym samym duchu. Zaczęło go od tego trochę mdlić, również dlatego, że ojciec nigdy by tak nie mówił o sobie ani o nikim innym; sam by napisał przemowę, a każde zdanie byłoby perfekcyjnie wyważone i cechowałaby je wyrachowana i urzekająca szczerłość. A Marek czytał monotonna, dziwiąc się w duchu zboliałym twarzom żałobników oraz liźniętości tych, którzy płakali. Uznał, że nie mogą naprawdę opłakiwać jego rodziców. Pewnie płaczą nad sobą, nawet jeśli o tym nie wiedzą. Dlaczego zatem są tacy nieszczęśliwi? Na kordon napierały dwie kobiety: ładna dziewczyna, niewiele starsza od niego, trzymała głowę na ramieniu matki. Miały zwiędłe niebieskie kwiaty i obejmowały się nawzajem, dygocząc od tak gwałtownych, rozdzierających łkań, że z trudem łapały powietrze. Z jakiegoś powodu to go niepokoiło, i choć nie przerwał czytania, gdy popatrzył na nie, przestawał rozumieć sens słów. Czuł się tak, jakby atakowały jego płuca i oczy, jakby odbierały mu wszelką zdolność do płaczu.

- Biedny, biedny chłopiec! - zawołał ktoś do niego, kiedy wraz z wujem i kuzynami poprowadził procesję ulicami Rzymu. Nie dał nikomu

powodu do takiego okrzyku, całą uwagę skupił na dotrzymywaniu kroku kuzynom, Druzusowi i Makarii, oraz wujowi. Na razie nasłuchiwał tylko chóru lamentujących za jego plecami kobiet i chłopców i spoglądał na białe płatki zaścielające drogę przed nim i złote liście na marach rodziców. Zdumiewał się, jak szybko zdołano wyczarować tak wielki, przepętniony melancholią splendor. Zaledwie osiem dni! Ktoś się bardzo napracował.

Musiał trochę zebrać siły, gdy doszedł do akapitu poświęconego matce. Z lekkim ożywieniem zastanowił się, czy wreszcie opuści go to tępe oszołomienie. Jak się okazało, nie miał się czym martwić. Pisarz przedstawił jego matkę uroczo, choć równie niepodobnie do oryginału, jak niepodobna była ta nieruchoma postać leżąca na środku Forum w sukni z nioniańskiego jedwabiu. W każdym razie przemowa była wyraźnie skoncentrowana na jego ojcu. Oczywiście spodziewał się tego - ojciec był najpopularniejszym z Nowiuszów, bohaterem wojennym, i pewnie by został... ale Marek nie mógł na razie o tym myśleć. Jednak mimo zmęczenia rozumiał, że to wszystko wydaje się tak nierzeczywiste - te łzy, kadzidła, kwiaty, muzyka i idiotycznie archaiczne czarne togi, w których wystąpił on i cała rodzina - częściowo dlatego, że dzieje się na cześć ojca. I choć zdawał sobie sprawę, że jest nie całkiem przytomny, jakby ogłuszony, wiedział, że prędzej czy później odzyska pełnię uczuć i wtedy to śmierć matki sprawi mu największe cierpienie.

Pospiesznie klepał ostatnie akapity, które opisywały miłość i podziw, jakie jego ojciec żywił do swego brata - a zarazem cesarza - Tytusa Nowiusza Faustusa Augusta. Potem było jeszcze coś o bogach i miłosiernie nastąpił koniec. Marek zszedł z podium, ściskając karty z tekstem przemowy, zbyt późno uświadomiwszy sobie, że lepiej by wyglądało, gdyby je zostawił. Stał przy Druzusie, który bez słowa odebrał mu przemówienie - z najsubtelniejszą oznaką dezaprobaty. Nie wypadło, by członek rodziny cesarskiej miętosił w rękę karteluszek. Przemówienie znikło w mgnieniu oka. Kuzyn musiał chyba przekazać je bez słowa stojącemu z tyłu niewolnikowi. Zrobił to sprawnie jak magik. W każdym razie Marek nigdy więcej nie ujrzał tego tekstu. Cesarz ruszył ku schodkom podium. Był wysoki, masywny, miał sześćdziesiąt jeden lat, miękkie gęste włosy i regularne rysy twarzy, które jednak rozpływały się w tłuszczu. Mijając bratanków, życzliwie poklepał Marka po ramieniu, a potem dotknął ręki

Druzusa i coś mu szepnął do ucha. Na twarzy Druzusa na moment pojawił się wyraz desperacji.

- O co chodzi? - szepnął Marek, ledwie poruszając ustami, gdy Faustus rozpoczął przemowę obietnicą, iż będzie go kochać jak syna. W głosie Marka obijały się nieustannie słowa: „Ja chcę do domu, ja chcę do domu”. Spojrzał na Druzusa. Nie znał go dobrze, niespecjalnie lubił, ale ze wszystkich Nowiuszów był on najbardziej zbliżony do niego wiekiem i dziwnie było widzieć obok siebie w zasadzie własną twarz, całą jej pociągłość i regularność, jeśli nie liczyć głębokich łuków nad powiekami i lekkiej asymetrii ust, którą odziedziczyli wszyscy, w jednym lub drugim kąci. Ale Druzus miał orzechowe włosy i zielone oczy, a Marek odziedziczył karnację po matce.

- Mój ojciec - odszepnął Druzus w ten sam sposób, i dorzucił: „Nie patrz, nie zwracaj na siebie uwagi”, gdy Marek odwrócił się z zaciekawieniem w stronę wuja Lucjusza. Ale niemal w tej samej chwili ktoś przepchnął się między nimi i podbiegł do mar Leona i Klodii. Faustus przestał czytać i przez chwilę wydawał się nieszczęśliwy i zbity z tropu.

- Lucjuszu... - odezwał się niemal błagalnie, ale potem, rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na strażników po obu stronach mównicy, dał za wygraną albo postanowił zaczekać, opanował wyraz twarzy i spojrzał przed siebie z powagą i władczo, jakby sam zdecydował uczynić tę pauzę.

Wuj Lucjusz pochylił się nad marami. Wbijał palce w obwisłe wargi, wykręcał ręce - Marek jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś się tak zachowywał. Wzrostem dorównywał Faustusowi, ale jakoś na to nie wyglądał - był skurczony, przygarbiony i żalony. Siwe włosy sterczały mu kępami, jakby sam je obcinał. Położył dłoń na spokojnej twarzy ojca Marka i rzucił „Leonie!” - tylko raz, straszonym, skrzypiącym starczym głosem.

- Proszę - odezwał się Druzus. - Lepiej będzie wyglądać, jeśli my to załatwimy.

Marek nie umiał powiedzieć, że nie chce się zbliżyć ani do wuja Lucjusza, ani do zwłok rodziców, a Druzus już go prowadził na środek Forum. Tłum wydał coś w rodzaju cichego westchnienia - i stało się jasne, że to zachęta i aprobata.

Czuł, że zawisła nad nim cisza połowy świata, i choć na podium nie zdawał sobie z tego sprawy, teraz miał straszliwą świadomość, że jest obserwowany nie tylko przez setki osób stłoczonych na wielkim placu,

ale także przez niewidoczne miliony, jako że dalwizja transmitowała wyłącznie ten pogrzeb.

Druzus objął ramiona ojca.

- Chodźmy, tato - powiedział najłagodniej, jak mógł, lecz w jego głosie słychać było zgrzytliwą nutkę niechęci.

- Tak, wujku Lucjuszu, chodźmy - poparł go smętnie Marek.

Lucjusz nawet nie spojrzął na Druzusa. Marek usiłował się skupić na niezwykłym współczuciu i podziwieniu, jakie nagle obudził w nim kuzyn; przymknął oczy, by nie patrzeć na pasmo jasnych włosów matki, które opadło niesfornie na jej wargi.

Zielone oczy Lucjusza były rozbiegane i tlił się w nich strach. Nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby nie rozpoznał Marka. Spotkał go może ze trzy razy w życiu.

Oczywiście ani w przemowie Faustusa, ani w jego własnej nie było żadnej wzmianki o Lucjuszu, choć po raz pierwszy od lat wujowi pozwolono pokazać się publicznie. Podobno miał dobry okres, a ojciec Marka był w końcu jego bratem tak jak Faustus.

- Nie - rzucił wuj Lucjusz. - Leonie!

Druzus skinął głową Markowi i ten z ociąganiem ujął wuja za ramię, usiłując go oderwać od mar. O, jakże żałuję, że wyszedłem z domu, pomyślał Marek, ciągnąc wuja za rękaw. Potem Druzus chyba zbyt mocno szarpnął Lucjusza, bo ten zatoczył się i oparł ciężko o Marka. Zaskoczony Marek stracił równowagę i bezsensownie wyciągnął rękę. Z dziwnym wstydem poczuł, jak bardzo jest chudy i bezradny. Zaraz się przewrócił jak mały chłopczyk, na oczach tych wszystkich ludzi.

Następnie, ku jego zdziwieniu, wujek Lucjusz chwycił go za nadgarstek i przytrzymał przez chwilę; ta obwisła twarz odwróciła się w jego stronę, błędne oczy spojrzały na niego, a poznaczone zmarszczkami oblicze było bardziej podobne do twarzy ojca niż Druzusa.

Marek dokładnie pamiętał czasy, zanim się dowiedział o wujku Lucjuszu, zanim zaczął myśleć o jego chorobie. Pamiętał wyjaśnienia ojca, ale nie miał aż takiej pewności, dlaczego i jak się to zaczęło. Czy zauważył, jak wujek Lucjusz skubie zębami wargę i ucieka wzrokiem przed ludźmi i wtedy spytał ojca: „Co się z nim dzieje?”. Nie, chyba nie. Ojciec to zaplanował, zdecydował się mu o tym powiedzieć z własnych powodów, bez ponaglenia, bez ostrzeżenia.

Przede wszystkim Tercjusz Nowiusz Faustus Leon opowiedział synowi o wojnach, przez które Rzym utracił panowanie nad południową połową Afryki - zwłaszcza o ich pierwszej, najbardziej krwawej fazie. Powiedział, że w pobliżu Konga znajdowało się oblężone miasto. Na pomoc wysłano rzymski batalion. Działo się to ponad dwieście lat temu i wtedy właśnie przedstawiciele ich rodu weszli do senatu albo zaczęli służyć w armii. Nie byli cesarzami. Jakiś Nowiusz służył w Afryce w stopniu generała.

Zaczęło się to jak opowiadanie i Marek słuchał z zainteresowaniem, lecz także z uprzejmie skrywaną niechęcią, bo spodziewał się, że ojcem kierują jakieś ukryte motywy, a ta opowieść może się stać pułapką. Podejrzewał, że nagle zmieni się w egzamin z historii czy geografii. Kiedy Leon wspomniał o Kongu, Marek pokiwał mądrze głową, w rozpaczy przetrząsając pamięć, by się upewnić, że wie, gdzie się znajduje ten kraj. Czy ojciec naprawdę zapomniał pełnego miana swego przodka, czy poprosi go, by je przytoczył? Miał osiem lat. Wstydził się, że w szkole jeszcze nie doszli do tej wojny.

W każdym razie, ciągnął Leon, afrykańscy buntownicy uwięzili w mieście rzymskich żołnierzy i mieszkańców, których dręczył głód i zabiły liczne choroby. Ów Nowiusz - trochę dlatego, że naprawdę dobro żołnierzy leżało mu na sercu, a trochę z wyrachowania, żeby skłonić ich do miłości, dzięki której uzyska od nich więcej - żył w miarę możliwości tak jak oni, żywił się tym samym jadem, dzielił te same niebezpieczeństwa. I przez cały czas, z wyjątkiem najgorętszych chwil walki, miał na celu dobro Rzymu, jakby cały senat, dwór i jego rodzina zebrali się wokół niego w niematerialnej sali, na której środku znajdował się on, dzielny, niemal niepomny faktu, że może naprawdę umrzeć. To nie miało znaczenia; żołnierze naprawdę go kochali, bo przede wszystkim wiedział, co robi. Wierzyli mu, toteż kiedy kazał im szybko przełamać oblężenie, wypełnili jego rozkaz.

Potem polecił ukrzyżować wszystkich jeńców. Zrobił jedynie to, co uczyniłby każdy na jego miejscu. Zapewne mógłby oszczędzić paru młodszych buntowników, ale to oblężenie wstrząsnęło Rzymem i Nowiusz czuł, że musi dać przykład. Postawił więc rzędy krzyży na brzegach rzeki Kongo. A do jednego przybito - były to czasy, kiedy jeszcze posługiwano się młotkami i gwoździami - dwunastoletniego chłopca.

Gdyby Nowiusz się nad tym zastanowił, może by sobie wytłumaczył, że chłopiec był na tyle dorosły, że zabijał rzymskich obywateli... albo pomagał zabijać rzymskich obywateli... albo przynajmniej był obecny przy zabijaniu Rzymian. Choć może gdyby ktoś zmusił jego wyobraźnię i rozum do prawdziwego wysiłku, zapłakałby z litości i wstydu. Nie był złym człowiekiem. A przynajmniej sobie nie wydawał się zły. Był dobry dla własnych dzieci. Ale najprawdopodobniej wcale się nad tym nie zastanawiał.

Leon opowiedział to powoli i z prostotą. Często robił przerwy, niemal po każdym zdaniu, i spoglądał na Marka, upewniając się, że chłopiec wszystko zrozumiał, a nie tylko potakuje dla świętego spokoju.

Tej nocy Nowiusz, choć był zmęczony, nie mógł zasnąć w ocalonym przez siebie mieście, ale nie dlatego, że myślał o tamtym chłopcu - który pewnie jeszcze żył, zwisając w ciemności na wykręconych ramionach - lecz ponieważ opłakiwał utraconych żołnierzy, tęsknił za Italią i nigdy nie przyzwyczał się do afrykańskiego upału. Panicznie bał się chorób tropikalnych, więc choć nad jego łóżkiem wisiła moskitiera, nie dowierzał, że może go ochronić. Najcichszy brzęk owada brzmiał w jego uszach jak wycie i za każdym razem musiał od początku wkładać wiele wysiłku w zaśnięcie.

(Marek zorientował się, że ojciec to musiał zmyślić - nie mógł wiedzieć o tych moskitach, skoro nie pamiętał imienia Nowiusza).

Ale wkrótce Nowiusz usłyszał dźwięk groźniejszy od brzęku moskitów. Początkowo bez trudu wmawiał sobie, że ten dźwięk rozlega się tylko w jego obolałej głowie. Zaraz jednak musiał przyznać, że rzeczywiście słyszy zbliżające się po drewnianej podłodze kroki. Nikt nie mógł się dostać do jego pokoju i nie było słyhać otwierających się drzwi. Powinien dosięgnąć pistoletu spoczywającego w szufladzie stolika przy łóżku, ale nie mógł się ruszyć. Wprawdzie nie sparaliżowało go przerażenie - choć ogarnął go strach, którego nie potrafił zrozumieć - ale nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Potem nagle znowu zrobiło się cicho i słyhać było tylko spiralnie spływający w dół brzęk moskitów, a milczenie ciągnęło się tak długo, że Nowiusz nabrał nadziei, iż te kroki jednak mu się przy-

śniły - tyle tylko, że nadal nie mógł się poruszyć.

Potem rozległ się szmer, który wycisnął mu resztki powietrza z płuc, i moskitiera spadła na niego jak koniec świata. Drewniana obręcz, na której wisała, uderzyła o jego pierś. A on leżał z głową i ramionami w ramie obręczy, oddech wydymał i zasysał białą tkaninę, poślanie się ugięło, a moskitiera napięła pod czymś ciężarem.

Przez mleczną biel tkaniny ledwie rozróżnił zarysy kobiecej postaci. Serce załomotało mu z przerażenia, bo choć nie widział jej twarzy i choć jeszcze się nie odezwała, jakoś wyczuł, że nienawidzi go z niewiarygodną mocą i zapalczliwością - a on nadal nie mógł się poruszyć.

To była matka tamtego chłopca.

Czekał, spodziewając się, że nóż przebije mu pierś lub rozetnie gardło, ale ona ujęła w dłonie jego głowę i wydawało mu się, że przez opuszki jej palców leją się strugi gorąca, które przeniknęło do jego czaszki. Potem rozległ się cichy, szemrzący syk, kiedy zaczęła szeptać łagodnie i równomiernie w jego ucho. Początkowo wydawało mu się, że rozumie słowa, potem - że nie, a później przestał je słyszeć, bo w głowie bulgotał mu ukrop, a w uszach łomotał ryk jakby burzliwego morza. Po chwili zapomniał o niej, a gdy łóżko zaczęło się przechylać i wirować, już nic nie rozumiał.

Rankiem niewolnicy znaleźli go pod moskitierą, teraz ciężką i przezroczystą od jego potu; cały dygotał i drżał. Kobieta leżała na podłodze. Przebiła się nożem.

Po kilku dniach gorączka spadła i Nowiusz wyjaśnił, ile potrafił: powiedział, że wiedźma rzuciła na niego w nocy klątwę. Poczuci się lepiej i nawet śmiał się słabo z tej przygody. Ale potem znowu zawrzał w nim ukrop, skóra mu pożółkła i zaczął wymiotować krwią. Lekarze wróżyli mu śmierć. Wkrótce jednak gorączka spadła i tym razem szybko odzyskał siły. Żółta barwa ustąpiła z jego skóry, a głębokie cienie między żebrami złagodniały i rozpląnęły się. Jednak Nowiusz zaczął się ślinić i płakać jak dziecko z przyczyn, których nikt nie potrafił pojąć. Czasami rzucał się na strażników, czasem wykrzykiwał sprośności i obnażał się. Gorączka zaatakowała jego mózg i na zawsze go uszkodziła, stwierdzono. Odesłano go do domu, do żony, biedaczka opiekowała się nim do końca życia, od czasu do czasu trochę mu się polepszało i jakby ją rozpoznawał.

Nikt by o tym nie pamiętał (powiedział Leon), gdyby piętnaście lat

później nie zachorował jeden z jego synów, a kiedy wyzdrowiał, był w takim samym stanie jak ojciec. Nawet to mogłoby się wydać strasznym zbiegiem okoliczności, ale niespełna trzydzieści lat później córka innego syna oszalała. Czasami to się przyczaja na całe pokolenie albo i dłużej, ale zawsze wraca. Póki wujek Lucjusz nie skończył trzydziestu pięciu lat, był zdrowy - może tylko trochę nieśmiały. Mawiał, że urodził się w niewłaściwej rodzinie. Ale wszystko z nim było w porządku. Miał żonę i syna - Druzus był wówczas niemowlęciem. Lecz siedem lat przed twoimi narodzinami wuj zaczął szeptać dziwne rzeczy i spoglądać w ziemię lub w niebo, kiedy się do niego zwracano. Pewnego dnia zachorował, zamknął się na klucz w sypialni i przez dwa dni niewolnicy i rodzina słyszeli, jak rozmawia, śmieje się i krzyczy do siebie. Potem, gdy w końcu wyważyli drzwi, znaleźli go w takim stanie, w jakim jest teraz. Wszystkie te wydarzenia przebiegały dokładnie tak, jak wielokrotnie w ciągu dwustu lat.

Ukrzyżowanie chłopca i samobójstwo jego matki straszliwie przeraziły Marka, czego początkowo nie rozumiał, gdyż oczywiście słyszał już o takich rzeczach. Z wolna zdał sobie sprawę, że to dlatego, iż ojciec chciał go przerazić. Nie zamierzał wywołać u niego jedynie małego dreszczyku - chciał, by ta opowieść wryła mu się głęboko w pamięć, by nic jej nie udało wykorzenić. I tak się stało. Przez parę następnych nocy, których Marek nie przespał, zrozumiał, iż ojciec chciał w nim obudzić nie tylko strach, ale i wyrzuty sumienia, a także gniew. Nadal jednak nie rozumiał, co takiego zrobił, że ojciec chciał wywołać w nim takie uczucia. Natomiast druga część tej historii była gorsza, bo mało że ta opowieść nie miała końca, to jeszcze się z nim łączyła. Wkrótce Marek zaczął się zastanawiać nad każdą swoją myślą, doszukując się czegoś nienormalnego, zniekształconego. Przestał sypiać, bo bał się snów. Sny wydają się rzeczywistością, a Marek zdawał sobie sprawę, jak niewiele dzieli je od obłądu.

Nadal pamiętał kłótnie rodziców z tego powodu: jego matka, Klodia, nagle rzuciła na podłogę stertę papierów, krzycząc:

- Chcesz, żeby wszyscy wokół ciebie wiecznie rozpaczali!
- Chcę, żeby zapamiętał to na zawsze - odpowiedział jego ojciec. - W

każdym razie kiedyś musiał się dowiedzieć o Lucjuszu.

- W taki sposób? W tym wieku?

- To ostrzeżenie. To metafora Rzymu - oznajmił Leon poważnym tonem.

- Nie zaczynaj się wywyższać. Wiesz, że podzielam twoje poglądy. Ale nie rozumiem, dlaczego musiałeś to powiedzieć małemu chłopcu, i tyle.

- Gdybyś rozumiała, do czego usiłuję doprowadzić, wiedziałabyś.

- Rozumiem i wiem, że starasz się zachowywać jak świętoszek i sadysta. Jak zawsze.

Później Klodia przysłała do Marka i przytuliła go, a on poczuł, że jest sztywna z gniewu.

- Twój wujek Lucjusz jest pierwszym przypadkiem tego nie wiadomo czego od niepamiętnych czasów - powiedziała. - Ty jesteś tak samo moim synem jak ojca, a na mojej rodzinie nie ciąży klątwa.

Marek znowu zaczął sypiać, ale w głębi serca wiedział, że to nie przyniesie mu żadnej pociechy. Nigdy nie wyzbył się całkowicie nawyku śledzenia własnych myśli i rozważania, czy zdoła się zorientować, że coś jest z nimi nie tak. W późniejszych latach zdał sobie sprawę, że jego krewni postępowali tak samo; że pomimo wszystko wuj, dziadek i cała reszta musieli rozpaczliwie czepiać się władzy. I że obserwowali także innych. Po to, by kogoś oskarżyć, by syknąć: „To ty. To się już w tobie rozwija. Ty będziesz następny”. Czasami to wisiało między nimi, niewypowiedziane, kuszące. Jego matka, niedotknięta rodzinną przypadłością, z pewnością musiała to kiedyś powiedzieć ojcu.

Teraz miał szesnaście lat, a kilka dni temu samochód rodziców odezwał się od szosy w Alpach Galijskich, skoczył w powietrze jak ryba i zeszła się bokiem po kamieniach. Nie oznaczało to, że nigdy więcej ich nie zobaczy. Po przemowie Faustusa zostaną zanieśieni do grobowca Nowiuszów i tam spoczną pod szkłem. Będzie mógł ich widywać, kiedy tylko zechce.

Nawet gdy wujek Lucjusz został odprowadzony w szeregi rodziny, nie puścił przegubu Marka i mimo wszystko najwyraźniej go poznał.

- Chcesz zostać cesarzem? - spytał czy raczej załkał tym swoim zniszczonym głosem.

W oczach Marka wreszcie zakręciły się łzy i nawet kiedy Faustus pod-

jął przemowę, nie chcieli przestać płynąć.

Nawet Una obejrzała kawałek pogrzebu, ogromny ekran dalwizora ustawiono pod portykiem bazyliki na placu Juliańskim i Una zatrzymała się i spojrzała w górę jak wszyscy. Chłopiec, syn Leona, Marek Nowiusz, ogromny i stworzony z plamek światła, spoglądał na nią niewidzącym wzrokiem i mówił: „Mój ojciec miał trzy wielkie miłości, które cenił nad życie: moją matkę, mnie, a nade wszystko swój kraj”.

Przez chwilę Unie się zdawało, że rozsadzi ją pogarda. Najbardziej cikliwy i odrażający tekst świata. Poczła taką nienawiść do tego chłopca i wszystkich wpatrzonych w niego ludzi, że pod jej ciężarem niemal się ugięła. Londyn był rozmiękczony, lepki od fałszywej rozpacz, ludzie wdychali wilgotne powiewy tego uczucia jak wyziewy z bagien, przez które musiała się przepawić. Naszała ją przelotna myśl, żeby ich wszystkich sprawnie wymordować, ale zreflektowała się, wyobraziła sobie biel, aż przestała czuć tamto, aż jej twarz stała się nieprzenikniona. Zerknęła na otaczających ją ludzi, sprawdzając, czy nie dostrzegli w niej czegoś dziwnego, ale nie.

- Jaki on przystojny. Ma taką smukłą sylwetkę - powiedziała jakaś kobieta obok.

Una przyjrzała się krytycznie Markowi. Jego oczy pod ciężkimi powiekami były w jakimś nieokreślonym jasnym kolorze - trudnym do rozpoznania na ekranie. Włosy miały tę ciemną barwę, która parę lat temu mogła być jasnym, dziecięcym blond. Według niej wyglądał na zmęczonego i trochę znudzonego.

- Tak - powiedziała. Uznała, że zasadniczo jest to prawda, choć Marek nadal miał rozmyte, niewykształcone rysy podrostka, jakby jego prawdziwa twarz znajdowała się pod wodą, widoczna tylko w zarysach. Wierzyła, że obserwuje to wszystko tak zimno, jakby była trzydzieści lat starsza od samej siebie, piętnastolatki.

Ponieważ mniej więcej znała myśli tej kobiety, dodała:

- Mam nadzieję, że zostanie następcą tronu. Potrzebujemy przystojnego cesarza.

Kobieta uśmiechnęła się i odparła:

- Nie powinnam tak myśleć, prawda? Tobie to pasuje. Ja nie powin-

nam się interesować dziećmi.

Una posłała jej słodki, fałszywy uśmiech i zorientowała się, że źle jej wyszedł i kobieta może ją uważać za dziwną. Zniknęła w tłumie, zanim tamta zaczęła się zastanawiać, dlaczego Una jest sama i po co jej torba na zakupy w dniu, kiedy wszystko jest pozamykane - i zanim widok jej wymiętego ubrania i potarganych włosów obudzi podejrzenie, że nie spędziła tej nocy pod dachem. Nie widziała już drobnego zamieszania przy marach ani łez Marka.

Potem, spiesząc ku mostowi Londyńskiemu, zadała sobie pytanie, po co w ogóle przystanęła. Oczywiście nie mogła się rzucać w oczy, ale powinna przejść przez plac spokojnie, nie ryzykując. Dlaczego tak nie zrobiła? Zacisnęła zęby, czując niesmak do siebie. Ona ostatnia powinna być podatna na urok Nowiuszów.

Na moście nie dostrzegła prawie nikogo. Sklepy po jego obu stronach były pozamykane, co miało stanowić wyraz szacunku i oznaczało, że sklepikarze mogli iść złożyć kwiaty na schodach świątyni bogini Romy. I co komu z tego przyjdzie? - pomyślała kwaśno. Czy to przyniesie ulgę po śmierci Leona i jego żony? Pozwoliła sobie na szyderstwo, bo potrzebowała go, by przeprowadzić się przez ten most, gdyż z każdym krokiem ogarniała ją coraz większa panika, a nieomal niewykonalny zamiar, który powzięła, prawie odebrał jej oddech. Nienawidziła tych ludzi zgromadzonych na placu Juliańskim, ale teraz zapragnęła ukryć się w tłumie. Czuła się ogromna jak ten chłopiec na ekranie.

Wściekła się na siebie. Nikt na nią nie patrzył i miała wszelkie podstawy przypuszczać, że na razie nikt jej nie ściga; w małej sypialence w domu w Dzielnicy Lupanarów nie pozostał żaden ślad wskazujący na ucieczkę. Nie zabrała ze sobą niczego, nawet płaszcz, nawet garści monet, które wydzielono jej dwa dni temu. Tylko tyle pieniędzy wolno jej było mieć.

To, co postanowiła uczynić, było trudne, a konsekwencje mogły okazać się przerażające - w tej chwili nie myślała jednak o nich. Nie zamierzała zmienić zdania.

Nie obejrzała się, dopóki nie dotarła na drugi brzeg mostu. Wtedy odwróciła się i spojrzała na stalowe krzyże ciągnące się szpalerami wzdłuż brzegów Tamizy. Były puste, tak jak się spodziewała, co także stanowiło oznakę szacunku. Ich mroczne odbicia drżały w deszczu.

Wyobraziła sobie biel. Rozpoczęła się pojedynczą jasną plamką, która rozrastała się w jej głowie, aż wybieliła wszystko. Rosła i rosła, aż wszystko w niej zatoneło.

Kierowała się wzdłuż torów magnetycznych sunących przez Londyn na południe, do Dubrisu. Przemierzyła opuszczony parking, wdrapała się na rozchwiany metalowy płot i wpadła w pokrzywy i czerniejące budleje, rosnące na nieużytku pod wiaduktem. Nie zatrzymała się. Pochyliła się pod opadającymi łodygami budlei i z determinacją przedarła się do miejsca, gdzie korzenie chwastów obluzowały cegły. Pracowała metodycznie, by rozproszyć irracjonalne przeświadczenie, że tego, czego szuka, już tu nie ma.

Ale było. Wyciągnęła powoli zakurzone plastikowe zawiniątko, złożone, związane z paranoiczną troskliwością. Nagle usiadła, trzymając je delikatnie, z niedowierzaniem, w rozchylonych palcach. Osłabła z ulgi i czegoś więcej: nagłego przypływu szczęścia. Idiotyzm, bo na razie jeszcze nic nie zrobiła, ale jednak wszystko szło lepiej, niż się spodziewała. To była prawie ostatnia z jej kryjówek. Odkąd znalazła sposób zarabiania na własną rękę, doszła do wniosku, że utrata wszystkiego będzie mniej prawdopodobna, jeśli ukryje zarobek w różnych, oddalonych od siebie miejscach. Przez cały ranek kursowała od jednego do drugiego: od dziur pod ławką przy posągu Hadriana w parku Paullinusa i na zapuszczonym dziedzińcu sypiącej się w gruzy szkoły zapaśników do skrytki za popękkanymi kafelkami w opuszczonej łaźni. Ze zdumieniem stwierdziła, że nikt nie tknął jej zapasów. Szczerze mówiąc, ukryła je tak starannie w miejscach wybranych z tak obsesyjną ostrożnością, że ryzyko zaistniałoby tylko wtedy, gdyby ktoś zauważył, jak chowała pieniądze, a była przekonana, że nikt jej nie widział.

Obły pociąg śmignął jej nad głową. Una roześmiała się słabo. Tuż nad nią znajdowały się setki osób i żadna jej nie widziała. Poczula ten mętny, chaotyczny szum myśli, uczuć i wspomnień, nieświadomie oddalający się od niej. Położyła się na ceglach i spojrzała w górę, na mokre liście budlei. Przypomniała sobie, jak boleśnie słodko pachniały te purpurowe kwiaty wczesnym latem, kiedy po raz pierwszy ukryła tu paczkę sestercji, jak nie chciały ich opuścić brązowe i czerwone motyle. Naszła ją wtedy leniwa myśl, że chciałaby tu zamieszkać na zawsze.

Była bardzo zmęczona. Działać mogła dopiero za parę godzin i byłoby

bezpieczniej, a nawet mądrze, przespać ten czas. Ale nie spała, i to nie tylko dlatego, że ubranie miała nadal mokre i było jej zimno. Wprawdzie te straszne zawroty głowy, które opadły ją na moście Londyńskim, osłabły, lecz nie minęły zupełnie.

W końcu wstała sztywno, zasmucona, że opuszcza tę kryjówkę, a także że wszystkie rozrzucone po całym Londynie skrytki, których skarby podtrzymywały ją przy życiu przez lata, wkrótce przestaną mieć dla niej znaczenie. Wrzuciła paczkę do torby na zakupy. Nie rozpakowała jej, wiedziała, co zawiera, i nadal bała się przyciągać uwagę złodziei w drodze do ostatniej kryjówki. Tam zamierzała zerwać z dawnym nawykiem i na jakiś czas ukryć pieniądze w jednym miejscu. Musiała mieć to wszystko gotowe do szybkiego zgarnięcia, kiedy znajdzie Suliena - jeśli go znajdzie, jeśli będzie jakieś „kiedy”.

Znowu ruszyła na wschód w stronę Tamizy. Pogrzeb się skończył, w paru sklepach i jadalniach zaczęły się zapalać światła. Una nakazała sobie wejść do jednej, kupić gulasz jagnięcy w plastikowej czarce i zjeść. Była zbyt niespokojna i zdeterminowana, żeby czuć głód, ale wiedziała, że jej ciało słabnie i trzeba temu zapobiec.

Blade londyńskie niebo zaczęło ciemnieć, kiedy ruszyła wzdłuż długiego łuku rzeki ku przystani. Energicznym krokiem maszerowała betonowym chodnikiem nad wodą, mocno splatając ręce. W twarz wiał jej przenikliwy wiatr niosący wilgoć. Z pała do cumowania poderwał się kormoran i zanurkował w ciemnozieloną wodę. Znowu przyłapała się na tym, że myśli o domu w Dzielnicy Lupanarów. Teraz już wiedzą, że jej nie ma, ale może pomyślał, że miała wypadek albo ktoś ją zamordował. To się czasem zdarza. Może już przestali jej szukać.

Minęła przystań pełną skrzyń przypraw i herbaty oraz baryłek z oliwą. Gdzieś ryczała syrena; ciągle rozładowywano statki, ale robiło się coraz ciemniej i już się nie bała, że ktoś ją zauważy. Przepchnęła się przez dziurę w rdzewiejącej siatce i przez chwilę stała, patrząc na rzekę. Nabrzeże było usiane rozbitymi skrzynkami i pustymi beczkami. Czarna łupina magazynu przyciała się tuż obok. Una przeszła przez podwórko i z pewnym wysiłkiem otworzyła gnijące drzwi opuszczonego budynku. W środku kłębiły się śmieci, sterty starych cum, długie zwoje plastikowych rur i izolowanych przewodów, puszki zaschniętej farby i, z niewiadomego powodu, pogięte drzwi, spoczywające na tym wszystkim pod jakimś

dziwnym kątem. Przedarła się przez ten bałagan, wymacując sobie drogę w mętym świetle bijącym od statków na rzece. Wszędzie unosił się wilgotny zapach pleśni; gdzieś na niewidzialnej betonowej podłodze nagle za- skrobały pazurki. To była jej ostatnia, najnowsza kryjówka, położona najdalej od Dzielnicy Lupanarów, znaleziona kosztem największego ryzyka. Una oddaliła się wtedy od domu na znacznie dłużej, niż jej pozwalamo. Kłamstwa, które musiała opowiedzieć, brzmiały mało wiarygodnie. I choć chyba jej uwierzyli, i tak oberwała. Ale gdy dotarła tutaj, nie czuła ulgi. Odgarnęła stertę śmieci z taniej czarnej torby podróźnej, którą ukryła w głębi pomieszczenia, i gapiła się na nią tępo. Zastanawiała się, kiedy ktoś to odkryje i co sobie pomyśli, jeśli ona po to nie wróci.

Oparła głowę na kolanach i być może tym razem naprawdę zasnęła; w każdym razie odzyskała świadomość gwałtownie, znowu zdając sobie sprawę z otaczających ją ciemnych kształtów i dziwnego stęchłego odoru.

Ponownie się rozpadało, gdy dużo później szła wąską dróżką, starając się sprawiać wrażenie, jakby się dokądś spieszyła, nie spoglądając w prawo ani w lewo. Zgięła się wpół i tak przemierzyła jakąś milę na zachód. Tu budynki wyrastały na samym brzegu Tamizy, a wąska uliczka wiła się wokół nich, z dala od wody. Stacja policji rzecznej mieściła się w lichym brązowym budyneczku, który przycupnął na brzegu, jego tylna część zwisała nad rzeką. Una tylko raz na niego popatrzyła; to jej wystarczyło, by dostrzec zamknięte kwadratowe drzwi i sterzącą nad nimi kamerę. Szła prosto przed siebie, dopóki nie uznała, że znalazła się poza jej zasięgiem.

Za stacją policji ulica znowu wychodziła na rzekę. Una skierowała się w jej stronę, trzymając się blisko ślepej zachodniej ściany posterunku. Spojrzała na wodę. Od zaplecza budynku prowadził długi metalowy chodnik, zmierzający na słabo oświetlony podest, gdzie kołysały się szerokie łodzie patrolowe i długie, kanciaste promy. Na przystani nie dostrzegła żadnych kamer, co nie było aż tak dziwne - jedyna oczywista droga do łodzi prowadziła przez posterunek. Chyba że na tylnej ścianie jednak jest kamera? Pod tym kątem nie potrafiła jej dostrzec. Odetchnęła głęboko i przez chwilę trzymała powietrze w płucach. Od tego momentu musiała się zmierzyć z nieznanym, jej plan tracił na precyzji, w miarę jak stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Nie wiedziała, której z tych łodzi

szuka ani jak się dostać niezauważenie na pokład.

Ale mogła zrobić coś, co zwiększało jej szanse. Ci mężczyźni z budynku musieli wiedzieć, która łódź ma zabrać więźniów z innej u ujścia Tamizy: a jeśli oni to wiedzieli, to i ona się dowie. Mogła przeczesać ich myśli i znaleźć to, czego potrzebowała. To, co zamierzała zrobić, było o wiele trudniejsze od podsunęcia tamtej kobiecie z placu Juliańskiego jej własnych opinii - tych strzępów bredni o Marku, które dryfowały po powierzchni tak wyraźnie, że prawie każdy mógłby je zebrać - ale zasada pozostawała ta sama.

Czasami myśl kogoś obcego przylatywała do niej w pełni ukształtowana, żywa i wyrazista jak drapieżny ptak.

Częściej bywało to przeciągłe, ciche brzęczenie, na poły niezrozumiałe mamrotanie, nieustannie rozplływające się i scalające, przeszyte ostrymi nićmi decyzji. To było do zniesienia i jeśli się postarała, potrafiła je od siebie odpędzić (ale aż do dziś nie ośmieliła się tego zrobić). Jednak za nim zawsze pojawiały się głośniejsze, bardziej brutalne odgłosy: skowytu i ryki obrazów, jaskrawych, brzydkich, niebezpiecznie pęczniejących pod

kryjącym je wstydem. Odgadywała, że to z jakiegoś powodu konieczne, a przynajmniej nieuniknione; wiedziała, choć ta myśl budziła jej niechęć, że jej inteligencja ma wiele wspólnego z tą nędzą i brudem. To nie ułatwiało jej zduszenia obrzydzenia, czasami będącego niemal ponad siły. Gdyby zechciała, a nawet niechcący, mogła poznać ludzi lepiej, niż oni ośmieliliby się poznać samych siebie.

Ludzie to kłęby chwastów szeleszczących na wicherze, szeleszczących niewyraźnie, bez przerwy, i kłujących w dotyku. Czasami - ale to było bardzo trudne i straszne - potrafiła nadać temu wichrowi kierunek, poruszyć listkiem, rozdzielić kolczaste pnącza, żeby ich kształt nabrał wyrazistości.

To właśnie zrobiła. Wstała, przytuliła zimny policzek do muru posterunku i udała, że jej skóra w niego wrasta. Powieki jej opadły i zobaczyła, jak skazy cegieł rozplływają się i rozdwarzają za mgiełką jej mokrych rzęs. Już teraz czuła wewnątrz dziwne nastroje. Tam jest ktoś... tak, mężczyzna, który usiłuje sobie przypomnieć słowa piosenki i chce wracać do domu. Nie może sobie przypomnieć, czy następne słowo to „żał”, czy „dal”, a bez niego w ogóle nie umie odtworzyć następnego wersu i choć

stara się o tym nie myśleć, poszarpana piosenka nieustannie rozbrzmiewa w jego głowie i brzęczy bez końca jak owad.

Una przymknęła oczy i zapadła w umysł tego człowieka niewidzialnie, jak zimna woda w ciepłą. Rozpłynęła się powoli, z wahaniem, wygładziła swoje drżenie, aż praktycznie wzięła tego mężczyznę we władanie. Przenikała go na wskroś, widziała go, jakby każda jego część była jej okiem.

Łodzie, szepnęła na zewnątrz, przytulona do mokrej ściany, nie wiedząc, że porusza ustami. Krzyże. Ranek.

Na wpół przypomniana piosenka na chwilę odpłynęła, a w głowie mężczyzny pojawiły się przycumowane łodzie, ale myśl zaraz zboczyła z kursu - przypomniała mu się łódka, którą miała jego rodzina, kiedy był dzieckiem, a potem nieudany piknik na zimnej plaży, gdzie wszyscy się strasznie kłócili, a potem to ciasto, które jedli - czy jeszcze można takie kupić? - i co ma do jedzenia w domu, a potem pomyślał, jak bardzo by chciał siedzieć teraz w kuchni i przygotowywać się do snu.

Una odczekała cierpliwie, aż nic myśli się wysnuje, znowu wysłuchała powracającej piosenki i spróbowała ponownie. Łodzie. Egzekucja.

Tym razem z gotowością podążył za myślą, uwolniony od pojawiającej się co chwila piosenki. Egzekucja. Nagły przypływ litości dla więźniów wstrząsnął Uną, wytrącił ją z równowagi. Nie chciała widzieć takich rzeczy, więc odepchnęła je i wywarła niewyczuwalną presję: która łódź? Która łódź wypłynie? I zobaczyła potrzebną myśl: zawahał się między dwoma cyframi, trójką i czwórką, i pojawiła się nazwa: „Nauzykaa”. Ledwie słowo się utworzyło, rozpadło się i zaczęło krążyć, a potem scalać w różne twory: kauzy-naa, kuzynka-a, uzynka-a, urzyna-a.

Nie miała ochoty sprawdzać, dokąd dotrą te twory. Wróciła błyskawicznie do siebie, westchnęła, potarła twarz, otrząsnęła się z osobowości tego mężczyzny jak z brudnej wody. Czuła się zbrukana i chora. Nie znosiła tego robić, nie znosiła rozcieńczania własnej jaźni, nie znosiła tego osadu z innych ludzi, który do niej przywierał, a nade wszystko nie znosiła tych ohydnych spraw, które zawsze tam znajdowała. Nieświadomie wydała cichy dźwięk, jakby łkanie - i zaczęła biec.

Ale nawet pulsujący wstręt nie wystarczył, żeby ją odwieść od wykonania misji. Zatrzymała się nagle, zacisnęła ręce na balustradzie nad rzeką, wczepiła się w mokry metal. Dobrze, że oddaliła się od posterunku. Spojrzała w migoczącą w dole czarną wodę i zanim zdążyła się zastano-

wić, przeskoczyła nad barierką. Ale wtedy zawahała się na chwilę, stojąc na betonie tylko na piętach i przytrzymując się balustrady. Jej ciało było już zmęczone; jeśli teraz skoczy, będzie musiała spędzić resztę nocy w wodzie zatrutej chemikaliami i osadami.

Choć jej ciało wzdragało się przed tym, co ją czekało, innej możliwości nie brała pod uwagę. Kapitulacja nie wchodziła w grę. Pomyślała o kormoranie, który runął ze słupa do cumowania: woda musiała być dość czysta, skoro żyły w niej ryby. Uczepiła się myśli o ptaku, który bezpiecznie tu zanurkował. Odwróciła się, trochę inaczej chwyciła balustradę i łagodnie opuściła się do Tamizy.

Deszcz już i tak ją przemoczył, więc rzeka nie okazała się strasznie zimna. Gorsza była ta gęsta aksamitność unoszącej się na jej powierzchni mazi i ten bijący od niej smród: bardziej gryząca wersja odoru z szopy na przystani. Una zaczęła wolno płynąć, czarna plama w czarnej wodzie, starając się nie wystawiać nóg ani rąk ponad powierzchnię.

Na wysokości stacji policji popłynęła trochę dalej w głąb rzeki, tak że podest znalazł się między nią a budynkiem. Dosięgła go czubkami palców, wynurzyła głowę i ramiona; z tego miejsca posterunek wydawał się ogromny i rozlazły, a podest stał się dziwnym, grubym wyciągniętym ramieniem. Tak jak się obawiała, nad tylnymi drzwiami budynku dostrzegła kamerę, ale uznała, że jeśli nie będzie się wyłaniać z cienia łodzi, nikt jej nie zobaczy. Było bardzo ciemno.

Znowu zanurzyła się i podpłynęła do szeregu więziennych promów. Przywarła do nich, by odczytać nazwy i numery na burtach. Przez jakiś czas wahała się między dwiema łodziami: tak, ta z numerem cztery nazywała się „Nauzykaa”, ale ten z posterunku pomyślał także o numerze trzy - być może to numer był ważny, a nazwa wypłynęła razem z nim jak wodorost oplątujący żyłkę wędkarską. Mogła tylko zgadywać, wyciągnęła więc rękę do burty i wdrapała się na pokład „Nauzykai” od strony oddalonej od posterunku i kamery. Bez większej nadziei nacisnęła klamkę drzwi prowadzących do cel. Były zamknięte, tak jak się spodziewała. Nisko pochylona zakradła się na rufę. Westchnęła, na chwilę przymknęła oczy. Nie liczyła na wiele, ale pokład był zupełnie pusty, pozbawiony miejsc, w których można by się ukryć. Nie było tu nic z wyjątkiem wbudowanej w pokład dużej metalowej skrzyni, mającej jakieś cztery stopy wysokości i mieszczącej butle z gazem i jakieś niskie plastikowe cylindry,

których przeznaczenia nie potrafiła odgadnąć.

W końcu, pochylona, wcisnęła się między skrzynię i mostek i tam usiadła, skulona w niewygodnej pozie, usiłując uspokoić dygoczące ciało. Deszcz ustawał, ale powietrze wysysało całe ciepło z jej mokrej skóry.

Była to żalosna kryjówka; Una mogła polegać tylko na swojej zdolności odpychania strzępów przywierającej do niej uwagi. Ale z zimna i zmęczenia już się prawie rozchorowała, przesiąknięta ludzkimi myślami i zieloną wodą Tamizy.

III

Z powodu śmierci rodziców Marka Sulien zyskał pięć dni życia, ale w poranek po ich pogrzebie strażnicy wyprowadzili go z celi więziennego statku u ujścia Tamizy i przetransportowali na pokład łodzi wojskowej zmierzającej do Londynu.

Już znali jego wzrost i szerokość ramion. Wszystko pewnie przygotowali. Przymocują jego ramiona i nogi rzemiennymi pętami i zacisną je tak, że nadgarstki przylgną płasko do metalu, a stopy zostaną ściśnięte razem. Potem przekręcą włącznik z boku krzyża i trzy kolce wyskoczą równie nieomylnie jak trzy klucze wbijające się w trzy zamki, rozplączę węzły żył, przebiją grube nerwy dające bezcenne czucie palcom, zmiażdżą kości stóp, pogwałcą mrok ciała i znowu wyłonią się na światło przez miękką bezbronną skórę. Później podnośnik hydrauliczny z wolna uniesie stalowy krzyż frontem do rzeki, przechyli go delikatnie do przodu, tak że ciało zwiśnie całym ciężarem na przebitych nadgarstkach, kości ramion wyskoczą ze stawów, a powietrze uwięźnie w płucach. Będzie wisiał na krzyżu przez parę dni, walcząc z nim, patrząc na barki z węglem, cukrem i winem kursujące po Tamizie.

Sulien dużo wiedział o ludzkim ciele i potrafił sobie dokładnie wyobrazić, co się z nim stanie. Myślał nawet, że jeśli zamknie oczy i skupi się na własnych niewinnych nerwach, wyobrazi sobie ból. A jednak nie wierzył, to nieprawdopodobne, że tu siedzi, jego ciało wie, że ma jeszcze dziesiątki lat życia, a jednocześnie umiera równie nieodwracalnie, jakby toczyła go choroba. Jego ciało było tak pewne, że nic takiego się nie zdarzy, iż nawet nie potrafił się bać jak należy. Czuł, że powinien stracić zdolność ruchu i myślenia, i nie ze strachu, lecz z hipnotycznej pewności, że to nieprawda, że czeka go coś więcej niż godziny męczarni, po której nastąpi koniec.

Co pół godziny przez małe okienko w drzwiach zaglądał żołnierz, by się upewnić, czy Sulien nie postanowił ze sobą skończyć i w ten sposób uciec przed krzyżem. Za każdym razem Sulien dochodził do wniosku, że naprawdę powinien spróbować się zabić. Ale w to także nie potrafił

uwierzyć, do tego nie byłby zdolny. Wstał i zaczął wydeptywać bezcelowe półkola - usiłując zebrać siły albo wmówić sobie, jak absurdalna jest myśl o śmierci.

- Daj spokój. Zrób to - powiedział surowo i głośno. Usiadł i przyjrzał się badawczo swoim przegubom. Natychmiast zadrżał i opiekuńczo osłonił lewy nadgarstek prawą dłonią, zacisnął palce tak mocno, że poczuł zagłębienie między dwoma cienkimi kośćmi. Znowu wziął się w garść i zaczął niezdarnie ciągnąć za poję koszuli. Udawał, że odedrze z niej pas i skręci z niego pętlę, choć przez cały czas był świadomy, że tego nie zrobi. Zresztą nie wiedział, do czego by ją miał przywiązać. A jednak zdarzały się samobójstwa nawet pomimo nadzoru, zatem to musi być możliwe. Tylko z jakiegoś powodu on nie może.

Okienko znowu się otworzyło. Czy już minęło pół godziny? - zastanawiał się. Ledwie starczyło mu czasu, żeby przemierzyć celę.

Sulien przez całe życie był towarem i prawie tego nie zauważał. Owszem, mówiło się o niewolniku, ale to słowo okrążało go z daleka, nie dotykało. Albo inaczej - były czasy, kiedy mieszkał z matką i siostrą ale wydawały mu się mgliste. Swoje pierwsze lata zapamiętał jak przez zimną, szaroniebieską mgłę - taki kolor miał pokój na poddaszu, gdzie mieszkał z siostrą, lecz o tym zapomniał. Był też białowłosa staruszek - wyjątkowo stary, jak mu się wydawało - właściciel tego domu i matki Suliena. Sulien i jego siostra musieli mu schodzić z drogi. Matka skurczyła się do wspomnienia jakby ruchomej kolumny, cichej i trwożliwej - Sulien pamiętał jej przestraszony szmerzący głos, ale nic więcej.

Od czasu do czasu uderzało go, że to dziwne - gdyby nie garstka jasnych, bolesnych wspomnień o siostrze, mógłby prawie uwierzyć, że nie istniał aż do dziesiątego roku życia, lecz pojawił się całkowicie ukształtowany w dniu, kiedy kupił go Catavignus. Nie pojmował, że dzieciństwo jest mgliste, bo on tak chce, bo nadał sobie taką giętkość i elastyczność, że przeszłość uleciała nieodwracalnie, jakby porwał ją gwałtowny wichur, zostawiając go nietkniętego, nieskażonego. Był ustępliwy i wytrzymały jak trawa; przeżywał chwile szczęścia, ale nie wiedział, że zapłacił za to wspomnieniami.

O siostrze tak łatwo nie zapomniał. To nie jej wygląd pozostał przy

nim - wiedział tylko, że miała długie proste włosy i ciemnobrązowe oczy, i oczywiście była od niego mniejsza - lecz raczej wciąż wyraziste wspomnienie jej obecności i tego, jak bardzo była ważna, nawet kiedy się na nią gniewał. Przez wszystkie te lata nie mógł się pogodzić, że znikła.

Wciąż czuł łagodny, lecz nieustępujący ból. Pamiętał... co? Jak się bili na schodach na poddaszu, kiedy musieli mieć jakieś siedem i sześć lat. On popchnął ją mocniej, niż zamierzał, i z przerażeniem patrzył, jak siostra spada, spada, i w końcu, wieczność później, leży zakrwawiona i zapłakana. Pobiegł do niej, skręcając się ze skruchy: przepraszam, strasznie przepraszam, nie mów nikomu, wybac mi. Jego żal był przejmujący i idiotyczny: przypuszczał, że siostra znienawidzi go do końca życia. To była tragedia! Uderzyła go pięścią, ale on przepraszał ją dalej, aż zaczął płakać głośniej od niej. No dobrze, wybaczam ci, rzekła w końcu, ale wiedział, że tylko po to, by go uciszyć, więc dalej ją przepraszał, aż znowu go uderzyła, tym razem boleśnie. To mu się wydało głęboko niesprawiedliwe i skrucha prawie całkiem mu przeszła. Razem wmaszerowali na górę, milczący i rozdrażnieni. Potem wspomnienia znowu się zamgliły, ale pamiętał, jak starał się zmyć krew z jej włosów, zanim zobaczy to matka albo stary, i jak przyglądał się krawędziom rany na głowie i zrozumiał z dziwną pewnością, że chyba będzie mógł wyleczyć tę ranę, teraz, natychmiast.

Dopiero dużo później, kiedy mieszkał już z Catavignusem i jego rodziną, zdał sobie sprawę, że ten człowiek musiał być nie tylko właścicielem matki, lecz zapewne także jego ojcem. Ogarnęło go lekkie obrzydzenie, bo matka była taka młoda, a ten mężczyzna taki stary, ale nie potrafił wykrzesać z siebie silniejszej reakcji. Choć starzec odnosił się do Suliena i jego siostry obojętnie albo w najlepszym razie niecierpliwie, Sulienowi nigdy nie przyszło do głowy, by go nienawidzić. Nie zastanawiał się także, jak przypuszczalnie robiłoby inne dziecko, czy sam nie był kochany dlatego, że jest z nim coś nie tak. Wiedział, że to nie to. I już wtedy tamte czasy stały się dalekie i niewyraźne.

Co się wydarzyło później? Wiedział, ale nie pamiętał. Pewnego ranka stary - jego ojciec (ale to słowo nie miało dla niego znaczenia) - dostał zawału. Nie umarł od razu i początkowo ich życie niezbyt się zmieniło, tyle że Sulien i jego siostra nie musieli już tak skrzętnie schodzić mu z drogi, a matka zaczęła się bać bardziej niż kiedykolwiek. W końcu umarł

i przez jakiś czas zostali jeszcze w domu, żeby posprzątać i spakować rzeczy. Jednak dom - wraz z nimi - stał się własnością kogoś innego. Nie potrafiło to długo, ponieważ ta nowa rodzina miała własnych niewolników i nie mogła sobie pozwolić na nową trójkę. Poza tym nie było dla nich miejsca. Jego matka przeprowadziła się z nimi do jadłodajni na Epidian Street i przedstawiła ich jakiemuś Rufiusowi, który we wspomnieniach Suliena składał się głównie z potu i brody. Sulien miał wrażenie, że matka została tam przez kilka godzin, podczas gdy Rufius pokazywał im ich pokoje i kuchnię i uczył wkładania naczyń do zmywarki. Ale potem odeszła. Ta nowa rodzina pewnie jednak zdecydowała się ją zatrzymać.

Początkowo ich odwiedzała. Pewnie dosyć często, choć tego nie pamiętał, może nawet co tydzień, potem co miesiąc... czas dzieciom płynie o wiele wolniej. Pewnie przy każdym wizycie płakali i błagali, żeby zabrala ich do domu, i może dlatego przestała przychodzić. Sulien i jego siostra wycierali stoły i talerze i byli bardzo nieszcześliwi. Sulien to widział i litował się nad tym młodszym sobą, jak mógłby się użalać nad postacią z opowiadania, ale nie umiał odróżnić obrazów wyobrażonych od zapamiętanych. A potem nie było już żadnych obrazów, tylko głęboka, nieskalaną pustką, lodowiec pamięci, którego nigdy nie spróbował sforsować. Gdzieś w tej bieli znajdowała się jego siostra - znikła, została sprzedana. Może od tego pierwszego dnia bez niej Sulien zaczął wypierać ze świadomości, jak do tego doszło. Nie przyszłoby mu nic dobrego z czepiania się wspomnień: co robiła, kiedy widział ją po raz ostatni, albo jakie były jej ostatnie słowa. Nie chciał za nią tęsknić, pragnął ją odzyskać. Pewnego dnia odzyska. Jeśli miał na to poczekać, tak zrobi. Podjąwszy tę decyzję, zaczął hodować wiarę, która rosła i twardniała, aż stała się lśniąca i idealna jak perła.

Przede wszystkim musiał poczekać, aż nadarzy się sposobność opuszczenia jadłodajni. Nie był to prawdziwy plan, ale Sulien przygotował się do niego na różne sposoby.

Jednym z nich było coś, co wydawało mu się bardziej wspomnieniem wspomnienia niż realnym wydarzeniem.

Pewnej nocy, późno, kiedy miał prawie dziesięć lat, stojąc z rękami po łokcie w ciepłych mydlinach, przeprowadził eksperyment. Nie zastanawiając się, jakby było to coś, co od zawsze miał w zwyczaju, wyjął z wody nóż, krótki, tępy, do obierania marchwi, od niechcienia przyłożył go do

wierzchu ręki i zatopił w niej, prawie nie naciskając. Krew bluznęła gwałtownie w wodę, a na dłoni Suliena zapaliła się gorąca iskra bólu. Ta krew zafascynowała go, jakby to była pierwsza albo najpiękniejsza rzecz, którą ujrzał. Ale to nim wstrząsnęło - ciało zadziało jakby bez jego zgody. Nie chciał zrobić sobie krzywdy. Rzeczywiście, choć nie zranił się głęboko, był jeszcze mały i ból prawie wycisnął mu łzy z oczu. Jednak niemal natychmiast wstrząs ustąpił, bo zaraz stało się oczywiste, dlaczego to zrobił. Oczywiście nie chodziło mu o ból. To był test.

Szybko wyjął rękę z wody i zabrudził ścierkę do naczyń, wycierając nią krew. Potem położył kciuk na ranie i ją przykrył. I choć wodnista macka krwi wypełzła spod palca, Sulien jej nie widział. Miał zamknięte oczy i już zapadał się we własne ciało, aż wszystko, co było w nim ważne, skupiło się w przeciętej skórze i tkankach pod nią. To było niemal tak, jakby nagle rzucono go w sam środek dziwnego gwarne miasta, gdzie wszystko jest jasne, głośnie i ruchliwe - ale nie całkiem, bo znał każdego mieszkańca, każdą ulicę. Widział wszystko dokładnie i idealnie: małe naczynia krwionośne, urażone i zdradzone, lecz nadal piękne. Dlaczego naprawa miałyby mu sprawić kłopot?

Kiedy odjął kciuk, ranka oczywiście nie znikła. Jednak była tylko schludnym szwem idealnie zakrzepłej krwi i prawie już nie bolała. Co go nie zdziwiło.

Teraz mógł zaczekać na odpowiedni moment, żeby to powtórzyć jak należy. I pewnego popołudnia Rufius straszliwie się oparzył, oblewając rękę wrzącym mlekiem na oczach wszystkich gości. Zanim zdołał popędzić po zimną wodę, niemal zanim jeszcze zdołał ryknąć i zakląć, Sulien zabrał się do wyciągania ukropu z jego skóry i uspokajania podrażnionych nerwów.

Powtórzył później tę sztuczkę dwa, trzy razy - aż sensacja osiągnęła szczyty i Rufius mógł go sprzedać za dowolną cenę. Jednak choć lekarze, arystokraci i bogacze bili się o niego, Sulien wiedział, że może wybrać nowego właściciela. Kiedy nie podobał mu się wygląd albo głos nowego bogatego gościa jadłodajni, po prostu odmawiał wykonania sztuczki. Spoglądał na siniak, pęcherz czy siną, chorą twarz, czy cokolwiek mu podsuwali, jakby to był kawał betonu, niemający z nim nic wspólnego. Rufius go bił, ale jakoś nie uderzył nigdy tak mocno, żeby go przekonać.

Sulien nie całkiem zapomniał, choć też nigdy nie zmierzył się świadomo-

mie z faktem, że to pierwsze, jakże brzemiennie w skutki oparzenie nie było zupełnie dziełem przypadku. Stał przy Rufusie chwilę przedtem, nim wrzące mleko chlusnęło z garnka, i nagle zatoczył się, popchnięty przez kogoś. Trzymał tę świadomość z dala od siebie, jak coś niebezpiecznie gorącego. Wiedział, że nienawidzi Rufusa i nie miałby do siebie specjalnych pretensji o to, że pragnął zrobić mu krzywdę, ale nie kierował się nienawiścią. Nie lubił myśleć, że mógłby kogoś skrzywdzić z premedytacją, w ramach planu.

Kiedy Catavignus przybył do jadłodajni, nie przyprowadził ze sobą żadnego znękanego pacjenta, żeby Sulien mógł zaprezentować swoje możliwości. Zdołał skłonić Rufusa, żeby zostawił ich samych, co już samo w sobie było dobrym początkiem. Sulien przyglądał się mu nieufnie. Catavignus usiadł przy długim stole, jednym z wielu w jadłodajni, którą zamknięto na czas pertraktacji w sprawie Suliena. Sulien rozumiał, że Catavignus chce, by usiadł naprzeciwko niego, i w pierwszym odruchu zapragnął to zrobić, ale dalej stał. Nauczył się ostrożności, choć nie przychodziła mu naturalnie. Catavignus był lekarzem - słynnym chirurgiem, choć Sulien wtedy o tym nie wiedział. Niedawno skończył pięćdziesiątkę, był niski i krępy, o bardzo jasnych włosach, które przedwcześnie posiwiały na brzydki maślany kolor. Oczy za eleganckimi okularami w srebrnych oprawkach były jasnoniebieskie i wielkie jak u dziecka.

- Jak to robisz? - spytał w końcu Catavignus, tak po prostu.

Histeria, jaką wywołał talent Suliena, była tak wielka, że nikt dotąd nie zadał mu tego pytania. Rufius mówił ewentualnym nabywcom, że Suliena opętał dobrotliwy, lecz nieprzewidywalny demon (co tłumaczyło, dlaczego czasami nie demonstruje swojej dziwnej właściwości), czasem zaś tłumaczył, że upodobał go sobie Apollo lub Eskulap. Sulienowi wszystkie te wyjaśnienia wydawały się prawdopodobne, bo skąd miał wiedzieć, czemu ma taki dar. Ale teraz aż nim wstrząsnęła siła tego niespodziewanego pragnienia, by wyjaśnić ów dziwny, mesmeryczny proces, w którym wzrok i dotyk jakby stapiają się w jeden zmysł, wciągający go w sam środek tak skomplikowanego piękna.

Catavignus słuchał uważnie i uprzejmie, rzadko dając wyraz zaskoczeniu przez uniesienie brwi nad srebrnymi okularami. Poprosił Suliena, by szczegółowo opisał żyły, nerwy i mięśnie, które widział. Potem wstał, przez chwilę spoglądał na Suliena niemal ponuro i spytał:

- Ile wynosiła najwyższa oferta za ciebie?

Sulien powiedział i dodał wesoło:

- Ale sądzę, że musisz zaproponować co najmniej jedną trzecią więcej, panie.

Uznał, że Catavignus jest dość bogaty, by sobie na niego pozwolić, i że jego to cieszy. I nawet mu się podobało, że jest taki drogi.

Catavignus uśmiechnął się, westchnął na myśl o cenie i wyszedł. Sulien był szczęśliwy. Wreszcie skończył z jadłodajnią - i całym dzieciństwem - i upchnął to wszystko w głowie bezpiecznie i daleko.

Dom Catavignusa był piękny. Wszystkie jego liczne pokoje lśniły barwami i bogactwem, wszędzie spod cienkiej warstwy przyjaznego nieporządku wyzierały czystość, elegancja i smak. Na poddaszu znajdowały się pokoje dla niewolników, ale nie dla Suliena. Jego sypialnia miała okna z widokiem na park Paullinusa i była tak samo ogrzana i niemal równie dobrze umeblowana jak reszta domu. Jeśli z początku wyglądała odrobinę anonimowo, to dlatego, że Sulien dopiero się do niej wprowadził. Przez następne lata zapełnił ją własnymi obrazami, muzyką i książkami.

Jeśli za czasów pobytu Suliena Catavignus jeszcze bardziej się wzbogacił, a dom stał się piękniejszy, i jeśli stało się tak dzięki samemu Sulienowi i jego talentowi, to dlaczego by mu to miało przeszkadzać? Mieszkał otoczony pięknem i znaczeniem, miał niemal wszystko, czego zapragnął. Catavignus dawał mu regularnie jeśli nie pensję, to prezenty i drobiazgi, uczył go nazw wszystkich narządów i kości, które Sulien widział dzięki swemu zdumiewającemu talentowi rozpoznawania licznych chorób i obrażeń i ich leczenia. Przełał własną wiedzę w Suliena, a Sulien był zachwycony książkami, wygodą i samym Catavignusem

Nie chodziło o to, że nowy pan traktuje go jak syna - raczej o ten żalostnie oczywisty wysiłek, by tego nie robić. Catavignus nigdy nie powiedział ani nie zrobił nic wykraczającego poza uprzejmą serdeczność, na jaką zasługuje dobry asystent, ale kiedy chwalił Suliena za opanowanie historii medycyny i anatomii, głos mu chrypnął od ledwie hamowanego uczucia. Kiedy Sulien niespodziewanie urósł, Catavignus spoglądał na niego wzruszony i dumny, jakby wzrost Suliena w jakiś sposób dobrze o nim świadczył. Jeśli wszystko to było oczywiste dla Suliena, to znacznie

bardziej musiało się rzucać w oczy Tancorix, córce Catavignusa. To ze względu na nią Catavignus usiłował udawać, że obdarza Suliena jedynie zycziwym zainteresowaniem, lecz jego porażka w ukrywaniu tej codziennej zdrady wobec własnej córki rzucała się w oczy. Sulien i Tancorix umieli rozpoznać miłość.

Tancorix była o półtora roku starsza od Suliena i poczuła do niego niechęć, kiedy tylko Catavignus go przyprowadził. Nie - pewnie jeszcze wcześniej, bo na samą myśl o Sulienie Catavignus reagował entuzjazmem, jakiego Tancorix nigdy w nim nie budziła. Kiedy Sulien ujrzał ją po raz pierwszy, miała prawie dwanaście lat, jasne włosy i oczy równie niebieskie jak ojciec, pulchne, niezdarne ciało i twarz obsypaną trądzikiem. Nienawidziła swojego wyglądu, garbiła się, by ukryć małe piersi i duży brzuch, żółte brwi miała kanciaste i nastroszone, usta wielkie, a nos jakby nie mający nic wspólnego z resztą twarzy. Nie znosiła tych swoich cech tak bardzo, że odbieranie sobie urody sprawiało jej perwersyjną przyjemność. Nosiała suknie ogromne jak namioty, które pasowałyby do kobiety trzy razy od niej starszej. W chwili przybycia Suliena była w trakcie długiej kampanii przeciwko czesaniu i myciu włosów, które zwiślały w strąkach i lekko zalatywały zjełczonym tłuszczem. Interwencje Catavignusa w sprawie włosów i nietaktowne sugestie, że on lub Sulien zrobią coś z jej krostami, wywoływały gwałtowne wybuchy wściekłości i rozpacz. W takich wypadkach Sulien usuwał się dyskretnie z pokoju, ale to nic nie zmieniało. Raz wpadł na schodach na Huctię, gospodynię. Oboje przewrócili oczami, gdy Tancorix zawodziła i wrzeszczała.

- Mogłeś tam zostać - powiedziała Huctia. - Ona chce, żebyś to słyszał.

Tak było. Tancorix rozprawiała się ze swoim nieszczęściem tak, jak z brzydota - gwałtownie i widowiskowo.

- Ooo! - wyła. - Ooo, dlaczego mnie tak nienawidzisz?

Sulien i Huctia usłyszeli szmer głosu Catavignusa, który tłumaczył, że wcale jej nie nienawidzi.

- Nienawidzisz, nienawidzisz! - kwiczała Tancorix. - Wolałbyś, że bym się nie urodziła. Byłbyś szczęśliwy, bo nie widziałbyś mojej twarzy!

Huctia się skrzywiła, Sulien także. Jakoś łatwiej było to znosić wraz z innymi niewolnikami, kiedy razem ukrywali się przed wybuchami Tancorix - czuli wtedy pewnego rodzaju więź. Sulien zdawał sobie sprawę,

że tamci muszą choć trochę go nie lubić - wiedzieli, że jest niewolnikiem tylko z nazwy. Musiał się bardzo pilnować, by im nie wydawać rozkazów, tak jak Tancorix czy Catavignus. Czarował służbę, żeby zaskarbić sobie jej życzliwość. Nie potrafił znieść myśli, że ktoś mógłby go nienawidzić.

Teraz Catavignus westchnął z desperacją i poczuciem winy. Oczywiście nie nienawidził Tancorix, ale nie umiał też sobie wmówić wielkiej miłości do niej, a w każdym razie trudno mu było powstrzymać zniecierpliwienie, kiedy się tak zachowywała.

- Tylko proszę, bez wygadywania głupot - powiedział słabo.

Tancorix ryknęła idiotycznie:

- Jesteś nie do zniesienia! - i wypadła z pokoju.

Sulien wbiegł na schody, żeby zejść jej z drogi, bo w takich sytuacjach Tancorix często się na niego rzucała, a on nie lubił jej oddawać. Nie chciał nowych wrzasków. Tym razem Tancorix tylko popchnęła go na ścianę i powiedziała:

- A ty jesteś ohydny małym gryzoniem. Nienawidzę cię.

Te obelgi zawsze były rozdęte, jak wszystko u niej. Sulien nie czuł do niej nienawiści. Było mu jej żal i nie uświadamiał sobie na razie, że właśnie dlatego tak go nie lubiła. Na szczęście nie zawsze bywała w domu. Ku pełnej poczucia winy uldze Suliena i Catavignusa połowę czasu spędzała z matką w Galii. Tym razem wyjechała wcześniej rano; z zaciśniętymi ustami, wpatrzona przed siebie wsiadła do samochodu, który miał ją zawieźć do Dubrisu. Ale przerwała to godne milczenie, by rzucić gorzko Catavignusowi:

- Nie spodziewaj się mojego powrotu. Możesz zacząć świętować.

Oczywiście wróciła, ale z krótkimi, rozczochranymi dziko włosami - matka obcięła je, bo doszła do wniosku, że tłuste strąki za bardzo się zbity, żeby je rozczesać.

Uwolniony od jej obecności Catavignus mógł bez przeszkód zacząć szukać siostry Suliena. Oczywiście Sulien zamierzał do tego doprowadzić od pierwszej chwili, kiedy zobaczył Catavignusa, a ten szybko mu to obiecał, kiedy chłopiec stał się mu niezbędnym. Za to, co Catavignus dzięki niemu zarobił, mógł sobie pozwolić na kupno dziesięciu sióstr.

Jednak ta jedna jedyna siostra znikła z powierzchni ziemi. Jej imię zmieniło się co najmniej raz i nikt nie zatrzymał jej dłużej. Catavignus znalazł tylko parę miejsc, w których podobno przebywała: kolejna jądło-

dajnia, targ niewolników, rodzina potrzebująca posługaczki.

- Nie wiem, dlaczego ci tak na niej zależy - powiedziała kucharka z ostatniego domu. - Nie wytrwała tu dwóch tygodni. Pewnego dnia po prostu przestała cokolwiek robić, nie kiwnęła palcem - nawet nie posłała własnego łóżka, a co dopiero cudzych. I nie tłumaczyła się. Nie obchodziło ją, co się z nią stanie.

Nadzorca w fabryce materiałów mówił co innego: była bardzo zgodna, zatrzymaliby ją dłużej, gdyby interesy nie zaczęły iść źle. Catavignus zaczął podejrzewać, że zmylił trop - kucharka i nadzorca nie mogli mówić o tej samej dziewczynie.

Poszukiwania zaczęły go męczyć. Miał dość bezowocnych podróży po Londynie, rozdawania tych małych plików sestercji za informacje, które prowadziły donikąd. I choć nie wiedział, czy wierzyć kucharce, zaniepokoił go charakter dziewczyny. Przypuśćmy, że ją odnajdzie i dojdzie do wniosku, że nie życzy sobie takiej osoby we własnym domu. Nie powinien tak pochopnie składać obietnic. Kusiło go, żeby dać za wygraną, i naprawdę nie mógł znieść marnowania kolejnych godzin, ale rozczarowanie Suliena byłoby straszne. W końcu poszedł na kompromis: obarczył tym zadaniem Huctię, a ona ze znużeniem prześledziła zawiłą drogą zaginionej dziewczyny i dotarła do pewnej rodziny, która jednak twierdziła, że nie ma na jej temat żadnych informacji. Ulga, której doznał Catavignus, szybko minęła. Musiał o tym jakoś powiedzieć Sulienowi.

Teraz, w łagodnie kołyszącej się celi więziennego promu, Sulien znowu wstał, a oddech nagle zaczął ranić mu gardło, serce obijało się boleśnie o żebra. Ręce i ramiona miał posiniaczone. Dwa razy rzucił się - głupi - na drzwi, niemal nie zdając sobie z tego sprawy.

- Catavignusie, proszę... - wyrwało mu się i wybuchnął śmiechem, zdumiewając sam siebie. Nic by mu z tego nie przyszło, nawet gdyby Catavignus mógł go usłyszeć. Ale tak trudno było mu uwierzyć, tak strasznie chciał mu wybaczyć, tak jak pozwolił sobie na wybaczenie wiele lat wcześniej, kiedy Catavignus nie odnalazł jego siostry. Wtedy, kiedy jego wiara gwałtownie się załamała, płakał i krzyczał, zupełnie jak Tancorix, ale pozwolił Catavignusowi się pocieszać i zawarł ze sobą ugodę, taką jak zawsze: nie szkodzi, niech tak będzie, bo później...

Catavignus obiecał mu w przyszłości wolność. Wtedy Sulien sam znajdzie siostrą. Będzie inaczej, prawie łatwo, bo tak jest mu pisane. To, co właściwe, może się wymykać, ale w końcu musi się ziścić.

Toteż nawet teraz ciągle szukał wytłumaczenia - i znajdował je - dlatego Catavignus go nie uratował, bo myślał, że jego pan jest równie bezradny jak on, była znacznie łatwiejsza do zniesienia niż poczucie, że podjął świadomą decyzję i wysłał go na śmierć - na taką śmierć.

Cofnął się; stalowy krzyż nagle zapłonął na wewnętrznej stronie jego powiek. Dygocząc, Sulien opadł na podłogę. Przytulił policzek do chłodnej metalowej ławy, ułożył dłoń na bolącym ramieniu. Ten ból łatwo zniósł, ale to było ostatnie obrażenie, które mógł wyleczyć, więc je rozgrzał i usunął. Raz czy dwa razy powtórzył imię siostry.

Tego lata Tancorix na dobre odeszła ze szkoły. Od dwóch lat prawie nie bywała w Londynie - kiedy nie przebywała w szkole w Narbo, spędzała czas w Rzymie z matką, gdzie nawiązywała znajomości i uczyła się być czarującą. Ale teraz miała już siedemnaście i pół roku i rodzice, którzy poza tym się nie widywali, postanowili na chwilę połączyć siły, by przedstawić córkę światu i zrobić pierwsze dyskretne rozeznanie wśród kandydatów na męża. Tancorix i matka wróciły do Brytanii.

Przed nimi na miejsce dojechały skrzynie i kufry, na których widok Sulien poczuł dziwny niepokój. Bał się powrotu hałasu i przejmującego niepokoju, zamieszania i gwałtu w domu, w którym od dwóch lat panował spokój. W dniu przyjazdu Catavignus, niemal równie stremowany, dał mu wolne na jedno popołudnie. Sulien włóczył się z kolegami po parku, dopóki mógł, jak najdłużej zwlekając z powrotem.

Miał znajomych wśród dzieci ludzi wolnych - żadnych niewolników. Czułby zażenowanie, gdyby jego dziwny status bardziej go krępował, ale on po prostu spodziewał się przyjaźni i uwagi i dostawał je. Część dnia spędził, błąkając się bez celu wśród drzew, gawędząc z ciemnowłosą Paulą, odpoczywając w przyjaznym cieple ich nieskomplikowanego wzajemnego pożądania. Czasami się całowali, bo mówili, że nie mają nic innego do roboty, czasami leżeli razem na trawie w słońcu, a Sulien eksperymentalnie kładł rękę na jej talii, piersi czy biodrze. Wtedy się odsuwała. Był dość pewien, że przestałaby się odsuwać, gdyby zabrał się do

rzeczy z przekonaniem, ale jeszcze nie zdecydował, czy chce. Tak też było całkiem przyjemnie.

W końcu zrobiło się chłodniej i Paula powiedziała, że powinna wracać do domu. Sulien trochę ją zatrzymywał, ale w końcu poszła, w parku robiło się coraz chłodniej, a on nie miał już nic do roboty. Wrócił więc do domu i zastał Tancorix w salonie; leżała zwinięta w kłębek w promieniach południowego słońca jak złocista kotka perska.

Nie mógłby powiedzieć, że zmieniła się nie do poznania. Dziwnie było dostrzegać tu i tam, w pewnych okrągłościach i podobieństwie kształtów, charakterystyczne cechy tamtego brzydkiego dziecka. Jednak wszystko w niej nagle - albo tak mu się wydawało - znalazło się na właściwym miejscu, a wdzięk powlókł jej niegdyś surowe rysy jak delikatny i lśniący welon. Duże usta, bardzo delikatnie zaczerwienione, nie były już bezkształtne i skrzywione, lecz zmysłowe i wydatne. Owalna twarz tchnęła spokojem. Brwi miała wyskubane w cienkie łuki. Włosy, czyste i błyszczące, spływały niczym jakaś misterna korona, złożona z drobnych warkoczyków i kędziorów, długimi spiralami bladego złota, które lśniło na niebiańsko błękitnej materii sukni i cieplej skórze jej zaokrąglonego karku i piersi. Kiedy wstawiała, jej suknia, haftowana w liście bluszczu na skraju rękawów i spódnicy, opadała skromnie do połowy łydki, lecz teraz spoczywała w niedbałych fałdach na kolanach, odsłaniając gładkie, skrzyżowane w kostkach nogi. Była szczuplejsza niż niegdyś, lecz nie chuda, jej ciało było miękkie, prężne i jędrne, i miało ten soczysty kolor, który sprawia, że słowa opisujące kobiecą urodę wydają się bardziej niż zwykle trafne: owoce i róże, lecz także drogie materie jak jedwab, jak ak-samit.

Gdyby światło było ostrzejsze, można by dostrzec delikatny wzorek wymownych okrągłych blizn na jej policzkach i czole, gdzie niegdyś panoszyły się jątrzące się krosty. Ale nawet wtedy byłaby piękna.

Jeszcze go nie dostrzegła - wpatrywała się wzrokiem bez wyrazu, spuściwszy powieki, w tomik trzymany na kolanach. Sulien stał przez chwilę w drzwiach jak skamieniały. Był zachwycony, jej widok wyzwolił w jego ciele ukłucia rozkoszy i podniecenia. Głupio by było powiedzieć „dobra robota!”, ale niemal miał taką ochotę, chciałby jej pogratulować wspaniałej łaskawości losu, dzięki której nabrała takiego wyglądu. Tancorix była żywym dowodem na jego wiarę w dobrotliwość przeznaczenia.

Potem zrobił krok naprzód, a ona podniosła wzrok, tak że dostrzegł ten zawsze uderzający błękit jej niezmiennych oczu.

- Aleś ty wyrósł! - powiedziała. Zerwała się i podeszła tak blisko, że mógłby jej dotknąć. Czubkiem głowy ledwie sięgała mu do ramienia. - Straszne! - Uśmiechała się. - Kiedy to się stało? A ze mnie taki krasnal. Nikt by nie pomyślał, że jestem od ciebie starsza.

Tak było, i nie tylko ze względu na jego wzrost. W wieku czternastu lat wyglądał żałośnie chudo i żylasto, jak straszliwie rozciągnięty chłopczyk, ale to już minęło. Jego ciało zwięzało się zgrabnie od ramion ku wąskim biodrom i zbyt często słyszał, że jest przystojny, by w to nie uwierzyć.

- Nie chciałaś być tak wysoka - powiedział. - Wszystko przewracam. Stopy wystają mi poza łóżko. Nogi nie mieszczą mi się pod żadnym biurkiem.

Tak naprawdę uwielbiał swój wzrost.

- Dobrze cię widzieć - dodał.

- Nie powinno cię to tak dziwić - odparła i oboje się roześmiali.

- Podobają mi się twoje włosy - powiedział niemal jak dziewczyna, choć nie tak niewinnie.

Pociągnęła za długie spiralne pasmo.

- Układałam je całą wieczność. Aż ręce bołą, kiedy się samemu zaplata tyle warkoczy. Ale matka mówi, że sprawi mi do tego dziewczynę.

Odwróciła wzrok, zagryzła wargę, a Sulien zrozumiał, że wydało się jej, iż wspominając o kupnie niewolnicy, obraziła go. Poczł ukłucie niedowierzania i niesmaku jak zawsze, kiedy ktoś mu przypominał, że ma być niewolnikiem. Ale to szybko minęło - najważniejsze, że dbała o jego uczucia.

- Gdzie Catavignus i... - był zbyt skrupowany, by wymienić imię jej matki - Prisca?

Tancorix westchnęła głęboko i zerknęła na sufit.

- Dyskutują, co ze mną zrobić. Pozbywają się mnie. Jest już taki chłopak...

Wtedy na schodach rozległy się kroki. Odruchowo odskoczyli od siebie, nie wiedząc dlaczego.

Tego wieczoru nie jadał z rodziną, co uznał za zrozumiałe.

Następnego dnia przy każdym spotkaniu Tancorix uśmiechała się do

niego ukradkowo za plecami rodziców. Już teraz czuli się jak spiskowcy. W gabinecie widział jej twarz, unoszącą się między nim i pacjentami.

Wieczorem zobaczył przelotnie całą rodzinę, zanim Catavignus zabrał córkę do miasta. Prisca trzymała rękę na ramieniu córki, a jej przyjemną twarz wykrzywiał grymas zniecierpliwienia, które pragnęła ukryć. Często wzdychała. Catavignus nieustannie przyglądał się Tancorix z łagodnym wyrazem zaskoczenia, jakby nie potrafił odgadnąć, kim ona jest i co tu robi. Twarz Tancorix była powabną maską, tak różną od tej sprzed paru lat. Ale dostrzegła go przez szparę w drzwiach gabinetu i jej usta zadrgały.

Znowu zjadł posiłek samotnie i wrócił do gabinetu. Poświęcił trochę czasu na sprawdzenie ułożenia małych błyszczących przyrządów na tacach. Potem usiadł na kozetce dla pacjentów i zaczął czytać. Nie rozumiał, co robi. Nie umawiali się, ale z jakiegoś powodu był pewien, że Tancorix przyjdzie i znajdzie go tutaj, wcześniej czy później.

Dużo później usłyszał, że wrócili, i poczuł, jak dom się budzi, rusza, a potem znowu zapadła cisza. A jednak czekał. I wreszcie klamka poruszyła się ukradkowo i Tancorix weszła nieśmiało do gabinetu. Oboje parsknęli śmiechem i nawzajem się uciszili. Stanęli blisko i patrzyli na siebie przez żenująco długi czas. Znowu się roześmiali z fałszywym poczuciem winy. Wiedział, że ten śmiech jest potwierdzeniem jakiegoś faktu, i zastanowił się, czyby jej nie pocałować, ale się zawahał i uprzejmie spytał, czy wieczór się udał.

- Teatr. Nuda - odparła Tancorix i skrzywiła się. - Pewnie nie można się dziwić, że sztuki są nudne, skoro wszyscy widzowie podziwiają tylko siebie nawzajem.

Była ubrana w sam raz, by ją podziwiać, na biało. Wskoczyła zgrabnie na kozetkę i zeskoczyła z niej, mówiąc:

- Błę. Chorzy. Jak możesz się tym zajmować?

W końcu oboje usiedli na podłodze jak dzieci i znowu się zawstydzili, spoglądając na siebie.

- Cieszysz się, że odeszłaś ze szkoły? - zapytał.

Twarz Tancorix stężała.

- Tak. O tak. Nienawidziłam jej.

- Dlaczego?

Zmarszczyła brwi i powiedziała powoli:

- Pamiętasz mnie z czasów, kiedy byłam młodsza. Po prostu musiało mi być ciężko, prawda? Oczywiście ostatnio... - Znowu zamilkła i spojrzała skromnie na swoje śliczne ciało. - Zaczęłam rozumieć, że mogę nieźle wyglądać, a mnóstwo dziewczyn nagle zapragnęło traktować mnie dobrze... wszyscy ci... co nie dawali mi spokoju.

Głos uwiązał jej w gardle. Ale nagle otrząsnęła się z nagłego napięcia i uśmiechnęła się promiennie.

- Co chcesz zrobić? - spytał Sulien.

- To dopiero niemądre pytanie. Po co chcieć, skoro nic nie mogę. Za to wiem, co zrobić: będę paradować po widowniach teatrów i igrzysk, a potem wyjdę za jakiegoś bogatego nudziarza. Mam nadzieję, że później się rozwiode.

Przeciągnęła się rozkosznie i osunęła na dywan, wpatrzona w niego.

- Och, jaka nuda! Cała reszta mojego życia będzie strasznie nudna! - powiedziała to łagodnie, z humorem. - Chyba bym wolała zostać westalką i nie mieć nic wspólnego z tym wszystkim. - Przymknęła powieki i dodała półgłosem, jakby nie do niego: - Tyle że oczywiście nie mam kwalifikacji.

Milczał wstrząśnięty i zafascynowany i nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć, żeby zabrzmiało to uprzejmie. Otworzyła niespodziewanie oczy, sprawdzając, jak to przyjął, i uśmiechnęli się.

- Gdybym mogła tylko raz, tylko jeden raz mieć coś, co nie będzie nudne... - szepnęła.

Pochylił się zatem i pocałował ją.

Rozchyliła szybko wargi, językiem musnęła jego zęby. Zadrżał. Jej palce zanurzyły się w jego włosy, przyciągnęły go. Położył nieśmiało rękę na jej talii, nagle niepewny, a ona niecierpliwie przesunęła ją w górę, na piersi, jednocześnie zadzierając białą sukienkę. Poczuł nagie udo napierające na jego ubrane ciało i jej spłoszone serce, niespodziewanie gwałtownie bijące mu pod palcami. Jednak nie była tak bardzo pewna siebie.

Ich rozgrzane twarze w końcu oddaliły się od siebie odrobinę; oparł głowę o jej czoło, ich miękkie włosy zmieszały się ze sobą i znowu się bardzo cicho roześmiali z tego, że leżą na podłodze gabinetu i w ogóle. Tej nocy wrócili na palcach do swoich pokoi i tam zostali, ale następnej było inaczej.

Sulien czekał niepewnie na podeście pod drzwiami Tancorix. Takie skradanie się po ciemnym domu było dziecinnie ekscytujące. Tancorix przyszła, rezerolucie położyła dłonie na jego wąskiej talii i oślepieni pocałunkami, walcząc z ubraniem, wtoczyli się do ciemnego pokoju, na miękkie łóżko. Byli niewprawni, nieporadni, ale ich niezdarność wydała się im zabawna i przez cały niezręczny akt miłosny musieli tłumić śmiech. Sulien, bojąc się wydać nieokrzesany i głupi, z ulgą przekonał się, że pomimo starszeństwa i wyznań z poprzedniej nocy Tancorix była tylko trochę bardziej doświadczonea. Choć miał mały zapas środków antykoncepcyjnych, które Catavignus taktownie zostawił mu pod ręką w gabinecie pół roku temu, do tej pory ich nie potrzebował. Bał się, że Tancorix zauważy albo zgadnie, że to jego pierwszy raz, ale nic nie powiedziała.

Zapadli w mocny sen, rozgrzani i spleceni ze sobą; jej lśniące włosy rozsypały się mu na piersi. Ale wydawało mu się, że niemal natychmiast obudziła go, szepcząc gorączkowo do ucha:

- Wyjdź, szybko, wyjdź!

Niechętnie otworzył oczy.

- Co się stało? Która godzina?

Tancorix sama ledwie się obudziła. Spojrzała nieprzytomnie na ciemne niebo i opadła na poduszkę z westchnieniem.

- Przepraszam. Myślałam, że jest później. Nie powinniśmy spać. Wyobraź sobie, że moi rodzice... och... - Ukryła twarz na jego ramieniu i jęknęła. Pogłaskał ją z nadzieją, ale nie podniosła wzroku.

- Myślisz, że... nie powinniśmy? - spytał po chwili.

Uśmiechnęła się do niego przez zasłonę z włosów.

- Nie. Ale kiepsko wyszło, co? Naprawdę nie powinniśmy.

- Wcale nie kiepsko - rzekł ostrożnie.

- Nie rozumiesz? - Usiadła i spojrzała na niego ze zdziwieniem. Potem się roześmiała. - Nie, nie rozumiesz, biedne niewiniątko. - Pocałowała go w czoło, jakby była o wiele starsza od niego. Skrzywił się, urażony, ale się nie przejęła. - Wyjdę za mąż za rok lub dwa, najprawdopodobniej. Niedobrze, że się w ogóle z kimś przespałam, musisz to rozumieć. Ale... niewolnik... - Jej uśmiech zniknął i zawahała się. - Wiedziałaś, że kiedy wolna kobieta bierze sobie niewolnika na kochanka, trzeba oboje zabić? To prawo nadal obowiązuje. Nie sądzę, żeby w naszych czasach często je stosowano, ale to nic nie zmienia. Oczywiście mężczyźni mogą robić, co

im się podoba, ale kiedy jest się dziewczyną, gorzej nie można postąpić. Gdyby ktoś się dowiedział... nikt by mnie nie chciał tknąć. Pomyśleliby, że jestem... odrażaj ąca.

Sulien wstał w milczeniu z łóżka i rozpoczął upokarzające zbieranie ubrań. Tancorix wkładała koszulę nocną.

- Tak już jest - dodała sucho. - To nie moja wina.

- Nie - odparł tępo.

Sięgnęła poprzez łóżko, dotknęła jego ręki.

- Coś ci powiem - powiedziała, znowu zalotnie - jutro w nocy nie zaśniemy.

I choć zakradł się do swojego pokoju, usiłując nie pamiętać o jej słowach, następnej nocy znowu stał u jej drzwi, i w tych potajemnych, umykających godzinach łatwo było zapomnieć, że istnieje jakieś zagrożenie, jakieś niebezpieczeństwo. W miarę jak upływały dni tego miesiąca, nabierali więcej pewności, więcej wprawy i nie było już śmiechu, który trzeba by tłumić.

Ale pewnej nocy spotkali się zbyt wcześnie i być może z powodu trzęsącego się łóżka albo ich cichych krzyków - choć wydawało im się, że zachowują się równie dyskretnie jak zawsze - Prisca nagle otworzyła drzwi i światło padło prosto na nich.

Światło i krzyk. Sulien nie sądził, że upokorzenie będzie tak olbrzymie i odrażające. Jakby oblał ich wrzątek, jakby ich poparzył. Rozdzielili się, zsunęli się z łóżka, osłaniając się pościelą i rozrzuconymi ubraniami, a Prisca ruszyła w ich stronę. Zamierzyła się na oślep na Suliena, straciła równowagę, nie trafiwszy go, a kiedy się cofnęła, rzuciła się z pazurami na Tancorix. W pokoju zawrzało od niezrozumiałych wrzasków. Prisca wpadła w furję, a oni, jękając się, błagali, żeby przestała.

Zapamiętał głównie otwierające się usta Tancorix.

Prisca chwyciła Tancorix za włosy i uderzyła ją w twarz. Koc wypadł z dłoni dziewczyny, która znowu stała obnażona. Tancorix przykucnęła, łkając, sięgnęła po materiał, ale Prisca, na oślep szarpiąc ją za włosy i nagie ramiona, podniosła ją i wywlokła z pokoju. Trzasnęły drzwi.

Sulien stał bezsilny, nagi, przerażony i kompletnie się pomylił w ocenie sytuacji, bo szczerze wierzył, że nie może go spotkać już nic gorszego. Chwila, gdy mógł jeszcze uciec z tego pokoju i domu, minęła, i minutę później usłyszał szuranie pod drzwiami, a gdy przyszło mu do głowy

wyść, drzwi się nie otworzyły - Prisca podparła czymś kłamkę.

Ubrał się pospiesznie; dotyk odzienia przyniósł mu niewielką ulgę. Słyszał ciągły bełkot podniesionych głosów, trzaskanie drzwi. Potem przez długą chwilę nic się nie działo, a czas, który sadził wielkimi, przeżających susami, zamarł w zupełnym bezruchu, tak że Sulienowi zaczęło się niemal zdawać, że już na zawsze zostanie w uroczej, dziecinnej sypialni Tancorix.

Potem coś załomotało na schodach - dwie osoby, zbyt ciężkie, żeby były Catavignusem lub Prisca, zbliżały się do pokoju. I gdy odsunięto kufer spod drzwi i dwaj wigilowie w mundurach rzucili się na Suliena, zaczęło do niego docierać, że wypadki nie stoją w miejscu, że przyspieszają niemiłosiernie i pędzą w nieznaną, niezrozumiałą przyszłość.

Chwycili go mocno, jakby walczył z nimi niczym szalencie. A on wcale nie walczył, choć instynktownie się opierał. Obezwładnili go i opór byłby bezsensowny, nawet gdyby nie czuł takiego odrętwienia. Ale kiedy go popychali naprzód, nieustannie tracił równowagę, tak że współdziałanie z nimi było równie trudne jak opieranie się.

- Co...? - powtarzał raz za razem. Ściągnęli go boleśnie po schodach, a w korytarzu stali Catavignus i Prisca. Catavignus garbił się w drzwiach gabinetu, stał ze spuszczoną głową, ale na jego widok bierność opuściła Suliena, który zaczął się bezskutecznie wyrывać w jego stronę.

- Co... co? - powtarzał jak jękała. Wydawało mu się, że słyszy płacz Tancorix, ale jej samej nie dostrzegł.

Odpowiedziała Prisca, choć na niego nie patrzyła. Oznajmiła głucho:

- Zgwałcił moją córkę.

- Zgwałcił? - powtórzył Sulien głupio. Catavignus trochę się wyprostował, ale nie podniósł wzroku.

- Ona tak powiedziała? - rzucił Sulien w pustkę, gdyż równie dobrze mogłoby w tym pomieszczeniu nikogo nie być. A mówiąc to, nagle ujrzał Tancorix, dwunastoletnią, szaloną z wściekłości i rozpaczy. Czy mogła...

- Catavignusie! - krzyknął, teraz już naprawdę zdesperowany, choć nadal pewien, że Catavignus wykona jakiś ruch, musi, przynajmniej spróbuje. - Catavignusie, przecież wiesz, że ja bym nigdy, przecież wiesz...

I Catavignus w końcu spojrzął i na pewno... na pewno... pomyślał błagalnie Sulien. Catavignus tylko zerknął na niego oczami pełnymi bezsilnej żalości i natychmiast odwrócił wzrok, a kiedy wigilowie wywlekli

Suliena z domu, był już pewien tylko jednego: Catavignus naprawdę to wiedział. Wiedział i ani wtedy, ani później, już po ogłoszeniu wyroku, nic nie zrobił.

Sulien przez całe życie stanowił czyjąś własność i nigdy tego nie czuł, ale gdyby był kimkolwiek innym niż niewolnikiem, nie doszłoby do tego kłamstwa i aresztowania, i gdyby był, jak nieświadomie sądził, obywatelem rzymskim, nikt nie wspomniałby o ukrzyżowaniu.

Okienko w drzwiach znowu się otworzyło. Te połówki godzin pędziły jak szalone. Sulien nie podniósł oczu na ten wycinek ludzkiej twarzy i ledwie do niego dotarły oddalające się kroki strażnika. Chwilę później gdzieś na zewnątrz rozległo się metaliczne łupnięcie. Ktoś w innej celi zaczął krzyczeć i przeklinać.

Szybko minęła minuta czy dwie, a potem rozległ się cichy dźwięk, szcęk, który nie był odgłosem otwieranego okienka. Sulien poczuł, że mięśnie jego ramion, już napięte, zawężają się jeszcze mocniej, bo to był klucz, klucz obracający się w zamku, więc czas musiał się wypełnić i teraz ujrzy krzyż.

Przecież jeszcze płynęli...

Drzwi otworzyły się i zamknęły cicho, i w małej celi znalazła się chuda dziewczyna o długich mokrych włosach, która zwróciła ku niemu białą twarz, i choć początkowo jej nie poznał, z głębiny siedmiu lat na powierzchni wypłynęły rysy jego siostry.

Una była tak zmęczona, że jej ciało wydawało się rdzewiejącym, rozklekotanym mechanizmem, a jednak kuląc się za skrzynią na pokładzie, nieustannie wyęczała wszystkie zmysły. Gdy żołnierze z kohorty weszli na pokład, musiała sięgnąć myślą, by dotknąć każdego z osobna, gotowa delikatnie odsunąć ich od siebie, gdyby zanadto się zbliżyli do jej nędznej kryjówki. Nawet gdy tamci znaleźli się w kokpicie, ona nadal myślała o wszystkich obecnych na rzece, o kupcach i marynarzach z innych łodzi, a w miarę jak ranek zbliżał się ku końcowi, na wybrzeżu pojawiała się coraz więcej krążących tu i tam osób. I przez cały ten czas każdy wyczerpany strzep jej ciała usiłował ją skłonić do zobojętnienia; prawie zaczęła myśleć, że nie obchodzi jej los Suliena i własny, byle tylko mogła się położyć, zamknąć oczy i dać wytchnienie wymęczonemu umysłowi. Ale sie-

działa wyprostowana, obolała - łódź sunęła przed siebie - i przynajmniej już się tak nie trzęsła. Ranek powlókł jej zlodowaciałą skórę warstwą ciepła, choć pod nią, w ciele i kościach, nadal tkwiło zakorzenione nocne zimno.

W końcu łódź wypłynęła poza granice Londynu, dotarła do ogromnego czarnego pudła więziennego statku. Zadrżała i zatrzymała się, a potem lekko zakołysała na brunatnej wodzie, gdy kładziono na nią trap. Później rozległy się kroki dziewięciu więźniów, których spędzono na prom - i był między nimi jej brat. Nie ruszyła się zza skrzyni, więc nie mogła go zobaczyć, ale był tam bez wątpienia.

Okazało się, że pomimo niezachwianej pewności, iż go odnajdzie, nie była na to przygotowana. W oczach stały palące, nieznane jej łzy, a jakiś cikliwy głosik zaczął zawodzić „siedem lat, siedem lat”, w kółko i w kółko. Nigdy jej się to nie zdarzało. Czasami tylko, po niezapamiętanym koszmarze, budziła się z mokrymi policzkami. Poza tym od lat nie płakała. Zdezorientowana, gniewnie rozgniotła łzy, spojrzała groźnie na wilgoć na dłoniach. Jednak ten przyływ uczucia natchnął ją odrobiną siły i gdy prom zawrócił i ruszył z powrotem w kierunku Londynu, odzyskała zdolność myślenia.

Strażnicy kontrolowali więźniów co pół godziny. To źle, o tym nie pomyślała. Jeśli nikt nie zauważy ich ucieczki przez pół godziny, mogą zyskać sporą przewagę. Poza Londynem rzeka była spokojniejsza, więc Una wyprostowała się ostrożnie, aż jej stawy zaskrzypiały z pretensją - jakby przez tę noc postarzała się o pięćdziesiąt lat - i przekradła się obok mostku. Zajrzała do kokpitu. Zyskała odrobinę więcej pewności siebie - silnik niemal całkiem zagłuszał jej lekkie kroki, nie musiała już wywierać presji na umysły strażników.

Było ich czterech, wszyscy z ciężkimi karabinami u boku. A za nimi, na ścianie, znajdowała się mała szafka z kluczami, zamknięta na zamek elektroniczny. Una zagryzła wargę, zawahała się. Potem krótkim spazmatycznym wysiłkiem wyłuskała szyfr z pamięci najbliższego żołnierza i uciekła na rufę. Widziała tylko jeden sposób na zdobycie klucza: wejść do tego małego pomieszczenia, gdzie przebywało czterech uzbrojonych mężczyzn.

Poczuła słaby dreszcz paniki, ale naprawdę była zbyt zmęczona i za daleko zabrnęła, żeby się specjalnie przejmować. Jednak na razie nie mo-

gła działać; musiała zaczekać, aż prom zbliży się do jej zrujnowanej przystani.

Pod stopami, w celach, czuła miarowe narastanie przerażenia więźniów. Usiłowała je odepchnąć albo przynajmniej zredukować do jednostajnego pomruku, ale mimo woli usłyszała wyraźnie pełne niedowierzania oszołomienie Suliena, które wkrótce przeszło w zgrozę; a kiedy zaatakowały ją wspomnienia brata o niej samej, poczuła ciche charakterystyczne echo bólu i zrozumiała, w jaki sposób sprowokowało ono przypływ desperacji. Strasznie jest czekać, kiedy krzyże są coraz bliżej.

Potem stare mury Londynu zamknęły się wokół nich i znowu rzeka rozbrzmiała hałasem łodzi i promów. W burzliwym ruchu rzeczonym wszystkie przystanie wydawały się identyczne. Wyteęzała wzrok, czasami zmęczenie obezwładniało ją i skupienie zawodziło, a wtedy osuwała się w coś w rodzaju odrętwiałej pustki. Potem budziła się do życia przerażona, że prom minął to miejsce.

Ale nie - już chyba rozpoznała tę szczególną czerwień dachu magazynu. Pusta przystań była tuż przed nimi. Miną ją za minutę lub dwie. Teraz.

Wstała i przykucnęła w samą porę, bo z kokpitu wyszedł żołnierz sprawdzający więźniów. To dobrze - jeden mniej. Ile mu to zajmie? Może trzy minuty?

Zakradła się do kokpitu, wycisnęła z siebie ostatnie resztki energii, by skłonić żołnierzy do spojrzenia na rzekę. Wiedziała, że będzie musiała tak wytrwać przez jakiś czas, jednocześnie dokonując czegoś nieporównanie trudniejszego, choć nie zostało jej już ani odrobiny siły, a czwarty żołnierz mógł w każdej chwili wrócić.

Uklękła przy drzwiach kokpitu, wpłynęła do środka jak dym, zawisała w powietrzu, kazała im zaciągnąć się nią, przyjąc ją do krwi i mózgu. Rozciągnięta między nimi trzema czuła się niebezpiecznie chuda i rozproszona, a jej ciało pod metalowymi drzwiami stało się obce jak ramię, które ścierpło podczas snu.

Było to przeciwieństwo tego, co robiła z mężczyzną na posterunku wojskowym: zamiast skierować ich myśli w konkretnym kierunku, usiłowała rozproszyć wszelkie myślenie, ukołysać ich szumem spraw zwykłych i przypadkowych pragnień, wpędzić w taką abstrakcyjną głębię, że nawet obce kroki nie zdołałyby ich obudzić. Odkryła, że sprzyja jej ryt-

miczny pomruk silnika i kołysanie fal. Wsłuchiwała się w ciche pulsowanie narastających i zamierających rozmów. Ale nie potrafiła ich wprawić w stan, o który jej chodziło, sama częściowo w niego nie wchodząc; była rozdarta między ich łagodnym odrętwieniem i własną rozpaczliwą czujnością. Tak strasznie się zmęczyła, że w każdej sekundzie mogła stracić tę równowagę i oderwać się od nich, zapaść w siebie, błogo uśpiona.

Jej ciało na pokładzie podniosło rękę i nacisnęło klamkę. Czuła się tak, jakby oceniała własne ruchy na podstawie odbicia w lustrze. Niezdarne palce nie trafiały, zamykały się na pustce, opadały. Spróbowała raz jeszcze, powróciwszy trochę bardziej do własnej czaszki. Klamka opadła. Żołnierz przy sterze nieco uniósł głowę - zamarła, wciąż ściskając klamkę. Ale on powrócił do obserwowania rzeki i poczuła, że ta iskierka czujności już zgasła.

Otworzyła drzwi i weszła cicho. Część jej uwagi była skupiona, tak jak najmłodszego żołnierza, na smaku i zwartości paznokcia kciuka, którym badał przestrzeń między zębami. Nikt się nie poruszył. Przecisnęła ciało przez wąską lukę między siedzeniami żołnierzy i z lunatyczną powolnością sięgnęła do szafki z kluczami. Sternik nieświadomie obserwował krawędzie wody, rozcinane i łączące się w idealnych rombách. Wystukała szyfr, krzywiąc się na dźwięk cichych odgłosów zamka. Znowu poczuła groźne drgnienie świadomości mężczyzny obok niej; znieruchomiała, dygocząc. I znowu drgnienie ustało. Wzięła pęk kluczy, zamknęła szafkę i wciąż powoli, wciąż delikatnie wysunęła się z kokpitu.

Strażnik nadchodził po schodach. Drzwi otworzyły się w chwili, gdy Una, brutalnie wrzucona znowu w siebie, popędziła na rufę, doskonale widoczna, niechroniona. Marynarz z barki dostrzegł kogoś biegnącego przez pokład niskiego szarego promu, ale kiedy się odwrócił, by przyjrzeć się bliżej, jego zainteresowanie zwietrzało, a po chwili całkiem zapomniał o postaci, którą ujrzał.

W momencie gdy strażnik znalazł się w kokpicie, Una skoczyła w drzwi, popędziła w dół po schodach. Na dole coś się stało z jej oczami i podłoga jednocześnie pociemniała i zmniejszyła się, rozkołysanym ruchem z wolna ruszyła w górę i uderzyła ją w kolana, wytrącając klucze z rąk. Dopiero po chwili zrozumiała, że to nogi się pod nią ugięły. Wściekła na siebie poderwała się, szukając pęku kluczy. Czy ktoś usłyszał jej upadek? Tak, ale tylko więźniowie. W powietrzu wisiał ich nagi strach.

Ktoś, nie Sulien, zaczął krzyczeć i łkać, to był straszny dźwięk. Zacisnęła usta i odepchnęła ten hałas, na ile zdołała. Niektórzy więźniowie się modlili, co trochę ją zainteresowało.

Ruszyła naprzód. Klucze i cele były ponumerowane, ale trafiłaby do Suliena nawet z zawiązanymi oczami.

Od razu zaczęła mówić.

- Mamy dwadzieścia pięć minut - rzuciła szorstko, tłumiąc szok, który poczuła na jego widok: ten wzrost, ta obca, a jednak znajoma twarz. Powstrzymała jego dawne obrazy, które tłoczyły się, kusily, by przyłożyć do niego spłowiałe kolory, zapamiętane włosy i oczy, i porównać, i skorygować. Siedem lat. Na to wszystko nie było czasu.

- Dwadzieścia pięć minut - mówiła. - Umiesz pływać, tak? Musimy ruszać natychmiast.

Ale on jakby jej nie słyszał.

- To nie możesz być ty - powiedział najcichszym szeptem, najcichszym tchnieniem, jakby prawdziwy dźwięk mógł udowodnić, że jej tu nie ma, że to wcale nie ona. Chciał ją wziąć w ramiona, żeby się upewnić, ale się na to nie zdobył. Ostrożnie położył siostrze ręce na ramionach, które niby się trochę cofnęły, ale były całkiem realne.

Spodziewała się jego oszołomienia, sama też je czuła i wiedziała, albo miała nadzieję, że tak będzie. Jednak czuła także, jak marnują bezcenne sekundy, i omal nim nie potrząsnęła.

- Sulien. Natychmiast - nakazała.

Wyszedł za nią z celi. O ile nie był zdolny uwierzyć w zbliżającą się śmierć, o tyle ten ratunek był nie bardziej wiarygodny: obie wizje przyszłości były zamglone, przez chwilę niemal bez znaczenia.

W połowie drogi wyimaginowany krzyż przeszył ostrymi, nierealnymi szpikulcami stopy i nadgarstki Suliena i zatrzymał go w miejscu. Łkanie zza drzwi rozplynęło się w przeciągłym, beznadziejnym bełkocie.

- Czekaj - powiedział. - Otwórz wszystkie drzwi.

Spojrzała na pęk kluczy i - zauważył to ze zgrozą - zawahała się.

- Nie chcę ich śmierci! - warknęła, choć nic nie powiedział. - Nie mogę ich wszystkich wyprowadzić, prawda? Jedenastu! Już dość trudno było... - urwała i znowu zaczęła, opanowanym półgłosem. - Wszystko za-

planowałam. Żeby ocalić ciebie, rozumiesz. Teraz nie będę ryzykować.

Zza zaryglowanych drzwi za ich plecami dobiegł jęk. Przeszył ją dreszcz; Sulien zauważył, jak bardzo jest wycieńczona i chora. Wargi miała równie białe jak całą twarz. Rzeka zostawiła obręcz szlamu na jej szyi, a na skórze utworzyło się coś dziwnego - wodniste resztki grubego makijażu na żółknących siniakach po lewej stronie twarzy, wciąż otaczających jej bezlitośnie spoglądające oko.

- Ale strażnicy będą nas szukać - rzekł łagodnie, ostrożnie. - Jeśli będą musieli znaleźć więcej osób, nie skupią się tylko na nas, prawda? Czy wtedy nie będziemy mieć większej szansy?

Przez chwilę stała z kamienną twarzą, po czym gwałtownie otworzyła okienko w drzwiach najbliższej celi i wrzuciła do środka klucze.

- Masz. Chodź - rzuciła przez zęby.

Wbiegli po schodach, Una otworzyła drzwi. Gdy uderzyło ich światło dnia, pomimo całego pośpiechu zatrzymała się i trochę zachwiała. Sulien także zaniepokoił się hałasem i chaosem rzeki. Tyle osób, tyle światła - jak mogła pomyśleć, że go uratuje? To niemożliwe. W każdej chwili mogli zostać złapani, zastrzeleni - nie pojmował, dlaczego do tej pory nic się nie stało. Lepiej mu zginąć od kuli niż na krzyżu, ale to by znaczyło bezsensowną śmierć Uny. Jednak z jakiegoś powodu nikt nie patrzył w ich stronę, gdy prowadziła go na rufę. Dyszała z wysiłku, choć nie rozumiał dlaczego.

Przystań znajdowała się tuż za nimi. Una usiłowała mu wyjaśnić, gdzie płynąć, ale to było za trudne, nie mogła ani trochę skupić uwagi na rozmowie. Wskazała tępo, wspięła się na burtę i skoczyła do rzeki.

Woda wdarła się jej do ust, zasyczała wokół, tafla zamknęła się nad głową. Wynurzyła się, młócąc wodę i plując. Sulien był już tuż obok, oddalał się płynnie, z niepokojem oglądając się za siebie.

- Dalej - wychrypiała. Miała wrażenie, że głowa się jej rozděła, szyja jest zbyt cienka i wątła, by ją utrzymać nad wodą. W końcu przepływające obok łodzie zasłoniły ich przed ludźmi na brzegu, ale musieli się ukrywać przez tyloma osobami - dwunastoma, trzynastoma, siedemnastoma...

Barka wznosiła się wysoko jak urwisko, zbliżała się, Sulien był już daleko. Una sunęła naprzód, młócąc wodę. Trudno to było nazwać płynięciem. Prawie się nie przesuwiała, nie było czasu - nigdy nie zdoła wy-

minąć barki, zginie pod nią. Zakaszła, cofnęła się - z powrotem ku więziennemu promowi i lufom - w chwili gdy łódź przekroiła wodę między nimi. Fala znowu wcisnęła Unę pod powierzchnię, a Sulien, po drugiej stronie, niewidzialny, znalazł się poza jej ochronną mocą. Odwrócił się, dostrzegł ogromną rdzewiejącą ścianę, za którą znikła Una, i zatrzymał się, przebierając nogami w wodzie, siłą woli ponagając łódź, by przepłynęła, bezradny, nieświadomy, jak bardzo stał się bezbronny. Una znowu konwulsyjnie wynurzyła się na powierzchnię, na próżno szukając Suliena obolałymi oczami i umysłem.

A gdy barka przepłynęła, na promie rozległ się pierwszy strzał. Potem nad głowami przeleciały im kule, rozdarły wodę za ich plecami i Una zrozumiała, że jej się nie udało.

Ach, no tak, przyszła jej do głowy myśl, która była jakby dalekim, obojętnym pomrukiem. Strzelają do nas. Więc jednak to było niemożliwe.

Wówczas gorzka, cuchnąca woda spętała bezradnie wierzgające kończyny Uny i zamknęła się spokojnie nad jej głową.

Willa na wzgórzu była piękna, lecz Leon i Klodia ją zaniedbali. Połowę ziem, niegdyś należących do majątku, sprzedano, a to, co zostało, zarosło pokrzywami i tasznikiem. Ogród był nadal śliczny, ale w zasadzie przypadkiem - Klodia posadziła bowiem żarłoczne róże herbaciane, które rozpełzły się wszędzie i zdusiły złocienie i aksamitki. Freski wewnątrz domu zaczęły płowieć, w ładnej twarzy Orfeusza na podłodze gabinetu pojawiły się szare blizny w miejscach, gdzie płytki zaczęły odpryskiwać od betonu. Służba była zbyt nieliczna, by zadbać o wszystko.

Wariusz i Gemella znajdowali się pod kolumnadą. Było południe, siedzieli na ławce, Wariusz w roztargnieniu rozplątywał zwinięte w luźny węzeł brązowe włosy Gemelli, której głowa spoczywała na jego kolanach.

- I co narobiłeś? - poskarżyła się bez przekonania, kiedy było już za późno. Jeśli chodzi o włosy, ściągnięte w plecione rzędy od czoła po kark, Wariusz wykazywał pewną próżność, ale na tym koniec: ubrania, nawet kosztowne, zwisały niedbale na jego kościstym ciele, płaskim i kanciastym, jakby składało się z samych zawiasów i desek. Twarz także miał kanciastą i pociągłą, z pierwszymi zmarszczkami koło oczu i ust. W jego żyłach płynęła krew Egipcjan i Nubijczyków, choć jego rodzina mieszkała w Rzymie niemal od stulecia. Miał trzydzieści siedem lat, Gemella trzydzieści pięć, a małżeństwem byli niemal dwa lata. Ranek spędzili na czytaniu dokumentów Leona. Wariusz był wykonawcą jego testamentu. Niegdyś pełnił funkcję jego prywatnego sekretarza.

Zamyślona Gemella skubała dolną wargę i towarzyszący temu grymas szpecił jej drobną różową twarz. Wariusz przytrzymał jej rękę.

- Co teraz zrobimy? - spytała. Kiedy nie odpowiedział, od razu dodała: - Gdybyśmy nie spróbowali i coś by się wydarzyło...

- Wiem - powiedział cicho. - Nigdy byśmy sobie nie wybaczyli.
- No. To kiedy mu powiemy?

- Na razie nie możemy go tu ściągnąć. Nie pozwolą mu przyjechać, a przynajmniej zaczną się zastanawiać, co się dzieje.

- Ale to się musi wydarzyć szybko.

Wariusz się zawahał.

- Tak. A co do tego, kiedy mu powiemy... Jeśli go na to narazimy i okaże się, że nie mieliśmy racji... widziałaś na pogrzebie? Chodzi jak lunatyk, biedne dziecko. To go przerasta.

Gemella skrzywiła się.

- Boję się - rzekła.

- Na razie nie ma powodu.

Po chwili pokręciła głową.

- Ile on ma lat, szesnaście? Nie możemy nad nim czuwać, jeśli nie zrozumie, dlaczego to robimy - tak długo się nie da. Wariusz pokiwał głową, ale westchnął.

- Nie uwierzy, tak jak Leon. Może to jedyna zdrowa reakcja. - Potarł czoło między brwiami.

Gemella usiadła energicznie i pocałowała go w usta, policzek, kącik oka.

- Jeśli się mylimy, to dobrze. Myślę jednak, że nie. I ty chyba też, ja to wiem.

- Tak - przyznał. - Nienawidzę ich i nawet nie wiemy, kim naprawdę są.

- Mogli oszczędzić Klodię - powiedziała gorzko.

Wariusz pogłaskał ją po plecach. Po tym ranku oczy miała nadal trochę zaczerwienione. To dzięki Klodii się poznali. Była daleką kuzynką Gemelli. W dniu ślubu Klodii Gemella, wówczas siedmiolatka, była nią absolutnie oczarowana - nie tylko z powodu jej urody, lecz czegoś budzącego znacznie większe onieśmienie, pewnego rodzaju wspaniałej twardości, niezłomnego wyglądu. Klodia pozostała onieśmielająca, lecz nie całkiem niezłomna. Gemella pamiętała także, jak przez ostatnie cztery lata Klodia nabrała zwyczaju żenującego i dziwnego krytykowania Leona. Raz Wariusz, który to słyszał, ubawił się i zarazem tak przestraszył, że spytał Gemellę: „Ale ty chyba o mnie tak nie mówisz?”.

- Nie, oni i jej chcieli się pozbyć - powiedział teraz Wariusz, głaszcząc ją po plecach. W pewien sposób był to komplement dla Klodii i pociecha, że do jej śmierci przyczyniło się coś więcej niż tylko pech.

Odczekali dwa tygodnie, a potem Wariusz napisał do pałacu.

„Jego prawdziwy charakter i osiągnięcia - pisał Marek - kryją się pod tak grubą warstwą uprzedzeń, że może nigdy jej nie zdołamy zedrzeć. Jednak możemy wykazać, że oskarżenie, jakoby doszedł do władzy dzięki morderstwom, nie opiera się na solidniejszych dowodach niż słowo jego spadkobierców, którzy mają własne powody, by przedstawić Nasenniusza jako nikczemnika”.

Zrobił przerwę. Przez te tygodnie od pogrzebu zaczął dostrzegać przypominający chorobę morską rytm rozpaczy. Niektóre wspomnienia uderzały jak rozpalone ostrza, wydzierały mu łzy. Na ogół jednak wszystko wydawało się ospałe, nudne; nic się nie działo i nie było nic do roboty ani do odczuwania, z wyjątkiem dziwnego zmęczenia, a może raczej lenistwa. Wiele wolnych godzin spędził, gapiąc się tępo na fontanny w ogrodzie pałacowym lub siedząc w ciemnościach pokoju kąpielowego, wzdragając się przed wysiłkiem związanym z napisaniem listu czy przeczytaniem książki. Niekiedy jednak zalewała go fala czarnej, złej, dygotającej energii, która zmieniała się w panikę i zgrozę, jeśli nie znalazł sobie jakiegoś zajęcia. Wówczas brał się do pracy, po części dlatego, że nie miał innych zajęć, po części dlatego, żeby uniknąć spotkań z rodziną. Teraz pisał obronę Nasenniusza, który był zepsutym do szpiku kości i niepopularnym cesarzem z dwudziestego szóstego stulecia. Jego potomkami byli Nowiuszowie. Marek znajdował perwersyjną przyjemność w nazywaniu własnych przodków kłamcami.

Nie wiedział, czy wierzy w to, co pisze. To ćwiczenie trochę go niepokoiło, z tego samego powodu, dla którego je lubił - ponieważ każdego można było równie łatwo wybronić, jak zaatakować. Ale to go zaczęło nudzić. Pisanie stanowiło dobre ćwiczenie retoryczne i sprawdzian z historii, jednak żałośnie było się upierać, że Nasenniusz nie popełnił morderstwa, skoro oznajmienie, że właśnie popełnił, dawało więcej radości. Napisał już pół przemówienia, w którym wykazywał, że Wespazjan nie był rozważnym mężem stanu, lecz okrutnym i chciwym potworem. Od śmierci rodziców Marek nie widywał się ze swoim nauczycielem. Nie pozostał przy nim nikt, kto mógłby go zmusić do skończenia czegokolwiek.

Letarg znowu go ogarnął i wielki jak jaskinia pokój pociemniał, a on

zamarł z piórem w ręce, z nienawiścią patrząc na brokatowe zasłony i mimowolnie znowu powtarzając w myślach z zażenowaniem i bólem mowę pogrzebową. Żałował, że dopuścił do tego, by tyle osób usłyszało, jak przemawia. Czy była choć odrobina prawdy w stwierdzeniu, że jego rodzice się kochali? Przez całe dzieciństwo na zmianę miał nadzieję i bał się, że wkrótce się rozwidą. Gdyby ambicja i niechętny wzajemny szacunek wystarczyły, żeby ich utrzymać przy sobie, to czy wyobrażanie sobie, że w grę musiała wchodzić jakaś nierozpoznawalna postać miłości, było myśleniem powierzchownym i życzeniowym? Teraz widział, że tak naprawdę rozwód nie wchodził w grę. Oczywiście matka nigdy nie miałaby takiego znaczenia bez Leona, ale Leon także musiał zdawać sobie sprawę, że nie poradzi sobie bez Klodii, która zawsze umiała ocenić, co powinien zrobić.

Przez ostatnie półtora roku sytuacja się poprawiła, bo uzgodnili, że będą dla siebie głównie partnerami w interesach. Przynajmniej tak sądził; nic mu nie mówili, ale stali się jednocześnie bardziej przyjaźni i mniej sobie bliscy. Był pewien, że ojciec sypia z innymi kobietami, jak zawsze, co niegdyś powodowało kłótnie przypominające burze magnetyczne na powierzchni Słońca, mogące się ciągnąć latami.

Ale publicznie okazywali sobie miłość, pomyślał nagle. Trzymali się za ręce, uśmiechali się... i wcale się do tego nie zmuszali. Na oczach innych stawali się autentycznie spokojni, szczęśliwi.

Ocknął się dopiero wówczas, kiedy ktoś włączył światło. Wysoki niewolnik wszedł bezgłośnie do pokoju i usiłował pomóc mu w przebieraniu się do kolacji. Marek lekko się cofnął.

- Nie. Dziękuję. Zrobię to sam - powiedział. Odańczyli swoisty taniec, gdy niewolnik cicho się zbliżał, a Marek cofał. Musiał powiedzieć „nie” i „dziękuję” zenująco wiele razy, bo niewolnik jakby mu nie wierzył i długo się ociągał, łagodnie protestując, z oczami wbitymi potulnie w podłogę, lecz jednocześnie nieustępliwie sunął przed siebie. Marek poczuł się jak w pułapce. Nie chodziło o to, że nikt mu nigdy nie usługiwał. W domu służący przygotowywali mu posiłki i wozili go z miejsca na miejsce, ale to byli służący. Tu chodziło o coś innego, poczuł obrzydzenie.

Przy kolacji było jeszcze gorzej. Niewolnicy krążyli wokół lśniącego stołu jak muchy. Marek jadł, czując na sobie ich spojrzenia, gdy usiłowali odgadnąć jego życzenia. Przyglądał się Druzusowi, który leżał naprze-

ciwko niego. Wydawał im rozkazy jednym słowem lub gestem. Był w tym jakiś wdzięk, jakby niewolnicy byli nutami, z których Druzus komponował. Marek czuł pragnienie, ale o nic nie chciał prosić niewolników. Brzydziło go spoglądanie na nich, słuchanie ich lekkich kroków, szeleszczących za jego plecami. Dziwne, że poczucie winy może tak przypominać wrogość, jakby to on był na łasce niewolników, a nie odwrotnie. To przecież zupełnie naturalne: wstać i samemu przynieść sobie dzbanek wody. Ale to by zdumiało wszystkich, więc tego nie zrobił. Bardzo wyraźnie pamiętał, jak kiedyś rodzice wrócili do domu po długiej wizycie w pałacu. Matka usiadła ciężko na krześle i oznajmiła: „Nigdy więcej tam nie pójdę”. Roześmiała się, ale była smutna. Marek zacisnął zęby, aż jej obraz trochę zbladł, i pomyślał: Muszę pojechać do domu.

Nie tylko przez krzątających się niewolników męczył się w pałacu. Chodziło też o życzliwość rodziny. Jego kuzynka Makaria, która - wiedział to doskonale - nie lubiła ani jego, ani w ogóle chłopców, nabrała zwyczaju niezdarnego klepania go po ramieniu, kiedy tylko go zobaczyła, i obdarowywania prezencikami. Widział, że Makarii nie przychodzi do głowy nic, co mogłaby mu powiedzieć, a nie mógł jej prosić, żeby przestała się tak starać. Myślał, że z wujem, który kochał Leona, będzie łatwiej, ale nic z tego. Męczyli się, usiłując nie dopuścić, by ich rozpacz się połączyła. Marek nie znosił widoku narastającego napięcia wuja, kiedy na siebie spoglądali. Faustus nieustannie wciągał go w okropne pogawędki. Jakby usiłował wykrzesać ogień z dwóch pecyn gliny.

Tulliola, spoczywająca obok Faustusa, w porównaniu z nim była czystym wytchnieniem. Przynajmniej ona się nie zmieniła. Fascynowała Marka, choć nie pociągała go ani trochę, mimo że była z pewnością najpiękniejszą znaną mu kobietą, z tymi wodnistymi oczami i wrażliwymi wargami. Na sam jej widok nachodziła go ochota, by zakraść się od tyłu i wrzasnąć, żeby sprawdzić, czy choć drgnie. Nigdy nie widział jej zdziwionej. Długą szyję koloru kości słoniowej trzymała zawsze wyprostowaną, by podtrzymać ciężar węży ciemnych włosów. Kiedy wstawiała albo szła, idealna postawa i ciężka piramida włosów nadawały jej pozory osoby wysokiej, którą nie była. Płynęła dumnie po pałacu niczym góra lodowa albo mechaniczny łabędź.

Faustus trzymał od niechcenia rękę na jej biodrze, a ona, choć go nie ignorowała, trwała jakby w przyjemnej nieświadomości. Miała zaledwie

dwadzieścia osiem lat, pięć lat mniej od Makarii, i kiedy Faustus ją poślubił, w Rzymie zapanowało niezadowolenie. Jednak Tulliola była zbyt poprawna, śliczna i uległa, by długo budzić dezaprobatę.

Marek podchwycił spojrzenie Faustusa, rozpaczliwie szukającego tematu do rozmowy.

- Co sądzisz o sprawie Terranowy?

Marek powiedział chłodno, że według niego szkoda, iż trwa tam wojna.

- No, wszyscy tak sądzimy - oznajmił Faustus, niezdarnie próbując go pocieszyć. - Nie powinienes się zanadto martwić, na razie nic się nie wydarzy.

Druzus podniósł głowę z pewnym ożywieniem lub zaniepokojeniem.

- Ale się wydarzy?

- Wojna nie wybuchnie z winy Rzymu - oznajmił Faustus, nadal patrząc na Marka i usiłując dodać mu otuchy.

- Nie byłyby to wojna z winy Rzymu - rzekł Druzus.

Marek biernie przysłuchiwał się rozmowie, lecz myślami był gdzie indziej. Wyobrazził sobie jednak Wielki Mur Terranowiański, początkowo prawie matematycznie: drżąca linia, która jakby przewiercała się przez góry na zachodzie, a potem przechodziła w to, czym być powinna, w zgrabną przekątną prowadzącą od czubka Półwyspu Camiańskiego po zatokę Misinipeia na północy. Potem ujrzał go jako prawdziwy twór, lecz bardzo odległy, jakby widziany z powietrza.

Faustus pomyślał z żalem, że rozmowy o polityce przy kolacji to zły pomysł; poruszył temat możliwej wojny tylko dlatego, że mógłby on interesować Marka. Sam miał go dość, bo sprawa ciągnęła się od lat.

Jednak Druzus był dobrze zorientowany i gorliwy.

- Przynajmniej musimy zaznaczyć naszą obecność na murze.

- Uczynimy to bez trudu - odparł Faustus.

Marek stopniowo zbliżył się do wizji muru; teraz sobie przypominał nieskończoność szarego klifu górującego nad trawiastą przestrzenią, kwadratowe wieże strażnicze, zbudowane za panowania dwóch pokoleń No-wiuszów. Był tam raz, kiedy z rodzicami wizytowali żołnierzy w okolicach, gdzie mur stawał się szerokim mostem arkadowym nad Emissouri-tą. Ale wówczas Nionia jeszcze nie rozstawiła oddziałów żołnierzy wzdłuż całego muru.

- Nionia pożałuje, jeśli posunie się dalej. Wszystko zależy od nich - rzekł Faustus, znowu spoglądając z troską na Marka.

- Tak, wuju - odparł Marek. A potem poczuł słabą iskierkę zainteresowania. Zaczekał, aż wygaśnie, ale niespodziewanie usłyszał własny głos, odrobinę za głośny: - Nie, to nie może być prawda.

Brwi Druzusa uniosły się; Makaria, przyglądająca się Tullioli spod ciężkich powiek z wyrazem oczywistego i nieświadomego niezadowolenia, spojrzała na niego. Drgnął.

- Przepraszam - powiedział. - Chciałem powiedzieć, że... Rzym nie może być bezsilny.

- W rzeczy samej! - wykrzyknął Druzus.

- Nie możemy pozwolić, by wojna wybuchła przypadkiem, prawda?

Druzus przez chwilę patrzył na niego z zaskoczeniem, potem przybrał zmęczony, cierpiętniczy wyraz twarzy.

- Nie przypadkiem, lecz w wyniku rozmyślnego pogwałcenia zobowiązań Nionii.

- Ten traktat ma sto siedemdziesiąt lat. A oni nas nie zaatakowali.

- Owszem - powiedział cierpliwie Druzus. - Zaatakowali.

Marek znowu poruszył się z niepokojem, ale wymamrotał:

- Tak, ale my...

- My...? - podchwycił Druzus.

Nionia oznajmiła, że samurajowie są niezbędni, by chronić jej lud od wszelkich nieszczęść, gwałtów, porwań i zniewolenia. Twierdziła nawet, że rzymscy żołnierze stacjonujący przy murze napadają i mordują dla sportu. Marek zawahał się. Nie wierzył w większość tych oskarżeń, ale przecież porwania mogły się zdarzyć... lecz bez wątplenia nie tak często, jak twierdziła Nionia. Jednak wiedział, jak by zareagowano, gdyby zasugerował, iż w tych historiach może tkwić ziarno prawdy, choć do tej pory z pewnością wszyscy już wiedzieli, że mur nie stanowił zapory dla Rzymian. Nionianie mogli się do niego zbliżyć, ale nie wolno im go było dotykać.

Podjął nieśmiało:

- Nie... ale te zbrojne konflikty... chyba nie można określić, jak się zaczęły. To znaczy, oni nie zamierzali na nas napadać.

- To trochę bardziej skomplikowane - rzekł Faustus łagodnie.

- Tak - zgodził się znowu Marek.

- Nie możemy dopuścić ich wojsk do naszych granic - odezwał się Druzus.

- To my stoimy u ich granic - zauważył Marek.

- Nasze wojska mają prawo, zgodzili się na to w Mixiganie. Teraz nie ma co narzekać.

Nionia na razie nie pogwałciła zasad traktatu z Mixigany; jedynie umacniała granicę, którą Rzym umyślnie osłabił.

- Oczywiście nie możemy się spodziewać, że wojna w Terranowie potrwa dłużej. A jeśli dojdzie do starcia między imperiami, jeśli jednocześnie w Indiach wybuchną rozruchy, przy tej broni, którą teraz mamy i my, i oni...

- Aż tak głupi nie są - powiedział Druzus.

- To by ogarnęło cały świat - dokończył Marek.

- I tak mogliśmy wygrać.

- Do tego nie dojdzie - oświadczył Faustus. - Mamy na to baczenie. Jak mają się czuć mieszkańcy Terranowy, kiedy tuż obok żyją wolni Rzymianie? Kraj nie powinien być rozdarty na dwie części. Te ziemie zawsze należały do Rzymu. Tego pragną Terranowianie.

- Tylko niektórzy - powiedział Marek.

- Zabito obywateli rzymskich - oznajmił Druzus. - Dopuszcilibyś do tego?

Powiedział to bez jawnej złośliwości, ale Marek przypomniał sobie jego dziwny uśmiech, który wyglądał głupio, albo młodzieńczo głupio, nawet we wczesnym dzieciństwie - i mdła iskierka zainteresowania raptem buchnęła mocnym płomieniem.

- Czy ziem nie można podzielić? - spytał bezwiednie.

Makaria podniosła głowę i prychnęła.

- Wtedy nikt nie będzie zadowolony.

- Myślisz, że Nionia by to puściła płazem? - dodał Druzus.

- Czy ktoś ich o to spytał? - odparł Marek i przy stole zapanowała chwila ciszy. Wykorzystał ją. - W każdym razie oni nie ustąpią, my też nie, ale na pewno wszystko, co straciły obie strony, zostanie oddane z namiązką. Będziecie musieli zburzyć mur, nie powinna istnieć żadna granica. Oni uzyskają dostęp na południe, będą mogli skorzystać z rzymskich udogodnień...

- W Kynoto już mówią, że chcemy ich podstępnie podbić - wtrącił

Faustus, okazując pewne zainteresowanie.

- To dlatego, że panuje tam takie napięcie. Moim zdaniem to się zmieni. W przeszłości mieliśmy wpływ na wszystkich; nie staliby się imperium bez kontaktu z nami. Nadal korzystamy z ich jedwabiu. Nie wierzę, że nasze stosunki muszą tak wyglądać. Można by połączyć państwa...

- W jaki sposób by to działało? Kto by tym wszystkim rządził?

- Nie wiem - odparł Marek i usiadł na leżance, intensywnie myśląc. - Trzeba by ustanowić jakąś radę - Rzymian i Nionian. Dogadalibyśmy się z nimi.

- Myślę, że bardzo im pochlebiasz takim zaufaniem - powiedział Druzus. - Szkoda, że sytuacja nie jest tak prosta, jak ci się wydaje... prawda, wuju?

Marek poczuł się oszukany. Spuścił głowę i rzekł zamyślony:

- Oczywiście wielka wojna rozwiąże problem niewolnictwa.

Rzeczywiście był to problem. Od pokolenia nie było dużej wojny i z racji niewielkiej liczby dzieci rodzących się w niewoli populacja niewolników zaczęła się zmniejszać. Już teraz rozmawiano o utrudnieniu uzyskiwania wolności. Przy stole zapanowała konsternacja. Marek zrozumiał, że nie powinien tego mówić. Nawet Tulliola wyglądała na nieco dotkniętą, choć najprawdopodobniej tylko kierowała się wyrazem twarzy Faustusa.

- Chyba tak nie myślisz - odezwała się Makaria.

- Marku, proszę - dodał Druzus. - Nie bądź cyniczny dla sportu, tylko efekciarze tak robią.

Faustus skrzywił się boleśnie.

- Marku - zaczął - nie wolno ci sądzić... - ale urwał i spytał z przygnębieniem: - Czy Leon tak uważał?

Marek zrozumiał, że jednak jakoś udało mu się wygrać, choć Faustus wyglądał na tak nieszczęśliwego, że zwycięstwo nie było miłe. Potem często się zastanawiał, czy miało jakiś wpływ na późniejsze wypadki.

Zamarł na chwilę, a potem wymamrotał dyplomatycznie:

- Nie wiem.

Faustus westchnął.

- Widzę, że dużo o tym myślałeś.

- Nie, właściwie to nie - odparł Marek zgodnie z prawdą.

Po chwili Druzus odezwał się beztrosko:

- W każdym razie Nionianie nie nadają się na niewolników. Zawsze się zabijają jak Rzymianie. - Parsknął śmiechem.

Tulliola nie odzywała się przez całą rozmowę o Terranowie. Teraz poklepała Faustusa po ręce w ten swój łagodny, niemrawy sposób i jakby nie zauważyła, że wplótł swoje grube palce między jej smukłe paluszki.

- Marku - rzekła - usłyszeliśmy dziś, że Wariusz chciałby, żebyś wrócił do domu. Ale oczywiście to o wiele za wcześnie.

Marek, nadal dręczony wyrzutami sumienia, usiłował opanować radość.

- Dlaczego? Czy coś się stało?

- Dużo hałasu o nic - oznajmił Faustus. - Twierdzi, że ma jakieś wątpliwości co do testamentu Leona. Tulliola ma rację, to zbyt wcześnie. Nie zechcesz myśleć o takich rzeczach.

- Teraz muszę myśleć o takich rzeczach - rzekł Marek ostrożnie. - Nie mogę zostawiać wszystkiego Wariuszowi, to niesprawiedliwe. - Sądził, że to prawda, ale nie spodobało mu się brzmienie własnego głosu: świętoszkowate i akuratne. Skrzywił się lekko, ale jeszcze bardziej zapragnął wrócić do domu. Wariusz i Gemella byli jedynymi osobami, które miał ochotę zobaczyć.

Rano, w dniu wyjazdu, Makaria weszła do jego pokoju, w którym usiłował oddzielić własne książki od pożyczonych z biblioteki Faustusa i ze skrzepowaniem przyglądał się wysokiemu niewolnikowi pakującemu ubrania. Makaria rzuciła mu zażenowany półśmiech, który przyzwyczaił się widzieć od śmierci rodziców.

- Słuchaj... mam dla ciebie to. Lubisz je, prawda?

- Dziękuję. To prawda - przyznał. Nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że to małe wiklinowe pudełko z miodowym nugatem. Po raz pierwszy Makaria przywiozła te łakocie z Grecji, kiedy Marek miał jakieś siedem lat. Ubóstwiał te miękkie kostki i Makaria od tej pory niezmordowanie go nimi obdarowywała przy każdej wizycie w Rzymie czy innych okazjach zezwalających na prezenty, aż w końcu zaczęło go mdlić od samego zapachu smakołyków. Na ogół oddawał je przyjacielom albo służącym, a czasem wysychały w jego pokoju na kość i gospodyni wreszcie je wyrzucała.

- Na pożegnanie - dodała. - Ja też wracam do domu.

Miała na myśli swoją winnicę na Siphnos, gdzie spędzała większość

czasu na dobrowolnym wygnaniu. Zakochała się w Grecji jako dziewczynka podczas wizyty w Atenach, a utwierdziła się w tej miłości jako nastolatka i dwudziestolatka, bo uznała to za doskonałą metodę denerwowania ojca. Przyjęła grecką wersję swego formalnego imienia Nowia Faustyna i nabrała zwyczaju wymuszania rozmów o sztuce i historii, by móc wynosić Grecję nad Rzym. Ponowne małżeństwo Faustusa dopełniło miary. Było publiczną tajemnicą, że Makaria uważa Italię za zbyt małą dla niej i Tullioli.

- Kiedy wrócisz? - spytał, kładąc słodczyce na biurku i z zadowoleniem odwracając od nich uwagę.

- Może nigdy. Rzym jest ohydny. Cywilizacja to Grecja.

Często tak mówiła. Jego rodzice się z tego śmiali. Uśmiechnął się.

Potem, bez ostrzeżenia, pochyliła się i rzuciła natarczywie i szybko:

- Słuchaj, Marku. Lubiłam cię, kiedy byłeś mały. Pewnie znowu cię polubię za parę lat. Teraz nie mogę cię znieść, ale nie bierz sobie tego do serca - po prostu uważam, że chłopcy w twoim wieku strasznie szpecą otoczenie. Nigdy nie wiecie, co zrobić z rękami, zawsze macie takie głupie miny, a wasze szyje sterczą i nie umiecie stanąć prosto. Bardzo mi cię żal i jeśli uznasz, że nie możesz tu wytrzymać...

Nie powiedziała nic więcej, bo Tulliola zapukała delikatnie do drzwi i wpłynęła do środka jak smużka dymu. Makaria spojrzała na nią z odrazą i wymaszerowała bez słowa.

- Kochana Makaria - powiedziała Tulliola cierpliwie, jakby do nikogo w szczególności. - Jak ci idzie pakowanie? Twój wuj chce się pożegnać.

Przed schodami stał samochód, który miał go odwieźć do Tusculum; skojarzył mu się z tym, którym rodzice pojechali do Galii, wyraźnie świadczącym o dostatku, lecz znacznie mniejszym i skromniejszym niż większość obwieszonych girlandami gigantów z cesarskiej floty. Marek obejrzał go starannie. No dobrze, mogę pomyśleć o katastrofie, mogę sobie pozwolić na kontrolowaną dawkę bólu - to tylko samochód. Podobieństwo do tamtego nie było aż tak wielkie: w tym zwoje niklowanych liści oplatały małe gwiazdziste krzyże, poza tym był wykładany macicą perłową; na samochodzie rodziców widniał wzór w sinoańskie chryzantemy. W krótkich, bolesnych przeblyskach Marek zobaczył zgniecioną blachę, potłuczone szkło i ciała rodziców. Zapewniono go, że wszystko wydarzyło się bardzo szybko, i z pewnością oboje zginęli, zanim zdążyli

się zorientować, co się stało, i poczuć nadzieję, że przeżyją.

Pretorianin, który siedział obok szofera, chciał zaciągnąć dla bezpieczeństwa wewnętrzne firanki, ale Marek odmówił i przyglądał się lśniącemu za oknem Rzymowi, różnorodnym odcieniom marmuru i szkła, pulsujących łagodnymi kolorami jak liczne sploty czystych włosów: rudym, mroźno białym, różanym jak skóra, złocistym. Światła, które w nocy parzyły niebo, jeszcze nie zostały zapalone.

Usiłując pokierować nieco uwolnionym bólem, wbił spojrzenie w przygotowaną obronę Nasenniusza, zmusił się do myślenia z bolesną opieszałością, co powinno być kolejnym punktem rozprawki, co Nasenniusz uczynił przed zostaniem cesarzem. Ale nie potrafił się skupić, nie mógł z siebie wykrzesać zainteresowania. Zatem otworzył słodycze, na wypadek gdyby nagle znowu je polubił. Poczul zapach migdałów i miodu, przypomniał sobie pylistą masę na języku. Skrzywił się i postanowił, że po przybyciu odda je szoferowi, ale kiedy samochód zbliżył się do wili, a on ujrzał Wariusza i Gemellę na balkonie, zapomniał o wszystkim i zabrał słodycze.

Rozejrzał się z miłością po tym domu. Światło padało pionowym słupem z otworu w dachu na płytki basen wpuszczony w podłogę. Ściany za świetlistą kolumną były mroczne, ciemność i przyzwyczajenie maskowały skazy malowideł ściennych. Sądził, że powrót do domu rodziców wywoła kolejny skurcz bólu, ale to bezbarwne uczucie było wszędzie takie samo.

Kamerdyner zaczął wypakowywać jego bagaże z samochodu, a Wariusz i Gemella zeszli na dół, by się przywitać. Gemella pocałowała go w policzek. Kiedy się cofnęła, Marek zauważył niespokojne spojrzenie, jakie wymienili z Wariuszem, i zdusił rozczarowanie. Miał nadzieję, że okażą się odporni na tę onieśmielającą aurę, która wszędzie mu towarzyszyła. Opowiedział im o wybuchu Makarii.

- W pałacu wyglądam głupio tylko dlatego, że się nudzę - powiedział. - A moja szyja z pewnością nie sterczy.

Roześmiali się, ale nieco nerwowo. Nerwowość była też w ich spojrzeniach, gdy na siebie patrzyli, choć starali się tego nie robić. Wyglądali trochę jak jego rodzice po kłótni. Zrobiło mu się żal, bo sądził, że Wariusz i Gemella nigdy się nie kłócą. Może dlatego, że byli zbyt krótko po ślubie.

Wszedł do gabinetu, gdzie na biurku i czarnych skrzyniach pod marmurowymi popiersiami jego dziadka i ciotecznych dziadków leżały rozrzucone dokumenty Leona. Przeszło mu przez głowę, że będzie musiał zamówić popiersie ojca, choć nie podobało mu się, że takie coś będzie się na niego gapiło. Kamerdyner wszedł i powiedział:

- Prezent od kuzynki, paniczu?

Marek zdał sobie sprawę, że nadal trzyma wiklinowe pudełko z nugatami.

- Tak - powiedział. - Mam je wyrzucić?

- To by było marnotrawstwo - powiedział kamerdyner z naganą. - Mogłyby przypaść do gustu pańskim gościom. Proszę pozwolić, że wyłożę je na tacę.

- Doskonale. Ale jeśli chcesz, możesz je wziąć. - Włożył pudełko w dłoń służącego i nie czekał na jego decyzję. Poszedł do swojego pokoju i rzucił się na łóżko nakryte błękitną narzutą.

Później odwiedził lararium, położone w centrum domu, i przez pamięć o rodzicach, a także dlatego, że nie było go w domu prawie miesiąc, ukląkł przed małymi srebrnymi podobiznami tańczących młodek, zawołanej bogini ogniska domowego, ułał nieco wina i postawił przed nimi. Ten rytuał przyniósł mu odrobinę ulgi; niemal poczuł dobrotliwą, czuwającą nad domem moc. Potem zauważył puste miejsce po klejnocie na rękawie jednej z tancerek - i to ulotne znaczenie, natychmiast i zdecydowanie, opuściło figurynki, a on poczuł, że nigdy nie wróci. To lalki, pomyślał z nagłą pogardą. Udaję, że karmię lalki. Na co ta dziecinada? Jeszcze przez chwilę klęczał, przyglądając się tancerkom z dezaprobatą i litością, bo dalej radośnie płażały, nie zdając sobie sprawy, że je przejrział.

Przy kolacji rozmawiali o zwyczajnych rzeczach, a jednak wrażenie tłumionego niepokoju nieustannie wypływało, jakby przenosiło się z Wariusza i Gemelli na Marka. Choć powstrzymywali się przed wymienianiem spojrzeń, Marek czuł, że jakoś oceniają każde jego słowo, zwłaszcza kiedy rozmowa zatrącała o sprawy poważniejsze, na przykład Akademię Ateńską, do której Marek zamierzał wstąpić w przyszłym roku. Zaczęło mu się wydawać, że tu chodzi o coś więcej niż żałoba czy kłótnia. Zastanowił się, czy przypadkiem z testamentem nie stało się coś złego. Może rodzice zostawili długi? Nie bardzo by się tym przejął.

Później usłyszał rozmowę Wariusza i Gemelli w gabinecie; rozmawiali tak cicho, że na pewno o nim. Nie mógł tego dłużej wytrzymać; pchnął drzwi z kutej kraty. Siedzieli blisko siebie na ławce z hebanu, a kiedy wszedł, spojrzeli na niego jak winowajcy. Dokumenty zostały uprzątnięte, słodczyce od Makarii piętrzyły się na tacy z emaliowanego szkła.

- Wariuszu, o co chodzi? - zapytał. - Chyba nie sądzisz, że nie za-
uważyłem.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Czy jestem wydziedziczony? - spytał z uśmiechem, by dodać im odwagi.

- Wariuszu - odezwała się Gemella wyraźnym, natarczywym głosem. Wariusz jakby zbierał siły.

- Nie chodzi o testament. To coś innego.

Marek zamarł w oczekiwaniu.

- Nie gniewaj się - poprosiła Gemella. - Uznaliśmy, że trudno by ci było wrócić do domu bez takiego powodu, bez czegoś, czemu nikt nie mógłby się sprzeciwić.

- Ach tak? - odezwał się Marek. Ostra nutka w jego głosie nieprzyjemnie przypomniła mu najgorszy z humorów ojca. - A co jest nie tak z prawdziwą przyczyną? I właściwie co to za przyczyna?

- Musimy ci o czymś powiedzieć.

- Najwyraźniej - odparł Marek tym samym tonem. Usiadł naprzeciw nich.

- Marku, przepraszam - rzekła Gemella. - Nie chodzi o testament twojego ojca ani o dziedziczenie. Lecz muszę cię o coś spytać. Czy chcesz być cesarzem?

Marek zerknął na drzwi i zaczął kreślić palcem wzory na stole.

- Chcesz? - powtórzyła Gemella. Marek obejrzał swoje palce.

- Nie - rzucił krótko.

Wariusz i Gemella spojrzeli na siebie.

- To źle - stwierdziła Gemella. - Bo mamy nadzieję, że nim zostaniesz. Musimy mieć tę nadzieję.

Marek wstał gwałtownie i odwrócił się do drzwi.

- Przepraszam - rzucił w rozterce - nie chcę teraz o tym...

- Musisz - rzekł Wariusz. Marek przypomniał sobie, co powiedział Faustusowi, i umilkł. Wrócił na miejsce i powoli usiadł.

- Czy jesteś przekonany do tego, co powiedziałeś? - spytał Wariusz. - Bo sądziłem, że wszyscy Nowiuszowie pragną władzy... może z wyjątkiem wuja Lucjusza.

- Wiem - odparł Marek z rezerwą. Spojrzał na popiersie dziadka, na wielkie miękkie powieki nakrywające białe oczy. - To źle - rzekł do popiersia.

- Dlaczego to powiedziałeś? - dopytywał się Wariusz. - To przecież rodzinne zajęcie. - I uśmiechnął się, ale Marek widział, jak przenikliwie przyglądają mu się oboje. Gemella zaciskała pięści.

- Kiedy rozmawiam z wujem o czymś, co moim zdaniem należałoby zrobić, on odpowiada: „To nie takie proste”. Tak samo Druzus. Nie chodzi o to, że im nie wierzę. Ale skąd mam wiedzieć, czy kiedykolwiek zrobię to, co moim zdaniem dałbym radę zrobić? Niewykluczone, że zawsze będzie mi się to wydawało zbyt trudne. Może gdybym... może każdy, kto... jest w takim położeniu... - Coś go powstrzymywało przed nazwaniem samego siebie cesarzem. - Może uznacie, że to was przestało interesować na tyle, żeby tu zostać. Mój ojciec... - zamilkł, bo myśl o ojcu nagle odebrała mu siły -...wiecie, ile chciał zrobić. Ale pewnie mój wuj też kiedyś taki był.

- Nie, nie sądzę - powiedział Wariusz.

- Może nie - ustąpił Marek - ale to nie wszystko. To pragnienie... już ono samo jest złe. Ojciec myślał, że będzie cesarzem. I zyskał wielką popularność. Zatem... uznał, że może traktować ludzi, jak mu się podoba. I rzeczywiście mógł. I traktował. Nawet czasami ciebie, prawda? - powiedział do Wariusza i zerknął na Gemellę. - Musiałaś o tym wiedzieć, prawda? Jak traktował moją matkę. I te inne kobiety. Nie jestem pewien, czy ona się orientowała, że wiem. - Znowu spojrzął na swoje ręce. - Miał rację co do wielu spraw, ale... chyba nie bardzo go lubiłem.

- Marku - odezwała się cicho Gemella - mówisz, że nie chcesz być cesarzem czy że chcesz, lecz się tego wstydzisz?

Nie odrywała od niego oczu. On spuścił wzrok i na blacie stołu napisał nieistniejącym atramentem słowo NIE.

- Tak - niemal szepnął.

Wariusz i Gemella wypuścili powietrze z płuc, co zabrzmiało prawie jak westchnienie.

- I uważasz, że ci się uda? - spytał Wariusz. Marek spuścił głowę

jeszcze niżej.

- Tak - powiedział. - Nie wiem dlaczego.

- Co zrobisz?

- Uważam, że w Terranowie nie musi toczyć się wojna - oświadczył Marek. - I oczywiście zgadzam się z rodzicami... w sprawie niewolnictwa.

Tym razem naprawdę westchnęli, a Gemella odchyliła się na oparcie ławki, ale trudno było poznać, czy im ulżyło, czy są zatroskani.

- Wspomniałeś, że według twojego wuja sprawy nie są takie proste - powiedział cicho Wariusz. - To prawda. Chciałbym wiedzieć... czy zastanawiałeś się, co się stanie z Rzymem po zniesieniu niewolnictwa? Spójrz, co się dzieje w twoim domu. Opłacanie służących oznacza większy koszt zarządzania gospodarstwem... oraz to, że nic nie będzie szło zbyt dobrze. Twoi rodzice byli bardzo bogaci i sami wybrali taki styl życia - nie chcieli kręcących się wszędzie niewolników. A to tylko dom. Ale niewolnicy uprawiają ziemię, wydobywają surowce opałowe, kładą drogi w górach. Czasami ich praca jest tak niebezpieczna, że nikt by się jej nie podjął z własnej woli. Wielu nadzwyczaj bogatych ludzi straciłoby niemal wszystko, gdybyś odebrał im niewolników. Pieniądze wyciekłyby z Rzymu we wszystkich kierunkach, a na ich miejsce nie pojawiłoby się nic nowego. Nie zdołalibyśmy aż tak wyprzedzać Nionii i Siny jak w tej chwili. W końcu tam, gdzie niegdyś istniało imperium, zostałyby tylko mnóstwo zubożałych kraików.

Oboje znowu wbili w niego wzrok.

- To chcieliście mi powiedzieć? - spytał Marek z urazą.

- Nie - odrzekł Wariusz z jeszcze bardziej skupionym wyrazem twarzy. - Ale chciałem, żebyś to wiedział.

Marek zrobił niecierpliwy gest.

- Znajdę sposób, by temu zapobiec, a przynajmniej nad tym zapanować. Nawet jeśli do tego doszło, uważam, że to wcale nie zmienia faktu, że tak powinniśmy postąpić. Nie myślałbym dobrze o sobie, gdyby to mnie powstrzymało. - Wstał. - Cieszę się, że się wyrwałem z pałacu, dziękuję wam. Teraz jednak powinniście mi wyjawić, dlaczego mnie tu ściągnęliście. Wyraz napięcia jakby znikł z twarzy Wariusza.

- Klinika niewolników, nad którą pracował twój ojciec...

- Nie - przerwał Marek. - Cokolwiek to jest, powiesz później. O co chodzi? Dlaczego oboje macie tak żałosne miny?

- Uważamy, że twoi rodzice zostali zamordowani - powiedziała Gemella.

Marek miał wrażenie, że każdy jego nerw został szarpnięty i wibruje jak struna dulcimeru.

- Jak... - zaczął, usłyszał to pytanie i pokręcił głową, niedowierzając sam sobie. - Nie - rzucił zdecydowanie. - Dlaczego wam to przyszło do głowy? To droga... samochód...

Już zaczął wewnątrz dygotać; opadł na swoje miejsce, choć niczego tak nie pragnął, jak opuścić ten pokój. Gemella zacisnęła lekko palce na dłoni Wariusza.

- Jeśli mamy rację, tobie także grozi niebezpieczeństwo.

- Nie macie racji - rzucił ostro Marek.

- Marku - odezwał się Wariusz z nagłą żarliwością - nawet jeśli się mylimy, po tym, co spotkało twoich rodziców, nie możemy ryzykować i ukrywać podejrzeń. Musisz to zrozumieć.

Marek zacisnął zęby.

- Doskonale. Mówcie.

- Dobrze - odezwała się Gemella. - Po pierwsze, to, co usłyszałam. Parę miesięcy temu, zanim cesarz zachorował... pamiętasz?

Marek ledwie dostrzegalnie skinął głową. Na wiosnę jego wuj przeraził się, kiedy poczuł ból w piersi.

W tym samym czasie w willi w Tusculum odbyło się przyjęcie. Tak się jakoś stało, że ostatecznie jego organizacją zajęła się Gemella; tygodnie przed przyjęciem i samo przyjęcie były wyczerpujące - mnóstwo roboty, a sama impreza omal nie została odwołana. Czy mogła się odbyć, skoro Faustus podupał na zdrowiu? Gemella nie usiadła ani na chwilę podczas tych sześciu godzin, kiedy trwało przyjęcie, a przez następny dzień powoli wracała do siebie. Późnym rankiem wybrała się do łaźni w laconicum; w obłokach pary niemal usnęła. Nie spieszyła się; w odróżnieniu od Wariusza nie znajdowała upodobania w gorączkowej wielogodzinnej pracy w atmosferze ciągłego zagrożenia.

Przed poślubieniem Wariusza widywała Klodię nie częściej niż raz w roku, ale od ślubu poczuła, że się do siebie zbliżają - z powodu jej rosnącego zainteresowania, z powodu nieustannych prośb Klodii o pomoc. Wkrótce zaczęła pracować niemal ramię w ramię z Wariuszem, a z Klodią spędzała tyle samo czasu co z nim. Klodia potrzebowała tylu przysług

co Leon - ktoś musiał opracowywać przemówienia, umawiać spotkania, być partnerem w dyskusji o planach. Ponadto, jak podejrzewała Gemella, Klodia lubiła widzieć, że ma własnych sprzymierzeńców związanych z nią, nie z Leonem.

Wariusz i Gemella przyjaźnie konkurowali ze sobą o laur bardziej wykorzystywanego. Leon miał wielki urok, lecz w przeciwieństwie do Klodii częściej dostawał ataków wściekłości. Wariusz był nieustannie pracowany.

- Ale nie musisz mu wybierać strojów - powiedziała Gemella (Klodia musiała wyglądać jednocześnie pociągająco i statecznie) - i dostajesz za to zapłatę.

Ona także dostawała coś w rodzaju zapłaty, w postaci prezentów (biletów do teatru, sinoańskiej rzeźby, zbyt wielkiej do ich małego mieszkania), a także pomysłów i rad, które witała z radością, choć były to tylko idee, ale dzięki nim miała poczucie, że bierze w czymś udział, że została wybrana. Wmawiała sobie, iż chciałaby zmienić w swoim życiu tylko drobiazgi - choć kiedy o tym myślała, ogarniało ją dziwne uczucie niepewności. Z coraz większą wprawą zaczęła się oburzać losem obcych, niewolników i innych kobiet - na przykład Klodii. To niesprawiedliwe, że Klodia musi pracować w cieniu, jako dodatek do Leona. Niezadowolenie z własnego losu było obce i przerażające, nie wydawało się jej naturalne. Ale czasami miał wrażenie, że słabością jest zadowolenie z życia, w którym jedynym świadomie wybranym elementem był Wariusz.

Do laconicum weszły jakieś kobiety i powiew chłodnego powietrza otrząsnął deszcz skroplonej wilgoci z sufitu. Nowo przybyłe usiadły pod przeciwległą ścianą, a kiedy na nie spojrzęła, widziała tylko mgliste cienie w obłokach pary, z trudem dające się rozpoznać jako dwie sylwetki. Prawdopodobnie wcale jej nie zauważyły; zaślaniała ją kolumna i welony pary, i przecież się nie poruszała. Znowu zamknęła oczy.

- A jeśli sytuacja jest poważniejsza, niż nam mówią?

Gemella westchnęła cicho i próbowała nie zwracać uwagi na słaby, zatrwożony głos, ale był zbyt przeszywający, zbyt przenikliwy, żeby nie zakłócał ciszy laconicum.

- Oj, Plancyno. Nie jest. Przestań już.

Ale przenikliwy głosik nie milkł. Tak jakby ta druga kobieta nie potrafiła się powstrzymać od mówienia. Gemella i tak była tu już zbyt długo;

zatrzymywały ją tylko ostatnie macki lenistwa, ale teraz rozdrażnienie nie pozwoliło jej dłużej rozkoszować się ciepłem.

- Nawet jeśli w tej chwili masz rację - zakwękała Plancyna - prędzej czy później do tego dojdzie. A wtedy koniec z nami wszystkimi. Chyba wiesz, jakie niestworzone rzeczy zamierza Leon, prawda? Dlaczego nie przejmuje się nami, czy nie jesteśmy tak samo ważni jak niewolnicy? Wiem, że stracimy wszystko, znajdziemy się na ulicy, i nic się na to nie da poradzić.

- Tego bym nie powiedziała.

Fakt, że to Leon jest przyczyną niepokoju Plancyny, zainteresował Gemellę na tyle, że została jeszcze trochę. Jednak kiedy tamta kwękała dalej, Gemella podniosła głowę i napięła mięśnie, by wstać. I tak zamarła, już czujna, nasłuchując w skupieniu.

Potem trudno było jej wytłumaczyć Wariuszowi, tak jak teraz Markowi, dlaczego ten ton zrobił na niej takie wrażenie. Wydawało się, że nawet Plancyna tego nie dostrzegła, zajęta własnym biadoleniem.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego nie spojrzysz prawdzie w oczy?

- Słuchaj - rzuciła gwałtownie druga kobieta. A jednak zaraz potem zamilkła, jakby rozważając, czy powinna wnikać w to głębiej. Wreszcie dokończyła: - Wiem jedno: nie mam powodu do zmartwień. Mój mąż także. Prawdę mówiąc, kupuje targ niewolników w Comum.

Marek poczuł jakby muśnięcie zimnego pióra, ale wymamrotał:

- Mój wuj może żyć jeszcze dwadzieścia lat. To była tylko angina. Lekarze powiedzieli, że nawet niezbyt poważna. Może tamta kobieta o tym wiedziała albo zgadła.

- Kiedy o tym opowiedziałam Wariuszowi, też tak mówił. Klodia również.

Wróciła do domu - Klodia przysłała jej w podziękowaniu wielkie malowidło ścienne - nadal przekonana, że usłyszała coś ważnego i niepokojącego, ale następnego dnia nie rozumiała już dlaczego, skoro nikt inny nie zauważył w tym nic szczególnego.

- Przypomniałem sobie o tym tydzień przed wyjazdem twoich rodziców do Galii - rzekł Wariusz. - Gdyby twój ojciec żył, w tym tygodniu spotkałby się z Flawiuszem Gabiniuszem. Wiesz, kto to?

- Oczywiście - powiedział Marek. Gabiniusz był właścicielem firmy budowlanej, która wznosiła ogromny most wiszący nad Zatoką Perską.

Dzięki temu stał się jednym z najbogatszych ludzi z Rzymie.

- Miałem zająć się organizacją tego spotkania - dodał Wariusz. - Usiłowaliśmy przekonać Gabiniusza, żeby zainwestował w klinikę dla niewolników albo wznosił budynek za darmo. To nie powinno sprawiać zbyt dużych trudności. Kiedy wszyscy wiedzą, że zostaniesz następnym cesarzem, na ogół dostajesz, o co prosisz, nawet gdy prosisz o wiele.

- Więc? - spytał Marek. Pamiętał projekt kliniki. Jego rodzice zamierzali zorganizować darmową opiekę zdrowotną dla niewolników, tak by w razie choroby właściciele nie mieli powodu ich wyrzucać. Musieli włożyć w to również własne pieniądze, ale Leon chciał, żeby największą część sumy wpłaciły firmy korzystające głównie z niewolniczej pracy.

- Nagle wszystko zaczęło się komplikować. Pomysł nigdy im się nie podobał, ale się ugięli. Lecz stopniowo zaczęli... - skrzywił się na wspomnienie tamtej frustracji - ...stawiać bierny opór. Chciałem, żeby Gabiniusz spotkał się z Leonem na budowie, ale nie mogłem się z nim w ogóle skontaktować, cóż dopiero ustalić daty. Ci, z którymi udawało mi się porozmawiać, przestali mnie poważnie traktować.

- Czyli nie chcieli dać moim rodzicom pieniędzy - powiedział Marek.
- To jeszcze nic nie znaczy.

- Nie - przyznał Wariusz - ale nie z tego powodu przypomniały mi się słowa Gemelli. Pewnego dnia, nie wiem jak, udało mi się złapać Gabiniusza przez daldictor. Próbował mnie zbyć, ale wyznaczyłem mu spotkanie w tym tygodniu i się zgodził. Powiedział, że natychmiast wpisze datę do terminarza i wyłączył się. A potem... - Wariusz westchnął. - Nie dowiedziałbym się, gdyby Leon nie był taki trudny. Tego dnia postanowił odwiedzić twojego wuja i nie powiedział mi o tym, więc musiałem odwołać spotkanie. Byłem zdenerwowany, bo tyle się musiałem nabiegać za Gabiniuszem. Tym razem zdołałem złapać tylko jego asystenta - ale chyba był nowy. Imię Leona zrobiło na nim o wiele większe wrażenie niż na kimkolwiek z tej firmy. Więc uwierzyłem mu, gdy powiedział, że Gabiniusza nie ma. Na moją prośbę zajrzał do terminarza swego szefa - czego chyba nie powinien robić - i wrócił zmieszany, mówiąc, że to chyba pomyłka. Gabiniusz nie zapisał nic na temat spotkania z Leonem.

Marek umilkł.

- Oczywiście pomyślałem: no cóż, to nic takiego - ciągnął Wariusz - lecz przypomniało mi się, co mówiła Gemella. To już nie było nic takiego.

Zupełnie jakby Gabiniusz uważał, iż z Leonem nie należy nic planować. I jakby miał ku temu podstawy. Więc oczywiście opowiedziałem Leonowi o wszystkim, a on odparł: „Biedny Gabiniusz. Ja bez przerwy zapominam zanotować różne rzeczy. Mam nadzieję, że przez to nie stałem się mordercą”. „U ciebie to nic dziwnego”, odparłem. Roześmiał się tylko. Powiedział, że urzędowe sprawy tak mnie zajmują, iż tracę zmysły. Doszedłem do wniosku, że może mieć rację. W każdym razie nie mogłem mu nic więcej powiedzieć - ani co się może stać, ani kiedy.

- A moja matka? - spytał Marek cicho. - Co pomyślała?

- Tak, jej również powiedziałem. Odparła, żebym ją poinformował, jeśli wydarzy się coś nowego. Ale ona mi także nie uwierzyła. Przykro mi, chciałbym...

- Nie - rzekł Marek tępo. - To, co się wydarzyło, nie dowodzi, że miałeś rację.

Wariusz pokiwał głową.

- Nie powiedziałem wszystkiego o Gabiniuszu. Od trzech miesięcy jest właścicielem tego targu niewolników w Comum. Jego żona ma na imię Helwia; to ją musiała słyszeć Gemella w łaźniach.

- Mimo to - rzekł Marek z wysiłkiem - moi rodzice mieli strażników, mieli... - urwał. - A nawet... nawet gdybyście się nie mylili, dlaczego skłamałicie? Gdybyście naprawdę w to uwierzyli, powiadomilibyście mojego wuja.

- Nie wiedzieliśmy, kto może przeczytać list - odparła Gemella. - Niełatwo dostać się do twego wuja. I posłuchaj - gdyby ten spisek istniał i gdyby miał się udać, nie mógłby się ograniczać do Gabiniusza. Mogli mieć ludzi wśród pretorianów lub wigilów, nie wiemy. Ale żeby tego dokonać, potrzebowali informacji o twoich rodzicach, a to znaczy, że wśród spiskowców musieli się znajdować członkowie senatu. I osoby z dworu.

- Co? - rzucił lodowato Marek, którego przepęłniała furia. - Mówisz o mojej rodzinie? Moich krewnych? O kim? - Przypomniał sobie, co wczoraj napisał o Nasenniuszu. Nasenniuszu, który nie żył od setek lat...

- Nie wiemy! Nie wiemy nic oprócz tego, co ci powiedzieliśmy. Tak, to niewiele. Ale musieliśmy cię wydostać z pałacu, a teraz będziemy cię bronić - dla dobra Rzymu, nie tylko naszego.

- Nie potrzebuję obrony - oznajmił Marek zimno.

Zapadło nieprzyjemne milczenie. Wariusz wstał i zaczął:

- Dziś nie będziemy o tym mówić...

Ale wtedy Gemella poczuła, że nie może oddychać, a krew pali twarz i oczy. Usiłowała powiedzieć „Wariusz”, ale powietrze stało się zbyt gęste, a kiedy spróbowała wstać i dotknąć męża, czerń, gorąca i głośna, zakotłowała się w świetle i runęła na jej głowę i serce, dając tylko rozpaczliwą sekundę na walkę.

Marek i Wariusz usłyszeli straszliwy, zdławiony jęk Gemelli, jej rżenie, i ze zgrozą ujrzeni, jak osuwa się ze swego miejsca i pada w konwulsjach na mozaikę z Orfeuszem.

Wszystko potoczyło się szybko, choć tak się nie wydawało. Marek przypadł do niej, ukląkł bezradny u jej boku. Potem odsunął się, gdy Wariusz usiłował unieruchomić miotające się ciało Gemelli, przytrzymać ją, gorączkowo powtarzał jej imię, gdy dygotała i szarpała się w jego ramionach.

- Sprowadź kogoś, sprowadź pomoc - rzucił, a potem znów zaczął błagać: - Gemello, proszę, Gemello...

Marek skinął głową i pobiegł, potykając się, do drzwi, by zawołać służących. Ale zanim dotarł na miejsce, Gemella szarpnęła głową i nagle zamarła, opuściła ją sztywność i zwiotczała w ramionach Wariusza. W pomieszczeniu zrobiło się cicho; słychać było tylko oddechy Marka i Wariusza.

Ta straszna cisza przez chwilę obezwładniła Marka, ale potem znowu ruszył do drzwi, bo wciąż się łudził, że coś można zrobić. Wariusz odezwał się chropowatym, nierozpoznawalnym głosem:

- Nie ruszaj się.

Marek z wolna się odwrócił i spojrzał w jego ponurą twarz - płaską, pobrużdżoną, żółtosiną.

Wariusz przeniósł wzrok na talerz nugatu na stole. Potem odwrócił dłoń Gemelli i znalazł na niej smugę cukru.

W oczach Marka stanęły łzy.

- Nie - szepnął. - Wariuszu...

Wariusz ledwie pamiętał o jego obecności. Ścisnął Gemellę, obsypywał jej włosy i zaczerwienioną twarz lekkimi, zapalczywymi pocałunkami. Marek zrozumiał, że tej sceny nie powinny oglądać niczyje oczy i odwrócił się.

W końcu się odezwał.

- Czy mam... kogoś powiadomić?

Wariusz jakby nie słyszał.

- Skąd to masz? - spytał obcym głosem, jakby nigdy nie zdołał odpowiednio opanować ludzkiej mowy, jakby musiał zmuszać do wysiłku struny głosowe, niestworzone do takich rzeczy.

- Makaria. - Marek ledwie słyszał własny głos; nie chodziło tylko o to, że wypowiedział jej imię tak cicho. Po prostu teraz już nic nie miało dla niego znaczenia.

Wariusz pokręcił głową, jakby usiłował się pozbyć dzwonienia w uszach. Gwałtownie zaczerpnął tchu.

- Jak najdłużej nikomu o tym nie mów. Nikt o tym nie wie. Rozumiesz? Dziś w nocy wyjedziesz. Potem na pewno się zorientują i... naprawią to.

Gdybym mógł sprowadzić rodziców, pomyślał Marek. Nie rozumiał, dlaczego tu stoi. Tak się nie godziło.

- Pójdę po pomoc... - wyjąkał, wycofując się na korytarz.

- Nie - usłyszał głos Wariusza, ale przypuszczał, że Wariusz jest w szoku, nie wie, co mówi. Przemierzył kojący mrok atrium; daldictor wisiał spokojnie w niszy, lecz kiedy Marek założył słuchawki, Wariusz rzucił się za nim, niemal krzycząc:

- Powiedziałem: nie!

I Markiem wstrząsnął cios, który zrzucił mu daldictor z głowy.

- Nie dotykaj tego! - rozkazał wściekle Wariusz. - Nic nie rób!

Marek zaczął się cofać. Nastąpiła długa, dziwna chwila; Wariusz nie mógł oderwać spojrzenia od upuszczonego daldictora, który kołysał się jeszcze przez chwilę na zimnej posadzce. Jednocześnie poczuł chłód w ramionach i piersi, na której przed chwilą spoczywało ciepłe ciało Gemelli. Bez słowa zostawił Marka i wrócił do niej. Markowi wydawało się jeszcze, że zanim za Wariuszem zamknęły się drzwi, usłyszał jej imię - a potem zapadła cisza.

Marek zakręcił się rozpaczliwie wokół własnej osi. Czuł się tak zmuszony do posłuszeństwa, że nie śmiał się oddalić od miejsca, w którym zostawił go Wariusz. A kiedy spojrział na daldictor, nie mógł się nawet zmusić, by go podnieść i odwiesić na miejsce. Czas się dłużył - tak bardzo, że w końcu Marek zaczął zataczać większe kółka, chodzić po korytarzu. Często zakradał się pod drzwi gabinetu, a nawet szeptał „Wariu- szu”,

lecz nie potrafił tego powiedzieć głośniej, a cóż dopiero otworzyć drzwi, choć nie sądził też, żeby czekanie było właściwe. Ktoś - on, ktoś inny - powinien coś zrobić dla Wariusza, może coś powiedzieć.

Nie umiał się powstrzymać przed wędrowką w stronę schodów, na które spoglądał z żalną tęsknotą. Dlaczego nie może iść do pokoju matki? Nawet mimo wstrząsu i żalu, który z pewnością by poczuła, zdołałaby przemówić do Wariusza.

I znowu zobaczył wypadek, poczuł lekki ciężar pudełka ze słodyczami we własnych rękach. Lecz myśli ciągle mu umykały, odskakiwały od niego jak krople deszczu od karoserii. Przyszło mu do głowy, że służący mogli usłyszeć krzyk Wariusza, i zaczął się o to modlić - i o to, żeby zeszli na dół. Ale chyba nikt nie usłyszał, bo nikt nie przyszedł.

W końcu z gabinetu dobiegł głos Wariusza:

- Marku, jesteś tam?

Marek pchnął niechętnie drzwi. Wariusz właśnie wstawał, trzymając Gemellę w ramionach.

- Nie powinniśmy tu tak długo siedzieć - mruknął niewyraźnie do Marka.

Już teraz Wariusz nie potrafił sobie przypomnieć tej półgodziny czy nawet więcej, która mu umknęła, nie umiał o niej myśleć nawet wtedy, gdy mijała. Odnosił wrażenie, że tylko siedział przez parę minut czy sekund, trzymając Gemellę, lecz właściwie na nią nie patrzył, nic nie robił. Oczywiście pozostawało faktem, że raz wyszedł z pokoju. I że odkąd wrócił, szukał jej tętna i usiłował przywrócić oddech, choć w pełni zdawał sobie sprawę, że Gemella nie żyje.

A jednak przez cały ten czas nękała go świadomość, że będzie musiał się zainteresować losem Marka, uwierała go jak jęk piły, jak brzęk komara w sypialni, mąciła te minuty, które upływały - bardzo wiele minut.

Spojrzał na Marka, przestąpił jak winowajca z nogi na nogę.

- Będziesz musiał stąd uciekać, rozumiesz?

A Marek pokiwał głową, jakby spodziewał się usłyszeć coś podobnego, choć te słowa wyparowały z sykiem i bez śladu, jak wszystko inne.

Wariusz ruszył przed siebie, a każdy oddech przynosił mu czysty zapach skóry Gemelli i go przytłaczał. Marek szedł machinalnie parę kroków za nim. Po schodach dotarli do pokoju gościnnego, który zajmowali Wariusz i Gemella. Wariusz bardzo powoli położył jej ciało na łóżku.

Kiedy wypuścił je z ramion i zaczął się prostować uwolniony od ciężaru, wyraźniej dostrzegł kompletny bezruch żony i to, co się stało z jej twarzą. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że do oczu napłynęły mu łzy, zamrugał z łagodnym zdziwieniem, a potem zaskoczyło go suche łkanie, które sunęło w górę krtani z nieubłaganym impetem spazmatycznego kaszlu i chwyciło go tak gwałtownie, że musiał szybko, po omacku, znaleźć drogę do małej łazienki przy sypialni, gdzie zwymiotował. Przez chwilę zdumiony gapił się na mokry marmur umywalki, a potem wrócił.

- Wariuszu - szepnął Marek, dygoczący z poczucia winy i zgrozy. - To przeze mnie. Przepraszam.

Podszedł do Wariusza, znowu stojącego nad łóżkiem, i niezdarnie położył mu rękę na ramieniu. Wariusz mimowolnie się odsunął.

- Chodź, wyjdź, wyjdźmy - rzucił chaotycznie. Zatrzymał się na chwilę, delikatnie odwrócił głowę Gemelli, by kasztanowe włosy opadły na twarz, kryjąc wykrzywione rysy i sine wargi. Potem wypchnął Marka z pokoju. Spojrzeli na siebie.

- Nic dobrego z tego nie będzie - powiedział Wariusz trochę bardziej zrozumiale. Zamknął cicho drzwi i stanął pod nimi jak strażnik, jakby sądził, że Marek mógłby nagle wpaść do pokoju, w którym leżała Gemella.

- Gdybym je wyrzucił... gdybym je... zjadł... - I przez chwilę Marek był tak chory ze wstydu, że istotnie żałował, iż tego nie zrobił.

Wariusz skrzywił się gniewnie.

- Cicho - rzekł ostro. - Myślisz, że chcę to usłyszeć? To nie twoja wina. Czy udajesz, że tak jest? Myślisz, że to pomoże? - Mówiąc to, zaczął potrząsać Markiem. Poczuł lekką ulgę, jak wtedy gdy strącił mu z głowy słuchawki. Musiał nad sobą zapanować. Wytarł mokrą twarz i kontynuował z wysiłkiem: - Czy słyszałeś, co powiedziałem? Natychmiast. Zanim ludzie się dowiedzą. Zdajesz sobie sprawę... zanim się upewnią i... naprawią błąd. - Ale rozmowa z Markiem była jak przebijanie się przez gęstą mgłę. Usiadł, oparł się o drzwi i dodał bezradnie: - Nie potrafię myśleć... musimy postanowić, co zrobić, a nie potrafię myśleć.

Marek zbiegł po schodach, przemierzył cały dom aż do kuchni, gdzie na stole po kolacji zostało jeszcze pół dzbanka wina. Chlusnął nim do szklanki. W drodze na górę sporo rozlał, zastanawiając się, co Wariusz powiedział o wyjeździe, i przypominając sobie, że zaledwie dwa tygodnie

temu jego twarz została pokazana w dalwizji na całym świecie. Choć o mało nie zginął od trucizny, świadomość, że ucieczka jest niemożliwa, przyniosła mu ulgę. Wprawdzie nie wiedział, na co mógłby się przydać Wariuszowi, jednak nie chciał go zostawić. Zaniósł wino Wariuszowi, który spojrzał na niego i na szklanę, przyjął wino, powiedział z odrobiną ironii „dziękuję”, upił łyk, odstawił szklanę i zapomniał o jej istnieniu. W końcu spytał:

- Służba się obudziła?
- Nie, chyba nie - odparł Marek.

Wariusz pokiwał głową.

- Dobrze. Idź, przygotuj się.
- Wariuszu, nie mogę - powiedział Marek łagodnie.
- Więc cię zabiją - rzekł Wariusz tonem pozbawionym emocji.
- Nie, ale... jak mógłbym się gdzieś ukryć, skoro wszyscy wiedzą, jak

wyglądam?

- Fakt. Powinieneś zmienić wygląd.
- Ale zrozum, nawet gdybym potrafił, nie mam dokąd iść.
- Masz. Prawie nikt nie zna tego miejsca. Może nie najlepsze, ale jako kryjówka - dobre. Tylko tyle przychodzi mi do głowy. Jest w Pirenejach.

Marek pokręcił tępo głową.

- Tam uciekają niewolnicy - ciągnął Wariusz. - Jeśli uda im się zbiec i jeśli znajdą drogę.

- Co? - spytał Marek z niedowierzaniem i oszołomieniem. - Co... jak Spartakus?

Wariusz oparł głowę o drzwi. Oczy miał zamknięte.

- Tam nie ma armii, to tylko kryjówka. Czasami chyba uczą się mandaryńskiego, nioniańskiego, a Delir wysłała ich z cesarstwa, żeby uczyli łaciny, albo... no, nie wiem. Nigdy tam nie byłem.

- Delir? - powtórzył Marek. Imię wydawało się cudzoziemskie, egzotyczne, nierzymskie.

- Chyba jest Persem. Był... - Wariusz urwał. Wiedział, że Delir był kupcem, pamiętał nawet okoliczności, które doprowadziły do tego, że zaczął się ukrywać. Poczul jakąś urazę, że te fakty nadal zostały mu w pamięci po tym, co się wydarzyło; teraz chciał pamiętać tylko rzeczy najważniejsze lub w ogóle stracić pamięć. Brak cierpliwości wyzwolił w nim fałszywą, chaotyczną energię, która błyskawicznie przemknęła przez

jego ciało. Marek zauważył te objawy, rozpoznał je. Wariusz mamrotał szybko dalej: - No więc to miejsce należy do niego. Twój rodzice dawali mu pieniądze, twój ojciec raz tam pojechał. Dlatego myślę, że Delir ci pomoże. Chyba starają się pomagać każdemu. Chodź. Nie ma czasu na rozmowy. Musisz postanowić, czy tam pojedziesz.

Marek odpowiedział - właściwie tylko dlatego, że osłabiony i gnębiony poczuciem winy zgodziłby się w końcu na wszystko, czego chciał Wariusz:

- Pojadę, skoro będę mógł tam zostać.

W swojej sypialni otworzył skrzynię, w której leżały złożone ubrania, i zrozumiał, że to nie ma sensu. Jego ubrania oddawano innym jeszcze niemal nowe, kiedy tylko zaczynały się strzępić lub tracić świeże kolory. Potrzebował czegoś starego i taniego, a patrząc na swoje odzienie, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jakie jest dobre, jak ostentacyjnie kosztowne. Miał na sobie wąską tunikę z prążkowanej wełny, wypuszczoną na bawełniane spodnie - oczywiście w żałobnej czerni i graficie, w nich nie mógł się pokazać - ale były skromne i wyjąwszy kolor wydawały mu się całkiem zwyczajne, lecz gdy im się przyjrzał - nie były; zbyt dobrze je skrojono, materiał miał fakturę, której nie potrafił nazwać, pewnie za sam noszony na tunice pas z cienkiej czarnej skóry mógłby kupić cały komplet ubrań z włókna sztucznego. Ale przecież nie znał ceny ubrań. Ogarnęło go bolesne poczucie, że jest nieudacznikiem, i na razie dał spokój strojowi. Przez jakiś czas przeglądał się w lustrze, pocierał dłońmi tę tak znaną twarz. Dłuższą chwilę nie poruszał się, próbował sobie przypomnieć, gdzie są jakieś nożyczki.

Potem włączył światło w pokoju matki i niechętnie wsunął się do środka. Od jej śmierci pokój nabrał czystego, obcego wyglądu; Marek wstydził się, że tu wszedł. Ale po krótkich poszukiwaniach znalazł lakierowane na złoto pudełko z przyborami do szycia, podarunek, z którego rzadko korzystała. Tak jak liczył, w zagłębieniu w przykrywce znajdowały się maleńkie nożyczki inkrustowane kością słoniową, przeznaczone do przecinania jedwabiu do haftowania. Zabrał je do pokoju kąpielowego i zaczął obcinać swoje gęste włosy. Nożyczki były maleńkie, stawiały opór jego niecierpliwym dłoniom i cała rzecz ciągnęła się zaskakująco długo i sprawiała wiele problemów. Ostrza były zbyt małe, by strzyc grube pukle, musiał więc niezdarnie ciąć i prawie wyszarpywać pasma z tyłu gło-

wy, niewprawnie macając na oślep. Gdy wreszcie włosy były krótkie i w miarę równe, resztę zgolił brzytwą. Jasne kosmyki zawirowały w strudze wody, ciemniejąc, aż znikły.

Przelotnie spojrzął na swoje odbicie. Bez włosów wyglądał inaczej - kości twarzy rysowały się bardziej twardo i wyraziście. Pomyślał, że wygląda brutalnie i jednocześnie bezbronne, i nie spodobał się sobie. Nieustannie przesuwał dłonią po włosach.

Wariusz stanął w progu, skinął głową na widok jego dzieła.

- Może... ręce?

Marek obgryzł paznokcie aż do opuszek i zdarł z nich gładkość detergentem i pumeksem. Skóra piekła i trochę krwawiła. Zacisnął pięści, by odpędzić ból.

- Tak dobrze - ocenił Wariusz.

Znowu drżał. Musiał wrócić do pokoju gościnnego po ubrania i pieniądze i ujrzał Gemellę leżącą na łóżku w różowej sukni.

- To wszystkie pieniądze, jakie znalazłem. Nie możesz iść do banków.

Nie było tego wiele. Ich rodzina była bogata, ale nie trzymali gotówki w domu. Wariusz podał pieniądze Markowi.

- Weź coś, co możesz sprzedać, na przykład biżuterię.

Przeszukali jadalnię, gabinet, pokój Klodii. Z każdym brany i ważonym w dłoni przedmiotem Marek czuł się coraz podłej, tak jakby dom z wolna odsuwał się od niego ze wstrętem, wyrzekał się go. Starał się brać małe przedmioty, rzeczy, których nie będzie brakowało służącym, które nie mogły mieć dużej wartości: brązową statuetkę, mały srebrny wazonik, a ze szkatułki matki sardonyksowy grzebień i broszę, dość brzydką bransoletę wysadzaną karneolami i gruby bicz jadeitowych koralii. Nie pamiętał, żeby matka je kiedyś nosiła, i miał nadzieję, że nie były drogie jej sercu. Zgarnął to wszystko do plecaka, którego ojciec używał przed laty w wojsku. Wariusz kazał mu dorzucić chleb, wodę, nóż z kuchni, brzytwę oraz koc.

Ubrania, które dostał od Wariusza, nadawały się niewiele lepiej niż jego własne, ale przynajmniej nikt go w nich nie widział. Marek wyciął w materiale nożyczkami parę dziur.

Tuż przed wyjazdem z domu Wariusz pokazał mu znak, który na stronie wydartej z atlasu nakreślił na fragmencie wschodnich Pirenejów, ja-

kieś pięćdziesiąt mil od Tarby, i powiedział:

- Sam nie wiem, gdzie to jest, a ty nie powinienes wiedzieć. Idź do wioski Athabii i czekaj. Mam nadzieję, że cię znajda.

Marek przytaknął, ale przycisnął obolałe palce do twarzy, bo od Athabii dzieliło go dziewięćset mil. Magnetorem lub drogą powietrzną dotarłby tam w dzień, ale Wariusz od razu wykluczył korzystanie ze środków transportu publicznego.

- Musisz sobie radzić bez dokumentów - powiedział. - Nawet gdyby to było bezpieczne dla ciebie, to nie dla nich. Nie wolno ci doprowadzić w to miejsce straży.

- Ale nie zostanę tam na zawsze - odezwał się Marek, choć w ogóle sobie nie wyobrażał, że tam dotrze.

- Nie. Nie - odparł Wariusz, starając się, by brzmiało to przekonująco. Ale kiedy Marek usiłował spytać, jak wróci, warknął: - Nie wiem. Coś się zmieni. Przecież zawsze tak nie będzie.

Przed wyjściem Wariusz - który zaczął myśleć o tym, co musi zrobić po zniknięciu Marka - wyjął z kosza pudełko po słodyczach i z drzeniem wyniósł z gabinetu tacę z nugatami. Jednak nie mógł ponownie wejść do pokoju Gemelli i zostawił słodycze na stoliku przy łóżku Marka.

Wzięli ze spiżarki klucze kamerdynera i weszli do garażu na tyłach willi. Marek położył się na podłodze samochodu Wariusza, który wyjechał cicho z ciemnego domu. Mówili o drodze na południe do Neapolis, gdzie Marek mógł przez Morze Śródziemne dostać się do Massilii, ale nie potrafili wymyślić bezpiecznego sposobu dostania się na statek bez dokumentów. Wobec tego postanowili przemknąć siecią autostrad wokół Rzymu i skierować się w stronę Drogi Pertynaksa i trasy elektrycznego tramwaju towarowego przemierzającego drogę wzdłuż Italii i pod Alpami.

Kiedy brama zaczęła się otwierać, strażnik spytał Wariusza:

- Wszystko w porządku?

- Muszę wrócić do domu, popracować - wydusił Wariusz z trudem. Później doszedł do wniosku, że powinien dodać jakieś szczegóły, trochę przyjaźnie ponarzekać na to, że obaj muszą pracować przez całą noc, ale zdobył się jedynie na wymamrotanie: - Do zobaczenia rano.

Wyjechał. Nie sądził, że powinien się obawiać strażników willi; wprawdzie rekrutowali się z gwardii pretoriańskiej, jednak wszyscy pra-

cowali tu od lat.

- Nie widzę, żeby ktoś nas obserwował... może już poszli. Jest tak późno - wymamrotał jakby do siebie, a potem dodał: - Czekaj... nie.

Wydawało mu się, że między krzakami tamaryszku przy bramie dostrzegł ruszający się cień, choć nie był tego pewien. Przez resztę drogi w ciemnościach odezwał się tylko raz, gdy Marek spytał:

- Wariuszu, co się z tobą stanie?

A on zrozumiał z łagodnym zdziwieniem, że do tej pory nie zadał sobie tego pytania.

- Nic.

Przez trzy godziny Marek spoglądał na długie pasmo przewodów tramwaju i miarowe migotanie latarni za czarnym kwadratem okna, a Wariusz kurczowo trzymał się drogi jak zagubiony alpinista ostatniej liny. Obaj prawie zapomnieli, że mijane światła i cichy syk towarzyszący im w drodze w końcu znikną lub się zmienią. Lecz po trzech godzinach Wariusz zjechał z trasy do pierwszego punktu zbornego przy Drodze Per- tynaksa.

Samochód zatrzymał się przekrzywiony na poboczu, dwoma kołami na zachwaszczonym wzniesieniu. W milczeniu zeszli po stoku do wagonów towarowych. Nad ich głowami kłębiły się grube kable tramwajowe. W zatoczkach, gdzie składy tramwajowe powoli zestawiały się w konwoje do Luzytanii, Galii i Recji, paru motorniczych, bladych i zmęczonych, sunęło tam i z powrotem pod mglistymi latarniami niczym ryby głębinowe. Prześpią większość trasy, sunąc wzdłuż kabli przez Europę.

Było to brzydkie, opustoszałe, miejsce. Marek i Wariusz zaczęli przyczajeni w trawie, aż tamci wrócą do kabin. Długi sznur przykrytych brezentem wózków przytoczył się do konwoju do Galii i przyłączył do reszty składu. Wariusz spojrział na znak na kabinie tramwaju i wydał zduszony okrzyk, który brzmiał niemal jak śmiech.

- Gabiniusz - szepnął bez tchu. - To jego. Patrz, zawiezie cię aż do Tarby. Pojutrze spotkasz się z Delirem. Nie zapomnij w swoich modlitwach o Gabiniuszu. Ja nie zapomnę.

Wyglądał prawie jak obłąkany.

- Skąd wiesz, że dojadą aż tak daleko? - spytał Marek z niepokojem.

Wariusz już zaczął gorączkowo odwiązywać brezent. Szarpał sznur, który przytwierdzał płachtę do ładunku marmuru.

- Bo muszą - rzucił Wariusz niecierpliwie, oglądając się czujnie na zbliżający się kolejny ciąg wagonów. Miały być odłączane od tyłu - ostatnie zostaną skierowane do najbliższych miast. Marmur Gabiniusza znajdował się we właściwym miejscu konwoju, a Wariusz wiedział, że jedna z jego firm budowlanych zajmuje się nowym domem gubernatora w Tarbie. Pospiesznie pomógł Markowi wśliznąć się pod brezent pomiędzy bloki marmuru, wrzucił za nim plecak Leona i zaczął znowu przywiązywać płachtę.

Przez zmniejszającą się szparę Marek spojrzął w ponurą twarz Wariusa i zaczął:

- Wariuszu... - ale ten nie pozwolił mu na nic więcej. Rzucił krótko:

- Nikomu z wyjątkiem Delira nie wyjawiaj, kim jesteś, i nie wracaj, dopóki nie przyślę ci wiadomości. Nie zasypiaj, a kiedy się zatrzymacie, nożem rozetnij brezent.

Zapanowała ciemność. Wariusz zasznurował do końca płachtę i przymocował pętle sznurka z boku. Potem zaczął się wspinać po zboczach. W biegu przypomniał sobie o wieku Marka i o sympatii, którą na ogół do niego czuł. Pożałował mimochodem, że nie zdołał powiedzieć nic serdeczniejszego, dodającego otuchy, ale był pewien, że każdy objaw współczucia zniweczyłby to, co należało uczynić. Nie zostało mu nic, czym mógłby się podzielić. Usiadł sztywno w samochodzie, suchymi jak piasek oczami obserwując towarowy konwój, który ruszył z miejsca. Gdy stracił tramwaj z oczu, przytłoczyły go ciemności nocy. Prawie nie pamiętał, jak się tu znalazł i jak ma wrócić do Rzymu. Widział tylko Gemellę na mozaice i na łóżku. Skulił się na siedzeniu i nie wiedział, ile minęło czasu, zanim odzyskał zdolność ruchu.

Następnego dnia Marek usłyszał turkoczący świst - to tramwaj odcepił się od kabla - i poczuł, że tabor zwalnia. Przez płótno nad jego głową prześwitywało słabe światło; zrozumiał, że pomimo ostrzeżenia Wariusa zasnął i że te mile, które przemaszerował, były snem. A jednak czuł, że sen nie trwał długo, i choć usiłował sobie wmówić, że się myli, nie mógł się pozbyć wrażenia, że blade światło zwiastuje poranek.

Odrzucił koc. Powietrze pod brezentem, dotąd lodowate, stało się parne, a marmurowy pył wgryzał się w zadrapania na rękach. Sięgnął do

plecaka po nóż, rozciął płachtę, przyłożył do niej oko i dostrzegł jedynie rozpalony błękit nieba i zgaszone latarnie, a potem, gdy tramwaj zjechał z trasy - drzewa.

W końcu tramwaj się zatrzymał i Marek usłyszał zgrzyt żwiru pod stopami motorniczego. Przyczał się, nieświadomie zaciskając palce na marmurze. Już czuł, że coś jest nie tak.

Kroki ucichły; Marek rozszarpał rozcięcie w płótnie, wypełził na zewnątrz i niezdarnie wyskoczył na światło dzienne, na żwir. Wstał, ruszył przed siebie, potrząsając głową, mrugając, otrzepując kurz z ubrania.

Był na skraju placu budowy, gdzie wśród rusztowań wznosił się jakiś ceglany szkielet. Stał i zaczął się przyglądać. Budowniczy spojrzał na niego z rusztowania, podniósł pięść i krzyknął:

- E! E!

Marek puścił się biegiem po żwirowej ścieżce i znikł między wysokimi wawrzynami. Serce łomotało mu o żebra, ale ogarnęła go przelotna fala uniesienia. Bez wątpienia robotnik go nie rozpoznał.

Jednak coś nadal było nie tak i nie potrafił się zorientować co. Zwolnił i dotarł do ścieżynki między wysokimi zielonymi żywopłotami, lecz gdzieś niedaleko z prawej strony słyszał ruchliwą ulicę i skręcił w jej stronę. Minęło trochę czasu, zanim dotarł na teren położony dostatecznie wysoko, by się upewnić, co go niepokoiło: jeśli gdzieś w okolicy były góry, to ich nie widział.

Jego poczucie kierunku, a właściwie poczucie wszystkiego, było tak zaburzone, że jeszcze sobie nie dowierzał. Szedł ku hałaśliwej drodze, zaciskając i rozprostowując palące dłonie, ale kiedy dotarł do drogowskazu, zatrzymał się jak wryty. Nie znalazł się w Tarbie ani w jej okolicach. Droga prowadziła do Nemausus, a od doliny w Pirenejach dzieliło go ponad trzysta mil.

Na dźwięk pocisków wybuchających w powietrzu Sulien wzdrygnął się i podobnie jak Una uznał, że żołnierze do nich strzelają i ucieczka dobiegła kresu. Nadal rozdzielała ich barka i w tych ostatnich sekundach przed jej przepłynięciem był pewien, że Una zginęła. Czekał, przerażony, niecierpliwie młócąc nogami ustępliwą wodę, a barka sunęła. Na powierzchni, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się Una, widział tylko zanikającą zmarszczkę, a potem, moment później, ciemną wydętą suknię i welon włosów. Natychmiast rzucił się w jej stronę, nie zastanawiając się, co robi, choć spodziewał się, że powstrzyma go kolejny grad kul.

Nie zobaczył, co się dzieje na więziennym promie ani dlaczego pociski, choć świszczą w powietrzu, nie trafiły w cel.

Więźniowie przypuścili szturm na kokpit. Kiedy pierwszy z nich, masywny mężczyzna, wyważył drzwi, najbliższy stojący strażnik zdążył wyciągnąć broń i strzelić mu w pierś. Ale potężne ciało upadło na innych strażników, przygniotło ich na moment, a wówczas do kokpitu wpadli pozostali więźniowie. Zapanował chaos, w tej ciasnej, zatłoczonej przestrzeni broń żołnierzy stała się nieprzydatna. Druga kula roztrzaskała okno i zaczęła się ponura, niezdarna walka o broń. Nikt na rzece nie zauważył, że Una poszła pod wodę ani desperackich działań Suliena, bo wszyscy patrzyli tylko na prom. Na pobliskich łodziach zawyły syreny, pozbawiony kontroli prom zaczął wirować na wodzie, zmiażdżył burtą małą łódkę, przygniół ją do brzegu i płynął na środek rzeki. Zawyły silniki łodzi, piloci usiłowali uniknąć kolizji.

Żołnierz, który wypadł tyłem przez drugie drzwi kokpitu, nazywał się Laeca. Miał dwadzieścia cztery lata, rodziców zostawił w dalekim Pergamonie i jeszcze przed chwilą w zamyśleniu skubał zębami paznokiec kciuka. Teraz, gdy wytracono mu broń z ręki, uciekł na drugi koniec pokładu i rzucił się do wody. Jednak nie zdołał zrobić nawet paru ruchów rękami, gdy z kokpitu wyłoniła się przygarbiona, rozczochrana postać,

zachwycona nową bronią. Był to ten sam człowiek, który niedawno płakał w celi. Strzelał długo, dla samej przyjemności, nawet gdy Laeca przestał się ruszać w zaczerwienionej od krwi rzece.

Sulien słyszał hałas, ale tylko huk broni miał dla niego jakieś znaczenie. Nie odrywał spojrzenia od tego fragmentu powierzchni rzeki, pod którą znikła Una. Znowu stracił ją z oczu. Z pluskiem popłynął przed siebie, obrócił się gorączkowo, ale w dłoniach została mu tylko woda. Zanurkował. Ręce zamykały się na pustce. Po setkach lat dryfujące pasmo czegoś miękko musnęło czubki jego palców. Chwycił, poczuł opór i wyłowił Unę, trzymając ją za włosy i za ciężkie szaty.

Przypominało to walkę. Ciągnął i szarpał siostrę, a ona ciążyła jak ołów, bezwładne brzemie, i cały czas jakby stawiała opór, wyslizgiwała się. Wkrótce przekonał się, że łatwiej jest mu utrzymać ją nad wodą, gdy odwróci się na plecy. Nawet wtedy było to jednak trudne, ponieważ słabo pływał, a musiał zdobyć się na rozpaczliwe zrywy, bo nadal trzeba było wymijać rozpędzone łodzie, i przez cały czas odnosił wrażenie, że Una świadomie wymyka mu się z objęć, tak jakby chciała spocząć na miękkim dnie rzeki.

Ale w końcu uderzył stopami o grunt, pośliznął się na porośniętych zielskiem stopniach wybrzeża, a kiedy stanął na twardym podłożu, ociekając wodą, przekonał się, że na ciele Uny nie ma żadnych ran. Odnalazł tętnicę na jej szyi i pod dłonią poczuł pulsowanie. Una nie oddychała, ale wiedział, że zacznie. Nawet się uśmiechał, gdy kładł ją na betonie, bo wiedział, że woda wypłynie z jej ust, a ona otworzy oczy, i tak się stało.

Jego siostra złapała powietrze ze świstem, zadygotała. Woda, podchodząca jej z bulgotem do gardła, była gorąca i żrąca. Una chciała powiedzieć, że muszą uciekać jak najdalej od rzeki, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa między brzydkimi rżeniami, które wyrzywały się jej w trakcie oddychania. Spojrzała przekrwionymi oczami na rzekę i dopiero wtedy oboje ujrzeli prom.

Był odrapany i potłuczony, ale płynął z impetem. Skręcił gwałtownie i ruszył z powrotem. Na pokładzie ten sam więzień, który płakał, spojrzał na zwłoki u swoich stóp, a po chwili dźwignął trupa, z wysiłkiem przewiesił go przez balustradę i wrzucił do wody.

Una i Sulien przyglądali się temu zmęczeni i zdumieni. Potem Sulien pomógł wstać Unie i razem ruszyli chwiejnie do magazynu. Gdy przy-

trzymał siostrę, czuł, jak zziębnięte ciało boli ją ze zmęczenia, jak płonące płuca robią wysiłek, by mogła powiedzieć:

- Nie tu... szopa.

Pokuśtykali przez podwórze.

- Nie w środku - wychrypiła.

Nie wyobrażała sobie, by mogła znieść ciemność, ciasnotę i cuchnące powietrze.

Pomógł jej przejść na tyły szopy, w miejsce niewidoczne od strony rzeki. Oboje osunęli się na ziemię, dysząc, i oparli się o szorstką ścianę, zachwyceni tym, jak sucha jest ziemia. Una przypomniała sobie dalszą część planu i pomyślała niemal z ulgą: Przecież nie zdołam się poruszyć. Byłoby tak przyjemnie, gdyby nikt nie spodziewał się już po niej niczego.

- Uno... dziękuję... bardzo dziękuję - powiedział Sulien powoli, objął ją i przytulił. Splotła luźno ręce na jego plecach i spojrzała na ścianę nad jego ramieniem, nieco zasmucona. Nie chciała, żeby jej dotykano, nawet przypadkiem muskano ramieniem, jeśli dałoby się tego uniknąć. Ale teraz zdała sobie sprawę, że miała nadzieję, iż po ucieczce z Dzielnicy Lupanarów poczuje się inaczej. I było inaczej. Czuła tylko łagodną klaustrofobię, nie obrzydzenie. Może to jakiś początek.

Puścił ją i zauważyła, że jest bledszy niż do tej pory. Pochyliła się i zaczęła krztusić, bo resztki wody chciały się wydostać z jej płuc. Ale kiedy odzyskała oddech, zdała sobie sprawę, że już nie dygocze, i choć zmęczenie nadal ją przygniatało, poczuła, że może wstać i iść. I zrozumiała, co zrobił.

- To ty, prawda? - spytała.

- Niewiele zdziałałem. Potrzebujesz jedzenia, snu i czystej wody. - Zamknął oczy.

- Nie prosiłam o to - rzekła zimno.

Otworzył oczy i spojrzał.

- Musiałem, czyż nie? W takim stanie daleko byś nie zaszła.

- Poradziłabym sobie - oznajmiła wbrew zdrowemu rozsądkowi - a teraz to ty jesteś zmęczony. Nie uprzedziłeś mnie.

- Chciałaś być chora? - spytał rozdrażniony. - Potem byłoby dużo gorzej. W tej wodzie pływają różne świństwa. Poza tym uwolniłaś mnie. Musiałem.

Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się głupio. Nie wiedziała, dla-

czego czuła się tak znieważona, zapewne chodziło o to, że ktoś inny podjął za nią decyzję, choćby raz i z dobrych pobudek. A ona nawet nie zauważyła, co się dzieje.

- Powinieneś mnie uprzedzić - oznajmiła, niezdarnie siląc się na życzliwszy ton.

- Masz rację - przyznał, nadal trochę rozdrażniony.

- No i dziękuję - dokończyła nieporadnie.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Jak mnie uwolniłaś? - Potem zerknął na swój przemoczony więzienny strój i spytał: - Co teraz?

Wstała, rozejrzała się nieufnie i weszła do szopy. Rozległ się szczęk i chrobot i po chwili wyłoniła się, ciągnąc czarną torbę podróżną. Otworzyła ją, w środku były schludnie złożone ubrania i szmatławe ręczniki.

- Nie mogłam zdobyć butów - rzekła. - Mam nadzieję, że to nie problem. Pójdziemy do Dubrisu, przez tunel. Nie znam Galii. Nie wiem, dokąd iść. Po prostu jak najdalej. Od dziś trudno nam będzie podróżować.

- Ale przecież bez obywatelskich dokumentów nie można się poruszać.

Otworzyła kieszeń z boku torby.

- Tylko to ukradłam.

Znowu była zła, lecz nie na niego. Podała mu cienki plik niebieskich obywatelskich dokumentów, schowanych w plastikowym portfelu. Wyjął je i spojrzał na spis bezbarwnych faktów i wizerunek bezbarwnej twarzy.

- To ty - oznajmiła, a następnie szybko wygarnęła stertę ubrań z torby i rzuciła mu. Mężczyzna ze zdjęcia był o dziewięć lat starszy od Suliena i oprócz nieco podobnej karnacji w niczym go nie przypominał. - Nie zauważą - dodała. Miał powiedzieć, że to niemożliwe, a potem przypomniał sobie, że nikt nie spostrzegł, jak skoczyli do rzeki. - Tak - przyznała ze zmęczeniem, odpowiadając na tę myśl. - Ja się tym zajmę.

Ona także miała plik żółtych dokumentów wyzwoleńczych, ale nie pokazała mu ich.

Był równie wytrącony z równowagi jak ona przed chwilą, lecz nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Pospiesznie przebrali się w szopie. Ubrania były tanie i brzydkie, i trochę za małe na Suliena. Una miała na sobie absurdalnie kusą zieloną letnią sukienkę w blade, rzadko rozrzucone gwiazdki, ale teraz przebrała się w strój tak bezkształtny, że kogoś

niższego od niej połknąłby zupełnie: długą tunikę wypuszczoną na luzne si- noańskie spodnie, które od niedawna zaczęły nosić kobiety. Wszystko było utrzymane w szarości wysysającej resztki koloru z jej jasnych włosów i skóry.

Przemoczoną sukienkę owinęła w ręcznik i spakowała, ale Sulienowi kazała obciążyć strój więzienny cegłami, zanim wrzucił go do Tamizy. Ledwie zabrał się do roboty, kiedy odebrała mu odzienie i sama się nim zajęła, zarzucając bratu powolność i niedokładność. Ubranie mogło wypłynąć, a wówczas wigilowie by się zorientowali, na którym odcinku rzeki nastąpiła uciezka. A może jednak ktoś ich widział? Następnie wyjęła zawiniątka z pieniędzmi i po krótkim wahaniu dała jedno Sulienowi. Wiedziała, że najbezpieczniej będzie się nimi podzielić równo, ale nie potrafiła się pozbyć strachu, że Sulien zgubi wszystko, co z takim trudem oszczędzała. Już to wiedziała, te pliki pieniędzy wypadające z jego kieszeni - byłyby niczym sygnały dymne - podczas gdy on wędrowałby niewinnie przed siebie. On nie wie tego co ja, pomyślała, nie ma pojęcia o planowaniu i dochowywaniu tajemnicy.

- Uważaj na to - przykazała, posyłając mu surowe spojrzenie. Potem związała włosy w nadziei, że dzięki temu mniej będzie się rzucało w oczy, że są wilgotne.

Sulien był trochę zdesperowany. Była od niego o rok młodsza, a traktowała go jak kłopotliwe dziecko. Ale te pieniądze należały do niej i zdziwił się, że jest ich aż tyle, zwłaszcza że, jak twierdziła, nie ukradła nic prócz dokumentów. Kiedy ją o to spytał, odparła:

- Są moje, i tyle.

Przed wymarszem wyjęła z torby słoiczek gęstego podkładu. Początkowo go to zdziwiło, bo wszystkie inne bagaże były tak rygorystycznie funkcjonalne, ale potem zobaczył, że Una bez lusterka rozsmarowuje fluid na posiniaczonej stronie twarzy. Nie użyła innych kosmetyków, przez co jej twarz nabrała martwego woskowego wyglądu.

- Te siniaki - odezwał się. - Mógłbym...

- Już nie bołą.

- Ale każdy się zorientuje, że jesteś niewolnicą. Wolna dziewczyna nie byłaby taka posiniaczona. - Łypnęła na niego ponuro i pokazała podkład na opuszkach palców. - A to coś wygląda dziwnie. Rzuca się w oczy - dodał przemyślnie, bo widok tych siniaków naprawdę go niepokoił...

nieustannie miał ochotę dotykać własnej twarzy.

Tym razem wiedziała, dlaczego nie chce, żeby coś z tym zrobił, choć to naprawdę nie miało sensu: bo jeśli ktoś cię uderzył, powinny zostać siniaki. W przeciwnym razie czy można ufać wspomnieniom? Ale to było idiotyczne, więc niechętnie odwróciła do niego twarz, zamknęła oko i lekko się wzdrygnęła, gdy położył palce na jej powiece i kości policzko^{wej}.

- Nie potrafię sprawić, żeby wszystko znikło - powiedział. - Nie potrafię cofnąć czasu i sprawić, żeby to się nigdy nie zdarzyło. Teraz będą się mniej rzucać w oczy, a jutro znikną. To tyle.

Zobaczył wylew pod jej skórą, zapędził go z powrotem w tkankę, a Una poczuła, że siniaki rozbłyskują i bledną. Tak jakby małe ciężarki na mięśniach jej twarzy straciły wagę.

Wyruszyli z przystani w głąb Londynu. Sulien nagle poczuł, że to miasto jest mu obce. Każdy znajomy dźwięk i kolor był nieprawdopodobny i niewłaściwy, nawet twarze wyglądały odrobinę dziwnie. To nie była paranoja, tłum na moście Londyńskim nie wydawał się groźny ani też Sulien nie odnosił wrażenia, że wszyscy na nich patrzą. Nie, ale czuł się, jakby był - i był - zupełnie inny niż wszyscy idący tym mostem, wszyscy, którzy nie patrzyli na niego złowrogo, ale bezmyślnie ufali, że jest taki jak oni - niesłusznie. Czuł się samotny.

Widział, że Una usiłuje zachowywać się nonszalancko i że jest przyzwyczajona do przemykania się ulicami z dala od ludzi. Ale wydawało mu się, że sam robi lepsze wrażenie, bo przynajmniej wiedział, jak to jest iść przez Londyn zupełnie spokojnie. Una nawet nie wyglądała przeciętnie. Jej szare ubrania były zbyt neutralne, niedbały wyraz twarzy do niej nie pasował. Trochę za bardzo unosiła ramiona i ciągle zaciskała szczęki.

Z mostu widać było rząd stalowych krzyży, łódź kohorty sunącą pospiesznie rzeką i uzbrojonych żołnierzy na pokładzie.

Idąc przez miasto, niewiele się odzywali, zarówno ze zmęczenia, które zaczęło ich ogarniać, jak i dlatego że nie przychodziły im do głowy żadne neutralne tematy. Mówili tylko wtedy, gdy Sulien dziękował Unie, co robił dość często. Podziękował jej, kiedy wyruszyli i kiedy minęli krzyże, co Una uznała za dość irytujące, i znowu, kiedy dotarli do białej i lśniącej stacji magnetoru Nowiusza Faustusa. Una jeszcze nigdy nie była wewnątrz i oszołomiła ją jej przestronność i piękno, kolumny lśniące jak ogromne sople pod śnieżnym sufitem, rzędy smukłych pociągów, spoczy-

wające przed nimi niczym srebrne naszyjniki w szkatułce. Potem, wysoko nad ich głowami, dostrzegła małą grupę niewolników wiszących na zawrotnej wysokości między kolumnami w kącie. Polerowali mleczne ściany.

Sulien uparł się, żeby kupić jedzenie, zanim ruszą dalej. Una stanęła w kolejce po bilety i nagle poczuła się porzucona, co ją zdumiało. Nie powinniśmy się rozdzielać, pomyślała, posyłając kasjerowi uśmiech. On nie wróci, zrobi jakieś głupstwo. Coś się wydarzy.

Ale nic się nie wydarzyło. Sulien wrócił z jedzeniem - idiotycznie wielką ilością, jak się jej wydawało - i znowu jej podziękował. Pomyślała, że zamiast podziękowań wołałaby przeprosiny. Ale niespodziewanie uśmiechnęła się do niego, a on się zdziwił, jako że już przyzwyczał się do jej kamiennej lub srogiej twarzy.

Zanim wyruszyli w stronę lśniących pociągów, Sulien wziął swoje obywatelskie dokumenty i szepnął:

- A jeśli ktoś zgłosił ich kradzież?
- Zabrałam je tydzień temu - odparła. - Na razie nie były właścicielowi potrzebne. Dlaczego miałyby się zorientować, że znikły?
- A twoje?
- Zasadniczo nie są kradzione - oznajmiła.

Trochę się jednak niepokoiła. Uznała, że w oczach kogoś, kto się nie zastanawia lub nie przygląda zbyt uważnie, Sulien mógłby ujść za dwudziestoparolatka, lecz choć sama sobie zawsze wydawała się starsza, niż była, papiery wyzwoleńcze należały do kobiety trzydziestojednoletniej i nikt by nie uwierzył, że to ona. Nie miała powodu podejrzewać, że nie zdoła odwrócić uwagi od swojej twarzy i dokumentów, lecz gdy podeszli do kontrolerów, bała się bardziej niż w kokpicie czy gdziekolwiek indziej. Mieli tak wiele do stracenia.

Kiedy Sulien podał dokumenty i bilety, usłyszał, jak Una oddycha głęboko, i ujrzał, że tak jak zapowiedziała, kontroler rzucił tylko okiem na kolor i kształt dokumentów, nie interesując się szczegółami - i już szli do pociągu, który powiezie ich do Galii. Niemal natychmiast po wyruszeniu Una osunęła się na siedzenie z zielonej skóry i zapadła w głęboki sen.

Pociąg mknął tak szybko, że Londyn i krajobrazy za oknem rozmasały się w niepokojącą mgłę. Pół godziny później zatrzymali się w Dubri- sie, co obudziło Unę, a potem śmignęli dalej, przez chwilę sunęli pod wodą,

jak igła pod materiałem, i wynurzyli się w Arras, by skręcić na południe do Galii. Kupili bilety za tyle, ile mogli wydać, aż do Lemovices, którego żadne z nich nie знаło.

Una znowu zasnęła, a Sulien wyglądał przez okno. W miarę jak zapuszczali się na południe, płaskie pola zaczęły falować, rozjaśniać się i nabierać chłodnego błękitu lawendy pod rozpalonym niebieskim niebem. Nie był aż tak zmęczony, żeby spać. Zjadł trochę chleba i pikantnej kiełbasy i chciał, żeby Una się obudziła. Jednak pożałował tego pragnienia, kiedy na nią spojrzął: sen usunął napięcie i wyglądała ładnie, o wiele łagodniej. Pomyślał: to prawdziwa ona, zawsze miałem rację. Teraz wisiałbym nad Tamizą, choć jeszcze nie martwy, o nie, jeszcze nie. Uśmiechnął się, bo tak się nie stało, ale i zadygotał i znowu zacisnął dłoń wokół przegubu, ugniótł ciało kciukiem. Nie wiedział, że ten czyniony w chwili zdenerwowania nieświadomy gest pozostanie z nim do końca życia.

Pociąg zatrzymał się w Aurelianum i Una obudziła się, myśląc: Zasnęłam, popełniłam straszny błąd, oni go zabili. Ale za oknem ujrzała ruchomy błękit, a Sulien przesunął po stoliku w jej stronę torbę zjedzeniem. Uśmiechnęła się do niego z niedowierzaniem. On naprawdę tu był. Ponownie jej podziękował.

- Och, przestań - burknęła i znowu się uśmiechnęła.

Rozłożył na stole kiełbasę i chleb, butelkę wody, potrawkę z królika w lubczyku, ser. Jadła powoli, jako że początkowo zmęczenie przyćmiewało głód, ale wkrótce odzyskała apetyt, a posiłek okazał się dobry.

Zaczekał, aż skończyła. Nie wiedział, o co spytać najpierw.

- Coś zrobiłaś tym żołnierzom - zaczął ostrożnie - i ludziom na rzece, i temu kontrolerowi.

- Prawie nic - odparła. - Coś, co mogli zrobić sami. Po prostu... rozproszyłam na chwilę ich uwagę, na chwileczkę.

- Znasz wszystkie moje myśli?

Zamilkła. Jeszcze nigdy tego nikomu nie wyjaśniała.

- Nie. Nie, chyba że... nie.

- Chyba że? Czyli możesz poznać?

- Nie, naprawdę. To by było zbyt trudne. Jest ich za dużo. - Urwała i skupiła się. - Nie. Nie tłumaczę jasno. - Znowu urwała. - To odczucie. Myśli się pojawiają. Zawsze. Chyba że... - Zamknęła oczy, zmarszczyła brwi. -

Mogę... je odepchnąć. Proszę. Teraz jestem tylko ja. - Znowu otworzyła oczy i westchnęła.

- Naprawdę coś widzisz? Na przykład kolor?

- Nie. - Spróbowała wyrazić to inaczej, lecz nie umiała znaleźć odpowiednich słów. - Nie, raczej słyszę, albo... albo czasami mi się wydaje, że to jak temperatura powietrza. Ale tak naprawdę to wszystko nie to. A tuż za tym... - rozpostarła palce, jakby usiłowała dotknąć czegoś delikatnego i umykającego - jest kształt... jakbym słyszała rozmowę, ale nie rozróżniała słów, jednak i tak wiedziała, czego dotyczy.

- Mówisz o ludzkich myślach.

- Tak, ale to nie są myśli, chyba że się skoncentruję. Myśli nie są jak przemowa. W połowie przypadków to bełkot. To łatwe, to prawie... ulatuje, ale im bardziej jest skomplikowane, im bardziej chcę to zobaczyć, tym staje się trudniejsze i nie do zniesienia, nie potrafiłabym tak długo.

Trochę odzyskał pewność siebie, ale przypomniał sobie, że jakby odpowiedziała na myśli, których nie ubrał w słowa.

- Wtedy w szopie?

- Chodziło w równym stopniu o to, że przestałeś mówić, jak o inne rzeczy. I jak wyglądałeś. Czasami dostrzegam różne rzeczy bez wysiłku, to bardzo... wyraziście, albo jeśli ktoś nie potrafi myśleć o niczym innym. I chyba niektórzy są bardziej... bardziej przejrzysti. Nie wiem. Ale tak naprawdę wszyscy to robią, prawda? Prawie każdy to potrafi.

- I dajesz słowo, że nie spróbujesz tego więcej ze mną...

Spuściła oczy i powiedziała spokojnie:

- Już to zrobiłam. Na łodzi, zanim się dowiedziałeś, że się na niej znajduję.

Trochę się zirytował.

- Dlaczego? Masz tego więcej nie robić, nigdy.

- Musiałam - powiedziała cicho, nadal na niego nie patrząc. - Chciałam się dowiedzieć, czy się nie pomyliłam. Widzisz, gdybym... Widzisz...

- Głos jej ucichł do szmeru. - Byłam pewna, że... nie zgwałciłeś tej dziewczyny...

Zamilkli.

- W porządku - rzekł w końcu z wysiłkiem. - Pewnie naprawdę musiałaś. - I dodał niemal wbrew własnej woli: - A gdybym był winny... co byś zrobiła?

- Nie wiem - odparła. Zaciśnięte pięści trzymała na kolanach. Nagle podniosła je i gwałtownie potarła twarz. - Nie wiem. W ogóle nie chcę o tym myśleć.

- Skąd się o mnie dowiedziałaś?

- Podawali w wiadomościach. Mała wzmianka. Tylko twoje imię - rzuciła szorstko i nagle syknęła: - Dlaczego zrobiłeś coś tak głupiego? Zawsze zamierzałam cię odnaleźć, od lat to planowałam... Ale mogliśmy się po prostu wymknąć, byłoby inaczej. Co teraz nas czeka? Zawsze będą cię szukać. Zawsze będziemy się ukrywać, a nie mamy gdzie, prawda?

- Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie - wymamrotał zbity z tropu. Z poczuciem winy przypomniał sobie Tancorix mówiącą, że robią najgorszą z możliwych rzeczy.

- Powinieneś myśleć - powiedziała z goryczą. - Na pewno zdawałeś sobie sprawę z ryzyka. I dla kogoś takiego...! Kochałeś ją? - spytała z niesmakiem.

- Nie - odparł słabo. - Chyba nie.

- To dlaczego... - Urwała i zadygotała.

Nie potrafił odpowiedzieć, że Tancorix była bardzo pociągająca.

- Przepraszam - rzekł bezradnie.

Skinęła krótko głową. Nie dowierzała sobie na tyle, żeby się odezwać.

- Ja też zawsze chciałem cię odnaleźć. Szukaliśmy cię. Gdzieś ty była tyle czasu?

Jej usta rozchyliły się i zadrżały. Oddech jakby ugrzązł w gardle.

- Szukałeś mnie? - spytała ledwie słyszalnie.

- Oczywiście. - Nie rozumiał, dlaczego jest tak wstrząśnięta. - Wymogłem na Catavignusie obietnicę, że... że cię kupi. Wiedzieliśmy, że byłaś w jakiejś fabryce, a potem w czyimś domu... ale nigdy cię nie znalazł, więc miałem nadzieję, że sam to zrobię, kiedy dorosnę i zostanę wyzwolencem. Wiedziałem, że cię znowu zobaczę.

- On cię chciał wyzwolić? - Słuchała go z coraz większą zgrozą. - I zrobiłby to... i szukał mnie tylko dla ciebie?

Myśl o Catavignusie sprawiała ból.

- Był... zawsze dobry, dopóki... nie wiem, co teraz o nim myśleć. A to co? - Zbyt późno podniosła palce, by wytrzeć łzę, która wymknęła się spomiędzy nich.

- Wiedziałaś, gdzie jesteś - szepnęła. - Mówisz, że wystarczyłoby

tylko wejść do tego domu?

Zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

- Wiedziałaś, że Catavignus cię kupił - zająknęła się. - Wszyscy to wiedzieli. Przez jakiś czas byłeś sławny.

- Ale nie mogłabyś się tam dostać... - zaczął.

- Mogłam! Raz uciekałam z... z domu, poszłam i... stanęłam przed drzwiami.

Odebrało mu mowę. Wyciągnął do niej rękę, ale cofnęła się tak gwałtownie, że i on się cofnął.

- Dlaczego nie weszłaś? - spytał cicho.

- Odesłaliby mnie i wszystko byłoby na nic - załkała. - Miałam dwanaście lat! Wtedy by się zorientowali, kim jestem, i... moi właściciele nigdy więcej by mi nie zaufali, a potem zrobiłoby się jeszcze trudniej. W ogóle nie powinnam tam chodzić, tak wtedy myślałam. Bo zawsze chciałam, żebyśmy uciekli, a wtedy to było niemożliwe, nie miałam pieniędzy i byliśmy zbyt młodzi. Gdybym wiedziała?!

Chciał ją objąć, ale skuliła się daleko od niego, pod oknem.

- Nie mogłaś zobaczyć... ?

Pokręciła głową.

- Wtedy niewiele potrafiłam. Ale patrzyłam... na pewno nie widziałam nic takiego.

- Nie - powiedział smutno. - Jeśli miałaś wówczas dwanaście lat, to już przestaliśmy cię szukać.

Z trudem się opanowała i uśmiechnęła sarkastycznie.

- Nieważne. Nie wiedziałam. I tak nie chciałam, żeby kupił mnie jakiś miły człowiek, który by się mną opiekował. Patrz.

Przesunęła po stole żółte dokumenty wyzwoleńcze. Sulien otworzył je i poczuł na skórze jakby zadraśnięcie, choć sekundę przedtem zrozumiał, że to imię należy do jego matki, ta twarz jest jej twarzą. Tak, tak właśnie wyglądała. Nie zapomniał aż tak dużo.

Nie było sensu czekać na jakieś mocniejsze uczucia do niej. Nie istniały.

- Biedna - powiedział do zdjęcia. Złożył dokument delikatnie i wsunął do kieszeni, bo widział, że Una nią gardziła.

- Rodzina, dla której pracowałam - zaczęła Una ostrożnie - sprzedała mnie, gdyż pewnego dnia zrozumiałam, że nie mogą mnie do niczego

zmusić. Rozumiesz? Pomyślałam, że mogą zrobić ze mną, co chcą, ale te schody czy cokolwiek innego nie będą sprzątnięte, nie przeze mnie, chyba że sama tak postanowię. Mówili „musisz”, ale nie musiałam. Więc postanowiłam, że tego nie zrobię. Bardzo się na mnie złościłi, ale ja byłam prawie... zadowolona.

Rozumiał, o czym mówiła, ale było w tym coś mrozącego krew w żyłach. Może nie miał jej daru, ale wiedział, że ukarali ją surowo i że zdecydowała się na ten gest protestu bez powodu, dla samego gestu. Nie mieściło mu się w głowie, że sam mógłby tak pomyśleć, nie mieściło mu się w głowie, że mógłby nie chcieć ludzkiej sympatii.

- Sprzedali mnie więc i zachowywałam się tak samo, i było bardzo źle. A potem pomyślałam, że dobrze jest poznać taką niedolę, ale to mi nie pomoże, i jeśli dalej będę tak robić, to pewnego dnia ktoś mnie zabije. Doprowadzałam ludzi do wściekłości. Później dla odmiany bardzo starałam się być... udawać, że jestem dobra. - Znowu sarkazm. - I wówczas, to się chyba zaczęło, kiedy miałam jedenaście lat, zaczęłam rozumieć, co ludzie o mnie myślą i czego ode mnie chcą, i było łatwiej. Zaczęli mi ufać. Skłoniłam ich, żeby mnie lubili.

- Ja też chyba tak robiłem - przyznał, myśląc niespokojnie, w jaki sposób uzyskiwał obietnice Catavignusa. Ale na pewno nie był tak wyrachowany.

- Tak - rzekła i odrobinę złagodniała. - Zaczęli mnie częściej wypuszczać na zakupy i z rzeczami do czyszczenia lub żebym załatwiła jakieś drobne sprawy. Wiedzieli, że wrócę. I tak wypuszczałam się na coraz dłużej i dłużej. A ja wracałam. Wracałam do matki.

- Było jej dobrze? - spytał.

Spojrzała na niego, zdziwiła się i znowu powtórzyła w myślach słowo „niewinny”. Z jakiegoś powodu przyszła jej na myśl nieskazitelna biel i srebro stacji Nowiusza Faustusa, z której wyruszyli i gdzie nigdy nie osiadał kurz.

- Tak, nie była chora ani nic. Była taka sama jak zawsze. Nie pamiętasz?

- Nie. Niewiele pamiętam z tamtych czasów. Tylko ciebie. Dlatego tak mi jej żal.

Westchnęła i pomyślała: No cóż, dobrze, że taki jest, przecież nie chcę, żeby był niedobry lub nieszczęśliwy.

- Zostaliśmy wyzwoleni - powiedziała. - Cieszyliśmy się wolnością przez jakieś dziesięć minut dzięki testamentowi ojca. Wszyscy. Dlatego miała ten dokument. Ale była tak słaba, że potrafiła być tylko niewolnicą, nie umiała pracować za zapłatę i bała się. Lubiła stanowić czyjąś własność. Chciała nowej rodziny. Czy wiesz, że to byli nasi krewni? Tak pragnęła, żeby ją zatrzymali, że kiedy nie mogła nas mieć przy sobie, sprzedała nas Rufiusowi. Albo pozwoliła im nas sprzedać, nie wiem na pewno. Czy teraz też...?

Ale urwała, bo nie mogła spytać, czy dalej się użala nad tą biedną, przerażoną kobietą.

- I była dokładnie taka sama - powiedziała. - Powiadomiłam ją, gdzie jestem i jak mi się tam wiedzie, i zaproponowałam: Chodźmy razem. Zabierzemy Suliena. Pójdziemy gdzieś i będzie dobrze. Ale ona nie chciała. Ciągle mi powtarzała, że mam wracać, że tak będzie lepiej, albo że nie może być tak źle, jak myślę. W końcu zaczęłyśmy na siebie krzyczeć i powiedziałam: Daj mi przynajmniej swoje dokumenty, tobie niepotrzebne, ty stąd nigdy nie odejdziesz. Dała tylko dlatego, że tak nawykła do posłuszeństwa. Ale potem ci nowi ludzie... jej właściciele... wrócili i ona im wszystko wyznała, choć jej ufałam, wygadała im, skąd przyszedłam, a oni mnie odprowadzili i...

Dotknęła twarzy, ale siniaki były prawie niewidoczne.

- W każdym razie długo odzyskiwałam ich zaufanie. I dlatego nie weszłam do domu Catavignusa.

Spojrzała na pola lawendy i pomyślała o bieli - płatków śniegu, migotliwym i wirującym, rozrastającym się w łagodną zadymkę, bezgłośnie eksplodując.

- Była taka młoda - rzekł łagodnie Sulien, dotykając kieszeni z dokumentem. - Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Musiała mieć... piętnaście lat, kiedy mnie urodziła.

Skinęła lekko głowę.

- Dlaczego ciągle mówisz „oni”? - spytał. - O kim mówisz? Gdzie byłeś, kiedy nie mogliśmy cię znaleźć? I skąd masz tyle pieniędzy?

- Teraz to nieważne, prawda? - ucięła.

Zapadło krępujące milczenie i tym razem ulżyło mu, że znowu zasnęła. Wyobraził sobie mapę świata i Rzym rozparty na niej jak odpoczywający kot, od Persji po zachodnie krańce Terranowy. Znali tylko łacinę, a

Una miała rację, nie istnieje na świecie takie miejsce, gdzie byłoby bezpiecznie.

Na pagórkach mknących za oknami rosły oliwki i oleandry, a choć powietrze w pociągu było mechanicznie chłodzone, już teraz czuł ten złocisty upał na dworze i przecież mógł już nie żyć, ale żył. Nie potrafił być nieszczęśliwy.

Było dobrze. Kupowanie jedzenia zawsze wiązało się z ryzykiem i wzbudzało w nim niepokój, dlatego decydował się na to rzadko. Z tego powodu, a także przez ciągły marsz, kości zadziwiająco szybko zaczęły się mu rysować pod skórą. Z każdym dniem czuł się trochę mniej namacalny. Pierś miał zapadniętą; gdy zginał rękę, czuł ostre łokcie, w dotyku przypominające krzemienie. Przez przezroczystą skórę i sztywną, robiącą wrażenie ciemnej szczecinę na głowie widział już całkiem wyraźnie zarysy czaszki. Na twarzy miał także rzadszy, jaśniejszy zarost. Przyszło mu na myśl, że powinien znowu ogolić głowę. Na jakiś czas zostawił zarost w spokoju, ale broda najwyraźniej nie chciała wyrosnąć. Powieki miał trochę opuchnięte, a nad rzęsami widać było siatkę drobnych fioletowych żyłek. Pod oczami z kolei miał ciemne sińce, zupełnie jakby odciśnięto mu tam kciuki. Od trzynastu nocy nie sypiał zbyt dobrze.

I nie wyglądał teraz jak na zdjęciach w arkuszach wiadomości, na wielkim ekranie nad areną wyścigową czy gdziekolwiek indziej. Albo na tej fotografii, którą trzymał w rękach. Spojrzał z satysfakcją na swoje odbicie w oknie samochodu i pomyślał, że z całkiem sporym prawdopodobieństwem nie jest tą osobą. To dobrze.

Nigdy by nie pomyślał, że pokażą tyle zdjęć i że ludzie będą się tym tak fascynować. Tego pierwszego dnia powłókł się przez Nemausus i wszędzie czuł się na szczęście dość anonimowo. Pomimo czekających go mil marszu zaczął ze swej wędrówki czerpać głęboką, satysfakcjonującą przyjemność. Po raz pierwszy w życiu mijał sklepy i stragany i nikt na niego nie patrzył.

Potem po południu gruchnęła wieść o jego zniknięciu i jakby wyzwoliła drzenie, które się nie uspokoiło. Wszędzie słyszał swoje imię; z trudem się zmuszał, żeby odruchowo się nie oglądać. Widział ludzi dumających nad jego zdjęciem, z rękami przy ustach. A najgorzej było, kiedy dwie kobiety wypadły z tawerny z dzikim spojrzeniem i zderzyły się z

nim. Gdy się zatoczył, jedna - ciemnowłosa i kędzierzawa - chwyciła go za ramię i zawołała:

- Ty! Wiesz, że porwano Marka Nowiusza? Syna Leona?
- Nie, on uciekł! - poprawiła ją druga. - Straszne, co? Akurat po wypadku!

Były niemal rozradowane. Nie wiedział, co odpowiedział ani co o nim pomyślały.

Tej nocy nie ośmielił się szukać noclegu i spędził bezsenłą noc na ławce w pobliżu świątyni Diany. Następnego ranka dowiedział się - a prócz niego wszyscy inni - że każdy, kto go znajdzie, otrzyma pięćset tysięcy sestercji.

Jedynym plusem tych wiadomości było to, że zdał sobie sprawę, iż szukają go wszędzie - w Italii, Hierozolimie, a paru rzymskich Terranowian uważało, że widzieli go w Cezarei Incarum. Często się zastanawiał, kogo naprawdę widzieli ludzie albo ilu jest na świecie podobnych do niego chłopców.

Odwrócił się od samochodu, wszedł w boczną uliczkę. Niemal zawsze chodził zgarbiony, ze spuszczoną głową. Stał dyskretnie w bramie, podarł na paski plakat z Markiem Nowiuszem, skręcił je, włożył do ust i żuł, aż stały się plastyczne i miękkie od śliny. Wtedy wypchał nimi policzki, ubił je pod górną wargę. Pewnej nocy w noclegowni pod koniec pierwszego tygodnia ucieczki, kiedy marzył głównie o tym, żeby wyglądać inaczej, po paru eksperymentach nauczył się poprawiać swój wygląd. Zauważył, że jeśli włoży cokolwiek pod dolną wargę, osiągnie jedynie efekt wyraźnej deformacji, ale wypełnienie miejsc pod kośćmi policzkowymi nieco zmienia linię jego ust i sprawia, że górna warga lekko się podwija, wskutek czego wydaje się węższa. Z zaskoczeniem przekonał się, iż to nie wpływa na jego wymowę. Nie wiedział, jak długo czegoś takiego ludzie nie dostrzegą, ale przynajmniej poprawił sobie samopoczucie. Niekiedy czuł, że ten mocny napór na jego dziąsła jest nawet kojący. Utrzymywanie mokrego papieru w jednym miejscu przez dłuższy czas byłoby niezdopuszczalne, ale sprawdzało się, gdy musiał z kimś porozmawiać, tak jak w tej chwili.

Był jeszcze mały, kiedy zaczął się zastanawiać, jak to jest być obłąkanym i jak odróżnić normalną myśl od zdeformowanej. Teraz od tego nieustannego strachu i czujności jeszcze gorsze było przekonanie, że ten

strach jest najwyraźniej nienormalny. Udawać, że nie jesteś sobą, chodzić wśród gapiów na ulicy w nadziei, że nikt nie spojrzy uważnie na twoją twarz, wierzyć, że uciekasz ze swojej ojczyzny przed mordercami - szaleńcy na pewno właśnie tak myślą i postępują. Co więcej, każdy powtarzał lub sugerował, że Marek - ten prawdziwy rzymski Marek, a nie włóczęga - oszalał lub przeżył jakieś załamanie. Czytał, że ponoć był „zdruzgotany po śmierci rodziców”, a dalwizory w sklepach zawsze pokazywały zdjęcia z pogrzebu, tego dalekiego Marka szarpiącego się z Lucjuszem, a potem płaczącego. Pisano także inne rzeczy, niepokojące, o tym, że ktoś sprowadził Marka Nowiusza do domu i pomógł mu, że rodzina obawia się o jego zdrowie. Pokazywanie wuja Lucjusza stanowiło jedyny dostępny prasie sposób wspomnienia o kłątwie Nowiuszów, ale Marek był pewien, że wszyscy o tym myślą. I choć przejrzał niezliczone wizerunki tej twarzy, która nie przypominała już jego, nigdy nie natknął się na wzmiankę o Wariuszu ani o śmierci Gemelli. Czasami wydawało mu się, że ufanie własnym wspomnieniom jest idiotyczną arogancją, skoro wszystko na zewnątrz krzyczy, że się myli, że to, co go spotkało, wcale go nie spotkało, i że nie ma żadnych wrogów, przed którymi musi się ukrywać. Ale potem przypominał sobie ciało Gemelli miotane konwulsjami na posadzce i zdruzgotany dziwił się, jak mógł zwątpić w to, czego się dowiedział tej strasznej nocy, i jeszcze bardziej bał się o Wariusza. Zdał sobie sprawę, że instrukcje wydano prasie w sposób bardzo inteligentny: nie tylko spowodowano, że wszyscy zaczęli go szukać, ale jeszcze sprawiono, że nikt mu teraz nie uwierzy. Nawet gdyby chciał, nie mógłby nikogo poprosić o pomoc ani schronienie.

Ale czasami nawet te myśli wydawały się dowodem na paranoję i manię wielkości. Szaleństwo.

Zaczęło się ściemniać, a on był w Tolosie od kilku godzin. Od trzech nocy nie sypiał w łóżku, bo za noclegi trzeba było płacić, a także dlatego że znajdował się w terenie, między miastami, no i również ze względu na to, co mu się przydarzyło ostatnio. Ale teraz stał się nieco odważniejszy, a poza tym tak bardzo chciał przespać się w łóżku, za zamkniętymi drzwiami. Już znalazł małą zatechłą karczmę na skraju miasta, zajrzał do środka i spojrzał tęsknie na płaskie wąskie łóżko w pokoju na poddaszu. Porozmawiał ostrożnie z karczmarką: przedstawił się jako Pollio, czeladnik szklarza z Rutheny. Powiedział, że pokłócił się z nim i nie chce wrócić

do rodziców, bo by się na niego pogniwiali - czy w Tolosie nie ma jakiejś roboty?

Chodząc po mieście, dopracował resztę szczegółów z życia Pollia, prawdopodobnie więcej, niż mu potrzebne. Przynajmniej miał o czym myśleć. Teraz musi się tylko pilnować, żeby nie wyrecytować wszystkiego naraz. Rozmawiając, dyskretnie obmacywał kieszenie i zorientował się, że niewiele mu pozostało pieniędzy - jeśli chciał przenocować, musiał coś sprzedać. Poprosił karczmarkę, żeby zarezerwowała mu łóżko, i wrócił do Tolosy o płaskiej i chaotycznej zabudowie, miasta, które przypominało kawałki rozbitego różowego talerza.

Umieściwszy kłęby papieru na właściwym miejscu, przez jakiś czas stał przed sklepem, którego wystawa lśniła mrocznym blaskiem pierścieni i szklanych paciorków. Wydawało się, że to odpowiednie miejsce. Nie wiedział, ile są warte rzeczy w jego plecaku, być może gdyby sprzedał wszystko, mógłby kupić elektryczną birotę i dotrzeć do Pirenejów w trzy dni, zamiast wędrować kolejne dwa tygodnie. Był sfrustrowany tym tempem, ale nie zamierzał pokazać wszystkiego naraz. Będzie ostrożny.. Jeszcze raz przyjrzał się odbiciu swojej wynędzniałej twarzy, sprawdził, czy przez ostatnie minuty nie upodobił się do obecnego siebie. Odetchnął i wszedł.

Zawahał się. Na szklanym kontuarze leżały otwarte stronice arkuszy, a sklepikarz wodził wzrokiem między nim a młodą kobietą i jej matką, które przymierały pierścionki. Kiedy wszedł, kobiety przysunęły się do siebie, a sklepikarz rzucił im zbolące spojrzenie. Pod pewnym względem napawało to otuchą, ale nie poczuł się z tym dobrze. Przesząpił przepraszająco z nogi na nogę, spróbował wyglądać na mniejszego. Zdjął plecak, powoli i ostentacyjnie, żeby nie pomyślały, iż wyciągnie z niego nóż. Namacał chłodne paciorki.

- Jaka szkoda - mówiła dziewczyna. - Jego lubiłam najbardziej. Ale chyba nie chcę, żeby był cesarzem, jeśli będzie zniknął, gdy tylko coś się wydarzy.

- Śmiem twierdzić, że drugi raz tego nie zrobi - rzuciła z roztargnieniem jej matka, przyglądając się badawczo niebieskiemu klejnotowi na palcu. Zastanawiała się, jak poznać, czy to nie niebieskie szkło i czy to ma jakieś znaczenie.

Marek odwrócił się, zeszywniał. Wyszedłby, ale sklepikarz przyglą-

dał mu się podejrzliwie, a teraz wstał i spytał szorstko:

- Chcesz czegoś?

Jego spojrzenie padło na jadeitowe korale między palcami Marka.

- O, jakie śliczne - westchnęła dziewczyna.

- A tak - przyznała kobieta, przyglądając się krytycznie szczerzynie na głowie Marka i jego obszarpanemu ubraniu.

- Mamo, a może byśmy... - zaczęła przymilnie dziewczyna, choć bez większej nadziei, z zachwytem wpatrzona w zielony naszyjnik.

- Wydaje ci się, że wydam na ciebie fortunę? Dostaniesz jeden mały pierścionek.

- A nie mogłabym tylko przymierzyć? Proszę!

- Nie. Poza tym nie wiadomo, skąd są. - Kobieta zmarszczyła brwi i dodała znacząco: - Ani do kogo należą.

- Słusznie - poparł ją sklepikarz, ale i on popatrywał na naszyjnik niemal równie łakomie jak dziewczyna. - Co z nimi zamierzasz zrobić?

- To mojej matki - powiedział Marek, tak jak planował. - Straciła pracę. Chce pan je? Zawsze u nas były. Matka nie mogła przyjść tu sama.

Kobieta wzruszyła ramionami, lekko i sceptycznie, zsunęła niebieski pierścionek z palca i założyła ręce na piersi. Przeniósła oskarżycielski wzrok z Marka na sklepikarza. Dziewczyna skrzywiła się przeproszająco, rzuciła kolejne melancholijne spojrzenie na jadeity i wróciła do stertki biżuterii spoczywającej na kontuarze przy arkuszach sklepikarza.

- Nie skupujemy rupieci od ludzi z ulicy - oznajmił sklepikarz ze skrzepowaniem. - Od tego jest pchli targ.

Marek wzruszył ramionami i już miał się odwrócić, ale zatrzymało go uniesienie brwi sklepikarza.

- Nie rozumiem, jak mógł zawędrować do Lacoty. Myślę, że ludzie tylko tak mówią, żeby zwrócić na siebie uwagę - zauważyła dziewczyna od niechcienia.

- O, na pewno szczerze wierzą, że go widzieli - powiedziała kobieta, nieco spokojniejsza, znowu przebierając w pierścionkach. - Tylu jest jasnowłosych chłopców.

- Pewnie tak - przyznała dziewczyna. Jeszcze raz zerknęła tęsknie na jadeity, które znikły w plecaku Marka, a potem na jego twarz.

- Wiesz, jesteś do niego podobny - rzekła, a tamci dwoje przez chwilę na niego patrzyli - w zamyśleniu, szacująco.

Już mu się to raz zdarzyło. W poprzednim mieście, w noclegowni, znalazł się w pokoju z dwoma turystami, braćmi z Mony, o parę lat od niego starszymi. Przez większość czasu udawał, że śpi, żeby z nimi nie rozmawiać, ale nie chciał też robić wrażenia wyjątkowego odludka, a rano bracia gadali tak głośno, że udawanie, iż śpi, wyglądałoby idiotycznie. Gawędzili o miejscach, które widzieli w Galii, o tym, że tam o wiele cieplej niż w Monie - i nagle starszy chłopak powiedział wesoło:

- E, Pollio, chyba nie jesteś Markiem Nowiuszem, co? Masz identyczny nos.

Przez sekundę nie potrafił wydusić słowa.

- Nieprawda - parsknął młodszy, czym go uratował. - Poza tym Marek Nowiusz nie jest takim obdartusem. Bez urazy, Pollio.

- Chciałbym - wykrztusił Marek. Zaszło mu w ustach i gardle. - Nie musiałbym uciekać. Pomyślcie o tych pieniądzach.

Był ciekaw, czy wygląda tak blado, jak sądził. - Toteż teraz, choć poczuł się, jakby zrobił krok i ziemia wyglądająca na ubitą usunęła mu się spod stóp, był trochę lepiej przygotowany. Uśmiechnął się do dziewczyny.

- Mama zawsze tak mówi. Ale tylko mama.

Ona także się uśmiechnęła, a matka trąciła ją ostrzegawczo. Dziewczyna była ładna i do twarzy by jej było w naszyjniku. Zmusił serce, żeby zwolniło, ręce - żeby przestały się trząść.

Sklepiarz wyszedł zza lady i popchnął go do drzwi, ale jednocześnie wymamrotał mu do ucha:

- Mówiłem poważnie o pchlim targu, idź do mojego szwagra Petrusa. Stragan z czerwonymi flakonami. Jego aż tak bardzo nie interesuje pochodzenie rzeczy.

Odprowadził Marka wzrokiem, a gdy kobiety wreszcie zdecydowały się na pierścienie z granatem i ametystem i wyszły, poszedł do daldictora na zapleczu.

Marek nie wiedział, gdzie szukać pchlego targu, i początkowo szedł tylko po to, żeby uspokoić oddech i tętno. Strąki przemoczonego papieru zaczęły go uwierać. Włożył palce do ust, by je wygarnąć, i przekonał się, że ten nad zębami z przodu trochę się osunął. Może był widoczny podczas mówienia, i kiedy ta dziewczyna powiedziała... przestań, przestań. Pomyślał o łóżku, zamkniętych drzwiach i pieniądzach. Wyrzucił przeżu-

ty papier.

Nie zdobył się na odwagę, by spytać o drogę, ale bez większego trudu odnalazł pchli targ. Przeszedł pod mroczną kopułą świątyni górującej nad płaskim miastem, za platanami i kominami, a potem, wahając się, gdzie się skierować, bo tyle było krętych uliczek na małym placu w kolorze papryki, dostrzegł po lewej stronie tłum. Zbliżył się i przekonał, że ulica gładko rozszerzała się w bazar: mężczyźni i kobiety stali smutni wśród wyłożonych na tacach lub rozłożonych na płachtach przedmiotów: zapalek i zegarków, taniej skóry i srebrnej biżuterii. Dalej znajdował się dach z plastiku i blachy falistej, osłaniający stragany z pstrokatymi ubraniami i książkami z drugiej ręki. Bazar był niczym język wystający z ust wielkiego, wyblakłego na słońcu czerwonego budynku, w którym brzęczało jak w ulu.

Wewnątrz ścieżka rozdzielała się i wiła bezładnie wśród dywanów, dzbanów z czerwonymi i żółtymi przyprawami, stert owoców, znowu ubrań i bel lśniących syntetycznych tkanin. Prawdopodobnie targ był przecięty równą siatką uliczek, ale robił wrażenie chaotycznej królikarni. W powietrzu unosił się przyjemny, pikantny, mieszany zapach soli i karmelu, prażonych orzechów, imbiru, cebuli i smażonego mięsa. Marek z trudem przebijał się przez tłum.

Nie zamierzał szukać straganu z czerwonymi flakonami, ale parę pierwszych straganów jubilerskich, do których zaniósł go tłum, nie wyglądało jak należy: sprzedawano tam same srebrne amulety na rzemykach. Potem natknął się na większy, lśniący światłem odbijającym się w biżuterii i złoceniach, jakby mniejszą i bardziej zatłoczoną wersję sklepu, z którego wyszedł. Były tam bursztynowe krople zwisające ze srebrnych łańcuszków i kolczyków, brosze w kształcie pajaków i - co dostrzegł, przepychając się przez tłum - imitacje egipskich statuetek oraz rodzina wielkich flakonów w kolorze mięsistej czerwieni, w kształcie grubych globów, zrobionych z marmuru lub podobnego kamienia.

Na środku straganu, na drewnianym krześle, siedział w rozkroku mężczyzna. Był masywny i przysadzisty i wyglądałby obco wśród tylu lśniących przedmiotów, gdyby nie roztaczał tak silnej atmosfery właściciela. Na widok Marka wstał i przyjrzał mu się przenikliwie. Młodszy mężczyzna, od niechcenia odkurzający posążek kota, poszedł w jego ślady. Marek przypomniał sobie, że wyjął papier z ust, i trochę się cofnął.

Miał wrażenie, że jego twarz jest naga.

- Ty byłeś w sklepie Gaurusa, tak? Chłopak z jadeitami.
- Tak - przyznał chrypliwie i odchrząknął. - To mojej matki.

Znowu wyjął naszyjnik. Razem z nim wyłonił się sardonyksowy grzebień, zaczepiony ząbkiem o zieloną nić. Marek pospiesznie go odplątał, strącił grzebień do plecaka. Przyszło mu do głowy, że może naszyjnik ma większe znaczenie, niż mu się zdawało, może należy do majątku cesarstwa i wszyscy o tym wiedzą, już go szukają. Ale przecież w arkuszach wiadomości nie było nic na jego temat, a zresztą już za późno.

- O! - powiedział Petrus, uśmiechnął się naturalnie i pokiwał głową. Wyciągnął rękę po naszyjnik, przelał go z ręki do ręki jak płyn. - Twojej matki. Bardzo ładny. Wyjątkowo misterna robota. Twoja matka musi być wielką damą. - I znowu powiódł powolnym spojrzeniem po Marku. Marek miał ochotę zakryć twarz rękami, zrobić maskę z palców.

- Niezbyt - powiedział i przeklął sam siebie. Dlaczego aż tak trzymał się prawdy? Naszyjnik mógł należeć do siostry lub do babki.

- A mnie się wydaje, że jest. Tak sędzę. Dała ci coś jeszcze? Chcesz usiąść i o tym porozmawiać?

- Nie. - Mięśnie mu się napięły, pragnął wybiec ze straganu.
- Cóż - rzucił Petrus beztrosko. - Dwadzieścia sestercji, skoro tak.
- Wiem, że to warte dużo więcej - odparł Marek z urazą.
- Być może, ale nikt tyle nie da - powiedział sklepikarz łagodnie. - Bo wyglądasz, jak wyglądasz. Nie warto ryzykować. Oczywiście jeśli masz po mamie coś jeszcze...

Ale Marek ledwie go słyszał. Zobaczył kolejny arkusz wiadomości, leżący przy ceramicznych kotach, pomarszczony wizerunek własnej uśmiechniętej twarzy. Nie mógł ani chwili dłużej znieść tego spokojnego, wszystkowiedzącego spojrzenia Petrusa i jego milczącego pomagiera. Wyrwał sklepikarzowi naszyjnik, wymamrotał „nieważne” i wypadł w rój kupujących.

Potykał się, zniecierpliwiony powolnym nurtem. Poczuł, że twarz ma zimną i mokrą, wytarł ją. Wpadł na kogoś, wymamrotał niezrozumiale przeprosiny i odruchowo obejrzał się przez ramię. Za nim, odgradzony paroma szeregami ludzi, szedł Petrus, poruszał się na tyle szybko, na ile mógł w tłumie. Widząc spojrzenie Marka, zaczął się przepychać jeszcze szybciej, ze spokojem odtrącając ludzi łokciami.

Marek przez chwilę stał jak sparaliżowany, ze straszną wyrazistością widział nieruchomą monochromatyczną twarz z arkusza wiadomości. Rzędy ludzi przed nim, łagodnie falujące, wydawały się nie do sforsowania. Potem ruszył, manewrując i przepychając się, z zaciśniętymi zębami szukając luk w tłumie, jak miejsca zaczepienia dla rąk na skalnej ścianie. Jak w tych koszmarach o pogoni i panicznej ucieczce, gdy nogi ciążyą, jakby były z ołowiu. Obaj z trudem się przedzierali przez tłum na odcinku drogi, który pokonaliby w sekundę, gdyby oczyścić go z ludzi.

Potem grupa chłopców przed Markiem niespodziewanie skręciła ku straganowi z jedzeniem po prawej stronie. Przez to na chwilę ruch zwolnił jeszcze bardziej, ale zostało po nich puste miejsce na uliczce, dzięki czemu Marek mógł się zerwać do prawdziwego biegu, zanim pozostali klienci napłynęli w lukę jak woda i ją wypełnili. Przebił się do przodu i ujrzał zamiast straganu wejście w inną alejkę. Skręcił za róg i przepchnął się szybko przez tłum. Na jakiś czas zostawił Petrusa za sobą i się ukrył.

Rzędy straganów były podobne - z wyjątkiem jednego, który nie był straganem, lecz wąską budką z zielonego udrapowanego materiału we wzory. Na zewnątrz stał chłopak, który coś mówił, ale Marek go nie zauważył. Widział tylko osłoniętą przestrzeń, w którą wpadł.

Przez chwilę stał zupełnie nieruchomo, dysząc w ciemności i ciszy. Potem odwrócił się i wyjrzał na zewnątrz przez obszytą frędzlami klapę zasłony. Widział przesuwający się tłum, od którego oddzielał go jedynie cienki materiał - ale nie dostrzegł Petrusa.

Znowu zrobił krok w głąb namiotu. Oddychał trochę wolniej. Znalazł się między dwoma powłóczystymi warstwami drapiącej satyny; zielony wzór po lewej stronie materiału był płataniną różnobarwnych kresek niczym kłębowisko węży. Coś mu to przypominało - zdał sobie z niedowierzaniem sprawę, że wielkie zielone cesarskie gabinety z ogrodowymi freskami w winorośle i bluszczu - i nawet go rozbawiło, że dostrzegł jakieś podobieństwo między pałacową komnatą a tym nędznym namiocikiem.

Ale dopiero teraz jakiś obojętny zakątek mózgu poinformował go, że chłopiec zawodził monotonna i jakby ze znużeniem:

- Sybillina. Wędrowna wyrocznia. Zapraszam. Sybillina.

I że na zewnątrz znajdował się malowany szyld nad zasłoną „Przepowiedanie przyszłości”.

Materiał zafalował; Marek odstąpił na bok, a chłopiec wszedł do środ-

ka, zagadując uprzejmie:

- Będzie gotowa za chwilę. Teraz jest zmęczona. Cena od pięciu stercerji, ale może zobaczyć więcej, jeśli zechcesz okazać hojność.

Marek podniósł niewidzący wzrok na ogorzałą trójkątną twarz pod masą sterczących brązowych włosów i wcisnął pieniądze w rękę chłopca. Była to horrendalna cena za coś, czego nie chciał, ale potraktował ją jako zapłatę za kryjówkę.

Przyszło mu do głowy, żeby poszukać wróżki - ale nie pamiętał tej sybilli, którą Druzus odwiedził raz w Delfach, ani nie zastanowił się, czy w ogóle wierzy w takie rzeczy. W uszach nadal łomotała mu krew. Namiot był przedzielony drugą zasłoną, która nie była prawdziwą zasłoną, lecz długimi, niedopasowanymi płatami nieobrobionego materiału z jakiegoś sklepu bławatnego, mocno przywiązanymi do haków w górze. Zza materiału koloru morza odezwał się zmęczony głos:

- W porządku. Wejź.

Chłopiec kiwnął mu zachęcająco głową i zgiąwszy chude i długie nogi, przysiadł zgarbiony na małym zydelku, usiłując przeczytać czasopismo w płatkach światła, wpadających pomiędzy zasłonami. Marek posłusznie rozgarnął niebieskozielone całuny.

W pokoiku wróżki było ciemno, choć nie na tyle, by uzasadnić obecność dwóch staroświeckich lamp naftowych na stoliku. Sybillina siedziała z twarzą w dłoniach; długie palce delikatnie masowały i ugniatały skórę nad skrońmi. Proste włosy spływały jej na twarz i miały jasnobrązowy kolor zajęczego futerka, tak jasny, że prawie bezbarwny. Włosy i palce kryły prawie całą twarz z wyjątkiem małego wycinka, a pod szerokim czołem widział tylko nos, cienki i wąski, bardzo delikatnie zakrzywiony, i ostre wygięcie bladych ust. Kolejny pas jaskrawozielonego materiału okrywał niczym szal jej włosy i zieloną suknię - tandetny i podjęty bez przekonania wysiłek, by stworzyć atmosferę tajemniczości.

Nagle odstłoniła twarz, równie chudą i młodą jak jego, z okrągłymi kośćmi policzkowymi i ciemnymi podkowami pod czarnymi oczami, w których ujrzał szok i zrozumienie. Roześmiała się z niedowierzaniem. Rozpoznała go.

Una się roześmiała.

Ta niedawno zbudowana przez nią i Suliena ciemna celka z zielonkawego sztucznego jedwabiu, te przedmioty w niej - wyszczerbione lampy naftowe, małe gumowate pecynki ostro pachnącego kadzidła - tworzyły coś w rodzaju delikatnej ochronnej skorupki, jakby kokon larwy. W wiosce na obrzeżu Vesuny podeszła nieśmiało do kobiety przed piekarnią i warknęła: „Powróżyć?” - takim tonem, że była niemal pewna odmowy, i ku swojej uldze ją usłyszała.

Opuścili Lemovices, powietrze było bardzo ciepłe, a zieleń zielona, zupełnie nie przypominała barwy brudnej Tamizy czy londyńskich parków. Una jeszcze nigdy nie opuściła miasta. Przez krótką chwilę żadne z nich nie potrafiło sobie wyobrazić przyszłego życia, na pewno nie takiego, na które składają się minuty i dni. Mogli myśleć jedynie o ciepłych polach, lśniących i pustych. To było coś jak ciągnąca się biel, którą nauczyła się sobie wyobrażać, ale pozbawiona chłodu.

Tak jak Marek szukali w arkuszach wiadomości o sobie - a raczej o Sulienie. Jego imię i zdjęcie zostały szybko opublikowane, ale Sulien nie widział powodu, dla którego ktoś miałby zwrócić na to uwagę. Zdjęcie nie było dobre, dość małe i wciśnięte w rząd dziewięciu innych.

Ale następnego dnia było już tylko pięć zdjęć i na dodatek znacznie większych, tak że zajmowały całą szerokość strony. Dowiedzieli się, że trzech zbiegowie zostali zastrzeleni na bagnach Tamizy, a zwłoki czwartego wyłowiono z rzeki. Pozostali albo jeszcze uciekali, albo płynęli rzeką do morza.

- Widzisz, jest dobrze - powiedział Sulien. - Pomyślą, że utonąłem, i nie wiedzą o tobie.

Zamilkł, a ona dokończyła za niego:

- Oni nie żyją, ci więźniowie i wszyscy żołnierze.

Pomyślała, że ten rząd zdjęć będzie się kurczył, aż zostanie tylko Su-

lien.

Początkowo Sulien był zły, bo Una złożyła na jego barki zdobywanie żywności, a potem wszystkie decyzje podejmowała sama. Później był zły na siebie, że do tego przywykł. Czasami to sobie przypominał i zaczynali się kłócić, ale Una zawsze wygrywała i nie dało się ukryć, że jest lepsza w planowaniu, oszczędzaniu i wymyślaniu dla nich imion i historii.

Lubiła udawać, że ich rodzice są trochę dalej w wiosce czy mieście, że odwiedzili świątynię, podczas gdy oni robią zakupy, i czekają na nich za rogiem. Tej pierwszej nocy wynajęła pokój w Lemovices, żałośnie narzekając na pomyłkę przy rezerwacji pokoi w innej gospodzie. Potem pomaszerowała naburmuszona przez korytarz i tak przekonująco pomachała nieistniejącym rodzicom, że nawet Sulien dał się nabrać. Poszli na górę, a Una przez cały czas głośno jęczała:

- Dlaczego to nie my tam zostaliśmy?

Sulien był pełen podziwu.

- To łatwe - powiedziała lekceważąco, lecz z uśmiechem. I bez trudu wymyśliła powody, dla których rodzeństwo tak młode jak oni, z brytyjskim akcentem, miałyby zostać w mieście przez noc lub dwie, kiedy nikt nie widział ich rodziców. Jednak wkrótce ludzie zaczynali się dziwić. Wtedy Una czuła, że ktoś się zastanawia, czy to nie niewolnicy i czy nie należy powiadomić władz, albo gorzej: czy nie widział już gdzieś twarzy Suliena, i miała wrażenie, jakby na skórę nagle spadł jej pająk. Natychmiast szła się pakować. Sulien przestał nawet się dopytywać o przyczyny. Z początku Una uważała, że mogą się ukrywać na wsi, bo prawie nikogo tam nie ma. Po tygodniu uznała, że była kompletną idiotką. Tylko wśród tłumów mogli zniknąć, ukryć, że nie towarzyszą im rodzice. Dlatego potem, jeśli tylko mogli, trzymali się miast i miasteczek, gdzie wszystko było jednak droższe, i wędrowali na południowy zachód, nigdzie nie zatrzymując się na dłużej niż tydzień. Wpadli także na pomysł, żeby przeprowadzić się do Hiszpanii, a nawet przed Tunel Gadesjański do rzymskiej Afryki, poza granice cesarstwa, ale trudno było sobie wyobrazić, skąd mogliby wziąć pieniądze na taką podróż, nawet gdyby potrafili przewidzieć, co ich czeka tak daleko od wszystkich znanych im miejsc.

Una strzegła Suliena, zapędzała go do jednego brzydkiego pokoju noclegowni po drugim. Z rezygnacją tolerował fakt, że nie ufała mu na tyle, by puszczać go bez nadzoru; wmawiał sobie, że to stopniowo minie, lu-

dzie o nim przecież zapomną. W końcu przestaną wędrować, a on zdobędzie jakąś pracę. Tylko ta medycyna. Gdyby kogoś uleczył w jakiś nadzwyczajny sposób, rozgłos spowodowałby, że szybko powiązano by go z uciekinierami. Toteż trochę zapomniał o swoich zdolnościach. Nie pytał się w duchu, kiedy zamierza do tego wrócić. Tak trzeba. (Powtarzając to, mógł zdusić to poczucie utraty równowagi). Czasami z całą wyrazistością zdawał sobie sprawę - bardziej niż kiedykolwiek w domu Catavignusa - że przez jakiś okres nie będzie mógł wykonywać innej pracy, bo po prostu nie potrafi. Zawsze wydawało mu się dziwne, iż ludzie niebędący lekarzami potrafią z tym żyć.

Przeważnie albo się bał, albo nudził.

Jakoś tak się stało, że w zasadzie zapomniał, iż Una właściwie nie opowiedziała mu nic o tych latach, kiedy ich rozdzielono. Mówiła o czasach w domu ojca i u Rufiusa. Lepiej od niego pamiętała, jak zrzucił ją ze schodów, i starała się przypomnieć mu inne rzeczy; potrafiła szczegółowo, pokój po pokoju, opisać dom i jadłodajnię Rufiusa, tak że rozkład schodów i kolor farb rozpościerał się w umyśle Suliena jak sieć nerwów, pełna życia, lecz niepokojąca, bo nadal nie potrafił stwierdzić, czy to prawdziwe wspomnienia, czy tylko jego zmyślenia. Opowiedziała mu o próbie ucieczki z jadłodajni, na którą rzekomo się odważył jako dziewięciolatek. Una nie chciała z nim iść, była pewna, że się nie uda i że kara będzie surowa, i powiedziała mu o tym tak lekceważąco, że go to zabolowało, dlatego uciekł bez niej. Zawędrował dalej, niż się spodziewała, przyznała to, chodził po Londynie, aż tej samej nocy przyprowadzili go strażnicy.

- Prawie nie dawał ci jedzenia, bił cię. Naprawdę nie pamiętasz? - wykrzyknęła z niedowierzaniem, a on dziwił się trochę, bo całkowicie zapomniał tę historię. To, co przydarzyło się jej później, skomentowała spokojnie: - No, trochę się tułałam, wiesz o tym. Zresztą nieważne.

Nie mogła wyjaśnić, że przez cały czas jedyną istotną dla niej sprawą było powolne gromadzenie pieniędzy i szczegółowe, mozolne szlifowanie umiejętności, bo wiedziała, że pewnego dnia wszystko inne zostawi. Zdawała sobie sprawę, że nie jest zdolna do tak zadziwiających zaników pamięci jak Sulien, ale wierzyła w siebie i byłoby pogwałceniem tej wiary, gdyby to... gdyby ten... nawet nie potrafiła znaleźć nazwy dla tak strasznego czasu... gdyby to wszystko nie zostało definitywnie zakończono-

ne.

W końcu Sulien z niepokojem zauważył, że siostra nic nie chce mu o niektórych sprawach opowiedzieć, więc przestał pytać. Pragnęła, żeby o wszystkim zapomniał, stopniowo i naturalnie, ale nie potrafił. Czasami spoglądał na nią, zastanawiał się, i to tak wyraźnie malowało się na jego twarzy, że każdy by zauważył. Niekiedy czuła się zaszczuta, jakby bez przerwy ją wypytywał.

Jej oszczędności zaczęły się kurczyć. Przerazało ją, że trzeba kupować jedzenie, ciągle znajdować nocleg. Nie było temu końca.

Nie mogli sobie pozwolić na większą prywatność niż zasłona pomiędzy łózkami. Pewnej nocy Sulienowi wydało się, że słyszy stłumione dyszenie, jakby ukradkiem płakała po swojej stronie, ale kiedy się do niej odezwał, ani nie przestała, ani nie odpowiedziała, toteż niepewnie siedział przez jakiś czas, po czym odgarnął zasłonę. Una leżała skulona w ciasny kłębuszek na boku, jakby wciśnięta w łóżko, i płakała z zaciśniętymi zębami, a łzy wbrew woli śpiącej torowały sobie drogę na zewnątrz spod zaciśniętych powiek.

We śnie odkryła, że jej ciało jest gąbczaste i nieczyste, i trzeba je zedrzeć. Początkowo nie miała nic przeciwko temu i pracowała z pewnością siebie, jakby ćwiartowała kurczaka. Tak jak się spodziewała, nie było bólu ani krwi. Ale nie pozwolili jej tego zrobić własnoręcznie, wyszarpywali i darli, nie myśląc, co robią, wszyscy naraz, wszyscy wokół niej, w tych warunkach nie można było tego zrobić schludnie. Ich ręce i jej wypełniły się obrzydliwą śliską masą zimnych ochłapów i wtedy zaczęła płakać, bo to było takie straszne, i nagle nabrała przekonania, że jednak nie trzeba było tego robić. Skąd jej to przyszło do głowy? Zostanie makabrycznie okaleczona bez żadnego powodu. A kiedy to zrozumiała, tamci nie zaprzestali tego drapieżnego wyszarpywania garściami mokrych kawałków mięsa. Musiała coś włożyć, zarzucić coś długiego i luźnego na te szczątki, ale nic nie znalazła; powstrzymywała ich, wyciągając ręce - wiotkie strzępy świeżego ciała zwisające z kości, wstrętne, ociekające, dygoczące.

- Una - odezwał się Sulien, ale ona dalej płakała i spała. Miał dotknąć jej ramienia, ale nagle otworzyła oczy z konwulsyjnym, nieopanowanym wzdrygnięciem, jakby już to zrobił, jakby jego spojrzenie wydało głos. Przez chwilę wbijała w niego groźny, nierozumiejący wzrok; nie pamię-

tała, co się działo, lecz czuła się schwytana, poirytowana, niemal zła. Potem odchrząknęła, położyła się na plecach, przybrała schludną pozycję, nogi skrzyżowane w kostkach, ręce prosto przy bokach. Łzy przestały płynąć niemal natychmiast.

- Przepraszam, hałasowałam? Obudziłam cię? - spytała trochę bez tchu, lecz opanowana. Wytarła twarz i spojrzała na rękę, unosząc brwi, jakby widoczna na niej wilgoć ją zaskoczyła.

- Nie - odparł cicho.

Odpowiedzialność za siebie nawzajem przygniatała ich. Una chciała skłamać i nie myśleć o niczym z wyjątkiem bieli, ale Sulien siedział na łóżku, wpatrywał się w nią zaniepokojony i pełen litości, a jednak także zniecierpliwiony, bo czuł, że nie wolno mu spytać, co się dzieje, i to było niesprawiedliwe; musiała wiedzieć, że chce spytać.

Westchnęła przeciągle i boleśnie, jakby ktoś jej kazał wstać i rozpocząć długi dzień pracy.

- Chyba śniło mi się, że nas złapali - oznajmiła, żeby wydać się miłą.

- Złapali? I co? - spytał ostrożnie, wbrew zakazowi.

- No, nie pamiętam - powiedziała ze zmęczeniem. - Śpij już.

Przez jakiś czas nie spał, ale kiedy dzieliła ich Iniana kurtyna, mogła udawać, że go tam nie ma, i w końcu przez jej nietknięte ciało przepłynął dreszcz ulgi i zgrozy. Zaczęła wysnuwać biel, ale rozpościerała ją powoli, wysławszy uprzednio komendę: nigdy, nigdy do tego znowu nie dopuścić. Była przekonana, że ten rozkaz zostanie spełniony, i został, albo nabrała wprawy w nie zwracaniu uwagi i zapominaniu, jakby we śnie stała się podobniejsza do Suliena. W każdym razie nie było więcej takich nocy.

Potem tułali się przez trzy męczące dni, więc niewiele myślał o tym, co zaszło. Najgorzej było wtedy, kiedy ludzie zaczęli go rozpoznawać. Una robiła się wówczas spięta i drażliwa i mamrotała gorzko, że to na nic, że w miastach wcale nie jest lepiej. Nie przychodziło mu do głowy, co by tu powiedzieć. Trzeciego dnia po południu spytał:

- Beze mnie byłoby ci łatwiej, prawda?

Kiedy to powiedział, zawstydził się, że w zasadzie użala się nad sobą, ale po cichu liczył, że przez to Una okaże mu trochę ciepła.

- Nie - odparła. - Gdybyś był sam, nikogo by to tak nie dziwiło. Ale ja? Każdy by myślał: Nie pozwoliłbym dziewczynie w tym wieku włączyć się samotnie po kraju. Gdzie jest jej matka? No i zresztą...

Urwała i nie powiedziała: zresztą nie chcę być bez ciebie, ale troskliwie poklepała go po dłoni i zmusiła się, by go lekko objąć.

- Dlaczego nie mówimy, że nasi rodzice nie żyją? - spytał i lekko się wzdrygnął, bo natychmiast spojrzała na niego wilkiem.

- Bo to by było głupie. Jak byś wyjaśnił, co tu robimy całkiem sami? Gdybyśmy byli wolni, czy ktoś by nam nie towarzyszył: ciotka, dziadek lub inny krewny? A wszyscy zawsze się dopytują, jak to się stało, i mówią, jak im żal. I nikt nie traci obojga rodziców naraz.

- Marek Nowiusz stracił - powiedział.

Rozpoznała go.

Później zastanawiała się: właściwie jak? Mogła go przeszukać i wywrócić na drugą stronę jak kieszeń, ale tego nie zrobiła; nie miała czasu, zresztą nie chciała. Siedziała w tym półmroku prawie dziesięć godzin, układała pasma ludzkiego życia we wzory, wyciskała z klientów pieniądze, podniecenie i miłość, i miłość, i miłość, aż mdliło. Czasami nachodziła ją złośliwa ochota, by przepowiedzieć katastrofę, ale katastrofy nie są dochodowe.

Siedziała więc z palcami gotowymi wyczesać z własnego mózgu innych ludzi. Za zasłoną majaczył kształt i coś... dygot nerwów...

Jęknęła w duchu. Ktoś przychodził po pociechę. Będzie musiała wymyślić coś wyjątkowo miłego. I wtedy - wtedy! Marek Nowiusz odgarnął zasłonę i zanim jeszcze odjęła ręce od twarzy i otworzyła oczy, była zupełnie pewna. Jak mu się udało dotrzeć tak daleko? Nie mógł być nikim innym.

Jak to możliwe, że myśl, pasmo napięcia i paniki, jest oznaczona imieniem jak obroża psa?

Syn Leona cofnął się i zaczął szukać szpary w zasłonie, choć jego przerażone spojrzenie nie odrywało się od jej twarzy. Nie wiedziała, dlaczego chce go powstrzymać i dlaczego jego obecność tak ją śmieszy. Zamknęła oczy.

Równie nagle jak na niego spojrzała, opuściła uczernione powieki jak rolety na te denerwująco mądre oczy, a jej twarz błyskawicznie przybrała obojętny wyraz.

- Usiądź - powiedziała gardłowym głosem pełnym afektacji. - Na stole

jest kadzidło, zapal je. Bóg ukaże mi twój los w dymie.

Ten głos, ten mizdrzący się ton trochę go uspokoił. Nie otworzyła oczu, małe wygięte usta już się nie śmiały. Może w tych ukrytych czarnobrazowych tęczęwkach odbił się tylko jego strach przed Petrussem. A jednak ta dziewczyna go niepokoiła. Odwróciła pozbawioną wyrazu twarz w jego stronę, gdy szedł po krzesło, jakby widziała go przez powieki. Zrobił, co kazała. Kadzidło zatliło się, ostry zapach róż i truskawek poszybował w powietrze, gryząco słodki i drapiący w gardło, ale woń szybko się rozpułynęła i dym pachniał już tylko dymem. Biała nitka snuła się i rwała, zwijała się w zwoje jak spirala płatków w sercu róży, rozwierała się w falujące łańcuchy jasnych krokusowych gardeł, wyglądała jak kwiat, choć nie pachniała kwiatami.

Una ostrożnie otworzyła oczy. Poczuła, że kąciki ust leciutko jej drżą i szybko rozciągnęła wargi w uśmiechu.

Nigdy nie ośmieliliby się wynająć straganu, dalej by się wlekli czarnymi drogami Akwitanii, a ona nadal by więziła Suliena w gospodach, gdyby wieści o Marku Nowiuszu nie wyparły ucieczki więźniów z arkuszy wiadomości i ludzkich myśli.

Niemal natychmiast poczuli się bezpiecznie. Bardziej otwarcie rozmawiali, jak będą dalej żyć, bo zaświtała im nadzieja. Una powiedziała Sulienowi, że zastanawia się nad zarabianiem na przepowiadaniu przyszłości i nawet zrobiła próbę.

- Jak wyrocznia - rzekł zainteresowany Sulien.

- Tak, trochę - przyznała, starając się powstrzymać drobne wzdrygnięcie, ale je dostrzegł, odgadł, że ona nie wie o delfickiej Pytii, i oboje się zarumienili. Nieustannie odczuwał w skrytości ducha zdumienie, że ktoś, kto rozumuje tak krystalicznie i bezwzględnie, może wiedzieć tak mało, że przypadkowe wyspy podchwyconych faktów są rozsiane na wielkiej mętnej zatoce. Nie wiedziała, że Terranowa należy do Nionii, ani nawet gdzie leży Nionia. Sądziła, że Nowiuszowie od zawsze byli cesarzami Rzymu. Potrafiła czytać i pisać, ale robiła to powoli i z wściekłością, umysł przyzwyczajony do błyskawicznej pracy musiał się mozolnie przebijać przez litery jak przez cegły, co ją strasznie zawstydzalo.

Czasami syczała z pasją:

- No dobrze, powiedz mi coś, powiedz, jak brzmi odpowiedź. Myślisz, że lubię być głupia?

- Nie jesteś głupia - mówił. Łypała na niego nieszczęśliwie, aż dodawał: - Wiesz, że nie jesteś. W przeciwnym razie nie uważałabyś wszystkich innych za głupców.

I naprawdę starał się siostrze wszystko tłumaczyć, ale kiedy patrzył na jej pełną napięcia i wyczekiwania twarz, cała jego wiedza rozpraszała się na niepołączone fragmenty - z wyjątkiem anatomii. Chciała wiedzieć, jaką funkcję pełni senat. A on opowiadał jej o zastawkach serca.

- Ale nie widzisz przyszłości, prawda? - spytał po chwili.

- Nie. No, jeśli ktoś usiłuje podjąć decyzję, mogę się zorientować, jaka będzie. Albo jeśli już ją podjął. Może to wystarczy. Ale spróbowałam, podeszłam do kogoś. Nie udało się.

- Może gdybyś wyglądała jak wróżka...

- Jak wygląda wróżka?

Razem uznali, że wróżki mają mocno umalowane oczy i na ogół coś na głowie. Sulien pomógł jej w ćwiczeniach i zaproponował kadzidło.

- Musisz na coś patrzeć. Jeśli będziesz się tak gapić na ludzi, to zapragną od ciebie uciec.

Opowieści Uny zmieniły charakter, stały się bardziej kolorowe i dramatyczne. Byli, tak jak chciał Sulien, sierotami lub uciekali przed okrutnymi, acz szlachetnie urodzonymi rodzicami. Sybillina nie musiała mieć wiarygodnej przeszłości, w ogóle nie musiała mieć przeszłości. Uczernione oczy i enigmatyczne zachowanie wystarczały.

I udało się. Kupka pieniędzy znowu zaczęła rosnąć. Po tygodniu pobytu w Tolosie mieli już dość pieniędzy, by odważyć się na coś więcej. Wynajęli więc stragan na pchlim targu, który choć zwracał na nich uwagę, stanowił także kryjówkę dla Suliena.

Sulien kazał Unie wybrać materiał na zasłony. Początkowo niecierpliwiła się i nie mogła podjąć decyzji.

- Nie wiem - mówiła, nerwowo mnąc błyszczące bele materiału. - To chyba nie ma znaczenia?

- Ma. No, dalej. Musisz się lepiej znać na dekoracji. Jesteś dziewczyną.

Zmarszczyła brwi.

- Może niech wszystko będzie zielone.

I oboje zaczęli się bawić urządzaniem straganu. Wiązali szmaragdowy materiał, kłócili się przyjaźnie o to, kto namaluje szyld. Bardzo im ulżyło, że wreszcie mają wspólne zajęcie, planują, jak powinno tu wyglądać, i przewidywali, jak zareagują ludzie. Byli jak dzieci przygotowujące przedstawienie.

Ale kiedy znaleźli się za tymi zielonymi zasłonami, przez cały dzień prawie nie widywali słońca. Sulien miał jakieś zajęcie, czasami nawet go bawiło to nagabywanie przechodniów, zachęcanie i uwodzenie, by zechcieli wejść do namiotu. Ale nawet gdy ludzie odwzajemniali jego uśmiech i dawali mu pieniądze, to było za mało. Nie mógł zupełnie przestać myśleć o Catavignusie i Tancorix, a przede wszystkim o tym, że mógłby robić coś lepszego - odpędzać gorączkę, leczyć. Kiedyś powiedział Unie:

- Dlaczego sądzisz, że możemy to zrobić?

A ona odparła:

- Dlaczego trzeba mieć powód?

I choć wkrótce przekonała się, że nie musi spoglądać bardzo wnikliwie ani przepowiadać przyszłości wyjątkowo trafnie, żeby zarobić, ta praca i tak męczyła ją i rozdrażniała. Czekaając na klientów, siedziała, wytężając wzrok, i mozolnie przepisywała dzieciennym pismem stronicę książek z sąsiednich krytych brezentem straganów. W ten sposób nie mogła wypaść z ciągów słów i marnować długich minut na powrót do nich.

Ale złościło ją, że praca idzie jej tak powoli i że nie wie, co oznaczają różne słowa, i za każdym razem, gdy napotykała coś nowego, otwierała się przed nią kolejna otchłań ignorancji. Nie przyszło jej do głowy, że to oznaka postępu. I myślała ze zmęczeniem: co za różnica, czy coś się wie?

Przerażone oczy Marka Nowiusza za dymem były niebieskie jak łuppek, zimne.

- Dobrze - powiedział, oblizując suche usta. - Widzisz coś?

- Kobietę - zaintonowała Una, zmyślając. Ludzie często lubili słyszeć takie rzeczy i nie wolno jej było powiedzieć nic zbyt prawdziwego, nie mogła go spłoszyć - jeszcze nie.

Przez niespełną sekundę sądził, że może ma na myśli Gemellę albo Makarię, ale potem dodała:

- Tak, młodą kobietę, i miłość - a on oparł się z ulgą na krzesło, zawstydzony, że potraktował jej słowa tak poważnie.

- Nie ma takiej kobiety - odparł i dodał idiotycznie: - Jeszcze nie.

- Zatem dlaczego ją widzę? - spytała wróżka, najwyraźniej przemawiając do płożącego się dymu.

- Tego nie wiem - rzekł lekko szyderczo, już spokojniejszy, a Una uznała, że nie pozwoli, by się uspokoił. - Jesteś w podróży - powiedziała, patrząc na niego surowo i walcząc z cichym drżeniem śmiechu w głosie. - Nie jesteś tym, kogo udajesz. Kłamiesz. Z satysfakcją ujrzała, że blednie, a jego ręce mocno się splatają.

- Nie... nie... - zaprotestował słabo. Równie wyraźnie jak on zobaczyła łóżko w małej oberży i poczuła, że gotowa by była go tam przenieść.

Otworzyła oczy szeroko, nadała im błędny wyraz, a jej głos znowu ochrypł.

- Czy to ta kobieta? Czy to ją okłamujesz? Nie wolno ci. Możesz znaleźć szczęście.

- O - powiedział drżącym głosem, nie wiedząc, czy ulga, czy przerażenie wypełnia mu to zimne miejsce w piersi. Wstał, nie całkiem pewnie.

- No tak, dziękuję. Czy to wszystko?

- Nie - rzekła Una złośliwie. - Nie powinieneś się tak bać.

Spojrzał na nią zaniepokojony, ale odpowiedziała mu spojrzeniem sybilliny, pustym i nieprzeniknionym w ramce czernidła. Uciekł, przedzierając się przez zasłony, a ona niemal tego pożałowała. To była dobra zabawa.

Sulien usłyszał jej śmiech, gdy dziwny chłopiec wypadł na rynek, i ze smutkiem sobie uświadomił, jak bardzo jest mu nieznany ten dźwięk. Wszedł; Una gasiła kadzidło, nadal uśmiechając się z niedowierzaniem.

- Ale szybko - skomentował. - Co cię tak śmieszy?

Uśmiech Uny rozszerzył się chytrze. -

Wiesz, kto to był? - spytała.

Zasłona opadła za plecami Marka i natychmiast czas, który spędził w

namiocie, wydał mu się mglisty i nierealny, jakby nie należał do tego dnia. Nie wiedział, co ma myśleć o tej mrocznej dziewczynie, więc wyrzucił ją z głowy. Sunął przez pchli targ, bezmyślnie zapuszczał się w zawile zaułki i zastanawiał się tępo, czy uda mu się przekonać gospodynię, żeby przyjęła sardonyksowy grzebień zamiast zapłaty. Nie zniósłby spotkania z kolejnym sklepikarzem.

Po jakimś czasie opuścił targ i ujrzał żółtawy półksiężyc. Przemknął do ciemnego zaułka, który po żarze rynku wydał mu się zimny. Powłókł się nim tak samo zmęczony i roztargniony jak na bazarze i raptem zatrzymał się, zauważywszy, że na tej uliczce nie ma handlarzy, a on nie wie, gdzie się znalazł. Westchnął, odwrócił się, powiódł wzrokiem po niebie, szukając kopuły świątyni, i poczuł, że coś się na nim uwiesza, ciągnie za plecak i rękaw, za materiał przy szyi. Coś go szarpało do tyłu, jakieś niewidoczne ciało na niego napierało, rzucało nim na boki, a on ranił sobie ręce o mury, usiłując się przytrzymać.

Ten dzień wydusił z niego cały strach, do jakiego był zdolny. Przez chwilę czuł tylko desperację, a potem wybuchnął. Zadał cios na oślep, jego pięść zderzyła się z mokrymi ustami i nosem. Niemal go to ucieszyło. Zadał mocniejszy, lepszy cios w żebra tamtego i usłyszał zipnięcie, ale kiedy usiłował się cofnąć, żeby znowu uderzyć, ktoś chwycił go za ramię, wykręcił je, a jednocześnie drugi - dopiero teraz zauważył, że jest ich dwóch - zadał cios w jego skroń, tak że głowa mu odskoczyła, a delikatna tkanka wewnątrz ust pękła i bluznęła krwią. Ból zwlekał przez chwilę, a potem przeszył głowę. Marek osłabł oszołomiony. Jego prawa ręka nadal pozostawała unieruchomiona, a plecak ześliznął się z lewej aż po łokieć, ciągnąc całe ciało ku ziemi. Ci dwaj - tak, Petrus i młody mężczyzna z rynku - razem go trzymali, przypierali do ściany. Marek odzyskał nieco przytomność i kopnął dziko na oślep, celując w piszczele, i znieruchomiał dopiero wtedy, gdy poczuł, że jego szyję naciska coś ostrego.

Przez jedną szaloną chwilę sądził, że Petrus i jego asystent są agentami dworu albo Gabiniusza, naślanyymi, żeby go zabić, i właśnie się zastanawiał, czy to możliwe, kiedy Petrus zerwał mu z ręki plecak i zaczął w nim gmerać. Marek wytrzeszczył oczy i wyobraził sobie gładkie kształty i zdobienia biżuterii pod palcami tamtego. Ale głupio. Wyrwał mu się niemądry, wariacki śmiech, a nóż podskoczył mu na szyi, poruszony oddechem.

- Przestań - warknął młodszy, a Petrus gwizdnął cicho, z zadowoleniem na widok biżuterii, figurki i wazonu.

- Nie powiedziałaś całej prawdy, co? - wydyszał Markowi w twarz, sięgnął mu do kieszeni i wyciągnął parę banknotów.

Marek spojrział w żółto-czarne niebo i zaczął się śmiać, aż pięść Petrusa wbiła mu się w brzuch. Zostawili go klęczącego.

Po chwili, kiedy wrócił mu oddech i wypłuł na ulicę większość krwi o metalicznym posmaku, wstał, trzymając się za brzuch, i ruszył za nimi z trudem. Miał nadzieję, że gdzieś wyrzucili jego plecak i że przynajmniej ocali koc i mapę, ale nic nie znalazł.

- Dlaczego go wypuściłaś? - spytał Sulien.

- A jak miałam go zatrzymać?

- Mogłaś mnie zawołać!

Una zdjęła z głowy zielony szal.

- Ale po co? Na nic by nam się nie przydał.

- A może jednak? - powiedział. Jej oczy rozszerzyły się lekko, gdy nagle zrozumiała. - Skoro tak bardzo chcą go odzyskać, daliby nam wszystko, czego byśmy chcieli, prawda? Na przykład moje uniewinnienie. Na przykład wyzwolenie.

Przez chwilę patrzyła na niego z podziwem, co zauważył z zadowoleniem, ale potem spytała zimno:

- Czyli po wszystkim, co zrobiłam, żeby nas ukryć...

- Nie musielibyśmy się już ukrywać. To mniejsze ryzyko.

- To wielkie ryzyko! - krzyknęła. - To wszystko! To nasza śmierć! Nie możesz im ufać!

- Wigilom? - spytał. - Mogę, jeśli dostaną rozkazy...

- Nie. Rzymianom. Wszystkim - rzekła cierpko. - Spójrz, co cię spotkało. Chcieli cię zabić w najgorszy sposób, jaki tylko znają. Jeszcze nie wiesz, do czego są zdolni?

Był zdziwiony.

- To było niesłuszne... złe, ale nie znaczy...

- Znaczy - ucięła.

Usiadł naprzeciwko niej na krześle, z którego wstał Marek.

- Właśnie tego potrzebowaliśmy. To by wszystko naprawiło. - Spu-

ścił oczy, zacisnął rękę na nadgarstku i wymamrotał: - Chodzi o medycynę. Nie chcę robić nic innego. Naprawdę. Jeśli nie będę mógł...

- Co, chcesz umrzeć? - spytała ze złością.

- Nie. - Zaskoczyło go, że powiedziała coś takiego. Nie wiedział, jak powinien skończyć to zdanie. - Ale ty chyba nie lubisz bardziej ode mnie tej ciąglej tułaczki. A ja się starałem, ale... to straszne, że tak mogłoby być zawsze, prawda?

Westchnęła, znowu ukryła twarz w dłoniach, na chwilę osłabła.

- Wiem.

Zaczekał.

- Czy był... no wiesz, szalony, jak mówią? Przypomniała sobie to brzemie strachu.

- Trochę.

- Słuchaj - podjął ośmielony. - Mogłabyś się gdzieś ukryć, a ja z nimi porozmawiam. Gdyby więc coś poszło nie tak, byłabyś bezpieczna.

- Miejże trochę rozumu - rzekła znowu szyderczo, choć z ulgą, bo wiedziała, że to zły pomysł. - Myślisz, że obiecują ci wolność i ułaskawienie? A gdyby nawet, mogliby nie dotrzymać słowa. Bo niby dlaczego mieliby dotrzymać?

- A dlaczego nie? Nic nie tracą.

- Zabito czterech rzymskich żołnierzy. Nieważne dlaczego! Nie załatwimy tego w bezpieczny sposób. Chcesz nas wydać w ich ręce i mieć nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży! To są Rzymianie, mogą robić, co chcą!

- Nie możesz tak mówić. Jakbyśmy my nie byli Rzymianami.

Spojrzała na niego wzburzona.

- Rzymianie nie giną na krzyżu. I nie...

Przez chwilę czekał, bo myślał, że powie coś o czasach, kiedy byli rozdzieleni, ale zamilkła.

- Ale przecież nie ma większej różnicy. No bo kim jesteśmy? Brytami. Celtami. Nikim... nie przynależymy do nikogo - powiedziała niepewnie.

- No tak, nie jesteśmy wolnymi obywatelami, ale nasz ojciec był. I ojciec naszej matki. Jeśli sięgniemy w naszą przeszłość, gdzieś znajdziemy Rzymianina.

- Co za różnica? Nic nam po tym.

- No a gdybyśmy zostali wyzwoleni, kim byśmy się stali?

W jej spojrzeniu pojawił się prawie strach.

- Nie Rzymianami. Ja - nigdy.
- Ale gdybyś miała dzieci, toby były - naciskał.

Skrzywiła się boleśnie.

- Nie sądzę, żebym miała dzieci. I nikt nie da nam wolności większej niż ta.

- No już dobrze - rzekł. Rozdrażniło go to żałosne zdanie. A jednak rezygnacja z takiej szansy wydawała mu się głupia - prawie nienaturalna. Trochę zapomniał, że ustąpił.

- Na zawsze zapamiętamy, że mogliśmy to zrobić. A za dwadzieścia lat, kiedy ciągle tu będziemy albo w podobnym miejscu, zdamy sobie sprawę, że mogło być inaczej.

- Może przywykniemy - powiedziała biedna Una, myśląc o nudnym wrózeniu i trudnych zdaniach z książki. Potem nieufnie zmrużyła oczy. - Sulien...?

- Dobrze - rzekł. - Zostań, a ja pójdę i z kimś się skontaktuję.

Poderwała się przerażona.

- Powiedziałam, że nie możesz!

- Nie, wszystko będzie w porządku. Nie powiem im o tobie. Ale jak zdobędę pieniądze, ty też dobrze na tym wyjdiesz, nawet jeśli będę musiał spłacić twoich właścicieli. A jeśli coś pójdzie nie tak, choć nie sądzę, zostanie ci ten stragan. - Nie potrafił sobie wyobrazić, że będzie pojmany i ukrzyżowany, nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że los wyczarował dla nich biednego szalonego Marka Nowiusza specjalnie po to, żeby dostali nagrodę za odesłanie go do domu.

- Nie! - Potem niemal się roześmiała z wielką ulgą i dodała: - Żartujesz. Chcesz mnie nastraszyć, żebym z tobą poszła.

Dopóki tego nie powiedziała, tak było naprawdę. Sulien spojrzał na nią wilkiem.

- Nie. Pójdę. Słuchaj, musisz się przeze mnie ukrywać. Spróbuję to jakoś naprawić.

- Tak, ale dzięki mnie żyjesz! I ciężko się przy tym napracowałam! A teraz chcesz do nich iść, żeby umrzeć!

- Nie umrę.

- Umrzesz! - rzuciła oskarżycielsko. - Wszystko robisz nie tak. Nie

wiesz, jak zmuszać ludzi, żeby robili to, co chcesz.

Kiedy już o tym pomyślała, nabrała przekonania, że jeśli można jakoś donieść na Marka Nowiusza, spadnie to na nią. Chodziło też o to, co powiedział o dzieciach. Wierzyła, że nie mogłaby mieć dzieci, bo zdawała sobie sprawę, że nie zniesie małżeństwa. Ale Sulien będzie chciał mieć przyjaciół, dziewczyny i, tak, pewnego dnia również żonę. Był wykształconym mężczyzną i jeśli zdołają się ukrywać wystarczająco długo, zapewne zdobędzie to wszystko. Wydawało się jej, że potrafi przewidzieć własną przyszłość, i reszta jej życia miała upłynąć pomiędzy tymi zasłonami, w samotności. Nie żeby nie pragnęła otwartej przestrzeni i pieniędzy, dzięki którym stałaby się silniejsza, a książki sprawiałyby jej mniejszy problem. Przynajmniej tak można by to wszystko osiągnąć.

I kiedy znowu usiłował wybrać się bez niej, powiedziała:

- Lepiej będzie, jeśli ja z nimi porozmawiam. O mnie nie wiedzą.

Parę ulic dalej znajdowała się karczma, w której na brązowych oparciach sof wisały daldictory. Una skuliła się w kącie ciepłego pomieszczenia i wbijając twardy wzrok w Suliena, wybrała numer i szepnęła do słuchawki:

- Wiem, gdzie on jest, i chcę porozmawiać z kimś o nagrodzie.

- Dobrze - rzekł znudzony do jej ucha. - Gdzie go pani rzekomo widziała?

- Naprawdę go widziałam. Ale na razie nie chcę wam mówić, gdzie jest, chcę pomówić o nagrodzie. Pieniądze to za mało. Chcemy czegoś więcej.

Połączenie zostało przerwane. Una otworzyła usta z oburzenia.

Teraz, gdy już zaczęli działać, Sulien się niepokoił. Kiedy weszli do gospody, Una przestała go ganić za głupotę, a on zaczął czuć to co ona, że ryzykują wszystko.

- No, skoro w ogóle nie chcą z tobą gadać... Ale ona już wystukiwała numer.

- Pogadają, nic się nie bój. Tym razem odebrała jakaś kobieta.

- Właśnie rozmawiałam z kimś innym, kto rzucił słuchawkę - zaczęła Una rozkazująco. - To było głupie. Wiem, gdzie jest Marek Nowiusz, ale nie powiem, dopóki ktoś nie zagwarantuje mi ułaskawienia za... za coś. -

W miarę mówienia traciła spokój i nawet zaczęła się trochę jąkać. Sulien usłyszał szczebioczące w daldictorze wysokie pytające tony, a Una odpowiedziała: - Nie, dla... dla kogoś, kto nie zrobił nic złego. Powiedz, czy to możliwe, a ja powiem, o kogo chodzi. I chcę się upewnić, że nie zostanie znowu... albo, albo sprzedany...

Nie zaryzykowałyaby rozmowy z wigilami twarzą w twarz, ale teraz pożałowała także, że rozmawia przez daldictor. Ta operatorka mogła się znajdować wiele mil stąd. Una nie potrafiła odgadnąć niczego z wyjątkiem tego, co wywnioskowała z jej obojętnego tonu.

- Czy mam rozumieć, że jesteście zbiegłymi niewolnikami? Gdzie się znajdujecie? - spytała kobieta.

Una skrzywiła się wściekle do daldictora i syknęła:

- Tak. Nie mogę powiedzieć, dopóki nie otrzymamy gwarancji, że... - Ale już zaczęła się niepokoić, że zdołają zlokalizować to połączenie.

- Jasne - powiedziała sucho operatorka gdzieś daleko w Rzymie. - Bardzo łatwo jest żądać, ale nie mamy powodów wierzyć, że naprawdę go widzieliście.

Una zastanowiła się i wybrała szczegół, który wydał się jej najmniej wartościowy.

- Ogolił głowę. Jest chudszy. Dlatego zawędrował tak daleko.

Operatorka zamilkła, a kiedy rozmawiała z przełożonym i trwały niesłyszalne dyskusje, Una wpatrywała się w Suliena niewidzącym wzrokiem. Potem odezwał się szorstki męski głos, który jeszcze bardziej wytrącił ją z równowagi.

- Powiedzcie, gdzie jesteście, bo i tak was znajdziemy. Nie pertraktujemy z przestępcami i niewolnikami.

- Więc go nie odzyskacie.

- Nagroda jest jedna. Nic do niej nie dodamy.

- Dlaczego? Skoro stać was na taką sumę... - Na twarzy Suliena przez moment malowała się panika, ale Una odzyskała panowanie nad głosem, a jego pogardliwe brzmienie obojgu dodało otuchy. Pomyślała, że gdyby naprawdę było tak, jak mówił ten wigil, nie miałby powodu tego mówić. Chciał ją tylko zastraszyć. Dodała władczo: - Wolność i ułaskawienie zamiast pewnej części nagrody. Nie wiem. Powiedzmy jednej czwartej. Dościanemy trzy czwarte...

- Powiedz, że nie chcemy pieniędzy - podsunął Sulien uczynnie.

- Zamknij się. Nie bądź głupi - warknęła.

I dalej rozmawiała, usiłując nakłonić funkcjonariusza do małego ustępstwa w zamian za strzępy informacji. Wydawało się jej, że zyskuje przewagę, oficer zaczął mięknąć, a przynajmniej takie odniosła wrażenie. Gdyby znalazła się z nim w jednym pokoju, natychmiast by to odgadła. Ale tak było trudno, bo w rzeczywistości miała tylko jeden towar na wymianę i gdyby raz powiedziała, gdzie jest Marek, straciłaby wszelką przewagę, a dopóki tego nie mówiła, tamci nie widzieli powodu, dla którego mieliby jej cokolwiek obiecywać. Bardzo długo tkwili w impasie, tak jak się obawiała, i zrozumiała, że w końcu, pomimo tego kluczenia, to ona będzie musiała go przełamać. Jeśli czegoś chciała od wigilów, nie miała innego wyjścia. Musiała im zaufać.

Wreszcie poddała się i wymamrotała z nienawiścią:

- Tolosa. Był na pchlim targu.

Przez chwilę nasłuchiwała, potem wyłączyła daldictor i położyła słuchawki na oparciu sofy. Kelner podszedł z rachunkiem za połączenie.

- No i? - spytał Sulien, kiedy kelner odszedł. Bawił się przewodami daldictora. Od paru minut myślał, że Marek Nowiusz mógł już opuścić Tolosę i że jeśli strażnicy przybędą, oni nie będą mieli im nic do zaoferowania.

- Powiedział, że Tolosa jest duża - odparła. - Powiedział, że wysłą ludzi i jeśli go doprowadzimy albo jeśli będziemy na miejscu, kiedy go znajdą... ale powiedział tylko „może”. Przypuszczam, że to niczego nie zmienia, nawet jeśli obiecali.

Nie wiedziała, jak mogliby się stawić na spotkanie z wigilami. Powinni się ukryć albo natychmiast uciekać z Tolosy. Ale przecież i tak mogli zostać złapani.

- Co chcesz zrobić? - wymamrotała. Sulien ugniatał skórę na nadgarstku.

- Znaleźć go - odparł.

Marek przeprowił się na drugi brzeg Garumny i odruchowo ruszył ku gospodzie. Nie potrafił się powstrzymać przed badaniem językiem postrzępionej wewnętrznej strony policzka. Nadal czuł w ustach smak krwi.

Zatrzymał się daleko przed gospodą, żeby wszystko przemyśleć. Usiadł na schodkach nieczynnego sklepu z butami i skulił się w cieniu. Wciąż trochę dygotał po bójce. No dobrze, no dobrze, co teraz? Musisz ukraść jakieś pieniądze albo birotę, albo samochód, i dotrzeć do Tarby. A kiedy tam będziesz, może ktoś ci powie, jak znaleźć Delira. Możesz udawać zbiegłego niewolnika.

Nie miał pojęcia, jak się kradnie, i nie mieściło mu się w głowie, że mogłoby mu się udać. Jakiś pobłażliwy, ojcowski głos w jego głowie szepotał: „Nie bądź głupi. Zrobiłeś, ile mogłeś. A teraz idź i powiedz komuś, kim jesteś”.

Siedział, skrywając w dłoniach obrzmiałą twarz.

Tymczasem wigilowie już przeszukiwali pchli targ, a Una i Sulien zbliżali się do Marka.

Una nie widziała dokładnie, gdzie jest gospoda Marka, ale czuła kierunek, w którym zmierzał, na drugi brzeg brązowej rzeki, ku miejscu, gdzie teren robił się nieco stromy, co stanowiło ewenement w tym płaskim mieście. Szli powoli, krążąc tu i tam w sieci ulic. Sulien niestrudzenie parł przed siebie, Una potykała się z półprzymkniętymi oczami, myślami wymacując drogę przy ścianach, po wyboistej drodze.

Szli tak godzinę. Sulien myślał chyba, że znajdą Marka. A jednak poczuł ulgę, bo od jakiegoś czasu odnosił wrażenie, że spada na łeb na szyję i nie można tego powstrzymać.

- Przed nami gospoda. Może to ta - powiedział.

- Nie - odrzekła Una jak przez sen. - Jego tam nie ma. Jest tu... tu... - I wskazała, nie podążając wzrokiem za ruchem ręki.

Przez sekundę trwał w rozterce, bo wskazywała mur. Potem zrozumiał i pospieszyli ulicą, skręcili w równoległy do niej zaułek. Una chwyciła go za ramię i przytrzymała.

- Tam.

Najpierw nic nie widział. Potem pręgi cienia w drzwiach poruszyły się i zmieniły w nogi, wyciągnęły na schodkach, skrzyżowały w kostkach. Marek powoli ułożył chude łydki na twardych płytkach, niezdarnie przekręcił się na bok i zamknął oczy.

- Dobrze - szepnęła Una zduszonym cichym głosem. - Pójdę i im po-

wiem.

- A jeśli gdzieś wywędruje? - spytał Sulien.
- To będziesz go śledził, a później zatrzymasz.

Zacisnęła zęby i udała się do gospody, gdzie poprosiła o daldictor. Sulien stał, pilnując śpiącego chłopca, i w myślach wyliczał to, o co szła gra: mieszkanie, przyjaciele, powrót do medycyny. Ciche, wrzące poczucie winy zakradło się tak niespodziewanie i znienacka, że początkowo go nie zauważył, ale nie chciało ustąpić. Pomyślał: No cóż, kiedy przybędą wigilowie, znowu będziemy sypiać na piernatach. Ta myśl dodała mu otuchy, ale nie aż tak wiele, jak by chciał. Una szybko wróciła.

- No to załatwione. Przyjadą - rzuciła ze sztuczną beztróską.

Marek zapadł w coś w rodzaju odrętwienia, choć nie liczył, że zdoła zasnąć na schodkach. Po paru minutach uniósł powieki, gdy ktoś przeszedł w głębi ulicy. Spojrzał w oszołomieniu i zobaczył szczupłą sylwetkę, podbiegającą cicho do drugiej, która stała na rogu, pod murem, i przyszło mu do głowy, że już je gdzieś widział, był także pewien, że obserwują go od jakiegoś czasu.

Przez chwilę tylko leżał i patrzył z zaciekawieniem. Potem skojarzył wzrost tych ciemnych sylwetek i długie włosy dziewczyny... i przypomniał sobie. Nie zastanawiając się, siłą samego rozdrażnienia poderwał się i podszedł do nich.

Cofnęli się gwałtownie za róg. Zasztydził z nich w duchu. Pomaszerował ulicą, odnalazł ich, czających się niepewnie. Tak, to ci sami, najwyraźniej rodzeństwo, wysocy, z takimi samymi wysokimi czołami i wąskimi ustami, choć chłopak nie miał tak jasnych włosów i tak nurzających się w czerni oczu.

- Byliście na pchlim targu, tak? - spytał lodowatym tonem. Lekko uniósł ręce, żeby zademonstrować brak plecaka. - Dajcie mi spokój. Nic mi nie zostało.

Nie odpowiedzieli, wpatrywali się w niego tępo i odrobinę zmienili pozycje, dokonali niemal niedostrzegalnego przeszerogowania. Ta łagodna, nic nie mówiąca mina znikła z twarzy wróżki, a spod niej wyłoniła się - zawsze tam obecna - twarda, nieufna inteligencja. Zatem od początku miał rację, rozpoznała go. Oboje go rozpoznali.

- Kogo zawiadomiliście? - szepnął.
- To dla twojego dobra - powiedział chłopak.

Wróżka wystartowała jednocześnie z Markiem. Chciał przemknąć obok nich, ale dziewczyna zastąpiła mu drogę tak precyzyjnie, jakby to ćwiczyli. Pozwoliła, by wpadł na nią. Odsunął ją bez trudu, bo nie starała się go chwycić, lecz kiedy upadła - nie chciał być aż tak gwałtowny - chłopak rzucił się na niego. Aż do tego wieczoru jeszcze nigdy nie musiał walczyć. Teraz robił to po raz drugi. Był zmęczony i obolały, ale choć trochę się ugiął pod ciężarem tamtego, utrzymał się na nogach i wbił pięści w jego pierś. W trakcie tej przepychanki zdał sobie sprawę, że starają się nie robić mu krzywdy, że nie chcą go uderzyć.

Mimo to walczyli absolutnie serio. Kiedy zdołał odepchnąć chłopaka, leżąca na ziemi dziewczyna wierzgnęła i podcięła mu nogi. Wpełzła na niego, starając się go przygnieść całym swoim ciałem, ugniatając mu uda kanciastymi kolanami, pracowicie i niechętnie przygniatając rękami jego barki, tak że przez bardzo krótką chwilę jasne włosy przesunęły mu się po szyi, a za ich zasłoną ujrzał jej wyrazistą, pełną desperacji twarz.

Jej brat, który stał nad nimi, spytał idiotycznie:

- W porządku?

Marek zepchnął dziewczynę. Nie była ciężka, ale wczepiła mu się w ramię z pozbawioną osobistego zaangażowania zaciekłością, a chłopak pochylił się i starał się unieruchomić jego nogi, usiłował łagodnie go obezwładnić. Marek nie mógł się podnieść z ziemi, co było okropne.

- Puszczajcie! - wydyszał i nagłym zrywem usiłował wstać, ale czepiali się jego ubrań i kończyn, i kiedy tylko wyzwał rękę, znowu ją przygwaźdzali.

Oczywiście nie puścili go, choć zerknęli na niego nerwowo.

- Długo jeszcze? - spytał chłopak, a dziewczyna odparła:

- Nie wiem. Pięć minut?

Marek zrozumiał. Szarpnął się.

- Nie rozumiecie, co się stanie.

- Zabiorą cię do domu, wasza wysokość - rzekł chłopak kojąco.

- Wysokość! - powiedziała dziewczyna z niesmakiem.

- Chcą mnie zabić - oznajmił i zaczął się rzucać gorączkowo, strząsnął dziewczynę z ramienia, uwolnił się wierzgnięciem od chłopaka i puścił pędem. Był już w połowie ulicy, kiedy zdał sobie sprawę, jak kiepsko wygląda sytuacja: oni chcieli go tylko zatrzymać, powstrzymać przez pięć minut. Niemal natychmiast go dogonili, ale on już mówił:

- Cokolwiek wam obiecali, przysięgam, dostaniecie to, kiedy cała ta sprawa się skończy, przyjdźcie do mnie, a ja wam to dam...

- Potrzebujemy teraz - warknęła dziewczyna.

- Nie, nie rozumiecie, błagam. - Nadal usiłował się między nimi przepchnąć, ale już zaczął się tępo zastanawiać, czy mógłby zrobić im krzywdę, powiedzmy - uderzyć głową chłopaka o ścianę, powalić go na ziemię i skopać. I zrozumiał, że nie potrafi. Spróbował przemówić spokojniej: - Jeśli mnie odnajdą, zginę. Proszę, uwierzcie, że to prawda...

Przez twarz dziewczyny przemknął cień niepewności i zniknął.

- Wydaje ci się, że się na tym znasz? - spytała szyderczo. - Jak to jest, kiedy się ukrywasz? Wracaj do domu, żyj w tym pałacu, bo to nasza jedyna szansa. Daj nam ją. To jedyna pożyteczna rzecz, jaką w życiu zrobisz. Chcesz, żebyśmy się nad tobą litowali?

- Nie - odparł spokojnie. - Chcę, żebyście mnie puścili.

- Wasza wysokość - odezwał się cicho chłopak, nie zwracając uwagi na grymas siostry. - Jeśli znajdą nas bez ciebie, to z nami koniec. Mnie przypną gdzieś przy drodze, a w ten sposób umiera się wiele dni. Nie wiem, co zrobią z moją siostrą. Widzisz... dla nas to nie zabawa.

- Dla mnie też - odpowiedział i znowu rzucił się przed siebie, gorączkowo wypatrując w ciemnościach zbliżających się reflektorów.

- To nieprawda, tak? - zwrócił się chłopak do siostry. - Nie zabiją go.

- Nie - rzuciła wściekle, ale przełknęła ślinę i dodała: - Jemu tak się wydaje. Tylko mu się tak wydaje.

- Dobrze - rzekł Marek. Nagle przestał się rzucać i spojrzał na nich lodowato. - Przypuśćmy, że się mylę albo oszalałem i wszystko to mi się wydaje. Jednak pewnego dnia zostanę cesarzem, a wtedy was odnajdę. I odbiorę wam wszystko, co za to dostaniecie.

Groźba nie miała sensu - wiedział, że jeśli go złapią, nie zostanie cesarzem, ale zawahali się przez chwilę. Usiłował się przedrzeć przez ich ramiona, lecz wtedy się ocknęli, obezwładnili go, przytrzymali.

- Nie znalazłbyś nas - mruknął chłopak.

Marek szarpał się z nimi machinalnie, ale myślał o czymś, co chłopak powiedział przed chwilą, kiedy desperacja niemal nie pozwoliła mu tego usłyszeć: przypięcie oznaczało ukrzyżowanie. Obywatele rzymscy nie ginęli na krzyżu, a jednak oboje wydali mu się Rzymianami.

Nagle przestał się rzucać i spojrzał na nich. Tym razem zdobył się na

łagodny ton.

- Jesteście niewolnikami? O to chodzi? Uciekliście, bo jesteście niewolnikami... i to dlatego?

Chłopak powoli pokiwał głową. Na dźwięk tego słowa dziewczyna trochę się skrzywiła.

- W takim razie nie musicie tego robić, bo już teraz mogę wam pomóc. Potem umieszczę was w bezpiecznym miejscu. Daję słowo, że jest bezpieczne i przeznaczone dla zbiegłych niewolników, ale proszę... oni już idą... proszę...

Spojrzeni na siebie, ale dziewczyna rzuciła dziko:

- Ukrywanie się to nie wolność. Nie jesteśmy ci nic winni.

- Nie - powiedział Marek niemal bez nadziei. - Ale przecież nie możecie...

Brat i siostra spojrzeli na siebie.

- Una - rzekł chłopak z naciskiem. A dziewczyna leciutko skinęła głową, stanęła przed Markiem i wbiła w niego wzrok, wpatrywała się w niego z takim skupieniem, że jej twarz jakby się skurczyła. Potem bardzo powoli jej czarne powieki opadły i naszło go znacznie silniejsze niż dotąd wrażenie, że dziewczyna widzi przez nie. Bardzo, bardzo ostrożnie puściła jego ramię, tak jak się odrywa rękę od monety, cierpliwie ustawionej na krawędzi. A jednak dopiero po chwili uświadomił sobie, że ona go już nie dotyka. Jej twarz znajdowała się tuż obok, lecz miał wrażenie, że jest jeszcze bliżej. Mimo że nikt go już nie przytrzymał, nie poruszył się. Wpatrywał się w nieruchomą twarz dziewczyny i choć nie rozumiał, co to wszystko oznacza, był pewien, że to jego ostatnia szansa i że nie ma sensu dłużej z nimi walczyć. Nie poruszył się nawet wówczas, kiedy gdzieś daleko pojawiły się światła pojazdu.

Nie odezwała się, nie powiedziała: tak, on mówi prawdę. Otworzyła tylko oczy, wciągnęła spazmatycznie powietrze, odstąpiła o krok, dała znak bratu i oboje puścili się biegiem ulicą.

Marek ruszył pędem za nimi.

vin

ZŁOTY DOM

Wariusz wracał do domu szarą jezdnią, która stawała się coraz jaśniejsza. Zdecydował, że na razie nie potrafi rozsądnie zastanawiać się nad przyszłością, wiedział jednak, że nie wolno mu myśleć o początkach tego pierwszego dnia, którego Gemella nie ujrzy. Bał się, że rozbije samochód. Usiłował nie dopuszczać następnej myśli: że to już nieważne, starał się być tylko przedmiotem prowadzącym pojazd. Jechał w milczeniu przez różnobarwny Rzym, a do willi Marka dotarł tuż po szóstej. Wysiadł z ciepłego samochodu i dostrzegł precyzję ułożenia ziaren żwiru i spiczastość liści. Nic nie było przypadkowe ani łagodne.

Służba już nie spała; słysząc samochód, kamerdyner zszedł po schodach. Zatem nikt nie zobaczył łóżka Wariusza. Kamerdyner przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Wariusz skrzywił się w powitalnym grymasie, lecz się nie odezwał. Poszedł na górę.

Zamknął się w pokoju. Nie przespał nocy, więc nie miał powodu zapomnieć ani zwątpić, że Gemella nadal będzie martwa po jego powrocie. A jednak czegoś się spodziewał. Czego? Że albo wydarzy się coś, co mu wskaże, jak ma postąpić, albo nie będzie żadnej zmiany, a Gemella będzie ciepła tak jak wtedy, gdy ją zostawił. Podeszedł powoli do jej łóżka, położył palce na jej włosach, przynajmniej one były takie jak zawsze, twarde, szeleszczące i żywe. Nie ośmielił się ich odgarnąć z twarzy żony. Ale widział martwą biel szyi i nagich ramion. Dotknął ręki; nie była zimniejsza od drewna wezgiłowia łóżka ani innego przedmiotu; nie podnosząc ciała, czuł jego opór, sztywność stawów.

Cofnął się od niej - od tego czegoś - otworzył drzwi i krzyknął:

- Ratunku, niech tu ktoś przyjdzie!

Potem zszedł po schodach i powtórzył to samo. Nie wrócił do pokoju i już na nią nie spojrział.

Kiedy przyszedł doktor, a po nim strażę, nie wiedział, gdzie się podział, i poszedł do pokoju Marka, gdzie żółtobiałe kwadraty nugatu leża-

ły na emaliowanym talerzu. Nie mieściło mu się w głowie, że takie małe miękkie kostki mogą tyle zdziałać. A jednak kiedy na nie patrzył, a jego serce za żebrami zaczęło się otwierać i zaciskać jak pięść, wydało mu się, że wyglądają śmiercionośnie - napęczniałe, ostentacyjne, bezczelne. Nie od razu zapędził gniew tam, gdzie było jego miejsce, z dala od Marka, Gemelli i jego samego.

Niedługo stanie się jasne, że Marek zaginał. Teraz trzeba znowu zacząć myśleć. Wariusz zdał sobie sprawę, co wkrótce powinien zrobić - będzie musiał powiedzieć rodzicom Gemelli... i swoim. Z wysiłkiem zmusił się do odsunięcia tej myśli. Słyszał kroki wigilów w domu. Jedno było jasne: mordercy Gemelli z pewnością nie działaliby tak śmiało, gdyby nie mieli przynajmniej częściowo wpływu na wigilów. Jeśli nie wymyśli czegoś szybko, stanie się oczywiste, że pomógł Markowi w ucieczce. Prędzej czy później i tak to się wyda, a wtedy nie będzie już mógł pomóc Markowi ani sobie. Ale może jeszcze przez parę dni im szkodzić i umożliwić Markowi powrót do domu.

Wyciągnął rękę i wrzucił dwa kawałki nugatu do wiklinowego pudełka, w którym tu przyjechały. Dotykał ich jak najdelikatniej, ale i tak poczuł przelotnie pylistą gąbczastość pod palcami. Zrobiło mu się niedobrze. Szybko zdjął płaszcz i rzucił go niedbale na łóżko. Pudełko ukrył w jego fałdach. Zaraz potem rozległo się ciche pukanie i wszedł centurion wigilów.

Był wysoki i dość krzepki, z kanciastą twarzą, w zasadzie przystojną, gdyby nie jej barwa, przez którą wyrazistość rysów zdawała się rozplýwać jak ser w upale. Skórę miał przypieczoną na mocny róż splamiony pomarańczowymi piegami, które gryzły się z ciemną czerwienią jego munduru. Brwi i rzęsy były płynnymi smugami imbiru, niemal przezroczystymi.

Wszedł ostrożnie i z szacunkiem, ale kiedy ujrzał pokój, jego spalona słońcem twarz się zmieniła.

- Myślałem, że młody Leon wrócił do domu? - spytał.
- Tak. Nie wiem - odparł Wariusz. - Przyszedłem, żeby go powiadomić.

- Nie widziałem go na dole.
- Musi tam być - szepnął Wariusz.

Centurion zmrużył oczy z troską, wyszedł i wymamrotał coś do swo-

ich legionistów. Znowu wrócił i przedstawił się poniewczasie jako Kleomenes. Zdjął hełm, odsłaniając pomarańczowe, krótko obcięte włosy. Przyjrzał się Wariuszowi.

- Bardzo mi przykro.

Wariusz uśmiechnął się z trudem, mdło, i znowu poczuł, że nie może mówić.

Kleomenes kiwnął głową dyskretnie i ze zrozumieniem. Odczekał chwilę, zanim spytał:

- Pomożesz mi zrozumieć, jak to się stało?

Wariusz nade wszystko pragnął zasnąć. Rozpraszało go coś, co właściwie nie było halucynacją, lecz natarczywym wrażeniem, że o parę kroków na lewo, tuż poza polem jego widzenia, przykucnął mały chłopiec. Nieustannie musiał tam spoglądać, by wciąż od nowa upewniać się, że ten chłopiec jest złudzeniem, duchem, gdyż stoi tam tylko niski stolik. Rozmowa przychodziła mu z trudem. Ale kłamstwa o Gemelli nie chciały mu przejść przez gardło.

- Jestem tu od godziny - powiedział, aby jakoś zacząć.

- Ale służący twierdzą, że byłeś tu zeszłej nocy - odparł łagodnie Kleomenes.

Oczywiście musiał to powiedzieć. Ale zmęczenie nagle opuściło Wariusza. Przez jeden gorzki moment zachciało mu się śmiać, bo nie mógł uwierzyć we własną głupotę. Wiedział, że mordercy Gemelli go dopadną i że musi wymyślić jakąś wersję wydarzeń z tych ostatnich ośmiu godzin, by ich odstraszyć. A jednak nie zastanowił się, jak mogłyby wyglądać te godziny. Co się właściwie wydarzyło? Jego żona zginęła, a on już teraz nie mówi prawdy i zachowuje się bardzo osobliwie. Gdyby Gabiniusz i reszta - kimkolwiek byli - zechcieli go usunąć z drogi, zyskaliby znakomity pretekst.

Po prostu śmierć Gemelli przekraczała ludzkie pojęcie. Nawet teraz, rozumiejąc swoją naiwność i przeklinając się za głupotę, z trudem sobie wyobrażał, że ktoś mógłby go uznać za mordercę.

Spłynęło to na niego w ciągu sekundy. Natychmiast zapragnął wszystko wyjaśnić - tak bardzo, że w szoku otworzył usta, by zacząć zdanie, którego jednak nie sformułował. Zagapił się w różową twarz Kleomenesa i bardzo żałował, że nie wie, jakie myśli kłębią się w głowie wigila i co by się stało, gdyby powiedział prawdę. Centurion badawczo mu się przy-

glądał, pełen litości, ale i sceptycyzmu. Wariusz zastanowił się, jak to się może łączyć - jak można się litować nad kimś, kogo się uważa za mordercę.

Z drugiej strony być może jednak Kleomenes wiedział o jego niewinności, co byłoby najgorsze ze wszystkiego. Spróbował się uspokoić. Tak naprawdę to przecież wszystko jedno. Choć myśl o tym była tak nierealna, że ledwie zrozumiała.

- Tak - odezwał się zdecydowanie. - Tak, ale poszedłem do domu tuż po jedenastej.

- A twoja żona jeszcze żyła? Proszę, wybacz.

- Oczywiście - odparł Wariusz i zdał sobie sprawę, że prawdziwy ból trochę mu pomaga, że nadaje sens wahaniu w jego głosie. Wydało mu się obrzydliwe, że śmierć Gemelli daje mu jakąś przewagę, ale nie miał na to wpływu, nawet gdyby chciał. Przełknął ślinę i ciągnął: - Miała się położyć.

- A ty musiałeś wracać do domu w środku nocy? - Kleomenes nie był już taki współczujący.

Wariusz z ociąganiem opowiedział o klinice dla niewolników. Pracował nad nią z Leonem od tak dawna, że nietrudno mu było ułożyć dość wiarygodną historię, choć wiedział, że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw.

- Uznaliśmy, że już zdobyliśmy pieniądze na nabycie działki i... ale ponieważ Leon i Klodia Aurelia zginęli, wszystko... oczywiście w tej chwili pieniądze Leona odziedziczył Marek Nowiusz, i nie mogę dalej działać bez jego zgody. Myślałem, że jest za wcześnie, żeby go tym zdręczać.

Kleomenes znowu skinął głową, ale jego usta wydęły się irytująco w kącikach.

- Ale wczoraj jeden z darczyńców chciał się wycofać. Przekonałem go, żeby zaczekał, dopóki nie porozmawiam z Markiem. - To mniej więcej zgadzało się z jego ogólnikowym listem do Faustusa. - Chciał, żeby ta klinika nosiła imię... więc wróciłem do domu i... pracowałem całą noc, wszystko przepisałem na Marka... I spisałem nową ofertę dla darczyńcy. Musiałem to przygotować na rano, bo stracilibyśmy działkę. - Gdy skończył mówić, odczuł ulgę.

- I nawet wtedy nie poszedłeś spać? - wykrzyknął Kleomenes.

- Nie. Musiałem to wszystko omówić z Markiem. A potem musiałem

spotkać się rano z darczyńcą, już mówiłem.

- Kto to jest?

Wariusz wymienił produkującą komedie agencję dalwizyjną, z którą rzeczywiście mieli kłopoty, choć nie tak poważne.

- I zostawiłeś dokumenty w samochodzie?

- Nie, są w gabinecie, z innymi.

- Rozumiesz, że musimy to sprawdzić.

- Tak.

Miał nadzieję, że papierów jest dosyć, by zająć na chwilę wigilów. Trochę się bał, że potem zażądamy dokumentów Leona, ale na to nie było rady. Usiłował sobie przypomnieć, czy któryś służący widział go, jak idzie po schodach, lecz nie wchodzi do gabinetu. Nieświadomie Wariusz zanadto zbliżył się do wspomnienia o tym, co się stało w tym pokoju. Usłyszał jęk, zamknął oczy, co nie przeszkodziło mu zobaczyć upadku Gemelli.

Kleomenes przyglądał mu się uważnie.

- Czy mogę iść do domu? - spytał Wariusz ochryple.

- Za chwilę - powiedział Kleomenes.

- Ale już nie mam nic do dodania. - Nadal nie otwierał oczu.

- Nie przychodzi ci do głowy nikt, kto by chciał ją skrzywdzić?

- Nikt, kto by ją chciał otruć - wymamrotał Wariusz, nadal usiłując wyrwać się ze wspomnień o minionej nocy, nadal zajęty martwym ciałem Gemelli. Zamrugał, znowu zerknął na stolik. Kleomenes z wolna zmrużył oczy. Były jasne, czystobrazowe, jedyny barwny element tej twarzy.

- Sądysz zatem, Kajusie Wariuszu, że to trucizna?

Wariusz zaczął coś mówić, ale wówczas wszedł legionista i zameldował:

- Panie, nie ma go tutaj i nikt go nie widział od wczorajszej nocy.

Jasne brwi Kleomenesa uniosły się gwałtownie, ale przez chwilę trwał

niezdecydowany, nadal spoglądając na Wariusza, zanim w końcu warknął:

- Dobrze. Nie odchodź nigdzie, gdzie nie moglibyśmy cię znaleźć. - Znowu zamilkł i burknął: - I pozwól, że mój człowiek odwiezie cię do domu. Każdy widzi, że nie jesteś w stanie prowadzić. - Po tych słowach

wypadł z pokoju.

Wariusz wstał. Odwrócił się, wziął płaszcz, starannie objąwszy przez materiał pudełko. Zszedł za legionistą po schodach, a potem, jakiś czas później, uświadomił sobie, że stoi w windzie na parterze smukłego bloku, w którym mieszkał z Gemellą. Niemal nie pamiętał podróży samochodem. Nie wiedział nawet, jak długo stał w nieruchomej windzie. Sprawdził, czy nadal ma słodycze od Makarii: miał.

Zakradł się po schodach, energicznie wszedł do ich mieszkanca, ładnie urządzonego, lecz maleńkiego, bo w Rzymie wszystko było drogie. Włączył wszystkie światła, postanowił nie zwracać uwagi na rzeczy Gemelli, nawet zbyt długo spoglądać na cokolwiek. Nie mógł dłużej czekać, musiał powiadomić jej rodziców. Zrobił to najdelikatniej, jak mógł, kilka razy zbierał siły, by powiedzieć, że nie wie, co się stało, gdy ojciec Gemelli zaczął go niemal gniewnie wypytywać, a potem nagle zamilkł. Z jego matką było gorzej, krzyknęła ze zgrozą, ale zaraz oświadczyła:

- Przyjeżdżam. Będę za godzinę.

Długo ją prosił - a w końcu nawet błagał - by nie przyjeżdżała, udało mu się jednak tylko zyskać odroczenie o parę dni. Ta rozmowa wiele go kosztowała. Wyłączył daldictor i zastanowił się, czy powinien ją jakoś przygotować na to, co się może z nim stać. Ale być może nie stanie się nic więcej. Jeszcze się nie poddał.

Naprawdę czasami pracował w domu, niekiedy siedział całą noc. Niecierpliwy, zapalczywy Leon chciał mieć wszystko natychmiast i szybko się nudził, wymuszała tę dokładność, kompletnie jej nie rozumiejąc, nie pojmując, jak ktokolwiek mógłby się rozmiłować w szczegółach jakiegoś pomysłu.

Wariusz miał na swoim biurku kopie i szkice korespondencji dotyczącej oficjalnych wizyt Leona i Klodii, pierwszych planów i raportów w sprawie kliniki dla niewolników. Niemal wszystko nosiło późniejsze daty niż akta w gabinecie Leona i Wariusz pomyślał, że prawdopodobnie na nic się te papiery nie przydadzą, ale i tak wszystko zabrał i zaczął starannie układać, a potem wydawało mu się, że po chwili obudził się ubrany, leżąc wśród sterty dokumentów na łóżku. Nie pamiętał, kiedy się położył.

Faustus szedł przez dom Druzusa, zostawiwszy za sobą swą jak zrzucaną skórę. Spojrzał na ogród i dostrzegł bielejące kępy włosów Lucjusza, poruszające się nieregularnie, gdy jego brat kuśtykał wraz z pielęgniarką. Utykający starzec, jego brat, młodszy od niego o sześć lat! Ale to przez klątwę. To jedna z wielu przyczyn, dla których nie odwiedzał częściej Lucjusza. Biedny Lucjusz! Nerwowo dotknął własnych włosów - nigdy nie był próżny jak Leon, z rezygnacją pozwolił swemu atrakcyjnemu ciału obrosnąć tłuszczem, lecz nagle zapragnął na siebie spojrzeć. Zamiast tego zerknął na Tulliolę, niemal równie gładką i lśniącą jak zwierciadło, a ona uśmiechnęła się do niego. Pożałował, że nie może jej dotknąć, by dzięki temu znaleźć się na ziemi, wśród gładkich i młodych stworzeń, lecz na chwilę przestraszył się Makarii, która już chciała być w swoim Salamis i zająć się tą idiotyczną winnicą. Polecił jej jednak, by odwiedziła wraz z nim Lucjusza. Uważał, że teraz, kiedy odszedł jeden z trzech braci Nowiuszów, Makaria powinna odłożyć ponowną ucieczkę z Rzymu, której jedynym celem było zirytowanie ojca.

Wściekła Makaria od śniadania traktowała Tulliolę skandalicznie. Tulliola, zawsze taktowna, prawie się nie odzywała.

- Myślałem, że znajdziesz dla niego życzliwe słowo - powiedział Faustus.

- Nie mogę - odparła Makaria sucho. - To by była hipokryzja. Jest strasznie żenujący. I zawsze uważałam, że ma rozbiegane spojrzenie.

- O, to niesprawiedliwe - odezwała się cicho Tulliola, niemal równie spokojnie jak zawsze. Niemal niezauważalnie odetchnęła, gdy Makaria ją zignorowała.

- Nie wiem, dlaczego musiałam tu przyjechać.

- To mój jedyny żyjący brat. Jesteś bez serca, młoda damo - skrytykował ją Faustus, a potem, by ją ukarać za dzisiejsze zachowanie, dodał: - W zasadzie nie taka młoda.

- Tak - rzekła Makaria, choć nie było jasne, z którą częścią wypowiedzi się zgadza. Po chwili dodała w zamyśleniu: - W związku z tym musisz się czuć bardzo stary.

Dlaczego dostała mu się tak okrutna córka? Odkąd skończyła dwanaście lat, doskonale wiedziała, jakie słowa mogą najbardziej ranić.

- Nikt nie ma prawa tak do mnie mówić. Jestem cesarzem. Twoim ojcem, niewdzięcznico.

- Chciałabym być w domu - odparła Makaria smętnie.
- Jesteś w domu. Jeden ranek możesz nam darować.
- Nie wiesz, czy mogę. Ale powinieneś wiedzieć, jak szybko sytuacja może się pogorszyć. Nie chodzi o jeden poranek, tylko o tydzień...
- Pogrzeb twojego wuj a...!
- Tydzień, być może zaraza padła na całą winnicę, a ja nie mogę temu przeciwdziałać...
- Bzdura. Nie wiem, dlaczego marnujesz na to czas.
- Muszę się czymś zająć.
- Tak! - wykrzyknął. - Powinnaś wyjść za męża.
- Jestem za stara - odparła znużona. - Sam to powiedziałeś.
- Nie powiedziałem. Jesteś córką cesarza, nie możesz być za stara.
- Zawsze byłam za stara - wymamrotała głucho w pustkę. A głośniejsze dodała: - Co za różnica, co mi powiedziałam. On nie wie, kim jestem. Pewnie nie wiedziałby nawet, gdyby nie oszalał.

Na to pojawił się Druzus i spojrzał na Makarię z żądzą mordy w oczach. Faustus odezwał się głośno:

- Pozwól, że za nią przeproszę.

Druzus tylko wzruszył ramionami.

Faustus ruszył do Lucjusza przez trawnik. Obejrzał się na Makarię i Tulliolę, przez chwilę stojące jak skamieniałe, ramię w ramię. Obie trzymały się bardzo prosto; poza tym można by pomyśleć, że należą do innych gatunków. Tulliola miała w sobie tyle płynnej gracji; Makaria wyglądała jak ponury żołnierz. Nie była brzydka - nie, miała rysy Nowiuszów, proste i władcze, wyróżniały ją jedynie ciężkie powieki, pełne i lekko wygięte usta. Jednak była naburmuszona i dbała o siebie tylko w takim stopniu, by wyglądać schludnie i nie całkiem bez gustu. Faustus żałował, że nie wydał jej za męża, kiedy była młoda, a zatem pewnie ustępliwa i nie grymasiła - choć jeśli kiedyś taka była, to tego nie pamiętał. Od lat z tym zwlekał, a mglista obietnica ręki Makarii była bardzo użyteczna przy wyciąganiu pieniędzy od kłopotliwych gubernatorów i senatorów. Zanim zdał sobie sprawę, że z Makarią coś trzeba zrobić, skończyła dwadzieścia cztery lata, stała się nieustępliwa i było już za późno. Czasami zastanawiał się z żalem, jaka by była jako mężczyzna.

Druzus włókł się za nimi, a Makaria coś mówiła - być może przepraszała, oby, bo Druzus uśmiechnął się krzywo.

- Lucjusz, wiesz, że to Tytus, prawda? - powiedział Faustus z ożywieniem.

Lucjusz miał rozbiegane spojrzenie, choć tak naprawdę pewnie się tylko bał. Raz spojrzął na Faustusa, ale nie zamierzał tego uczynić po raz kolejny. Wykręcał palce i w końcu potwierdził, lecz Faustus mu nie uwierzył.

Ulpia, pielęgniarka Lucjusza, atrakcyjna, podobna do wiewiórki kobieta mniej więcej w wieku Makarii, poklepała go po ramieniu i powiedziała:

- No, Lucjusz, Nowiuszu, to twój brat.

- Leon! - wymamrotał Lucjusz.

Faustus drgnął.

- Doskonale wiesz, że nie Leon, Lucjusz. Wiesz, co się stało z Leonem. Musisz wiedzieć, dajże spokój.

Lucjusz trochę się skulił. Druzus podszedł wielkimi krokami wraz z Tulliola i Makarią i odezwał się pochmurnie:

- Nie powinniśmy go zabierać na pogrzeb, wuju. Jestem pewien, że przedtem czuł się lepiej. Prawda, tato?

Lucjusz skinął tępo głową, usiadł i zaczął z zajęciem wyrywać trawę z korzeniami.

- Ojej! - powiedziała Ulpia z czymś w rodzaju rozczarowania.

- Musisz to robić? - spytał Druzus cicha, z tłumionym niezadowoleniem.

Lucjusz szybko na niego zerknął i ku zaskoczeniu Faustusa przestał.

- Co u Janisena, wuju? - spytał Druzus od niechcienia, jakby Lucjusza tu nie było. Janisen, terranowiański gubernator, przyjechał do Rzymu, by przedyskutować plany umocnienia wielkiego muru wzdłuż granicy rzymsko-nioniańskiej, lecz Faustus nie potrafił podjąć decyzji w tej sprawie.

- Och, jak zawsze. Uciążliwy - odparł Faustus równie niedbale, licząc, że Druzus nie będzie drążyć tematu.

- Widzisz, to brak skuteczności - powiedział Druzus z zaangażowaniem. - Nie istnieje powód, dla którego nie mógłby sobie doskonale poradzić z tym, co ma do dyspozycji. Po prostu chce od ciebie wyciągnąć pieniądze, nie zamierza nic zmienić.

- No cóż - mruknął Faustus, usiłując jednocześnie wydać się stary,

dobrotliwy i roztargniony. Wiedział, że Druzus sam chciałby zarządzać Terranową, ale przecież nie spędził poza Rzymem więcej niż miesiąca. Zostawiwszy Lucjusza ukrytego w najdyskretniej położonej rodzinnej willi, Druzus wędrował z domu do domu, z pałacu do pałacu, ale zawsze wydawało się, że nie potrafi długo wytrzymać bez Rzymu. Raz pomagał przy organizacji igrzysk ludowych i chyba uznał, że następnym logicznym krokiem będzie rządzenie krajem. Faustus pomyślał, że Druzus jest błądliwy, zdenerwowany i chyba niezbyt zdrow. Wróciła stara troska, niemal zapomniana i zwykle prawie niegodna zastanowienia, może tylko w obecności Lucjusza - że w rodzinie mógłby oszaleć ktoś jeszcze.

Być może Druzus zbyt często bywa na ucztach albo się zakochał.

- Jak się miewasz, wujku? - spytała Makaria, starając się, by zabrzmiało to sympatycznie. Dłonie splotła przed sobą jak grzeczna dziewczynka.

Przed chwilą stroiła fochy. Faustus uznał ją za hipokrytkę. Lucjusz parsknął gwałtownie śmiechem.

- Jak? Jak? - powtórzył.

Druzus mimowolnie westchnął z irytacją i odszedł w stronę domu, gdzie Tulliola nadal taktownie czekała przy wejściu do ogrodu.

- Czy jesteś zdrow? - ciągnęła Makaria, siłąc się na cierpliwość.

- Och, wracaj do domu i daj mu spokój - nakazał Faustus. Makaria przyjęła jego polecenie ze zbyt wielką ulgą, by protestować, i posłusznie odeszła.

- Lucjusz - odezwał się Faustus błagalnie, lekko drżąc. - Nie możesz powiedzieć czegoś do rzeczy? Leon nie żyje. To ja.

A Lucjusz nagle mruknął:

- Tak. Wiem. Tytus.

- Lucjusz!

Potem ktoś - Glaukon, jego prywatny sekretarz - wpadł do ogrodu, a za nim Makaria i Tulliola.

- Panie, panie, niestety muszę z tobą pomówić.

- O co chodzi? - warknął Faustus, odwracając się z irytacją.

- Tatusiu - powiedziała Makaria - Marek zaginał. A jakaś kobieta z jego domu nie żyje. I nikt nie wie, co się stało.

- Kobieta nie żyje! - powtórzył Lucjusz, szepcząc przez brudne palce, którymi zakrywał twarz, bardziej przerażony niż zwykle. Faustus stał,

mrugając, czuł się niemal tak, jakby wiedział o tym już wcześniej, i myślał rozpaczliwie, nie wiadomo dlaczego: No tak, jasne. Wszystkich ich skoszą. Potem dostrzegł, jak bardzo bladzi i zdenerwowani są jego bliscy, jak pomimo wzajemnej niechęci instynktownie zwarli szeregi z przelotnym, pełnym przerażenia poczuciem więzi rodzinnej, i parsknął, wysuwając do przodu pierś. Nie mógł znieść, że stoi tak oszołomiony. Wma- szero- wał między nich, by porozmawiać z Glaukonem.

- Chodzi o okup?

- Nie - wyjąkał Glaukon. - Pani Nowia ma rację. Nie wiemy nawet, czy został uprowadzony.

- Co więcej się wydarzyło?

Glaukon żałośnie unikał jego spojrzenia.

- Pytam poważnie - rzucił cierpko Faustus.

- Nie wiem. Przepraszam.

- To dość żałosna odpowiedź. Ktoś musi mi opowiedzieć o wszystkim, co zaszło. Lucjusz... - Urwał i na moment położył rękę na ramieniu brata. Lucjusz spojrzał na niego nieprzeniknionym wzrokiem, zasnutymi mgłą oczami. Ogryzał paznokcie. Faustus stęknął ze zmęczenia i ruszył ku domowi, z ulotną satysfakcją zdał sobie sprawę, że pozostali odruchowo idą za nim. - Od czego są ci wigilowie?

W samochodzie Makaria odezwała się nagle:

- Wprawdzie nikt nie żądał okupu, ale na pewno zażąda. Trzeba wyznaczyć nagrodę.

- Oczywiście - rzucił odruchowo Faustus, choć na razie się nad tym nie zastanawiał. Przebiegał w myślach to, co musi zrobić dziś po południu: odwołać gubernatora, porozmawiać z doradcami, ktoś musi opracować jakieś oświadczenie dla prasy...

Makaria zamknęła oczy wyraźnie zniecierpliwiona, ale potem dodała z wahaniem, niemal wbrew sobie:

- Chyba... uważaj ą, że żyje...?

- Wiesz dokładnie tyle co ja - powiedział Faustus, czując, że tak być nie powinno. - I nie bądź nieczuła.

- Nie jestem, tato. Myślę tylko, że powinniśmy się przygotować.

- Kochana Makario, to straszne - odezwała się Tulliola. - Nikt nie ma powodu go zabijać, jest cenny tylko żywy. Nie ma wątpliwości, że wkrótce go odzyskamy. - Wsunęła rękę w dłoń Faustusa i dodała: - Ale wzdra-

gam się o tym myśleć! Musi być przerażony.

- Hm... - mruknęła Makaria, zbyt zaabsorbowana, by zaszydzić z Tullioli. - Zakładając, że to porwanie. Jeśli nikt się do nas nie odezwie, nie będzie to porwanie, prawda? Ta kobieta, to mi się wydaje dziwne. Nie chcę przez to powiedzieć, że ktoś go zabił.

Zrobiła wdech, by coś dodać, lecz jakby zabrakło jej odwagi.

- Powiedz - rzekł sucho Druzus. - Myślisz, że to go spotkało. To samo co mojego ojca.

- Nie będę rozmawiał o tak strasznych sprawach! - zagrzmiął Faustus, ale potem dorzucił nerwowo: - Lucjusz nigdy nie był agresywny, nie zagrażał nikomu ani sobie nie zrobił krzywdy...

- Tak, a Marek jeszcze trzy dni temu był zupełnie zdrowy - dodała Tulliola.

- To może nadejść bardzo gwałtownie - mruknął Faustus ze smutkiem.

Wszyscy znowu zamilkli, aż Tulliola, uprzejmie siląc się na normalny ton, spytała:

- Jak zamierzasz podróżować, Makario?

Samochodem? Makaria wbiła w nią nieruchome spojrzenie.

- Teraz nie mogłabym wyjechać. Prawda?

Wariusz obudził się, wstrzymując oddech, przypominał sobie, poddawał się próbie, upewniał się, co się zdarzyło. Nie wolno mu dopuścić do ani jednej chwili zmieszania, ospałości, podejrzeń, że to był tylko koszmar nic z tych rzeczy. Przez chwilę wpatrywał się ponuro w ścianę, potem wstał. Spróbował wygładzić zmięte dokumenty, uświadomił sobie, że nie wie, która godzina, a nawet pomyślał, że to już rano następnego dnia. Włączył dalwizor na ścianie i natychmiast ujrzał twarz Marka. Właśnie minęło wpół do czwartej. Zamrugał, zmusił się do pomyślenia o podróży Marka. Od czasu gdy widział ruszający konwój, upłynęło prawie dwanaście godzin. Marek pewnie dotarł już do Tarby. Czy odpocznie tam, czy też natychmiast ruszy na południe? Wariusz wyobrażał go sobie bezbronno i żałował, że nie dał mu bardziej szczegółowych wskazówek. Ale najwyraźniej jeszcze go nie złapano; nawet jeśli instrukcje nie były najlepsze, to na razie go nie zawiodły.

Potem, zamiast twarzy Marka, pojawiła się Tulliola, z wyprostowaną długą szyją pod wysokim stożkiem ciemnych włosów, siedząca skromnie na tle jakiegoś luksusowego, choć anonimowego pałacu. Wariusz był trochę zaskoczony, bo rzadko przemawiała publicznie.

- Mąż prosił, bym powiedziała parę słów - zaczęła dość sztywno, nawet nie próbując udawać, że nie czyta gotowego tekstu. Ledwie otworzyła usta, Wariusz zrozumiał, dlaczego ją wybrano. Choć była zdenerwowana, samo jej pojawienie się, raczej poważnej niż zaszokowanej, łagodziło atmosferę zagrożenia. Jakby miało oznaczać, że wszystko da się naprawić. I stawiała czoło kryzysowi jako osoba niewywodząca się z rodu Nowiuszów.

Oczywiście nie wspomnieli o Gemelli.

- Na pewno rozumiecie, jak bardzo nam zależy, by wrócił do domu - zakończyła Tulliola. - Cesarz z radością zaoferuje pięćset tysięcy sestercji za informację, która doprowadzi do powrotu Marka. Oczywiście jest to bardzo trudny moment dla naszej rodziny i narodu rzymskiego, zwłaszcza że nastąpił tak szybko po śmierci Leona i Klodii. Jednak cesarz będzie czerpać pociechę z waszych modlitw, z doskonałej pracy wigilów i z wierności i wsparcia ludu. Dziękuję wam wszystkim.

Wariusz umył się pobieżnie. Przez moment wściekł się na siebie za to, że zasnął, ale nie wierzył, że znajdzie coś ciekawego w aktach Leona. Kiedy pracował, myślał o najróżniejszych rzeczach: na przykład że mógłby podstępem lub przemocą dostać się do gabinetu Gabiniusza i znaleźć tam coś mającego związek z dworem, jakieś plotki z pałacu. Teraz, gdy nie był już tak zmęczony, wydało mu się to idiotyczne. Wziął słodycze od Makarii, plik dokumentów i złapał pociąg do Palatynu.

Przez ostatnie sto lat pałac zachował pierwotny kształt tylko w ogólnych zarysach, ale od czasów Blandianów nazywano go Żółtym Domem. Faustus zastąpił przysadziste, kanciaste wieżyczki w rogach wysokimi, okazałymi, owalnymi wieżycami z rybich łusek ze szkła w kolorze miodu, przykrytymi płatkami złota i jaskrawoniebieskimi płytkami, ze złoceniami i brązem na drewnianych framugach. Wzniesione przez Nasenniusza wielkie, płaskie, żółtawe kamienne pudło pomiędzy wieżami pozostało niemal takie samo, choć Faustus przykrył je niską, niefunkcjonalną kopułą, jak niebieskim kloszem, i dodał tu i ówdzie arkusze złotej blachy i niebieskie szkło. Niegdyś z okrągłych witrażowych medalionów w rzę-

dzie łukowatych okien spoglądał wzbudzający niepokój, srogi Naseniusz. Nowiuszowie zastąpili go świetlistymi wizerunkami uśmiechniętych bogów na tle lazuru nieba, choć ci bogowie mieli zdecydowanie rysy Nowiuszów. Wariusz nie patrzył na nich. Był tak przyzwyczajony do pałacu, że prawie go nie dostrzegał, choć dziś na jego widok poczuł większe obrzydzenie niż zazwyczaj.

Wariusz minął mniejsze, starsze budynki tłoczące się wokół pałacu, przeszedł na ukos przez Circus Maximus i skręcił do służbowego wejścia do Złotego Domu. Pokazał przepustkę pretorianinowi w bramie. Postanowił nie zawracać sobie głowy opuszczonym gabinetem Leona w południowo-zachodniej wieży - nic tam nie było. Leon nigdy w nim specjalnie nie przesiadywał. Ruszył przez korytarze pierwszego piętra, gdzie urzędnicy nieustannie snuli się między wieżami, i wszedł do przedsiönka gabinetu Faustusa w sercu Złotego Domu. Pomieszczenie było ogromne, pełne złocień i bieli, cicho mruzczała maszynyria, wysysając upał z wnętrza. Wielki prostokąt światła z ogromnych nowych okien kładł się na licznych biurkach.

Rzym był brudny i mglisty, ale za oknami w najnowszych częściach pałacu zawsze wyglądał na słoneczny dzięki niebieskiemu i złotemu szkłu.

Wprawdzie w tym jasnym pomieszczeniu panował rozgardiasz większy niż zwykle, jednak przybycie Wariusza wywołało dreszcz konsternacji. Tego się nie spodziewano. Zignorował falę niepokoju i rzędy wstrząśniętych pracowników. W głębi pokoju stało szerokie biurko Glaukona, jak barykada między pokojem a zamkniętymi i strzeżonymi drzwiami do prywatnych gabinetów cesarza. Wariusz ruszył w ich stronę.

Glaukon wstał na powitanie.

- Wariuszu - powiedział. - Nie powinieneś się tu zjawiać.
- Dlaczego? - spytał Wariusz groźnie.

Glaukon miał delikatną, inteligentną twarz, żurawie ciało, które przyjęło przeproszającą pozę, rzadkie jasne włosy, które cofnęły się wysoko nad skronie. Wariusz nie znał go dobrze - z pewnością nie na tyle, by mu teraz zaufać - ale przy każdym kontakcie uważał go za irytującego. Glaukon na pewno nie był ani głupi, ani niekompetentny, ale wyjątkowo ostrożny i rozważny. Decyzje podejmował długo, jeśli w ogóle je podejmował. W ten sposób nigdy nie popełniał błędów.

Teraz Glaukon zaczął się namyślać, ale zanim zdążył przemówić, Wariusz spytał:

- Czy cesarz spotkał się już ze strażnikami?
- Sądzę, że powinieneś wrócić do siebie.
- Spotkał się?
- Nie. Nie wyglądasz dobrze.
- Czuję się dobrze. - Wskazał pretorianów stojących pod drzwiami cesarza. - Jest tam?

Glaukon zaczął mu się przyglądać z obawą.

- Czego chcesz, Wariuszu? Usiłujemy tu dbać o świat, a akurat dzisiaj...

- Muszę się z nim widzieć dzisiaj.

Glaukon patrzył na niego z bólem.

- To niemożliwe.

- Możliwe - odparł Wariusz uparcie. Ale nie, nie, Glaukon nigdy mu nie pomoże, jeśli dalej się będzie tak zachowywać. Dodał z wysiłkiem: - Przepraszam, Glaukonie, wiem, że nie zachowuję się stosownie.

- Rozumiem to - rzekł Glaukon łagodnie. - Lecz nawet w zwykły dzień nie mógłbym nic dla ciebie zrobić, nie ma wolnej ani godziny. Wszyscy chcą się z nim spotkać. Odwołujemy wszystko. Dziś nawet sinoański ambasador i gubernator Terranowy nie zobaczą się z nim i nadal nie możemy wygospodarować dość czasu. A ty...! - Zawahał się przelotnie i wymamrotał, nie bez życzliwości: - Nie wiem, czy spotkanie z tobą byłoby stosowne, choć mówię to z zalem.

- Tak, wiem - powiedział Wariusz. - Zdawałem sobie z tego sprawę jeszcze przed przybyciem. Musisz zrozumieć, że nie odważyłbym się, gdyby to spotkanie nie było tak ważne.

- Możesz zostawić u mnie wiadomość - zaproponował Glaukon.

- Nie mogę. Przepraszam. To musi być spotkanie w cztery oczy.

Glaukon w zamyśleniu ssał dolną wargę.

- O co chodzi?

Wariusz znowu się zawahał, starał się ważyć każde słowo.

- Wiem, że to bardzo niewygodne. Wiem, że stawiam cię w trudnej sytuacji, i przepraszam. Przepraszam, że nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Muszę o czymś powiadomić cesarza, lecz tylko jego.

Glaukon westchnął krótko z konsternacją i spojrzał przerażony na

ścianę, jakby szukając u niej współczucia. Wariusz mimo woli trochę podniósł głos.

- Glaukonie, wiesz, że nigdy dotąd tak nie postępowałem. Proszę, powiadom go tylko i niech on podejmie decyzję. To wszystko.

Glaukon zrobił bezradny, desperacki gest i przez sekundę wydawało się, że nic nie uczyni ani nie powie. Ale potem, jakby całkiem przypadkowo, odwrócił się w milczeniu, a gwardzista odsunął się i wpuścił go do cesarskiego gabinetu.

Wariusz odetchnął, nagle czując przyływ zmęczenia. Usiadł przy biurku Glaukona i zaczął nerwowo przeglądać dokumenty Leona. Mógł przynajmniej udowodnić, jak gwałtownie i bez uzasadnienia Gabiniusz stracił zainteresowanie kliniką dla niewolników. A Faustus z pewnością rozpozna słodycze Makarii, zrozumie, jakie to nieprawdopodobne, że on, Wariusz, otruł swą żonę. Ale co ma powiedzieć? Przećwiczył to w myślach: wasza wysokość, nie oskarżam nikogo prócz Gabiniusza. Nie wiem, skąd się wzięła ta trucizna. Proszę rozkazać pretorianom rozpocząć śledztwo, proszę nie ufać wigilom.

Siedział tam niemal jak w transie, aż Glaukon wreszcie wrócił, lekko wzruszył ramionami i powiedział:

- Możesz wejść.

Faustus siedział i składał podpisy, jeden po drugim; jakieś nudne delegacje, edykt przenoszący prawa do pensji na spadkobierców popularnego weterana, wyrok śmierci. Jednocześnie słuchał Agelasta, młodszego współpracownika, który informował go o reakcji na apel Tulliolii. Przyzwyczał się do załatwiania dwóch rzeczy jednocześnie, ale dziś było mu trudniej kontrolować, co zatwierdza własnym imieniem; nawet nie zapoznawał się z treścią dokumentów. Zapominał także zerkać na pióro. Nigdy nie lubił swojego podpisu. Niegdyś martwił się, że wygląda dziecinnie, potem że tylko nieelegancko, a teraz, gdy się bał, było najgorzej, chyba że się skupił i nie pozwalał literom na starczą chwiejność. Miał dopiero sześćdziesiąt jeden lat, to idiotyczne. Ale nie, dziś jego imię naprawdę kołysało się i trzęsło. No cóż, i on był wstrząśnięty. A jednak wszystko załatwił - nikt nie mógłby powiedzieć, że się załamał.

Druzus usiłował mu pomagać, choć tylko przeszkadzał; stał nad nim z roziskrzonym spojrzeniem, rozgorączkowany, nadmiernie podniecony, nieustannie przerywając Agelastowi. Jednak Faustus nie odesłał go - w

zwykłych okolicznościach nie lubił obecności rodziny w gabinecie, ale oczywiście chcieli mieć dostęp do informacji i dziś czuł się lepiej, wiedząc, gdzie są wszyscy.

- Widziano go w Londynie, Tomisie, Palmyrze...

- Jak mogli z nim dotrzeć tak daleko? - spytał Faustus, składając podpis.

Druzus wyszczerzył zęby.

- Pewnie nie dotarli - powiedział, zanim Agelast zdążył otworzyć usta. - Najbardziej prawdopodobna jest Peruzja, prawda? Ktoś widział go, gdy wsiadał do pociągu. Proszę, wuju, to blisko. Sprowadzą go jeszcze dziś po południu.

- Ale skoro wsiadał do pociągu, to musiał odejść z własnej woli - odezwała się Makaria, siedząca naprzeciwko Tullioli na jednej z ciemnozielonych sof stojących u stóp cesarskiego biurka.

Faustus skrzywił się żałośnie.

- No, nie sądzę. A może separatyści albo ktoś w tym rodzaju.

- Tak, najjaśniejszy panie, przyznały się cztery grupy - powiedział Agelast.

Druzus przestał się uśmiechać.

- Jedna twierdzi, że wykonali na nim egzekucję - rzekł cicho.

Faustus ukrył twarz w dłoniach.

- Ale przecież powiedzieliby cokolwiek, to szaleńcy - sprzeciwiła się Makaria.

- Ona ma rację, nie ma powodu im wierzyć - powiedziała Tulliola.

Faustus spochmumiał na słowo „szaleńcy”.

- Nie ma powodu wierzyć w cokolwiek i przez to jest jeszcze gorzej - oznajmił Faustus. Ale podniósł głowę i spojrzał na Tulliolę. - Bardzo dobrze się spisałaś - pochwalił, powstrzymując - ze względu na Makarię - czułe słowo, które cisnęło mu się na usta. Miał nadzieję, że Tulliola rozpozna je, patrząc na niego.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nic takiego. Każdy potrafi odczytać tekst.

- Ale trzeba wybrać odpowiednią osobę. - Faustus podał listy Agelastowi i rozejrzał się bezradnie. - Co mam teraz zrobić? - spytał w pustkę. Wtedy pojawił się Glaukon i wymamrotał poufnie, że Wariusz bardzo się upiera przy natychmiastowym spotkaniu.

Rodzina na chwilę zamilkła, nie wierząc własnym uszom. Glaukon uniósł ręce spłoszony.

- Nie zamierzam się za nim wstawiać, najjaśniejszy panie, nie zgodził się powiedzieć mi ani słowa i wydaje się bardzo poruszony. Pomyślałem jedynie, że powinieneś wiedzieć, iż według niego to coś ważnego.

- A niby dlaczego najjaśniejszy pan powinien wiedzieć? - spytała Makaria.

- To spotkanie w sprawie finansów - dodał Agelast, zerkając do notesu.

- Każ mu odejść. Co to za Wariusz? - odezwał się Faustus grubiańsko, nie zadając sobie trudu, by sobie przypomnieć, skąd zna to imię.

- Czy nie napisał do ciebie? To ten niedobitek po Leonie - powiedziała Makaria.

Wówczas Faustus niemal odnalazł twarz do tego imienia: Egipcjanin, Numidyjczyk czy ktoś taki, jeden z tych, co wydają się irytująco młodzi na takim stanowisku...

- A... - Nagle znowu usiadł za biurkiem. - Wariusz. Czy nie był w Tusculum? Zajmował się schedą po Leonie. Musiał być ostatnią osobą, która widziała Marka, prawda? - Ręce zaczęły mu drżeć z bezradności, której nie czuł aż do tej chwili.

- Najjaśniejszy panie, nie ma czasu - ponaglił Agelast.

- Tak, wiem, kim jest Wariusz - odezwała się Tulliola spokojnie i ze smutkiem. - Ta zmarła była jego żoną.

Makaria i Faustus skrzywili się identycznie, przez chwilę komicznie się do siebie upodabniając.

- Aaa. - Faustus ciężko westchnął, znowu dotykając czoła. Ale poczuł się odrobinę spokojniejszy. W końcu stało się prawie jasne, co należy zrobić.

- Co się stało? - spytała Tulliola z niepokojem.

- To całkowicie niestosowne - rzekła Makaria. - Tato, nie możesz wchodzić w układy z kimś takim.

- Wiem - jęknął Faustus. - Ale jeśli jednak to coś ważnego?

- Powinien porozmawiać z wigilami - wtrącił Druzus. - To nie twoje zadanie.

Faustus podniósł wzrok, zobaczył Tulliolę wodzącą wzrokiem od jednego do drugiego, na chwilę odtrąconą, i zrobiło mu się jej żal.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Z kimś jakim?

- Z kimś w takiej sytuacji - poprawił Faustus znużony.

Makaria przyjrzała się Tullioli niemal z litością.

- No dobrze, z kimś w takiej sytuacji. W najlepszym razie jest w szoku i nie wie, co robi. Powiedziałaś, Glaukonie, że wydaje się zrównoważony?

- Tak, pani.

- Cesarz nie może marnować czasu na kogoś takiego. Ale przypuszczalnie chodzi o coś gorszego. Pewnie to on zabił tę kobietę.

Faustus mruknął cicho, smutno i twierdząco, ale Tulliola nie spuszczała z nich wzroku. Przynajmniej raz wyglądała na wstrząśniętą.

- Jak możecie tak mówić...?

Makaria roześmiała się brutalnie.

- To się zdarza, może nie? Mężowie zabijają żony. - Tulliola się wzdrygnęła. - Pewnie uważa, że tata go ochroni. A może jest odpowiedzialny za coś, co spotkało Marka. Niewykluczone, że należy do którejś z tych organizacji. Leon nie był ostrożny w doborze ludzi.

- Uważam... - zaczął Faustus, po czym wstał i wyprostował się stanowczo. - Nie, wigilowie muszą coś o nim wiedzieć. Jeśli powiedzą, że jest w porządku, zawsze możemy go wezwać. Kiedy przybędzie prefekt miasta?

Makaria wciąż marszczyła brwi.

- Dlaczego wigilowie go nie przesłuchują? Poza tym tu się nie wchodzi z ulicy, Glaukonie. Dlaczego nikt go nie zatrzymał?

- Powiem mu, że ma natychmiast odejść, pani - obiecał zażenowany Glaukon z ulgą.

- Uważam, że powinniśmy wezwać wigilów - uparła się Makaria.

- Nie - rzekła Tulliola.

Rodzina znowu zamilkła ze zdumienia, choć tym razem także Makaria wyglądała na wstrząśniętą. Faustus, choć zgadzał się we wszystkim z córką, był dość zadowolony. Nie mógł sobie odmówić uwagi:

- Masz rację, kochanie, Makaria dała się trochę ponieść.

- Oczywiście Makaria słusznie okazuje ostrożność - kontynuowała Tulliola, równie cierpliwa wobec Makarii jak zawsze, nawet po takiej prowokacji. Faustus miał ochotę ją uściskać i nagrodzić. - Ale niesłusznie jest tak wiele przypisywać komuś tylko dlatego, że coś go spotkało... w

końcu ma prawo być wytrącony z równowagi, czyż nie, Glaukonie? Każdy by był. I, Tytusie, oczywiście powinieneś usłyszeć, co o Wariuszu powie prefekt miasta, i nie możesz odwołać swojego spotkania. Ale ja mogę z nim pomówić. - Spuściła skromnie wzrok. - Jeśli to jakoś pomoże.

Faustus zastanowił się.

- No, skoro chcesz się trudzić...

- Jeśli nie będzie miał nic do powiedzenia, strata mojego czasu nie ma znaczenia - powiedziała Tulliola z ożywieniem.

- Już jesteśmy spóźnieni, najjaśniejszy panie - odezwał się znacząco Agelastus. - Nie sądzę, żeby spotkanie w sprawie finansów można było odwołać.

- Oczywiście, że nie - warknął Faustus i zuchwale pocałował Tulliolę na oczach Makarii. Potem znikł w prywatnym wyjściu, zostawiając żonę.

Makaria poszła za nim z Druzusem, ale wymamrotała gniewnie:

- Zawsze to lepsze, niż gdybyśmy my musieli z nim gadać.

Po czystym, wręcz bijącym w oczy blasku poczekalni gabinet Faustusa wydawał się wspaniale staroświecki. Ściany zdobił fresk przedstawiający ogród, dziksz niż pałacowe, z pnączami wiciokrzewu i różowego powojnika, ciemnymi winogronami i - ponieważ artysta nie zważał na ograniczenia wiążące się z porami roku, a może dlatego, że miał to być ogród elizejski lub olimpijski - punktami białego kwiecia na niektórych drzewach.

Ogromna komnata była mroczna i cicha, pełna liści i malowanych cieni liści, różnoraka jak malachit. Wariusz, z oczami wbitymi w wielkie orzechowe biurko cesarza, przez chwilę sądził, że pomieszczenie jest puste. Ale oto dostrzegł Tulliolę, stojącą niczym biała łagodna bogini wśród malowanych drzew pomarańczowych na ścianie za jej plecami.

Przez chwilę się nie poruszał, tylko trząsł się z frustracji i gniewu. Ruszyła ku niemu z uśmiechem, wyciągając rękę. Patrzył na nią i powiedział, zanim do niego podeszła:

- Nie będę cię niepokoić. Odejdę.

- Proszę, Wariuszu, nie rób tego - odparła. - Wiem, że jesteś rozczarowany.

Musiał uściskać jej dłoń, niezgrabnie trzymając pod pachą pudełko i dokumenty. Po raz drugi tego dnia dotykał czyjejś skóry; znowu poczuł chłód pustki i sztywność, jakoś mieszające się z ciepłem palców Tullioli.

- Miło, że zechciałaś mnie przyjąć - wykrztusił z wysiłkiem. - Jednak przyszedłem tu, by spotkać się z cesarzem. Jedynie z nim, sam na sam. Byłem głupi, że się ośmieliłem.

Poza tym nie mógł zrobić nic innego, nie miał planu awaryjnego, pomysłu, jak opowiedzieć Faustusowi o wszystkim - chyba że wróci do domu i będzie czekał, aż wigilowie go aresztują.

- Nie, nie głupi, skąd - zaprotestowała Tulliola. - Cesarz musiał ci odmówić. Dziś ma więcej pracy niż zwykle, Glaukon z pewnością ci powiedział, lecz chodzi nie tylko o to - cesarz nie wie, co powinien zrobić. Nie wie, co będzie skuteczne. A poza tym... - zawahała się, wyraźnie wążpiąc, czy powinna wyjawiać więcej, a gdy znowu zaczęła mówić, jej głos przycichł, a twarz trochę poczerwieniała: - To jakby instynkt. Wszyscy tutaj są tacy... tacy przyzwyczajeni, że rzeczy robi się tak, a nie inaczej, rozumiesz? A on... mój mąż... boi się wydać... no wiesz. Impulsywny. Omylny. Zwłaszcza dzisiaj.

- Wiem, pani Tullio - powiedział Wariusz, choć wcale tak nie uważał. Prawdę mówiąc, zaskoczyło go, że najwyraźniej zadawała sobie trud zrozumienia Faustusa; wraz z Gemellą czasami zastanawiali się, jak mogła się sprzedać (bo z pewnością się sprzedała) komuś dwukrotnie od niej starszemu, i dochodzili do wniosku, że z pewnością jest tak obojętna, iż to do niej nie dotarło.

Dotychczas spoglądała ze skrepowaniem na mięsisty dywan, ale teraz podniosła oczy i znowu się uśmiechnęła.

- Zawsze mi się wydaje, że chodzi o kogoś innego. Wystarczy Tulliola.

Skinął głową, lecz nie powtórzył jej imienia.

- Mimo to... - powiedział.

- Mimo to - przerwała z wielką pewnością - jeśli to naprawdę ważne, jeśli chodzi o Marka, on się z tobą spotka, jestem tego pewna.

Nie odpowiedział od razu. W końcu wymamrotał:

- Już mówiłem, że to ważne.

- I chodzi o Marka? Musi, w przeciwnym razie byś tu nie przyszedł, prawda? Proszę cię, powiedz, co się z nim stało?

Przełknął ślinę.

- Nie. Nie było mnie tam.

- Och - rzekła zbita z tropu i rozczarowana. - Myślałam... - Podeszła do zielonej sofy i usiadła. - Cóż, nie powinnam zakładać... i oczywiście rozmowa o tym musi być dla ciebie straszna. Przepraszam. Oczywiście nic nie mogę powiedzieć... o Gemelli. Ale chciałabym.

Nikt do tej pory nie wymienił imienia Gemelli.

- Dziękuję - odparł Wariusz oficjalnym tonem.

Usiadła, żeby go wysłuchać, choć nic nie mówił. Po chwili zrobił krok w głąb pokoju.

- Jeśli uważasz, że cię wysłucha... proszę, powiedz mu, cokolwiek uznasz za stosowne.

Skinęła głową, ale zaczęła nerwowo okręcać jeden z pierścionków na palcu.

- Ale muszę mieć pewność, że naprawdę warto, że wszystkie te straszne rzeczy to nieprawda...

- Nie zabiłem jej - rzucił gniewnie i natychmiast zrozumiał, że powinien być ostrożniejszy. Wzdrygnęła się, opuściła brodę na dłoń.

- Nie wiem, co robić - szepnęła.

- Już powiedziałem.

Zrobiła bezradny gest.

- Nic mi nie powiedziałaś. Widzę, że mi nie ufasz. Nie spytałam dlaczego i nie spytam, ale on mnie nie wysłucha, jeśli nie będę miała mu nic do przekazania... Makaria... - Urwała. Podjęła ostrożnie: - Nikt nie pozwoli mu cię wysłuchać.

- Nie - odparł. - Kiedy mu powiesz, nie może być przy nim nikogo.

Znowu się poderwała, chwyciła go za przedramię.

- Ale kiedy i co mu powiem? Że pomożesz im znaleźć Marka? Co? Przynajmniej powiedz, że nie chodzi o to, proszę... Nie daj nam myśleć, że możemy go odzyskać, kiedy być może już nie żyje. A jeśli nawet nie, to co z nim będzie? Proszę!

Nie odpowiedział. Dodała błagalnie:

- Czy mogę przynajmniej powiedzieć tyle? Czy mogę powiedzieć, że wiesz, iż żyje?

Stali w milczeniu, patrząc na siebie w nieskończoność. Potem odwrócił wzrok i zrobił minimalny ruch głową, w zasadzie niedostrzegalny.

- Naprawdę nie zdradzisz nic więcej? - spytała, wzdychając. - Chcę, żeby wrócił, zrozum. Nie podoba mi się, że wszyscy się tak zachowują... nie lubię odgadywać, co sądzi o tym Faustus...

- Czy teraz zechcesz iść do cesarza? - szepnęła.

- Dobrze. Powiem mu.

Płaski powojnik zarastał drzwi do prywatnego korytarza. Tulliola podeszła i zatrzymała się zamyślona.

- Może zechcesz zaczekać w gabinecie Leona? Mogę cesarza do ciebie przyprowadzić, ale będziesz musiał poczekać...

Wariusz nie odpowiedział, bo ukryte zawiasy wśród płatków poruszyły się i otwarte drzwi wykroiły kwadrat wśród malowanych drzew. Stała w nim Makaria.

Wariusz mocniej ścisnął pudełko ze słodyczami; wydawało mu się, że ukrył je pod dokumentami, ale nie ośmielił się spojrzeć z obawy, że ściągnie uwagę Makarii. Bo Makaria wodziła po nim wzrokiem od stóp do głów, z wymuszonym uśmiechem, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, instynkt i przerażony ruch cofającej się Tullioli podszeptały mu, że to koniec.

- Dowiedziałas się czegoś? - spytała Makaria spokojnie.

Tulliola dalej się wycofywała.

- Uważam, że Wariusz powinien się spotkać z twoim ojcem - powiedziała, z pewnością wyzywająco, lecz dość cicho.

Makaria westchnęła i skinęła niezadowolona głową.

- Wiedziałam, że do tego dojdzie. I dlaczegoż to tak uważasz? - Spojrzała na Wariusza. - Cóż zatem chcesz powiedzieć memu ojcu?

- Nic, co mógłbym powiedzieć tobie, pani - odparł, patrząc jednak na Tulliolę, zaklinając ją w duchu, by nic nie mówiła, i zastanawiając się, dlaczego właściwie nie powinna się odzywać.

- To raczej niesprawiedliwe. Czemu więc powiedziałaś pani Tullioli?

- Prawie nic nie powiedziała! - wybuchła Tulliola. - Myślę tylko...

- Nic ci nie powiedział? - spytała Makaria z niedowierzaniem. - To z jakiego powodu uważasz, że tatuś powinien go przyjąć? Nie słyszałaś, ile ma roboty?

- Tak, sądzę, że to najważniejsza rzecz, jaką ma do załatwienia.

- Nie ty o tym decydujesz.

- I nie ty. Jestem jego żoną - powiedziała Tulliola, na chwilę wybuchając gniewem. W złości jej gładka twarz stała się obca i twarda.

- Tak - odarła Makaria. - I znasz go od... czterech lat, tak? A ja od trzydziestu trzech i wiem, kiedy jest niespokojny i nieszczęśliwy jak dziś. I nie mąciłabym jego spokoju ani nie budziła nadziei, chyba że miałabym bardzo ważny powód. Ale nie dla kaprysu, Tulliolu.

- Pójdę już - odezwał się Wariusz, marząc tylko o opuszczeniu malowanego pokoju.

- Słusznie - zgodziła się Makaria.

- Wariusz wie coś o Marku! - krzyknęła Tulliola. - Powiedział, że Marek żyje!

Skamieniały Wariusz obejrzał się, daleki od gniewu czy strachu, jedynie zainteresowany reakcją Makarii.

- Naprawdę? - spytała zmienionym głosem. A potem zwróciła się do Tulliole: - Powinien powiadomić wigilów, to jego obowiązek.

- Wariuszu - odezwała się znękana Tulliola. - Przepraszam.

Kiedy Wariusz znowu się odwrócił, bynajmniej niezdziwiony, Makaria dostrzegła pudełko pod jego pachą.

- Po co ci to? - spytała ostro.

No i faktycznie, to był koniec, a on czuł głównie ożywienie, a przynajmniej nie potrafił tego inaczej nazwać. Błyskawicznie podjął decyzję.

- Wariuszu, przepraszam! - zawołała znowu Tulliola, gdy ruszył przed siebie, z tego liściastego pokoju, obok gwardzisty, który na razie nie miał powodu go zatrzymać. Biel i hałas poczekalni oszołomiły go, z daleka słyszał, jak Glaukon czy ktoś tam woła jego imię, ale szedł chłodnymi, choć zalanyymi promieniami słońca korytarzami. Zostało mu dość przytomności umysłu, by pójść do gabinetu Leona i ukryć dokumenty Gabiniusza wśród akt, aczkolwiek nie sądził, żeby sytuacja się zmieniła, gdyby je przy nim znaleźli. Był przekonany, że się zdradził, że szczegóły w ogóle nie mają znaczenia. Ale przynajmniej nie zrobił nic gorszego: Marek był prawdopodobnie już bezpieczny i nikt nie wiedział, gdzie przebywa.

Na dworze, pod łukowatą bramą Palatynu, zobaczył zbliżający się mały oddział, z rudym centurionem na czele, wołającym:

- Kajusie Wariuszu, mam nakaz aresztowania... - Czy coś w tym rodzaju, nie przysłuchiwał się.

Spokojnie odwrócił się od Kleomenesa. Spojrzał na jasny pałac i pomyślał, niezdarnie gmerając w wiklinowym pudełku: przynajmniej jestem Rzymianinem. Myśląc o Gemelli odpoczywającej w ogrodzie, wcisnął między zęby zatrutą miodową kostkę.

Una i Sulien, skuleni w mokrej cmentarnej trawie, obserwowali Marka, który spał między wzorzystymi zasłonami. Nadal znajdowali się na skraju Tolosy, w głębi cmentarza na przedmieściach, bo martwi nie mieli wstępu do rzymskich miast. Ale na tych polach, rozpiętych między drogami wyjazdowymi z Tolosy, znajdowało się wiele urn, skrzyń i piramid, gmatwanina domostw umarłych, żałośnie tuląca się do miasta jak marmurowa osada.

Sulien wiedział, że chłopiec długo nie mógł zasnąć, że się rzucał i przewracał za cienką ścianą z materiału, bo sam czuwał, czekając, aż Marek uśnie, dopiero potem pozwolił sobie zamknąć oczy. Nie wiedział, czego wypatruje ani z jakiego powodu odpędza sen. Może nieufność Marka była zaraźliwa.

Sulienowi nie przyszło do głowy, że mógłby nazywać go po imieniu. Nie tytułował go już „wasza wysokość”, bo Una warknęła: „Przestań go tak nazywać!” - i ponieważ to było oczywiste szaleństwo, skoro błakali się po uśpionych uliczkach, kryjąc się za śmietnikami. Ale nie wiedział, jak w takim razie ma się do niego zwracać. Zostali razem między grobowcami, a Una wróciła na pchli targ, i wówczas Sulien wypróbował całą gamę możliwości: Nowiusz, Faustus, Leon - imiona wydawały się dziwne, zbyt słynne, by funkcjonować jako zwyczajne. A chłopiec nic nie mówił, tak jak nie powiedział: „Nie musisz mnie nazywać waszą wysokością”. Wydawało się, że nie ma żadnych preferencji, że tego nie zauważa; siedział z kamienną twarzą, uprzejmy, nieufny, opierając się plecami o ścianę mauzoleum. Sulien upominał się w duchu, że powinien mu dać spokój, przecież widział jego zmęczenie. Mimo to chłopiec zachowywał się... Nie wywyższał się, choć Una tak sądziła, lecz na pewno trzymał dystans. A to drażniło Suliena, nie mógł się z tym pogodzić. I był ciekawy.

- Chodziłeś do szkoły? - spytał.

Nastąpiła chwila milczenia i odległy głos powiedział:

- W dzieciństwie. Potem miałem guwernerów.

- Ale czy ludzie traktują cię normalnie? Potrafią zapomnieć, kim jesteś?

- Nie wiem. Jak to można poznać?

- Pewnie nie można. To dziwne.

Marek przyznał, że istotnie dziwne.

- Ale przydaje się przy poznawaniu dziewczyn? - podsunął Sulien niemal bez nadziei i nie zdziwił się, kiedy Marek wymamrotał coś pod nosem i znowu zamilkł.

Marek nie rozpoznał twarzy ani imienia Suliena, ale pamiętał rząd zdjęć, które widział w dalwizji po pogrzebie rodziców, i wiedział, że Sulien musi być jednym z tych przestępców, którzy uciekli w Londynie. Siedział, tuląc się do kamienia, i usiłował bez emocji myśleć o tym, co ci ludzie mieli na sumieniu: morderstwo, gwałt, może coś bardziej trywialnego, nie wiedział - dawniej nie zwracał na takie rzeczy uwagi.

Po jakimś czasie Sulien trafnie odgadł, co się dzieje. Przechylił się ku Markowi i spytał cicho:

- Nowiuszu...? Leonie...? Powiedzieć ci, dlaczego chcieli mnie stracić?

- Nie musisz mi mówić, to nie ma znaczenia - rzekł chłopiec cicho.

- Ma - odparł Sulien z urazą - dlatego chcę wytłumaczyć... oni kłamią... jestem niewinny.

- Dobrze - zgodził się zbyt chętnie Marek Nowiusz Faustus Leon.

Sulien poczuł to samo pełne urazy niedowierzenie co w Londynie, kiedy ktoś mu przypominał, że jest niewolnikiem. Spochmurniał i nie wspominał już o Tancorix i Catavignusie.

Zanim Una wróciła z ubraniami, zasłonami, pieniędzmi i książkami, postanowił zwracać się do Marka po prostu „ty”, tak jak ona.

Una lada chwila miała obudzić Suliena, właściwie już powinna to zrobić; musieli porozmawiać o tym, co się wydarzyło, dopóki tamten Rzymianin jeszcze śpi. Ale chciała się przez chwilę nacieszyć byciem niemal zupełnie samą. Potarła dłońmi o kępę mokrej trawy, obmyła rosą twarz. W czarnej torbie podróżnej z przyborami do makijażu sybilliny znajdo-

wały się kosmetyki, małe buteleczki z szamponem i olejkami, ale tutaj niewielki był z nich pożytek. Znalazła lusterko pomiędzy skotłowanymi rzeczami, upewniła się, że pod oczami nie ma szarych smug czernidła i jeszcze przez jakiś czas cicho poruszała się w blednym mroku, czesząc się, czerpiąc przyjemność ze świeżego chłodu wilgoci wysychającej na jej skórze, z białej mgły i z tego, że ten podobny do wysypiska cementarza przypominał jej kryjówki w Londynie. Wszędzie były posągi i te małe chełpliwe skrzynki, wszystkie krzyczące, że wydano na nie fortunę, wszystkie bezsensowne! A jednak nie miała nastroju, by tego ranka szydzić z cementarza, te chaotycznie rozrzucone sarkofagi przynajmniej wносиły jakieś urozmaicenie. Wolała to, niż gdyby wszystko było zdyscyplinowane i uporządkowane.

Wróciła - przemykając między nielicznymi bukietami opadających kwiatów i spopielonymi resztkami ofiar dla bogów - na podłużny skrawek gruntu, na którym leżeli Sulien i Marek Nowiusz, z trzech stron osłonięci grobowcami. Jej brat spał tak, jak potrafią tylko bardzo wysocy ludzie, bezwładny i rozplaszczony, rozbrajający przez ten swój wzrost, bo leżał w głębszej nieświadomości - a przynajmniej tak się wydawało - niż kobiety lub skromniej zbudowani mężczyźni; bliższy bezruchowi i mrokowi, jak na dłuższym łańcuchu kotwicznym. Nie, postanowiła zaczekać i jeszcze pomyśleć, zanim go zbudzi.

Licząc w pamięci pieniądze, podkrađła się do syna Leona i siedziała dłużej, niż to sobie uświadamiała, w zamyśleniu wbijając w niego ponury wzrok, przypominając sobie gigantyczną twarz patrzącą na nią znad placu Juliańskiego. Co mają zrobić z taką twarzą? Była pokryta wżartą warstwą brudu, a na policzku widniał siniak. Dotknęła analogicznego miejsca na własnej twarzy, gdzie widniały podobne znaki. Zastanawiała się, czy ten siniak pomoże, czy zadziała jak niekompletna czarna maska, która go ukryje - czy też tylko podkreśli te znajome oczy, obwieści obecność tych znanych wszystkim rysów? Im dłużej go obserwowała, tym bardziej ulotne wydawały się zmiany jego wyglądu, brud, chudość i obcięte włosy - to właściwie nic, nic więcej niż mgła. Czy nikt inny nie widział tej twarzy, wciąż pokazywanej na miejskich ekranach, czy nikt poza nią nie rozumiał, co widzi? Jak w ogóle zawędrował aż tak daleko? A teraz tamci wiedzieli o włosach i chudości, sama zdarła z niego ten słaby kamuflaż, który sobie wypracował, i jest przy nim uwięziona. Chyba że

nikt nie zapamięta jej słów. Na rynku roiło się od wigilów, ale czy nie mogliby pomyśleć, że to fałszywy alarm? Przecież ona, Sulien i ten Rzymianin byli tylko trzema uciekającymi postaciami.

Jej usta wygięły się w wyrazie dezaprobaty; to jego okropne przemówienie o miłości do Rzymu!

Nad ich głowami sterczała miniaturowa wieża mauzoleum: mały, biały, kominopodobny twór, stożek na pierścieniu kolumn wokół stojącego na kostce posągu, jakby dziecięce klocki. Był w tym jakiś nieszczerzy patos albo histeria. Kiedy zrobiło się jasno, dla wprawy odczytała napis na postumencie:

Los ukradł ci życie i mnie, Aeliusie, mój mężu. Ja, Fadilla, zbudowałam dla ciebie ten wielki grobowiec, postawiłam nad nim wieżę, umieściłam twój posąg na środku: niech wszyscy ujrzą, jak wielkie znaczenie miałeś w Tolosie. A ja zawsze będę leżeć u twego boku; jak za życia w domu, który był nam schronieniem, tak niech po śmierci nasze kości spoczną w tym samym grobie.

Una przedzierała się przez tekst pospiesznie, niecierpliwie chcąc sprawdzić, jak szybko potrafi czytać, trochę się zaplątała w środku, zarumieniła się, zła i rozczarowana. Ale to prawie się nie liczy, prawda? Nie byłoby problemu, gdyby się nie spieszyła. Przeczytała po cichu - ale może była równie powolna jak poprzednio, nie mogła tego stwierdzić. Westchnęła, uśmiechnęła się niegrzecznie. Fadilla znalazła piękne słówka, ale i tak wszystko to było takie rzymskie, przemądrzałe, płaczliwe i niepożyteczne. Posąg Aeliusa wśród kolumn wyglądał nijako i wesoło. Nic nie wskazywało na to, że Fadilla naprawdę spoczywa u jego boku.

Una spojrzała na Marka i pomyślała, że może jednak wie, w jaki sposób zdołał przemknąć się nierozpoznany. Przypuszczalnie dlatego, że jego twarz była wszędzie, nie mieściło się w głowie, że jakiś Nowiusz mógłby spać na cmentarzu czy gdzieś indziej, był zbyt znany, by zajmować tak niewiele miejsca, powinien być większy i bardziej rzucający się w oczy, mógłby zajmować więcej niż jedno ciało. A jego twarz nie powinna być tak charakterystyczna - na przykład te gęste rzęsy, w jednym miejscu jasne, w innym ciemne.

Sulien jęknął i obudził się, ujrzał kucającą Unę, która z rękami na kolanach i brodą na kościstym nadgarstku przypominała podłużne zawiąniętko. Patrzyła badawczo na twarz Marka.

- Ćśś - powiedziała.

Wstał powoli, roztarł kark, poczuł, że jego ciało dostosowało się do kształtu terenu jak ciasto do formy. To także przez Marka Nowiusza; przez cały tydzień sypiali na pchlim targu, ale teraz tylko Una, całkiem pewna swej anonimowości, mogła tam wracać.

- Nic nie ma, rozumiesz - szepnęła. - Musimy go karmić i w ogóle. Nasze pieniądze nie były obliczone na trzy osoby.

Sulien pokiwał ponuro głową. Naprawdę, co za głupota myśleć, że to wina Marka. To jego wina. Przynajmniej Una jeszcze mu tego nie wypomniała. „A za dwadzieścia lat, kiedy ciągle tu będziemy, dowiemy się, że mogło być inaczej”, powiedział. Teraz już mu się nie wydawało, że to takie ryzyko. Łatwo było uwierzyć, że mogliby bez trudu zapomnieć, iż kiedykolwiek widzieli jakiegoś Nowiusza na własne oczy.

Razem z Uną zaczął się przyglądać Markowi Nowiuszowi, który marszczył brwi przez sen.

- Chyba jest trochę inny niż na wszystkich zdjęciach - powiedział - ale jednak...

- Kupiłam mu kapelusz - odparła Una w zadumie.

- Naprawdę? - Rozbawiło go, że już usiłuje działać.

- Nie był drogi - rzekła tonem usprawiedliwienia. - Kupiłam go, wracając na targ. Z powodu tego, co im powiedziałam o jego włosach. Ale niewiele to pomoże, co?

Sulien przyjrzał się Markowi, usiłując myśleć, że pomoże, ale nie potrafił sobie wyobrazić, by jakiś kapelusz rozwiązał problem.

- Lepsza byłaby torba na głowie - rzucił z irytacją. Una odwróciła się do niego zamyślona i zainteresowana. - Co? - spytał.

- Wczoraj... - nie potrafiła opanować mimowolnego drżenia wargi - ...o mało nie poprosiłeś go o autograf.

Skrzywił się z rozdrażnieniem.

- No, starałem się, starałem się z nim porozmawiać, ale on... z góry założył... - powiedział, zerknął z niepokojem na Marka, zauważył siniak i opuchliznę i poczuł współczucie dla człowieka z takimi obrażeniami. - Nic mu nie jest. I myślę, że ty też byś tak reagowała, gdybyś była... no

wiesz. Nim. Nie zdawałem sobie sprawy, jaka to różnica, i tyle. - Pokręcił głową. - Nieważne. Co z tym miejscem, do którego idziemy?

- Aaa... On właściwie nie wie, gdzie to jest.

- Co?

- Obudzisz go - upomniała i trochę się odsunęli. - Gdzieś na południu - ciągnęła półgłosem. - Jest tam miejsce zwane Athabia, ale to nie całkiem tam. No nie wiem... ludzie muszą jakoś trafić do Athabii, nawet jeśli jest ukryta, no nie?

- Potrafisz je znaleźć? Zastanowiła się.

- Jeśli i on potrafi, tak.

Sulien cofnął się jeszcze dalej.

- To może pójdziemy sami? Albo udamy się gdzieś indziej? Oczywiście nie mogliśmy pozwolić, żeby go zabili - jeśli naprawdę zamierzali to zrobić, no i nie zapłaciliby nam za niego - ale go nie zabili, prawda? Teraz niech robi, co chce. Nie jest w gorszym położeniu niż przedtem.

- Ale my jesteśmy - szepnęła wściekle. - Teraz szukają w Tolosie zbiegłych niewolników, może się domyśla, że jeden z nich to ty. Już to przemyślałam. Oczywiście on nie ma z nami nic wspólnego, nie chce nas tak samo jak my jego. Nie prosił, żebyśmy mu pomogli, tak wyszło. Ale obiecał, że nas uwolni. No i pieniądze. Jeśli zostaniemy z nim, może zdolamy wymóc, żeby dotrzymał słowa.

Sulien westchnął, trochę zmrożony jej zaciekłością, zawiedziony, że wciąż będzie musiał znosić towarzystwo Marka, lecz gdy oboje znowu spojrzeli na niego, śpiącego u stóp mauzoleum, przypomniał sobie, jak przyglądał mu się wczoraj, leżącemu na schodkach, całkiem samemu, i poczuł ten sam przypływ litości.

- Czy ktoś naprawdę chce go zabić? - spytał, a ona pokiwała głową.

- Kto?

- Nie wie.

- W ogóle niewiele wie. Jaki naprawdę jest?

- Jest... - zaczęła i zrozumiała, że nie chce odpowiadać, nie chce wspominać ani o tym myśleć, choć pytanie było rozsądne. Czasami sądziła, że ludzie nie są jacyś, że to tylko sterty dziwnych elementów, które można układać tak czy inaczej, a kiedy przypadkiem spojrzy się na nie, nie mają większego znaczenia. Ale czy taki był Sulien... i ona?

Marek nie chciał się poddać, ze zmęczeniem i żarliwie walczył, by nie

odpłynąć.

Zawahała się, bo nie potrafiła tego wyrazić i nie potrafiła o nim myśleć bez dreszczu i wzdragania się.

- Obudził się - powiedziała.

Marek nie otworzył oczu. Obudził się, wiedząc, że są blisko i rozmawiają o nim, i usiłował ich podsłuchać. Podniósł głowę zdenerwowany i zobaczył, że stoją nad nim, tyle że nagle ucichli. Chłopak odwrócił głowę, siląc się na przepraszający uśmiech, ale ta dziewczyna, Una, patrzyła na niego wojowniczo i bez zażenowania.

- Zrobisz, co powiedziałaś? - spytała. - Wolność i pieniądze, wszystko, co i tak byśmy dostali. Nadal to obiecujesz?

- Tak - odparł. Chciał tylko znowu zasnąć.

Dziewczyna skinęła głową.

- No, to co sądzisz? - spytała cicho brata.

Sulinus, czy jak tam brzmiało to dziwne imię, zerknął na Marka i spytał:

- Zatem uważasz, że to robi?

Skrzywiła się, spuściła głowę i przyznała cicho:

- Tak naprawdę nie sądzi, żeby do tego doszło, ale jeśli dojdzie, owszem, robi to.

Spojrzeli na siebie, potem na niego, dwoje zamyślonych współników.

- W porządku - powiedział chłopak.

Dziewczyna zaczęła grzebać wśród rozrzuconego dobytku. Podeszła do Marka i podała mu coś, trzymając się na odległość wyciągniętej ręki.

Przebrała się z zielonej sukienki - jej ubranie było szare jak całun - i zmyła z oczu ciemny kosmetyk. Nie zostawiła ani śladu uwodzicielskiej sybilliny, była równie blada i byle jaka jak oni wszyscy, tylko może jakoś ostrzejsza i bardziej niesamowita wśród spowitych mgłą grobów, napięta, utajona i mściwa. Przyjął od niej to zmięte coś, zaskoczony, a ona odwróciła się bez słowa i zaczęła sprawnie pakować rzeczy z pchlego targu.

Trzymał kapelusz z ciemnej, niebieskawej wełny zrobiony szydełkiem.

Kupiła także chleb i owoce i zaczęli jeść niemal w milczeniu, tylko Sulien od czasu do czasu - wyglądało na to, że nie potrafi się powstrzymać - rozpoczynał wesołą, rwącą się rozmowę, lecz nigdy nie trwała zbyt długo.

Marek, który zwykle obserwował wszystko beznamiętnie, z oddali, pomyślał: „No przestań, porozmawiaj z nimi, spytaj, skąd pochodzą, utknąłeś z nimi na jakiś czas”. Ale spoglądał na tego wciąż gadającego chłopaka i jego wrogo nastawioną siostrę i nie potrafił do nich zagadać. Pragnął być w Rzymie, pragnął wszystkiego, co zaczęło znikać sześć tygodni temu wraz z jego rodzicami - jakby to pragnienie nabrzmiało podczas snu niczym skóra na potłuczonym policzku. Jeszcze nigdy nie był w tak złym stanie, czuł się, jakby gdzieś między jego płucami wisiała zimna mgła, chłodząca całe ciało, wchłaniająca całe skupienie, na jakie mógł się zdobyć.

Nie chodziło tylko o to. Rzeczywiście, nie chciał z nimi być. Oczywiście nie przypominali płochliwych pałacowych niewolników, ale wiedząc, kim są, myśląc, jaki musi się im wydawać, czuł to samo zażenowanie i nerwowy, pełen poczucia winy niesmak. Nie mógł na razie nic dla nich zrobić. A gdyby zaczął odkrywać, co ich tu przywiodło, co zrobił ten chłopak i dlaczego, co stałoby się potem, co mógłby im powiedzieć? Szczególnie ta dziewczyna stanowiła problem, już teraz oskarżała go prawdopodobnie o to, że jest wolny, bogaty i pochodzi z rodziny Nowiuszów. I co on może na to poradzić? Był na ich utrzymaniu. To go upokarzało. Zamierzał znieść niewolnictwo. Nie chciał, żeby istniała taka cicha wrogość.

Mimo to musiał obmyślić jakiś plan, w końcu więc powiedział:

- Miałem mapę, ale była w plecaku, który mi ukradziono. Mógłbym... możemy kupić nową w następnym mieście.

- Tak, kupię mapę - rzekła Una. - Ale nie w Tolosie.

- Dziękuję - odparł. Nabrał lekkich rumieńców, choć tego nie czuł. - Ale będziemy musieli dotrzeć do następnego miasta bez mapy. Znacnie dobrze Tolosę?

- Siedzimy tu od tygodnia - rzekł Sulien.

- Jest tu droga, która biegnie prawie całkiem prosto. Pamiętam, że zaczyna się nad rzeką. Znajdziemy ją bez mapy.

- Słuchaj - rzekła Una, głośniejszym głosem niż dotychczas, podpierając się rękoma. - Nie chodziło mi tylko o to, że kupię mapę, bo to nasze pieniądze. Nawet gdybyś miał pieniądze, nie mógłbyś ich wydać. Nie możesz się do nikogo zbliżyć - nie teraz. Nie sądzę, żebyśmy mogli podróżować głównymi drogami ani od miasta do miasta. Uważam, że musimy się poruszać

nocą. Nikt nie powinien cię widzieć. Ani Suliena.

Był wstrząśnięty.

- Chcesz wędrować podrzędnymi drogami w ciemnościach?

- Nie chcę - odparła. - Ale jeśli tak zrobimy, może się uda.

- Przecież ciągle będziemy mylić kierunki. Nie zdajesz sobie sprawy, jak to daleko. To będzie trwało wieki. Już dawno powinienem tam być... zbyt długo wędruję pieszo.

- Nie stać nas na nic innego.

- To prawda - rzekł, z żalem myśląc o przedmiotach, które ukradł mu Petrus. - Ale w Nemausus jest towarowy tramwaj.

- Nie - szepnęła. - Nie, zdecydowanie nie. Jeśli będziemy iść i ktoś nas zobaczy, może zdołamy uciec.

- Będą mieć więcej czasu, żeby nas szukać - zaprotestował. Choć dostrzegał sens tych słów, lekko jej nie dowierzał.

- Jeśli będziemy widoczni jak na dłoni i wszyscy nas zobaczą, to wystarczy im czasu, prawda?

- Zawędrowałem tak daleko. - Był już zły. - Rozpoznałaś mnie tylko dlatego, że... - Urwał. Nie wiedział, jak tego dokonała.

- Ale wigilowie wiedzą, jak teraz wyglądasz. Powiadomiłam ich.

Marka zmroziło, oniemiał. Powiedziała to z takim chłodnym, rzeczowym spokojem i przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami, rozsądnie, jednak trochę jak sybillina, najwyraźniej zainteresowana jego reakcją.

Tak naprawdę Una była spięta, przestraszona tym, co zrobiła, i oceniała siły: oto pierwszy moment starcia. Nie zamierzała przegrać. Ale chciała mieć to szybko za sobą.

Sulien mierzył ich ponurym wzrokiem; niewidoczna próba sił rzucała się jednak w oczy.

- Słuchaj - rzekła pospiesznie do Marka - oczywiście chcieliśmy tego wszystkiego, ale myśleliśmy, że lepiej ci będzie w domu. Wszyscy tak twierdzą.

Marek wiedział, że to prawda. A nawet gdyby nie, gdyby miał prawo ich winić, wiedział, że nie może sobie pozwolić na zwadę z nimi. Był wściekły i nic nie mógł na to poradzić. Spuścił wzrok na swoje ręce, odwrócił się od dziewczyny.

- Wiem - powiedział z wysiłkiem. - Cóż, stało się.

Co za miałkie słowa, pomyślał z goryczą.

- Chcesz uratować życie, tak? - spytała surowo Una. - W takim razie wszystko jedno, jak to daleko czy jak długo tam będziemy wędrować. Dopóki żyjesz, wszystko jest jak trzeba. Nie ma sensu głupio działać.

- To nie było głupie. Nie wiem, co zrobiłaś - warknął, czując gorące smagnięcie wściekłości. Dopiero jakiś czas później zdał sobie sprawę, że chyba po raz pierwszy rówieśnik - i w dodatku dziewczyna - zarzucił mu głupotę.

- Wigilowie mogli nam nie uwierzyć - odezwał się Sulien, zmęczony, przymilny. - Mógłbyś być w Cezarei Incarum albo Tomis, albo gdzie indziej.

- Nie można niczego przesądzać - wymamrotał Marek.

- Właśnie - zgodziła się dziewczyna, nagle spokojna, skoro - co oczywiste - wygrała.

- Nie możemy tu sterczeć cały dzień - powiedział Sulien. - Ludzie zaczynają się schodzić.

Przed odejściem Marek stał przez chwilę tak jak Una i czytał inskrypcję na grobowcu Aeliusa:

A ja zawsze będę leżeć u twego boku; jak za życia w domu, który był nam schronieniem, tak niech po śmierci nasze kości spoczną w tym samym grobie.

Pomyślał o rodzicach, woskowych i idealnych, nadal leżących w krypcie na przedmieściach Rzymu. Zdał sobie sprawę, że niemal nie miał czasu uwierzyć, iż zostali zamordowani, że ktoś jest za to odpowiedzialny i że był zbyt zajęty, by za nimi tęsknić - za obojgiem. Poczł to z nagłą i okropną intensywnością, tak że nie owładnął go nawet stosowny gniew. No i szofer, biednego szofera też zabili.

Potem pojawiły się wyrzuty sumienia, bo przypomniał sobie o Gemelli i Wariuszu.

Odwrócił się i zobaczył tę dziewczynę. Znowu mu się przyglądała z zaciekawieniem, choć tym razem natychmiast spuściła wzrok i nie spojrzała mu w oczy.

Przypomniał sobie kapelusz, który mu dała. Włożył go, naciągnął jak najgłębiej.

- Nie wiadomo, jakiego koloru masz włosy - mruknęła dziewczyna łagodnie, czym go zaskoczyła. - To naprawdę zmiana.

- Dobrze - powiedział z kamienną twarzą. Patrzył na mgłę. To niedobrze, to chyba znaczy, że jesień się zaczyna.

Był pewien, że na mapie trasa wyglądała nieskomplikowanie, ale znalezienie rzeki i właściwej drogi okazało się trudniejsze, niż sądził. Torowali sobie przejście przez cmentarz, przez szpaler jodeł, ku źródłu przeciągłego, smutnego ryku. I przekonali się, że nie ma rady, będą się musieli przebić przez zaciśnięty węzeł autostrad i skrzyżowań rojących się od samochodów, gdzie powietrze jest gęste i trujące od spalin. W samym sercu tego kłębowiska zobaczyli w końcu rzekę, lecz tak oplataną drogami i fabrykami, że nie mogli do niej dotrzeć. Nawet gdyby udało im się trzymać z dala od traktów, zgubiliby się bez znaków wskazujących Tarbę i Lordę - a raczej zgubiliby się jeszcze bardziej. Kiedy mogli, brnęli wśród brązowych traw, ostów i chaszczy.

Czasami nie pozostawało im nic prócz cienkiej wstążki drogi, a niekiedy musieli schodzić na pobocze, podczas gdy samochody mijają ich, prawie muskając, co przerażało podwójnie: z powodu szybkości i oczu, które ich widziały. Marek, z kapeluszem wciśniętym głęboko na czoło, spoglądał przed siebie śmieiej niż dotychczas. Było jasne, że nie spotkają tu żadnego pieszego. Dopiero po dwóch godzinach dotarli do autostrady leżącej jak kość w poprzek doliny Garumny.

Una stanęła z zaciśniętymi pięściami nad trójkątnym ziemnym klinem na poboczu i pokazała przed siebie.

- Patrzcie, dlatego musi być ciemno. Musimy zejść z drogi. Tu muszą być tysiące niewolników, wszędzie.

Oddalona rzeka przypominała małą smugę ciągnącą się za wysokimi płotami i pylistymi stożkami żwiru i iłu. Teren był płaski pod ciągnącymi się bez końca budynkami papierni, żwirowni, rzeźni, baraków niewolników i ogromnych fabryk, gdzie składano silniki pociągów magnetycznych. Dziwna była myśl, że w pobliżu pracują setki ludzi, bo nigdzie nie dostrzegli żywej duszy.

- Mam nadzieję, że wszyscy są zbyt zapracowani, by myśleć - ciągnęła Una - ale już samo zbliżanie się do niewolników jest niebezpieczne. - Zerknęła przelotnie na Marka i dodała: - Możesz sobie dać spokój z tym kapeluszem. I tak widać tylko tył twojej głowy.

Marek na nią nie spojrzał. Przez parę ostatnich godzin, kiedy upokorzony szedł między nimi jak jeniec, tęsknota za domem i rozpacz tak go przygniotły, że słowa Uny ani go nie uspokoiły, ani nie rozdrażniły. W końcu zdobył się na wysiłek i spytał bezdźwięcznie:

- Pracowałaś w takim miejscu?
- Tak. W wielu - odparła zwięźle, i więcej o tym nie mówili.

Ale nadal nie mieli dokąd zejść z drogi. W końcu, po drugiej stronie niskiego brzegu, znaleźli osłonę przed samochodami, ale tym samym wiadać ich było z fabryk po lewej stronie. Szli dalej, Una z zaciśniętymi zębami, czekając, aż ktoś ich zobaczy, usiłując wymacać małe umykające haczyki ciekawych spojrzeń, starając się zachować czujność, by móc się w porę uwolnić, ale wszystko działało się zbyt szybko; nie potrafiła pochwycić myśli, zanim uciekła. Odwróciła wzrok od drogi, skupiła się na badaniu szarych dziedzińców i budynków w nadziei, że zachowała londyński instynkt znajdowania opuszczonych miejsc. Z ulgą skręciła z drogi i w przydrożnym sklepie kupiła potrzebne rzeczy, choć to wiązało się z uśmiechami i rozmową ze sklepikarzem. Poczuli się lepiej, przebywając tam, gdzie obecność ludzi była uzasadniona. Tak łatwo przychodziło jej udawać, że rodzice czekają na nią na parkingu, choć nie było to nawet konieczne - nikt nie przyglądał się jej dziwnie, gdy spokojnie brała jedzenie z półek i mapę ze stojaka przy drzwiach. Wyszła dziarsko, niosąc torby z zakupami, radośnie podreptała w stronę małych drzewek akacjowych za zaparkowanymi samochodami, gdzie ukrywali się Marek i Sullien; zanim do nich dotarła, zaczęło padać. Deszcz z początku był rzadki i podstępny, prawie niezauważalny, choć wyziębili ich i spowolnił marsz, więc zaczęli się niecierpliwić i niemal się ucieszyli, kiedy jakąś godzinę później zgęstniał tak, że przemoczył ich porządnie.

W końcu przedarli się przez kolczaste resztki jeżyn do pustej cementowni, gdzie skulili się w garażu, dygocząc i czekając na zmrok. Byli wykończeni, a przeszli nie więcej niż siedem mil. W kiepskim świetle przyrzekli się mapie. Una marszczyła brwi z zakłopotania i rozdrażnienia, bo dopiero po dłuższej chwili połapała się w sieci różnobarwnych nitek i naprawdę uwierzyła, że gruba czerwona wstęga oznacza ogromną szosę, z której niedawno zeszedli. W końcu pochyliła się i niepewnie prześledziła zawiłą linię płaczącą się wokół nitek, w których Marek rozpoznał boczne drogi, tory i ścieżki, pełnące aż w góry. Rozplatał w myślach tę linię i

westchnął na widok jej długości.

Mieli za sobą zły dzień, a dni i noce, które nastąpią po nim, nie będą wiele lepsze. Następnego ranka fabryk było już mniej i mogli iść brzegiem rzeki, wśród pól fasoli i zboża. Na wschodzie, po drugiej stronie szosy, nagle wypęczkowały krągłe pagórki. W miarę jak robiło się coraz jaśniej, ujrzeli blade wzorki odległych chmur, które nagle zaczęły zmieniać kształt i stały się cieniami ośnieżonych gór, przezroczystymi jak kalka. Patrzyli na nie w milczeniu, przez chwilę uradowani. Una jeszcze nigdy nie widziała gór, tylko na zdjęciach w arkuszach wiadomości albo na plakatach z reklamami wakacji.

Góry wciąż były bladymi, ulotnymi, odległymi kształtami na niebie i wcale się nie zbliżały. Teren wzdłuż drogi i na zachodzie był nieustępliwie płaski - oczywiście lepszy do marszu, ale potęgował poczucie, że nie posuwają się naprzód, że droga porusza się pod ich nogami jak pas transmisyjny. Radość, z jaką Marek powitał widok gór, szybko się ulotniła, popadł w przygnębienie. Una i Sulien prawie ze sobą nie rozmawiali. Sulien ciągle się zastanawiał, czy powinien coś zrobić z siniakami na twarzy Marka. Przez pierwsze noce chłopiec szedł trochę niezdarnie, czasami lekko przyciskając dłońią żołądek. Sulien miał już dość swojej nieprzydatności, niekiedy niemal pragnął, żeby pojawił się jakiś chory, któremu mógłby pomóc. Ale Marek był tak zatopiony we własnych myślach, że Sulien nie umiałby mu nawet wyjaśnić, co mógłby dla niego zrobić, nie mógłby nawet zbliżyć się do niego, a kiedy przypomniał sobie ich milczenie na cmentarzu, tracił ochotę. Ponieważ siniaki nie były poważne, w końcu uznał, że znikną same.

Ciągle padało. Boczna droga, którą szli, zmieniła się znowu w szosę, ale w nocy z powodu błota musieli jednak na nią wrócić w nadziei, że mrok i kobaltowe światła zmienią ich w niebieskie cienie. Zrobiło się zdecydowanie zimniej; Marek zrozumiał, że plan Uny, by wędrować nocą, dawał im przynajmniej możliwość wyspania się w ciepłe dnia, tyle że pozostawał problem mokrych ubrań, wilgotnej ziemi i dziennego światła.

Co więcej, choć martwili się, co nocni podróżnicy pomyślą na widok ich sylwetek lub mgnień rozmazanych twarzy, i choć czasami w oddali widzieli pracujących na polach niewolników, nikt od czterech dni i nocy

nie widział ich z bliska. Pewnego wieczoru Marek oprzytomniał na tyle, że zdziwiło go, iż właściwie nic nie wie o swych towarzyszach; rzadko bywał na tyle świadomy, by patrzeć na coś poza asfalem czy błotem pod stopami, a jednak przywykł do ich twarzy do tego stopnia, że niemal mógłby je narysować z pamięci. Był przekonany, że gdyby spotkał się z nimi za rok, dwa lata czy pięć, rozpoznałby ich.

Stało się jednak jasne, że w ten sposób nie zajdą daleko. Ich ubrania i koce były zbyt cienkie i już ociekały błotem i deszczówką. Całe odzienie Marka należało do Suliena - spodnie, które Una przyniosła mu z Londynu, i niebieska tunika z impregnowanego materiału, z nadrukiem przedstawiającym wir czerwonych płomieni, które Unie wydawały się zbyt jaskrawe i zauważalne. Dziewczyna była ubrana w czerwonobłękitną sukienkę z długimi rękawami i szarą sinoańską bluzkę, ale nogi miała gołe, bo obszerne spodnie nasiąkały rozbryzgami wody i oblepiały ją lodowatym zimnem. Nie mieli ubrania na zmianę. Usiłowali spłukać w Garumnie błoto z ubrań, ale potem nie mogli ich dosuszyć. Una kupiła w sklepie przy autostradzie zapalniczkę gazową i teraz gratulowała sobie dalekowzroczności, ale udało im się jedynie osmalić wilgotną stertkę patyczków. Byli wściekli na siebie.

Piątego wieczoru, oddalając się powoli od wychłodzonych budynków fermy, w której spędzili dzień, zaczęli mówić o nowych ubraniach, parę mil przed Lugdunum Convenarum. Marek wyjaśnił cicho Unie:

- Zrozum: kiedy znowu będziemy w Rzymie, zwrócę wam pieniądze.

Jego słaby głos brzmiał oficjalnie i z niezamierzoną wyższością. Czasami wydawało mu się - w miarę jak dni mijały, a nikt ich nie zatrzymywał - że Una miała rację, wybierając noc na wędrówkę, ale nie zawsze i nie w tej chwili. Nadal uważał, że mogli - mógł - zaryzykować ponowne zakradnięcie się do tramwaju towarowego, a wówczas podróż byłaby już zakończona.

- Tak, pięćset tysięcy sestercji - przypomniała mu ostro. - To chyba załatwi sprawę. - I dodała ciszej, kierowana pesymizmem: - Jeśli w ogóle dotrzesz do domu.

Chciała przez to powiedzieć, że z tego, co im wiadomo, Rzym nigdy nie będzie dla niego bezpieczny, choć zrozumiała, że Marek odczytał to - wzdrygając się - jako "Jeśli przeżyjesz". Ogarnęła ją desperacja i odczytało się jej dłużej tłumaczyć.

- Ale on ma rację, Uno - odezwał się Sulien. - Rozchorujemy się.

- Wiem! - krzyknęła. Czuła się osaczona. - Ale musiałam się obmyć, zanim cokolwiek zacznę robić, i tak już będę dziwnie wyglądała podczas kupowania rzeczy dla dwóch chłopców, a jeśli pójdę w takim stanie, to będę wyglądała jak niewolnica, nikt inny.

- Ja mogę pójść - zaofiarował się Sulien. - Powiem, że jestem na wakacjach. I że ubłociłem się, wędrując, co jest prawdą.

Marek, który brnął przed nimi, z zaskoczeniem się zorientował, że za jego plecami zapadła cisza. Odwrócił się i ujrzał Unę, która znieruchomiała w pół kroku, z twarzą złagodniałą od rozpacz.

- Nie - szepnęła - mogliby cię rozpoznać. Mógłbyś nie wrócić.

- Ciebie też. To dotyczy nas obojga - przypomniał jej.

- Nie. Nie wiesz, co o tobie myślą. Nie będzie mnie przy tobie, nie powiem ci.

- Przecież to sklep, nie posterunek. Przez chwilę milczała.

- Nie chcę, żebyś tam poszedł - oznajmiła w końcu cicho.

Sulien westchnął.

- No, a ja nie chcę, żebyś ty szła.

- Tylko się umyję - wymamrotała znowu, a Marek nie rozumiał, dlaczego się im przygląda, dlaczego jest zaciekawiony.

- Czemu wszystko stanęło? - spytał Sulien.

Rzeczywiście. Było parę godzin po północy i jeśli nie liczyć niekończącego się bezmyślnego kursowania tramwajów towarowych, niebieska szosa niemal opustoszała, choć przed nimi zaczęła gęstnieć korek.

- Wypadek - powiedział Marek. Obok nich zatrzymał się z piskiem sznur wagonów. Una stanęła i wyężając wzrok, spojrzała w ciemność, na rząd tylnych świateł.

- Na pobocze, z drogi! - krzyknęła nagle ochryplym głosem.

Potykaç się, zbiegli po trawiastym zboczach i przykucnęli. Sulien poczuł dreszcz pełznący po nogach i wielką mokrą pecynę błota, przeinaczającą mu nogawkę na łydce.

- Co? - szepnęła. - Zobaczyłaś coś?

Una tuliła się do zbocza, nadal wypatrując czegoś nad jego krawędzią.

- Nie jestem pewna, tam chyba ktoś był. - Pokręciła głową. - W każdym razie motorniczowie mogli nas zobaczyć, skoro już się zatrzymali.

- Więc tylko tyle... - zaczął Marek, myśląc, że nie musieli się rzucać w

to zimne błoto, wystarczyło się tylko trzymać z dala od świateł. Chciał wstać, a dziewczyna natychmiast syknęła. - Nie! - i brutalnie ścisnęła go za ramię, ściągając w dół, i zamiast cofnąć rękę, trzymała z całych sił. Nagle znalazł się obok niej w długiej brązowej trawie, powiódł za jej spojrzaniem wzdłuż nieruchomych pojazdów i zobaczył poruszające się kropki elektrycznych lamp, kołyszących się wzdłuż stojącego szeregu, coraz bliżej, obniżających się przy każdym samo chodzie i tramwaju.

- To nie wypadek - szepnęła - tylko blokada. Wigilowie.

Marek usłyszał łopot brezentu na wagonie tramwaju. Funkcjonariusze zaglądali do środka.

- Musimy uciekać - odezwał się Sulien.

- Czekaj... czekaj... - wymamrotała.

- Dlaczego? - spytał. Żółte światła coraz bardziej się zbliżały, już całkiem dokładnie widzieli umundurowane postaci z lampami.

- Chcę zobaczyć... - wyszeptwała. Wpatrywała się z natężeniem w część konwoju, ale niebezpiecznie wychyliła się nad zbocze, jej głowa i ramiona były chyba całkowicie widoczne.

- Una - ostrzegł Sulien.

- Oni mnie nie widzą - odpowiedziała cicho. Nadal nieświadomie ścisnęła ramię Marka, a on czuł, że nie tylko jej palce, ale całe ciało skamieniało z napięcia.

Wigilowie - trzy wagony od nich - odpinali płachtę, dźgali pod nią, a teraz zaczęli krzyżeć i powoli coś podnieśli, coś długiego i ciężkiego, co nagle się skręciło, wierzgnęło i zaczęło walczyć.

- Ach - westchnęła Una, w końcu zsuwając się po niewielkiej skarpie. Miotający się kształt nagle znieruchomiał, wigilowie powlekli go w dal, wzdłuż szeregu. Marek pomyślał, że sądząc po rozmiarze, mógł to być człowiek, ale trudno było to stwierdzić.

- Kto to? - szepnął. - Co z nim zrobią?

- O, nie zabiją go ani nic. Ale raczej nie zabrali go w miłe miejsce. Nie tylko tobie przyszło do głowy, że można tak podróżować.

Deszcz zaczął pełzać bardziej lodowato, bardziej owadzio po skórze Marka, który zadygotał.

- To... to nie jego szukali? - Urwał i zastanowił się, dlaczego miałyby to wiedzieć, skoro widziała nie więcej od niego - a potem sobie przypomniał, że rozpoznała go w Tolosie. I zaczął się zastanawiać, czy to

przewidziała, ale doszedł do wniosku, że to niemożliwe, przecież nie pozwoliłaby się im zbliżyć do tej drogi.

Ponuro pokręciła głową.

- Nie. Po co mieliby się wysilać? Chyba nam uwierzyli. Albo przynajmniej uważają, że jesteś w Galii. Ale dlaczego? Wszyscy donoszą, że cię widzieli...

Marek znowu zadygotał, pomyślał o chłopcach z noclegowni, o dziewczynie z matką w sklepie jubilera.

- Mogli mnie rozpoznać inni ludzie. Ale byłem pewien, że się nie zorientowali... myślałem, że ich zmyliłem.

Una skinęła głową.

- Przypuszczalnie nie mieli pewności. Pewnie pomyśleli - tak na wszelki wypadek, kiedy już odszedłeś - zadzwonić nie zaszkodzi, prawda? Na pewno większość. Wyznaczono dużą nagrodę.

Marek poczuł, że powinien przyznać jej rację, ale ona już oddalała się od nasypu, szła w mroczne przydrożne pole. Sulien obejrzał się na szosę. Lampy znowu wracały.

- Ten niewolnik... - powiedział. - Może chciał się dostać tam gdzie my.

Una tego nie widziała, nie miała czasu się zorientować. Ta myśl ich zaintrygowała i przeraziła zarazem. Jeśli tak było, to chyba rzeczywiście zmierzali do naprawdę istniejącego miejsca. Ale w ślad za tym szła świadomość, że mogą ponieść klęskę równie szybko i bez trudu.

Skręcili w lewo, daleko od lamp i wiecznie błękitnego światła szosy, ku czarnym wzgórzom. Mieli lampę elektryczną, ale długo brnęli w ciemnościach, zanim odważyli się ją włączyć. Una potknęła się i runęła jak długa na grząską ziemię. Nic się jej nie stało, ale jej sinońska bluzka tak przesiąkła błotem, że dziewczyna zaczęła dygotać na wilgotnym wietrze. Po chwili wszyscy znaleźli się w równie opłakanym stanie, bo deszcz tak ich chłostał, że zaczęli szczerkać zębami.

Szli na oślep, aż znowu poczuli pod stopami twardy asfalt. W końcu włączyli lampę, ujrzeli wąską opustoszałą szosę i doszli do wniosku, że nie mają pojęcia, dokąd prowadzi droga ani jak daleko zaszli w ciemnościach. Ruszyli nią tylko dlatego, że nie mogli już znieść tych grząskich pól, a także dlatego, że biegła z dala od autostrady. Przekradli się przez mroczną wioskę, a za jej granicami krążek światła padł na błądy prosto-

kąt drogowskazu. Szli na południe, w stronę miasta o dziwnej nazwie - Wilczy Krok - a dalej przełęczy wiodącej do Tarraconensis.

- No - odezwał się Sulien - to tam kupimy ubrania.

Una się nie odezwała. Zdrętwiałymi dłońmi rozcierała zziębnięte ramiona i myślała żałośnie, że im rozpaczliwiej będą potrzebować różnych rzeczy - jedzenia i ubrań - tym trudniej będzie je zdobyć. Starła się nie patrzeć na siebie i innych w świetle lampy, ale czuła, że włosy oblepiły jej głowę jak wodorosty, a na nogach, ramionach i sukience zostały po upadku smugi błota.

Droga przez jakiś czas falowała, ale w końcu znowu sprowadziła ich na teren płaski jak jezioro, które niegdyś musiało się tu znajdować. Przed nimi, całkiem niedaleko, wznosiły się góry, nie te ulotne sylwetki na tle nieba, które widzieli z szosy, lecz wysokie masywy, gładkie, ale rysujące się pod kożuchem drzew jak kolana, łokcie i ramiona.

Przed świtem Marek ujrział coś, co wyglądało jak mokra gładź - coś obłego, lecz ciekłego i lśniącego metalicznie u stóp wzgórze. Niemal pomyślał: przechylone jezioro, lecz był już tak zmęczony, że jego mózg prawie nie funkcjonował. Ale potem się zbliżyli, zrobiło się jaśniej i tamto coś przekształciło się w łańcuch szklanych półkul, jakby ogromny sznur żabiego skrzeku albo wielkie mleczne bańki wśród pól - i zrozumiał, że to przemysłowe cieplarnie, uszeregowane we wzdęte rzędy, w których przemocą wtłaczano ciepło i kolor w żółte lilie i tropikalne storczyki. Otaczały ich akry niskich tuneli z białej siatki rozpiętej nad jabłoniemi.

Sulien nagle pomyślał to samo.

- Tam będzie ciepło - odezwał się z wdzięcznością i natychmiast przeskoczył przez ogrodzenie.

Una zatrzymała się na chwilę, tak złąkniona ciepła, że niemal zapomniała o ostrożności, ale wkrótce odezwała się z wahaniem:

- Ludzie przyjdą.

- Nie, nie sądzę. - Marek się odwrócił. - Myślę, że to działa automatycznie.

- Ale ktoś musi przychodzić po kwiaty?

- Rzadko - odparł Marek. Una zerknęła pożądliwie na cieplarnie, niepokojnie zaciskając dłonie. Marek dodał cicho: - Popatrz, jakie są wielkie, zdołamy się ukryć. Będziemy spać na zmianę. Nie ma się czego oba-

wiać.

Blade kopuły połyskiwały niewyraźnie na tle doliny, a kiedy się zbliżyli, dostrzegli rozwieszane wewnątrz lampy, które ogrzewały rośliny. Pierwsze cieplarnie były wyłożone niskimi donicami cyklamenów i pokrzyw ozdobnych; wielkie budowle wyglądały osobliwie, tyle światła i przestronnych kopuł dla takich maleństw. Una zagryzła wargę. Tutaj będą widoczni z daleka.

- Nie, nie tutaj - powiedział Marek i szli dalej wzdłuż cichych szklanych ścian, aż dotarli do potężnej odwróconej kopuły, zasnutej od wewnątrz jakby oddechem - i tam ujrzeli jaskrawą, nasyoną zieleń roślin tropikalnych i smugi pomarańcza, żółcieni i różu, przebijające się wysoko przez mgłę. Sulien dostrzegł wypaczoną framugę i zabrał się do podważania jej, ale choć tafla szkła drżała obiecująco, nie dała się obluzować i w końcu Una łypnęła ponuro, owinęła pięść niebieską bluzą i wybiła szybę.

Weszła do środka, a pod stopami chrupnęło jej szkło i rozsypany piasek.

- Och - powiedziała cicho. - Naprawdę ciepło.

Ciepło biło od podłogi i z lamp, przesiąkało wonną wilgoć powietrza. Pod lampami rozciągała się krata smukłych rur, najeżonych kranami, a kiedy Una wędrowała, milcząca i zafascynowana, wśród łanów storczyków, pomiędzy ananasami i jakimiś paprociami o mięsistych liściach, te krany nagle ożyły i z westchnieniem obryzgały ją ciepłą wodą. Una piśnęła cicho i wymamrotała: - No i jak mamy wyschnąć... - ale aksamitne powietrze, acz wilgotne, nie było nieprzyjemne, i zaskoczona przekonała się, że to miejsce działa na nią kojąco. Po tak wielu zimnych dniach ciepło ją zahipnotyzowało. Uśmiechnęła się.

Marek i Sulien szli za nią przez muślinowe powietrze, a Sulien myślał, że to takie dziwne sterylne miejsce, kruche szkło było tak jasne, że nigdy by nie podejrzewał, iż jest noc lub zima, a te jaskrawe rośliny ustawione w takie schludne szpalery były specjalnie dobrane, niemal identyczne. A jednak było to miejsce na wskroś ludzkie, ciepłe jak krew, a kiedy weszli pomiędzy pulsujące rozbryzgi, spojrzął na sieć rur i pomyślał o żyłach.

Dotknął pierzastego liścia i spytał:

- Do czego to?

Marek odezwał się za jego plecami:

- Chyba do prywatnych łaźni i tym podobnych. - Przykucnął i starał się zasłonić wybitą szybę materiałem, myśląc: Tu muszą być termometry, jeśli temperatura spadnie, może włączy się alarm, a wtedy ktoś przyjdzie. Wcześniej zaskoczyło go, że tak dobrze nauczył się rozpoznawać tych dwoje niewolników, teraz zaś zdziwił się, że Una nie pomyślała o tym otworze; doszedł do wniosku, że już zna sposób jej rozumowania. Wstał i ruszył pomiędzy roślinami akurat wtedy, kiedy Una osunęła się - powolność i łagodność tego ruchu wydawała się niezwykła - i wyciągnęła z rozkoszą na ogrzewanej podłodze, zamknawszy oczy. Przez chwilę myślał, że wygląda jak ktoś zupełnie inny - to twarde, kościste ciało się rozluźniło, dłonie spoczęły luźno zwinięte, mokre włosy rozsypały się, przelotna zmysłowość osiadła wraz z kropelkami wody na zarumienionej skórze, na zwykle kamiennej lub pochmurnej twarzy.

Trwało to chwilę. Una sennie odetchnęła i poderwała się, znowu była gwałtowna i bezkompromisowa. Spojrzała chytrze na rury.

- Możemy z nich wydusić więcej wody? Moglibyśmy wszystko uprać. Wstała i ruszyła pochylona do następnego rzędu roślin.

Szła ostrożnie, nadal rozkoszując się ciepłem, lecz już nie rozmarzona, często zerkając w górę na sieć rur, myśląc o wodzie. Gdzieś na jej zakończeniach nerwowych osiadło ciche drżenie niepokoju lub czujności, które miało coś wspólnego z synem Leona - ale było tak delikatne, że ledwie warte uwagi. Okrążyła okrągłą cieplarnię i przekonała się, że łączy się ona korytarzem z następną kopułą.

W drugiej cieplarni powietrze było chłodniejsze i bardziej suche, a przed nią ukazał się cudowny widok. Tu hodowano lilie wodne. W betonową podłogę był wpuszczony wielki podłużny staw, liczący nie więcej niż stopę głębokości. Wyłożono go prozaicznie arkuszami zwykłego plastiku, którego żółte odbicia kołysały się i rozłączały pomiędzy okrągłymi liśćmi i wielkimi różowymi, białymi i żółtawymi kwiatami.

Una omal znowu nie poddała się zachwytowi, choć dołączyło do niego zdenerwowanie. Podeszła w milczeniu, postawiła torbę i zanurzyła dłoń w stawie; woda miała niemal taką samą temperaturę jak ta opryskująca rośliny tropikalne, nie była porządnie ciepła, lecz znośna, o wiele lepsza od deszczu i rzecznej wody, w której Una taplała się od wielu dni. Obmyła twarz, zdjęła oblepione, brudne buty, mokrymi rękami obrała je z błota i oczyściła w nadziei, że przywróci im przynajmniej zwyczajny nie-

chlujny wygląd. Potem, choć jeszcze nie skończyła, wsunęła zabłocone nogi do wody, między kuliste kwiaty i mieszczące ich korzenie plastikowe donice na dnie. W końcu wyłoniła się z jeziora i ruszyła, plaskając bosymi stopami, do ciepłego pomieszczenia.

- Tu jest woda, ale przez chwilę nie wchodźcie! - zawołała zmęczonym głosem.

Marek, który zawędrował wśród wilgotnych paproci na skraj okrągłej podłogi, odwrócił się i zobaczył jej mokre ślady na betonie. Zdjął wełniany kapelusz i odetchnął.

Una odszukała w torbie buteleczki i przykucnęła wstydliwie, marząc o jakimś ciemnym, dalekim miejscu, bojąc się tego szkła i lamp elektrycznych. Czuła, tak jak czasami, jak w pierwszych chwilach nagości, bezosobową niechęć do własnego ciała. Właściwie nie darzyła go wrogością ani nie porównywała z ciałem innych ludzi, ale czasami żałowała, że nie może żyć bez niego. Szybko westchnęła, ściągnęła przez głowę sukienkę, wyśliznęła się z bielizny i osunęła do stawu.

Przez chwilę trwała skulona, trochę dygocząc, usiłując przekonać ciało, że ciepło tropikalnego pomieszczenia nie znikło, że wkrótce do niego wróci. Zaczęła się szybko myć i stopniowo brud odkleił się od niej, chłód zmalał, a ona powoli się rozprostowała, czubkami palców trąciła doniczki. Jej kończyny uniosły się w wodzie, przez chwilę wydały się subtelne, lekkie, niemal ukryte pod kożuchem lilii wodnych. Zanurkowała, żeby opłukać włosy, i na chwilę otworzyła oczy, spojrzała na różowawe spody liści, i wówczas przypomniała sobie Tamizę i pomyślała z zimną wyrazistością: prawie utonęłam. Naprawdę trochę utonęłam. I dopóki ta myśl nie przeminęła, leżała bez ruchu z otwartymi oczami, wstrzymując oddech.

Nie została długo w wodzie. Wypełzła na brzeg, pospiesznie ubrała się w londyńską sukienkę. Wołałaby się jej pozbyć, bo zbyt wiele jej przypominała, na dodatek zaczęła się robić obszerna i bezbarwna, a szew na jednym ramiączku już się rozpruwał. Ale potrzebowała jakiegoś okrycia, dopóki nie upierze innych ubrań. Zanurzyła brązową sukienkę i szare sinoańskie ubrania pomiędzy kwiatami, patrzyła, jak się rozpościerają i ciemnieją i spróbowała odrobiną szamponu sprać zaschnięte błoto.

Marek Nowiusz Faustus Leon krzyknął z korytarzyka między pomieszczeniami:

- Już można?

- Tak - odpowiedziała, ale nieufnie podeszła do krawędzi stawu i zgarnęła ku sobie unoszące się na powierzchni ubrania.

Marek wszedł powoli i spojrzął na pokrytą liliami taflę wody.

- Mają takie w Rzymie, w ogrodach pałacowych - powiedział chyba do siebie.

- Muszą być bardzo drogie - zauważyła Una z nutą oskarżenia czy ostrzeżenia.

- Nie wiem - przyznał.

Ukląkł po drugiej stronie stawu i wrzucił do wody zabłocone ubrania, które dostał od Wariusza. Przez parę chwil w milczeniu doprowadzał je do porządku.

- Nie musiałeś dotąd prac swoich ubrań - rzekła Una z pewną satysfakcją.

- Do tej pory nie.

Rzuciła mu butelkę szamponu.

- Niezbyt dobry, ale lepszy niż nic.

Spojrzał na swoje dłonie ugniatające mokry materiał, z jakiegoś powodu skupił się na tej czynności, jakby była skomplikowana. Woda się rozkołysała, mała fala z głębi tafli przy płynęła do niego cicho, uniósł oczy i zobaczył, że to Una ją wzbudziła; weszła do wody, by zabrać swoje ubrania, i stała po łydki wśród liści i okrągłych kwiatów w tej swojej krótkiej mokrej sukience.

Przez chwilę spoglądali sobie w oczy i odwrócili wzrok, oboje w równym stopniu świadomi, że Una właściwie jest naga. Kiedy siedzieli po obu stronach stawu - ona na podkulonych nogach - nie rzucało się to tak w oczy.

Una nie przerywała tego, co robiła; tu nic im nie groziło, nie było powodu uciekać. Zaczęła wyciągać sinoańskie spodnie. Wyciągnęła ręce i zdołała je zawiesić na kablu łączącym lampy; potem ostrożnie je rozciągnęła, żeby nie zmięły się podczas schnięcia. Liście klepały ją po nogach.

- Nie potrafię doczyścić butów- odezwała się rzeczowo. - Myślisz, że to wystarczy? Poznałbyś?

Zapraszam go, żeby znowu na mnie spojrzął, uświadomiła sobie.

Pokręcił głową szczerze, choć oboje wiedzieli, że to niewiele znaczy. Nie wiedział, jak powinna wyglądać wolna, choć uboga dziewczyna. Nalał

na ubrania trochę szamponu i dalej je ugniatał.

- Mój kuzyn Druzus poszedł raz do sybilli w Delfach - usłyszał nagle własny głos. - Nie wiem, co mu powiedziała, ale chodziło o jego przyszłość. A ty... ty nie wiesz, co będzie, czy dotrzemy do gór.

- Nie - odparła, wieszając brązową sukienkę.

- Ale jesteś trochę jak, jak... - Nie wiedział, jak ją nazwać. - Ty... coś wiesz.

Wzruszyła ramionami i wyszła z wody.

- O tobie, i tyle - powiedziała lekko, z napięciem. - O każdym - dodała i zajęła się wycieraniem błota z butów. Czekala, kiedy Marek poczuje się tak jak Sulien - zaatakowany, zły. Nic się nie działo.

- Och - wyrwało mu się. Szybko na niego zerknęła, jego brwi uniosły się wysoko, lecz był raczej zaskoczony niż oszołomiony.

- Chciałbym tak umieć - powiedział w końcu.

Zrozumiała, że to go po prostu interesuje.

- Ale nie wiesz o mnie wszystkiego. Pokręciła głową.

- Sprawdzalam tylko w tamtej chwili, na ulicy, kiedy chcieliśmy cię złapać. Usiłowałam się dowiedzieć, dlaczego uważasz, że ktoś chce cię zabić, i czy to może być prawda... ale nie mogłam... tego ustalić... nie będąc... albo nie wiedząc... - Urwała. Znowu nie umiała tego wyrazić i chciała przestać się wysilać, przez to za dużo myślała o wydarzeniach tamtej nocy w Tolosie. - Nie wszystko, co kiedykolwiek myślałeś czy co przeżyłeś, tego wszystkiego nawet ty nie wiesz.

Pokiwał głową, spróbował sobie wyobrazić, jak by to było, przez chwilę myślał, że potrafi, ale to było zbyt dziwne, nie mógł się dłużej zastanawiać nad samym tym pomysłem. Nagle jakiś głos, który niemal nie należał do niego, zaczął mówić:

- Czy zobaczyłaś...? - i urwał, utknął w środku pytania, które bał się dokończyć, choć teraz było oczywiste, że o to mu chodziło od samego początku. - Coś... chorego - ciągnął z przymusem. - Co wygląda jak początek... - i tym razem nie dokończył. Spojrzał na nią i dotknął czoła.

Głowę miał odsłoniętą, a para zmyła część brudu z jego skóry. Widać było nawet, że jego płowe włosy trochę odrosły. To go może zdemaskować jako potencjalnego następcę tronu pokazywanego na londyńskim ekranie. Ale kto by pomyślał, że jakiś Nowiusz tak wygląda, ma tak jawnie błagalne spojrzenie, że Una poczuła zażenowanie? Jakaś ulotna część

szeptnęła w niej: Wiesz, czego się boi, wiesz, jak to jest. Uciszyła ją przestraszona i powiedziała nieufnie:

- Ale ja nie wiem, jak by to mogło wyglądać.

- Nie, musisz - upierał się, głos miał szorstki, niemal krzyknął. I był pewien, że musiała coś wiedzieć. Nie potrafił tego dostrzec w jej twarzy, to bezwzględne spojrzenie znikło, ale z miny nic nie mógł wyczytać.

A potem ją zmieniła.

- Nie - szepnęła - nie, nic takiego nie widziałam.

- Och - szepnął, a oczy zamknęły mu się same. Przez chwilę, kiedy napięcie uchodziło z niego z dygotem, czuł się niemal tak zdruzgotany, jakby powiedziała coś odwrotnego; był zdenerwowany, chory z ulgi. Po tem wszystko minęło i stał się rześki i radosny. Uśmiechnął się drżąco.

- Najpierw myślałam, że jesteś trochę... no, pokrecony - ciągnęła cicho - bo tak się bałeś, że ktoś chce cię zamordować, a nie było widać, żebyś miał powody. Ale potem już nie.

Twarcz mu pociemniała. Ten strach, w którym dorastał, nie całkiem odszedł, jego cień zawsze mógł powrócić.

- Ale nawet jeśli teraz tego nie ma, to może się pojawić.

- No cóż - powiedziała. - Tak.

Jej buty były już czyste. Opłukała ręce i wstała. Dodała zwięźle:

- Jak u każdego.

- To prawda, tak? Chyba mnie nie...

- Nie pocieszam? - dokończyła sucho i prawie się uśmiechnęła. - Te-go bym nie zrobiła.

Kiedy odeszła, rozebrał się i zawstydzony szybko umył w stawie, pod jej wiszącymi ubraniami. Po chwili Sulien zawołał, że znalazł w tropikalnej sali owoce, choć niewiele dojrzałych.

Było tak, jakby znowu wróciło lato, z wyjątkiem tych chwil, gdy wiał wiatr, ale Wilczy Krok został wciśnięty między góry jak zakładka między strony i kiedy do niego dotarli późnym popołudniem, słoneczne światło muskało dachy, lecz ich nie dotykało, a rozległy gołębioszary cień rozpościerał się chłodem po wąskim gołębioszarym mieście.

Wydawało im się, że minęło bardzo dużo czasu, odkąd widzieli cokolwiek przy dziennym świetle, nawet siebie. Gdy wykradali się z cieplarni, mrużyli oczy przed słońcem i bali się dróg; światło demaskowało ich natychmiast, wystawiało na spójnienie wieśniaka stojącego wśród żółtych krów na zielonym polu.

Ale znowu widzieli kolory. Una nie spodziewała się, że to będzie taki szok, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo przywykła do płaskich kształtów oświetlonych na niebiesko czy żółto. Teraz te ciepłe góry wyglądały jak sterty monet i bursztynu. Nigdy nie była w takim miejscu, nigdy nie widziała czegoś takiego jak te dziesięć wielkich ptaków o kształcie kosy i kolorze rdzy, pikujących na ziemię i rzucających się na siebie nawzajem nad polem kukurydzy.

Stała z Sulienem pod nimi, z uniesioną twarzą.

- Zabijają - mruknął Sulien. Ta świadomość sprawiła, że ptaki wydały mu się trochę przerażające, choć piękne. Były wściekle na siebie, usiłowały odpędzić jeden drugiego.

- Bo muszą - powiedziała Una.

Marek, trochę rozbawiony ich zdumieniem, powiedział niezręcznie:

- To zwykłe myszołowy.

Una naskoczyła na niego rozdrażniona własną ignorancją i warknęła:

- W Brytanii ich nie ma, w każdym razie w Londynie na pewno. Nie wszystkich obwozili po całym świecie. Nie wiedziałam, że ptaki mogą być takie wielkie. - Odwróciła się i powtórzyła cicho: „myszołowy”, by zapamiętać i uspokoić się, bo gryzło ją, że wszyscy ludzie oprócz niej

znają takie informacje.

Marek ganił się za bezmyślność, a jednocześnie uznał, że Una jest przewrażliwiona. Sulienowi to jakoś nie przeszkadzało.

A przed nimi, pod miedzianymi górami, kolor znowu skapitulował i Wilczy Krok stał się monotonicznie jednobarwny. Ruszyli ku niemu w krępującym milczeniu.

Już na przedmieściach, jakby znikąd, na drodze pojawiła się nagle sieć tramwajowa. Krótki skład minął ich z hałasem, wzbijając kłęby siwego kurzu, które osiadały na wszystkim, i przebijając się z łoskotem przez miasto. Nie rozumieli, jak wielkie znaczenie ma to przejście do Hiszpanii. Coś w dotyku tego kurzu, którego kłęb przetoczył się po nich, wydało się Markowi znajome; potem zobaczył płyty szarego kamienia, połyskujące pomiędzy drzewami, i rozpoznał w nim marmur. Gdzieś w pobliżu zapewne znajdowały się kamieniołomy.

Na widok tramwaju Una zaczęła się martwić o kryjówkę dla Marka, ale wkrótce jej obawy znikły. Zaraz po pojawieniu się linii tramwajowej ukazał się niewielki zwirowany szlak prowadzący ku wodzie. Była to ta sama rzeka, wzdłuż której szli od samego początku; prawie nie zauważyli tej niebieskiej nitki na mapie, pod liniami czerwieni i żółci, skracającej na południe niemal tam gdzie oni. Prawdziwa Garumna nigdy nie była niebieska, a tu nabrała dziwnego, białawego, perłowo-zielonego odcienia, stała się rwąca i robiła wrażenie bardzo zimnej.

Nad rzeką, u stóp zbocza, szlak kończył się ślepo przy wielkim budynku, który mógł być niegdyś stodołą. Ktoś nadal z niego korzystał, być może traktując jako szopę na drewno; rozrzucone sterty bierwion i desek wyglądały na dość świeże, ale trudno było uwierzyć, żeby ktoś tu często zaglądał, bo sama szopa była niemal zrujnowana: kwadratowe drzwi zwisały pod nieprawdopodobnym kątem, w krytym dachówką dachu widniała wielka dziura, ściany porastał bluszcz.

Na stertę opału z nieznanym powodów rzucono trzy lub cztery dziecięce ławki szkolne. Una postawiła torbę na ziemi i wyjęła zestaw do makijażu.

- Tu jest dobrze, i są te drzewa na tyłach. Jeśli ktoś się zbliży, ukryjesz się.

- Mogę? - zakpił Marek ze zmęczeniem. - A już myślałem, że stanę pod transparentem z moim imieniem i będę krzyczeć: Ave, Cezar!

Una zerknęła na niego ukradkiem spod pędzelka do makijażu, zrozumiała, że Marek nie lubi jej dlatego, że ona nie lubi jego, i dalej nanosiła czarną pastę na powieki. Miała nie odpowiadać, bo co by jej z tego przyszło. Ale nagle usłyszała własny, fałszywie łagodny głos:

- Radziłbyś sobie sam, tak samo jak do tej pory, gdybyśmy ci nie przeszkodzili.

Marek przypomniał sobie, jak go ściągnęła na ziemię przed blokadą i zacisnął oczy z mieszaniną wstydu i gniewu. Nie podziękował jej jak należy, ale teraz nie mógł się do tego zmusić. Źle by to zabrzmiało. Poza tym był rozczarowany nią i wściekły na siebie za to, że tak szybko powrócili do tych sekretnych przepychanek. Co gorsza, jeszcze nigdy nie naskoczyli na siebie tak jawnie. Jak tak można, przez ptaki? Nad stawem, w cieplarni, wydawało mu się, że jednak potrafią ze sobą rozmawiać, a ona powiedziała... ale kiedy zaczął o tym myśleć, znowu mu się wszystko poplątało i zapragnął, żeby Una szybciej odeszła, by mógł znowu oprzytomnieć.

Zorientował się, że pomimo wszystko przygląda się z jakąś fascynacją, jak dziewczyna maluje sobie oczy. Nie pamiętał, żeby przedtem widział kobietę nakładającą makijaż. Była skupiona, malowała wprawnie, lecz tak szybko i zapalczywie, że obawiał się o jej delikatną skórę. Patrzył, jak Una mruga do siebie, z jednym okiem zamkniętym, łagodnym i biernym, coraz ciemniejszym pod muśnięciami pędzelka, z drugim jasnym, otwartym, przenikliwym.

Kiedy pójdzie, spytam Suliena, dlaczego zawsze jej słuchamy, pomyślał. Potem zrozumiał, że nic z tego, bo zobaczył, że Sulien wyjmuje pliki pieniędzy z torby Uny.

- Idziecie razem?

- Mamy za mało pieniędzy - oznajmił Sulien. - Potrzebujemy na jeźdzenie. Dlatego Una będzie wróżyć.

Z cieplarni i sadów zabrali parę jabłek i owoców tropikalnych, ale została im tylko zeschnięta piętka chleba. Marek znowu poczuł upokorzenie, gorsze niż dotąd, że tych dwoje niewolników tak wiele dla niego ryzykuje, że jest na ich utrzymaniu, że stanowi dodatkowy ciężar.

- Przepraszam - powiedział ochryple.

Sulien wzruszył ramionami. Dodatkowe wydatki na Marka były utrudnieniem, ale sytuacja po prostu tak wyglądała, nie mieli na to wpły-

wu, zupełnie jak na długie deszcze. Nieustanny i rzucający się w oczy wstyd Marka zaczynał się stawać męczący.

- Ale wolałabym, żebyś tu został - odezwała się Una.
- Wiem - rzekł Sulien.

Una westchnęła, zarzuciła na szyję zielony szal i razem z bratem ruszyli w drogę.

Podczas pierwszych dni podróży z Tolosy towarzystwo niewolników sprawiało, że Marek dotkliwiej odczuwał samotność. Tak bardzo chciał znowu stać się samodzielny, że nie musiał o tym nawet myśleć. Teraz początkowo cisza samotności wydała mu się dobra jak czysta woda, o tyle lepsza od ciszy pojawiającej się, gdy nikt nie mówi. Ten głupi nastrój, do którego Una go jakoś doprowadziła, odpłynął, znikł. Po chwili pojawiła się mała ciemna jaszczurka w białe plamki i Marek przyglądał się jej, dopóki znowu nie znikła w trawie.

Ale spokój znudził mu się niespodziewanie szybko. Nie miał nic do roboty. Ustawił prosto jedną ławkę i usadowił się na niej niezdarnie w cieniu, ale kiedy zrobiło się ciemniej i chłodniej i nikt go nie dostrzegł, przestał mieć powód, by dalej tu siedzieć, wstał więc i zaczął chodzić po porośniętym trawą podwórku przed szopą. Zrozumiał, że znowu chce się ruszać dla samego ruchu, nie jak zwykle ze strachu przed marnowaniem czasu i pochwycciem. Zdawał sobie sprawę, że czas mu się dłuży, nie wiedział więc, ile go minęło, zanim postanowił pójść do wylotu drogi, żeby zobaczyć, czy tamci już wracają.

Una i Sulien dotarli do szosy i tonącego w cieniu miasta w chwili, gdy kolejny skład tramwajów przetoczył się obok nich, wielki jak góra, zbyt potężny na tej małej stromej uliczce. Bo miasteczko Wilczy Krok było małe jak okruc, wszystkiego trzy równoległe uliczki nad brzegiem rzeki. Nawet nie zasługiwało na miano miasta, tyle tylko że panował w nim większy ruch niż w wiosce, którą minęli w nocy. Za mostem prowadzącym do cichego rzędki popielatych doków stroma uliczka wychodziła na ciasne forum, nie większe niż londyńskie przydomowe ogródki. Dalej, na co liczyli, ujrzeni sklepiki po obu stronach uliczki. Po drugiej stronie rzeki, wysoko na górze, stała świątynka z białą Minerwą od frontu, spoglądając surowo w dół, na Wilczy Krok, jaskrawą na tle bladej szarości.

Una obrzuciła wzrokiem forum i szepnęła do Suliena:

- Tam usiądę, ale najpierw kupmy ubrania.

Rzeka wymusiła na uliczkach łagodny węzowaty kształt; w zagłębieniu drugiego zakrętu znaleźli to, czego szukali - sklep z nadającymi się do noszenia w górach butami, ubraniami i śpiworami. Nie dostrzegli w nim turystów.

- Będzie dobrze - powiedział Sulien. - Zaraz wrócę i cię znajdę. Możesz sama kupić jedzenie, jeśli chcesz.

- Dobrze. - Zmusiła się do uśmiechu. Udrapowała szal na głowie i sama wróciła na forum.

Nerwowo zatrzymała się za rogiem uliczki wychodzącej na forum, przyjrzała się mu dokładnie. Stała tam maleńka bazylika, chyba zamknięta, ale wokół jeszcze kręcili się ludzie. Głównie kierowcy tramwajów, pomyślała, rozprostowując zdrętwiałe nogi i gapią się na brudne publiczne dalwizory, przymocowane na słowo honoru do większej z dwóch nędznych austerii po obu stronach przeciwległego rogu forum.

Ktoś przetaił kurz na ekranie, tworząc półksiężyc. Puszczano patriotyczny film i pewnie także patriotyczną piosenkę, bo oto jakieś przejęte, wystrojone dzieci otwierały i zamykały buzie jak ryby, a jednocześnie obsypywały uśmiechniętego Faustusa płatkami róż, ale w tym sennym zakątku nie było dźwięku. W milczeniu ukoronowano Faustusa, który machał rozentuzjzmowanym Rzymianom, a potem pokazano, jak poślubił Tulliolę. Wszystko to było bardzo radosne. I oto Faustus uśmiechnięty, z Leonem i Klodią, jakby jeszcze żyli.

Una westchnęła i zacisnęła zęby. Nie mogła się spodziewać, że klienci sami do niej przyjdą, tak jak na pchlim targu. Musiała wybierać każdego z osobna i odwalić niemal całą robotę bez gwarancji, że dostanie za nią pieniądze.

Ostrożnie weszła na forum, okrążyła bazylikę i skupiła spojrzenie na mężczyźnie, który właśnie płacił rachunek przy plastikowym stoliku, jednym z wielu przed austerią. Kiedy wstał, podeszła szybko i uczepiła się - przełamując niechęć - jego rękawa.

- Czy zechcesz poznać swą przyszłość, panie? - spytała głosem sybilliny. Poczowała lekki niesmak. Kilku mężczyzn spojrzało na nią z różnym stopniem zainteresowania, ktoś - oberżysta - patrzył na jej nogi, oceniał ich kształt pod brązową sukienką. Ale zniknął z rachunkiem i trochę jej

ulżyło. W końcu atrakcyjność sybilliny była jej na rękę. Niby po co malowała oczy?

Kierowca, którego wybrała, nie zwracał na nią większej uwagi.

- Daj spokój - rzucił szorstko i wyszarpnął ramię, tak jak się spodziewała. Cofnęła się nieco i powiedziała od niechcienia:

- Może powinnam ci powiedzieć, czy Momus naprawdę chce cię wyrzucić i co miała na myśli Dora, kiedy powiedziała tamto o Sycylii.

I odwróciła się z cierpkim uśmiechem, pewna, że mężczyzna pójdzie za nią.

Zaprowadziła go na schody bazyliki i poprosiła o trzy sestercje. Usiadła obok niego i wyrecytowała to, co zwykle.

- Ona ma dość mieszkania w Lugdunum, ale to nie znaczy, że ma dość ciebie. - Po kwadransie oznajmiła, że bez dopłaty nie zobaczy już nic więcej. Wiedziała, że mężczyzna odmówi, ale trzeba się go było pozbyć i zająć kimś innym. Bardzo ciasno zwinęła banknoty i pomyślała: zrobię to jeszcze cztery, pięć razy.

Raz czy dwa pomyliła się w ocenie i pracowała przez chwilę nad kimś, kto nie chciał jej wysłuchać i mijał ją bez słowa, ale wkrótce miała już sześć sestercji, a potem dwanaście i zaczęła się na tyle rozluźniać, że ogarnęła ją nuda. Choć mówiła cicho i płynnie, wciąż zerkała w stronę rozjarzonego dalwizora wiszącego nad malowaną na żółto austerią. Film już się skończył i przez ekran przepływały informacje ekonomiczne pełne wykresów i zestawień i nikły w tle złożonym z działających kojąco fal. Nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, do czego służą, a w przerwach pomiędzy wrózeniem wpatrywała się w nie, jakby mogła je zmusić siłą woli, by wyjawily znaczenie.

Znaki zamigotały i zbladły, a ekran na chwilę pociemniał. Przestań marzyć, upomniała się, bierz się do roboty.

Skupiła się sumiennie na kłopotach, jakie pewna kobieta ze sklepu miała ze swymi pasierbami, kiedy nagła eksplozja jasności na ekranie i pojawienie się nieruchomego białego prostokąta skusiły ją do ponownego zerknięcia i wtedy okazało się, że ten biały prostokąt to rysunek, a obok zdjęcie. Były to dwa portrety przedstawiające Marka. Zdjęcie z pogrzebu i wierny szkic Marka bez włosów.

Małe forum zakołysało się i zacisnęło wokół niej. Straciła wątek, otworzyła usta bezgłośnie jak tamte śpiewające dzieci, w końcu wyjąkała

piskliwie i drżąco:

- Nie, twój mąż nie jest wierny.

Ale na ekranie pod tymi dwoma twarzami przepływała błękitna wstążka tekstu głoszącego, że aczkolwiek doniesienie na Marka Nowiusza mogło być żartem podlegającym karze (a jeśli nie jest, zwracano się do sumienia zbiegłych niewolników, by się ujawnili), społeczeństwo powinno mieć świadomość, że Marek Nowiusz mógł zmienić wygląd. Widzowie powinni przeszukać swoje piwnice i zabudowania gospodarskie, tak na wszelki wypadek.

Una uśmiechnęła się do klientki i spróbowała się opanować. Przecież tego się spodziewała, właśnie dlatego podróżowali nocą, dlatego Marek czekał nad rzeką. Być może rysunek opublikowano po raz pierwszy. Ale nie, miała pewność, że nie - ta tęga kobieta, która właśnie przechodziła przez forum, spojrzała na portret tak, jakby rozpoznawała Marka. Wszyscy w Wilczym Kroku musieli chodzić z tym rysunkiem w głowie, być może także poza granice miasta, tą żwirową ścieżką. Jasne, ona i Sulien wrócą i...

Zniecierpliwiona opanowała panikę. Przypuśćmy, że zdarzy się najgorsze, przypuśćmy, że wrócimy do szopy i on będzie już pojmany, tak, albo nawet zabity, w takim razie - no powiedz to - w takim razie lepiej, że nas tam nie ma. Straciliśmy pieniądze, ale zniknęło zagrożenie.

Mogła się skupić na tej myśli, głodnej i twardej, ale zaczęło ją dręczyć przeświadczenie, że to by była jej wina, że przecież ona powiadomiła wigilów. To ona go zabiła.

Kobieta opowiadała coś z przejęciem, więc Una przez chwilę nie musiała mówić - jak to dobrze - i obiecała sobie, że tylko tu skończy i odejdzie. A potem, nawiązując do wzmianki o zbiegłych niewolnikach, dalszemu przypomniawszy mimochodem, że trzech londyńscy przestępcy nadal są na wolności, przedstawiła ich rysopisy.

Nie widziała Suliena od godziny. To było nie do zniesienia. Wstała, równie obolała i na pół uduszona jak w Tamizie, wymamrotała niewyraźnie:

- To wszystko, nie mogę zostać, przepraszam.
- Och nie, proszę - zaprotestowała klientka, urażona, pozostawiona sama sobie. Zastąpiła jej drogę.
- Możesz wziąć swoje pieniądze. Przepraszam - dodała Una. Pogrze-

bała w kieszeni, usiłowała pospiesznie oddzielić banknoty kobiety od pozostałych, i już widziała, co się stanie, ale nie mogła nic poradzić: palce się jej trzęsły, pieniądze upadły na ziemię. Parę banknotów z furkotem odfrunęło, gdy chwyciła główny zwitek, i pewnie by je porzuciła, gdyby kobieta instynktownie nie pochyliła się po nie, tak że Una nie mogła odejść, nie potknąwszy się o nią. I ktoś inny - znowu oberżysta - natychmiast się pojawił, pozbierał rozrzucone pieniądze, powiedział coś miłego. Zanim Una zdążyła się odwrócić, kobieta już się wyprostowała i wpychając jej pieniądze w dłoń, chwyciła ją błagalnie. Una poczuła, że za chwilę zacznie krzyczeć.

- Nie, nie chcę pieniędzy. Miałaś mi powiedzieć, co mam zrobić - odezwała się kobieta proszącym tonem. Oberżysta wziął Unę za nadgarstek, by włożyć jej pieniądze w dłoń.

- Powinnaś... no, nie wiem. Przestać tak bardzo zabiegać o sympatię Lawinii. Módl się do Junony. Musisz sama podjąć decyzję. Nic więcej nie widzę, przepraszam.

Rozczarowana kobieta w końcu ją zostawiła, ale coś jeszcze było nie tak. Una poczuła, że coś wślizguje się w jej rękawy, za kołnierz, pod skraj sukienki...

Właściciel austerii nie puścił jej nadgarstka.

- Trochę się zgrzałaś, co? - powiedział. - Lepiej wydaj część tych pieniędzy na sok pomarańczowy lub coś innego.

Już wtedy, gdy upuściła pieniądze, wiedziała, co się wydarzy, i nie miała pojęcia, jak temu zapobiec.

Nie był od niej wyższy, miał rzadkie, rozwichrzone włosy i nieustannie wpatrywał się życzliwie w jej oczy, choć myślał ojej zasłoniętych piersiach. A jednak nie tylko badawczo jej się przyglądał, myśląc o seksie, było niemal tak, jakby położył ją na wadze, jakby mierzył jej talię taśmą mierniczą. Czasami na londyńskich targach bywała w takich sytuacjach.

- Chciałabym - powiedziała z dziwną wesołością - ale muszę pędzić.

Z desperacją pomyślała, że jeśli ukryje to, co wie, jeśli nie okaże strachu, zostawi go w niepewności, może to wystarczy.

Udało się jej cofnąć rękę, łagodnie i z uśmiechem, tak że nie miał powodu, by ją zatrzymać, ale natychmiast położył jej ze współczuciem dłoń na ramieniu.

- Słuchaj, dla ciebie będzie za darmo. Należę ci do plastikowego kub-

ka i wypijesz sobie po drodze. Twojemu panu to nie będzie przeszkadzało, prawda? A w ogóle to gdzie on jest?

Wiedziała, że lepiej byłoby przyznać, że jest niewolnicą, przekonać go, że naprawdę gdzieś czeka na nią właściciel, ale jak miałyby wytłumaczyć się z tych pieniędzy, które zarabiała samotnie, bez nadzoru, no i w taki sposób.

- Co? - niemal pisnęła, choć usiłowała się zdobyć na ton rozbawiony i zarazem urażony. - Chyba mój tato.

- Twój tato? - powtórzył od niechcenia nieco ciszej.

I zrozumiała, że już zyskał pewność i żadne jej argumenty go nie przekonają, i jedynym wyjściem pozostaje ucieczka.

Jego ciepła ręka była gotowa zacisnąć się na lewym ramieniu Uny, druga ręka czekała w pogotowiu, gdyby zechciała minąć go z prawej strony.

- Tak, mój tato - powiedziała cicho i niespodziewanie odskoczyła, tak że musiał wyciągnąć po nią ręce. Jego palce zacisnęły się zbyt późno, w próżni.

Z piersi wyrwał się jej szloch; mężczyzna zachwiał się, na chwilę stracił równowagę. Ale za sobą miała tylko ścianę, pozwoliła się zapędzić w pułapkę jak owca. Tak, pułapka już się zatrzasnęła, nie mogłaby uciec z forum, nie wymijając go. Zanim zdołał odzyskać równowagę, przemknęła w bok, ale nie było miejsca, wbiła się między stoły, tak że niemal upadła na siedzenie białego plastikowego fotelika; inne śmignęły z chrobotem po betonie. Krzyknęła z furją. Poderwała się i usiłowała się przepchnąć pomiędzy szurającymi meblami. Jakiś smukły, ciemnowłosy młodzieniec, może dziesiętnastoletni, siedział pod ścianą austerii i niepewnie się jej przyglądał, trochę wstrząśnięty, trochę zażenowany. Rzuciła z rozpaczą:

- Dlaczego mi nie pomożesz?

Za jej plecami rozległo się stęknienie właściciela:

- Wszystko w porządku, Tucjuszu.

Trochę się zasapał, lecz nadal był dobrotliwy i rozsądny. I oczywiście już znikła jej niewielka przewaga, z miażdżącą siłą zacisnął dłoń na ramieniu Uny, chwycił ją za drugą rękę, którą młóciła wokół, poderwał dziewczynę z porozrzucanych mebli i przytulił do swego masywnego ciała. Una rzucała jakieś niezrozumiałe: „Zabiję!”, celowała kolanem w kroczce, ale trafiła tylko w jego udo, a on podniósł ją i oderwał od ziemi. Ręce

miała przyciśnięte do jego piersi, ciało napięte. Dlaczego, dlaczego, myślała z furją, muszę być taka lekka i krucha? Nie mogła mu zrobić krzywdy. Wolałaby, żeby z każdego stawu wystawał jej nóż, żeby jej ścięgna były z drutu kolczastego, żeby kręgosłup jeżył się szeregiem gwoździ, tak by przyciskając ją, zranił się lub nawet zabił.

Tucjusz skinął głową z zażenowaniem i odszedł.

Właściciel szepnął jej obłeśnie wprost w ucho:

- Wiesz, widzujemy tu wielu zbiegów, nie wiem dlaczego. Człowiek uczy się ich rozpoznawać.

- Nie jestem niewolnicą - usiłowała krzyknąć zduszonym głosem. Wierzgnęła w tył, uderzając go w kolana, zadanie mu bólu, choćby tak nieznacznego, sprawiło jej taką rozkosz, że prawie nie zwróciła uwagi, iż zrobił to, do czego była dość przyzwyczajona - wykręcił jej rękę.

- Ależ ślicznotko - powiedział z żalem. - Gdyby ktoś usłyszał, że to mówisz, mogliby cię nawet skazać na śmierć, a to by było marnotrawstwo.

Wewnątrz austeria była utrzymana w tandetnym morskim stylu, pomalowana na biało i błękitno. Gdzieś grała muzyka, jakiś sopran zawodził dziecinnie na tle kłaskających fletów - pieśń miłosna. Kierowca tramwaju niemrawo trącał stół do harpastum, jakby chciał zacząć grę. Drugi, przy barze, pił wino z matowej szklaneczki, a obsługiwała go kobieta o natapirowanych włosach, ufarbowanych na dziwny fiolet z pomarańczowymi pasemkami, pewnie w zamierzeniu kasztanowymi. Spojrzeli na Unę - miotającą się, klnącą, krzyczącą w ramionach właściciela - z czymś w rodzaju obojętnego zainteresowania. Mężczyźni byli gotowi pomóc przy krępowaniu Uny taśmą montażową i przenoszeniu jej na zaplecze, jeśli by zaszła taka konieczność. Już widywali takie rzeczy.

Mimo tego, co powiedział Unie, Sulien bał się wejść do pustego sklepu. Jednak przełamał się i zaczął oglądać impregnowane kurtki, powtarzając w myślach, że potrafi to zrobić, nie musi z takim wysiłkiem starać się normalnie wyglądać, w przeciwieństwie do Uny. Wbiła mu do głowy jakąś opowieść o braciach i wakacjach, czym jeszcze bardziej go zdenerwowała, ale wkrótce się przekonał, że nie ma się o co martwić - o ile sklepikarz nie spojrzy mu w twarz i nie wezwie strażników. W sklepie zastał tylko znudzoną młodą kobietę, która początkowo zupełnie go zignorowała.

W pomieszczeniu panowała senna atmosfera. Światła były przyćmione, ubrania na ścianach miały kolor ziemi i drewna, a czasami najwyżej zgaszonego szarawego błękitu. Sulien pomyślał, że są nieco przygnębiające, tym bardziej gdy się zorientował, jak dużo kosztują. Przez chwilę pracowicie wybierał najtańsze, a potem się poddał zniechęcony i podszedł do półek z solidnymi brązowymi i żółtymi butami. Zaczął je podnosić i oglądać. Nie spodziewał się, że tak trudno jest wygospodarować pieniądze na wszystko.

Sprzedawczyni, wyrwana z letargu, gdyż często musiała podawać mu ceny, zrozumiała, że trzeba będzie sprzedać temu chłopcu wiele rzeczy, westchnęła więc głęboko, przyczłapała i spojrzała obojętnie na wybrane buty.

- Te nie są za dobre.

Sulien przyjrzał im się, trochę zdziwiony.

- Chyba nie są takie złe - powiedział. - Do czego służą?

- Są na porę, kiedy nie pada. Nie wiem, do czego służą. Ale chłoną wodę jak gąbka. Chcesz butów, wybierz te. - Poklepała parę, która okazała się droższa o piętnaście sestercji. Była bardzo pewna siebie; Sulien zastanowił się przelotnie, czy nie powinien zaczekać, aż Una zarobi więcej pieniędzy, ale bał się zwlekać i pamiętał, że nawet te tanie miejskie buty, które kupił w Tolosie, nie były aż tak beznadziejne.

Dziwnie mu się rozmawiało z tą sprzedawczynią; uświadomił sobie, ile czasu minęło, odkąd zamienił słowo z kimś poza Uną i Markiem. Nie do wiary. Zaczął się zastanawiać, jacy ludzie ukrywają się w Holzarcie, i usiłując ich sobie wyobrazić, przekonał się, że nie potrafi nawet zacząć, wcale tego nie widzi. Nagle się zniechęcił. Nie tak chcę żyć, pomyślał.

Kiedy postanowił nie wierzyć ekspedientce, spojrzała na niego z autentyczną urazą, a on zaczął podejrzewać, że skłamała, mówiąc, że tego rodzaju butów nie ma w rozmiarze Uny. Z początku wydawało się nawet, że w całym sklepie nie ma nic tak małego. W końcu dziewczyna wróciła z zaplecza w glorii zwycięzcy. Niosła buty bardzo frymuśne, dwa razy droższe od tych, które chciał kupić.

Przez dwadzieścia minut dreptał w rozterce po mieście, wypatrując drugiego sklepu, którego najwyraźniej nie było. Wrócił zdesperowany, stoczył z ekspedientką walkę o cenę butów dla Uny i zanudził się, usiłując zdecydować, na co wydać resztę pieniędzy. W końcu dziewczyna za-

pakowała wszystko w gruby papier, a Sulien znowu stanął na stromej uliczce, mając już po uszy tego szarego miasteczka. Zrobiło się później, niż podejrzewał. Przez chwilę zastanawiał się, czym Marek wypełnił sobie ten czas.

Przynajmniej nie było daleko. Dźwiganie tych paczek jakoś go zeno- wało; nie były ciężkie, ale irytująco nieporęczne i nieustannie musiał sta- wać i przekładać je z ręki do ręki. Początkowo nie zobaczył Uny na forum i pomyślał, że musiała pójść do Marka. Potem szuranie i stukanie plasti- kowych mebli zwróciło jego uwagę na austerię z złotym frontem, gdzie jakiś mężczyzna szedł do drzwi z czymś w ramionach, z kimś, z dziew- czyną, którą niósł wbrew jej woli...

Oczywiście zorientował się, że to Una, choć mężczyzna całkiem za- słaniał ją swoim ciałem i przez chwilę Sulien zobaczył tylko to, co musieli widzieć inni obecni na forum: właściciela karzącego niewolnicę.

Rzucił paczki i puścił się pędem. Przez chwilę był bardziej obrażony niż przestraszony, bo nie spodziewał się, żeby walka z tym obcym spra- wiła mu wiele kłopotu. Te nieliczne bójki, w które czasami się wdawał, miały miejsce na ulicy Catavignusa i w parku, nigdy nie trwały długo i nie bywały wyjątkowo agresywne, a on i tak ich nie lubił, ale wystarczyły, żeby zaufał swemu ciału. Już dostrzegł, że tamten jest niższy, starszy i niezbyt krzepki. Spodziewał się, że zdoła go przestraszyć, że obojdzie się bez prawdziwej walki. Ale właściciel zawlókł Unę do wnętrza, zanim Su- lien zdążył dobiec do rozklekotanych drzwi. Przyszło mu do głowy, że je- śli tamten chce sprzedać Unę, jeśli już tak robił, to może mieć nóż albo inną broń.

Wewnątrz przez tęskną pieśń przebijał się straszny, słaby, ochryply wrzask, który wcale nie przypominał głosu Uny, nawet nie brzmiał jak zrozumiały język, choć wydawało się, że powtarza bełkotliwie: „Zabiję, zabiję”. Una leżała przygnieciona do szklanego stołu do harpastum, a jej twarz także wyglądała jak nie jej - zaczerwieniona, o szalonych, nieru- chomych oczach, napiętych wargach, wyszczerzonych zębach, spomiędzy których wyrywał się na świat ten okropny głos. Ale kiedy Sulien pod- biegł, Una zachłysłnęła się, umilkła, a jej twarz wygładziła się na tyle, że zaczęła odrobinę przypominać oblicze jego siostry.

Nie widział żadnej broni, ale zobaczył taśmę, którą właściciel i kobie- ta o fioletowych włosach owijali nadgarstki Uny, a także że w pomiesz-

czeniu jest wiele osób. Mimo to nikt się go nie spodziewał i przez chwilę dwaj motorniczowie tramwajów zaniepokoiili się na tyle, że wstali, kiedy Sulien ich minął. Jeden nawet powiedział: „A ty co sobie myślisz?“, gdy Sulien chwycił właściciela za ramiona i oderwał go od Uny. Siostra zsunęła się ze stołu, wyszarpnęła oplatane taśmą nadgarstki z dłoni fioletowowłosej i stanęła. Sulien odwrócił ku sobie właściciela i dzielił go pięścią, tak że tamten wpadł na niebieską ścianę.

Ale dwaj motorniczowie odciągnęli go i kiedy Sulien walczył, by oswobodzić ręce, właściciel wstał trochę chwiejnie i pospieszył na pomoc żonie, która wlekła Unę ku lśniącej niebieskiej drzwiom na zapleczu, a gdy ją wrzucili do środka i zamknęli, Una znowu krzyknęła żałośnie i z furją. Zaczęła kopać w drzwi i rzucać się na nie całym ciałem.

Sulien walczył, ale kiedy drzwi za jego siostrą się zamknęły, bójka stała się mniej zażarta, a ciosy padające z obu stron osłabły. Masywniejszy z dwóch motorniczych, ten, który był aktywniejszy w starciu, uderzył go w twarz i zaskoczony Sulien przekonał się, że starczyło mu sił i czasu na zablokowanie ciosu. Zdziwił się, bo zaczął słabnąć i jego ruchy straciły szybkość. Ale kiedy odepchnął pięść, nasunęło mu się pytanie: Co ja sobie myślałem? Czy naprawdę się spodziewałem, że obezwładnię tych trzech mężczyzn, zdołam przemaszerować przez całe pomieszczenie, wyjmę klucz z kieszeni właściciela, otworzę drzwi, uwolnię Unę i nie doznam przy tym uszczerbku? A była jeszcze ta kobieta, schowała się co prawda za barem, ale wydawało mu się, że szuka tam czegoś, może jakiegoś cięższego przedmiotu, który jej wpadnie w rękę, a może broni. Na samą myśl o tym się wzdrygnął.

Słyszał odgłosy walki i rozmowę wypełnioną syczącymi dźwiękami i nienawiścią. Wkrótce właściciel zyskał swobodę ruchów i mógł już do nich dołączyć. Sulien, nie wiedząc dlaczego, rzucił się na jego spotkanie, a wówczas niższy motorniczy, który bezskutecznie starał się wykręcić mu ręce, podstawił mu nogę i jednocześnie pchnął w plecy. Sulien jak w zwolnionym tempie ujrzał zbliżającą się ostrą krawędź szklanego blatu i zaczął sobie wyobrażać, że rozmawia z Catavignusem o obrażeniach, jakie spowoduje zderzenie z nią. Zainteresował go kąt padania i prędkość, toteż spytał z pełnym współczuciem profesjonalnym zainteresowaniem: „Czy to doprowadzi do pęknięcia czaszki?“ i wtedy nastąpiło zderzenie.

Ale wszystko było w porządku, tylko czas zaczął płynąć inaczej. W

powietrzu rozpierchły się świetliki, naprawdę urocze stworzonka. Sulien odkrył w rozleniwieniu, że spoczywa wygodnie na chłodnej podłodze, choć nie pamiętał, żeby upadł, po prostu nagle się tam znalazł. Zamknął jedno oko - grube wahadło krwi uderzyło w nie z dygotem - drugim spojrzał spokojnie na odrapane stołowe nogi. Pewnie by znowu zasnął, gdyby go zostawili w spokoju, ale strasznie dużo się wokół niego działo, krępowali mu przeguby taśmą. Wcale się tym nie przejął i nie zamierzał zareagować. Przez mgłę bólu, któremu towarzyszyło rozleniwienie i ciepło, pomyślał, że może tak będzie najlepiej. Umieszczą go razem z Uną. A potem jakoś ucieknie z siostrą; jeśli tylko się naradzą, coś wymyślą, więc tak czy inaczej musi być dobrze.

Później usłyszał to, co nieustannie rozbrzmiewało: ten łomot o drewno, ten głos. I w mgiełce zaczęło się przecierać czyste miejsce, najpierw nie większe niż pieniążek, ale dzięki niemu usłyszał wewnętrzny ponaglający go głos: wstawaj, rusz się, idioto. Prawdopodobnie ten sam głos krzyknął z rozpaczą: Sulien.

Usiłował podnieść głowę i wtedy świetliki wróciły z rykiem, a kula bólu w czaszce eksplodowała i zawirowała, wywołując mdłości; przez chwilę to czyste miejsce we mgle znowu się zmąciło. Głowa opadła mu z powrotem i minęła chwila, zanim wszystko sobie poukładał.

Zwykle podniósłby rękę do bolącego miejsca - bolało bardziej, kiedy nie mógł dotknąć - i poczuł, że zgina się w pół, jakby zepsute szczytce usiłowały się same naprawić. Jednak leżąc bezwolnie, spróbował dojść, co się stało z jego głową, odnalazł w niej ból i zamglenie i powiedział im z trudem: przestańcie, wyjdźcie, odejdźcie.

Po chwili zerwał taśmę klejącą i chwiejnie dźwignął się z ziemi. Jakby wielkim, niezdarnym skokiem przesadzał wysoką ścianę. Przez moment byli tak zaskoczeni, że go nie powstrzymywali. Gapili się na niego w komicznym szoku; wstał i zamachnął się, spojrzał na zaryglowane drzwi za ich plecami. A potem cofnął się i uciekł, wybiegł na forum, ciągnąc za sobą z furkotem długi warkocz czarnej taśmy przyczepionej do nadgarstka.

Dobiegł aż do mostu i tu musiał się zatrzymać, tak go zemdliło. Pochylił się nad niskim murkiem, przytrzymał się go kurczowo; w głowie mu tętniło i wirowało. Nie pamiętał, żeby otrzymał cios w żołądek, ale zrozumiał, że zaraz zwymiotuje. No oczywiście, pomyślał niecierpliwie. To całkiem normalne. Wstrząśnienie mózgu. Ostrożnie podniósł ręce do

głowy, wypuścił drżący oddech i jeszcze raz spróbował opleść myślą kości, a także wnikać w nie, przynajmniej tak to odbierał, aż dotarł do obolałego mózgu, gdzie szukał opuchniętych włókien, by je uleczyć.

Krew nadal spływała mu obficie po twarzy. Wytarł ją, na ile mógł, krzywiąc się, i bezmyślnie przesunął rękami po ubraniu. Odnalazł wilgotną ranę i ścisnął ją. No i już po wszystkim, teraz ból był nie większy niż przy zwykłej migrenie.

Chyba nikt za nim nie biegł. Aż do tej chwili o tym nie pomyślał. Pewnie im się nie chciało. Zerwał taśmę i wyrzucił.

Już teraz, kuśtykając po asfalcie, zaczął cicho jęczeć. Nie, nie, skąd, sprzeciwiał się oskarżeniu, że ją porzucił, że jest żaloszny, że jest zdrajcą. Teraz, gdy ból ustąpił, oskarżenia powróciły wielką falą, podwojone, zwielokrotnione. Od początku miał rację, należało zostać tam, gdzie był. Nie pamiętał, czy naprawdę wykrzyczała jego imię, czy nie, i miał nadzieję, że to sobie tylko wyobraził, bo chyba właśnie dlatego uciekł zamiast jej pomóc. Obejrzał się i na dalwizorze nad austerią ujrzał szeregi żołnierzy. Oddalił się zaledwie trochę. Una znajdowała się jakieś dwieście kroków stąd, ukryta za dwoma cienkimi ścianami. Nic jej nie będzie, bo po nią wróci, ale ona tego jeszcze nie wie, myśli, że z nią już koniec. A jeśli zrobią to, co według niego zamierzają, jeśli któryś z tych mężczyzn przemyci ją do Hispanii czy innego kraju... nie mógł znieść tej myśli, chociaż siłą woli próbował ją odegnać.

Tak naprawdę wiedział wszystko od pierwszej chwili, kiedy spojrzał na tę upiorną, nawiedzoną twarz Uny. Zastanawianie się, co ją spotka, było niemal bezsensowne. Już to widział. Będzie się buntowała, aż ktoś ją zabije lub sama skoczy z dachu. Chciał myśleć, że nie zna jej tak dobrze, żeby wiedzieć to na pewno, ale czy tego pierwszego dnia w pociągu prawie mu tego nie powiedziała?

Nie, zaraz, do tego nie dojdzie, on ich powstrzyma. Na pewno istnieje jakiś sposób i tylko musi go odkryć.

Przelatywało mu przez głowę, że trzeba będzie tych, co ją uwięzili, jakoś pozabijać, ale nie potrafił nic zaplanować. Płakał ze zgrozy i poczucia winy. Myślał o tym, jak wrzucili ją za te niebieskie drzwi, i powiedział głośno: „O, biedactwo”. Na sam dźwięk tych słów zrobiło mu się jeszcze gorzej. Brudne podłużne ślady kleju na nadgarstkach, lekkie pieczenie tam, gdzie taśma zerwała włosy, przywiodły mu na myśl krzyż i wszyst-

ko, co Una zrobiła. Łkał, nienawidził i nękał sam siebie, aż w końcu postanowił trochę odpocząć.

Gdyby było nas dwóch, pomyślał niepewnie o synu Leona. Ale Marek nie musiał się przejmować Uną, nie zechce ryzykować, że i jego wezmą za niewolnika lub rozpoznają. Nawet gdyby Sulien był go pewien, a nie był, i tak tamci mają przewagę liczebną, a sądząc po wypadkach w Tolosie, Marek jest gorszy w bójce od niego. I od tej chwili Sulien całkiem zapomniiał o jego istnieniu.

Co jeszcze? Austeria może mieć tylne drzwi, czy mógłby je wyważyć? Nie, ale może wyłamać zamek. Tylko czym? Jak?

Nieustannie powracała drażniąca myśl, że ludzi w austerii powinien pokonać siłą, stratować, pozabijać. Tak jakby bez ustanku przetrząsał jedno miejsce w poszukiwaniu zgubionej rzeczy. Zresztą myśl była głupia, nie miał broni, nie mógłby nikogo zabić, a już na pewno nie cztery osoby.

Nie miał broni, ale gdyby miał, wróciłby i zagroził... nie, nie zagroził, był naprawdę zdecydowany, pozabijałby wszystkich, gdyby zaszła potrzeba... przecież w jednej torbie miał nóż, Una kupiła go na autostradzie, kroili nim chleb. Nie bardzo ostry, ale gdyby się przyłożył, gdyby pchnął mocno, toby się nadał.

Nigdy nie myślał o tym, jak jako dziesięcioletek przycisnął kuchenny nóż do własnego ciała, jak wyciągnął ból z poparzonego ramienia Rufiusa. Ale poczuł się tak, jakby znalazł zimną nitkę biegnącą przez samo serce, scalającą go jak szew łączący brzegi rany; i choć zabójstwo sprzeciwiało się jego naturze, zrozumiał, że jest do tego zdolny, że pewnie zrobiłby to całkiem spokojnie, gdyby musiał. Wiedział też jednak, że potem nigdy nie doszedłby do siebie, choćby taki postępek był usprawiedliwiony i konieczny. Cokolwiek myśleliby inni, on nie mógłby sobie wybaczyć.

I co z tego.

Ruszył w stronę małej dróżki, ale po paru krokach znowu zawrócił, nie dlatego że zmienił zdanie, ale dlatego że bał się oddalić od mostka. Pod jego nieobecność mogliby gdzieś przenieść Unę. Jeszcze parę razy oddalał się i zawracał, jakby chodził po klatce, zanim wreszcie zmusił się do odejścia.

Za drzwiami znajdowały się zimne schody, niemal całkiem zastawione piramidami plastikowych fotelików. Una, zgrzytając zębami, zdyszana, kopła jedną stertę tak długo, aż ją przewróciła, odwróciła się i rzuciła całym ciałem na drzwi, bezskutecznie jak fala, i robiła to raz za razem - nie po to, by się wyzwolić, ale ponieważ to było coś, w co mogła uderzyć.

Kiedy Sulien wpadł do austerii, poczuła jakby dreszcz nadziei, ale tamci rzucili się na niego i zrozumiała, że za chwilę brat może podzielić jej los. A kiedy wrzucili ją pomiędzy krzesła, nie umiała opanować pragnienia, by tak się stało, by ich nie rozdzielano, nie po tych pięciu tygodniach, nie po tych siedmiu latach.

Potem odgłosy walki nagle ucichły. Coś stało się z Sulienem, jakby znikł. Na wściekły żar dmuchnęło zimnem. Sulien, szepnęła i zamknęła oczy, by na niego spojrzeć. Tylko na nim jednym na całym świecie potrafiła się skupić. Zrobili mu krzywdę, był prawie nieprzytomny. Znowu dygotała i wymamrotała bezbarwnie: „Wstawaj, Sulien, rusz się”. Ponownie kopnęła gwałtownie w drewno, jęknęła i nie słyszała swojego jęku. Wstawaj!

Kiedy uciekł, prawie zapomniała, że tu w ogóle był. Wkrótce zaczęła bez tchu kręcić się i wpadać na porozrzucane krzesła. Myślała z morderczą radością, że jeśli połamię sobie kości, będzie mniej warta i wszyscy się rozczarują.

Od czasu do czasu spowalniała oddech na tyle, by pomyśleć: Już to robiłam, już umiem, kiedy ktoś mnie kupi, będę miła i dobra, aż mi zaufa, a wtedy ucieknę, potrafię. Ale potem krzyczała do siebie, że nawet jeśli tak będzie, to zaginie gdzieś w Hiszpanii czy Afryce, bez pieniędzy, bez szansy na powtórne odnalezienie Suliena. W każdym razie - jej ciało płonęło z wściekłości, a serce zgrzytało i dygotało tak bardzo, jakby miało eksplodować niczym zapalnik - wiedziała, że drugi raz nie zdoła tak planować, czaić się i czekać. Z trudem wierzyła, że raz się to udało.

Bała się siebie. Nie mogła się już zatrzymać, nigdy. Usiłowała myśleć o bieli, ale się nie udało, nie potrafiła zobaczyć nawet pierwszej iskierki, nie mogła oddychać.

Marek parę razy przeszedł dróżką tam i z powrotem. Żałował, że nie ma czegoś do czytania. Nadal uważał, że to nie niewolnicy oddalili się na

tak długi czas, tylko że on zaczął wariować z braku zajęcia. Usiadł na ławce, zakołysał się i nagle przypomniał sobie, że czasem rankami, przed zaśnięciem, widywał Unę z jakąś książką. Szkoda, że wcześniej mu się to nie przypomniało - a jednak zawahał się, czy powinien jej szukać. Nie mógł spytać Uny o pozwolenie, nie miał prawa szperać w jej rzeczach. Jednak podróżowali razem od tygodnia, ich dobytek i tak się wymieszał, a on dziesiątki razy widywał już zawartość jej wybebeszonej torby. Dlatego rozpiął ostrożnie suwak i z ulgą dostrzegł książkę, wciśniętą na wierzchu, z boku. Wyjął ją i natychmiast wypadł z niej skrawek papieru. Pochylił się, żeby go podnieść, szczerze zamierzając nie czytać, ponieważ wyglądał na list. Ale po paru słowach, które rzuciły mu się w oczy, zrozumiał, że to nie list, bo je rozpoznał:

Ojczyzno! Ilium święte!

Z jakiegoś powodu przepisywała książkę. Odwrócił zgnieciony karteluszek i odczytał:

O, młodzieńcy, waleczne daremno
Serca, gdyście w bój srogi gotowi biec ze mną
Niezlomnie - jaki rzeczy stan, widzicie sami:
Ze świątyń i ołtarzy, świecących pustkami Uszły bóstwa,
przez które stał tron nasz i sejmy,
Gród w ogniu! Umierajmy i runąć w bój śmiejmy!
Pobitym ufność jedna: nie żywić nadziei!...

To gniew młodzi w szal zmienia.

Był to jeden z fragmentów, których musiał się nauczyć na pamięć. Nie wiedział, czego się spodziewał - ale na pewno nie tego. Zdał sobie sprawę, że to jakaś lekcja. Wpatrywał się w kartkę trochę wzruszony i pełen podziwu, w te wszystkie archaiczne słowa i niekończące się nazwy miast i imiona bohaterów. Wergiliusz był podobno najlepszy, trzeba było znać jego twórczość, jeśli ktoś chciał w ogóle coś wiedzieć. W szkole wałkowali go godzinami. Zabawnie teraz czytać te strofy, siedząc przy dziecięcym pulpicie.

Przyszło mu do głowy, że rozpoznałby w tym skrawku papieru własność Uny, nawet gdyby nie widział tej książki w jej ręce. Te staranne li-

tery tłoczyły się na papierze w karnych rzędach, ale były okrągłe i dzieciinne, a każde niewłaściwie napisane słowo otaczała zgrabnym kwadratem i zapełniała zaciekłymi krechami, zupełnie zamazując. Na marginesach rysowała różne rzeczy, czasami jakby powiększone litery drukowane w książce, nie wiadomo - dla wprawy czy dla zabawy: L, U, nakreślone starannymi liniami, pyszniące się obsesyjnie bezbłędnymi ogonkami; a nawet ptaki, drzewa i twarze.-

Przez jakiś czas siedział, odczytując znajome słowa, ale zrobiło się ciemno i w gęstniejącym mroku coraz bardziej musiał wyteżać wzrok, żeby dostrzec litery. Odłożył kartkę na miejsce i schował książkę, zastanawiając się, czy Una się zorientuje, że ją przeglądał, i czy znowu się wścieknie. Miał nadzieję, że nie, bo chciał ją spytać, co sądzi o książce i czy dobrze odgadł. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak to jest czytać ją po raz pierwszy.

Miał nadzieję, że Una i Sulien wrócą.

Wstał i znowu ruszył dróżką, ale zamiast zatrzymać się na jej skraju, jak poprzednio, zaczął iść dalej w stronę Wilczego Kroku. Zrozumiał, co robi, i zawahał się, ale tylko chwilę. Zapadał już zmierzch. Marek kapeluszał miał naciągnięty na oczy i trudno mu było uwierzyć, żeby w takiej cichej mieścinie mogło się kryć jakieś niebezpieczeństwo. A jednak chociaż tak uważał, im dłużej szedł, tym bardziej narastało w nim dziwne rozgorączkowanie, coraz ważniejsze wydawało mu się ich odnalezienie.

Zauważył Suliena, który samotnie oddalał się od miasta.

- Hej! - zawołał Marek. - Gdzie Una?

I dopiero teraz ujrzał pokrytą plamami, lśniąca twarz Suliena, na której malowała się groza.

Sulien mimochodem dostrzegł, że Marek lekko pobladł na widok krwi. Najwyraźniej wyglądał okropnie, pomyślał. Gdzieś w głębi serca poczuł idiotyczne zadowolenie.

- Witaj - powiedział.

Marek zająknął się z zaniepokojenia.

- Co ci się stało? Źle to wygląda. Może usiądź albo... albo...

- Wszystko dobrze - rzucił Sulien z roztargnieniem, lecz spokojnie, gdyż wciąż jeszcze powstrzymywał ogarniającą go histerię. - Możesz coś dla mnie zrobić?

- Ale ta krew... - zaczął Marek.

- To nic takiego - rzucił Sulien niecierpliwie. - W głowie jest mnóstwo naczyń krwionośnych. Miałem być lekarzem. Nieważne, wyleczyłem to. - Zbity z tropu Marek przekonał się, że istotnie pomimo tej krwi rana wyglądała na starszą. To wyznanie o chęci zostania medykiem też nim wstrząsnęło, ale Sulien nie przestawał mówić.

- Możesz stanąć pod austerią i obserwować, czy nie zabierają Uny?

Marek nie zrozumiał, ale roztargnione, gorączkowe spojrzenie Suliena

bardziej niż krew na jego twarzy świadczyły, że sytuacja wygląda źle. Takie samo spojrzenie miał Wariusz po śmierci Gemelli. Pomyślał, że Una wpadła w ręce wigilów, ale w takim wypadku nie rozumiał, dlaczego pozostawała w austerii.

- Co się stało? - spytał cicho. - Dlaczego ona tam jest?

- To chyba przemytnicy albo... handlarze czarnorynkowi... - wymamrotał Sulien niejasno, znowu ogarnęła go fala wstydu i paniki. - Są w to wmieszani niektórzy motorniczowie tramwajów. Pewnie odgadli, że jest niewolnicą, więc ją złapali. Muszę tam wrócić.

- Nie można tak porywać ludzi wprost z ulicy w biały dzień! - powiedział Marek w odruchu patrycjuszowskiego oburzenia, choć słyszał, jak to idiotycznie brzmi.

- Może tam pójdziesz i im to powiesz? - krzyknął Sulien z nagłą furią. Łzy stanęły mu w oczach. Marek ucichł. Sulien dodał mniej gwałtownie: - Owszem, można. Można, jeśli wiesz, że to nikogo nie obchodzi albo że nikt ci nic nie zrobi. A ja przecież nie wezwę wigilów.

Na chwilę zapadła cisza.

- W takim razie co poczniesz? - spytał Marek.

Stał nieruchomo, pochmurny, nie patrząc na Suliena, który zorientował się, że Marek jest po prostu oburzony panującym bezprawiem, może także trochę przejęty losem Uny. Sulien bał się zdradzić, co zamierza. Gdyby wypowiedział te słowa, zabrzmiałyby zbyt idiotycznie lub strasznie, by mógł je wprowadzić w czyn.

- Nieważne - rzucił krótko, ominął Marka, ruszył przed siebie i ze zdumieniem usłyszał niespodziewanie twardy głos Marka:

- Nie, Sulien. Co zamierzasz?

I posłusznie się zatrzymał. Zawahał się, otworzył usta.

- Idę po nóż - oznajmił. - A potem się zobaczy.

Marek nie odpowiedział; władczość jego głosu znikła, stał beczynnie, patrząc w pustkę. Sulien nie wiedział, dlaczego sam też stoi w bezruchu. Tym razem Marek spytał:

- Kupiłeś ubranie?

Sulienowi na chwilę odebrało mowę. Potem powtórzył niedowierzająco:

- Ubranie?

Pewnie by uderzył Marka, ale kiedy na niego spojrział, ogarnęło go zbyt wielkie obrzydzenie. Pchnął go tylko i rzucił z pogardą, jakiej jeszcze nie czuł do nikogo na świecie:

- Zostawiłem je na forum. Nie wiem, czy nadal tam leży. Idź i sprawdź, skoro ci zależy.

- Nie - powiedział Marek. - Ty to musisz zrobić. Jeśli sądzisz, że cię przy tym nie złapią.

I znowu Sulien zacisnął pięści, ale Marek nie wyglądał już ani bezmyślnie, ani strachliwie, a to roztargnione spojrzenie też znikło. Był skupiony, zdecydowany.

- Po co? - spytał Sulien ochryple.

A Marek odparł:

- Nie uda się, jeśli wejdę tam w takim stroju.

Sulien zamrugął z niedowierzaniem; kiedy się odezwał, w jego głosie kpina walczyła ze słabą, ulotną nadzieją.

- Dlaczego chcesz tam iść? Myślisz, że coś zdasz?

- Bo chcę powiedzieć im, że nie mogą tak postępować - oznajmił Marek.

Poza tym, że nowe ubrania były czyste i miały wyraźnie zaprasowane kanty nigdy nienoszonych strojów, to na tym kończyły się ich zalety; były brzydkie i ciężkie, i choć kupili je za ostatnie sestercje, Sulien wątpił, żeby ich świeży wygląd mógł zatuszować tandetę.

- Słuchaj - powiedział do Marka. - Nie zastanowiłeś się. Nawet jeśli cię nie rozpoznają, jesteś z nami, mniej więcej w naszym wieku, a skoro razem spróbujemy ją odbić, wezmą cię za kolejnego niewolnika.

Marek przez chwilę nie odpowiadał. Był zajęty. Zajęty zdzieraniem i odklejaniem maski tej przyczajonej, zastępczej osoby, którą nauczył się być od chwili opuszczenia Rzymu. W końcu powiedział cicho:

- Nie. Nie wezmą.

Sulien westchnął ze strachu i na wszelki wypadek schował nóż do kieszeni. Potarł twarz. Krew zakrzepła w twardy strup nad brwią i przywarła skorupą do czoła i policzka, a ubranie poznaczone miał czerwonymi strugami. Przynajmniej będą się czymś różnili, pomyślał. Zgodzili się także, że Sulien poniesie torbę, a Marek pójdzie wolny od ciężarów.

Kiedy się zbliżyli do mrocznego forum, Sulien zaczął dostrzegać zmianę, jaka zaszła w Marku. Jego ramiona wyprostowały się, a głowa uniosła, i dopiero teraz Sulien zdał sobie sprawę, że Marek się nieustannie garbił i że różnica w ich wzroście jest mniejsza, niż się wydawało. Ale nie to było najważniejsze. Trzymający się prosto Marek wyglądał, jakby ta postawa nie kosztowała go najmniejszego wysiłku, jakby nie było powodu, żeby w ogóle pojawił się wysiłek.

Potem nad ich głowami zamigotał ekran i ukazał to, czego do tej pory żaden z nich nie widział; dwa jasne prostokąty, zdjęcie z pogrzebu i nową twarz Marka, nakreśloną ołówkiem.

Zatrzymali się i spojrzeli na siebie bezradnie. Trudno było znaleźć jakieś słowa. W końcu Sulien wymamrotał:

- Nie wiedziałem.

Pomyślał, że może powinien rzec Markowi: będzie dobrze, nie musisz pomagać, ale nie mógł się na to zdobyć, bo pierwsza część tego zdania była tak jawnie nieprawdziwa. Nie mógł też prosić ani błagać, żeby Marek postępował dalej tak, jakby nic się nie stało. I nie chciał też patrzeć, jak Marek podejmuje decyzję i odwraca wzrok z zażenowaniem. Sulien chciał wierzyć, że on sam, uzbrojony tylko w nóż, coś zdziała.

Marek wolałby, żeby Sulien nic nie mówił. Nie potrafił odpowiedzieć: „To niczego nie zmienia”, nie chciał przyjąć do wiadomości, że pokazują te zdjęcia, nie chciał znowu podejmować decyzji. Zdawał sobie sprawę, że musi, że właśnie to robi, ale z premedytacją starał się tego nie dostrzegać. Nie dopuszczał do siebie myśli, że to prawda, że Una nie pozwoliła mu wpaść w pułapkę na drodze, że zaczęła czytać książkę i jeszcze jej nie skończyła, i że on po prostu nie może teraz zawrócić. Oderwał oczy od ekranu i wmówił sobie, że go tam nie ma.

Sulien usłyszał jego głos:

- Przepraszam... - i pomyślał z rezygnacją: no tak. - Ale musisz tam wejść pierwszy, to ty musisz otworzyć drzwi.

Sulien z niedowierzaniem wymamrotał tylko:

- Dziękuję.

Kiedy jednak ruszył, ton Marka zaczął go niepokoić. Brzmiał lękliwie, niepewnie, nie pasował do władczej postawy.

Wejście od niechcienia przez te drzwi stało w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem. A stoliki wydały się mu przerażająco gęsto obsadzone motorniczymi i miejscowymi przystępującymi do wieczornego pijaństwa. Niektórzy spojrzeli z niesmakiem na zakrwawioną twarz Suliena. Właściciel, który - Sulien dostrzegł to z satysfakcją - miał pod okiem ciemniejący siniak, popatrzył na niego z niedowierzaniem, a jeden z tych motorniczych, którzy brali udział w walce, podniósł się z miejsca. Zaniepokojony Sulien zauważył, że nie ma drugiego, tego, co podciął mu nogi, i że nie słyhać Uny. Jeśli już odjechali, pomyślał...

Marek znowu usiłował odzyskać właściwy stan umysłu i pomyślał: Druzus, Druzus w otoczeniu niewolników, spoglądający na mnie przez całą długość stołu, żebym bez żadnych wątpliwości zrozumiał, iż nie mam racji. I choć wówczas czuł się jedynie niezdatny i sfrustrowany, wiedział, jak Druzus to robił, to było tak, jakby miał jakąś maszynę i potrafił ją uruchomić, choć nigdy jej nie używał - nie świadomie.

Sulien obejrzał się na Marka wkraczającego w blask światła elektrycznego - i ze zdumieniem ujrzał jego narastającą furie, choć ten gniew był jedynie czymś w rodzaju werniksu na czymś sięgającym głębiej, i był tam też spokój, absolutna pewność, że Marek ma prawo znaleźć się tu czy gdziekolwiek indziej. Zanim jeszcze się odezwał, powiódł niespiesznym spojrzeniem po austerii, która jakby się skurczyła, a plamy na blatach i pajęczce kłęby kurzu w kątach nagle stały się widoczne, jakby to on je tam odrzucił.

Marek zwrócił to samo zimne spojrzenie na właściciela, który stał się mniejszy i jeszcze bardziej lichy niż dotychczas, i powiedział, bardzo cicho, a jednak zupełnie wyraźnie:

- Chcę wiedzieć, co zrobiłeś z moją niewolnicą.

Właściciel niepewnie przestąpił z nogi na nogę, ale odpowiedział równie spokojnym spojrzeniem, gdyż dostrzegł młodzieńczy wiek Marka.

- A ty nie jesteś za mały, żeby mieć własnych niewolników?

Jakaś kobieta przy stoliku zachichotała nerwowo; pogarda i furia na twarzy Marka nabrały mocy.

- Nie sędzę, żeby mój wiek dawał ci jakieś prawo do mojej własności
- warknął. - A teraz proszę o zwrot.

Oberżysta podniósł ręce, zdumiony i urażony.

- Ależ ja nie rozumiem. Nie mamy nic twojego.

Marek wyraźnie stracił cierpliwość do właściciela i zwrócił się do jego śliwkowowłosej żony.

- Otwórz te drzwi - rozkazał i ku zdziwieniu Suliena zrobiła nieznaczny, energiczny ruch, by wykonać polecenie.

- Czekaj. - Właściciel stanął jej na drodze i powstrzymał ją spojrzeniem. - Moment. Co za czelność, wchodzić jak do własnego domu i pyrkować. Ja tu rządzę. Albo usiądziesz i coś zamówisz, albo wynocha.

Sulien, starając się przygotować na wszystko, postawił torbę i sięgnął po nóż, ale Marek mruknął:

- Nie musisz... jeszcze nie - głosem, który należał jednocześnie do wyniosłego arystokraty i samotnego, przestraszonego chłopca, idącego z nimi z Tolosy.

- Za kogo ty się uważasz? - ciągnął właściciel. - Kim jesteś?

I choć zaczął z wielką pewnością siebie, pod koniec zdania jego głos załamał się nerwowo. Zdezorientowany popatrywał na Marka dziwnym wzrokiem, wciąż wrogo, lecz teraz również badawczo.

Marek bał się, że właściciel za chwilę uświadomi sobie, dlaczego jego twarz wydaje mu się znajoma, ale nie chciał odpowiadać zbyt szybko. Zmusił się do zimnego spojrzenia, zmarszczył brwi, jakby znieważyło go pytanie o imię, jakby przedstawianie się było poniżej jego godności.

- Jestem Kwintus Korneliusz Larcjusz - oznajmił w końcu, pożyczając imiona od dwóch kolegów ze szkoły, synów senatorów.

Akurat, pomyślał Sulien, senator nie mógłby przejechać przez taką dziurę, żeby wszyscy o tym nie wiedzieli. Jak zamierzasz to wyjaśnić? I rzeczywiście, właściciel wytrzeszczył oczy i powiedział:

- Nie wiedziałem, że w mieście jest jakiś Korneliusz.

Ale Marek tylko wzruszył ramionami i odparł jadowicie:

- Już tu więcej nie przyjedziemy - i Sulien zrozumiał, że Marek nie musi obmyślać usprawiedliwień, bo nie będzie nic tłumaczył. - A jeśli mojej niewolnicy tu nie ma, to gdzie jest? I jak zamierzasz wyjaśnić to? - Brutalnie chwycił Suliena za brodę i szarpnięciem odwrócił, ukazując krew na jego twarzy. Głowa Suliena ponownie eksplodowała bólem, bo

Marek wykonał ten ruch z rozmachem. Suliena w zasadzie nie zaszczyił spojrzeniem. Tak by wskazywał zadrapanie na lakierze samo chodu.

Właściciel zaczął się poważnie niepokoić. Niektórzy klienci gapili się na nich bezwstydnie, ale goście jednego stolika opuścili austerię zażenowani.

- Wpadł tu jak szaleniec... - zaprotestował właściciel. - I nikt go nie bił, sam się potknął i uderzył w głowę. I patrz, co mi zrobił w oko!

- Kradłeś, a on chciał cię powstrzymać. Nie spodziewaj się współczucia. A teraz spójrz na niego, straciliśmy cały wieczór pracy jego i dziewczyny.

Samo stanie w milczeniu i udawanie posłuszeństwa czy nawet braku życia sprawiało Sulienowi wystarczająco wiele trudu. Nadal nie dowierzał, że można go tak dotykać, nie wiedział, czy Una wciąż jest za tymi niebieskimi drzwiami. Nie potrafił pohamować pełzającego po skórze dreszczu na widok arogancji Marka. Nie wiedział, dlaczego tak się czuje, skoro pojmował powody, dla których Marek to robi, i był mu za to wdzięczny. Ale oczywiście ten niewysłowny, głuchy gniew nie był skierowany przeciwko Markowi - a nawet, co go zaskoczyło, nie przeciwko temu człowiekowi, który im to zrobił. W końcu pomyślał niechętnie: bo taki mam być. Tak ludzie mają o mnie mówić. I nie tylko o mnie, nie tylko tutaj. Wszędzie.

I choć usiłował sobie przypomnieć, jak się zachowywał w kuchni Rufusa, tak naprawdę nie umiał być niewolnikiem. Nie wiedział, czy powinien się odzywać, ale nie mógł tego znieść ani chwili dłużej.

- Mam sprawdzić, czy tam jest... panie?

Marek zerknął na niego, wyraźnie zaskoczony i niezadowolony, że niewolnik do niego przemówił, ale skinął głową.

Właściciel stał jak skała przed drzwiami, ale kiedy Sulien się do niego zbliżył, drgnął niepewnie i choć się nie ruszył, najwyraźniej nie ośmielił się także powstrzymać Suliena, który odsunął go sobie z drogi. Sulien podbiegł do drzwi, zapukał i szepnął:

- Una, Una, jesteś tam jeszcze, prawda? Una?

Przez chwilę trwała straszna cisza, ale potem chrypliwy głos spytał:

- Co robisz? Co się dzieje?

Una w końcu opadła z sił i osunęła się w odrętwieniu na kamienną podłogę. Teraz podniosła się, chwyciła za klamkę i musiała się jej przy-

trzymać, żeby nie upaść. Była zbyt wyczerpana i zrozpaczona, żeby zrozumieć, co się dzieje po tamtej stronie drzwi, gdzie znajdowało się tak wielu ludzi. Nie potrafiła się w tym rozeznać.

- Proszę. To ona - oznajmił Marek.
- No cóż - wymamrotał właściciel niemrawo.

Marek zignorował go.

- A teraz natychmiast otwórz drzwi.
- Zaraz, chwila. Jeśli jest twoja, powinieneś mieć dokumenty, jakiś dowód...

- To ty powinieneś mieć dowód. Mam tego dość - oznajmił Marek cicho. - Przypuszczam, że wigilowie przez jakiś czas patrzyli na to przez palce, ale z tym koniec, mój ojciec już tego dopilnuje. - Znowu dał znak Sulienowi, jedynie najdrobniejszy, niezbędny ruch ręki. - Biegnij po nich! - rozkazał i pomyślał: Stoi między nami, bez trudu powstrzyma nas przed wyjściem. I miał nadzieję, że właściciel nie widzi, iż wstrzymał oddech.

Ale właściciel uśmiechnął się szeroko i drżąc i ustąpił.

- Ależ po co - powiedział. - Po co tak gwałtownie... panie. Ja tylko... jednak powinieneś być ostrożniejszy, nie puszczaj ich tak samopas... to przecież nieporozumienie, prawda?

I nawet poklepał czule Suliena po ramieniu, odsuwając go od drzwi. Otworzył je i odwrócił dyskretnie wzrok od Uny, która wypadła na zewnątrz. Marek pomyślał - tak jak Sulien - że Una prawie nie przypomina człowieka. Twarz miała bladą jak płótno, oczy rozszerzone i nieprzytomne, ale tylko na nią zerknął, bo natychmiast Sulien chwycił ją w ramiona i powiedział:

- Już dobrze, już dobrze.

Podczas gdy Sulien zdierał czarną taśmę, właściciel nadal bełkotał:

- Przysięgam, gdyby powiedziała, kim jesteś... ale przyszła sama... twierdziła, że wcale nie jest niewolnicą.

- Tak - rzekł Marek nieustępliwie. - To podstępna dziewczyna. Jednak to nasz problem, nie twój. A może sądziłeś, że porywasz wolną kobietę?

Właściciel uśmiechnął się z nadzieją.

- Nic się nie stało - zaryzykował.
- Okaleczyłeś mojego niewolnika, naraziłeś moją rodzinę na stratę pieniędzy i czasu - ciągnął Marek z pewnym znużeniem. Ku jego zdumie-

niu właściciel obszedł bar, lekko drżącymi rękami otworzył kasę i odliczył czterdzieści sestercji.

- Wyrazy ubolewania - powiedział słabo, przesuając banknoty po ladzie.

Marek czuł, że nie powinien tego przeciągać, ale zrobił odpowiednio długą pauzę, obejrzał pieniądze, jakby wydały mu się brudne, i w końcu wziął je w milczeniu.

- Drink... jeśli zechcesz drinka, za darmo - dodał właściciel, na oślep sięgając po butelkę.

Marek obojętnie pokręcił głową i odparł:

- Już dość czasu tu spędziłem.

Pomyślał, że to pierwsze zgodne z prawdą zdanie, które wypowiedział, odkąd przestąpił te progi.

Odwrócił się, a Una i Sulien ruszyli za nim, potykając się. Oczy wszystkich klientów były na nich skierowane. Sulien podtrzymywał Unę, ale musiał ją puścić i podnieść torbę, którą zostawił przy ladzie.

Odwrócony plecami do bywalców austerii Marek poczuł się mniej pewny siebie, bardziej narażony na cios. Słyszał, że właściciel i paru klientów podchodzą do drzwi, żeby za nim patrzeć, i zmusił się, żeby się nie oglądać. Ale na dworze zwolnił, by iść obok Uny i Suliena. Una miała wolne ręce. Marek początkowo sądził, że jest ranna, bo jakby utykała. Jednak dopiero zbliżywszy się do niej, zrozumiał, że dziewczyna trzęsie się tak, iż nie potrafi się wyprostować ani iść o własnych siłach. Sam także dygotał, wszyscy dygotali. Skończyło się. Przytrzymał ją za ramię gestem, który - miał nadzieję - obserwatorom mógł wydać się władczy i zaborczy. Zaczęła się trząść tak gwałtownie, że aż się przestraszył, ale potem, nie odwracając głowy, by na niego spojrzeć, niepewnie wyciągnęła rękę, ujęła czubki jego palców, ścisnęła. Rozluźnił chwyt, sądząc, że Una nie chce być dotykana, ale nie puściła, i odgadł, że usiłuje go pokierować w prawo, w niewłaściwą stronę, przez Wilczy Krok do przełęczy na granicy z Hiszpanią.

- Dlaczego tam? O co chodzi? - spytał półgłosem.

- Bo się dowiedzą, odgadną! Jeszcze w to nie wierzą, ale uwierzą! - wyszeptła z cichym, zduszonym łkaniem. Puściła jego dłoń i więcej się nie odezwała. Zdumiało go, że w takiej sytuacji potrafi jeszcze myśleć. Mimowolnie obejrzał się na obserwującą go bandę stojącą w drzwiach

austerii i nad nimi dostrzegł to, czego oni nadal nie widzieli - własną twarz. Natychmiast się odwrócił, zmrożony strachem. Powoli przemierzili forum i ruszyli główną ulicą.

Kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem wzroku obserwatorów, Sulien znowu rzucił torbę i przyciągnął Unę do siebie, a po chwili ona podniosła sztywno rękę i odwzajemniła uścisk. Stali razem, złączeni, nieruchomi, w kompletnym milczeniu, a Sulien wycedził przez zęby:

- Nie zrobili ci krzywdy. Nie...? - Una pokręciła głową bez słowa. Marek chciał się trochę odsunąć i zupełnie się nie spodziewał, że Sulien gwałtownie wyciągnie rękę i przytuli ich oboje tak energicznie, że Marek prawie stracił równowagę. Poczował ciało Uny, nadal rozdygotane. Wstrząśnięty, poklepał ich lekko i uświadomił sobie, że oprócz krewnych niemal wszyscy mieszkańcy Rzymu zawsze unikali dotykania go, robili to bardzo powoli, z licznymi znakami ostrzegawczymi, jakby był wyjątkowo kruchy, agresywny albo cierpiał na chorobę zakaźną.

Una odsunęła się łagodnie, odwróciła do Marka i wychrypiała: „Dziękuję” z czymś w rodzaju szorstkiej szczerości. Szybko przemierzili uliczkę, aż dotarli do następnego mostu, przeszli pod balonami jasnych domów po drugiej stronie rzeki, pod świątynką Minerwy. Musieli przekroczyć pierwszy most, po drugiej stronie forum, naprzeciwko austerii, by dostać się na drogę prowadzącą do szopy, gdzie ukryli resztę bagaży i ubrania Uny i Suliena. Jednak zrobiło się już bardzo ciemno, właściciel cofnął się do wnętrza i kto wie, może właśnie powiadamiał wigilów, że Marek Nowiusz jest w Wilczym Kroku.

Pomimo wszystkich tych zająć musieli wstąpić do sklepiku w małej wiosce na zachód od miasteczka, żeby kupić chleb i parę toreb ryżu. Tej nocy nie zajdą daleko, lecz nie mogli też czekać na rano. Po paru godzinach opuścili ścieżkę, która zaczęła się jako krusząca się jezdnia, i rzucili się na ziemię pod piniami porastającymi górę. Strome zbocze było zaskakująco miękkie, usłane poduchami mchu wyrastającego z pylistej czarnej ziemi. Po raz pierwszy od opuszczenia cmentarza spali pod gołym niebem, do tej pory zawsze udawało im się znaleźć jakieś puste gospodarstwo albo fabrykę. U stóp gór minęli wytwórnice wód źródlanych, więc przynajmniej wiedzieli, że mogą bezpiecznie pić ze strumieni, ale później na wiele mil wokół nie widzieli żadnych świateł ani nie słyszeli żadnego dźwięku na drodze.

Una i Sulien jeszcze nigdy nie zapuścili się na takie bezludzie, a Marek widział taką dżicę tylko z daleka. Przejeżdżał przez pustkowia w pobliżu Wielkiego Wąwozu w Terranowie, ale z rodzicami w karawanie, którą poprzedzali gwardziści, a zamykali służący w samochodach.

Przynajmniej mieli śpiwory i mały rondel do gotowania ryżu. Nie-wiarygodne, ale udało im się rozpalić ognisko.

- Wilczy Krok - odezwał się Sulien. - Czyli musiały tu być wilki. Ciekawe, czy nadal są?

- Nigdzie nie ma ich wiele - powiedział Marek - a na ludzi rzucają się tylko w zimie, kiedy nie mają nic do jedzenia.

- A co sądzą jesienią o ludziach, którzy uprzejmię zapakowali się w śpiwory i zasnęli?

- Nic nam się nie stanie - odparł Marek.

- Hmm - mruknął Sulien i spróbował zawyc cicho jak wilk, który jest daleko, ale powoli się zbliża. Marek parsknął śmiechem. - Czy w drodze - spytał Sulien nieporadnie - mamy cię nazywać Kwintusem Korneliuszem Tratata?

Do tej pory Marek nie zauważył, że Una i Sulien nie znaleźli dla niego imienia. Zawstydział się.

- Och, nie. Jeśli Una ma rację, to ci z austerii mogą powiedzieć wigilom, że tak się nazwałem. Una, jak się czujesz?

Po raz pierwszy od dawna Una milczała. Nie otworzyła książki. Leżała cicho na plecach, bez ruchu, z otwartymi oczami.

- Dobrze - powiedziała martwo, ale ani drgnęła.

- Musiałeś mieć jakieś imię, zanim nas spotkałeś - nalegał Sulien.

- Tak - zgodził się Marek, z napięciem, nie całkiem rozumiejąc, co chce powiedzieć. - Ale... już go nie chcę. Mam go dość. Nie nazywajcie mnie Nowiuszem ani... ani inaczej, bo te imiona są zbyt... Ale Marek jest w porządku. Wszędzie jest pełno Marków.

- Chyba że ktoś zobaczy twoją twarz - mruknęła Una. Ale przynajmniej odwróciła głowę i dodała: - Tutaj jednak nikogo nie ma, więc to bez znaczenia.

W tym wypadku, pomyślał Marek, mogą właściwie nazywać mnie bardziej formalnymi, niebezpiecznymi imionami. Ale tego nie powiedział. Poczł ulgę na myśl, że ktoś będzie mu znowu mówił po imieniu. Przez jakiś czas milczeli, a potem Una odezwała się w mroku:

- Opowiedz nam, co zrobisz, kiedy zostaniesz cesarzem.

Marek się zawahał.

- Mogę nim nigdy nie zostać. Wuj może wybrać, kogo zechce. Chciał mojego ojca. Pewnie zrobiłby mnie cezarem... - Trudno było mu o tym myśleć. Nigdy nie podobała mu się myśl o ojcu jako cesarzu, a własna przyszłość jawiła mu się bardzo nierealnie. - A teraz... to nie muszę być ja. To może być Druzus. Jest starszy.

Nagle przypomniał sobie, co powiedziała dziewczyna ze sklepu jubilera: że nie powinien być cesarzem, bo uciekł. Zastanowił się, czy wuj też tak nie uważa.

- Więc to musi być Druzus. Prawda? Ten, który chciał cię zabić.

Marek zamilkł. W końcu powiedział cicho:

- Oczywiście. Myślałem o tym. - I na chwilę odebrało mu głos. Wykrztusił z bólem: - To mój kuzyn. Może chcą, żeby został cesarzem... ludzie, którzy... którzy zabili moich rodziców. Może chcą kogokolwiek, byle nie mojego ojca ani mnie. On mógł o tym w ogóle nie wiedzieć.

Znowu spojrzął na Unę, ale nie widział wyraźnie jej twarzy, tylko punkciki światła odbitego w oczach.

- Nie wiesz, co zrobię, jeśli zostanę cesarzem?

Odetchnęła głęboko, jakby chciała przemówić, ale milczała, a Sulien spytał:

- Co?

- Zajmę się niewolnictwem - powiedział Marek, wciąż obserwując Unę. - Ludzie mieli o tym nie wiedzieć, ale wiedzieli. Ojciec mówił, że zniesie niewolnictwo. Pomyślałem więc, że jeśli zostanę cesarzem, tak postąpię. Nigdy tego naprawdę nie planowałem, to wszystko było takie odległe. Ale teraz już nie. Teraz już nikt inny tego nie zrobi.

- A ty tak z powodu ojca? - spytała Una.

- To nie był jego pomysł - rzekł Marek gorzko. - Tylko mojej matki. Choć nie mogliście wiedzieć. On sam chyba o tym zapomniał.

- Musisz to zrobić - powiedział Sulien i odwrócił się do Uny. - Wiedziałaś? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Nie wiedziałam aż do teraz - odparła cicho.

- Musiałaś, w przeciwnym razie byś go nie spytała - upierał się Sulien.

Milczała przez chwilę, a potem zwróciła się do Marka.

- Nie. Coś było, nie wiedziałam co. Nie sądziłam, żeby to wiele znaczyło.

- Co? - rzucił Marek urażony i zdumiony. - To bardzo wiele znaczy. Dlatego do tego doszło. Zawsze uważałem... zawsze wiedziałem, że niewolnictwo jest złe. Zawsze chciałem je znieść.

- Wiem, że chciałeś, by nie było niewolników, bo czujesz się przy nich zażenowany. Bo byliśmy z tobą, a pragnąłeś, żeby nas nie było.

Marek zaczerwienił się.

- To niesprawiedliwe.

Una podniosła się na łokciu.

- Jesteś zły, bo wiedziałam, co o nas myślisz? Oczywiście, że wiedziałam. Sulien też. Łatwo było poznać po twojej mowie i po twoim wyglądzie. Każdy by poznał.

- Czy to ważne? - spytał Sulien. - Mnie nie obchodzi, dlaczego to robi ani czy to ma dla niego jakieś znaczenie. Nigdy nie słyszałem, żeby ktokolwiek o tym myślał. Nie obchodzi mnie, czy według niego to niewłaściwe lub głupie, albo czy nas nienawidzi, wystarczy, że to robi.

- Nigdy wcześniej o tym nie myślałeś - rzekła cicho Una. - Nigdy ci to nie przeszkadzało.

Sulien zmarszczył brwi.

- Nie - przyznał, już ciszej. - Nie przeszkadzało mi. Chciałem tylko, żeby tego nie było. Ze względu na mnie. Ale teraz jest inaczej.

- Zrobię to - odezwał się Marek. - Zniosę niewolnictwo.

I choć w ostatecznym rozrachunku właśnie przez to znalazł się w tym konkretnym miejscu, złożenie obietnicy prawdziwym niewolnikom okazało się trudniejsze, niż się spodziewał.

Znowu zapadło milczenie; ognisko płonęło, przygasło, a Sulien zrobił podsumowanie tego niekończącego się dnia, odwrócił się do ognia i siłą woli nakazał sobie natychmiast zasnąć. Jednak przyśniła mu się choroba oczu, nowa odmiana jaskry. Polegała na tym, że nie mógł niczego dostrzec z bliska, bo wszystko rozplątywało się i stawało niewidzialne. Widział pokój, własne ręce trzymające szklankę z wodą, a potem ściskające nóż, ale nie dostrzegał samego noża ani szklanki, wszystko musiał robić, kierując się dotykiem. Rozlewał wodę, kaleczył się. Widział ramę i lustro, lecz jego odbicie rozplątywało się zbyt gwałtownie, żeby zdążył się przekonać, co mu jest. Wydawało mu się, że ma coś na twarzy.

Marek zapomniał o pieniądzach, które dał mu właściciel. Teraz pomyślał o nich z zaskoczeniem. Trudno mu było uwierzyć w ich istnienie, ale sięgnął po nie ukradkiem i znalazł je.

Gdyby zechciał, mógłby za nie dotrzeć do Holzarty. Wbił wzrok w ciemności. Do tej pory był przekonany, że musi podróżować z tymi niewolnikami, teraz ze zdziwieniem sobie uświadomił, iż nie ma już ku temu powodu. Po zejściu w austerii nie był im już nic winny, zwłaszcza gdyby się upewnił, że mają środki na dalszą podróż. Tym razem on mógł im pomóc, a jednocześnie swoim towarzystwem ściągał na nich większe niebezpieczeństwo. Mógł im zostawić adres, żeby wiedzieli, gdzie się zgłosić po te pięćset tysięcy - gdyby nie ruszyli jego śladem i mieli się już nie spotkać. Mógł im nawet zostawić połowę sumy, którą zdobył, pierwszą ratę za to, co na niego wydali.

Ale oni by nie zrozumieli. Pewnie by nie uwierzyli, że w końcu dostaną nagrodę. Może zresztą takie zachowanie byłoby niegodne. A gdyby coś się im stało, on by o tym nie wiedział. Wróciłby wreszcie do domu, pojechałby do Aten na studia i wszystko to wydawałoby mu się dziwaczne, fantastyczne - ale czekałby, żeby spłacić dług, o który nikt by się nie upomniał.

- Marku - szepnęła Una, będąca nieruchomym cieniem za rosochatymi resztkami ogniska. Nie wiadomo, dlaczego się wzdrygnął, zapewne dlatego, że spodziewał się, iż Una śpi. Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu, w ogóle nazwała go jakimkolwiek imieniem.

- Co?

- Nie szkodzi. Nie musisz się o nas martwić. Jeśli chcesz, nie pójdziemy za tobą.

Ledwie ją słyszał, powiedziała to tak lekko, że nie obraził się, iż poznała jego myśli, a jedynie szukał w jej słowach ukrytego nakazu odejścia. Żałował, że jej nie widzi, ale choć wytężył wzrok, dostrzegał tylko zarysy w mroku. Jeszcze jej nie spytał o te przepisane strony z książki. I przypomniał sobie, jak się nudził, siedząc przy pulpicie i czekając na powrót rodzeństwa.

Usiadł i wyciągnął w jej stronę zwitek banknotów.

- Dał mi to, bo myślał, że należysz do mnie - powiedział. - Ale to rekompensata za to, co wam zrobił.

Nie przyjęła pieniędzy, przez chwilę milczała.

- Ty się nimi zajmij - wymamrotała w końcu.

- Dobrze - powiedział i po chwili wsunął pieniądze do jednego z butów, które leżały obok. Tak było bardziej neutralnie, niż gdyby miał je schować blisko ciała. Wtulił twarz w nową pikowaną tkaninę i zasnął tak szybko, jak nie zdarzyło mu się od wielu tygodni.

Ale Una leżała i obserwowała krystaliczne, nieznane niebo za czarnymi igłami pinii. Ten mężczyzna zamknąłby austerię na noc, a potem, kiedy jego żona by zasnęła... ale o tym nie mogła myśleć, przywołała strzępek bieli, by to wymazać, teraz już się udało.

Zasnąć jednak nie mogła, bo zbyt mocno czuła obecność Marka, który leżał po drugiej stronie wypalonego ogniska. Nie wiedziała, co ma o nim myśleć. Nie, wiedziała, powinna być wdzięczna, i była, bardziej niż wdzięczna. Była pod wrażeniem tego, co zrobił, nigdy by nie podejrzewała, że jest do tego zdolny. Tyle tylko, że on nie zachowywał się jak ktoś inny, arogancki młody arystokrata - zachowywał się jak on sam. „Tak, to podstępna dziewczyna”. Jak mogłaby się nie cofnąć przed kimś, kto instynktownie potrafił tak mówić, tak spoglądać na wszystko w pomieszczeniu, jakby należało do niego, albo mogło należeć, a on tym gardził? Marek był Rzymianinem do szpiku kości. I zrobił to dla niej, i bał się szaleństwa. Wiedziała o nim zbyt wiele rzeczy.

Zaczęła bolesną rozmowę o niewolnictwie, bo to było coś w rodzaju odszkodowania, wstępu do tego, czego nie umiała sformułować. Mogła dokładniej się dowiedzieć, co Marek zamierza zrobić. A teraz niemal widziała, że właśnie dlatego nie chciała - żeby tego nie czuć. Chodziło o to, by wciąż mogła o nim jasno myśleć. Zmieszała się, gdy dotarło do niej, że chciałaby, żeby postanowił natychmiast odejść, że najlepiej by było, gdyby go w ogóle nie poznała.

I to nie była prawda, nic z tego nie było prawdą. Czuła, że takie myślenie jest idiotyczne. Czuła, że dopuściła się jakiejś zdrady.

JESTEM OBYWATELEM RZYMSKIM

XI

Ktoś znowu uderzył go z tyłu w głowę. Wariusz usiłował połknąć truciznę, ale centurion ścisnął go za gardło, z determinacją wbijał palce w twarz, rozwierał zęby. Wariusz dławił się, kąsał, szarpał. Kleomenes westchnął, zaklął, bo bolały go pokaleczone palce, znowu go uderzył z fachową wprawą, wykręcił mu rękę. Wreszcie kawałek nugatu został wyrwany. Mokry i trochę czerwony od krwi; to krew Kleomenesa, pomyślał Wariusz, choć wybito mi co najmniej jeden ząb.

Ale to nie miało znaczenia, czuł, że i tak się zaczęło.

- Za późno - wyrzęził, bo powietrze już nie chciało wypełniać mu płuc, a krew płynąć od zaciśniętego serca, wszystko dwoiło się i znikało. Nieustannie myślał: czy to to, czy to tak, więc niech... szybciej. Leżał na wirującej ziemi i czekał, aż myślenie stało się niemożliwe, aż przestał cokolwiek czuć.

Później trudził się zakończeniem tego zdania, choć w zasadzie nie wiedział, co zamierzał powiedzieć, ale nie potrafił sobie przypomnieć, miał przerażające wrażenie, że zapomniał o jakimś spotkaniu, nie zrobił czegoś bardzo ważnego. Poruszał się mętnie, słyszał ruch i pracujący silnik, i przez cały czas wracał i szukał drogi, i wiedział też, że jest chory - przez ten smród stęchłego potu i dojmujący ból.

Brudny żar. Ktoś długo krzyczał, bez tchu, bez znaków przestankowych:

- Bydlaki podli kłamcy to oszustwo z premedytacją to przestępstwo to było w wodzie przeniknęli też do poczty jestem obywatelem rzymskim to pogwałcenie moich praw wszyscy jesteście niewykształceni to kradzież jawna kradzież to nawet nieludzkie albo jest ludzkie albo nie!

Kroki zbliżyły się do źródła głosu, który raptem umilkł.

Leżał pod cienkim niebieskim kocem na rozchwanym nędznym łóż-

ku, do którego był przywiązany pasami. Szpital więzienny. Był wyczerpany, znudzony, zdegustowany. Nie interesując się zanedo swoim unieruchomionym ciałem, uznał za nierozsądne, że się tu znalazł, w tym łóżku, w tej skórze. Zamknął oczy, które ciągle nie funkcjonowały jak należy.

- To było głupie - odezwał się stojący w progu Kleomenes.

Wariusz nie rozumiał, dlaczego ktoś mówi coś tak beznadziejnie idiotycznego, więc nie zwrócił na niego uwagi.

- Wariuszu. Agencja dalwizyjna nie złożyła ci kolejnej propozycji. Ukryłeś przed nami truciznę. Nie wróciłeś do domu. Dokąd zabrałeś Marka Nowiusza?

- Czemu nie dasz mi spokoju? - wymamrotał Wariusz. - To jakaś różnica?

- Tak. To nie jest sąd - powiedział Kleomenes bez wahania. Wariusz prychnął szyderczo. - A ty nam pomożesz odnaleźć Marka Nowiusza.

- Sam go znajdź - powiedział Wariusz. - Ja wam nie pomogę, bo nie wiem, gdzie jest.

Rozejrzał się lekliwie po celce, spojrzął na drzwi, na tajemniczą szafkę, na rumianego centuriona w mundurze koloru krwi. Lekko napiął związane kończyny, zeszywniał. Gorące powietrze było kwaśne i ostre, syczało na złamanej krawędzi zęba. Bał się, że Kleomenes, albo ktoś inny, znajdzie sposób na wydłubanie z niego wiedzy, wykorzystując to osłabione miejsce. Nie wiedział, jak dalece może sobie zaufać. W ramach edukacji karmiono go pouczającymi opowieściami, pewnie specjalnie napisanymi dla chłopców, o przejawach odwagi Rzymian. Opowiadały o strasznym losie, który spotykał Rzymian z rąk barbarzyńców, a oni nieodmiennie znosili to bez zmrużenia oka. Zawsze stawali przed wizją zdrady Rzymu i najwyraźniej nikt w tych opowieściach nie brał jej pod uwagę, niezależnie od tego, co się z nimi działo. Była tam pewna szczególna historia, której trzynastoletni Wariusz wolałby nigdy nie usłyszeć, bo nie mógł o niej zapomnieć przez wiele tygodni. Chodziło o odcięte i przyszyte z powrotem powieki, o ofiarę zostawioną na prażącym słońcu, a mimo to odmawiającą popełnienia zdrady, której od niej żądano. Wariusz początkowo z ogromną ulgą uświadomił sobie, że ta opowieść prawdopodobnie jest zmyślona, ale potem doszedł do wniosku, że jeśli można było sobie wyobrazić postąpienie w taki sposób z czyimiś oczami, to pewnie gdzieś jednak do tego doszło albo kiedyś dojdzie. Pomyślał -

może niesłusznie, ale jednak pomyślał - że zbyt wiele osób na tym świecie wierzy, iż nikt bez względu na okoliczności nie będzie zdolny do takiego postępu. Natomiast nie potrafił uwierzyć w historie o bohater-skim uporze; wydawało mu się, że jeśli nawet komuś udało się wytrzy-mać, to musiało to mieć coś wspólnego z przypadkiem, szczęśliwym tra-fem, brakiem czasu albo czymś, do czego przesłuchujący nie był przygo-towany.

Oczywiście nie musiał się o to nigdy martwić - nie wtedy, gdy był w Rzymie. Właśnie na tym polegała część uroku tych historii - obywateli rzymskich nie torturowano. Nigdy. Ale nie wierzył, że mógłby twierdzić, iż czegoś nie wie, a przesłuchujący po prostu daliby mu spokój.

- Pozbyłeś się jego ciała, Wariusz, czy ci uciekł?

Wariusz leżał w milczeniu, usiłując się zainteresować niebieskim ko-cem, ale pytanie go zaskoczyło. Zmarszczył brwi.

- Twoja żona - zaczął znowu zmęczony Kleomenes.

Wariusz zaczął mu się przysłuchiwać. W tej chwili myśl o Gemelli była jak ustępujący ból, przesycała wszystko, ale jakoś tak blado, gdzieś w tle.

- Dowiedziałeś się czegoś czy tylko podejrzewałeś? Sądziłeś, że to ma coś wspólnego z młodym Leonem?

Wariusz roześmiał się i rzucił:

- Naprawdę myślisz, że zabiłem Gemellę?

Tym razem Kleomenes parsknął.

- Wiemy, że byłeś przy jej śmierci. Nie wzywałeś pomocy ani lekarza. Przeniosłeś jej ciało i znikłeś na siedem godzin. Tak, sądzę, że ją zabiłeś.

- I dobrze - mruknął Wariusz, a na piegowatym czole Kleomenesa pojawiły się zmarszczki. Nie wydawał się już potężny i złowrogi, tylko niemal śmieszny i rozczulająco głupi. - Ale przecież niedługo nad tym pracujesz.

- O czym mówisz?

- Nie sądzę, żebym cię miał znowu zobaczyć. Chyba będę za tobą tę-sknić. - Kleomenes otworzył usta, zaskoczony i zirytowany, ale Wariusz nie pozwolił mu zacząć. - Dlaczego nie pozbyłem się jej ciała? To była trucizna, więc musiałem to zaplanować. Planowanie to mój zawód. Chy-ba sądzisz, że się do niego nie nadaję. Skoro miałem czas się nad tym za-stanowić, miałem czas dowiedzieć się, jak kupić truciznę, to dlaczego zostawiłem tam Gemellę, a potem wróciłem? - Jego rozbawienie, jeśli to

było rozbawienie, nagle się ulotniło. - Nigdy bym tego nie zrobił - szepnął.

- Bo ją kochałeś? - spytał poważnie Kleomenes.

Wariusz warknął mimowolnie i szarpnął więzy, gdyż niespodziewanie ponownie z całą siłą dotarło do niego, że Gemella nie żyje.

- Widzisz, mogę w to uwierzyć, ale nie we wszystko - ciągnął Kleomenes. - Zapewne sądziłeś, że tak będzie dla niej lepiej, może uważałeś, że będzie szczęśliwsza. Znałem takich ludzi. I nie, nie zawsze byli głupi. Nie wiem, co myślałeś potem. Takie czyny są pozbawione sensu.

- No cóż - odezwał się z trudem Wariusz po pewnym czasie. - Zatem opinia publiczna się dowie. Będzie proces, prawda?

- O to bym się nie martwił - oznajmił Kleomenes ponuro.

- A powinieneś - odparł Wariusz, już spokojnie. - Proszę. - A potem dodał: - Do widzenia.

Kleomenes nie zdradzał ochoty do odejścia, ale Wariusz wbił pozbawiony wyrazu wzrok w biały sufit i przestał odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. Udawał, że obu ich tam nie ma.

W końcu Kleomenes poddał się i odwracając się do wyjścia, warknął:

- W końcu dowiemy się, dokąd pojechałeś. Zdajesz sobie z tego sprawę. Nie zdołasz tego długo ciągnąć.

- Kleomenesie - wymamrotał ospale Wariusz, nie patrząc na niego. - Te słodycze dała Markowi pani Makaria.

Kleomenes wahał się przez sekundę, potem skrzywił z niesmakiem i załomotał w drzwi, które niepotrzebnie zaryglowano. Wariusz pomyślał, że nie powinien się odzywać, nie skłoni przecież Kleomenesa do działania. Centurion co najwyżej powiadomi kolegów, a wówczas spiskowcy dowiedzą się, jak dalece Wariusz ich rozpracował. Bał się, że Kleomenes miał rację, że długo tak nie pociągnie.

Ale musiał, bez względu na to, co go czeka.

Wyjątkowo szybko odzyskiwał siły. Następnego ranka nikt nie musiał mu mówić, że właściwie doszedł do siebie. Ciągłe czuł jakiś trudny do zlokalizowania ból, ale serce, oddech, oczy wróciły do normy. Nie rozumiał, jak śmiertcionośna substancja może tak szybko stracić swoją moc.

Minęło wiele czasu, zanim znowu się do kogoś odezwał. Tak jak się spodziewał, przyszli do niego inni w czerwonych mundurach, lecz Kleomenes się nie pojawił. Wariusz postanowił, że nie odezwie się nawet do

posługaczy przynoszących mu jedzenie lub pomagających czasem wstać z łóżka. Tylko na taką strategię się zdobył. Usiłował - tak jak podczas podróży do Rzymu, zaledwie poprzedniego dnia - być obecny w jak najmniejszym stopniu. Sądził, że jeśli zdoła sobie wmówić, iż jest przedmiotem, kamieniem niezdolnym do myślenia czy mówienia, wigilowie może też dadzą się przekonać i zostawią go w spokoju.

Ale jednocześnie usiłował analizować, co się dzieje, co robią pielęgniarki, lekarze, strażnicy i żołnierze, na wypadek gdyby mógł w ten sposób osiągnąć jakąś przewagę. Czasami myślał, że to pułapka, że pogubi się, usiłując zrozumieć, co tu ma znaczenie, a co jest tylko rutynowym działaniem. Na przykład choć był już zdrowy, nie przeniesiono go ze szpitalnej celi, nie pozwolono wstawać z łóżka, chyba że czasem do łazienki. Musiał pozostać w przepoconej koszuli nocnej, którą mu dano. Był niemal pewien, że część tych działań jest zamierzona, żeby poczuł się bezsilny, i ta świadomość odrobinę podnosiła go na duchu. Ale dlaczego go tu trzymali? Żeby wytrącić z równowagi szpitalnym zapachem, krzykami, czy też dlatego, że to miejsce, w którym można kogoś bez problemu okaleczyć? A może nie mają innego miejsca, gdzie mogliby go umieścić? Ponieważ postanowił milczeć, jego ciekawość nie zostanie zaspokojona.

Na razie nie wydarzyło się nic strasznego, nic, czego by się bał, funkcjonariusze straży czasem go bili, a niekiedy podduszali go poduszką. „Gdzie Marek Nowiusz?!” - krzyczeli. Nie odpowiadał, bo nadal utwierdzał się w przekonaniu, że oni także są przedmiotami, przedmiotami, które przypadkiem znalazły się w gwałtownym ruchu; nie można było nawiązać z nimi porozumienia, tak jak nie może być porozumienia między gradem i ziemią, na którą pada. Tylko kiedy odchodzili, niekiedy uważał ich za ludzi - porywczych i pozbawionych wyobraźni. Mogli go przecież niechcący zabić, sprawiali mu ból, ale w tępy, powtarzalny sposób, który nie zakłócał mu udawania, że go tu nie ma.

Potem strażnicy poprowadzili go szpitalnym skrzydłem, po dudniących metalowych schodach do więzienia. Fizyczna ulga, że może wstać, ruszać się, ogarnęła go na chwilę i zaginęła w strachu - że to musi być początek, że zacznie się dzieć coś dużo gorszego. Umieścili go w zwyczajnej żółtej celi bez okien, z muszlą klozetową, i odeszli. Zaczął krążyć po pomieszczeniu, jego mięśnie radowały się ruchem, gdy akurat nie do-

kuczał mu ból pobitego ciała. Myślał, że właściwie dopóki może, powinien czerpać przyjemność z tych chwil względnej swobody, nasłuchiwał odgłosów z korytarza i czekał. Nikt nie przyszedł, nic się nie wydarzyło.

I tak było przez długi czas. Nigdy nie wyłączano światła, więc nie wiedział, ile minęło dni. Początkowo był przekonany, że to niekończące się światło, cisza i czekanie mają za zadanie złamać go, by wreszcie wyjawiał położenie Holzarty. Potem zaczął się zastanawiać, czy to możliwe, że o nim zapomnieli, i natychmiast naszło go podejrzenie, że pewnie właśnie tak miał pomyśleć. A jednak dlaczego tak zwlekali? Dzień - noc - po jakimś czasie przyszło mu do głowy, że może nie pytają już, gdzie jest Marek, bo wiedzą, bo go znaleźli, a on trzymany jest w zamknięciu do czasu, aż nadejdzie pora, by go zabić.

Kiedy strażnik przynosił jedzenie, nie odzywał się ani słowem. Wariusz jadł niewiele i zastanawiał się, czy w ogóle nie przestać. Ale to by trwało zbyt długo, zdążyliby się zorientować, co robi, przeszkodziłoby mu i wszystko by się zmieniło. Bał się, że znowu spartoli, ocknie się i ponownie będzie gorzej, bał się w jakikolwiek sposób zwracać na siebie uwagę.

Nieminuty, niegodziny niewydarzeń były gwarancją następnych minut i godzin.

Czasami wbrew temu wszystkiemu i palącemu się ciągle światłu zasypiał i nie wiedział, jak długo spał; sądził, że niewiele, choć tak naprawdę niekiedy bywał nieprzytomny i przez osiemnaście godzin. Później, bez żadnych oczywistych przyczyn, przez długie, puste, męczące okresy w ogóle nie mógł spać. Unikał rozmyślenia o Gemelli nie tylko dlatego, że to za bardzo bolało, ale ponieważ czuł, że jakiegokolwiek ludzkie zachowanie jest niebezpieczne. Jednak z czasem przestał mieć na to wpływ. Niekiedy sądził, że gdyby się do niej odezwał, usłyszałaby go, że tak naprawdę ich nie rozdzielono - że ten niewielki dystans między nimi da się unieważnić. W tamtych momentach milczenie i światło przynosiły ukojenie, czyniły jego położenie znośniejszym. Ale czasem bywało gorzej. Lepiej było tego nie robić. Gdy jego myśli zaczynały się miotać i szaleńczo rzucać jak maszyna, która wyrwała się spod kontroli, usiłował stworzyć umyślowe łamigłówki, choć czasami kończyło się to obłąkańczymi, niemożliwymi do powstrzymania monologami, którym miały przeciwdziałać. Jednak utrzymanie tej wystudiowanej, półświadomej apatii, którą osiągnął w

szpitalu, stało się niemożliwe. W pewien sposób czuł się bardziej sobą - choć nie na długo, jeśli tak miało być dalej - i straszliwie się martwił o rodziców. Czy ktoś ich powiadomił, czy wiedzą, co usiłował sobie zrobić, czy matka przyjechała do Rzymu i znalazła tylko zamknięte mieszkanie? Nie chciał myśleć, że powiedziano im, jakoby zamordował Gemellę. Nie uwierzyliby, powiedział sobie twardo, ale zaczął podejrzewać, że jednak z braku innego wyjaśnienia mogliby uwierzyć.

Myślał - to były te nonsensowne myśli - że niemal pragnie powrotu wigilów, choćby go mieli znowu pobić, tak bardzo się nudził. I jego słowa się sprawdziły, naprawdę w pewien sposób tęsknił za Kleomenesem, spotkanie z kimkolwiek sprawiłoby mu wielką ulgę.

Potem, pewnej nocy, albo przynajmniej w czasie, który nazywał nocą, bo był porą snu - drzwi się otworzyły, co go obudziło.

Prawie poczuł klucz obracający się w jego ciele, lodowaty, włączający w nim świadomość. Weszli czterej więzienni strażnicy i jego ciało znowu zwarło się w ponurym oczekiwaniu. Zaczyna się, pomyślał. Usiadł sztywno wyprostowany pod ścianą i ani się nie opierał, ani nie współdziałał, gdy zakuwali mu ręce i nogi w kajdany. Za nimi stali inni mężczyźni wyglądający na strażników lub legionistów, lub kogoś w tym rodzaju, choć nosili niebieskie mundury, których nie rozpoznał natychmiast, bardziej ozdobne od zwykłych uniformów strażników, przypominające raczej liberie. Nie potrafił się zdecydować, czy to złowróżbny znak.

Przypomniawszy sobie, że ma się nie odzywać, choć pokusa spytania, co się dzieje, tym razem była prawie nieodparta. Sprowadzili go na parter, zanim zdążył pomyśleć: o, schody. Przegapiona okazja. No, nie całkiem, bo oni by mu na nic nie pozwolili. Zduślił dziwny poryw bolesnego śmiechu, gdyż myśl o wyrwaniu się z ich rąk niczym wyciągnięta na brzeg ryba i skoku ze schodów na beton wydała mu się śmieszna.

Początkowo założył, że przenoszą go do innej celi, ale popędzili go, kuśtykającego jak kaleka, przez dziedziniec, na którym czekała lśniąca furgonetka. Nie więzienna. Był środek dnia, a Wariusz zdążył jedynie zamrugać oczami i zdziwić się, kiedy jeden z mężczyzn w liberii zarzucił mu na głowę worek z szorstkiego materiału. Wariusz natychmiast uznał, że ten gest ma na celu przerażenie go, i przez chwilę poczuł, wyraźniejsze od strachu, małostkowe rozdrażnienie, zupełnie jakby miał krzyknąć:

No nie! Czy nawet gdybym zobaczył, dokąd jadę, mógłbym to wykorzystać?

Potem, z tego, co się zorientował, strażnicy więzienni pomogli mu wsiąść, ale wieźli go ci drudzy. Pod szorstkim kapturem uśmiechał się gorzko z tego pomniejszego zwycięstwa, bo właśnie w chwili, gdy zasłaniali mu oczy, uświadomił sobie, że w tych niebieskich liberjach jest coś znajomego. Usiłował sobie przypomnieć, jaka wojskowa czy cywilna formacja je nosi. Był niemal pewien, że ci ludzie są z oddziału prywatnych strażników, i sądził, że odgadnie, dokąd jadą, nawet jeśli chcieli go zaskoczyć i jeśli ta wiedza nie przyniesie mu ulgi.

Na skrzyżowaniu pojawi się zbyt szybko jadący inny samochód, kierowca furgonetki będzie miał chwilę, żeby go zauważyć, ale nic się nie da już zrobić, on, Wariusz, z niczego nie będzie sobie zdawał sprawy aż do zderzenia, a potem tamten samochód uderzy w bok furgonetki, zepchnie ją z drogi, wirującą wokół własnej osi. Wariusz usłyszy trzask pękających szyb, bezradne krzyki strachu i bólu, bo wszyscy pasażerowie furgonetki staną się równie bezsilni i poturbowani. Na Wariusza posypią się szklane okruchy, nie wyjdzie z tego zupełnie bez szwanku - byłoby nierealne spodziewać się czegoś takiego - może podczas upadku poczuje pękający nadgarstek lub usłyszy trzask żebra. Potem będzie leżeć bez ruchu w kącie między ścianą i sufitem, a wokół niego zapanuje cisza, w której usłyszy co najwyżej jęki. Podniesie się, ze zdziwieniem zobaczy nieprzytomnych, uwięzionych lub martwych strażników. Oczywiście z trudem uwierzy własnym oczom. Pełen niedowierzania, spodziewając się, że ożyją i go obezwładnią, zacznie szukać przy nich kluczy. Znajdzie. Któryś spojrzy na niego nieprzytomnie, jęknie o pomoc. Wariusz odwróci wzrok. Kajdany ograniczające jego ruchy ochronią go także przed obrażeniami. Uwolni się. Wypełźnie z potrzaskanego samochodu i bez przeskód stanie w słonecznym blasku.

Furgonetka jednak jechała bez przeszkód.

Po raz pierwszy wyobraził sobie ucieczkę, która ocali mu życie. Zaniepokoiło go, jak gwałtownie i intensywnie zobaczył to wszystko, jak klarowny był ten obraz, jakby to nie on go stworzył. Nie wolno mu tego robić. Przypomniał sobie, że jest przedmiotem. Wolno mu tylko obserwować rozwój wypadków, ale nic więcej, nie wolno mu snuć wyobrażeń ani niczego pragnąć. To by pogorszyło sytuację.

Byli w jakimś cichym miejscu i mimo pancerza samochodu odniósł wrażenie, że jadą przez nasłoneczniony teren. Słyszał ptasie trele, a potem zniekształcony, niosący się echem wrzask, który przez chwilę przejął go chłodem, zanim stało się jasne, że to głos pawia odbijający się od wysokich, niewidocznych murów ogrodu. Tak, wszystko wskazywało na to, że miał rację. Drzwi, przez które go wciągnęli do środka, wydawały się wąskie, biorąc pod uwagę ich ruchy - wejście dla służby, pomyślał. Ale wiedział, że kurczowe chwytywanie się szczegółów to tylko ćwiczenie pamięci, sposób na odwrócenie uwagi od tego, co z pewnością się wydarzy na szczycie tych schodów, na końcu tego korytarza, za tymi drzwiami.

Usłyszał jakby szum, jakby fale, i nie wiedział co to. Potknął się i zachwiał. Był w pomieszczeniu, a jednak podłoga pod jego stopami wydawała się pochyła. Z powodu kajdan nie mógł utrzymać równowagi i gdy znalazł się na czworakach, aż jęknął z powodu tego niepotrzebnego upokorzenia. Poczul pod dłońmi miękkie dywan i wstał jak najszybciej, niezdarne się szamocząc. Ktoś mu pomógł odzyskać równowagę. Nie potrafił opanować bezsensownego, strachliwego wzdrygnięcia przed tym dotykiem, ale nabrał czegoś w rodzaju przesadnego lęku przed okazywaniem uczuć, więc próbował ukryć zdziwienie, kiedy zdjęto mu worek z głowy i zobaczył, gdzie się znalazł.

Stał w szerokim przejściu pomiędzy rozłożystymi, wygodnymi fotelami w luksusowej sali rekreacyjnej. Przejście biegło stromo, jak plaża ku morzu, w stronę głębokiej owalnej sceny, przeznaczonej pewnie dla tancererek, bo część parkietu można było odsunąć, odsłaniając miejsce dla orkiestry w dole. Za sceną znajdował się półkolisty ekran, zajmujący nawet część sufitu pod ogromną kopułą; można było na nim oglądać dalwizję albo zarejestrowane spektakle, albo wyświetlać tło podczas przedstawień, i były tam też specjalne reflektory, które rzucały niemal namacalne świetliste postaci pomiędzy tancerzy, bogów i centaurów. Ale teraz ekran był tylko ruchomym freskiem, gdzie krystaliczna laguna ciągnęła się od sceny po cukrowo błękitne niebo, po którym czasem przefruwały tandetne ptaki.

Fotele nie stały poręcz w poręcz jak w publicznym teatrze, lecz rozdzielały je małe szafki z drewna różanego, w których pomiędzy naczyniami z winem i likworami stały szklane szkatułki z marcepanem i kandyzowanym imbirem. Fale, które słyszał, szumiały i szeptały z wielkich, wbu-

dowanych w ściany głośników. W pałacu też było coś takiego, tak mu się zdawało, choć nigdy tego nie widział, i z całą pewnością było to ostatnie miejsce, w jakim spodziewał się stanąć w kajdanach na rękach i nogach, z wybitym żębem, w oczekiwaniu na tortury.

Odgadł, że wiozą go do domu Gabiniusza, ale i tak był zaskoczony; nie spodziewał się zobaczyć samego Gabiniusza.

- Wariuszu - odezwał się Gabiniusz, jakby spotkali się, by przedyskutować datek na klinikę niewolników. W jego przyjaznym głosie pobrzmiwała życzliwość i żal.

Oczywiście Wariusz znał go z widzenia i poznałby go także, gdyby nigdy ze sobą nie rozmawiali - Gabiniusz był jeśli nie sławny, to z pewnością znany, a jego wygląd rzucał się w oczy. Wariusz wiedział nawet, że Gabiniusz jako dwunastolatek został przypadkowo znokautowany podczas zapasów w szkole i z jakiegoś powodu wypadek ten spowodował, iż stracił wszystkie włosy, które już nie odrosły. Pozbawiona rzęs i zarostu różowa skóra wydawała się dziwnie delikatna i wyjątkowo czysta. Jego wielkie oczy były szare i bardzo lśniące, i powinny być błękitne, bo to by pasowało do tej niemowlęcej twarzyczki. I był potwornie wielki, tak wielki, że zatracał wszelkie proporcje. Wariusz patrzył na niego niemno, z nienawiścią; powłóczęc nogami, odszedł, usiadł na skraju fotela i skierował wzrok na fale.

Gabiniusz poruszał się zaskakująco zwinnie jak na takie monstrum. W mgnieniu oka znalazł się w fotelu obok Wariusza, pochylił się poufale nad butelkami i karafkami.

- Wariuszu - odezwał się ze współczuciem, natarczywie. - Czy bardzo ucierpiełeś? Jeśli nadal czujesz ból, mogę tu kogoś natychmiast wezwać. Słuchaj, to nie ma ze mną nic wspólnego i bardzo tego żałuję. Uważam, że nie ma potrzeby, by postępowano w taki sposób. Nie jestem tym zachwycony. Szczerze. Tutaj nic złego cię nie spotka. Rozumiesz? Wierzysz mi?

Wariusz nie odpowiedział, ale Gabiniusz mimo to jakby odetchnął. Usadowił się wygodnie i spojrzał z błogim spokojem na sztuczne niebo. Dodał konwersacyjnym tonem:

- Powinieneś udać się w takie miejsce. Ono naprawdę istnieje, wiesz? Z wyjątkiem tych ptaków, chyba je dodali. Takie, wiesz, nieskalane. Bo teraz potrzebujesz odpoczynku. Ja rozumiem, wydaje ci się, że nigdy nie poczujesz się lepiej, ale się mylisz. Pewnego dnia się poprawi.

Wariusz słuchał z niedowierzaniem słów Gabiniusza i aż go od nich mdliło. Było całkiem oczywiste, że nie pozwoli mu dalej żyć, wiedział o tym. Nie rozumiał, co Gabiniusz chce osiągnąć.

Kiedy nie odpowiedział, Gabiniusz dodał szybko innym głosem, nie mniej przyjaznym, lecz cichszym i bardziej przenikliwym:

- Daj spokój. Wiem, że możesz mówić. To naprawdę nie zrobi różnicy. - Ale po kolejnej pauzie dodał wesoło, jakby po prostu podtrzymywał rozmowę: - Któryś łobuz wybił ci ząb, co? Straszne. Ale w tych czasach można to naprawić. Mój syn - ma dziewięć lat - spadł z huśtawki i wybił sobie dwa z przodu. A teraz byś się nie zorientował.

W zamyśleniu włożył do ust odrobinę kremu waniliowego i wstał, ruszył energicznie do ekranu, przyjrzał mu się i odwrócił się do Wariusza.

- Zatem rozumiesz - powiedział kategorycznie. - Stać cię na to. W rozsądnych granicach stać cię na wszystko.

Czekał spokojnie. Po chwili kontynuował:

- Możesz powiedzieć, co zechcesz.

Wariusz przyglądał się mu mimowolnie, najpierw zdezorientowany, potem z niedowierzaniem. Znowu wydał cichy dźwięk, tym razem obrzydzenia.

- Co to było? - spytał Gabiniusz. - Co chciałeś powiedzieć?

- Myślałeś, że to zadziała...? - szepnęła Wariusz.

- Co?

- Po tym, co zrobiłeś, myślałeś, że możesz zaproponować pieniądze, a ja ci pomogę?

- Nie. Nie, tak nie myślałem nawet przez chwilę. Nie proponuję ci pieniędzy. Pieniądze już ci dałem. Na twoim koncie znajduje się obecnie milion sestercji i pozostanie tam bez względu na wszystko. Powiedziałem, jak moim zdaniem powinieneś je wykorzystać, bo wyglądasz na zmęczonego, ale jeśli nie chcesz, możesz je oddać. Wydaj je na tę klinikę, skoro chcesz.

Wariusz pokręcił głową i znowu nakazał sobie w duchu milczenie. Ale dygotał z gniewu, którego nie czuł od rozmowy z Kleomenesem w szpitalu, pałał żądzą skrzywdzenia Gabiniusza. Spojrzał nawet na przedmioty w najbliższej szafce, zastanawiając się, czy da się ich użyć jako broni. Nie, to było głupie, a niby po co nałożyli mu te łańcuchy? Milcz, nakazał sobie, bądź nieobecny.

Jednak to było niemożliwe, choć starał się traktować Gabiniusza jak przedmiot.

- Tak, wiem - rzekł Gabiniusz ze smutkiem, znowu siadając obok. - Ile masz lat? Bardzo niewiele. Nikt w twoim wieku nie powinien tak myśleć. - Wariusz, który bez żadnej konkretnej przyczyny nigdy, nawet w dzieciństwie, nie uważał się za młodego, poczuł lekkie zdziwienie. - Chyba zgaduję, co sobie wbiłeś do głowy - ciągnął Gabiniusz. - Albo że znajdziesz kolejną okazję, by zrobić to, co chciałeś uczynić przed Złotym Domem, i tym razem ci się uda, albo że wyręczy cię jeden z tych strażników czy wigilów, czy jakiś mój człowiek. I może wtedy ogłosimy, że sam to zrobiłeś. Może jednak postawisz na swoim i dojdzie do procesu, ale oczywiście po procesie czeka cię egzekucja.

Wariusz wzdrygnął się, słysząc ten precyzyjny wywód, ale wzruszył ramionami. Gabiniusz spojrzał na niego z wyrzutem.

- Wiesz, to mnie naprawdę irytuje. Tobie to wszystko jedno, prawda? Bo spotkało cię coś strasznego i teraz uważasz, że nic ci nie zostało. To nieprawda, to absolutnie nieprawda.

Wariusz dźwignął się z fotela i pokuśtykał pod górę, jak najdalej od Gabiniusza, na ile pozwalały mu kajdany i milczący strażnicy stojący w progu. Gabiniusz, niezrażony, zrobił pauzę tylko po to, by zaczerpnąć oddechu.

- Lepiej rozumiałbym twój punkt widzenia, gdybym to ja chciał coś zmienić, wszystko zburzyć, ale nie chcę. To ty chcesz. Mnie podoba się tak, jak jest. Czy naprawdę sytuacja jest tak zła, że warto oddać za to życie, narazić na rozpacz rodziców? W ogóle skąd ci to przyszło do głowy? Czy Leon i Klodia... no, nie wiem... poddali cię indoktrynacji? Może w twojej rodzinie były jakieś... jakieś związki... z niewolnictwem? Skąd to można wiedzieć? Z mojego doświadczenia wynika, że takie rzeczy się tuszuje.

Ukłucie strachu, które pojawiło się na wzmiankę o rodzicach, zatrzymało Wariusza na szczycie przejścia. Odwrócił się powoli, kiedy zyskał pewność, że strachu nie widać już na jego twarzy.

- Nie - powiedział.

- Nie? W mojej były. Nie tak dawno. Na przykład mój dziadek. - Oczywiście Wariusz o tym wiedział, wszyscy znali pochodzenie Gabiniusza. - Szorował w pałacu podłogi kuchenne. A teraz... - Gabiniusz obrócił się łagodnym ruchem, powiódł gestem po sali, która faktycznie była jego

własnością. - Nie wstydzilem się... i nie będę się go wstydził. Był wspa-
małym człowiekiem. Ja pierwszy w mojej rodzinie mogę zająć miejsce w
senacie. I zajmę. Coś takiego mogło się zdarzyć tylko w cesarstwie. Wa-
riuszu, niewolnictwo - pod jakąkolwiek postacią - nie występuje tylko
tam, gdzie wszyscy są niewolnikami. Tylko my dajemy im szansę zasłu-
żenia na wyzwolenie.

- Już niedługo - odparł Wariusz. - Jest ich zbyt niewiele.

- No cóż. Jedyne najlepsi i najinteligentniejsi dotrą na szczyt, ludzie
tacy jak mój dziadek, ludzie, którzy się nie poddają. Moim zdaniem to
dobrze. W przeciwnym razie człowiek, no wiesz, flaczeje. - Spojrzał na
swoje ciało, uśmiechnął się kordialnie i poprawił się: - Leniwieje.

- Nie sądzę, żebyśmy mogli zmienić swoje poglądy - rzekł Wariusz.

Gabiniusz westchnął.

- Pewnie masz rację. Jednak nie tracę nadziei, że powstrzymam cię
przed destrukcyjnym zachowaniem. Bo w ostatecznym rozrachunku je-
steś egoistą. Wiesz o tym. Już to powiedziałem, ale jak poczują się twoi
rodzice? Umrzesz i będziesz nie tylko trupem, lecz także mordercą i
zdrajcą.

- Opowiedz, co twoi rodzice myślą o tobie - warknął Wariusz nie-
ostrożnie. I tak jak wiele razy przedtem, wmawiał sobie, że rodzice oczy-
wiście w to nie uwierzą.

Gabiniusz tylko pokiwał głową i powiedział:

- Ja nie jestem zdrajcą. To Leon nim był. Szkoda, że w ogóle poznał tę
kobietę. Wiem, że nie chodziło tylko o to, ale... jestem rzymskim obywa-
telem. Dbam o bezpieczeństwo Rzymu - w przeciwieństwie do niego. I
chcę, by moje dzieci dorastały w bezpiecznym świecie. To chyba natural-
ne. Powinienem wcześniej powiedzieć to wyraźnie, ale sądziłem, że już
wiesz, iż ten zamach był inspirowany przez pałac - nie miałem udziału w
tym, co spotkało twoją żonę. Dajże spokój. Nie dopuściłbym do tego.
Oczywiście zrobiono to nieudolnie, w przeciwnym razie nie znaleźliby-
śmy się tutaj. I cokolwiek o tym sądzisz, jest mi przykro i chciałbym, byś
mi pozwolił jakoś ci to wynagrodzić. Zbliżał się stromym przejściem. Wa-
riusz znowu się cofnął i choć wiedział, że to na nic, odezwał się do naj-
bliższego strażnika w niebieskiej liberii:

- Odprowadź mnie do więzienia.

- Wiesz, że tego nie zrobi. A skoro spytałeś o moich rodziców... cóż,

niestety oboje zmarli i nawet pomimo mego podeszłego wieku nie przestałem za nimi tęsknić. Ale to naturalna kolej rzeczy, dziecko nie powinno odejść pierwsze i właśnie to usiłuję ci wytłumaczyć. Już mówiłem: zachowasz pieniądze bez względu na to, co się stanie i co zrobisz, nawet jeśli nie pozostaniesz przy życiu, choć to by było marnotrawstwo. W końcu wszystko wyjdzie na jaw. Byłeś zarządcą Leona, prawda? Pewnie się okaże, że z jego majątku znikła podobna suma. I właśnie dlatego ich zaabiłeś: najpierw Marka Nowiusza, potem swoją żonę, bo odkryli twoje sprawki. Twoi rodzice przez resztę życia będą o tym myśleć i dojdą do wniosku, że byli ślepi, że nie zauważyli, jak strasznie cię musieli skrzywdzić, skoro taki się stałeś.

Wariusz wzdygnął się gwałtownie, szarpnął łańcuchem skuwającym mu ręce. Ale powiedział, niemal wykaszał te słowa:

- Wszystko jedno... co zrobisz, już musiałem zapomnieć o swojej reputacji.

- Naprawdę? Czyżby? Tak uważasz? Nie musiałeś, przecież liczysz na to, że pewnego dnia Nowiusz powróci. Oczywiście ciebie już tu wtedy nie będzie. Jednak twoi rodzice nie są młodzi - urodziłeś się dość późno - twoja matka miała chyba problem z donoszeniem ciąży. Trzy poronienia? Nie masz rodzeństwa. Uff - Gabiniusz nadał policzki, pokręcił głową. - Jak ona się poczuje... po prostu... niewyobrażalne. - W dłoni trzymał pilota. Wariusz nie zauważył, skąd go wziął. - Więc musisz pamiętać o tym, że mogą nie dożyć twojej rehabilitacji.

Senne sapanie fal trwało jeszcze przez sekundę, a potem niebo i turkusowe morze poczerniały. Wprost nie do wiary, jak przekonujące było złudzenie przestrzeni; w sali zrobiło się nagle ciemno, klaustrofobicznie. Rozległ się nowy dźwięk, tupanie i skrzypienie licznych butów, od czasu do czasu jakieś mruknięcie, oddech niewidocznego człowieka obsługującego urządzenie przekazujące obraz. Na środku ekranu Wariusz zobaczył z początku nieporządną sypialnię, potem schody, później salon. Nie dostrzegł jednak swojej niewysokiej, drażliwej matki ani powolnego ojca nieustannie słuchającego wiadomości, ale oczywiście w obecnej sytuacji nie mogli się zajmować takimi przyziemnymi sprawami.

Niemal wiedział, odkąd zaczął wierzyć, że przez jakiś czas nic mu nie zrobią, odkąd Gabiniusz po raz pierwszy wspomniał o jego rodzicach, że właśnie to miał tu zobaczyć, a jednak odbierał to jak atak najgłośniejsze-

go hałasu, najbardziej oślepiającego światła, druzgoczącego swym wybuchem snu. Znowu potknął się o łańcuchy i nagle usiadł załamany na podłodze, mógł tylko błagać.

- W tej chwili ich tam nie ma - odezwał się stojący nieruchomo Gabiniusz. - Są w Rzymie, szukają cię. Nie przyznają się przed sobą, że boją się, czy nie popełniłeś jakiegoś szaleństwa, które rzecz jasna popełniłeś.

Wariusz zamknął oczy, odetchnął głęboko.

- Proszę, nie.

Gabiniusz odwrócił się i nieco niezdarnie, bo dla tak dużego mężczyzny był to wysiłek, przykucnął.

- Powstrzymaj mnie - powiedział cicho i cierpliwie.

- Nie.

- Wariuszu - poprosił cicho Gabiniusz. Wariusz zacisnął zęby, coś w rodzaju powolnego krzyku samo wydarło się spomiędzy nich. Nie potrafił powtórzyć „nie”, ale nie powiedział nic innego. To nie myśl o niewolnikach go powstrzymała; teoretycznie wiedział, że to dla niego bardzo ważne, niemal ważniejsze od wszystkiego - ale teraz to było zbyt trudne, nie potrafił dostrzec zwykłego niekończącego się okrucieństwa ani abstrakcyjnej, niepotrzebnej śmierci, nie widział tego tak wyraźnie, jak tych przerażających zdjęć z domu rodziców. Ale Marek był taki młody, a Wariusz musiał się o niego troszczyć, ktoś musiał, skoro zabrakło Leona i Klodii. Przycisnął pięści do oczu, aż poczuł ból, jakby mógł się wcisnąć w tę pulsującą ciemność. Gabiniusz westchnął ciężko i wstał. Wariusz widział tylko ciemność, ale poczuł powolność tego ruchu, słyszał zmęczenie tamtego oddechu.

- Wariuszu - odezwał się Gabiniusz. - Spójrz.

Wiedział, że go jakoś zmuszą, ale nie chciał tego zrobić z własnej woli.

Gabiniusz powtórzył tępo, z pewnym jakby wahaniem.

- Żadnego rodzeństwa. Okropne. Przynajmniej rodzice twojej żony nie musieli tego znosić.

Wariusz odsunął ręce od twarzy i uniósł głowę. Tak mocno przyciskał dłonie do oczu, że dopiero po chwili odzyskał jasność widzenia. Ale obraz na ekranie był niewyraźny - tym razem filmowali przez liście, z przyczajonej pozycji, być może w podmiejskim ogrodzie. Obiektów poruszył się, znalazł wolną przestrzeń. Oto ulica - nie znał jej, choć odgadywał mniej więcej, gdzie może się znajdować. Jakaś postać zamigotała, stała

się ostra, ruszyła powoli po drugiej stronie ulicy, z założonymi rękami, być może wracała ze szkoły do domu.

Rosa była zaskakująco chuda i koścista, ale ciągle zapominał, że ma już trzynaście, czternaście lat - utkwiała mu w pamięci jako jedenastoletka. Fakt, że niespecjalnie ją lubił, jakoś to wszystko utrudnił. Przez pierwszy rok, przy każdej wizycie w domu Gemelli, nie spuszczała ich z oczu, była rozżalona i zarazem nim zafascynowana. Nieustannie usiłowała dopaść go na osobności i zaatakować pytaniami w rodzaju: „Kochasz Gemelle?”, a potem zgryźliwie, jakby była ojcem Gemelli, a nie jej siostrą, rzucała: „Jakie masz wobec niej zamiary?”.

Jednak teraz wyglądała jak dorosła kobieta, nie tyle dlatego, że urosła, ile przez te pozbawione nadziei ruchy, wyraz twarzy, który nagle, gdy obraz się wyostrzył, stał się widoczny.

Tym razem nie odczuł wstrząsu, był jakby poza tym wszystkim.

- Kiedy rozejdą się wieści o tobie - mruknął Gabiniusz - i o tym, co uczyniłeś, wszyscy będą mieli czas się nad tym zastanowić. Twoi rodzice pójdą na pierwszy ogień. Nią - Rosa minęła obiektyw, który ją jednak dogonił przed domem, popatrzyła obojętnie na drzwi, zanim weszła - zajmujemy się później.

Rodzice Gemelli - i wszyscy inni - dowiedzą się, że to ty jesteś sprawcą śmierci ich córki. I tak będzie. Nie będą tylko wiedzieli, której córki. - Ciało Wariusza szarpnęło się, jakby przeszył je prąd, choć on sam prawie sobie tego nie uświadomił. Spojrzał bezradnie na wielką twarz Gabiniusza, unoszącą się między nim i ekranem. - Słuchaj, zanim powiem coś więcej, wyjaśnię ci, że kiedy znajdziemy Marka Nowiusza, postąpimy ostrożnie. To nie będzie wypadek samochodowy, skorzystamy z czegoś innego niż ta trucizna w łakociach od pani Makarii. Obiecuję, on się nie dowie. Nie będzie cierpieć. Ale ona... musisz mieć zupełną pewność, co należy zrobić. Chodzi o to, że pewnego dnia się zgubi, potem się wprawdzie znajdzie, ale niełatwo będzie ją rozpoznać, będzie... spalona albo może poćwiartowana. I wszyscy się dowiedzą, że to trwało długo... bardzo długo.

Wariusz jęknął, więc jednak mógł odczuwać szok. Gabiniusz pokręcił głową niemal z żalem.

- Nie martw się. Przecież do tego nie dojdzie, prawda? Nie robię tego

dla zabawy. Muszę zyskać pewność.

Wariusz wstał, nie mógł złapać tchu, był rozdygotany.

- Nie chcesz tego.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Gabiniusz, po raz pierwszy wyraźnie nieco urażony. - Leon to jedno... - wymamrotał i urwał. A Wariusz, który zaryzykował niemal na chybił trafił, zaczął bełkotać ożywiony nagłą falą nadziei:

- Nie musisz. Marek nie skończył siedemnastu lat. Powiedziałeś, że... że ja byłem za młody... że masz małego synka. Marek ma szesnaście lat. Nie musisz. Kto ci powiedział, że to konieczne? - Z chorą fascynacją wsłuchał się w dziwaczną łagodność, która zakradła się do jego głosu, zupełnie jakby przemawiał do rannego dziecka. Nawet dźwignął łańcuch, by położyć pocieszająco rękę na ramieniu Gabiniusza. - Oczywiście, Leon to co innego. To było jak... jak na wojnie, prawda? Żeby bronić Rzymu. Ja naprawdę rozumiem. Stanowił zagrożenie i... i wiedział, że ryzykuje. Ale Marek... i ona... - Nie mógł znowu spojrzeć na Rosę. - To dzieci. Nie musisz.

- To nie mój pomysł - wymamrotał zasmucony Gabiniusz. - I żałuję, że nie stało się inaczej. - Odwrócił się, wbił w Wariusza wzrok, a Rosa skoczyła w tył, z domu, przez ulicę, zadygotała i rozpoczęła od nowa żalosny przemarsz. - A moje dzieci? Co z ich dziedzictwem? - Znowu wykonał szeroki gest, pokazując na zbyt kowanną salę. - To właśnie dlatego. Nie dla mnie. Czyż mogłyby to zachować, gdyby sprawy potoczyły się tak, jak chcecie? Wariusz nie ustawał.

- Nie, zawsze będziesz pamiętał, nie mógłbyś...

Gabiniusz, który do tej pory ani razu nie podniósł głosu, tym razem ryknął:

- Muszę mieć pewność! A ty musisz wiedzieć, że to zrobię! Mamy zacząć? Zacząć od twoich rodziców, żebyś wiedział, że to nie żarty? Chcesz, żeby ktoś zaczął polewać tę dziewczynę kwasem? Od tej chwili nie będę miał do siebie pretensji! To ty mnie zmusiłeś!

Wytarł twarz.

Wariusz zgarbił się bezsilnie. Gabiniusz chwycił go za ramiona.

- Mów. Gdzie go wysłałeś?

- Nie wiem - szepnął Wariusz.

- Nie bądź durny! - ryknął dziko Gabiniusz.

- Nie - powiedział Wariusz, niemal zbyt cicho. - Nie, nikt tego nie wie. To miejsce, gdzie uciekają niewolnicy. - Minęło sporo czasu, zanim wykrztusił coś więcej. Tak jakby jego ciało chciało zachować milczenie, jakby pamiętało truciznę i pragnęło, o wiele za późno, zaprzestać wszystkich funkcji. - W Pirenejach. Powiedziałem Markowi, żeby szedł do wioski Athabia. Sądziłem, że tam ktoś go odnajdzie i wskaże mu dalszą drogę. Tak robią niewolnicy. Nie wiem, gdzie to jest.

- Niewolnicy? - powtórzył Gabiniusz. Zmarszczył brwi. - Ale nie wschodnie Pireneje? Nie miasteczko Wilczy Krok przy przejściu do Hispanii?

Wariusz wytrzeszczył oczy zdruzgotany, niczego nie pojmujący.

- Jeśli kłamiesz, będzie gorzej - ostrzegł Gabiniusz z groźbą w głosie.

Wariusz tylko pokręcił głową.

Gabiniusz znowu westchnął i z pewną czułością zaprowadził Wariusza na fotel. Wariusz pozwolił się prowadzić, opadł bezwładnie na aksamitne siedzenie.

- Dobrze - powiedział Gabiniusz. Wziął pilota i lśniące morze znowu przy płynęło, biały żagiel przecinał je z wolna, a fale zaczęły szum zapomnienia. Gabiniusz pocieszająco potarł ramię Wariusza. - W porządku. Kiedy tylko się skończy, wrócisz do domu. Pójdiesz do domu, do swojej biednej matki. Słuchaj, nie patrz tak, nie czuj się tak. To nie twoja wina. Nie mogłeś zrobić nic innego. Cała ta sprawa jest haniebna. Żyjemy w złych czasach, i tyle.

Dama śnił, że wypadają mu zęby. Zaczęło się od trzonowców w głębi górnej szczęki. Poczuł, że ząb się porusza, kołysze w obolałym kraterze dziąsła, a potem ostry korzeń wysunął się z gąbczastego ciała na ziarna kubków smakowych i Dama przetoczył go po języku. Wypluł na dłoń, co samo w sobie powinno świadczyć, że to sen, i pomyślał, no tak, bez jednego zęba da się żyć.

Potem wypadł następny. W końcu zaczęły wychodzić dwójkami i trójkami, a czasami rozłupywały się i wysypywały jak mokre okruchy, trzeszcząc przy tym niczym zgryzione orzechy lub gotowane słodycze. Trząśł się i dławił z przerażenia, co powodowało, że zęby spadały jeszcze szybciej. Potykając się, zbiegł z niedokończonej wieży i ruszył między pokruszonymi kamieniami, dysząc, płacząc, plując odpryskami szkliwa.

Obudził się mokry od potu i początkowo poczuł ulgę, lecz kiedy zaciśnął zdrowe szczęki, naszło go rozdrażnienie. Nie rozumiał, dlaczego ten sen był tak straszliwy ani dlaczego, skoro musiał mieć koszmary, to akurat o zębach. To upokarzające. Są rzeczy o wiele gorsze.

Natychmiast wstał. Przez chwilę się modlił, wyłącznie w myślach, nie zdradzając tego w żaden sposób. Na ogół usiłował modlić się bez słów, czuł - nie wiedząc dlaczego - że nie należy być zbyt szczegółowym, prosić o coś konkretnego, prawdziwymi słowami. Jednak nie potrafił powstrzymać czegoś w rodzaju dogłębnego pomruku. Boże. Pokaż mi, co robić. Daj mi jakieś zajęcie. Niedługo, pewnie za jakąś godzinę lub dwie, pojawi się Lal, która pomoże mu umyć zęby i ogolić zarost. Wiedział, że nie lubiła tego robić, choć chyba nikt jej nie zmuszał. On też tego nie lubił, ale ktoś musiał mu pomóc. Po takim czasie powinien się przyzwyczaić - przyzwyczai się, stawi temu czoło.

Lal przemierzyła czternaście mil - do wioski i z powrotem - żeby obciąć sobie włosy na krótko, takie obecnie nosiły rzymskie dziewczęta.

Delir był zły, że ryzykuje dla takiej bzdury. Dama sam nie wiedział, czy jest zdenerwowany, że Lal chce czegoś od Rzymu, że nie może po prostu w tym złym miejscu wybrać tego, co lubi, a o reszcie zapomnieć. Biedna mała Lal, pomyślał, ona także się nudzi. To nie jej wina.

Zduślił świadomość, że dziś nie ma właściwie nic do roboty, a raczej nic pilnego. Mógł obserwować monitory, choć nie przypadała jego kolej, bo beczynne siedzenie i wypatrywanie tego, co prawdopodobnie nie zjawi się nawet teraz, jakoś zabijało czas.

Początkowo tłumaczył, jak się robi różne rzeczy, jak się wyrównuje zbrocza, wbija słupy i kładzie belki, jak należy rozkładać obciążenie i uruchamiać generator. Teraz, choć trzeba było dbać o wszystko, nie mógł w tym brać udziału.

Mógł chodzić i sprawdzać trasy wylotowe, i upewniać się, że żaden przewód się nie oblużował.

Pewnie miewał koszmary z powodu spiralotów, mimo że tylko jego tak naprawdę nie przerażały. Zeszłej nocy znowu usłyszeli zbliżający się terkoczący pomruk, który uniósł się wysoko i ucichł, tak że ucho usiłowało przekonać mózg, że odległe pulsowanie naprawdę znikło, choć w rzeczywistości tylko stało się równomierne, a potem znowu nabrało mocy. Wszyscy wpadli w panikę. Dama i Delir bez końca powtarzali, że ich nie widać. Wyłączyli wszystko, choć pewnie bardziej dla spokoju ducha niż z prawdziwej potrzeby.

Wyszedł na zewnątrz, choć Lal błagała, żeby tego nie robił. Mogą mieć specjalne okulary, powiedziała, w których widzą w ciemności. Ale nie przez kamienie, drzewa i za zakrętami, odparł.

Najbardziej niepokoił go fakt, że hałas, którego źródło zmieniało położenie, powodował, że Dama spodziewał się ujrzeć jednostkę powietrzną, był pewien jej obecności, nieustannie myślał: oni tam są. Stał, ponaglał ich, żeby się pokazali, ale terkot śmigieł narastał, a on nie widział świateł.

Chodźcie. Jestem tu.

Najpierw usłyszeli zgrzyt na porannym niebie. Nie wędrowali już nocą, ponieważ lasy były tak wspaniale puste, że niemal nie chcieli dotrzeć na miejsce. Nagle przycichli i przebiegł ich dreszcz, gdy zdali sobie spr-

wę, jak głośno mówili. Popatrzyli po sobie, sprawdzając, czy każde z nich słyszało ten dźwięk. Warkot narastał, zbliżało się pulsowanie.

Mogli jedynie stać bez ruchu, gdy wielka srebrna pszczoła przegryzała się przez powietrze. Maszyna wzleciała wyżej za ich plecami i - młode drzewa wokół wydały się tak rzadkie i przejrzyste - nagle stała się widoczna, dostrzegli nawet misterne połączenia płyt na spodzie. Czuli, że w zimnym, wzburzonym powietrzu ich włosy się poruszają, ubranie łopocze. Przeleciała nad nimi i skierowała się na zachód.

Una oderwała się od drzewa, do którego przypadli, i przebiegła nieprzytomnie parę kroków za maszyną, jakby chciała ją złapać, odwróciła się i spojrzała na Marka.

- Oto co się zdarzyło w Wilczym Kroku! Wiedziałam, że cię rozpoznają. To dranie, nienawidzę ich.

Była rozgorączkowana, roztrzęsiona. To niesprawiedliwe, powinni myśleć, że Marek jest w Hispanii, jeśli już musieli się zastanawiać, gdzie jest; nie powinna się czuć, jakby to była jej wina.

- Una, oni nawet nie zwolnili. Nic nie widzieli - odezwał się Sulien, idąc za nią.

Przez parę pierwszych dni po wydarzeniach w Wilczym Kroku Una była bardzo milcząca, zamyślona, szła na oślep, ale później dość niespodziewanie się ocknęła. A ponieważ mniej się martwili o to, jak daleko zajdą za dnia, rozmawiali więcej i głośniej. Una i Sulien dowiedzieli się, kim jest Wariusz; Marek wysłuchał wszystkiego o Tancorix i ucieczce z Londynu i nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego w to wcześniej nie wierzył. Una opowiedziała im nawet coś jeszcze, coś dziecinnie pokrępiącego, o latach spędzonych samotnie w Londynie: kiedy miała jedenaście lat, zbierała martwe muchy z parapetu i wsadzała je sprytnie w ciastka, które miała pakować. Znowu stali się sobie równi. Wydawało się, że anegdota o zdechłych muchach w fabryce nie różniła się od opowieści Marka o tym, jak boski cesarz się upijał.

Ale Una i tak myślała: To tylko dlatego, że tutaj jesteśmy sami. Później wszystko się zmieni.

- Przestań mnie uspokajać, musimy się zastanowić, co robić! Mogli tam wylądować... nie, nie mogli wylądować, ale mogli spuścić ludzi.

Marek spojrzał na zachód za spiralotem.

- To dedal - powiedział spokojnie. - Wojsko takich używa, nie wigi-

lowie.

- Co? Co to znaczy? Że wszyscy cię szukają? - spytała Una jednym tchem. - Wiesz, ile osób do niego wchodzi?

- Około dziesięciu. - Skinęła głową, nieco uspokojona tą liczbą, jak każdą wiarygodną informacją. - Ale to nie znaczy, że kogoś szukają. To mogą być ćwiczenia wojskowe.

- Wiesz... - zaczęła zapalczywie, ale urwała i przyjrzała mu się. - Ty wiesz, że to nie ćwiczenia - dokończyła cicho.

Początkowo nie odpowiedział, zastanawiał się, czuł na sobie jej spojrzenie i musiał przyznać:

- No, dobrze. Szukają nas. Ale byłem w takim. Sulien ma rację. Nie widzieli nas. Nie dziwi mnie to. Mogliby nas zobaczyć, gdybyśmy się ruszali, lecz staliśmy w miejscu.

Dalej patrzyła na niego.

- No dobrze, pomyślałem, że chcą nas zabić. Ale to bez sensu.

Po tych słowach niemal się roześmiała.

I spokój tych lasów na chwilę im się udzielił. Ale po południu tego samego dnia znowu usłyszeli maszyny sunące ku Hispanii i znowu ledwie było je słyhać. W nocy, zanim dotarli do Athabii, po raz pierwszy nie potrafili stwierdzić, gdzie znajdują się spiraloty. Potem zobaczyli daleko parę świateł kursujących tam i z powrotem w ciemnościach, nad wioską i wokół niej.

Miasteczko Wilczy Krok wydawało się maleńkie, ale Athabia prawie nie istniała. Można ją było obejść w niespełna pięć minut. Białe domeczki miały okiennice malowane na ciemno-czerwono lub zielono, a parę było ozdobionych małymi czubami, jeżącymi się na szczytach dachów z czarnych dachówek. Poza tym niczym się nie wyróżniały. Stały przy luźnej, krętej pętli brukowanej uliczki, która zakręcała wokół brzydkiego pieńka fontanny i kończyła się niemal w pustce. Tylko jedna mała dróżka prowadziła poza wioskę pomiędzy jaskrawozielonymi wzgórzami, na których nie dostrzegli ani budynków, ani żadnego drogowskazu. Na najbliższym jałowym zboczu, gdzie kępa brzeziny rozstępowała się, ukazując trawę, pały się owce - i na tym koniec. Nawet w środku Athabii nie było widać nikogo.

Nie mieli ochoty się ujawniać, ale gdyby tego nie zrobili, nic by się nie wydarzyło. Stojąc między mokrymi drzewami, zastanawiali się, co zrobić

z bagażami, i w końcu je schowali, żeby nie wzięto ich za podróżników i żeby w razie czego łatwiej mogli uciec.

- No tak - odezwał się Marek, kiedy nadszedł czas pójścia do wioski. W ponurych nastrojach powlekli się ulicą prowadzącą do małej fontanny.

Mżyło. Nigdzie nie było widać publicznego dalwizora. Jeden biały sklep sprawiał wrażenie jakiejś austerii; przez otwarte drzwi dostrzegli paru starszków siedzących ponuro ze szklankami w rękach, obok półki z przetworami i butelkami pomad do włosów i piór.

- Nie rozumiem ich - oznajmiła nagle Una.

Była dość wystraszona.

- Jak to?

- No... uczucia, obrazy i rzeczy są takie same... ale wszystkie słowa... to nie łacina, nie wiem co.

Oczywiście w Londynie byli Sinoanie i Nionianie, ale nigdy przedtem nie znalazła się w miejscu, gdzie mówiono obcym językiem, i to ją wyraźnie wytrąciło z równowagi. Myśląc od zawsze: nie jestem prawdziwą Rzymianką, nigdy nie brała pod uwagę, do jakiego stopnia jest absolutnie zależna od łaciny, tak wszechobecnej, że łatwo było zapomnieć, iż jest ona tylko językiem.

- Jesteśmy w środku imperium... dlaczego nie mówią po łacinie?

Sulien i Marek usłyszeli to dopiero teraz: dziecko i młodzieniec w kombinezonie kłócili się o coś w pobliżu garażu. Te długie klekoczące szeregi sylab, pełne z i x, brzmiały niezwykle; Sulienowi przypomniały się przelotnie strzępy greki, których nauczył go Catavignus, ale zaraz pomyślał, że to nie greka, że język ten nie jest do niej wcale podobny. Potem, po kilku sekundach, zdali sobie sprawę, że słyszą także łacińskie słowa, lub ich wersje, początkowo trudne do rozpoznania i dość dziwnie brzmiące wśród innych słów - samochód, silnik.

- Co za różnica? - spytał Sulien. - Zorientowałabyś się, gdyby mieli na nas donieść?

- Eee... - Una odwróciła się niepewnie, powiodła wzrokiem od garażu do sklepu. - Nie wiem. Tak, zapewne, ale... - W zasadzie mogłaby odetchnąć z ulgą, że nie musi tyle rozumieć, ale była spięta, czuła tylko jakby dzwonięcie w uszach, czekała w skupieniu, aż to minie.

- Widzisz ten sklep? - spytał Sulien. - Tam chyba nie mają arkuszy wiadomości. Jeśli nie mówią po łacinie, to może nawet nie słyszeli o

Marku. Ale trudniej będzie się dogadać.

- Mogą mówić po łacinie, tylko w niej nie myślą.

- A, to mi nie przyszło do głowy - odezwał się nagle Marek. - W Pirenejach naprawdę mówi się w innym języku. To są... jak oni się... Waskonowie.

- Rozumiesz ich? - spytał Sulien.

- Nie, tylko o nich słyszałem, nawet nie pamiętam kiedy. To akwitański. Ale nie sądzę, żeby tak go nazywali. Jest starszy od łaciny.

Stali jak idioci pod fontanną.

- Czy tu się można nauczyć języków? - spytała po chwili Una, kiedy nic się nie działo.

- Wariusz tak mówił - powiedział Marek. - Mandaryńskiego i nioniańskiego.

Na myśl o Wariuszu skrzywił się z poczucia winy. Sześć ostatnich dni - a przynajmniej tych dni, zanim usłyszeli spiraloty - minęło mu łatwiej, bywał nawet szczęśliwy. Ale im lepiej wyglądała sytuacja i im bardziej oddalał się od Rzymu, tym częściej myślał z niepokojem, że nie powinien z niego uciekać. Było to uparte, powtarzające się mamrotanie, niemal słyszalne w ciche noce, kiedy dopadało go na progu snu. Nie powinien pozwalać Wariuszowi decydować o wszystkim. Powinien przewidzieć rozwój sytuacji.

- Żadne z nas nie będzie musiało wędrować do Siny - oznajmił Sulien. - Kiedy to wszystko się skończy, zamieszkamy tam, gdzie chcemy.

Znowu spojrzeli w górę. Ponownie szare niebo było puste.

- Tak, ale moglibyśmy już coś zrobić - powiedziała Una.

Sulien spojrzał na Marka.

- Nauczyłybyś się dla zabawy mandaryńskiego i nioniańskiego?

- Eee... - zająknął się zażenowany Marek. - Już je znam.

Wytrzeszczyli na niego oczy.

- To znaczy mniej więcej. Lepiej idzie mi greka, ale greka nadaje się tylko do pisania.

- Mandaryński, nioniański i greka - zdumiała się Una.

- Musiałem - wyjaśnił Mark. Potem uśmiechnął się i dodał: - I mogę powiedzieć: „Dziękuję, to zaszczyt się tu znaleźć” w języku keczua i Nawahów.

- Powiedz - poleciała gwałtownie Una.

- Daj spokój.
- Powiedz, Marku, powiedz - uparli się Una i Sulien, śmiejąc się.
Ale mechanik zaczął się im przyglądać znad wybebeszonego starego samochodu, więc umilkli.
- Nie powinniśmy hałasować - mruknęła Una - i nie możemy nazywać cię twoim imieniem przy innych, nawet teraz.
- Nie - rzekł Marek z żalem. - Dość się przyzwyczyłem do bycia Polliem...
- Nie, to nie może być imię, którego już używałeś.
- Wiem. Mam powyżej uszu fałszywych imion.
Ale Una cofnęła się odrobinę, obejrzała się od niechcienia na górę.
- Ten mechanik coś o nas wie - oznajmiła. Marek zerknął na nią szybko.
- Rozpoznał mnie?
- Nie. Nie, jestem niemal pewna. Ale chyba wie, że jesteśmy niewolnikami.
- Ha - powiedział Sulien. - Może tak to działa.
- Idzie - ostrzegł Marek.
Mechanik odłożył silnik na miejsce i ruszył do nich energicznym krokiem. Przynęśli się do siebie.
- Mechanik stanął i spojrzał na nich. Miał jakieś trzydzieści lat, krępe ciało i proste kasztanowe włosy.
- Łacina? - spytał.
Una skinęła głową z wahaniem.
- A... - mruknął do siebie, nie do nich. Niecierpliwie zmarszczył brwi, szukając najwyraźniej następnego słowa. - Zabłądzili?
- Nie całkiem - odparła Una.
- Chyba tu czekacie - oznajmił mężczyzna bez wahania. - Ktoś przyjdzie, was znajdzie, rozumiecie?
- Nie potrafili odpowiedzieć. Uśmiechnął się do nich krzepiąco.
- Rzymianie. Nikt bardzo nie lubi, rozumiecie?
- Nie rozumieli, nie do końca. Znowu spróbował:
- Tutaj jesteśmy bardzo... - Ale znowu zabrakło mu łacińskich słów, więc złożył parę razy stulone dłonie, być może usiłując powiedzieć: bliscy sobie albo zamknięci, a potem ich zostawił.
- Chyba kogoś powiadomi - wymamrotała Una po jego odejściu.

- Ale nie wigilów - odezwał się Marek. - Bo po co by nam mówił, że ktoś przyjdzie? W ogóle by z nami nie gadał.

Una pokręciła głową niezadowolona.

- Nie wiem, co tu nie gra - ciągnął Marek z wahaniem - ale coś jeszcze jest nie tak.

- A co?

- Wariusz. Spirality były tu zeszłej nocy. Nie patrolowały okolicy, skupiały się dokładnie na tym punkcie. Nie sądzę, żeby przez to, co się wydarzyło w Wilczym Kroku. Powinni przypuszczać, że idziemy do Hispanii. Na pewno początkowo tak podejrzewali. Ale może też Wariusz... Choć wiele by trzeba, żeby go do tego zmusić. Nawet nie chcę myśleć... - Urwał i zacisnął zęby, bo to mu się nie mieściło w głowie.

- Mógł powiedzieć komuś, komu ufał i kogo źle ocenił - odezwał się Sulien cicho.

Marek rzucił mu szybkie spojrzenie pełne wdzięczności. To niewykluczone.

- W każdym razie wygląda, jakby wiedzieli, gdzie nas szukać.

- To znaczy, że według ciebie mamy odejść? - spytała Una.

- A odeszłabyś, gdyby tak było?

Zawahała się.

- Być może.

- Nie - odezwał się Sulien, zwracając się do obojga. - Przebyliśmy taką drogę... Nie możemy się poddać i iść gdzie indziej, bo nie istnieje żadne gdzie indziej. Słuchajcie, jeśli wigilowie nas tu znajdą, to mogliby nas znaleźć wszędzie, dajmy już sobie spokój. I tak lepsza okazja się nie trafi.

Po chwili znudziło im się omawianie zagrożeń. Mżawka siąpiła z uporem. Sulien i Marek chcieli kupić coś w sklepie, raczej dla zabicia czasu niż z głodu, ale zniechęciło ich ryzyko i bariera językowa. Po dwóch godzinach Sulien miał dość i kupił biszkopty, posługując się gestykulacją i uśmiechem. Zjedli je niemrawo, skuleni na ziemi przy fontannie.

Potem ktoś, kto zaszedł ich od tyłu, odezwał się czystą łaciną pozbawioną akcentu:

- Wiem, kim jesteście.

Marek podniósł głowę zaniepokojony, a młody mężczyzna, który nad nimi stanął, ciągnął po chwili wahania:

- Sulien.

Sulien podniósł się powoli zdumiony. Od przybycia do Tolosy nabrał przekonania, że nikt już się nie interesował zbiegami z więziennego promu. Uporczywa troska Uny zaczęła się wydawać - przynajmniej w połowie przypadków - raczej nerwicą niż racjonalnym lękiem, czasami irytującą, niekiedy rozczulającą, którą należało łagodzić dla dobra Uny, nie jego. I nawet kiedy się upewnił, że chłopak znający jego imię nie jest wigilem ani żołnierzem, szok nie zniknął. Tak jakby ten obcy przyniósł go ze sobą, jakby był w niego ubrany. Nie chodziło tylko o groźną minę, gdyż nie była wroga - nie musiał być Uną, żeby dostrzec, iż ten chłopak przygląda mu się z zadowoleniem i pełnym ciekawości ożywieniem. Jednak Sulien patrzył na niego i wiedział, że coś tu jest nie tak.

Marek dostrzegł, że Una i Sulien pobledli trochę. Sulien uniósł rękę i przycisnął do ciała, nie jakby był ranny, lecz jakby ścisnął w niej talizman czy skarb.

Dama nie wyglądał zwyczajnie. Był niższy od Marka i Suliena, krępy, ale coś w jego postawie, w okrągłości głowy nie pasowało do masywnego torsu i szerokich barków. Kiedyś musiał być anielsko ślicznym chłopczykiem i przy pewnej zmianie światła lub wyrazu twarzy pojawiały się ślady dawnej urody i otaczały go jakby połamaną, rozbłyskującą aureolą. Jego kędzierzawe włosy miały kolor, który pewnie chciała osiągnąć kobieta z austerii w Wilczym Kroku - lśniący, miedzianokasztanowy. Ale delikatne rysy, zamiast stać się wyraziste jak u dorosłego, pozostały niemal niezmienione, a mały dziecięcy nos był zbyt łagodnie zarysowany, do tego dochodziły różowe wargi cherubina, policzki bezkształtne i ciastowate i mały ostry podbródek, pokryty rzadkim zarostem. Rdzawe piegi wyglądały dziwnie obok nielicznych płytkich zmarszczek, bo Dama miał dopiero dwadzieścia lat, i kontrastowały ze świeżą cerą. Oczy miał duże, okrągłe, o długich rzęsach, tęczęwki wyglądały jak płaskie krążki o barwie akwamaryny, pozbawione plamek i smużek, obwiedzione pierścieniami ciemniejszego błękitu.

Badawcze, skupione spojrzenie bardziej pasowało do twarzy znacznie starszej, szlachetniejszej. Sulien nie od razu zdał sobie sprawę, że taką minę miewała czasami Una.

Pojawienie się Damy zaskoczyło również Unę, nie wiedziała, co on myśli ani skąd się wziął. Łacina najwyraźniej stanowiła jego rodzimy język, ale Damę było niemal równie trudno przejrzeć jak tych Waskonów, a

może i trudniej, bo nie chodziło tylko o słowa, których nie rozumiała. To było dziwne, bo ta twarz nie była wcale nieprzenikniona, w każdym razie Una nie odnosiła takiego wrażenia. Jednak wyczuła coś w rodzaju oporu, kiedy spróbowała wymacać ziarno myśli. W jakiś sposób wróciła do siebie, jakby zderzyła się z kulą lub lustrem. Ponieważ nie rozumiała Waskonów, co ją frustrowało, tym razem poczuła się jakby sprowokowana i zafascynowana.

- Jak to było? Jak uciekłeś? - zwrócił się Dama do Suliena, ale oparował się i potrząsnął głową, nie pozwalając Sulienowi odpowiedzieć. - Wybraliście niedobłą porę - stwierdził i kiwnął głową w stronę pustego nieba. - Na pewno słyszeliście te spiraloły. Ktoś zdradził.

Zamilkli. Marek pokiwał głową ze skrepowaniem.

- To trudne. Chodzi o równowagę. Na nic się zdamy, jeśli nikt o nas nie wie. Ale jeśli zbyt wiele osób zacznie mówić, to będziemy skończeni. Czy przed wyruszeniem albo po drodze mówiliście komukolwiek, dokąd idziecie?

- Nie - odparła Una.

- Czy macie mi coś do powiedzenia na ten temat? - Znowu spojrzął w stronę nieba.

Zawahała się.

- Coś wydarzyło się po drodze. Ludzie odgadli, że jesteśmy niewolnikami. Mogli powiadomić wigilów.

- Kiedy to było?

- Jakiś tydzień temu.

Dama powoli pokiwał głową.

- Tydzień... i wszyscy jesteście niewolnikami?

- Tak - powiedział Marek.

- Nie, już nie - odrzekła Una.

Dama uśmiechnął się i przeszedł zachwycającą metamorfozę, zmieniając się w dziecko o wyrazistej buzi.

- Nie. Dobra odpowiedź. Oczywiście nie jesteście - zgodził się z naskiem. Rozpoznał podobieństwo Uny do Suliena, a potem przyjrzał się Markowi, przenikliwie, lecz o ile Una mogła się zorientować, bez cienia podejrzliwości. - Jesteście rodzeństwem. Ale ty... byłeś na więziennym promie?

- Nie. Gnejusz był lokajem tam, gdzie pracowałam, uciekł ze mną -

odparła Una spokojnie. Marek zdał sobie sprawę z pewnym zażenowaniem, ale i rozbawieniem, że został wyróżniony. Una ciągnęła: - To od niego dowiedziałam się o was.

Dama skupił spojrzenie lazurowych oczu na Marku.

- Skąd o nas wiesz?

- Poznałem kogoś w Sinie - odparł Marek.

- Jednego z naszych?

- Nie. Chyba tylko znajomego znajomego. To było jakiś czas temu - powiedział Marek z wypracowanym lekceważeniem.

- Mam nadzieję, że zachował ostrożność.

- Na pewno. Pracowałem wtedy dla kogoś innego. Ale kiedy znalazłem się w Londynie, powiedziałem o tym Unie, bo sytuacja zrobiła się niedobra. A do tego doszła jeszcze przygoda Suliena.

Dama zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów, a potem odwrócił się gwałtownie do Uny i gestem nakazał jej, by podeszła bliżej.

- Na pewno nie było odwrotnie? - spytał cicho. - To on wam powiedział?

- Tak. - Rzecz jasna to była prawda.

- I jesteście go zupełnie pewni?

- Tak.

Sulien nie rozumiał, dlaczego przynajmniej ona nie potrafiła dostrzec, co tu jest nie tak. Dlaczego nikt tego nie widzi?

Dama wrócił i spytał z irytującą bezpośredniością:

- Czy jesteście szpiegami?

Marek uniósł brwi.

- Nie. Ale czy ktokolwiek odpowiedział „tak”?

Dama uśmiechnęła się znowu, choć tym razem dość chłodno.

- Nikt nie był szpiegiem - odparł łagodnie. - Zapytać nie zaszkodzi. Nie można się zorientować, czy ktoś kłamie, jeśli nie nakłoni się go do kłamstwa.

To Marka nadal poddawał badaniu - dokładnemu. Sulien, sądząc, że zdołał odwrócić uwagę Damy od siebie, spróbował opanować ogarniającą go falę mdłości.

- Nie myślisz, że kłamiemy, prawda? Przebyliśmy taką drogę...

- Nie. Bo wiem, że byłeś niewolnikiem. A jeśli ty byłeś, to i Una musiała. - Spojrzał na nią i dodał poważnie: - To znaczy kiedyś byliście. I

oboje ręczyście za Gnejusza. Zatem... - Ale zawahał się, zmarszczył brwi zatroskany, bo przecież go okłamywali. A jednak sądził, że nie stanowią zagrożenia, że we wszystkich istotnych sprawach mówią prawdę.

Odwrócił się do Suliena, który opierał się o fontannę, wpatrzony w ruchliwą wodę.

- Ale nie ciebie ścigają. Nigdy jeszcze nie zbliżyli się tak bardzo. Już dawno temu przestali nas szukać.

- Przepraszam - powiedział Sulien z prawdziwą skruchą, jakby zapomniiał, że to nie jego szukają spiraloty.

Dama spojrzała na niego ze smutkiem i współczuciem.

- Nie szkodzi. Potrzebowałeś naszej pomocy. Zaplanowaliśmy coś na taką okazję. Nie znajdą nas. Chodźcie.

Ruszył. Una poszła za nim, natychmiast pytając:

- A co by było, gdybyś tu przyszedł i wigilowie już by na ciebie czekali?

- Jak powiedziałem, nie było jeszcze tak źle. Nigdy nie wiedzą, gdzie szukać. Ale gdybym tu przyszedł i nie wrócił, od razu byłoby wiadomo, że coś jest nie tak. - Zamilkł i dodał cicho: - Im nic by z tego nie przyszło, że mnie pojмали.

- Tego nie możesz wiedzieć - rzekł Marek, który znowu pomyślał o Wariuszu znajdującym się w takiej sytuacji.

Dama nie odpowiedziała.

Sulien poczuł zawroty głowy i mdłości.

- A mieszkańcy wioski? - spytała Una.

- Nie ma tu wielu, którzy mogliby im pomóc. Właściwie tylko Palben. Ale on wie, co robi. Nawet jeśli im pokaże drogę, zobaczymy, jak nadchodzą. Zrozumiecie.

Una odwróciła się do Suliena z niemym pytaniem w oczach. Uśmiechnął się słabo, ale nie po to, by dodać jej otuchy, lecz by przekazać bezgłośnie - jego ręce.

Rozchyliła lekko usta ze zgrozą. Zrozumiała.

Nieco później Dama powiedziała wesoło, że gdyby byli szpiegami, gdyby mieli ze sobą jakieś urządzenie namierzające, toby nie działało, bo niósł maszynę blokującą sygnały, a w obozie mieli ich więcej. Kiwnął głową, wskazując urządzenie, klockowate wybrzuszenie na piersiach grubej kurtki.

Una zerknęła na Suliena, który skinął głową poblądły. Bardziej naturalnym gestem byłoby dotknięcie urządzenia palcem, ale Dama nigdy nie unosił rąk. A jednak chyba Sulien w życiu nie spotkał kogoś tak energicznego. Pomimo tych mil, które pokonał, nie potrafił ustać w miejscu, drepiał niecierpliwie, gdy zbierali bagaże i gdy zrobili postój, by odpocząć.

Zeszli z boczem w las, pomiędzy pnie drzew, smukłe i białe albo pokryte szarozielonymi kosmatymi łuskami. Przez jakiś czas Dama prowadził ich - stopniowo to zrozumieli - zawiłymi kręgami, przez najgęstsze skupiska drzew, skąd nie widzieli ani śladu gór i gdzie nie było ścieżki.

Już się nie przejmował Markiem i znowu nurtowała go ciekawość, jak doszło do ucieczki z więziennego promu. Marek nie rozumiał, dlaczego Una i Sulien tak osowieli, skoro Dama przysłuchuje się im z chciwą uwagą, wyraźnie ożywiony. Ale nawet Marek zauważył, że ręce Damy zwisają bezwładnie wewnątrz grubych rękawów, jak powiązane na supły liny albo proporce w bezwietrzny dzień. Nie były zupełnie bezwładne, bo raz czy dwa lekko uniośł lewą rękę, żeby odgarnąć z drogi masywną gałąź. Jednak ten ruch był urywany, sztywny, nadgarstek niemal trzasnął. Wyglądało to nienaturalnie, jak ruch martwego, porażonego prądem ciała.

Nieustannie zasypywał ich gorączkowymi pytaniami:

- Zastanawiałem się, czy ktoś z tego promu do nas dotrze. Zostałeś tylko ty i tamci dwaj. Nie wiesz, co się z nimi stało? Zaplanowaliście to razem? Jak uciekłeś?

- Dzięki siostrze - odparł Sulien zwięźle.

Dama, zaskoczony i pełen podziwu, przyjrzał się Unie.

- To ty zabiłaś strażników?

- Nie! - rzucił Sulien, zanim Una zdołała przemówić. Wzdrygnął się, bo przypomniał sobie ciało żołnierza balansujące na relingu, gdy chudy niewolnik dźwigał je i wrzucał obojętnie do Tamizy. - Nie, wtedy już nas nie było na promie.

- Ale skoro strażnicy żyli, jak otworzyłaś cele?

Una opowiedziała, jak podpłynęła do promu, ale nie tłumaczyła precyzyjnie, w jaki sposób się ukryła i jak zdobyła klucz. Była dziwnie wytrącona z równowagi ciekawością Damy, drzemiącą w nim energią oraz tym - dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę - co go niegdyś spotkało.

Dama zmarszczył brwi.

- Dlaczego cię nie widzieli?

- Mieliliśmy szczęście - odezwał się szybko Sulien.

Dama stanął na chwilę i westchnął.

- Jak blisko byłeś krzyży? - spytał ciszej Suliena.

W tej chwili drzewa się gwałtownie zakołysały. Jakoś nie usłyszeli maszyny, dopóki nie znalazła się tuż nad nimi: spiralot wyłonił się znikąd i zawisł tak nisko, że osłaniający ich kożuch liści został zmieciony w ułamku sekundy.

Una, Sulien i Marek wzdrygnęli się jednocześnie, ale Dama tylko się pochylił i usiadł pod drzewem, niemal z aprobatą spoglądając w górę. Una mu się przyglądała; w miarę jak warkot narastał, a spiralot krążył coraz niżej, jego usta poruszały się powoli; mówił cicho i pogardliwie do pilota jednostki:

- Idiota. Nie tak, nie, zupełnie źle. Musisz się bardziej postarać. Za kogo ty się uważasz?

Spiralot przeleciał. Dama wstał, wzruszył ramionami i rzucił kpiąco:

- Można by się spodziewać, że zmadrzeją. Muszą mieć ludzi na ziemi, jeśli coś chcą osiągnąć. - Ruszył szybko dalej, nie zauważając, jak to wydarzenie wytrąciło ich z równowagi. - Co zrobiłeś? - spytał Suliena.

- Nic nie zrobiłem - odparł Sulien.

Na twarzy Damy pojawiło się rozczarowanie, a nawet jakby pogarda. Potem powrócił na nią poprzedni wyraz.

- O - powiedział. - Gwałt.

- To nie był gwałt - wymamrotał słabo Sulien. - To trwało... prawie co noc przez sześć tygodni.

Dama zastanawiał się przez chwilę.

- Dziwka! - zawołał wreszcie.

Sulien pokręcił głową z namysłem. Tancorix oczywiście w żaden sposób nie starała się uratować mu życia, a jednak do tej pory nie zastanawiał się, czy była dziwka, czy nie, i nie chciał tego robić teraz, nie chciał o tym w ogóle myśleć. Minęły jakieś dwie godziny i dotarli do rzeki rozpiętej na gładkich kamiennych brzegach, przecinającej górę na dwie połówki, tak ostre jak skorupa ostrygi. Wejście do wąwozu wyglądało na zablokowane, bo w wodzie piętrzyły się wysoko kamienie. Dama jednak błyskawicznie wspiał się po osypisku, zdumiewająco sprawny, przytrzymując się wyłącznie dwoma najmniejszymi palcami jednej ręki, a częściej utrzymując równowagę dzięki balansowi ciała. Przeskakiwał szybko z

kamienia na kamień, tak że nie chybołał się pod jego ciężarem. Wspinali się jego śladem i zobaczyli, że zeskakuje na ziemię. Zatrzymał się i spojrział w górę, na drzewa.

- Możecie pomachać - powiedział. - Już was widzą.

Spojrzeni nieśmiało, ale nie dostrzegli kamer umocowanych między gałęziami.

- Są tu także czujniki reagujące na dotyk, połączone z biegnącymi pod ziemią przewodami - wyjaśnił Dama - które włączą alarm, jeśli ktośkolwiek zapuści się bez przewodnika do wąwozu. - Dostrzegli już najmniejszą z możliwych ścieżynek, minimalnie wyraźniejszą od szlaków jeleni czy borsuków, która poprowadziła ich po zielonych, twardych krawędziach mokrego wąwozu.

- Macie dalwizję? - spytał Sulien.

- Musimy - powiedział Dama. - Ale niezbyt dobrą.

- Od wieków nie oglądaliśmy dalwizji - zauważyła Una z wypracowaną obojętnością. - Znaleźli już Marka Nowiusza?

Czuła, że lepiej nie poruszać tego tematu, ale musiała się zorientować, ile o Marku wie Dama i pozostali mieszkańcy wąwozu.

- No nie - rzekł Dama z odrazą. - Wy też?

- Co?

- Kogo obchodzi, czy go znajdą? To idiotyzm... to histeria, ludzie dostają obsesji na punkcie kogoś, kogo nawet nie znają. Nawet tutaj! Bez przerwy mówią o nim w dalwizji. Jakby jakiś rozpuszczony bachor, któremu pomieszało się w głowie, był najważniejszą sprawą na świecie. Ja tego nie oglądam. Wychodzę, kiedy się zaczyna. - Westchnął i dodał: - Nie, jeszcze go nie znaleźli. Nie chciałem wiedzieć nawet tyle, nie do tego służy dalwizja. Mamy ją po to, żeby wiedzieć, czy wiedzą coś o nas, o naszych. I żebyśmy my mogli się dowiedzieć o takich jak wy - dodał ciepło, pohamowawszy rozdrażnienie - kiedy coś się dzieje. Na przykład wybuch bunt niewolników na więziennym promie!

Jakby zapomniał, że Una i Sulien nie brali w nim udziału. Marek i Una zerknęli na siebie. Wiedzieli, na co się muszą przygotować. Marek poprawił kapelusz.

- Czasami dostajemy arkusze wiadomości od Palbena, tego mecha- nika, to dobry człowiek. Prawdę mówiąc, dostajemy od niego prawie wszystko: jedzenie, sprzęt i... i środki przeciwbólne. Inni Waskowie nas

ignorują. Rozumiecie, tego nam było potrzeba, kiedy tu się osiedlaliśmy - zdumiewające, prawda, tak blisko do Rzymu, a to nie Rzymianie!

Najwyraźniej Dame bawiło opowiadanie o systemie ostrzegania i o tym, że kamienne osypisko nie powstało w naturalny sposób, że holzarta- nie zbudowali je jako pierwszą linię obrony. Uśmiechnął się z jawną satysfakcją na widok ich zaskoczenia, bo obóz był najwyraźniej o wiele lepiej wyposażony i chroniony, niż się spodziewali.

Sulien zastanawiał się, czy Una i Marek zauważyli u Damy jeszcze coś dziwnego oprócz okaleczonych rak, choć im dłużej szli, tym bardziej rzucało się to w oczy - sztywność ruchów nóg, przenoszenie ciężaru ciała z pięt na palce jakby szarpnięciem, rozkołysany kaczycy chód.

- Jesteśmy - oznajmił Dama.

Znowu nic nie dostrzegli. Niemal pomyśleli, że ten obóz, kamery i wszystko istnieje tylko w jego wyobraźni. Potem zaczęli dostrzegać zakręt wąwozu, lecz za zakrętem ściana znikła za drzewami i chaszczami, a potem zmieniła się w urwisko sięgające aż do niewidocznej rzeki.

- Tam! - oznajmił Dama z dumą. - Nie widać, co?

Podszedł rozkołysanym krokiem niebezpiecznie blisko przepaści. Stał i czekał na nich.

- Patrzcie.

Ze skraju przepaści sterczało stalowe ramię żurawia, a pod nim coś w rodzaju stalowego kosza, który można było podnosić i opuszczać za pomocą systemu bloczków i lin. Urządzenie było niewidoczne, dopóki nie stanęło się na samym skraju wąwozu.

Dama stał bez ruchu. W końcu spojrzał na nich spode łba.

- Są też drabiny, ale nie dla mnie. Nawet przy windzie nie... będziecie musieli mi pomóc. Sam nie dam rady się opuścić.

- Jak przeżyłeś? - spytał w końcu Sulien.

Dama zamarł, jakby ktoś do niego strzelił. Wbił w Suliena nieruchome spojrzenie, pobladał jak płótno i już w niczym nie przypominał dziecka.

Powoli wróciły mu rumieńce na twarz.

- Pracowałeś dla doktora - powiedział Dama.

- Nie tylko dla niego pracowałem, on mnie także uczył - odparł Sulien. - I... i mogę robić pewne rzeczy... - Zawahał się i dodał nieśmiało: - Pozwól mi spojrzeć.

Dama jakby się skurczył.

- Nie.

Sulien nie chciał go zapewniać, że może mu pomóc, bo bał się, iż nie da rady, widział martwe nerwy leżące jak spopielone drwa, ledwie utrzymujące pierwotny kształt, mogące się rozpaść od samego dotknięcia.

- Czy j edna ręka dokucza ci bardziej ?

- Milcz. - Dama zakołysał się lekko. Miał ochotę odepchnąć Suliena. - Nieważne, jak jest. Nigdy nie będzie lepiej. Nie bądź ciekawski. Muszę... muszę się pogodzić, że już zawsze taki będę. Ciesz się, że nie wiesz. Nie chcę, żeby ludzie na to patrzyli.

Jego słowa zawstydziły Suliena, który czuł jednak jakiś wewnętrzny nakaz.

- Rozumiem, ale...

Tym razem musiał wspomnieć coś o pomocy.

- Daj spokój, proszę - szepnął Dama błagalnym tonem.

- Nie, nie mogę. Przepraszam. Pozwól mi zobaczyć.

Dama odwrócił się, z rozgoryczeniem przestąpił z nogi na nogę i w końcu mruknął gwałtownie do Marka i Uny:

- Możecie odejść?

Odsunęli się nieco dalej, a Dama odwrócił się do Suliena, nie patrząc na niego.

- Jak dawno temu to się zdarzyło? - spytał Sulien.

- Zbyt dawno, byś mógł pomóc - odparł Dama, ale potem dodał cicho: - Pomożesz?

- Być może. Nie wiem.

- Och - wyszeptał Dama urywanym głosem. - Nie mów tak.

Sulien myślał, że będzie musiał mu pomóc obnażyć ramiona, ale Dama rzucił niecierpliwie:

- Poradzę sobie.

Gniewnie zaczął szarpać ubranie w pasie i Sulien dostrzegł, że gruba kurtka została tak przerobiona, żeby Dama mógł ją wkładać i zdejmować bez niczyjej pomocy. Zapinała się na zmodyfikowany sinoański sposób, po bokach, na duże kołki, przełożone przez luźne, grube pętle z wełny. Dama wyjął kołki dwoma palcami, którymi mógł ruszać. Uczynił to niezdarnej niż zwykle, ściągnął ubranie z ramion brodą i zębami i zaczerwieniony wysunął ramiona z rękawów. Pod spodem miał tylko obrębiony płat płótna, coś w rodzaju kamizelki. Nie była zszyta po bokach, więc

mógł ją wkładać, wsunawszy głowę w dziurę na środku, nie pomagając sobie rękami.

Ramiona zwisały bezwładnie, kości były obciążone skórą, a dłonie szare i szponiaste, na przegubach widniały charakterystyczne blizny.

Dama nie patrzył na nie. Rzucił szorstko:

- Nie wszyscy mają takie szczęście jak ty.

- Albo ty - odparł Sulien łagodnie i ostrożnie, starając się dać do zrozumienia, że dostrzega tę wielką różnicę. - Żyjesz.

Dama skrzywił się z irytacją.

- Tak, tak, tak. Nie sądz, że jestem niewdzięczny. Delir... nie myślał, po prostu... zadziałał. - Zamilkł i dodał z nutą kompletnej szczerości: - Nigdy nie zdołał mu się odwdziżyć.

Sulien obchodził się z jego prawą ręką łagodnie i profesjonalnie, usiłując zasugerować - za pomocą pewnego szczególnego tonu i fachowych ruchów - że widywał już równie poważne obrażenia. Ale to nie była prawda, nie zetknął się z niczym tak strasznym jak te uszkodzenia więzadeł i nerwów.

Podczas oględzin cały czas rozmawiali. Sulien był ciekaw, jak do tego doszło. Nie chciał dawać Damie próżnych obietnic.

- Delir cię uratował? Jak?

Dama zaczął sucho, bez emocji, jakby przekazywał sprawozdanie:

- To było na Drodze Appijskiej. Wisiałem na końcu szeregu. Daleko na drodze wydarzył się wypadek. Żołnierze poszli, żeby zainterweniować. Delir mnie zobaczył. Był kupcem i jechał do Rzymu. Byłem bardzo młody. Tak się to wszystko zaczęło. On tylko... razem z przyjaciółmi postanowił rozbić krzyż na dole, wiesz, tam gdzie są dźwignie, zniszczyli jakiś mechanizm i krzyż upadł. Zdjęli mnie, zabrali i ukryli. Delir miał przyjaciela lekarza. Miał mnóstwo przyjaciół. Razem nastawili mi stawy. Dali pigułki przeciwbólowe i w ogóle.

Gruby nerw biegnący do kciuka i dwóch pierwszych palców został zupełnie rozszczepiony; pod zmacerowaną łatą, gdzie przebił się kolec, nie zostało nic z wyjątkiem skurczonych strzępów. W dwóch ostatnich palcach pozostało niewiele życia, tak jak to było widać, ale rękę wypełniał gęsty osad starego cierpienia, cienkie, sztywne pręty bólu równoległe do kości ramion, zwinięte w barku, pod zakrzywionymi zaczepami ścięgien i zanikającym mięśniem.

- Tylko pigułki? - spytał Sulien, starając się, by w jego głosie nie po-brzmiewała groza.

- Mocne. Nie mogli mnie zawieźć do szpitala. Nie mogli powiedzieć, że takich obrażeń doznałem, kiedy spadłem ze schodów, no nie?

Sulien pokiwał głową.

- Długo wisiałeś? - wymamrotał.

Dama spuścił oczy, popatrzył na poszarpane ciało.

- Sześć, może siedem godzin - mruknął. Sulien musiał przełknąć śli-nę i na chwilę przerwać badanie, ale Dama dodał: - Nic z tego nie pamię-tam.

- Tak, to się czasami zdarza, po najgorszym. - Omal nie westchnął z ulgi, wdzięczny Damie za to, że mu powiedział, wdzięczny losowi za to, że mimo wszystko ocalił tego człowieka.

- Wiem - rzucił Dama nieuważnie.

- Dlaczego ci to zrobili? - spytał. Dama spojrzał na najeżony skałami horyzont.

- Zabiłem trzy osoby - oznajmił bezbarwnym tonem.

Sulien oderwał wzrok od badanej ręki, a powolny, dziwny, świerzbią-cy dreszcz przepętlął mu po skórze. Dama spojrzał na niego chłodno. Dłoń Suliena uniosła się nieznacznie, a Dama pomyślał spokojnie: Teraz się zastanawiasz, czym zawinili. Nie sądził, żeby Sulien zadał mu następ-ne pytanie, choć przez chwilę żywił do niego przyjazne uczucie i nie zro-biłoby mu to różnicy. Sulien rzeczywiście wzdrygnął się na myśl o tych okaleczonych dłoniach, które niegdyś, gdy były zdrowe, zabiły. I przy-pomniał sobie swój sen o nożu, a potem przypomniał sobie, jak chciał się rozprawić z ludźmi z Wilczego Kroku. Poczł czystą nienawiść.

Otrząsnął się. Powiedział sobie, że na razie nic nie ma znaczenia, ważne są tylko te zmasakrowane ramiona - przynajmniej dla niego. I odniósł wrażenie, że coś znalazł. Obie ręce początkowo wydawały się okaleczone w równym stopniu - ścięgnię rozerwane, dłonie obumarłe, ale w rzeczy-wistości lewy nadgarstek musiał być przygwożdżony trochę krzywo albo napięty mocniej niż drugi, bo szpikulec drasnął kość, lecz jakimś cudem ominął gruby nerw, zranił go i zmiażdżył, lecz nie przerwał. Nerw był obecnie także obrośnięty włóknistą tkanką blizny, ale poza tym zgrubie-niem krew nadal płynęła i nerw rozgałęział się do wszystkich palców. Dama, przechylający się całym ciężarem na prawo, z wolna naciągnął i

naderwał zwój nerwów w barku. Jednak napięcie prawego ramienia złagodziło nacisk na drugie, co zapobiegło rozdarciu nerwów, choć zostały odkształcone. Regenerujące się komórki utworzyły małe pączki na osłonie nerwów, tak bardzo je blokując, że przepuszczały zaledwie mgnienie impulsu, który poruszał mięśniami i zapewniał czucie w ręce. Sulien zbyt łatwo wyobraził sobie, że mógłby doznać podobnych obrażeń.

Lekko położył palce na bliźnie, drugą dłoń na ramieniu. Kciuk Damy, a potem jego palec wskazujący i środkowy szarpnęły się, jakby kogoś przyzywał.

Dama się wzdrygnął zaskoczony.

- Jak to zrobiłeś? - spytał. Wpatrzył się groźnie w palce, zmuszając je, żeby się znowu poruszyły. - Nic nie czułem. Jak to zrobiłeś?

- Nie wiem - odparł Sulien, skupiając się na bliźnie obrastającej nerw.

- Nie ruszały się od... od czterech lat - zachłysnął się Dama. - To... to cud! Ale nadal nic nie czuję...

- Co? - mruknął Sulien z roztargnieniem. - Nie możesz nimi poruszać, bo masz blokadę... tutaj... i tu... to nieco potrwa i nie daję żadnych gwarancji, ale może zdołam ją usunąć. Niewykluczone, że odzyskasz trochę czucia i sprawności.

Twarz Damy rozjaśniła się ze szczęścia.

- A prawa ręka...?

- Nie - uciał Sulien szybko. - Przynajmniej nie palce. Przykro mi. Te nerwy...

- Możesz z nimi coś zrobić?

- Nie - powtórzył Sulien z niezadowoleniem. - Zostały przecięte. Nerwy goją się fatalnie. Minęło zbyt wiele czasu.

Dama nadal patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, pełnymi nadziei, bez wyraźnego rozczarowania. Skinął głową.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecał Sulien, czując, że na razie chce zająć myśli czymkolwiek innym.

- Dziękuję - powiedział Dama, przywołując na twarz grymas, który miał być uśmiechem.

Marek i Una przyglądali się z daleka, jak Dama wkłada mozolnie kurtkę. Una zdążyła już wyjaśnić Markowi, co mu się stało.

- Myślisz, że to go dalej boli? - spytał Marek.

Una skinęła w milczeniu głową.

- Gdybym mógł temu zapobiec... - zaczął Marek i urwał, skrzywił się.
- Myślałem o tym ukrzyżowanym chłopcu z opowieści. Myślałem, że gdybym temu zapobiegł, może to by zdjęło klątwę z Nowiuszów. Nie takie powinny mną kierować pobudki.

- To prawda - powiedziała Una z instynktowną surowością, ale dodała: - Nie wyłącznie. Od takich myśli nie uciekniesz. To nie znaczy, że jesteś egoistą.

Usiłowali spojrzeć w dół, w wąwóz, ale nadal nie widzieli nic prócz liści.

- Jak długo chcesz tu... jak długo tu zostaniemy? - spytała nagle Una. - Skąd będziesz wiedzieć, że możesz bezpiecznie wrócić do domu?

- Może kiedy wuj i inni dowiedzą się, kto zabił moich rodziców, ogłoszą to w dalwizji - rzekł Marek z powątpiewaniem. - Albo Wariusz... Wariusz będzie musiał tu przyjechać.

- Ale jak myślisz, ile to potrwa? - Oczywiście na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć. - Czym się będziesz kierował, podejmując decyzję, jeśli nie będziesz znał wiadomości? I co wówczas?

- I tak będę musiał wrócić - powiedział cicho.

Zmarszczyła brwi rozdrażniona i zaniepokojona.

- Przecież nie możesz.

- Nie będę tu tkwić do końca życia. Muszę jechać do wuja. Jeśli go przekonam, nic mi się nie stanie.

- To głupie - oznajmiła z miazdzącą pewnością siebie. - Właśnie tego się boją. I na to będą przygotowani. - Nie odpowiedział. Ciągnęła dalej rozsądnie, choć jak na siebie zbyt szybko: - Oczywiście po paru latach... dwóch albo czterech... to już będzie co innego. W końcu przestaną się o ciebie martwić i łatwiej ich zmylisz. No i będziesz starszy, twój wygląd się zmieni. Wtedy może się uda... Tak właśnie myślisz, prawda, że poczekaś dwa lata?

Wiedziała, że nie.

- No cóż - odparł. - Może nie będę musiał czekać, może jutro... -
Urwał i odwrócił wzrok, myśląc, że przy pewnym oświetleniu jej oczy są niemal czarnoczerwone i że to taki piękny kolor. Nie chciał mówić, że niewykluczone, iż już jutro dostanie wieści, że może wracać do domu, bo zrozumiał, że tego nie chce. W tym momencie znowu zaczęło go dręczyć

poczucie winy - nie powinien zostawiać Wariusza, nie powinien wyjeżdżać z Rzymu.

- A wtedy mnie odwiedzicie? - spytał, starając się nadać tonowi nutkę serdeczności. - Ty i Sulien? Powinniście zobaczyć Rzym...

- Tak - powiedziała posłusznie, bo tego teraz chciał. Ale pomyślała, że nie mogłaby pojechać do Rzymu.

Dama ich zawołał. Sulien był nadal blady i cichy, wymamrotał do Marka, że muszą pomóc Damie przy windzie. Dama kuśtykał między nimi sztywno, z zaciśniętymi ustami. Prawie wnieśli go do stalowego kosa. Jak toból, pomyślał Sulien z goryczą, wrzucając za nim pakunki.

Dama wskazał dźwignię, której nie potrafił obrócić, i przez chwilę wpatrywał się w nią, dygocząc z wściekłości. Una bez słowa za nią pociągnęła i liny drgnęły, winda zakołysała się i wolnymi skokami zaczęła z nimi zjeżdżać do wąwozu. Po czwartym czy piątym szarpnięciu nagle zdali sobie sprawę, że mokry bluszcz nie przykrywa już skały, lecz drewniany szalunek, i usłyszeli kroki na jakiejś niewidocznej, lecz równej podłodze, a potem bardzo cichą, nieco trzeszczącą muzykę, a przez te wszystkie dźwięki przebiegał się pomruk generatora.

Na ścianach wąwozu, niczym szereg schodków lub półek, schludnie i metodycznie jak w urzędzie, ciągnęły się szeregi drewnianych chatek, których było ze trzydzieści, tu i tam podtrzymywały je stalowe rusztowania lub słupy z betonu, a na najniższym poziomie stały na palach nad wodą. Łączyły je wąskie korytarzyki i drabiny, na tyle krótkie, że Dama mógł się po nich wspinać. Chaty były niewidoczne z góry, ponieważ zamaskowano je darnią i krzakami, a nawet rosły na nich małe drzewka, zresztą i z przodu trudno było je dostrzec ze względu na oplatające je pnącza i bluszcz, a także dlatego że miejscami zostały pomalowane na ciemną zieleń lub szary kolor, dzięki czemu wtapiały się w skalne otoczenie. Jedna, nieco oddalona od reszty chata w zasadzie nie była ukryta, bo wokół jej drzwi i kwadratowych okien biegły zawijasy, z misternymi esami-floresami w środku, tak że wyglądała niemal jak dziecinny domek dla lalek, tylko że te linie były precyzyjnie wymalowane, co sugerowało, że wykonał je ktoś, kto nie ma prawie żadnych zajęć. Ale na jednej z najniższych ścian ktoś ostatnio nagryzmołił wyzywającą czerwienią, z rozmachem, rząd sinoańskich znaków.

- JESTEŚMY TUTAJ! - przetłumaczył Marek z wahaniem.

Nieopodal, innym charakterem pisma, żółtymi, ostrymi, schludnymi i nie całkiem pasującymi do graffiti literami napisano: WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ Z RZYMU.

Po drugiej stronie rzeki stał następny szereg starszych chat, z antenami kiełkującymi spomiędzy porastających dachy zarośli.

Zanim winda zdążyła dotknąć ziemi na wzmocnionym brzegu rzeki, drzwi w zygzaki otworzyły się z rozmachem i dziewczyna w haftowanej sukience koloru wina - miejskiej sukience, zupełnie niepasującej do tych gór - wybiegła, spojrzała na nich i krzyknęła żarliwie:

- Och! Dobrze!

- Lal - wyjaśnił Dama. Sulien pomachał do niej. Lal już pędziła chodnikiem w ich stronę. W ślad za nią pojawił się Delir i Dama wyskoczył z windy, chcąc opowiedzieć o Sulienie i o tym, że być może wkrótce odzyska trochę władzy w rękach.

Nie wiadomo dlaczego - może przez to, że zaszli tak daleko - podświadomie spodziewali się jakiegoś kolosa, kogoś imponującego, emanującego świadomym poczuciem misji jak Leon, albo przynajmniej wielkiego i ważnego jak Faustus czy choćby Gabiniusz. Ale Delir był niewysoki, miał drobne dłonie i stopy, i małą twarz, na której malowała się pewnośc siebie. Poruszał się energicznie, by zrekompensować swój niewielki wzrost. Jednak kiedy się zbliżył, Una dostrzegła, że jego energia była w pewnym stopniu udawana. Delikatne ciemne włosy zaczesał do tyłu - przerzedzały się, kruszyły, a spomiędzy nich przebłyskiwała łysina. Z daleka, ze względu na zgrabną sylwetkę i szeroki, rzucający się w oczy uśmiech, mógł wyglądać młodo i zadzierzyście, nawet z bliska czystą siłą woli jakoś narzucał takie wrażenie. Jego ciemne, szeroko otwarte oczy promieniały blaskiem. Nawet zmarszczki nie psuły tego obrazu, gdyż Delir jakby mówił: Patrzcie, one się nie liczą, to zmarszczki, które powstały od śmiechu. Ale kiedy na chwilę się zapominał - tak jak teraz - dostrzegało się głębokość tych bruzd i nie można było poznać, czy bliżej mu do czterdziestki, czy do sześćdziesiątki. Kiedy był sam, gdy nie załatwiał żadnych spraw lub akurat nie odwiedzali go ludzie, jego oczy zapadały się, opierał się o stół czy ścianę i niemal zapadał w śpiączkę, ale potem podrywał się, brał w karby i wpompowywał w siebie energię. I teraz uśmiech, z którym się pojawił, znikł zastąpiony przez pełne smutku zdumienie i uwidoczniły się wszystkie cechy starego człowieka.

Una usiłowała wtrącić, że Marek jest Gnejuszem, lokajem z Londynu, ale Dama już mówił, głośno i gorliwie.

- Pamiętaj, co się wydarzyło w Londynie, tych więźniów, co przejęli prom... oni tam byli... i słuchaj...!

Ale Delir nie słuchał. Minął Lal i Damę i wbił zdumione spojrzenie w Marka.

- O bogowie - szepnął. - Leon.

Twarz Damy skurczyła się spazmatycznie, zdumiony przeniósł wzrok z Delira na Marka, a potem parsknął szorstkim, podobnym do czkawki, na poły szalonym śmiechem.

- Ależ oczywiście. Ty jesteś Marek Nowiusz. Powiedziałeś, że jesteś niewolnikiem, a jesteś bratankiem cesarza. Co ty tu robisz, na bogów?

Zrobił chwiejny krok w stronę Marka i nagle stało się jasne, że chce go zaatakować, ale zatrzymał się tuż przed nim, jak przed ścianą, zwinął palce w parodię pięści i uniósł okaleczone ręce na tyle, na ile mógł. Spojrzał na nie, tłumiąc krzyk wściekłości, a ponieważ nic więcej nie mógł uczynić, splunął Markowi prosto w twarz. Marek tylko odskoczył i łypnął na niego, wycierając policzek.

- Chcesz wszystko zniszczyć! - krzyknął Dama. - Wiesz, ile to budowaliśmy? Ty ich tu przywlokłeś, tak? - Szarpnął gwałtownie głową w stronę nieba, bo nie mógł na nie pokazać rękami.

- Dama - ostrzegł surowo Delir, ale ten przestał cokolwiek słyszeć.

- To nie jest twoje miejsce! To nie dla ciebie! Po co ty tu w ogóle przyszedłeś? Wynocha! Zostaw nas!

- Dama - odezwał się Delir twardo. - Dość tego.

Choć malutki, brutalnie chwycił Damę za ramię i odciągnął na bok. Dama dygotała z wściekłości, ale pod spojrzeniem Delira, który najwyraźniej miał nad nim władzę, wyszeptał:

- Przepraszam.

Powiedział to do Delira. Spojrzał na Marka, jakby miał powtórzyć przeprosiny, ale nie powtórzył.

Lal wspięła się na palce wyraźnie zachwycona, a teraz podskoczyła podekscytowana. Odezwała się rozsądnie, choć o wiele głośniej niż Delir i Dama:

- A jeśli wszyscy się dowiedzą?

Zaczęli wychodzić inni, Sinoanka z chaty naprzeciwko, najeżonej antenami, trzech lub czterech mężczyzn, dwudziesto-lub trzydziestoletnich. Delir kiwnął głową do kobiety i powiedział:

- Lepiej wejźmy do środka.

Idąc za nim, nie do chaty z esami-floresami, lecz do sąsiedniej, stojącej nieco niżej, z niepokojem zdali sobie sprawę, że Sinoanka idzie za nimi. W chacie panował porządek i rzucała się w oczy niemal obsesyjna dbałość o wygodę. Krzesła miały poduszki, książki stały na półkach przy biurku i leżały w stertach na podłodze. Przez zwykłą, dzielącą pokój zasłonę widać było zarysy łóżka Delira. Mapa świata, w trzech oddzielnych częściach, zajmowała prawie całą największą ścianę, chyba stanowiła ozdobę, bo była piękna i nietknięta szpilkami czy oznaczeniami.

Kobieta miała około czterdziestki, krótko obcięte czarne włosy, była szczupła i posągowa, lecz nie tak delikatna, jak Marek spodziewał się po Sinończykach, o jakieś dwa palce wyższa od Delira, dość grubej kości. Dla Uny nie była tak nieprzenikniona jak Dama czy Waskonowie, ale i nie całkiem przejrzysta; gwałtownie przerzucała się z języka na język, i było tam wiele niezrozumiałych słów.

Spytała idealną, lecz nieco pozbawioną akcentu łaciną:

- O co chodzi?

- Nie jestem całkiem pewien - odparł Delir, a Marek niespokojnie poruszył się na krześle, które zajął z ociąganiem. - Wszystko w porządku. Nie wiem, dlaczego tu przyszliście, ale ze strony Ziye nic nam nie grozi, daję słowo.

Początkowo, a nawet czasami i obecnie myśl o Holzarcie, o tym, jak chaty powstawały i osada rosła, napawała Delira podnieceniem i dumą. Teraz niekiedy oglądał całą osadę i liczył jej mieszkańców, ludzi, którzy żyliby w łachmanach lub zginęli, i myślał, że człowiek, który stworzył ten azyl, dokonał czegoś naprawdę dobrego. A potem ogarniał go niepokój, zażenowanie, jakby w jakiś sposób wprowadził innych w błąd i zrobił z siebie głupca. Wiedział, że tak nie jest, ale po prostu nie czuł się dobrym człowiekiem - ani złym, to go nigdy nie trapiło. Po prostu nie był osobą, po której spodziewano by się takich czynów. Lubił wiele rzeczy i wciąż za nimi tęsknił. Prawdę mówiąc, lubił także pieniądze i ich zdrowy przepływ, był dobry w zajmowaniu się finansami. Teraz, gdyby Palben nie dostarczał mu tak często dzbanów wina, pewnie nie dałby rady funkcjonować. Przypuszczalnie zwymyślałby Lal za obcięcie włosów i namalowanie wzorków na chacie i prawdopodobnie drażniłyby go jej stare magazyny mody, ale musiał pamiętać, że przecież dostała je od niego.

To przez Lal, kiedy spoglądał teraz na tych dwóch chłopców, mimo woli czuł niepokój. Ten, którego imienia jeszcze nie znał, zmęczony opadł z westchnieniem na zbyt niskie dla niego krzesło (problem, którego Delir nigdy nie miewał), niechlujnie rozsunął długie nogi i nagle się zre-flektował, podciągnął je tak, że kolana niezdarnie sterczały nad poziom siedzenia. Delir spojrział na chłopaka, jego rozwichrzone brązowe włosy i wystające kości policzkowe, następnie popatrzył na Marka Nowiusza, poczuł, że w pewien sposób zazdrości biednemu chłopcu otaczającej go aury tragedii. Ucieszył się, że przynajmniej jest z nimi dziewczyna, która siedziała sztywno z zaciśniętymi rękami i kamienną twarzą, może będzie dobrą towarzyszką dla Lal. Niewolnicy, którym udawało się dotrzeć do Holzarty, byli żałośnie jednakowi - niemal zawsze młodzi mężczyźni. Delir nie czuł niepokoju, kiedy Lal miała trzynaście lat, ale teraz, rok później, sytuacja znacznie się zmieniła. W tej chwili z trudem udawało się jej nie skakać z ciekawości i zachwytu. Bardzo piękne jest to gadanie o cnocie (teraz się wstydził, że tak to nazwał), lecz z pewnością nie jest rzeczą dobrą ani cnotliwą wychowywać własną córkę na fałszerza. Nie

chciał tego. Tyle tylko, że fałszywe dokumenty stanowiły niezbędny element ich działalności, a Lal, jak się okazało, miała dryg do pędzelków, pęset i arkuszy plastiku.

Jak to się stało? Nie przypadkiem; na Drodze Appijskiej, kiedy ujrzał chłopca na krzyżu i nagle zdecydował, że tego nie można i nie wolno tolerować, nie wiedział do końca, w co się pakuje, ale z całą pewnością zdawał sobie sprawę, że zmienia wszystko. Potem, rzecz jasna, nieraz mógł to rzucić. I przypuszczalnie w tym punkcie jednak pasował do własnego wyobrażenia o tym, jak powinien się czuć człowiek dobry - bo był absolutnie pewny, że te etapy stanowią przeszłość i że nigdy by się nie zawahał, jeśli ponownie zaistniałaby potrzeba stworzenia takiego miejsca. Kiedy był sam, siadał na podłodze z zamkniętymi oczami i mówił, czasami głośno: Już nie mogę, nie mogę... Jeszcze cztery lata temu prawie nigdy nie bywał zmęczony, nie aż tak. Nie chodziło o brak snu. Oczywiście był na tyle rozsądny, że powtarzał sobie, iż nikt nie może zrobić wszystkiego, ale te opowieści, które do niego docierały, wysysały z niego siły, w dodatku ciągle napływały nowe. Nawet tutaj, w tym zakątku, było tyle krzywdy, a co dopiero w jakimkolwiek innym miejscu.

Marek, który sądził, że Dama złowrogo czai się za jego plecami, i nadal nie dowierzał Ziyę i Lal, wyjaśnił Delirowi oględnie, że musiał opuścić Rzym, bo ktoś chciał go zabić, ale zamiast niego zamordował niejaką Gemellę.

- Przepraszam - powiedział Delir. - W ogóle nie powinienem wymieniać twojego nazwiska. To z szoku. Spotkałem Klodię i Leona... kiedy to było? Trzy miesiące temu.

- Nie miałem pojęcia - mruknął Marek, po raz pierwszy czując żal, że to Wariusz powiedział mu o Delirze, że rodzice mu nie zaufali. - Ich także zamordowano.

- Wiedziałam! - krzyknęła z nagłym ożywieniem Ziyę, otwierając szeroko oczy z zaskoczenia i ciekawości, ale zaraz się opanowała. Ona także miała blizny, płytsze, liczniejsze i bardziej chaotycznie rozrzucone niż u Damy, a jednak nie były to blizny, które mogły powstać w wypadku ani nawet (bo z pewnością musiała być niewolnicą) po zwykłej chłości. Na brodzie i w kąciku oka miała pionowe nacięcia, zrobione jakimś ostrzem, trójkątny znak na policzku, półkolisty rozbryzg na szczęce od, jak ocenił Sulien, kilkukrotnego uderzenia czymś tępym i zębatym. Ale

był pewien, że te rany zostały oczyszczone i starannie zszyte, bo zagoiły się dobrze, bez twardych krawędzi i naciągniętej skóry. Jej mocne ramiona były odsłonięte do łokci i nosiły podobne skazy. W przeciwieństwie do Damy, chodzącego w kaftanie z długimi grubymi rękawami, nie starała się zasłaniać swoich obrażeń, a kępki krótkich włosów wręcz miały podkreślać to, co zwisające pukle by zasłoniły. I rzeczywiście, te blizny nie oszpeciły surowej urody jej twarzy, a tylko stworzyły dla niej zaskakującą oprawę.

- Ja też. Nie mówiłam? - wybuchła Lal.

Ziye przyłapała Suliena na ukradkowym oglądaniu okrutnych wzorów na jej skórze i bez skrępowania popatrzyła na niego, unosząc brwi, tak że zaczął się nerwowo kołysać i zapragnął swoją ciekawość uzasadnić medycznym wykształceniem. Spojrzał przelotnie na Lal, na górną część jej twarzy - odwróconej do ściany - i usta, a następnie popatrzył na Delira, żeby wyglądało, iż tylko się rozgląda. Takie jawne gapienie się nie mogło zrobić dobrego wrażenia i zapragnął, żeby Lal na chwilę zamknęła oczy, wtedy dokładniej by się przyjrzał skórze, ciemnobrązowej, ale z przebijającą barwą różową, krótkim lśniącem czarnym lokom (nie zauważył, że były niedawno obcięte, ale spodobały mu się, tak jak i sposób, w jaki trzymała głowę), czarnym brwiom, dużym, ale kształtnym, i błyszczącym oczom, najwyraźniej nie brązowym, lecz zielonym. Nie była dużo niższa od ojca, ale tak jak on bardzo energiczna. Kiedy zamilkła, Sulien spojrzał wprost na nią i przekonał się, iż także ona na niego patrzy. Uśmiechnął się, co sprowokowało Lal do cichego, pełnego zaskoczenia śmiechu.

- Tak, to nas zastanowiło. Ale myślałem, że się raczej... łudzimy - powiedział Delir z żalem, przy czym zaniepokojony zerknął na Lal. - Mam nadzieję, że rozumiesz. Kiedy tacy ludzie umierają, trudno uwierzyć w wypadki. Łatwiej pomyśleć, że przynajmniej ma to jakieś znaczenie...

- I miało - powiedział Marek bezdźwięcznie.

- Tak, oczywiście, wierzę ci. I oczywiście przez cały czas kierowaliście się tutaj. - Zerknął na Damę i upomniał go cicho: - Wszyscy, którzy tu przybędą, znajdą bezpieczne schronienie.

- Teraz już nie jest tu bezpiecznie. Nie wszystkich ściga całe cesarstwo - odparł cicho Dama.

- Wszystkich szukają. Zwłaszcza ciebie i mnie. Z tych spiralotów nas

nie wypatrzą.

- To nie to samo. Zgadza się, nie widzą nas. Ale gdy poszukuj ą kogoś tak ważnego, zmobilizują wszystkie siły. Zaleje nas wojsko.

- Zrobiliby to, gdyby chcieli go sprowadzić z powrotem - rzekła Ziyee.
- Ale w ten sposób nie można zabić potajemnie.

- Uspokój się, Dama - powtórzył Delir łagodnie.

Dama starał się, ale nie potrafił ustać w miejscu: nieustannie podchodził do drzwi i zawracał, kreśląc na podłodze mały owal. Tego popołudnia, gdy Palben dał sygnał o przybyciu nowych niewolników, Dama bardzo się ucieszył, był wdzięczny losowi, że wreszcie można robić coś użytecznego. A teraz nie umiał powściągnąć furii, nadziei i ciekawości, nie mógł się uspokoić.

- Trzeba było iść gdzie indziej - odezwał się w końcu do Marka niemal przepaszająco, ciszej niż do tej pory.

Delir rzucił mu spojrzenie, w którym desperacja mieszała się ze współczuciem i wyrzutami sumienia.

- Wiesz, że stąd odejdziemy, zanim ktoś się zbliży.

- I zostawimy to wszystko! - dodał Dama z bólem, bo to on wszystko zaplanował, to on leżał bezsennie w nocy, tnąc w myślach każdą deskę, żeby inni mogli rozkopać prawdziwą ziemię i położyć prawdziwe belki.

- Nie wiem, dlaczego miałoby do tego dojść - rzekł Delir. - Ale masz rację, powinniśmy być przygotowani na wszystko, teraz nawet bardziej niż zwykle. Sprawdziłeś dziś rano drogi? Skończyłeś?

Dama zrozumiał, że Delir z życzliwości podsuwa mu pretekst do odejścia i uspokojenia myśli. Milczał przez chwilę i westchnął.

- Nie, nie skończyłem. - Uśmiechnął się do Delira, ale bez przekonania. Spojrzał na Marka i niepewnie rzucił do Uny i Suliena: - To na razie.

Kiedy odszedł, Una spytała cichutko:

- Na pewno nikomu nie powie?

- Nie ma obaw - oznajmił Delir.

- Chodzi o to, że kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy Marka, zadzwoniliśmy do wigilów i chcieliśmy się z nimi układać. Szło nie tylko o pieniądze, ale i o wolność. Myślałam, że może ktoś tutaj spróbowałby tak samo.

- Nie Dama - odparł przekonująco Delir. - I nikt ze stałych mieszkańców. Ale... - Urwał.

- Nie, nikt! - zaprotestowała Lal.

- Mam nadzieję. Tak myślę - rzekł. - Zresztą tutaj trudno byłoby im coś zrobić. Ale kiedy stąd odejda...

- Chcę powiedzieć wszystkim - odezwał się nagle zdenerwowany Marek. Wiedział, że Una tego nie pochwali, i zwrócił się do niej: - Jeśli wszyscy się dowiedzą, to uważam, że nie zdradzą. Ze względu na Gabiniusza i... innych, bo pewnie chcieliby zabić każdego, kto by Gabiniuszowi o mnie powiedział, prawda? - Odwrócił się do Suliena, myśląc o tym, co powiedział w Wilczym Kroku, o porywaczach niewolników. - Zwłaszcza jeśli to będzie zbiegły niewolnik, bo... bo o kogoś takiego nikt by się nie upomniał.

Chciał odzyskać swoje imię i z jakiegoś powodu bardzo pragnął, żeby Una się zgodziła.

- Wariusz powiedział, żeby nie mówić nikomu z wyjątkiem Delira - odparła Una.

- Wariusz nie wiedział, jak długo będę tu iść ani że poznam ciebie. W tej chwili wie już sześć osób oprócz tych, które widziały mnie po drodze.

- Zbyt wiele - powiedziała Una cicho.

- Chyba byłoby lepiej, gdybyś się starał wmieszać w tłum - rzekł Delir.

- Ale kto mógłby zdradzić, kto byłby zdolny to zrobić? - wyrwała się z pytaniem Lal. - Nie tylko jemu, ale tobie i nam? O kim mówisz?

- O nikim. Jednak przez to miejsce przewija się tyle osób, a biorąc pod uwagę wszystko, co ich spotkało... Skąd można wiedzieć? Pewnie się orientujesz, że ciągle pokazują twoje zdjęcie, Marku? Mogę ograniczyć korzystanie z dalwizji.

- Och, wtedy to już na pewno ktoś by się domyślił - prychnęła Lal. - Jeśli on powie: „Słowo daję, jestem tylko niewolnikiem, który przypadkiem wygląda jak Marek Nowiusz”, a ty od razu zabronisz oglądać dalwizję, wszystko stanie się jasne! A tak może będzie dobrze. Poza tym jeśli zakążesz dalwizji, wszyscy zwiariujemy.

- To prawda - przyznała Ziye. Sulien zauważył, że Lal dziwnie się w tym momencie skrzywiła, nie ze złością, lecz z pewnością sardonicznie.

- No tak - rzekł Delir. - Oglądałaś te doniesienia jak wszyscy, a zga-

dłabyś, kim on jest, gdybyśmy ci nie powiedzieli?

Marek siedział smętnie, czując się jak eksponat albo dowód rzeczowy, a Ziye przyglądała mu się uważnie. Wzruszyła ramionami.

- Nie sądzę. Nie, chyba bym nie zgadła.

- A ja tak - odezwała się Lal przekornie, co zwiększyło narastającą irytację Uny, która chciała, żeby ktoś pocieszył Marka, ale sama nie mogła, bo było tu zbyt wiele osób, a poza tym nic nie przychodziło jej do głowy.

Na szczęście Delir przyszedł jej w sukurs.

- Nie martw się. Na ogół przerzucamy naszych w określonych porach, kiedy wiemy, że ludzie, którzy nam współczują, wyzwolenicy z gospodarstwami i tak dalej, nawet strażnicy pracujący w portach, są gotowi im pomóc. Przez jakiś czas nie będzie przerzutu.

- Powiemy, że byliśmy niewolnikami. Że służyłeś w Londynie - wtrącił Sulien.

Marek skinął głową. Początkowo obawiał się przybycia do Holzarty, ale teraz był zadowolony. Tylko Dama trochę załazł mu za skórę. Marek w zasadzie nie wiedział, gdzie chciałby się znaleźć.

- I nie wolno ci samotnie opuszczać wąwozu - zakończył Delir.

Lal oznajmiła, że pokaże im, gdzie będą spali, dodała także, że Una powinna zamieszkać z nią. Una uśmiechnęła się uprzejmie, ale niezbyt szczerze.

Kiedy Lal znalazła się na dworze z Nowiuszem i niewolnikami, co nie było dla niej nowością, poczuła nagle, że buńczuczność ją opuszcza. Oni mnie nie lubią, pomyślała żałośnie. Za dużo mówiła, jak zawsze. Chociaż wiedziała o tym, i tak mówiła jeszcze głośniej i z jeszcze większą przesadą, starała się być zabawna. Właściwie nie wiedziała, jak się zachowywać.

- Nie jest tak strasznie, jak myślicie - powiedziała. Wyjaśniła im, że ilość gorącej wody jest ograniczona, a w ubikacjach wcale tak bardzo nie śmierdzi.

Wstydziała się swojego stroju. Sukienka koloru wina pewnie wyglądała idiotycznie, gdy nosiło się ją do masywnych buciorów. Gdyby jednak dreptała po błocie w pantofelkach pod kolor, wyglądałaby śmiesznie, czego Delir nie omieszkałby jej wytknąć, choć dał jej takie w prezencie na urodziny. Mieszkała w wąwozie już prawie cztery lata i tak naprawdę nie

miała żadnych innych ubrań. Te, które wkładała, gdy szła kopać rzepę, nie różniły się od jej cienkich, kolorowych sukienek, tyle że były strasznie stare, brzydkie i już z nich wyrosła. Nie dawała sobie wytłumaczyć, że ubranie - niezależnie od materiału, z którego zostało uszyte - musi być odpowiednie na każdą pogodę. A to znaczyło, że jeśli nie chodziła tandetnie wystrojona, ubierała się niemal tak nędznie jak zbiegli niewolnicy i często marzła. Przed kolacją i tak nakładała te frymuśne pantofelki, a potem paliła się ze wstydu, dopóki nie schowała nóg pod stołem.

Una, Sulien i Marek doszli do wniosku, że tego pierwszego wieczoru nikt nie będzie się spodziewać po nich zbyt wiele. W osadzie obowiązywała godzina policyjna i zaciemnienie ze względu na powietrznych szpiegów, więc zjedli bardzo wczesną kolację w największej chacie stojącej u stóp wąwozu. Gdy tam siedzieli, dobiegał ich pomruk rzeki. Ściany chaty wytapetowano ulotkami z instrukcją postępowania w razie ewakuacji. Było tam także parę dziecięcych rysunków, starych i dość niepokojących, na których różnobarwne postaci uśmiechały się, wypełzając z ciemnych domów i kryjąc się w niebieskich pociągach.

Czasami w wąwozie mieszkało i sto osób, obecnie - trzydzieści dziewięć. Wszyscy powitali ich z radością, zupełnie jakby chcieli udowodnić, że nic ich nie może złamać. Usiedli na długich ławach wśród tłumu, który wydawał się im - zwłaszcza Unie - jednolitą masą młodych mężczyzn, co najmniej o pięć lat starszych od nich. Laetus, Kalwus, Celer - Lal przedstawiała wszystkich w taki sposób, że nie można było odgadnąć, kto jak się nazywa.

- Od wielu tygodni byliście pewnie tylko we trójkę i teraz boicie się takiej masy ludzi. Wszystkich to spotyka na początku - powiedziała.

Nie każdemu też to przechodziło. Była tam wynędzniała Pyrra, która przebywała tu od czterech miesięcy i nadal zachowywała się tak, jakby co chwila paraliżował ją strach. Nie potrafiła niczego skończyć, nawet posiłku czy zaplatania długich postrzępionych włosów, które spływały suchymi pasmami na kanciaste ramiona. Dziś była w jeszcze gorszym stanie niż zwykle, bo nie uwierzyła Delirovi, który powiedział, że żołnierze jej nie znajdują. Delir na ogół potrafił odgonić to przerażenie, ale w przypadku Pyrry żadna metoda nie przyniosła zauważalnej poprawy. Kobieta odzywała się tylko do swojej małej wychudzonej córki Iris, która prośbą lub groźbą zmuszała ją do wstania, zajęcia miejsca przy stole czy

jakiegokolwiek innej czynności. Pyrra jadła tylko dlatego, że Iris ją ponagliła, mówiąc przy tym upiornym, babcinym tonem:

- Zajadamy, zajadamy, chcę tu zobaczyć puściuteńki talerzyk!

A Pyrra bezwolnie dźwigała do ust ciężką łyżkę. Iris miała dziewięć lat, ale musiała przedwcześnie dorosnąć i stać się odpowiedzialna. Prała i sprzątała jak automat, bez ponaglenia, najwyraźniej nic jej nie przeszkadzało, a Pyrrę traktowała niemal obojętnie, jak wyzwanie, któremu stawiała czoło z niewyczerpaną cierpliwością. Można by pomyśleć, że ta dziewczynka przyniosła tu matkę na własnych plecach, przez góry aż z Recji; trudno było sobie wyobrazić, jak taki strzęp człowieka mógł dojść tak daleko o własnych siłach, na dodatek opiekując się małym dzieckiem. A jednak Pyrre się udało.

- Nie, nie - wyjaśniała Lal w niekończącym się monologu, uśmiechając się zachęcająco do Pyrry. - Była niesamowita, pewnego dnia chwyciła Iris i uciekła. Połowę drogi przejechała samochodem swojego pana, mimo że nigdy nie siedziała za kierownicą. Iris mi opowiedziała. Taka zrobiła się dopiero teraz, pewnie dlatego, że... - Delir dawał jej rozpaczliwe znaki, aż przestała mówić, choć Pyrra siedziała równie apatycznie jak dotychczas, a Iris tylko spokojnie kiwała głową.

Ich widok obudził w Unie żaloszny gniew, a także zazdrość, że Pyrra po prostu chwyciła córkę i uciekła, że starczyło jej determinacji, choć potem nie zostało jej już nic więcej.

Patrząc na Pyrrę i Iris, Sulien czuł olbrzymi smutek, choć nie myślał wprost o własnej matce. Ta gromada ludzi wcale go nie onieśmiewała, a nawet poczuł się pokrzepiony ich wojowniczą wesołością i ulżyło mu, że nadal istnieją duże grupy, które żyją w miarę normalnie.

I choć Pyrra znajdowała się w najgorszym stanie, parę innych osób też wyglądało niewiele lepiej. Mężczyzna siedzący obok Suliena również od czasu do czasu spoglądał w taki otępiały sposób, co burzyło wyraz pewności siebie goszczący na jego twarzy. Przekroczył trzydziestkę, miał miękkie ciemne włosy i chyba nazywał się Kalwus... nie, Tobiasz. Okazało się, że to on napisał „Wszystkie drogi prowadzą z Rzymu”, i teraz trochę się tego wstydział.

- Dziecinada - mruknął.

Jako niewolnik w nieskończoność czytał swojemu właścicielowi, analfabecie, który niegdyś sam był niewolnikiem; później wykonywał prace,

za które powinien dostawać pieniądze: prowadził rachunki lub służył jako żywy terminarz. Teraz uczył ludzi, by wiedzieli, co napisano w fałszywych dokumentach, które zrobiła im Lal, i umieli napisać swoje nowe imiona.

- Och, nie zostanę tutaj na zawsze - powiedział. - Ale widzicie, nie mam się gdzie podziąć. W dolinie przynajmniej spotykam się z ludźmi. Kiedy uciekłem, chciałem coś robić, wyważać drzwi, wchodzić do kwatier niewolników i mówić: „Chodźmy”. Tego nie mogłem. Ale kiedy sami uciekają, staram się im pomóc pozostać na wolności.

Sulien spojrział na niego, a potem wstrząśnięty odwrócił wzrok. Pomyślał o rękach Damy; to tępe uczucie zgrozy spotęgowało się w nim odrobinę. Jeśli pomoże Damie, na pewno znajdą się i inni ludzie wymagający opieki medycznej. A jeśli on i Una zdobędą wolność...? Przypomniał sobie klinikę Leona i Klodii. Wstąpiły w niego nowe siły. Ale nie mógł spytać o klinikę Marka, który teraz występował jako Gnejusz i nie powinien nic o niej wiedzieć.

Lal przez chwilę wahała się z wyborem miejsca. Czuła, że się narzuca i powinna zostawić przybyszów samych, ale odnosiła też wrażenie, że wówczas by zaniedbała swoje obowiązki, usiadła więc obok Uny, naprzeciw Marka i Suliena. Obawiając się reakcji Delira, pochyliła się nad stołem i szepnęła:

- Zauważyliście, że Ziye i mój ojciec...?

- Nie, co? - Sulien rozejrzał się. Ziye i Delir siedzieli przy oddzielnych stołach w dwóch końcach pomieszczenia. Delir, który nieco się rozluźnił i nie był już taki poważny, dyskutował, gestykulując z ożywieniem. Ziye jadła cicho i metodycznie. O ile się Sulien zorientował, nawet na siebie nie zerkali.

- Oni naprawdę myślą, że jak tak będą siedzieć, to się nie zorientują - dodała Lal.

- Na pewno? - Sulien był trochę zdziwiony, bo tak na oko tych dwoje niezbyt do siebie pasowało. Bał się jednak coś powiedzieć, żeby kogoś nie urazić. - Ona jest... wyższa - dodał niezręcznie.

- To jeszcze nic. Mogłaby zabić gołymi rękami - syknęła Lal i dodała z pewnym smutkiem: - Tylko nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Jak... dlaczego miałyby zabijać?

- No, nie umyślnie, oczywiście. Ale była gladiatorką, a ponieważ jest

z Siny, umie walczyć bez broni... choć czasem ją miała... I zaczęła nienawidzić tej swojej umiejętności. A im bardziej jej nienawidziła, tym gorzej jej to szło, i wiedziała, że prędzej czy później ktoś ją zabije. Rzecz jasna ja to wszystko rozumiem, rozumiem jej nienawiść, ale chciałabym, żeby mimo wszystko pokazała ludziom, jak to się robi. No bo wiecie, to by się przydało. Na przykład Pyrze; może gdyby umiała zabijać, choćby tylko obezwładniać, to nie byłaby taka otepiała. Nie chodzi mi o to, by od razu mordować, tylko żeby wiedzieć, że się może. Ale Ziyé nie chce.

Tobiasz milczał, uprzejmie udając głuchego, ale te słowa najwyraźniej go nie zaskoczyły. Una i Marek zerknęli na siebie niespokojnie, bez zachwyty przyjmując wylewność Lal. Jednak Lal swobodnie nazywała Marka Gnejuszem, a kiedy Tobiasz spytał, skąd przyszli i jak uciekli, z przekonaniem słuchała opowieści, która - o czym wiedziała - w wielu miejscach nie była prawdziwa. Po chwili Sulien przekonał się z zaskoczeniem, że to nie ona stanowi niebezpieczeństwo, lecz Marek i Una. Una i Sulien zaczęli opowiadać zgodnie z prawdą o Londynie i jak zostali rozdzieleni. Lal słuchała z uwagą, ale Sulien nagle się zorientował, że czuje potrzebę opowiedzenia, dlaczego go skazano na ukrzyżowanie. Wystraszony zamilkł. Nie chciał patrzeć, jak Tobiasz, Delir lub Lal zastanawiają się, czy mu uwierzyć, czy nie.

Wymamrotał, że Una wiedziała, gdzie był, i ukradła dokumenty, i to wszystko. Nikt go najwyraźniej nie rozpoznał oprócz Damy. Oczywiście nikt się nie interesował wiadomościami o ukrzyżowaniu, ale wiedział, że to się wyda, i lepiej byłoby powiedzieć już teraz, lecz postanowił milczeć.

Una przejęła pałeczkę i zaczęła tłumaczyć, jak Gnejusz przybył do domu i opowiedział jej o Holzarcie. Ona także pominęła ukrzyżowanie, choć zostawiła na nie miejsce, powiedziała, że na jakiś czas rozstała się z Gnejuszem, bo szukała Suliena, a potem znowu spotkali się w Dubrisie. Marek, który siedział przygnębiony i do tej pory się nie odzywał, zaczął niemrawo przytakiwać, a potem od czasu do czasu dorzucał szczegóły o pracy w Sinie, i nagle Lal i Sulien zauważyli z niepokojem, że za bardzo ich to bawi. Tobiasz spytał o czasy spędzone rzekomo w londyńskim domu.

- Było źle?

- Zawsze jest źle, prawda? - odparła Una cicho, ale zamiast rozwinąć wypowiedź, spojrzała na Marka i dodała: - Prawda?

- Tak, bardzo nas... bili - odparł Marek pospiesznie, zaskoczony.

- Tobie było gorzej - zrewanżowała się Una. - Bardziej rzucałeś się w oczy.

- No cóż. Ty pracowałaś ciężiej. Musiałaś robić gorsze rzeczy. Ta jego pościel.

- Pocił się - zaryzykowała Una.

- Nawet gorzej - ciągnął Marek. - Dniem i nocą się drapał. - Una zdrząła na wspomnienie fikcyjnej pościeli. - W każdym razie nie mogłem się zdecydować...

- Bałeś się - zakpiła łagodnie Una.

- Oczywiście. Ale potem zdałem sobie sprawę, że masz jakiś plan, i wydało mi się... - Zastanowił się i dodał cicho: - Wydało mi się, że to jakiś znak.

- Było strasznie, kiedy Gnejusz się dowiedział. Myślałam, że to lizus. Tak, panie, nie, panie. I ciągle zadzierał nosa. No więc nie przyszło- by mi...

- A ty? - Marek pochylił się ku niej. - Zawsze z taką miną lodowca, że masło by ci się w ustach nie rozpuściło. - Naszkicował jej twarz w powietrzu, palcami nieświadomie niemal muskając skórę Uny.

- No, ale na mnie nie doniosłeś, kiedy po raz pierwszy zginął klucz, ty ani nikt inny.

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił - zaprotestował Marek z godnością. - To był bydlak.

- Oczywiście.

Uśmiechali się do siebie. Lada chwila wydałoby się, że to tylko zabawa. Una nie wpasowała wprost Marka w swoją przeszłość, to nie był ten dom z Dzielnicy Lupanarów. To fikcyjne domostwo było piekielne, owszem, przecież dlatego z niego uciekli, jednak zbudowali je razem jak domek na drzewie i nie zamieszkiwał go żaden człowiek z krwi i kości, tylko oni.

Lal trąciła ukradkiem Unę pod stołem i Una spuściła oczy przerażona.

Una nagle przypomniała sobie ten głos, który tak przekonująco powiedział: „Tak, to podstępna dziewczyna”.

Lal i Sulien zaczęli mówić o Damie, którego w chacie nie było.

- Nikomu nie pokazuje się przy posiłku - powiedziała Lal. - Pewnie musi się pochylać nad talerzem... zresztą nie wiem.

- To gdzie jest? - spytała Una trochę drżącym głosem.

Dama jadał samotnie w sali monitorów, z nienawiścią myśląc o swoich niezdarnych rękach, w napięciu wypatrując na ekranach drapieżnych cieni. Ale tej nocy w powietrzu nie pojawiły się spiraloty ani szpiedzy na ścieżkach.

Później, kiedy Lal i Una znalazły się w malowanej chatce, Lal spytała wesoło:

- Może być? - Czasami w jej chacie sypiało i pięć osób, ale często w Holzarcie bywało tak pusto, że mieszkała tu sama. Ściany były od wewnątrz wyłożone deskami, a rok temu Lal namalowała na nich wielkie obrazy, bez wyjątku portrety kobiet w długich sukniach, stojące w odstępach niczym kariatydy i wykonujące różne gesty. Właściwie nie różniły się od wizerunków na tablicach mody, a jednak emanowały pewną elegancją, jak egipskie malowidła. Ozdobne fryzury dotykały sufitu, długie stopy muskały podłogę.

Niebieskie i szkarłatne - w półmroku wydawały się niemal upierne. Una i Lal włączyły lampę elektryczną tylko po to, by przygotować posłanie Uny, które - gdy na nie padła - wydało się jej zdumiewająco miękkie, mimo że pod spodem musiała się znajdować ziemia i kamienie.

Szczerze pochwaliła malowidła Lal, choć bez większego entuzjazmu, wymamrotała coś na temat przyrządów fałszerskich leżących na biurku. Nieustannie rewidowała swoje zdanie o głupocie dziewczyny, bo to, co Lal robiła tymi małymi pędzelkami i wacikami, wymagało precyzji i cierpliwości. Z kolei Lal bez ustanku wypytywała o Suliena, co Unie wydało się absurdalne.

Fałszerstwo innym razem pewnie by ją szczerze zainteresowało, ale teraz, pomimo bezpiecznej, przynoszącej zapomnienie miękkości łóżka, nie potrafiła się pozbyć napięcia.

Lal przyglądała się w półmroku długim, jasnym włosom Uny i lekko potrząsnęła głową, by poczuć przyjemne muśnięcie własnych włosów na policzkach i karku. Żałowała, że ścięła czarny warkocz, który spoczywał teraz na biurku między pieczętkami i buteleczkami z tuszem i rozpuszczalnikami, jakby pewnego dnia zamierzała go znowu przypiąć.

„A był taki długi” - rzekł Delir ze smutkiem, kiedy już przestał się na nią złościć o to, że w ogóle poszła do Athabii.

„Nieprawda - odparła na to. - Cały się powycierał”.

Zapra gnęła zmienić fryzurę Uny.

- Ależ ty masz proste włosy. Mogę coś z nimi zrobić? - odezwała się w mroku.

- Nie - odparła odruchowo Una.

- Dobrze. Wiem, jak się czujesz. Kiedy miałam długie włosy, Pop-paca i Flora - o, już dawno odeszły, parę miesięcy temu - zawsze je zaplatały i strasznie mnie to denerwowało. Myślę, że kiedy włosy osiągną pewną długość, ludzie po prostu nie mogą pozostać wobec nich obojętni. A skoro moich już nie ma, chciałabym mieć coś do zabawy.

Spojrzała z nadzieją na Unę, myśląc, że nie ma powodu, dla którego miałyby się nie lubić, tak jak ludzie spodziewają się, że jeden sześciolatek zaprzyjaźni się z drugim tylko dlatego, iż mają tyle samo lat. Idiotyczne.

- Normalnie nic z nimi nie robię. Czasami upinam - rzekła Una z roz-targnieniem, bo nie chciała być nieuprzejma.

- Ty i Sulien... - odezwała się znowu Lal, nie mogąc opanować ciekawości. - To dziwne, widać, że jesteście rodzeństwem, ale nie czuć, że- byście byli do siebie podobni, choć jesteście. Naprawdę byliście rozdzie- leni przez siedem lat czy powiedziałaś to tylko po to, żeby pomóc Marko- wi? Bo to straszne, wręcz niesamowite, że potrafiłaś go odnaleźć po ta- kim czasie.

- Zawsze to zamierzałam zrobić - oznajmiła Una. - On też starał się mnie odnaleźć, ale o tym nie wiedziałam.

- Och... - westchnęła Lal, zachwycona tym, że rozdzielone rodzeń- stwo zdołało się po latach odnaleźć, i zasmucona, że tyle czasu pozosta- wali z dala od siebie. - A Marek? Opowiedz, jak się spotkaliście.

Una zamknęła oczy, czuła się pochwycona w pułapkę. Nie chciała mówić o Marku. Opowiedziała o pchlim targu w Tolosie. Lal przelotnie zainteresowała się przepowiadaniem przyszłości, choć wyraźnie Unie nie dowierzała, ale w końcu wróciła do Marka.

- Wiesz, moim zdaniem wygląda lepiej z takimi nieporządnymi wło- sami - zauważyła. - Przynajmniej lepiej niż na zdjęciach. Ale szkoda, że jest blondynem, inni Nowiuszowie nie są, prawda? Tylko Klodia Aurelia. Ja chyba nie lubię blondynów.

- Nie jest jasnym blondynem.

- No wiesz, każdy widzi, że tobie się podoba - zażartowała Lal. - I pomyśleć, że mało przez ciebie nie zginął... dobrze, że nie jest pamiętliwy,

co? Już cię pocałował?

- Och... nie - wymamrotała Una bezradnie. Leżała bezwładnie na łóżku. Kiedy Marek na nią patrzył, kiedy uśmiechali się do siebie przez stół... a potem, kiedy Lal zaczęła to swoje wypytywanie... zrozumiała, że wszystko, co wydawało się lekkie i ulotne, stwardniało jak kamień i uwięziło ich. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że czuje sympatię do Marka i on chyba do niej też.

Lal jakoś to od razu dostrzegła i nie widziała powodu, żeby na ten temat nie mówić.

- Och, nie... - przedrzeźniła ją. - Przepraszam. - Myślała, że Una jakoś zareaguje, ale Una tylko leżała przygnębiona.

- Nie chcesz go...? Nie czujesz...?

- Nie - rzuciła Una. - Nie, to na nic.

Miała ochotę się rozplakać, ale milczała.

- Dobrze, nie musisz - rzekła Lal rozsądnie, choć żal jej było Marka. Znowu odczekała i spytała: - Ale... ale czemu nie?

- Bo... - Una nie wiedziała, dlaczego odczuwa potrzebę tłumaczenia się przyjaznej Lal. Ona tak lubi plotkować i jest taka młoda, pomyślała, niemal zapominając, że sama jest starsza tylko o rok. Jednak czuła się winna i nie potrafiłaby tego wyjaśnić Markowi.

Jej głos zabrzmiał prawie jak jęk; urwała i zaczęła od nowa, energicznie uniósłszy się na łokciach.

- Słuchaj - powiedziała zdecydowanie - co by z tego wynikło? Gdyby jego życie potoczyło się normalnie, nigdy byśmy się nie spotkali, a gdyby nawet, nie zamienilibyśmy ze sobą ani słowa. Gdyby był w Rzymie, nie poczułby tego. W Rzymie jest jego prawdziwe życie, nie tu, tutaj to w ogóle nie on. Kiedy wróci, stanie się... kimś innym. Tylko pozornie się znamy.

- Mój ojciec i Ziyé też by się pewnie nie zeszli, gdyby tu nie wylądowali.

Lal nie naciskała. Tak naprawdę nie miała za złe ojcu romansu z Ziyé, ale uważała, że jest trochę komiczny.

- Ale oni tu zostaną - rzekła Una. - A on nie. A poza tym nie mogę - dodała po chwili. - Po prostu.

Lal zapragnęła ją przytulić albo przynajmniej pogłaskać, ale przyszło jej do głowy, że Una może nie chce, by dotykał jej ktoś obcy. Ludzie przy-

bywający do Holzarty często tego nie lubili. Biedactwo, pomyślała.

Una odniosła wrażenie, że bezgraniczne współczucie Lal osłabiło ją, jakby oboje z Markiem byli bezdomnymi ofiarami klęski głodu czy trzęsienia ziemi. A jednak, ku swemu zaskoczeniu, poczuła też odrobinę ulgi.

Marek, była pewna, jeszcze tego nie spostrzegł, jeszcze się nie zorientował, ile od niej chce.

- Zresztą - zaczęła boleśnie - i tak nie będę się z nim często widywać, skoro już tu jesteśmy.

Lal nie podzielała jej zdania, ale nie umiała powiedzieć nic sensownego, więc tylko wymamrotała usypiające potwierdzenie. Una przebrała się w milczeniu w starą koszulę nocną, którą dostała, i zamiast martwić się Markiem, położyła się umyta na miękkim łóżku i błyskawicznie zapadła w sen bez majaków.

Następnego dnia spotkała na ścieżce Dameę, który nie był już błądy i wściekły, lecz wyraźnie zachwycony nią i całym światem.

- Spotkałem się z twoim bratem i moja ręka... już teraz jest inaczej. Jak to możliwe?

Na każdym ramieniu, pod barkiem, gdzie niegdyś musiały pęcznieć mięśnie, a teraz zostało tylko wyschnięte włókno, brakowało owalnego fragmentu ciała. Dama dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę, przedtem nie zwracał na to okaleczenie uwagi, traktując je jako dość drobne. Teraz w tym odrętwiałym miejscu na lewym ramieniu czuł jakby ukłucie. Rękaw, który ocierał się o to miejsce, boleśnie je drażnił, co było czymś cudownym.

- Sulien opowiedział mi o tobie - dodał. - Ty też możesz nam pomóc. Wydaje mi się, że los was zesłał.

- Nie dotarlibyśmy tu, gdyby nie Marek- odparła i poczuła lekki niepokój, wymawiając jego imię. Jeszcze się z nim nie spotkała. Początkowo myślała, że jemu na razie nie wyda się to dziwne, ale ona już czuła się nieswojo. Przedtem nie mieli wyboru, musieli się widywać.

Dama jakby się zawahała.

- No... - odezwał się niepewnie - wczoraj... nie powinienem tego robić, ale... - Impulsywnie przesunął zakrzywionymi palcami po jej rękę. - Coś ci pokażę.

Okazało się, że prowadzi ją do chaty Delira, w której nikogo nie było.

- Możemy? - spytała Una.

- Tak, tak. To bardziej biuro niż... - Nie skończył, bo tłumaczenie wydawało mu się stratą czasu. Chciał jej wyjaśnić, dlaczego ją tu przyprowadził. - Patrz.

- Co?

- Mapa. Rzymska mapa. Widzisz, jaka jest zniekształcona?

Una spojrzała kolejno na oceany i Damę, zbita z tropu i zażenowana. Trzy arkusze mapy wisiały w odstępach mniej więcej sześciu stóp, tak że linie kontynentów wyciągały się ku sobie żałośnie, a ona wyobraziła sobie morze wlewające się w tę pustą przestrzeń. O co mu chodziło? Dama wyjaśnił szybko:

- Pomyśl o świecie, że go obdzierasz ze skórki, obierasz. Ta zdarta skóra nie powinna być taka płaska, prawda? Nie możesz zmienić kuli w prostokąt, nie zniekształcając jej.

- Nie wiedziałam - powiedziała, lekko sztywniejąc. Każdy by się domyślił, pomyślała. Nie wiem o tylu rzeczach, że aż strach.

Dama zerknął na nią.

- Bo niby skąd? - spytał łagodnie. - Kto miałby ci powiedzieć? Kiedy miałaś czas albo powód, żeby się nad tym zastanawiać? No dobrze, popatrz, jak to zrobili. Według nich Europa - i Italia - i Rzym... - roześmiał się chrapliwie, krótko - są dwa razy większe niż w rzeczywistości. A wszystko inne jest mniejsze. Wszystko na południu... Afryka jest dużo dłuższa. Widzisz? Ciągnie się stąd... dotąd... - Tu zacisnął zęby ze zniecierpliwienia, bo nie potrafił wskazać jak należy, musiał się bardziej zbliżyć do mapy, a potem przechodzić od jednego arkusza do drugiego, gwałtownie przekrzywiając głowę, by wskazać granice cesarstwa. - Ale nawet tego było im mało, musieli to jeszcze napompować. Nie wiem, dlaczego Delir...

Dlaczego Delir to trzyma, chciał powiedzieć, ale się pohamował. Po chwili ciągnął, usiłując wskazać Pireneje:

- A my jesteśmy tutaj. I to nie jest ich ziemia.

- Spotkałeś kiedyś Leona? - spytała Una. Dama westchnął lekko i skinął głową. - Więc wiedziałeś... musiałeś wiedzieć, co chciał zrobić?

Dama zmarszczył brwi z namysłem.

- Ale kiedy? Spotkałem go. I był jednym z nich, cokolwiek by mówił. - Wskazał mapę brodą. - I wymagał, żeby wszyscy traktowali go jak... jak boga. Zwłaszcza kobiety i niewolnicy. A ponieważ taka była jego wola, to

słuchaliśmy. Ale dlaczego mielibyśmy... - Urwał i poprawił się: - Żądał nie tylko czci, ale też wdzięczności.

Una spodziewała się raczej, że powie: „Nie tylko wdzięczności, ale też czci”, lecz nagle coś zaczęło jej świtać, przypomniała sobie, co Marek zrobił dla niej w Wilczym Kroku i w jaki sposób.

- Ale nikt inny nie starał się znieść niewolnictwa. A Marek... - powiedziała.

- Dlaczego mamy czekać na kogoś takiego? - wpadł jej w słowo Dama.

- Nieważne, jaki był, bardziej liczy się, co mógłby zrobić. A teraz jest Marek. Spytałeś, dlaczego tu przybył. Musiał. Oto powód.

- Ale my sami możemy tego dokonać - rzekł Dama żarliwie. - Jest nas tylu. Przypomnij sobie, co powiedziałaś wczoraj, kiedy spytałem, czy jesteście niewolnikami. Dlaczego mamy się zachowywać, jakbyśmy byli słabi, kiedy tacy nie jesteście? Chyba tego nie chcesz.

Te intensywnie barwne oczy wpatrywały się w nią i przykuwały jej spojrzenie.

- Oczywiście, że nie - powiedziała.

- Dobrze - szepnął. - Wiedziałem.

Razem wpatrywali się w mapę z podnieceniem.

- Może nawet złączą Leona nazywać bogiem, skoro umarł - wymamrotał. - Wydaje im się, że potrafią zmniejszać kontynenty, to znaczy, że wierzą iż mogą zmieniać rzeczywistość samymi słowami. Te tanie bóstwa. Albo jest jeden Bóg, albo nie ma żadnego. Inna koncepcja nie ma sensu.

Spiraloty nie wróciły. Jeśli Rzymianie dowiedzieli się o wiosce, co dzieje się teraz, co robią? Marek musiał się zastanowić nad czymś innym, czymś co nie zagrażało im, Wariuszowi ani Unie.

Zauważył, że nigdy nie spotyka się z Uną sam na sam. Wprawdzie obydwójce byli zajęci, ale nie aż tak. Gotowanie, pranie, warzywnik, obserwowanie monitorów - robili to samo, ale niemal nigdy jednocześnie, z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy otaczało ich zbyt wiele osób, by mogli szczerze porozmawiać. Nie wolno mu było opuszczać wąwozu, ona czasami wychodziła, pomagała paść stada owiec na najbliższej górze. A potem niekiedy pojawiała się z Tobiaszem. Dlaczego? Mogła potrzebować czasu na ćwiczenia, ale nie na naukę czytania.

Powstała także kwestia lekcji sinoańskiego. Pierwszego ranka podszedł do Ziye i odezwał się po mandaryńsku:

- Może mógłbym pomóc. Oczywiście tylko w najprostszyc rzeczach.

Ziye uśmiechnęła się, słysząc swój język, ale odpowiedziała:

- Masz ładny akcent, ale lepiej się nim nie chwalić. Po co wszyscy mają wiedzieć, że odebrałeś dobre wykształcenie.

- Niewolnik też mógł się czegoś nauczyć. Powiedziałem, że służyłem w Sinie jako lokaj.

- W porządku - odparła, przechodząc na łacinę. - Pomóż mi w nuczaniu. Może wykażesz więcej cierpliwości niż ja.

Una początkowo przychodziła i pracowała tak uporczywie nad piktoqramami, że nie mieli czasu rozmawiać o niczym z wyjątkiem sinoańskiego. Nawet podobało się mu jej drapieżne spojrzenie, kiedy się skupiała, od czasu do czasu przygryzając dolną wargę. Ale pewnego dnia nie przyszła. Pojawiła się jeszcze raz, a później już nigdy.

Czasami spotykali się przy posiłkach.

- Co tam z mandaryńskim? - spytał.

- A wiesz - odparła - mam tyle do roboty. Jeszcze nie umiem porządnie łąciny.

- Daj spokój. Mówisz po łacinie. Umiesz czytać i pisać.

- Nie dość dobrze. I, jak powiedział Sulien, nie pojedziemy do Siny.

Jej słowa przez wiele dni nie dawały Markowi spokoju. Takie zachowanie było do niej niepodobne, ta udęczona mina na lekcjach sinoańskiego. Ty nie jesteś taka, powiedział zjawie Uny, która teraz wszędzie mu towarzyszyła, czy tego chciał, czy nie, i zaczynała z nim dyskusję, kiedy uczył Iris sylab oznaczających: „Nazywam się Iris”. Otaczała go, starając nie zwracać na siebie uwagi. Czemu Una się od niego odsuwała? I skąd nagle nabrała pewności, że nigdy nie będzie musiała jechać do Siny? Nigdy nie okazywała radości z powodu obiecanych przez Marka pieniędzy i wolności. Czemu zmieniała się akurat teraz, gdy zagrażało im obłączenie? Czy to możliwe, że Una unika go z rozmysłem? Dlaczego nie miałabym się znudzić mandaryńskim jak wszyscy inni? - spytała widmo-wa Una. Wyrobił sobie o niej jakąś opinię, niby dlaczego miałyby jednak odpowiadać jego wyobrażeniom.

Czasami - i wydawało się, że nie chodzi tu o pracę ani naukę - przebywała z Damą.

Codziennie spodziewał się, że to się skończy, że wreszcie ją spotka. Zżerała go niecierpliwość, do której dołączało uczucie, że wszystko jest nie tak, a jego tu nie powinno być. Nie rozumiał całej tej sytuacji.

Pewnego dnia rano, gdy wchodził do chaty Ziye, usłyszał kroki na znajdującym się powyżej chodniku. Odwrócił się i zobaczył Unę, zatrzymała się gwałtownie, jakby dotarła do końca niewidzialnej smyczy, i spojrzała w dół. Miała dziwną minę.

- Palben wysłał Delirowi wiadomość, w wiosce jest nowy niewolnik. Idę go zobaczyć - rzuciła i pobiegła.

- Proszę cię, uważaj! - zawołał za nią.

Dama już czekał na nią w windzie.

Delir, który podszedł do drzwi, by popatrzeć na odjeżdżających Unę i Damę, uśmiechnął się do Marka, który po chwili znikł w chacie Ziye. Za każdym razem, kiedy Dama opuszczał wąż, Delir czuł się, jakby zrzucił więzy, lecz natychmiast nachodziły go wyrzuty sumienia. Kochał Da-

mę ze względu na Holzartę i ponieważ ktoś musiał. A jednak Dama był jak rozlewająca się plama krwi - jak dowód zbrodni. Delir nie rozumiał tylko, dlaczego czuje się tak, jakby to on popełnił zbrodnię, jakby to on chciał zamordować Damę, bo przecież go uratował.

Tamtego dnia na Drodze Appijskiej Delir myślał tylko o zadaniu, które miał wykonać. Uważał jednak, że to religia - o której w zasadzie często nie myślał - popchnęła go do ratowania Damy. A jednocześnie wierzył, że i tak by to zrobił. Gdy dostrzegał tę sprzeczność, nie czuł niepokoju.

Kiedy pędził po zboczach, a potem walił w podstawę krzyża, krzycząc do swych towarzyszy: „Chodźcie! Idioci!”, nie przyszło mu do głowy, jakie będzie późniejsze życie Damy. Początkowo nie było czasu na myślenie o tym, a później, w tych pierwszych tygodniach, nieustannie przenosili chłopca z jednego zaprzyjaźnionego domu do drugiego. Znajomy Delira, Polibiusz (właściwie co się z nim dzieje?), dostarczał leki niedopuszczające do zakażenia ran. Po pewnym czasie Delir zaczął się zastanawiać, czy nie umożliwia Damie skonania w obłądzeniu wśród mgiełki opiatów. Kiedy rany w końcu zaczęły się zablizniać i okazało się, że Dama obdarzony jest wyjątkową siłą fizyczną, Delir, który nadal nie wiedział, jak długo młodzieniec będzie cierpiał, zaczął sobie uświadamiać, że przecież ten dzieciak nie ma dokąd pójść, nie ma żadnego miejsca, w którym mógłby znaleźć schronienie. W tamtym okresie nie mógł nawet poruszyć ręką, by nie towarzyszył temu rozdzierający ból, o chodzeniu nie wspominając. A przecież nie chodziło tylko o te godziny na krzyżu, których, dzięki Bogu, nie pamiętał, ale o całe poprzedzające je lata. Bo wówczas Delir wiedział już, co uczynił Dama.

Delir nigdy nie był zainteresowany nawracaniem, ale Dama był gotów ucześć się czegokolwiek, a religia Delira była najbliższą. Delir pamiętał, jak kurczowo dzieci chwytają palec, choćby jak najdelikatniej musnął małą rączkę, jak bardzo był wzruszony wraz z żoną (zresztą jak wszyscy rodzice), kiedy Lal tak robiła, bo było w tym tyle ufności. Przyglądając się, jak Dama stara się żyć z sekundy na sekundę, pomyślał, że ten odruch wynika z wrodzonego, rozpaczliwego uporu, ciągłego strachu i świadomości, że może zostać porzucony w strasznej sytuacji. Nie chodziło o ufność. Delir poczuł tę samą desperację co Dama, przecież gdzieś musi istnieć coś, co przyniesie ulgę. Do tej pory nie widział swojej religii w tym świetle, po prostu była jak odziedziczony dom, ale czuł, że może pchnąć

Damę w stronę czegokolwiek, co da mu oparcie, nawet jeśli chłopak sam w nic nie wierzył.

Dziś też nie widział innego wyjścia, ale jakoś nie lubił o tym myśleć. Ta sama niepewność towarzyszyła wspomnieniom o całej akcji ratowniczej i zostawiła posmak jakby żalu. Nie potrafił myśleć o tym bez zgrozy. Nie wyobrażał sobie, by zostawienie Damy na śmierć mogło być lepszym rozwiązaniem. Czy naprawdę wierzył, choć przez chwilę, że ręce, które nie unoszą się swobodnie, wykluczają człowieka z życia? Ta myśl była tak odrażająca, że aż drętwiał ze zgrozy, nie mógł więc się zbliżyć do prawdy: że przewrócenie tego krzyża było obietnicą, która nie została i nie mogła zostać wypełniona jak należy. Wdzięczność Damy była bezgraniczna, obaj nie potrafili się z niej wyzwolić. On chyba mnie nienawidzi, myślał niekiedy Delir. Wiedział, że Dama był zdolny do gwałtownych czynów, zdawał sobie sprawę, że trzeba się o niego troszczyć, ale także nad nim panować.

Czuł się za niego tak odpowiedzialny, jakby sam go stworzył albo wyrwał śmierci w pośpiechu, postawił obolałego na okaleczonych stopach i powiedział: no trudno, teraz radź sobie sam.

Dama nie wróci pewnie przez cały dzień. Delir westchnął i poczucie winy przybrało na sile, lecz potem przyszła ulga. Musiał jednak podjąć decyzję, co dalej.

Tego ranka spytał Damę od niechcienia: „Może wiesz, kiedy mieli stracić tego chłopca?” - odruchowo unikał słowa „ukrzyżować” - a Dama dostrzegł ten wysiłek i to go rozczuliło, ale też zirytowało. No wykrztuś wreszcie to z siebie, pomyślał, komu to szkodzi? Ponieważ był zupełnie pewien, iż Sulien jest niewinny, odpowiedział na pytanie Delira.

Sulien miał podobne zdanie o Damie jak Delir. Żadna operacja by go nie uleczyła, nóż nie zdołałby odnaleźć licznych malutkich zwyrodnień, nie uszkadzając jeszcze bardziej napiętych nerwów. Każdego ranka stawał w milczeniu nad Damą, usiłując poprawić i przyspieszyć to, co jego ciało już teraz starało się uczynić - i jeszcze bardziej niż zwykle czuł typową dla lekarza chęć mnożenia zastrzeżeń, by nie budzić w pacjencie nadziei, nie dać się sprowokować. Jednak Damie w szponiastych palcach wracało czucie i powoli mijała sztywność. Mógł już wyciągnąć obie ręce

dalej niż przedtem, a czasem nawet unieść lewą dłoń na wysokość twarzy, co wymagało jednak wielkiego wysiłku.

Wkrótce możliwości Suliena miały się wyczerpać. Mięśnie Damy z czasem odzyskają siłę dzięki ćwiczeniom, ale był praworęczny, a trzy palce prawej dłoni nadal były sztywno zakrzywione, nieruchome, jakby skute wiecznym lodem. Na razie jednak Dama był tak zachwycony każdym nowym osiągnięciem, że nie martwił się tym tak jak Sulien, który żywił obawy, iż młodzieniec nie do końca rozumie, że nie odzyska pełnej sprawności. Sesje z Damą zupełnie wyczerpywały Suliena, ale ta praca go frapowała i pochłaniała bez reszty.

Potem kładł się na podłodze w chacie Lal pod pretekstem, że przyszedł do Uny.

- Podoba ci się tutaj? - spytał.

- W lecie jest fajnie. Są tu piękne miejsca. Tysiące kwiatów. Szkoda, że nie przysłiście wtedy... - O Boże, pomyślała, usłyszawszy w swych słowach kokieterię. - No i to, czym się tu zajmujemy, jest potrzebne ludziom. Lubię fałszować dokumenty - dodała z pośpiechem. Na tym gruncie czuła się bezpiecznie, nie dostrzegła w swoim paplaniu niebezpieczeństwa. - To sztuka! Na początku przez całe tygodnie tylko farbowałam papier na niebiesko i żółto, a i tak trzeba było mnóstwo wyrzucać. Teraz mam dużo odpowiedniego papieru. Potem musiałam się jeszcze zastanowić nad tym, jak starzeje się kolor. Potrzebowałam konkretnej czerwieni i zrobiłam ją, lecz po paru miesiącach poróżowiała. Fatalna sprawa. Oczywiście lepiej zaczynać na prawdziwych dokumentach, bo z tych moich, gdyby ktoś dobrze się przypatrzył, żaden by nie zdał egzaminu. Ostatnio mieliśmy prawdziwe - Waskonowie nam sprzedali, bo ich nie używają. Ale to taka maszynowa robota, wystarczy tylko zmieniać zdjęcia.

- Pokażesz?

- Dobrze - powiedziała.

Usiadła przy biurku i pokazała wyrzeźbione przez siebie pieczętki oraz jak wymazuje nazwisko lub datę, zostawiając papier nietknięty i gotowy na nowe dane. Przejął ją strach, że przewróci buteleczkę rozpuszczalnika, narobi bałaganu, zniszczy materiał i wszystko zepsuje. Dlatego pracowała wolniej i ostrożniej niż zwykle, bez uśmiechu, w ogóle nie spoglądając na Suliena. Była wyraźnie zmieszana. Pomyślała, że gdyby

spojrzała na siebie z boku, od razu odgadłaby, co czuje do Suliena.

Prawdę mówiąc, Sulien też zdawał sobie z tego sprawę, ale postanowił spytać Unę.

- Na pewno się dowiesz - odparła siostra zirytowana.

- No tak, ale czy mnie lubi?

- Ślepy jesteś? - spytała Una, która rozbawiona, lecz i rozdrażniona myślała, że kiedy Sulien je odwiedza, powinna albo wyjść i zostawić ich samych, albo siedzieć jak przyzwoitka. Pomyślała - nierozsądnie, uznał Sulien - że byłoby nie w porządku mówić mu coś innego. Jednak ogólnie poczuł się zachęcony. Tyle tylko, że kiedy czasami się zastanawiał, wydawało mu się, że nastawienie Lal do niego chyba się zmieniło. Nie rozumiał, że się denerwowała. No bo niby z jakiego powodu?

- To fantastyczne - powiedział, gdy wręczyła mu niebieski dokument, niedokończony, lecz mający już wszystkie szczegóły autentyku. - Potrafiłabyś zrobić pieniądze? To by było jeszcze lepsze.

Lal uśmiechnęła się.

- Szkoda na to czasu. I tak nie mamy gdzie ich wydawać. Mój ojciec niegdyś dużo podróżował, a ja czasami z nim jeździłam. Ale teraz, kiedy bym to naprawdę doceniła, nie wolno mi iść nawet do wioski. Chciałabym chodzić do teatrów i... i sklepów, i w ogóle. To coś złego, jak myślisz?

- Dlaczego?

- Dama tak uważa. Zwłaszcza gdy mowa o Rzymie. Chyba sądzi, że tam nie wolno jeździć, nawet myśleć o nim, bo... - zmarszczyła brwi z namysłem - bo Rzym cię skala. Ani się obejrzysz. Może i tak. Byłeś tam? Ja bym chciała, choćby przez tydzień, albo nawet dzień, żeby tylko zobaczyć. Tam się pewnie dzieje...

Sulien uniósł na wpół skończony dokument.

- Zrób sobie taki i pojedź.

- Sama?

Mógłby powiedzieć: „Ze mną”, ale chyba by przesadził. Mógłby opowiedzieć jej też o Londynie, sprawiłaby jej przyjemność opowieść o parkach i wyścigach. Ale jeszcze nie, pomyślał znowu. Ulżyło mu, że nie należała.

- Nie, nie mogę - odparła. - Ale patrz, zrobiłam te dokumenty - dodała, wyciągając papier z szuflady. Zbliżył się, żeby spojrzeć, podsunął się na czworakach do jej krzesła. Na zdjęciu widniała ona, ale imię nie nale-

żało do niej. - Ojca pozbawili praw obywatelskich, gdy się dowiedzieli, że uratował Damę i zniknął. Teraz jesteśmy nikim.

Zastanawiał się, czy odpowiedzieć: macie dobre towarzystwo, my też nic nie znaczymy. Położył rękę na jej kolanie, na tyle lekko, że można to było uznać za gest pocieszenia.

Lal zaczęła mówić, żeby przerwać niezręczną ciszę, która zapadła, gdy patrzyli sobie w oczy.

- Nikt tu nie zostaje dłużej - oczywiście jest Ziyę, Tobiasz - ale nie ma nikogo, kto...

Zawstydziła się swojego zachowania. Zanim zdołała skończyć, pojęła, że głupio robi i że Sulien przysuwa się bliżej. Położyła mu rękę na ramieniu, ale nie wiedziała po co. Musiała się pochylić, żeby go pocałować.

Tego dnia, gdy Una poszła z Damą zobaczyć nowego niewolnika, Sulien postanowił, że nie będzie unikał rozmowy o Tancorix i krzyżu, i jeśli Lal go o to poprosi, opowie całą historię.

Oprócz Marka i Uny nikt nie wiedział, co łączy Lal i Suliena. Nikomu nie mówili, choć nie starali się tego specjalnie ukrywać. Po prostu wychodzili poza osadę, na górę, szli tam, gdzie kamery ich nie widziały.

Tego dnia jednak zaczęło padać tak straszliwie, że szybko wrócili.

- Tutaj często się to zdarza - powiedziała Lal.

Drzewa obijały się o siebie ze stukiem, a pod stopami płynęły kaskady wody. Zmarzli, w każdej chwili mogli się przewrócić, toteż trzymali się siebie mocno, gdy brnęli przez burą wodę.

Rozmawiali o Marku; Lal spytała od niechcenia, czy on dobrze się tu czuje.

- Nie wiem. Nie, chyba nie. Martwi się o swojego przyjaciela Wa-riu-sza.

- Oczywiście nie tylko o przyjaciela, to ma także coś wspólnego z twoją siostrą - zauważyła.

- Co?

- Ojej! - zawołała. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że się wygadała. Była jednak ciekawa, czy Sulien zdaje sobie z tego sprawę.

- Ale co...?

- Nie, pomyślałam coś głupiego, ale się mylę! Nic, nieważne. Poroz-

mawiajmy o... tak, opowiedz mi, jak tu przyszlście, jeszcze nigdy nie mówiłeś.

I tak skutecznie zbiła Suliena z tropu.

- Tak naprawdę spotkaliśmy Marka w Tolosie...
- Wiem, Una mi mówiła. Ale wcześniej. Jaki jest Londyn?
- Brudny... i piękny.
- Wrócisz tam?

Sulien ujrzał dom Catavignusa i barkę na Tamizie.

- Nie wiem - powiedział gwałtownie, trochę zduszonym głosem. - Miałem zostać... ukrzyżowany.

- Och - szepnęła ze zgrozą. Przez chwilę wpatrywała się w niego zszokowana, a potem chwyciła jego nadgarstek, podniosła go do ust i ucałowała splot żył. To bardziej go poruszyło niż pocałunek w usta, jakkolwiek pocałunek, nie licząc tego, który nastąpił po chwili. Przyciągnął ją do siebie niezdarne, pośliznęli się, zakołysali, zachwiali. Oddała mu pocałunek żarliwie, ale po pewnym czasie poczuł, że zmienia pozycję, nie tuli się już do niego z całych sił. Odsunęli się od siebie.

- Dlaczego chcieli ci to zrobić? - spytała ostrożnie.

- No tak - rzekł i zebrał się w sobie. Postanowił przecież, że jeśli dojdzie co do czego, opowie, jak było. - Człowiek, dla którego pracowałem, miał córkę. W lecie skończyła szkołę i wróciła do domu. I zaczęliśmy ze sobą sypiać. - To był jeden z trudnych momentów tej historii. Był pewien, że nie zrobił nic złego, co najwyżej głupiego. Zarumienił się, ale brnął dalej. Nie mógł jej pozwolić, żeby zaczęła sobie wyobrażać te sceny, to wpadające światło i krzyk. - Jej rodzice się dowiedzieli. Ktoś - dziewczyna, jej matka, któraś powiedziała... - to był drugi trudny punkt, trudniejszy, Sulien musiał przerwać, odwrócić wzrok i wymamrotał bardzo szybko: - Powiedziała, że ją zmusiłem. Dlatego.

- Och - powtórzyła Lal. Wyglądała bardzo dziecinnie. - Straszne.
- Wierzysz mi?
- Oczywiście.

Zdawał sobie sprawę, że tak powie, chociażby z uprzejmości. Widział, że mówi szczerze, że naprawdę mu uwierzyła. Tyle tylko, że to była wiara, przekonanie, zaufanie, bo gdyby spytał: „Czy jesteś pewna, że nie mam tego na sumieniu?”, nastąpiłaby o wiele dłuższa pauza, a po niej dopiero uprzejme: tak.

Deszcz rozpadał się na dobre, kiedy Una i Dama dotarli do wioski. Droga minęła im szybko, bo przez cały czas rozmawiali z ożywieniem o możliwej wojnie z Nionią, o tym, jak by zmieniła sytuację.

Dama opowiedział jej o sekcie i wyjaśnił z niezadowoleniem:

- Delir uważa, że w końcu zniknie, ale musi wiedzieć, że to niemożliwe. Przecież to wszystko prawda.

- Dlaczego miałyby zniknąć?

- Bo nie przyjmuje nowych członków, przynajmniej nie powinna. Trzeba się w niej urodzić, oboje rodzice muszą być w sekcie. Ale na początku tak nie było. To chyba z powodu Rzymu. Cena za spokój, rozumiesz. Żeby można ich było kontrolować. Z Żydami jest podobnie. Prawie jak kwarantanna. Były i inne sekty, które znikły. Inni prorocy. Mani. Jezus. Rzym wie, co robi, zajmuje się tym, co mu zagraża, nie interesuje się głupimi bożkami.

- Sulien powiedział, że zaratustrianie czczą ogień, ale...

- Ale ogień jest symbolem. Gdyby mieli świątynię, to płonąłby w niej wieczny ogień. To wszystko. Zresztą w Rzymie jest tak samo. W świątyni Westy. - Uśmiechnął się z lekką pogardą.

- Zamierzasz to zniszczyć?

Dama zawahał się i wymamrotał powoli, cicho i rytmicznie, tak że zorientowała się, iż to cytat ze świętej księgi:

- Panie panów, królu królów, czujny, wieczny, stwórco wszechświata, rozdawco chleba powszedniego...

- Ale skoro nie przyjmują nowych, to... to chyba nie musisz... - odezwała się po chwili nieśmiało.

- Nie. Tak naprawdę nikt nie ma wpływu na to, w co wierzy.

Zobaczyli tego nowego niewolnika; kulił się w oberży, oparty o parapet, ze strachem stroniąc od pijących staruszków. Una zapukała w szybę; podskoczył i wytrzeszczył na nich oczy. Potem wykradł się na zewnątrz.

Był łagodny, chudy i obolały. Ręce mu się trzęsły, głośno kaszlał i wyszeptał:

- Naprawdę jesteście z Holzarty? Nie wiem, jak tu dotarłem... nie wiem, skąd wzięłem odwagę.

- Jak się nazywasz?

- Tasjusz - zachrypiał i przycisnął rękę do żeber. - Szedłem z... ha-aach... - zarzęził - z Sycylii. - Uśmiechnął się słabo, wzrok miał szklisty. -

Nie ma sensu... iść dalej... ze mną i tak koniec... robi się coraz gorzej...

- Będzie dobrze - rzucił Dama szorstko. - Mamy kogoś, kto cię wyleczy. Co robiłeś na Sycylii?

- Kopalnie... siarki. Chyba z dziesięć lat... To ten pył... haaach... co wchodzi do płuc... wżera się. W tym roku jest gorzej. Myślałem, że może chociaż się dowiem... czy to prawda, czy mam jakąś szansę. Ale ten pył... haaach... ciągle tam siedzi, jakby... jest coraz gorzej... nawet na powietrzu.

- Będzie dobrze - powtórzył Dama, którego niewolnik zaczął irytować.

Una początkowo widziała tylko, że Tasjusz rzeczywiście się denerwuje, co było naturalne. Ale potem zaczął bardzo intensywnie myśleć o czymś, co miał w torbie i co zaszył w ubraniu. Przebył taki szmat drogi, jak twierdził, ale nie widać było, żeby mu ulżyło ani żeby się naprawdę bał - ich, Waskonów czy wigilów, którzy go ścigali, czy choroby. Czuł coś, co rozpoznała. Wypatrywał oznak, że obudził ich nieufność, robił wszystko, żeby wypaść przekonująco.

- Bądź błogosławiony za te słowa - wyszeptał.

- Jesteś szpiegiem? - spytał Dama równie niespodziewanie jak poprzednio.

- Co? - jęknął Tasjusz. - Nie. To tu przychodzą szpiedzy?

Przedmiot wielkości monety, wszyty pod kołnierz koszuli, był urządzeniem namierzającym. W dniu torby Tasjusz ukrywał pęk cienkich zatrutych igieł. A jego płuca nie były chore.

Una stała nieruchomo, nie odrywając od niego spojrzenia, nie drżała. Jednak ten mały przyrząd pod jego kołnierzem musiał przekazywać sygnał komuś być może oddalonemu o niespełna milę albo i mniej. Ten czarny splot przewodów, który miał przy sobie Dama, mógł zakłócać sygnał; tak bardzo zbliżyli się do Marka... Zobaczyła - oczami Marka - ciemność, jego pogrążonego we śnie i igłę gładko wkłuwającą się w skórę. Wymazała to bielą. Nie dopuści do tego.

- Czy już blisko? - spytał wąty Tasjusz, przyciskając rękę do boku.

- Nie - odparła. - Nie, to daleko. - Gdyby Dama był Sulienem, Markiem czy kimś innym, bez patrzenia wiedziałyby, czy zrozumiał. Ale nie wiedziała i nie mogła na niego spojrzeć.

- Ale przyszłście...?

- Och, nie stamtąd! - Usiłowała się uśmiechnąć. - Stamtąd nie da się

iść piechotą!

Przez chwilę nie wiedziała, jak to wytłumaczyć, ale wówczas odezwał się Dama:

- Przez jakiś czas byliśmy w Osaskii, dopiero obeszlśmy punkty zborne.

Zrozumiał, że Unie trzeba pomóc; oczywiście nie znała nazw pobliskich wiosek. Ale nie ośmielił się powiedzieć nic więcej. Nie umiał kłamać i był wściekły.

Zdesperowana Una postanowiła porozmawiać z nim na osobności.

- Lepiej nie stój na deszczu - poradziła Tasjuszowi życzliwie. - Musimy jeszcze porozmawiać z paroma osobami. Jadłeś coś?

Nie miał wyboru, musiał się dać zapędzić z powrotem do oberży. Dama poprosił gospodynię, by poczęstowała Tasjusza chlebem i zupą. Una wyciągnęła Damę za drzwi; w milczeniu doszli do fontanny w centrum wioski.

Una nie zdawała sobie sprawy, jak wściekły jest Dama, dopóki nie zaczął mówić, i poczuła się dziwnie - on wręcz kipiał gniewem, a ona się wcześniej nie zorientowała.

- Drań - rzucił przez zęby. - Szmata. Jak śmiał. Jak śmiał tu przyjść i udawać, że jest prześladowany. Boże, chyba mu się wydaje, że jest taki cwany, tak rzezi i w ogóle. Pewnie ćwiczył. - Przełknął ślinę, teraz zły na siebie za ten wybuch, ale nie mógł się opanować. - Ma broń?

- Tak.

- Palną?

- Nie sądzę.

- To już coś - powiedział, ale potem dodał sucho: - To znaczy, że jej nie potrzebuje. Wysłali tu kogoś, kto wie, co robi. Pewnie wzięli go z wojska, jest wyszkolony. Może tak być?

Przytaknęła.

- Zatem wystarczy mu nóż albo gołe ręce. Pokuśtykał do fontanny i z powrotem.

- Też mam nóż. Nie odpowiedziała.

- Zaprowadzimy go do lasu. Przynajmniej go zaskoczmy. Chyba nie mamy wyboru.

- Nie zrobisz tego - wymamrotała. - Twoje ręce...

- Nie - powiedział natychmiast. - Przepraszam. - Znowu się odwrócił,

przyjrzał się rękom, spojrział na sztywne palce prawej dłoni z nienawiścią, jakiej nie czuł, odkąd Sulien pojawił się w wąwozie. - Przepraszam - dodał cicho. - Nie chcę, żebyś to robiła. Nie chcę, żebyś się do niego zbliżała.

Nie całkiem rozumiała siłę swojej niechęci. Zamknięta w piwnicy oberży w Wilczym Kroku była przerażona tym, co by zrobiła, gdyby miała wolne ręce, poczuciem, że od początku nie myliła się co do siebie, że przed niczym się nie cofnie. I nadal miała takie wrażenie. Mimo to tylko stała i wpatrywała się w Damę.

Być może wciąż czuła jakąś litość dla tego niby umierającego. Nie chodziło tylko o to, że nie chciała tego zrobić. Nie chciała, żeby w ogóle do tego doszło.

- Na razie nic nie działał - rzekła w końcu. Dama westchnął cicho.
- Wolisz czekać, aż działa?
- Oczywiście, że nie.

- Una. To trudne, ale daruj sobie wyrzuty sumienia. To on powinien je mieć. On nas zmusił, niepotrzebnie tu przyszedł. Rozsądek nakazuje się bronić.

- Marek - powiedziała z tą samą obojętnością. - Przyszedł po Marka.

Czy wizja tej ostrej igły zbliżającej się do ciała Marka była autentyczna, to już inna sprawa. Dama się niecierpliwił.

- No, na jedno wychodzi. W każdym razie ktoś taki nie powinien chodzić po świecie. Ty lepiej ode mnie wiesz, jaki jest.

- Tak.
- Czyli nie mamy wyboru?
- Nie.

W chwili kiedy to mówiła, nie miała konkretnego pomysłu, co zrobić. Znowu stali w milczeniu. Nie chciała zabijać tego człowieka, jedzącego i pijącego w oberży, nieświadomego losu, który go czekał, nieświadomego nawet umysłu, który go teraz penetrował.

Spojrzała na garaż Palbena i powiedziała bez zastanowienia:

- Moglibyśmy pożyczyć samochód od Palbena.
- Po co? Potrafisz prowadzić?

Pokręciła głową upokorzona.

- A ty?
- Kiedyś umiałem - odrzekł z goryczą.

- A teraz?

Zamilkł, na próbę wyciągnął ręce, cofnął je.

- Nawet gdybym potrafił... - zaczął powoli.

- Możemy go wywieźć. Wywieziemy go jak najdalej i porzucimy. Co wtedy nam zrobi?

- Nawet gdybym potrafił, czy to się uda? Po co Delir wysłał kogoś, kto prawie nie rusza rękami?

- Kiedy cię poznałam, początkowo nie wiedziałam, co jest nie tak, a teraz ci się znacznie poprawiło. Nie musi tego zauważyć.

- Fakt... - mruknął Dama, nagle dziwnie roztargniony. - Może i nie. - Ale zmarszczył brwi. - To znaczy, że zamkniemy się w puszcze z mordercą.

- Wiem. Ale on już tu jest. Nie mamy wyboru.

Częściowo był to po prostu strach o nią.

Przestań, powtarzał sobie Marek. Siedział w chacie Ziye, trzymał plansze. Nie myśl o tym na razie.

Una nie wiedziała, co tam ją czeka. Wszystko może się zdarzyć. W ogóle nie chciał o tym myśleć, chciał za nią iść. Proszę bardzo, pomyślał. Czemu nie idziesz? I wszelkie rozsądne ostrzeżenia, które do niego napłynęły w odpowiedzi, wydawały się tchórzliwe i zarazem głupio nieistotne. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że ostatnio, kiedy prowadził w myślach rozmowy, co zdarzało się często, ten drugi głos nie należał już do niego ani do rodziców, jak kiedyś. Nie dlatego że zawsze wiedział, co by powiedziała, tylko wszystko miało jej głos i wygląd. Oczywiście ten głos musiał należeć do Uny.

Ziye pastwiła się nad naburmuszonym Tiro, który nie patrzył na spis symboli, jakie wypisała w przerwie pomiędzy lekcjami. Kiedy zarzuciła sobie brak cierpliwości, Marek nie uwierzył. Zawsze była taka opanowana. A potem ze wstrząsem ujrzał, do jakiej lodowatej wściekłości jest zdolna i w jaki stan paraliżu wprowadza swoje ofiary. Tiro, dwudziestopięcioletni, bardzo duży, siedział zgarbiony i wpatrywał się z pobielającymi ustami w podłogę.

- Powiedz, w czym problem! - syczała Ziye. - Po co tu przychodzisz? Nie potrafisz mówić nawet we własnym języku? - Stała i czekała na od-

powieź. Zadawanie pytań retorycznych stanowiło jedno z jej narzędzi przewlekłych tortur.

Marek wiedział już, że pierwsze jego wrażenie było słuszne. Po dwudziestu latach na arenie musiała się nauczyć udawać gniew, nawet okrucieństwo, choć furia, która na pewno kiedyś pojawiła się spontanicznie, dawno z niej wyparowała. Potrafiła wzbudzać przerażenie. Wprawdzie dla pogrążonej w otępieniu Pyrry nie miała takiego współczucia jak Delir, nigdy jednak nie stosowała swoich niszczących taktyk w stosunku do tak kruchych ludzi.

Pyrra przychodziła na lekcje, ponieważ Iris przyprowadzała ją za rękę, kładła przed nią papier i czasami nawet nakłaniała ją do przepisania piktogramu lub powtórzenia dźwięku. Ale Iris była dziś sama. Pyrra zachorowała.

Matka. Nauczyciel. Kot. Pies. Marek był odpowiedzialny za dzieci. Kartki z symbolami były dla Iris i trojga innych, Crispina, Feliksa i Mariny, dzieci Marinusa i Heleny, którzy zajmowali się kuchnią obozową. Mieszkali tu tak długo, że dzieciaki - choć młodsze od Iris - były o wiele bardziej zaawansowane, a Marek kazał im pracowicie tłumaczyć historię z psem, kotem, matką i nauczycielem w rolach głównych.

- Ale po co? - wymamrotał wreszcie Tiro. - Nie mogę uczyć łaciny, nie mogę uczyć niczego. Nie znam Siny. Jak miałbym tam coś robić?

- Rzeczywiście jak, skoro nawet się nie starasz? - warknęła Ziyę.

Marek mechanicznie pokazywał dzieciom kartki. Denerwował się. Usiłował się skupić na lekcji z Iris. Wszystko, co odciągało go od Uny, wywoływało irytację, a musiał to robić. Chodził tam i z powrotem, bezradnie, bez sensu, jak serce dzwonu.

Odłożył karty i powiedział nagle:

- S h i oznacza nauczyciela, trupa lub wesz.

Prawdopodobnie nie była to najistotniejsza informacja dla Iris. Miała dziewięć lat. A on nieświadomie naśladował jednego ze swoich gubernatorów. - Albo poezję, albo wilgoć - dodał.

- Dlaczego?

- Bo kiedyś to słowo miało różne brzmienia na różne znaczenia, tak jak inne słowa, których się uczyłaś, na przykład ma , ale teraz wszystkie znaczenia przybrały to samo brzmienie: shi.

- Dlaczego teraz nie ma brzmień?

- Nie wiem - odparł Marek niezgodnie z prawdą. Już odpływał od złożonych słów, by ujrzeć Unę biegnącą po ścieżce do Damy, przypomniał sobie też chwilę, kiedy zobaczył japo raz pierwszy. Dodał z wysiłkiem: - Teraz musisz dodać drugie słowo, na przykład zhang...

- Co tu robisz, Marku Nowiuszu Faustusie? - spytała Iris.

Marek powoli otrząsnął się z zamyślenia i spojrział z niedowierzaniem na Iris. Spytała na tyle cicho, że głos nie przebił się przez ostrą tyradę Ziye, i patrzyła na niego chłodno.

Był nieprzygotowany, odebrało mu mowę. Co gorsza, poczuł, że się oblewa rumieńcem. Uśmiechnął się.

- Myślisz, że jestem podobny do Marka Nowiusza, tak?

Iris patrzyła na niego poważnie.

- Bardzo, bardzo podobny.

- Hm. Aż żałuję, że nim nie jestem - zaryzykował. - Byłoby ciekawiej. Niestety, nigdy nie byłem w Rzymie.

Iris skrzywiła drobną buzię, zastanowiła się i nie uwierzyła.

- Widziałam cię w dalwizji. Wszyscy się bardzo o ciebie martwią - rzekła karcąco. - Nie powinienes tu z nami siedzieć. Powinienes wracać do domu.

Nie wiedział, co wybrać: czy przekonywać ją, by nikomu nie mówiła, czy dalej udawać, że się myli.

- Nie miałem dokąd iść - powiedział mocnym głosem. - Tak jak ty.

Tasjusz od czasu do czasu przeraźliwie rzeził, a oni tylko w milczeniu zaciskali zęby. Una poczuła, że za chwilę da za wygraną, krzyknie: „Słuchaj, wiemy, że jesteś szpiegiem i udajesz chorego!” - tylko po to, by go uciszyć. Rozpierała ją ochota, by zacząć podobnie kaszleć.

Tasjusz leżał bezwładnie obok niej, z zamkniętymi oczami, ale wiedziała, że ukradkiem obserwuje ich spod jasnych rzęs, zerka często na mijane góry. Czasami jego głowa opadała omdlewająco na jej ramię. Usiłowała się nie wzdrygać, nie wstrzymywać oddechu.

Damę dręczyła świadomość, że Tasjusz znalazł się blisko Uny. Wyprowadził samochód z wioski. Nie spodziewał się, że w ogóle uruchomi tę maszynę, ale czerpał z jazdy niewyobrażalną przyjemność. Nie umiał chwycić jak należy prawej dźwigni, ale poruszał nią, mocno napierając

całą dłonią i szarpiąc w tył. Nie powinien się tak zachowywać, nie powinny radować go takie drobiazgi.

Wyjechali z Athabii wyboistym szlakiem, skręcili w las, a potem ruszyli po nagiej górze w płytkim śniegu.

- Nie wiem czemu, ale myślałem, że to bliżej - odezwał się Tasjusz.

Pierwszy dreszcz przebiegł po prawej ręce Damy. Od niechcienia ode-rwał ją od dźwigni, ostrożnie zgiął, znowu położył.

- Tak jest bezpieczniej - rzucił krótko.

- Opowiedz, jak uciekłeś - poprosiła Una, żeby go czymś zająć.

- Za bardzo się... haaach... zmęczyłem. Przepraszam - wyszeptał.

Po drugiej stronie gór pomarszczone płachty śniegu znikły, buki ustąpiły miejsca wyschniętym piniom. Jechali tam w deszczu, w powietrzu unosił się ślad ciepła, a okolica szybko się zmieniała. Było to nawet większe pustkowie niż te koślawe pagórki wokół Athabii, a przynajmniej tak się wydawało, bo widzieli przed sobą niekończące się regularne diuny brązowych drzew, ciągnące się całymi milami. Wąska dróżka to wznosiła się, to opadała. A jednak w miarę jak samochód zjeżdżał po zboczu, dostrzegali warstwy ziemi, wygięte, wypiętrzone, rozłamane, które zostały obnażone, gdy formowały się góry, teraz mierzące w niebo jak liczne, ostre niczym brzytwy mury.

Tasjusz lekko napiął mięśnie.

- Jedziemy do Hispanii?

- Tak - powiedział Dama przez zaciśnięte zęby.

Czy Tasjusz (to imię wydawało się Unie prawdziwe - a zresztą dlaczego nie miałyby używać własnego imienia? Czy ktoś z Holzarty mógłby je rozpoznać?) już się domyślił, że wiedzą? Nie w pełni, jeszcze nie. Ale już miał wrażenie, że coś się nie zgadza. Może dlatego, że nie spodziewał się tak długiej podróży. Był dobrym żołnierzem, nigdy nie lekceważył przeciuc ani nie pozwalał, żeby wpędziły go w panikę, analizował je.

Una wiedziała, że Tasjusz odtwarza w pamięci spotkanie w Athabii, ocenia wszystko, co powiedział, sprawdza, czy dał im powód do podejrzeń. Pomyślał o kopalniach siarki na Sycylii. Czy podał jakiś zmyślony fakt, który prawdziwy niewolnik by rozpoznał? Na pewno nie. Powiedział bardzo niewiele, a zresztą orientował się, o czym mówi, przeprowadził rozpoznanie.

Pomyślał - z tak nagłą ostrością, że Una odczytała to bez żadnego wy-

siłku i musiała odwrócić twarz do okna, by ukryć przebłysk strachu - jak zdołali przeżyć tak daleko od wszystkiego? Ziemia jest taka wyschnięta, jak mogą ją uprawiać?

Ramiona Damy trzęsły się już bardzo, nie było to lekkie drżenie z zimna czy strachu, lecz gwałtowne, monotonne telepanie, jakby przewodów na wicherze. Ściągną spazmatycznie protestowały, ból wwiercał się w łokcie i barki. Z bólem można paktować, na przykład za pomocą długich oddechów. Dama dobrze się na tym znał, ale teraz nie miał swobody działania, zmuszał się, by nie oddychać zbyt głęboko, nie dyszeć, może tylko czasem, kiedy Tasjusz zaczynał rzezić. Przynajmniej tyle było z niego pożytku.

Una zdawała sobie sprawę, w jakim stanie jest Dama. Nie zmieniało to faktu, że nadal nie potrafiła bezpośrednio poczuć jego myśli, choć i tak je znała.

Tasjusz westchnął i zarządził straszliwie, dzięki czemu Dama mógł zaczerpnąć głęboki haust powietrza. Potem ich pasażer przesuwiał się niezdarne z siedzenia obok Uny na miejsce naprzeciwko. Przyglądała się bezsilnie, jak przez chwilę pochyła się nad Damą. Z pewnością widział jego bladość, dygoczące ramiona. Siedząc bez ruchu za Tasjuszem, zaangażowała całą swoją moc, by skierować jego uwagę w inną stronę. Był zbyt czujny, zbyt przytomny, mogła jedynie skupić jego myśli na braku wody.

Słyszając ruch, Dama zacisnęła zęby i napięła ramiona, narzucił im chwilę bezruchu, który wypalił szlaki bólu od kręgosłupa po czubki palców. Tasjusz położył się i wyciągnął, a jego długie, żyłaste ramiona spoczęły lekko na piersi. Rozluźnił mięśnie, by zagłuszyć niepokój i wszystko przemysleć. Tu muszą być źródła, pewnie kopią studnie, to przecież nie pustynia. Teraz wiadomo, dlaczego trudno ich tu znaleźć. Zamierzał się zastanowić spokojnie, co najgorszego może się przydarzyć i jak powinien zareagować; kiedy skończył, poczuł się lepiej. Jeśli z jakiegoś powodu nie zdoła zrobić tego, po co tu dziś przybył, musi przynajmniej zlokalizować obóz. Zatem jeśli to jakaś pułapka, trzeba...

Una wpatrywała się w brązowe skały. Jak mogła go powstrzymać przed myśleniem, skoro nie chciał mówić? Będzie musiała sama się rozgadać, ale czy zechce jej słuchać. Jak go do tego nakłonić?

Zaczęła wesoło, prawie jak Lal:

- Ciekawe, że pojawiłeś się akurat teraz, gdy zjeżdżają do nas najróżniejsi. I opowiadają niezwykle historie.

Dobrze, zainteresował się.

- Naprawdę? - spytał przeciągle. - Kto?

- Tak, matka, która uciekła z małą córeczką. Przejechała sto mil samochodem swojego pana, a nie potrafi prowadzić, czy to nie jest niewiarygodne?

- Niesłychane - wymamrotał, znowu zamykając oczy.

- Kto tam jeszcze był... niech pomyślę... - Ale jeśli będzie tak dalej ciągnąć i nie opisze Marka, on zacznie się zastanawiać dlaczego, odgadnie prawdę. - No, sam zobaczysz. Już prawie jesteśmy.

Krótką przerwę, nic więcej. Zastanawiał się, w którym momencie i w jaki sposób będzie musiał złamać jej kark.

- To dobrze - powiedział sennie.

Uniósł powieki i uśmiechnął się do niej z cierpliwością inwalidy. Oceniał ją. Nie wydała mu się pociągająca, była zbyt bezbarwna, za młoda, usta miała za małe, ale jednak na swój surowy sposób była atrakcyjna, za parę lat mogła rozkwitnąć. Szkoda ją zabijać. Uważał siebie za rękę losu, który ją dosięgnie, bo miała pecha. Nie chciał jej krzywdzić - żadnego z nich, ale zwłaszcza jej. Uważał, że nie należy krzywdzić ani zabijać kobiet, tak samo jak sądził, że stłuczenie lustra przynosi pecha. Można się wystrzegać rozbijania luster, lecz gdy pomimo najlepszych chęci wypuści się jakieś z ręki albo jeśli z jakiegoś dziwnego powodu trzeba zrobić to celowo, nie ma rady. A ona byłaby drugą, najwyżej trzecią osobą, którą zabije. Po wykonaniu tego zadania przejdzie na emeryturę i nikomu nie przysporzy już cierpienia.

Wolałby się jednak skupić na tym młodzieńcu. Jeśli coś pójdzie nie tak, niemal z całą pewnością będzie musiał zabić przynajmniej jedno z nich, choćby dlatego, że zajechali tak daleko i trudno będzie panować nad obojgiem w drodze powrotnej. Nie mógł rzecz jasna pozwolić, żeby ostrzegli pozostałych. Nie miał bronii z wyjątkiem igieł, do których dostęp był utrudniony. To na wypadek gdyby chcieli go zrewidować. (Ta myśl podniosła go na duchu - z pewnością nic nie podejrzewali, bo przecież by to zrobili). Jeśli mają jakąś broń, trzeba będzie ich rozbroić, zanim się zorientują co i jak. Zresztą tyle tu kamieni. Oto co zrobi: chwyci kamień, wykorzysta ich nóż, jeśli go mają, a jeśli nie, załatwi sprawę gołymi

rękoma, zmusi ich, by wyjawili, gdzie jest syn Leona. Każde z osobna może być w takim stopniu szalone, że da się zabić, ale nie powie, lecz może jednak nie aż tak, żeby poświęcić współtowarzysza. Musi się zorientować, które prędzej wybrałoby śmierć. Dziewczyny mają miększe serca, ale ten chłopak reagował bardziej emocjonalnie i pewnie czuje się za nią odpowiedzialny. Problem tylko w tym, że jeśli ma chwycić dziewczynę, a potem zabić chłopaka, nastąpi niezręczna chwila, w której trzeba będzie puścić dziewczynę i złapać chłopaka.

Postanowił, że okaleczy ją, by utraciła sprawność, i odepchnie, a kiedy chłopak do niej podbiegnie, wbije mu nóż w plecy, uderzy go kamieniem albo po prostu powali kopnięciem w skroń, które - wykonane prawidłowo - powinno zabić. Następnie samochodem zawiezie dziewczynę do swojej bazy. Nawet jeśli młodzieniec nie powiedział prawdy, to wszystko wyciągną z niej później.

Uspokoił się. Nie ma się czym martwić.

A Una w żaden sposób nie mogła o tym powiedzieć Damie.

W końcu Dama przez łyzy ujrzał wysoko w płowych skałach długie rozpadliny, na które czekał (gdy jego mięśnie i ścięgna krzyczały w ślepej wściekłości) i o które się modlił: pierwsze oznaki kolonii grot, znacznie bardziej oddalonych od drogi, niż zapamiętał z wizyty sprzed czterech lat.

- Jesteśmy - rzucił, opuściwszy pulsujące bólem ręce na kolana. - Patrz, jaskinie.

Przez następną chwilę Una siedziała nieruchomo, przerażona, bo widziała, że nie mogą po prostu otworzyć drzwi, zaczekać, aż Tasjusz wysiądzie, i

odjechać. Zamierzał deptać im po piętach, a poza tym jego rzekoma słabość w naturalny sposób uzasadniała, dlaczego idzie za nimi. Stanu Damy nie można było dłużej ukrywać. Jeśli Tasjusz przyjrzy mu się uważnie, błyskawicznie dostrzeże jego cierpienie, okaleczone ramiona. Gdyby to, co powiedzieliśmy Tasjuszowi, było prawdą, pomyślała, ktoś musiałby odprowadzić samochód do Athabii.

Szybko wysiadła i przytrzymała drzwi, a Tasjusz gramolił się powoli. Przez niespełną sekundę wydawało się jej, że mogłaby zaryzykować zanurkowanie do samochodu, ale Tasjusz, na wszelki wypadek, dostał kolejnego ataku kaszlu i zakołysał się. Najpierw oparł się o drzwi, blokując

je, a potem całym ciężarem na jej ramieniu, z uśmiechem szepcząc „przepraszam” pomiędzy zdławionymi zapinięciami. Una mruknęła coś ze współczuciem i odsunęła się od drzwi. Rzuciła szybko do Damy:

- No to do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Odwróciła się, żeby nie widzieć jego przerażenia, i pomaszerowała drogą w zarośla.

Pomimo wystających licznych kamieni i korzeni parę kroków przeszła z zamkniętymi oczami. Myślała o Sulenie i Marku.

Tasjusz kuśtykał za nią, pokasłując.

Sulien i Lal przemoczeni wrócili do chat, nie w milczeniu, które obojgu wydało się nieznośne, lecz rozmawiając z przymusem o niczym, często klnąc na ulewę i szukając drzew, by mieć na co patrzeć. Lal pocałowała go niepewnie i uciekła do swojego pokoju, gdzie wbiła wzrok w kobiety namalowane na freskach. Ich podłużne oczy nagle zaczęły z niej szydzić. Wiedziały coś, o czym nie miała pojęcia, choć sama je namalowała. Jej nikt nie groził śmiercią za to, że z kimś sypiała, bo z nikim nie sypiała.

Ledwie Sulien wszedł do swojej chaty, do środka zajrzał Delir.

O nie, pomyślał Sulien, wyobrażając sobie - trafnie, jak się okazało - co będzie.

Delir nieświadomie wspiął się na palce i zakołysał, tak jak Lal, częściowo po to, żeby wydać się wyższym, częściowo dlatego, żeby rozbroić młodzieńca. Wyraźnie czuł się nieswojo.

- Strasznie tu czasem bywa, prawda? - spytał, a potem dodał z obawy, że zabrzmiał tak, jakby to ludzie byli straszni: - Czy ktoś chciałby z własnej woli żyć w tych ulewach? Ale widzisz, musieliśmy znaleźć miejsce, gdzie okolicznym mieszkańcom moglibyśmy ufać, a Waskonowie...

W chwilach zdenerwowania zaczynał paplać, zupełnie jak Lal.

Sulien patrzył na niego w milczeniu. Czuł, że powinien natychmiast stawić temu czoło i spytać: „Słyszałeś, co się wydarzyło w Londynie?” - ale nie mógł - łudził się jeszcze przez chwilę, że Delir naprawdę przyszedł ponarzekać na pogodę.

Delir usłyszał własny głos, rozpoczynający opowieść o tym, jak i dlaczego wybrał ten wawóz w Pirenejach, ale w końcu wtrącił:

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Tak?

- O Lal.

- Tak.

- Jej tu jest ciężko. To niesprawiedliwe. Od dawna żyje nadzieją, że przyjedzie tu ktoś w jej wieku. Bo chce mieć przyjaciół. Jesteś ty, Marek i twoja siostra. I ty... nie wiem, co zrobiłeś z Damą... nie wiem, czy w to w ogóle wierzę, ale jest mu lepiej, widzę to. To bardzo dobrze. Dziękuję.

- Proszę.

- Ale Lal...

Milczenie. Tym razem Sulien je przerwał.

- Wiesz, co rzekomo zrobiłem?

Delir aż się uśmiechnął z wdzięczności.

- Tak, chodzi i o to.

- Nie zrobiłem tego. - Ile jeszcze razy przyjdzie mu to powtórzyć?

Delir nie odpowiedział, pokiwał głową ze smutkiem, co mogło oznaczać wszystko.

- Wiesz, jak to jest - dodał Sulien cicho. - To byli wolni obywatele. Mogli powiedzieć, co chcieli.

- Wiem. Przepraszam. Słuchaj, w zasadzie ci wierzę, o tak... - Uniósł ręce z wyprostowanymi palcami, a potem zgiął kciuk. W dziewięciu częściach na dziesięć. - Może wierzyłbym do końca, gdyby nie chodziło o Lal albo gdyby Lal była inna. To niesprawiedliwe i pewnie cię to gniewa, ale to moja córka. Przypuśćmy, że prawdą jest chociaż to, że uwiodłeś tamtą dziewczynę.

Słowo „uwiodłeś” obu im wydało się śmieszne. Sulien nie potrafił się zdecydować, czy przystać na nie, czy je jakoś skorygować. Patrzyli wszędzie, byle nie na siebie.

- Lal ma czternaście lat.

- Nie zamierzałem... nie zamierzaliśmy... my nie... - wymamrotał Sulien żałośnie. Rozwahał to oczywiście, ale myślał o tym w kategorii dalszej przyszłości.

Nie pojawiło się słowo „zakaz”. Jednak rozmawiali tak jeszcze przez jakiś czas i z wolna wyłoniło się, gdy Delir niechętnie, ze wstydem poprosił nie o to, by Sulien więcej nie spotykał się z Lal, nawet nie o to, żeby nie widywał się z nią sam na sam, lecz by nie zdarzało się to za czę-

sto i, oczywiście, by trzymał ręce z daleka.

Gdy Sulien został sam, pomyślał z bezsilnym gniewem o Catavignusie, Tancorix i Prisce, co jego zdaniem było szaleństwem, jakby mieli większe prawo do skazywania go na śmierć w męczarniach niż do wtargnięcia w jego życie. Zawsze dobrze mu szło wymazywanie przeszłości z pamięci i teraz ten nawrót wspomnień wydawał mu się nienaturalny. To nie powinno się zdarzać, ale czasem jeszcze, gdy pomyślał o tamtych okropnych chwilach, trząsł się ze strachu, a od momentu spotkania Dany przyśniły mu się raz czy dwa koszmary.

Gdyby się rozgniewał na Delira, przyniosłoby mu to ulgę, ale nie mógł.

Sulien ruszył na poszukiwanie Marka, który nadal prowadził lekcję mandaryńskiego.

Później, gdy wrócił do mrocznej chatki, w ponurym nastroju wykreśliwszy się od prania pościeli, wpadła wściekła Lal. Całe wahanie zatęło w czystej furii. Rzuciła się i obsypała go pocałunkami, krzycząc:

- Co, pozwolisz mu na to? Jakim prawem?

Doszedł do wniosku, że nie złamał obietnicy, którą dał Delirovi: nie mógł się cofnąć ani odsunąć Lal. Mógł tylko powoli się od niej odsuwać, tak by zamiast warg całowała policzek, włosy, a wreszcie pustkę.

- Co mogę zrobić? - spytał cicho. - Gdyby nie on, nie miałbym się gdzie podziąć.

- Tak ci powiedział? - Poczowała się urażona i zmieszana. Nie powinna tu wpadać bez zastanowienia i tak się odsłaniać. Twarz jej zapłonęła. Jednak mu tak bardzo nie zależy, pomyślała.

- Nie.

Z trudem powstrzymał słowa, które cisnęły mu się na usta: „To tylko na jakiś czas, nie zawsze tak będzie”. Ale czy naprawdę? Mógł zostać ułaskawiony, Marek mógł go wyzwolić, ale i tak nic by się nie zmieniło, Delir zawsze by się zastanawiał, czy Sulien był winny. Ale coś się wydarzy, pomyślał uparcie, trzymając Lal w objęciach.

Zjawił się Delir, tupał bardzo głośno, by ich nie zaskoczyć.

- Lal - powiedział.

- Och, mało jeszcze zrobiłeś? - krzyknęła, odwracając się do niego i wybuchając płaczem.

- Proszę cię, chcę tylko, żebyś była bezpieczna.

- Ale nie jestem bezpieczna, przecież mieszkam tutaj! - Delir wzdry-

gnął się, bo miała rację. - Skoro muszę tu być, pozwól mi żyć, jak chcę!
Jesteś hipokrytą! Nie podoba mi się, że jesteś z Ziyę, ale nic nie mówiłam,
bo byłeś szczęśliwy!

Delir drgnął.

- Ziyę? To ty wiesz o Ziyę? - spytał ochryple.

Ale potem na dworze rozległy się krzyki, przeraźliwe łkanie i ktoś za-
wołał Delira.

Tasjusz nie widział już. za sobą drogi, ale nasłuchiwał, czy samochód ruszy. Ruszył, z łagodnym poszumem elektryczności i ciepłego powietrza. Una szła przodem. Gdy usłyszała, że Dama odjeżdża, zeszywniała z przerażenia. Nie wiedziała, co Dama zamierza. Tasjusz musiał iść powoli, bo udawał chorego. Początkowo wydawało się jej, że zdoła to wykorzystać, że może go zostawić z tyłu, ukryje się, a potem ominie go, korzystając z osłony drzew. Ale w ten sposób miałyby do pokonania podwójny dystans, a on, tak jak teraz, stałby jej na drodze. Mógłby ją dopaść, zanim zdołałaby się przedrzeć przez gęste zarośla. Nie, jakoś musi pokierować nim tak, żeby znalazł się przed nią.

- Jesteś gotowy? - spytała, uśmiechając się do niego z troską. - Na pewno dasz radę?

- Tak - wydyszał, ale po tym przedstawieniu w samochodzie nie mógł nagle odzyskać sił, musiał pozwalać, żeby odsuwała mu z drogi gałęzie. Z tego powodu na chwilę znalazł się krok przed nią, ale zaraz stracił równowagę, zarzęził, przytrzymał się jej, wręcz wczepił w nią. Dotyk jego ciężkiej ręki obudził w Unie wstręt. Ledwo się opanowała. Przynajmniej szli ramię w ramię.

Ułamała koniec gałązki, którą przed nim odsunęła, włożyła ją do kieszeni ostrym końcem do dołu i nacisnęła.

- Już niedaleko - obiecała.

Ale jeśli zapuszczą się dalej, stanie się jasne, że nie zna tych gór.

Rzuciła gałązkę i zaczęła się od niechcienia klepać po ubraniu, potem po kieszeniach, stopniowo oddychając coraz szybciej, marszcząc brwi, w milczeniu błagając nie tylko jego, lecz cały świat, by to wyglądało wiarygodnie.

- O, nie - odezwała się.

- Co się stało?

- Mam dziurę w kieszeni, patrz. - Pokazała mu zrobione przed chwilą rozdarcie. - Och, nie! Wiedziałam, że się zaczyna pruć, ale zapomniałam, ależ jestem głupia! Widzisz gdzieś klucz, taki duży, czarny? Och, no nie... - Oboje spojrzeli w ziemię. - Wiem, że go miałam, kiedy wysiadałam z samochodu, och, musiałam go mieć. Nie widziałeś go na siedzeniu, prawda?

- Nie. - Tasjusz przyjrzał się jej w rozterce. - Trzeba mieć klucz?

- Zablokowaliśmy wszystkie wejścia do grot na poziomie ziemi i zbudowaliśmy bramy - rzuciła z roztargnieniem, znowu rozpoczynając teatralne obszukiwanie kieszeni. - W samochodzie go nie było, nie mogło, więc to tutaj, tu mi musiał wypaść...

- A nie... haaach... wpuszczą nas bez niego?

- Tak, w końcu nas znajdą, ale może dopiero w nocy albo jutro rano... och, no musi tu gdzieś być!

Tasjusz pochylił się, wpatrzony w ziemię. To oczywiście mógł być podstęp, ale jeśli nie, jeśli ona mówi prawdę i cały plan weźmie w łeb przez taki drobiazg...

- Ostrożnie - szepnęła Una. - Tu tyle pyłu, mogło go przysypać.

Bała się mówić wyraźnie „nie ruszaj się”. Usiłowała nie sprawiać wrażenia, że chętnie się od niego oddala, dała wielkie przedstawienie, przeskakując ziemię tuż pod jego stopami, nawet go okrążyła, tak że znowu znalazł się między nią i drogą. A potem zaczęła ostrożnie wracać po śladach, niemal na czworakach, przesiewając między palcami piasek na ścieżce.

Nagle ujrzała przed sobą kamień wielkości pięści. Z ostrym szpicem z jednej strony, masywny i obły z drugiej, dostrzegła to wyjątkowo wyraźnie. Podniosła go, nie wiedząc, do czego może się jej przydać, czuła tylko coś w rodzaju satysfakcji, że wykradła Tasjuszowi myśli.

W ten sposób odsunęła się od niego na kilka kroków, nie więcej, ale nie usłyszała kolejnego chrapliwego oddechu.

Samochód powinien się już znaleźć poza zasięgiem słuchu, ale nagle powiew wiatru przyniósł nie odgłos obracających się kół, lecz pomruk silnika pracującego na jałowym biegu. W tej samej chwili Tasjusz pomyślał: Skoro są tak ostrożni, że punkt kontaktowy zorganizowali czterdzieści mil od obozu, to dlaczego mieszkają w grotach doskonale widocznych

z drogi?

Natychmiast skierował się w jej stronę. Una ruszyła przed siebie, biegła na łeb, na szyję przez zarośla, rozgarniając je, przebijając się jak strzała, gałęzie pinii chwyciły ją za ubranie, kęsały do krwi skórę na rękach. Potem znieruchomiała, legła zwinięta w ciasny kłębuszek, ukryta pod kępą uschniętych żarnowców. Słyszała, że Tasjusz brnie za nią. Orientował się, z dokładnością do kilku kroków, gdzie Una się znajduje, ale jej nie widział. To nie miało znaczenia, nie mogła się ruszyć, nie zdradzając się, dała mu tylko czas, sama zamknęła się w pułapce.

Una skoczyła przez tnące gałązki, z uniesionymi pięściami, i krzyknęła triumfalnie: „Znalazłam!” - co go zdezorientowało. Rzuciła w niego kamieniem. Był tak blisko, że nie mogła nie trafić. Kamień uderzył w rękę, którą Tasjusz osłonił głowę, i upadł na ziemię. Tylko trochę go skaleczył, ale Tasjusz mimowolnie cofnął się i potknął na nierównym gruncie.

Nie widziała tego. Puściła się biegiem przez zarośla, rzuciła się w kierunku nasypu, na którym zbudowano szosę. Zdała sobie sprawę, że tam będzie poruszać się najwolniej, tam ją z pewnością dogoni, i rzeczywiście, znalazł się u stóp nasypu, gdy była dopiero w połowie, wyciągnął rękę. Poczowała, że chwyta ją za kostkę. Gdyby znalazł oparcie dla stóp, żeby się odwrócić, wykręciłby jej nogę, ale nie znalazł, odsunęła się w chwili, gdy dotknął jej czubkami palców, a on zjechał w dół po piasku. Wydzwignęła się w górę, znowu po nią sięgnął, jeszcze chwila i razem zsunęliby się po zboczu, ale ona stała już na twardej szosie, a on nie. Wyrwała się, popędziła przed siebie, a on dopiero wpelzał na pobocze.

Drzwi samochodu się otworzyły. Dama zawrócił, przejechał jakiś pięćdziesiąt kroków, a potem, kiedy uważał, że już znikł im z oczu, ostrożnie wrócił w to samo miejsce. Una usłyszała jego desperacki krzyk, który mu się wyrwał mimowolnie: „Wsiadaj, wsiadaj, o Boże!”, jakby bez tego nie przyszło jej to do głowy. Runęła do samochodu, wczepiła się w siedzenie, w niego.

Tasjusz krzyknął: „Stać, natychmiast, albo oboje zabiję!” - i teraz w końcu ją chwycił, lecz Dama pchnął dźwignię skrzyni biegów, krzywiąc się z bólu, i samochód niezdarnie ruszył szosą. Nogi Uny nadal sterczały na zewnątrz, Tasjusz sunął po ziemi za samochodem. Po raz pierwszy Una wydała zdławiony krzyk, bo Tasjusz nie puszczał, podciągał się, chciał ją wywlec na zewnątrz. Dama machnęła ręką, jego bezsilna prawa

dłoń musnęła ciało Uny, ale nie mógł jej chwycić i przytrzymać, za to zdołał jakoś otoczyć jej głowę i barki zgiętym ramieniem. Krzycząc z bólu, który rozdzierał mu mięśnie, wciągał ją do wewnątrz. Una pchnęła na osłep, z całych sił, dźwignię skrzyni biegów. Samochód omal nie sfrunął z drogi, ale pęd oderwał Tasjusza, zgiął go wpół i cisnął pozbawionego tchu w pył. Samochód odjechał zakosami, łomocząc otwartymi rozkołysanymi drzwiami.

Słońce zachodziło. Tasjusz wstał. Kopnął z furią ziemię, w nieruchome powietrze bryznęła fontanna ostrych kamyczków. Stał pośród setek mil pustkowiec.

Dama przejechała piętnaście mil bez słowa, spocony z bólu. W końcu odezwał się cicho:

- Może wezwać pomoc?
- Nie, ma tylko urządzenie namierzające.

Dama puścił dźwignię z jękiem i gwałtownie zatrzymał samochód. Objął ręce i zgiął delikatnie, gwałtownie dysząc.

- Biedaku - szepnęła Una. - Tu powinien być Sulien.
- W porządku. Nawet dobrze, nie spodziewałem się, że będę mógł znowu prowadzić, i w ogóle. - Ale osunął się bezwładnie jak Tasjusz, z zamkniętymi oczami, wykrzywioną twarzą, zdyszany.

- Może ja pojedę? Obserwowałam. Możesz mi mówić, co robić.

Uśmiechnął się do niej ze zmęczeniem.

- Nie dam ci rozbić samochodu Palbena. Za chwilę będzie lepiej... tylko tu trochę poczekamy... - Nagle otworzył oczy, zmarszczył brwi. - Samochód. Nie przyszło mi do głowy. Może go zidentyfikować. Będziemy musieli powiedzieć Palbenowi, żeby go wymienił, bo inaczej go znajdą. - Westchnął. - Tasjusz będzie wracał kilka dni, ale nie pozbyliśmy się go na zawsze.

- Wiem - odpowiedziała i zamilkła z poczuciem winy. - Przynajmniej nie dowiedział się, gdzie jest obóz. Nie mogłam... nie musieliśmy...

- Mieliśmy prawo - odparł.

- Ale on był przygotowany na coś takiego. Mnie by powstrzymał, a ciebie by zabił.

- Dlatego że miał czas się zastanowić - odparł Dama i znowu się do niej uśmiechnął. - Jesteś szalona, że z nim poszłaś. Dla kogo to zrobiłaś?

Odwróciła wzrok.

- Przedtem też nie byłam bezpieczna.
- Przy mnie nie - dodał. - Nie mogłem ci pomóc.
- Pomogłeś - powiedziała cicho. - Przecież wiesz.

Znowu zamknął oczy. Rękawy mu się podwinęły, odsłoniły okrągłe blizny na przegubach.

- Co zrobiłeś, kiedy byłeś niewolnikiem? - spytała.

Nie otworzył oczu.

- Mnóstwo zrobiłem. Tak jak ty - wymamrotał. - Kiedy byłem mały, lubiłem śpiewać, uwierzysz? Miałem bardzo wysoki głos. Teraz nie brzmi specjalnie. Śpiewałem na przyjęciach i tak dalej. I sam, w chórach... dawno temu. Ostatnimi czasy zajmowałem się budownictwem. Kładłem linie magnetyczne. Pracowałem w biurowcu... bardzo wysokim... - Zerknął na nią z ukosa. - Pewnie Sulien ci powiedział, co zrobiłem. Powiedział. Nie miała pojęcia, jak to przyznać.

- Nie szkodzi. Tobie mógł. Ale to nie był wypadek ani pomyłka. Nie wrobiono mnie jak Suliena. Nawet się nie broniłem. Nikomu nie przyszło z tego nic dobrego. Ale tu, tu mogło być inaczej. - Obejrzał się na pustą drogę, a potem znieruchomiał. - To było niesłuszne, złe, bez względu na okoliczności. Teraz żałuję. - Ale ledwie skończył, wybuchnął z nienawiścią: - Boże, już mnie za to ukarano, może nie? A tamci? Przynajmniej szybko poszło.

- Zapewne miałeś powód - rzekła ostrożnie.

- Tak - rzucił z goryczą i zmienił pozycję z wyraźnym wysiłkiem. - Przynajmniej tak mi się wydawało. Jak powiedziałem, budowaliśmy ten wieżowiec. I był tam taki dzieciak... - Urwał i dodał ze zdziwieniem: - Starszy ode mnie, to ja byłem dzieckiem... Nieważne. Termin oddania dawno minął, wszystko się psuło - i nie dowieźli materiałów... no więc powinniśmy już stawiać ściany, a jeszcze nie skończyliśmy szkieletu. Praca przez dwanaście godzin. Czternaście. W gorącu. Pewnie lepszy upał niż przenikliwe zimno... ale tego nie można było wytrzymać. Ludzie się załamywali.

- I ty... To dlatego?

Dama pokręcił lekko głową.

- Chudłem, ale nie chorowałem. Prawie nigdy... Ale inni... Ten, o którym mówiłem. Chyba dostał dyzenterii. Coś w tym rodzaju. Nawet nie był moim przyjacielem, pracował od niedawna. Gdyby to się nie stało, nie

pamiętałbym nawet jego imienia, nie pamiętam innych, i to źle, bo wtedy... no wiesz, kiedy się pracuje z ludźmi i nie można od nich uciec, to stają się jakby jedyni na świecie i zaczynasz... zaczynasz ich kochać.

Una zapragnęła powiedzieć z bólem „nie” i już otworzyła usta, ale zamknęła je, zanim te słowa z nich wyszły, potarła twarz dłonią.

- Nie wiem. Ale w Londynie tak nie było. Zawsze zamierzałam uciec, myślałam tylko o tym, rozumiesz...? Nie mogłam... skupić się... na nikim z wyjątkiem Suliena i ludzi, dla których pracowałam. Dzięki temu bardziej mi ufali. - Nastąpiła chwila ciszy. - Rozumiesz?

Dama wymamrotał niemal szyderczo.

- Cóż. Twój sposób sprawdził się lepiej. - Potem spojrzął na nią i dodał szybko: - Oczywiście, że rozumiem. Słuchaj, byłem rozsądny. Powiedziałem majstrowi: „Przepraszam, może nie zauważyłeś, ale Niceros tak dłużej nie pociągnie. Wiem, że masz problem z klientem, ale...”. „Och, to nie jest żaden problem, nic dziwnego, że robota nie idzie, skoro wszyscy się objacie”. W końcu jednak powiedział: „Dobra, zobaczy się”. Wiedziałem, że nic z tego nie wyjdzie. I mogłem go uderzyć albo starać się zabić już wtedy. Bo wszyscy, co mieli oczy, widzieli, że Niceros umrze. Ale pomyślałem, że a nuż majster coś zrobi. A potem zjawił się inżynier z klientem, zaczęli chodzić po budowie, stanęli na rusztowaniu i się zaczęło. „Przecież to straszne, co tu się dzieje, dlaczego na to pozwalasz?” - rzekłem do majstra. Kazali nam pracować przez osiemnaście godzin na dobę.

Przez chwilę wpatrywał się w nią oburzony, tak jakby to wydarzyło się przed chwilą. Skinęła głową, by kontynuował.

- A potem znowu się odezwałem, tym razem do inżyniera: „Musicie zwolnić Nicerosa”. A inżynier odparł: „Niestety, na tym etapie nikogo nie możemy oszczędzać”. Klient nic nie mówił, ale na Boga, chyba musiał wiedzieć, zresztą to był jego budynek. Mieli szansę.

Znowu zamilkł.

- Nie spodziewałem się, że tak to się dalej potoczy. Myślałem, że pewnego ranka po prostu nie zdołają podnieść go z posłania i zobaczą, jak z nim źle, a parę godzin później będzie po nim. Montowaliśmy akurat krzyżulec. Nie zauważyłem, że Niceros stanął w niebezpiecznym miejscu. I nic nie słyszałem. Kiedy się obejrzałem, już go nie było. Wyrzałem i nie zobaczyłem go na ziemi z powodu nachylenia, więc... pewnie po prostu

zemdłał, ale... nie słyszałem krzyku, nie widziałem, jak spada, bez przerwy myślałem... - Znowu pokręcił głową, zmarszczył brwi. - Ale tak naprawdę... wiedziałem już, że ich zabiję. To dziwne, że wiedziałem...

Una jakby się spodziewała tych słów. Odprężyła się, rozluźniona oparła się o siedzenie.

- Jak to?

- Chciałem, żeby majster położył klucz hydrauliczny tam, gdzie mogłem go dosięgnąć. Sprawilem, że to zrobił.

Z każdym słowem mówił ciszej i z większym naciskiem. Nie patrzył już na nią, całe jego ciało i twarz niemal skamieniały.

- Potrzebowałem tego klucza do windy, którą wjeżdżało się na rusztowanie. Kładliśmy belki dachu. W końcu można było zobaczyć to, co budowaliśmy. Inżynier z klientem wjechali na górę i stanęli na najwyższym poziomie, powiedzieli, że przynajmniej teraz to wygląda na wieżowiec. Klucz leżał po drugiej stronie, wziąłem go i podszedłem do windy. Nikt mnie nie zatrzymywał. Wiedziałem, że tak będzie. Wszedłem do windy i zacząłem: szrrr... szrrr...

Uniósł zdrowszą rękę i wydał coś w rodzaju warkotu, tak pochłonięty tym wspomnieniem, że prawie nie uświadamiał sobie, iż ona nie słyszy i nie widzi odkręconych ośmiu wielkich nakrętek.

- Wyjąłem cztery śruby, a resztę zostawiłem. Musiałem to robić, stojąc w windzie. Mnie utrzymała, ale nie ich trzech, kiedy wsiedli.

Ten upadek nie był bezgłośny jak Nicerosa; rozległ się zgrzyt, gdy śruby jeszcze przez chwilę utrzymywały kosz windy na miejscu, a potem krzyki tych mężczyzn. Spadali, mijając piętra jedno po drugim. Rzeczywiście ponieśli szybką śmierć. Oni mogli uważać, że nie była szybka, ale nie mieli porównania. - Westchnął, powrócił do rzeczywistości.

- I tak to się odbyło - zakończył.

- A potem... - Chciała, żeby opowieść nie dotyczyła tylko morderstwa. Nie wiedziała, jak zareagować. - Skąd się dowiedzieli, że to ty, kto im powiedział?

Dama był nieobecny duchem. Teraz zamrugał z niewinnym zaskoczeniem, które odjęło mu co najmniej dziesięć lat, i powiedział:

- Ja.

Wbiła w niego wzrok oniemiała. Nie wiedziała nawet, co czuje. W końcu wyszeptwała:

- Wiedziałaś, co to oznacza?

- Tak. Oczywiście nie myślałem o tym, kiedy ich zabijałem, byłem skupiony na pracy. Ale musiałem. Powiedzieli, że zgładzą co dziesiątego, chyba że... - Pokręcił głową z rezygnacją. - No, w każdym razie dalej to już nic nie pamiętam. Po prostu pewnego dnia obudziłem się okaleczony w jakimś małym domku w Napolis.

- To nieprawda - powiedziała, nie czytając mu w myślach tak, jak umiała, lecz wiedzona intuicją. - Pamiętasz.

- Skąd wiesz? Powiedziałaś, że nie widzisz moich myśli.

- Czasami mi się zdarza - rzekła z wahaniem. - Ty wiesz różne rzeczy na mój temat.

Pokręcił głową, nieważne, skąd się dowiedziała. Siedziała po jego prawej stronie i musiał położyć na jej ręce tę gorszą dłoń, nadal dygoczącą z bólu.

- Nie wolno ci powiedzieć Delirowi. I nikomu, bo pewnie by mu powtórzono.

- Nie powiem. Obiecuję.

- Nikt o tym nie wie - dodał trochę spokojniejszy.

Ale nie mogli oderwać od siebie spojrzenia.

W końcu wyznał, jakby sobie przypomniał:

- Naprawdę pewnego okresu nie pamiętam, ale późniejszego, kiedy byłem chory i podawano mi narkotyki. Dlatego łatwo mi mówić, że wszystko zapomniałem.

Minęło jeszcze parę minut, zanim znowu ruszyli, często przystając, a Una co jakiś czas przytrzymywała mu ręce, żeby się nie trzęsły.

Kiedy lekcja sinońskiego się skończyła, Marek poszedł na drugi brzeg rzeki do chaty z monitorami i zaproponował, że wyręczy Tobiasza.

Godzinę wcześniej Iris wzruszyła ramionami, wymamrotała: „No dobrze” i potulnie zajęła się nauką różnych form shi. Bał się, że mu nie uwierzyła.

Trudno mu było skupić się na monitorach. Wróc, prosił Unę w myślach, wpatrzony w liczne ekrany, usiłując zmusić plamki światła, by ułożyły się w jej postać. Na pewno nic ci nie jest. Wróc, wróc.

Wróciła, bez szwanku (jeszcze nie widział siniaków i delikatnych drasnieć na rękach i twarzy), ale gdzie nowy niewolnik? Zatem słusznie się martwił, coś się musiało wydarzyć, wydawało mu się, że poznaje to po jej

ruchach, po tym jak Una patrzy na Damę.

Była sama z Damą i przez chwilę wydało mu się, że trzymają się za ręce, ale nie, szli tylko blisko siebie. A jednak, choć ulga, że nic się jej nie stało, nie ustąpiła, poczuł ukłucie zazdrości.

Rano, gdy uciekała przed nim, usłyszał w głowie pytanie: „Czy kochasz Unę?”, które - ponieważ zadał je jej głos - powinno raczej brzmieć: „Czy mnie kochasz?”.

Już wiedział; jak mógł się wcześniej nie zorientować? Za pierwszym razem, kiedy usiłowała go unieruchomić, gdy poczuł jej dotyk, gdy widział pochyloną nad nim twarz i to spojrzenie przez kurtynę włosów. Potem, na cmentarzu poczuł się taki... taki rozświetlony, i nie wiedział, co to znaczy. Jak mógł się nie zorientować?

A ona wie! - pomyślał ze wstrząsem, to dlatego nie mogę się z nią spotkać sam na sam. Nie odwzajemnia mojego uczucia, chociaż pamiętał czasy, kiedy mu się wydawało... nagle doszedł do wniosku, że nie powinien na nią patrzeć, ale przenosił spojrzenie tylko wtedy, gdy znikła z jednego ekranu i pojawiała się na następnym.

Potem na dworze rozległy się krzyki, ktoś na drugim brzegu rzeki wzywał Delira.

Una i Dama dotarli do chat dopiero po dwudziestu minutach, ale już wcześniej w osadzie rozpętało się piekło. Zrozumieli dopiero po chwili - Iris powiedziała matce, że Gnejusz to Marek Nowiusz Faustus. Pyrra oszalała ze strachu - spiraloty naprawdę ich ścigają, nie spoczną, dopóki go nie znajdą - i teraz wiedzieli już wszyscy.

Wariusz wciąż myślał o rozmowie w sali widowiskowej. Podstawowego faktu - że Marek umrze, i to przez niego - i pewnych zdań nie potrafił wyrzucić z głowy, nie mógł pozbyć się również tego dziwnego wrażenia, że między nim a Gabiniuszem zrodziło się straszliwe porozumienie. Czuł, że to niemożliwe, nie powinni się rozumieć, chciał, żeby Gabiniusz trzymał się od niego jak najdalej. Gabiniusz jednak nie tylko poznał fakty, które do tej pory okryte były tajemnicą, jak poronienia jego matki czyjego zachowanie po śmierci Gemelli, ale najwyraźniej potrafił zestawzić je ze sobą i wyrobić sobie zdanie o Wariuszu bardzo odpowiadające prawdzie. Ten system działał też w drugą stronę. Teraz Wariusz już rozumiał, skąd wiedział pewne rzeczy o Gabiniuszu, choć wcale się nie starał. Na przykład kiedy Gabiniusz już z nim skończył, ktoś podał mu środek uspokajający, a on od razu się zorientował, że nie chodzi tylko o to, by usunąć go w bezpieczne miejsce do czasu, aż się znowu przyda, Gabiniusz naprawdę uważał, że to chwalebny postępek. I mimo woli on także uznał go za taki, tak bardzo był wdzięczny za strącenie w nieświadomość.

Był pewien, że wszelkie ważne nowe wieści Gabiniusz przekaże mu osobiście.

Zamieszkał w ładnym białym pokoiku gdzieś na wysokim piętrze. Zapewniono mu rozrywkę - książki i muzykę - ale od niej stronił. Kiedy narkotyki nie wprowadzały go w stan obojętności i kiedy nie spał, siedział i gapił się przez zamknięte okno z pancerną szybą na wyniosłe cedry.

Przypomniał sobie, co Gabiniusz powiedział o zabiciu Marka. „On się niczego nie dowie”. Oczywiście, oczywiście, musiał liczyć, iż to prawda i że śmierć przyjdzie szybko. Ale z jakiegoś zwyrodniałego egoizmu pragnął, żeby Marek dowiedział się o zdradzie, bo świadomość, że będzie myślał aż do samego końca, iż on wysłał go w bezpieczne miejsce i nadal nad nim czuwa, stała się nie do wytrzymania.

Co by zrobił, gdyby Gabiniusz zwrócił mu wolność? Mogli dopilnować, żeby nigdy więcej nie zbliżył się do Faustusa ani innej ważnej osobistości. Rosie, jego rodzicom i wszystkim innym bliskim groziłoby niebezpieczeństwo, gdyby zapragnął powiedzieć komuś prawdę. Nie widział sensu w rozgłaszaniu tej historii. Nie miał już kogo ratować.

Czasami myślał, że to za mało - może powinien spisać te wydarzenia, zrobić wiele kopii, rozesłać je dokądś, zostawić, by je przeczytał ktokolwiek... ale podejrzewał, że nigdy nie będzie już do tego zdolny.

A jednak... nie spodziewał się, że ocali życie, lecz teraz, gdy usiłował sobie wyobrazić dalszą jego część, jakiegokolwiek zwyczajne zajęcie, jego umysł jakby wpadał na ścianę i cofał się, zdezorientowany. Tak jakby sobie wyobrażał nieskończoność, której przecież nie można sobie wyobrazić. Samobójstwa nie traktował już jak sposobu stoików na odejście z tego świata, lecz uważał je za jedyne rozwiązanie. Niekiedy odnosił wrażenie, że potrafi wytłumaczyć swoim rodzicom, że wybrał najlepsze wyjście z sytuacji. Ale wiedział, że nic by z tego nie wyszło, a nie umiał wymyślić nic innego.

Na razie nie miał okazji. Nigdy nie zostawiano go samego. Zawsze byli przy nim strażnicy w błękitnej liberii, bardzo dyskretni, choć jeden, młody i jasnowłosy, od czasu do czasu usiłował go rozweselić. Wariusz nigdy się do niego nie odzywał, teraz już nie z powodu ślubu milczenia, lecz dlatego że brakowało mu energii.

Kiedy więc zjawił się Gabiniusz - poważny, z założonymi rękami, bez tej rześkiej życzliwości - i zaczął niemal dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał Wariusz: „Chciałem, żebyś usłyszał o tym ode mnie”, Wariusz poczuł dreszcz oczekiwania, lecz także coś na kształt ulgi.

- Powiedziałem ci, że odeślę cię do domu, lecz nie mogę. Nie znaleźliśmy go.

Wariusz na chwilę przestał myśleć o Rosie i rodzicach i doznał krótkotrwałej, wytrącającej z równowagi rozkoszy, tak niespodziewanej i gwałtownej w porównaniu z bezbarwną rozpaczą, że wszystko wydało się jaskrawe, chybotliwe, nierealne. Ale potem powiedział przerażony:

- Nie możecie nic więcej zrobić. Powiedziałem wam prawdę.

- Wiem o tym - odparł Gabiniusz uspokajająco. - O to się nie martw. Rozmawialiśmy z kimś z obozu. Ktoś się z nami skontaktował.

- Niewolnik?

- Tak.

Wariusz usiadł przy oknie. Mdlilo go. Czy mam prawo się tak czuć po tym, co zrobiłem? - pomyślał tępo. Oparł głowę na rękach i spojrzał na mroczne drzewa.

- Myślisz, że to już koniec - odezwał się Gabiniusz. - Ale wydaje się... albo tak nam mówiono... że nie możemy go dopaść. Że ci ludzie widzą nadchodzących i po prostu znikają. Już się nad tym zastanawialiśmy. Najwyraźniej ten niewolnik nie może albo nie chce tego dla nas zrobić. Pozostał zatem mały problem. Rozumiesz?

Wariusz poczuł falę uniesienia, wynikającą tylko z tego, że Gabiniusz ma jakiś problem.

- Widzisz, naprawdę wolałbym, żebyś nie był w to wmieszany. I to nie twoja wina. Powinniśmy zachować większą ostrożność. Myślałem, że tak postępujemy. Ty tylko trochę się pogubiłeś, ale najwyraźniej masz wiele zalet. Nie myślę o tobie tak jak o Leonie.

- Tak, wiem - rzucił Wariusz z rozdrażnieniem.

- Hm. Sprawą z mojego punktu widzenia najważniejszą... bo trzeba z tym skończyć szybko... jest to, by się od tych ludzi oddalił. Z własnej woli. Gabiniusz jakby chciał, żeby Wariusz sam odgadł, co to ma znaczyć.

- Tak wiele ci zawdzięcza - dodał po chwili.

I Wariusz z wolna zrozumiał, dlaczego Gabiniusz jest tak pochmurny. Przybył, by powiedzieć: „Bardzo mi przykro, lecz prawdopodobnie jednak cię zabijemy”, niemal tak, jakby mówił pracownikowi: „Wiesz, że mieliśmy zły rok, niestety nie możesz z nami zostać”. Na tę myśl zachciało mu się śmiać, a Gabiniusz spojrzał na niego z bólem i zmieszaniem.

Potem Wariusz poczuł, jak krew rozsadza mu żyły, a mięśnie zaciskają się w twarde węzły. Tak długo był oszołomiony beznadziejnością, że to ożywienie wydawało się nienaturalne, niemal niebezpieczne, jakby nagle stał się dwukrotnie wyższy i nie mógł się do tego przyzwyczaić, nie potrafił się poruszać, nie objijając się o ściany i nie niszcząc przedmiotów.

Nie bądź idiotą, Marku, pomyślał błagalnie, zostań tam, gdzie jesteś.

Nie potrafił na serio myśleć, że Marek ma jeszcze jakąś szansę. No bo jak, skoro dopadli go tak daleko i skoro nikomu nie mógł zaufać, ani jemu, Wariuszowi, ani niewolnikom.

Ale sytuacja mogła w każdej chwili ulec zmianie; nie było nic pewnego. Nie mógł już trawić całych godzin na tępych gapieniu się na cedry,

musiał stać, krążyć bez celu, otworzył nawet książkę, choć nie potrafił się skupić na słowach.

Tego wieczoru w Złotym Domu Faustus siedział samotnie w granatowym salonie, zgarbiony, z dzbanem wina pod ręką, nie pragnąc nawet towarzystwa Tullioli, nie zwracając uwagi, że muzycy przestali grać.

- Idźcie wszyscy do diabła - powiedział na powitanie, kiedy drzwi się otworzyły.

Ale to była Makaria, z wykrzywioną twarzą, zaczerwienionymi oczami, paroma kartkami papieru w ręce.

- Tatusiu. Tatusiu, to straszne, przepraszam, ale musisz to przeczytać...

Faustus dźwignął się ociężale, usiadł prosto.

- Więc go znaleźli?

Od razu odgadł, iż usłyszy od niej o śmierci Marka, ponieważ jeśli kiedykolwiek płakała, to nigdy przy nim. Po tylu tygodniach i fałszywym budzeniu nadziei nie wierzył już w najbardziej obiecującą wersję, że Marek został porwany. Powiedziano mu, że przesłuchano Wariusza w sprawie śmierci tamtej kobiety (chyba uduszonej), i pomyślał, że teraz może liczyć najwyżej na to, że widok zabójstwa jakoś ożywił kłótwę Nowiuszów i że teraz ktoś, kto już nie jest Markiem i nigdy nim nie będzie, błąka się przerażony po cesarstwie.

- Nie, ale to był ten człowiek, to Wariusz.

I podała mu zeznanie. Wariusz przyznawał, iż Marek odkrył sprzeniewierzenie przez niego funduszów Leona. Gemella przyłapała go chwilę po tym, jak zamordował Marka, i zaczęła krzyczeć, przez co wpadł w panikę. Nie zamierzał jej zabić, a kiedy umarła, nie potrafił w to uwierzyć, to dlatego ją tam zostawił, w willi Tusculum, liczył, że jest tylko nieprzytomna, i że kiedy wróci, znajdzie ją zdrową.

Potem jeździł chaotycznie po Rzymie i Lacjum, gdzie wrzucił ciało Marka do Tybru. Skoro dotąd go nie znaleziono, to pewnie przepadło na zawsze.

- Ale ci ludzie, którzy go widzieli... - zaczął odruchowo Faustus, choć oczy zaczęły mu już łzawić.

Makaria tylko pokręciła głową. Łkała tak gwałtownie, że nie mogła

mówić. Przyciągnął ją do siebie i wtulił się w niego tak, jak nie zdarzyło się jej od lat, konkretnie od dwudziestu, odkąd była trzynastoletnią dziewczyną, a on rozwodził się z jej matką.

Po powrocie przez śnieg, w deszczu, a potem po długiej wędrówce między mokrymi bukami Una i Dama byli wyczerpani, zdyszani i rozdygotani, a jednak tak podekscytowani, że ledwie zdążyli się zastanowić, co powiedzą o Tasjuszu. Una pomogła Damie wejść do windy i oboje ucichli, gdy ich stopy dotknęły metalu i poszybowali nad niewielką przepaścią.

A potem winda wwiozła ich w sam środek zamieszania i zapomnieli o wszystkim.

- Czy to prawda? Niech ktoś mi powie, czy to prawda - powtarzał ktoś natarczywie. Jakiś dziecinny głosik zaczął go przedrzeźniać.

- No dobrze, ale ona ma rację, może nie? Przede wszystkim powinienś być nam powiedzieć, mielibyśmy jakiś wybór. Nie wolno ci było kłamać.

- Wiedziałeś? Kto jeszcze wiedział?

Pomimo tego hałasu to Marka zobaczyła pierwszego, może dlatego, że teraz patrzyło na niego tak wiele osób. Stał na mostku z małą, lecz rosnącą grupą ludzi, którzy kłębili się wokół niego, ale go nie dotykali, zostawili mu co najmniej stopę wolnej przestrzeni, podczas gdy sami się tłoczyli - jakby był jadowity.

Marek był blady i zdenerwowany, a jednak wydawał się Unie jakiś inny. Znowu przypomniała sobie tę twarz pokazywaną na ekranach, choć nie odzyskał tej patrycjuszowskiej wyniosłości, jaką przybrał w Wilczym Kroku; teraz, gdy jego tożsamość poznało tak wiele osób, zaczęła go jednak otaczać jakby cesarska aura, coraz silniejsza, zasilana tą uwagą; rozdymała się jak jedwabny balon nad płomieniem, jak mgielka nad ogniem, bez względu na to, czy Marek sobie tego życzył, czy nie. Stał dumnie, przyjmował tę wolną przestrzeń wokół siebie jak coś mu należnego i wydawał się starszy.

Obok niego stał Sulien i usiłował wszystkich uspokajać. Zerkał bezradnie na Lal, która zatrzymała się na wyższym chodniku i spoglądała ze zgrozą w dół. Nie mogli powstrzymać tych spojrzeń, które głównie po-

twierdzały bezradność ludzi. Lal płakała, ale potem z emocji zapomniała o łzach.

- Tylko tu mógł przyjść - mówił Sulien do Tira.
- Spiraloły nie wróciły - dodał ciszej Marek.

Spojrzał na Unę niemal w tej samej chwili, gdy ona po raz pierwszy spojrzała na niego i poczuła, jakby to na nią, nie na niego, patrzyli ci wszyscy ludzie, tak intensywnie, jakby stała w zbyt mocnym świetle lub w palącym słońcu. Jej puls łomotał, zupełnie jakby przyłapano ją na kradzieży nieistotnego drobiazgu, co - jak się spodziewała - uszłoby jej na sucho.

Proszę, nie, pomyślała. To zbyt wiele. Nie mogę.

- Nic ci się nie stało - powiedział do niej Marek, pewien, że go usłyszy pomimo krzyków i szlochów.

Tiro odruchowo obejrzał się, żeby sprawdzić, do kogo mówi Marek, i kontynuował:

- Ale przedtem nikt nas nie szukał. Nikomu nie zależało. A teraz! To tylko kwestia czasu!

W samym środku zamieszania Delir usiłował uciszyć Pyrrę; stał nieruchomo i przemawiał tak cicho, by nikt poza nią nie usłyszał jego słów. Ale wykrzywiona twarz Pyrry była jakby płynna, kobieta miotała się, gwałtownie gestykulując przed nosem Delira, jakby chciała go uderzyć albo nim potrząsnąć, szarpała zrezygnowaną Iris i jednocześnie usiłowała utrzymać węzełek ubrań. Wydawała bełkoczący, bulgotliwy dźwięk, w którym z dużym trudem można było rozpoznać słowa:

- Co teraz zrobimy nie możemy tu zostać po co mi to było po co przyjechałam dlaczego nic nie robisz?

Una uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy dotąd nie słyszała jej głosu.

Wiatr porwał sukienkę Iris, upuszczoną na chodnik, zwał ją na brzeg rwącej rzeki, gdzie zaczęła szybko nasiąkać wodą na mokrym, porośniętym glonami kamieniu. Iris, która wpatrywała się w zawodzącą matkę z ubolewaniem, jedyne dziecko o suchych oczach, ruszyła ze znużeniem po sukienkę.

- Nie zbliżaj się do wody! - zaskrzeczała Pyrra, a kiedy Iris bezczelnie ją zignorowała, szarpnęła ją za ramię tak gwałtownie, że dziewczynka się przewróciła. Pyrra zaczęła ją okładać wolną ręką, gubiąc resztę ubrań. - Masz mnie słuchać! Masz mnie słuchać, jestem twoją matką...

Una wzdrygnęła się, znowu pomyślała o własnej matce. Nie chciała na to patrzeć, nie chciała przebywać z nimi w tym samym miejscu.

Sulien, na widok zadrapań Uny i dzikich spojrzeń jej i Damy, przepchnął się w ich stronę.

- Co się stało?

- No... - zaczęła Una, którą ogarnęło straszliwe zmęczenie. Zdała sobie sprawę, że powinna zawczasu przygotować jakąś kłamliwą odpowiedź.

- Przecież po kogoś pojechaliście? - wtrącił się Tiro, najwyraźniej przechodzący nowy atak paranoi.

- Nikogo nie było - odparł Dama.

Tiro zawahał się.

- To co robiliście tak długo? - spytał i własne słowa dały mu pożywkę do dalszych podejrzeń. - Dama! Co się dzieje?

Dama, nadal śmiertelnie blady, wymamrotał:

- Nie było niewolnika, był szpieg, ale nie przejmuj się, pozbyliśmy się go.

- Przeszedł do wioski? - Pomimo całej nieufności w głosie Tira wyraźnie dało się słyszeć także pełne zgrozy niedowierzenie.

Sulien i Marek jednocześnie spojrzeli z troską na Unę, a potem poczuli, że przerażenie niemal wyczuwalnie przenosi się z Tira na innych, jak fale drgań pękającej ziemi. Pyrra osunęła się na ziemię, dygocząc i ścisnąc Iris, która stała jak słup. Pyrra przytuliła do niej głowę, nie wiadomo, czy chciała się za nią schować, czy ją pocieszyć, i zaczęła zawodzić:

- Trzeba było zostać, gdzieśmy były... wytrzymałabym... jak nas znajdą, będzie gorzej!

Tobiasz odezwał się cicho, rozsądnie, bardziej do siebie niż do Marka czy Delira:

- Nie rozumiem. Dlaczego nie można było tego załatwić w Rzymie?

Delir porzucił Pyrrę, rozejrzał się i zawołał władczo:

- Kto kontrolował monitory?!

- Ja - odezwał się Marek.

- To wróć tam - rzucił Delir. - Proszę, wracaj tam, Marku - dodał zdecydowanie, wywołując kolejne jęki Pyrry, ale po chwili oszołomiony tłum ucichł.

Marek zawahał się; chciał tu być, skoro mieli o nim dyskutować,

chciał także się wytłumaczyć.

- Monitorów nie wolno spuszczać z oka ani na chwilę - dodał twardo Delir.

- Później mi wszystko opowiesz - zwrócił się Marek do Uny i niechętnie zawrócił do chaty z monitorami. Ludzie stojący mu na drodze - Calvus i Helena - niezdecydowanie się odsunęli, robiąc mu przejście.

- Dobrze - powiedział Delir. - Nikt tu nie przyjdzie bez naszej wiedzy, i to się nie zmienia. A teraz chodźcie.

Chata, gdzie jadali, była największym pomieszczeniem w osadzie. Delir, pomniejszony w tym tłumie, niedostrzegalny, przez chwilę kołysał się na palcach i zastanawiał nad wejściem na długi stół. Nie, za wysoko. Wskoczył na krzesło, co wyglądało komicznie, zakołysał się, żeby zwrócić na siebie uwagę, po czym odwrócił się, a kiedy zaczął mówić, błaznada znikła bez śladu.

- Tak, to Marek Nowiusz Faustus. Przybył tutaj, bo nie miał innego wyjścia. Przypuszczam, że pomógłbym każdemu, komu grozi śmierć z rąk morderców, zwłaszcza jeśli jest tak młody. Ale nie chodzi tylko o niego. Jeśli ktokolwiek z was nie wie, że Leon tu był i dlaczego, to słuchajcie: chciał znieść niewolnictwo, kiedy zostanie cesarzem. Wtedy takie miejsca stałyby się niepotrzebne - powiedział z naciskiem, ale równie spokojnie jak zawsze. Tylko Una, Ziye i Lal słyszeli tęsknotę w tych słowach, choć oszołomioną Lal, opierającą się o ścianę z dala od ojca, nie przepełniało w tej chwili wielkie współczucie.

Popatrzyła na Suliena stojącego po przeciwnej stronie z Uną i Damą. Sulien z kolei rzucił jej nieszczęśliwe spojrzenie, ale Lal tym razem zirytowała się na jego widok.

- Ponieważ moglibyśmy mieszkać, gdzie byśmy chcieli, i nie musielibyśmy wymyślać kłamstw na własny temat - ciągnął Delir. Już przedtem wygłaszał przemówienia. Umyślnie powiedział „my” zamiast „wy”, choć miał świadomość, że ich losy nie są takie same - ale przecież stracił swoje prawa obywatelskie, był przestępcą. - Wiadomo, że nikt nie ma do nas żadnych praw, ale wszyscy na świecie powinni się o tym dowiedzieć. I dlatego Leon i jego żona zostali zamordowani. To nie był wypadek. To samo spotka Marka Nowiusza, jeśli go znajdą, i z tej samej przyczyny. Wszyscy wiedzą, jak intensywnie szukają go wigilowie i że wyznaczono nagrodę. Ale jeśli ktokolwiek, stąd czy skądkolwiek, pomoże im go od-

należć, sprowadzi na Marka śmierć. - To także było zamierzone, wymienianie tylko imienia Marka, jakby był kimś bliskim albo dzieckiem, takie zwyczajne imię, odarte z oszałamiających dodatków. - Śmierć dla Marka i żadnych gwarancji dla nas. Ukrywamy się, tak jak zawsze to robiliśmy, by wkrótce móc przestać się ukrywać.

Tobiasz, stojący w pierwszym rzędzie, odezwał się równie łagodnie jak dotychczas:

- Trzeba było nam powiedzieć na samym początku. Mogłeś nam zaufać.

Tobie mógłbym zaufać, ale nie wszystkim, o nie, pomyślał Delir.

- Tobiaszu - rzekł z uśmiechem. - Spójrz na biedną Pyrrę.

Pyrra siedziała przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach i nadal cicho lamentowała. Iris głaskała ją, chcąc uspokoić.

- Ma powody bać się po tym, co ją kiedyś spotkało. Oczywiście te wiadomości budzą strach. Nie chcę nikogo denerwować, ale nadal twierdzą, że nas nie znajdują. Nawet gdyby zlokalizowali wąwóz, a choć są blisko, to niełatwe, to nas tu nie znajdują. A tylko ludzie się liczą, nie miejsce.

Dama wstrzymał oddech, spochmurniał, ale nic nie powiedział. On jest lojalny, pomyślał Delir, ale później i z nim będę musiał porozmawiać.

Tobiasz kiwał głową z powątpiewaniem. Delir zeskoczył z krzesła.

- Pyrro, chodź tutaj, dam ci wina, a ty mi powiesz, jak mam cię przekonać, żebyś się nie martwiła.

Ale nie zadziało, nie całkiem - z Pyrrą to nigdy się nie udawało. Nawet cierpliwość Iris chyba się chwilowo wyczerpała i kiedy Delir zajął się pocieszaniem jej matki, westchnęła ciężko i odeszła.

Una i Sulien zaczęli się przedzierać do wyjścia, bo ludzie obstąpili Unę prawie tak jak Marka, i niemal potknęli się o dziewczynkę. Zatrzymali się, gdy dojrzeli wyraz wyczerpania na buzi Iris.

- To moja wina - powiedziała mała sucho. - Nie powinnam jej mówić. Ale ona tylko siedzi i milczy, rozumiecie, i nie chciała się ubrać. Miałam nadzieję, że ją wciągnę w rozmowę. Myślałam, że to ciekawe. Ale ona się boi wszystkiego, wszystkiego, powinnam o tym pamiętać.

Sama Iris przedstawiała mniej bolesny widok, niż gdy była razem z matką.

- Nie wiedziałaś, że ktoś chce zabić Marka - powiedział Sulien.

Iris pokręciła wolno głową.

- Jak poznałaś, że ten mężczyzna był szpiegiem? - spytał Tiro Unę.
- Czasami po prostu wiem takie rzeczy - odparła.

Pyrra zaczęła płaczkliwie przyzywać córkę, a Delir ruszył w tłum, by uspokoić innych.

- No tak - mruknęła Iris z rezygnacją i wróciła do pracy.

Delir znalazł Marka po drugiej stronie wąwozu, w chatce z monitorami. Razem z Delirem przyszła Ziye i choć się nie dotykali - a nawet wydawało się, że na chwilę przerwali kłótnię - to po raz pierwszy stało się jasne, że są parą. Marek nie rozumiał, skąd się wzięła ta nagła jawność.

- Bierzemy następną zmianę - oświadczyła Ziye.
- Czy wszystko... w porządku?
- Mam nadzieję. Tak. - W jak zwykle szorstkim głosie Ziye pojawiło się ostre brzmienie.

Delir mrugnął do Marka.

- Ziye uważa, że należy zarządzić natychmiastową ewakuację.
- Myślę, że łatwiej będzie pokierować ludźmi, kiedy otrzymają jakieś konkretne zadanie - powiedziała Ziye cicho. - Jesteś zbyt zmęczony, żeby uspokajać każdego z osobna. Wioska leży zbyt blisko.
- Przepraszam za wszystko - rzekł Marek.
- Nie, nie. - Delir usiadł i wbił wzrok w monitory. - Nikomu nie życzę śmierci - dodał cicho - ale życzę ci, żebyś szybko został cesarzem.

Marek stanął samotnie u stóp wąwozu. Rzeka przed nim była biała w ciemnościach i płynęła z gniewnym szumem. Wydawało mu się, że osada go osacza, jak przyczajone ranne stworzenie. Wrócił do swojej chaty, gdzie leżał Sulien, który miał wisielczy humor.

Sulien opowiedział mu o wszystkim i raptem spytał:

- Czy między tobą i Uną coś się dzieje?

Marek poczuł się jak oskarżony.

- Nie.
- Hm. A będzie się dziać? Zamierzasz coś?

Marek zawahał się.

- Nie chcesz tego? - spytał wreszcie.
- Ha - mruknął Sulien gorzko. - Tak, może powinienem ci zabronić. Mógłbym się poczuć lepiej, gdybym się na kimś wyżył. Tak. Nie zbliżaj się do mojej siostry, zbrodźcu, nie chcę, żebyś ją skalał. - Przez chwilę, przelotnie, odniósł wrażenie, że jest niesprawiedliwy wobec Delira, który

nie powiedział nic takiego, ale i tak mu ulżyło. Przynajmniej Marek markotnie się uśmiechnął. - A jeśli na ciebie choćby spojrzy, to ją wydziedziczę, a ty pożalujesz, że się urodziłeś. Nie, oczywiście, że nie - ciągnął spokojnie. - Tylko... Czy to dobry pomysł? No wiesz, tak w ogóle to uważaj.

- Oczywiście - wymamrotał Marek.

- No tak. Ale uważaj bardziej. I na siebie też uważaj. - Znowu zamilkł. Siedem lat, a ja nie wiem, co się z nią działo, pomyślał. - Bo... podejrzewam, że lepiej ci będzie z kimś, kto... jej chyba teraz nie jest łatwo kogoś polubić. Nie teraz, nie tak.

Marek o mały włos nie spytał o Damę.

- Co tam - dodał Sulien - i tak masz szczęście. Przynajmniej możesz znaleźć kogoś innego.

A Marek dalej milczał. Nie mógłby powiedzieć Sulienowi ani nikomu innemu, że sobie tego nie wyobraża. Skrzywił się lekko. Sulien nie ustępował:

- To nie takie trudne. Pamiętasz, co powiedziałem w Tolosie? Kiedy już nie będzie ci groziła śmierć, zawsze możesz rzucić: „Cześć, ślicznotko, jestem następcą tronu”. A ja? Co mam zrobić, żeby moje przygody z dziewczynami nie skończyły się tragicznie?

Pesymizm ich ogłuszył. W końcu Marek spytał:

- Czy tu naprawdę w żaden sposób nie można się upić?

Następnego ranka zaczęły się zwykłe obowiązki, lekcje sinoańskiego, przygotowywanie jedzenia. I było tak, jak spodziewał się Marek, ludzie sztywnieli i cichli na jego widok, rozstępowali się przed nim jak fale przed łodzią.

- Zachowuj się jak zwykle - powiedział Sulien. - Przywykną, jak my.

Ale przez cały ten dzień Delir musiał rozsyłać w lasy małe oddziały poszukiwawcze w ślad za Pyrrą, która uciekła w stronę hiszpańskich gór, ciągnąc ze sobą Iris. Dopiero wieczorem Ziye wróciła, trzymając za rękę Iris, po raz pierwszy zapłakaną, niepokieszoną. Wracała do osady po pomoc, ale nie potrafiła dokładnie opisać drogi i dopiero po czterech godzinach Tobiasz i Tiro przynieśli Pyrrę, którą znaleźli leżącą jak biały strzep - plastikowa torba, stara sukienka - przemoczona na zimnej ziemi. Kol-

czastymi gałązkami rozdrapała sobie przeguby, nic poważnego, i zemdlała raczej z zimna niż upływu krwi. Nawet kiedy się rozgrzała, a Sulien ustalił, że nic jej nie grozi, dalej leżała, dygocząc i nie wydając żadnego dźwięku, czasem tylko coś mamrotała lub szczękała zębami. Iris przykucnęła obok niej w kokonie koców i przez trzy dni nie ruszała się ani nie wpuszczała do pokoju nikogo z wyjątkiem Suliena.

Marek niósł właśnie z sali jadalnej skrzynkę talerzy do mycia, kiedy Delir zawołał ze swojego pokoju:

- Zostaw to, Marku, przyjdź tutaj!

Marek postawił skrzynkę przy drzwiach. W środku z zaskoczeniem ujrzał Unę stojącą przy trzeciej części mapy. Za jej plecami widniała Sina. Una w zdenerwowaniu splatała palce.

- Pomyślałem, że powinniśmy się dowiedzieć, co nam grozi - rzekł Delir.

Nie całkiem wierzył w to, co wiedział o wróżebnych zdolnościach Uny, bo nadal je tak nazywał, dopóki Dama nie opisał spotkania z Tasjuszem. Jeszcze teraz na myśl o tym darze przejmował go lekki niesmak, choć rozumiał, że trzeba go wykorzystać.

- Uno, czy potrafisz stwierdzić, czy ktoś stąd rozważa zamiar powiadomienia wigilów o obecności Marka?

A taki był pewny, że nie jest naiwny, przecież podejrzewał, że komuś to przyszło do głowy. Wydawało mu się, że jest przygotowany na wszystko, co mogłaby mu powiedzieć - a jednak odczuł wstrząs, gdy szepnęła:

- Prawie wszyscy.

Znowu naszło ją to ulotne wrażenie. Pochyliła się ożywiona.

- To nie tak, jak się wydaje. Nie mają na to wpływu. To po prostu... impuls, coś takiego przychodzi komuś do głowy i wtedy myśli: o, byłbym bogaty. Ale potem: nie, nie, to straszne. - Zagryzła wargę i wymamrotała.
- Ale niektórzy myślą o tym znowu.

- Dobrze. - Delir usiadł na krześle, przerażony, szybko wziął się w garść. - Dobrze. Czy ktoś to rozważa na serio?

- Może Marinus. Może Tiro. Kieruję się tylko tym, jak często o tym myślą, ale nie wiem... nie mogę być bez przerwy przy wszystkich, a nawet gdybym mogła, to jest tu za dużo ludzi, żeby mieć pewność. Rzeczą jasną spróbuję.

- Porozmawiam z Marinusem i Tirem. - Delir wyprostował się energicznie, a Una i Marek z zaskoczeniem zdali sobie sprawę, jak nieugięcie wierzył, że poświęcenie czemuś uwagi może uleczyć niemal wszystko.

- A Dama? - spytał Marek mimowolnie.

Od razu pożałował, że się odezwał, wydało mu się, że to najbardziej upokarzający sposób zdradzenia się z zazdrością.

Una spuściła oczy, a jej twarz zmieniała się w najbardziej nieprzeniknioną z masek. Ale Marek nie zapomniał tej bezsilnej nienawiści, z jaką Dama rzucił się na niego. Za to Delir był wstrząśnięty i zły.

- Nigdy, nigdy, nawet za sto lat. Nie wiesz, że wszystko tu zaprojektował? To wszystko, co ma. A ta nienawiść do Rzymu... jest nadmierna, niesłuszna, ale jak mógłby z nimi choćby rozmawiać, cóż dopiero wziąć od nich pieniądze?

- Marku, on by zabił tego szpiega, gdyby mógł - szepnęła Una.

Ale w duchu dodała: za Holzartę, za Delira, nie za ciebie. I wszyscy troje zrozumieli w tej samej chwili, że skoro mają prosić o wolność dla dwojga, czemu nie dla czterdzieściora, dlaczego nie przynajmniej o przymknięcie oka na ich nielegalną osadę w górach. Po tylu porażkach muszą w końcu coś osiągnąć. I ta myśl łatwiej niż ktokolwiek obaliła kolejną barierę piętrzących się wątpliwości.

Delir odwrócił się prosząco do Uny.

- Ale ty byś wiedziała?

- Nie - powiedziała cicho. Starła się wyjaśnić ten opór, na który natykała się za każdym razem, gdy usiłowała odczytać Damę.

- Mimo to... Znam go - uparł się Delir. - To niemożliwe.

Właśnie takich sformułowań na ogół starał się unikać.

Una niespokojnie spacerowała na dworze, gdy Marek znowu dźwignął skrzynkę. Oboje czuli się skrępowani tym samym na sam. Wydawało się, że minęło tyle czasu, choć nie liczyłby się, gdyby byli przyjaciółmi mieszkającymi w mieście. Przez chwilę żadne się nie odzywało. Una zorientowała się, że mogłaby odejść z uśmiechem na ustach, kiedy Marek ruszyłby z talerzami do kuchni, ale na samą myśl o tym przeszył ją smutek. Tęskniła za nim, ale odganiała tę tęsknotę. Uczucie, z każdą sekundą podobniejsze do paniki, przeszywało ją niemiłosiernie, jak gorące żelazo tanią tkaninę. Czuła się jak przerażone zwierzę, które nie wie, dokąd ucieka, a świadomości zostało mu tylko tyle, żeby nienawidzić się za ten stan.

- Nadal czytasz Wergiliusza? - spytał Marek.

- To propaganda.

- Chyba się zorientowałaś od samego początku.

- Nie chcę lubić tej książki. Za każdym razem, kiedy zaczynam myśleć, że ona jest dla mnie, coś mnie powstrzymuje - ta książka chce, żebym podziwiała coś, co...

Jak to możliwe, że o tym zaczęła mówić?

- Ale jednak - wbrew twojej woli - podoba ci się?

- Tak, chcę... chcę wiedzieć, jak się kończy.

Dotarli już nad rzekę. Marek był nie mniej skrępowany od niej, myślał: to na nic, Sulien miał rację, wiedziałeś o tym od początku. Dziwne, że tak się czuł. Chciał mieć pewność i pragnął, by Una nie odeszła. Minął chaty, ruszył w górę rzeki w milczeniu, choć było jasne, że chce, by poszła za nim.

- Powinam iść... - wymamrotała Una, ale nie słyszał jej, woda szumiała zbyt głośno. - Powinam tu zostać, na wypadek gdyby ktoś pomyślał, żeby cię wydać...

- Musisz mieć tego dość. Odpocznij chwilę.

Poszła za nim. Mogła sobie powiedzieć jedno: że nie chce mu sprawić bólu, że musi to zrobić stopniowo, by nawet się nie zorientował.

Poszli w miejsce, gdzie urwisko było najbardziej strome i woda spadała z hukiem z wysokich skał, biała i kipiąca.

Una czuła się tak, jakby w końcu znikła naprawdę, jakby biel, którą sobie wyobrażała - śniegu lub białego światła - wyrwała się spod kontroli i połknęła ją.

Marek wziął ją za rękę, zimną od wodnego pyłu.

- Słuchaj - rzucił gwałtownie - nieważne, że mnie szuka ją. Cieszę się, że musiałem wyjechać z Rzymu, cieszę się, że wszystko się popsuło... bo poznałem ciebie. - Nie wiedział, czy powiedział to głośno, czy go usłyszała.

I dotknął jej twarzy tak ostrożnie, jak w Rzymie ludzie czasami dotykali jego - dając jej mnóstwo czasu, żeby się odsunęła. Nie odsunęła się. A kiedy ją pocałował, bardzo delikatnie rozchyliła zimne wargi, ale coś w tym poddaniu się jego woli go przeraziło. Po prostu czuł się, jakby całował posąg; była skamieniała i, jak się wydawało, niezdolna do oporu, do obrony samej siebie.

Cofnął się i ujrzał łzy w jej oczach.

- Przepraszam - powiedziała - ja... - Nie mogła wykrztusić już ani słowa. Starła się lekko uśmiechnąć i to także się nie udało.

Już widywał ją przerażoną, ale nigdy tak bezbronną, nigdy tak wrażliwą. Jak mógł jej to zrobić? Doszedł do wniosku, że zachował się niezdarnie i grubiańsko - a jednocześnie rozgniewał się na nią, że doprowadziła go do takiego stanu. Dlaczego się mnie tak boisz? - pomyślał.

Ta nowa, krucha, nieznana osoba potrzebowała pociechy, więc' powiedział łagodnie:

- Już dobrze. - A potem dodał bardziej szczerze: - Nieważne.

Skinęła głową. Rzykując, że pogorszy sytuację, otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie po koleżeńsku. Mógłby pocałować ją w czoło czy zrobić coś podobnego, ale jakoś nie potrafił, to by było oszustwo.

- Mam sobie iść?

Znowu na jej twarzy pojawił się ten bezradny półuśmiech.

Kiedy odszedł, usiadła skulona na kamieniu i wpatrzyła się w wodę zniekształconą przez łyż stojące jej w oczach. Nie spływały ani się nie cofały.

Marek wrócił do osady. Przez chwilę czuł gniew. Dlaczego pozwoliła się pocałować, skoro to było dla niej takie nieprzyjemne?

Ale nie trwało to długo. Nadal nie potrafił zrozumieć ani wyjaśnić jej uczuć. Jesteś bezsilny, bo boisz się bezsilności, nie masz wyboru, bo nie pamiętasz, że masz wybór. Czy kiedykolwiek tak się czuł? Nie, tylko przez chwilę. Ona wydawała mu się bardziej realna od niego samego, nie umiał sobie przypomnieć, jaki ma być.

W dodatku bała się go zranić, choć oczywiście i tak go zraniła.

Teraz przestał już istnieć jakikolwiek dystans. Niczego bardziej nie pragnął, niż żeby za nim zawołała. Uważał to za żałosne. Zniszczyłem wszystko, pomyślał, choć wiedział, że coś takiego - lub podobnego - i tak by się w końcu wydarzyło. Chciał wrócić tam, gdzie ją zostawił, nie po to, żeby coś mówić, ale ponieważ czuł, że zmierza w złym kierunku, jakby pod prąd.

Tobiasz pewnie dostrzegł na monitorze jego powrót (czy także ten pocałunek? Zarumienił się, ale nie potrafił sobie przypomnieć rozmieszczenia kamer), bo nagle wyłonił się z chaty o dachu porośniętym pnączami, zdenerwowany i zamyślony.

- Nowiuszu... - wypowiedział to imię z pewnym zażenowaniem, jakby przytaczał dziwny cytat. Marek pokręcił głową: proszę, nie teraz. Tobiasz skrzywił się z niepokojem. - Coś się wydarzyło. Właśnie zoba-

czyłem, puszczają w dalwizji.

Zatem to nie on miał dyżur, bo dalwizja i monitory znajdowały się w sąsiadujących ze sobą chatach, nie w tej samej. Czasami Tobiasz pozwalał swoim uczniom oglądać dalwizję; potem kazał im zapisywać słowa, które usłyszeli. Pewnie czekał na Marka.

- Chodzi o ciebie - dodał. - Nie wiem, jak to rozumieć.

Nieśmiało, ale natarczywie wskazywał drzwi chaty z dalwizorem.

Zmęczony Marek, teraz dodatkowo wystraszony, usłuchał, wszedł po schodkach i popatrzył na mały porysowany odbiornik w kącie. Tiro też tam był, z Celerem, Marinusem i jego żoną. Zwrócili ku niemu twarze, na których malowało się przejęcie, i odwrócili się znów do ekranu.

- ...zdradę cesarza i państwa.

Cały ekran wypełnił się w ciszy jego zdjęciami, których nie rozpoznawał; pewnie nie miały więcej niż dwa lata, ale wyglądał na nich na dwunastolatka, bardzo jasnowłosego, najwyraźniej mrużącego oczy przed słońcem. Powolna muzyka stopniowo stawała się głośniejsza i oto znowu on, stojący na podium, kończący mowę pogrzebową. Znaleźli ten jeden moment, kiedy pełnym przypadkiem spojrzął jak należy: poważnie, szczerze prosto w oczy widza, w tym wypadku - we własne. Zanim zaczął niezdarnie schodzić po schodach, z kartkami w ręce, pojawiły się inne zdjęcia, inne urywki nagrań - on z rodzicami, on machający ręką.

- To koniec - powiedziała Helena.

- Czekaj - wymamrotał Tobiasz. - Puszczają to w kółko. I rzeczywiście pojawił się czarny napis:

„Komunikat specjalny. Odwołano codzienne posiedzenia”.

Zdjęcie Złotego Domu. Czarne sztandary, czarne proporce spływające z górnych okien.

Ktoś powiedział:

- Pałac prosi, by lud rzymski usłyszał następującą wiadomość: „Cesarz otrzymał informację, że wigilowie nie liczą już na znalezienie żywego Marka Nowiusza Faustusa. Chwila ta jest zbyt bolesna, by jakkolwiek członek rodziny cesarskiej przemówił osobiście”.

To było wszystko, co pałac miał do przekazania. Na ekranie pojawił się taktownie urzędnik z wyjaśnieniem:

- Rzecz jasna uzyskano zeznania. Kajusz Wariusz, były przyboczny brata cesarza, wkrótce stanie przed sądem oskarżony o zamordowanie

Marka Nowiusza i swojej żony Gemelli Pauliny, której śmierć aż do tej chwili nie była podana do wiadomości, a także o zdradę cesarza i państwa.

W rogu ekranu pojawiło się zdjęcie Wariusza i pozostało tam przez cały komunikat; Wariusz uchwycony na jakimś rozmazanym ceglany m tle, z głową lekko odwróconą w stronę obiektywu. Choć coś go wyraźnie zaskoczyło i ożywiło, i choć na twarzy, nawet na tak małym zdjęciu, nie było widać siniaków ani ran, Marek widział, jak bardzo Wariusz jest zdruzgotany, zniszczony, prawie martwy. Ta bezwładność jego powiek, mięśni całej twarzy. Każdy, kto go znał, musiał to dostrzec.

Marek wyciągnął rękę i powoli oparł się o ścianę.

Potem znowu pojawiły się jego zdjęcia i rozległa się muzyka żałobna.

- I tak przez cały dzień? - spytała Helena z niesmakiem, kiedy cykl rozpoczął się od nowa.

Marinus gwizdnął.

- No i co oni kombinują?

- Znasz tego człowieka? - zainteresował się Tiro.

Marek potrząsnął głową - nie zaprzeczał, otrząsał się z tego pytania. Potem powiedział wyraźnie:

- Nie, nie znam go dobrze, pracował dla mojego ojca. To chyba jakaś pomyłka albo... nie rozumiem.

- Dokąd idziesz?

- Powiedzieć Delirovi.

Nie słyszał tego, co jeszcze do niego mówili. Powtarzał sobie: musisz podjąć decyzję teraz, już, zanim ktokolwiek się dowie i cię powstrzyma. Nie pozwolił temu zdaniu przybrać postaci: zanim wróci Una. Pograżony w myślach przeszedł przez most. Był w szoku, czuł się winny i bał się o Wariusza, którego wszystkie działania poszły na marne.

Zamierzał iść do pokoju swojego i Suliena, tylko po to, żeby zejść innym z oczu i pomyśleć. Minął chatę Delira, od samego początku nie zamierzał do niej wchodzić.

Lal apatycznie spisywała zadania dla wszystkich na następny tydzień. Na złość ojcu wystroiła się jak ladacznica. Zaczęła się malować kosmetykami w kolorze starego złota, które zostawiła po sobie Flora; najpierw misternie ozdobiła jedno oko, ale drugie za nic nie chciało wyglądać podobnie. Bez ostrzeżenia po niedopasowanych złotych smugach popłynę-

ły gorące łzy. Zaczęła ścierać makijaż, przestał ją interesować; znowu usiadła przy biurku, jeszcze z resztkami złota na powiekach, i przyjrzała się planowi dnia. Dobrze przynajmniej, że miała zajęcie, które pozwalało jej przyczaić się w domu z dala od Suliena i wszystkich błahych spraw. Ale zajęcie niosło ze sobą pewne niebezpieczeństwo, bo na wszystkich listach widniało imię Suliena. Decydowanie o jego zajęciach, umieszczenie go tu czy tam sprawiało jej satysfakcję i ból zarazem. Była sprawiedliwa, starała się mu nie ułatwiać ani nie utrudniać życia, choć miała ochotę i na to, i na to (bo dlaczego nie sprzeciwiłaś się bardziej, pomyślała, dotykając palcem jego wypisanego imienia).

Przez chwilę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi, była pewna, że to Sulien, tylko dlatego, że nikt inny nie przychodził jej do głowy; z nagłym przerażeniem potarła usmarowane oczy. Na widok Marka ogarnęło ją rozczarowanie, ale jednocześnie dostrzegła jego napięcie i niepokój i wbrew samej sobie zaciekawienie trochę ją oderwało od ponurych rozmyślań. Coś się stało z Uną, przemknęło jej przez głowę, ale nie spodziewała się, że Marek powie z takim napięciem:

- Pomożesz mi?

Zmarszczyła brwi, jeszcze raz oszacowała sytuację. Była pewna, że chodzi o Unę.

- Chciałbym, żebyś zrobiła mi szybko dokumenty. Potrafisz, prawda?

- Co?

- I muszę pożyczyć pieniądze na powrót do Rzymu.

- Co?!

- Muszę wrócić i ich powstrzymać. - Jego palce wystukiwały nerwowy rytm na ścianie. - Mówią, że Wariusz zabił Gemellę, że zabił mnie. Stracą go.

- Jaki Wariusz?

Marek westchnął i wyjaśnił. Czuł, że zaczyna dygotać z frustracji i niepokoju.

- Nie wiem, co się z nim dzieje, minęło tyle czasu. Dość tego. Muszę odejść natychmiast, bo Delir mnie zatrzyma.

- Nie - rzekła zdecydowanie. - Ja cię zatrzymam.

- Nie rozumiesz...

- To ty nie rozumiesz. Nie pomogę ci, bo właśnie do tego chcą cię

zmusić. Usiłują cię wyciągnąć z kryjówki, żeby cię mogli zabić.

- Wiem.

Po paru sekundach potrząsnęła z irytacją głową, odpędziła to, co powiedział.

- Wszyscy uważają, że nie żyjesz, już się z ciebie wytłumaczyli, to będzie takie łatwe!

- Nie pójde tam, gdzie się spodziewają.

- Nie wiesz, czego się spodziewają! O Boże! - Poderwała się, nagle zrozumiał, jak poważna jest sytuacja. - Nie zrobiliby tego, gdyby nie wiedzieli, gdzie jesteś. Po prostu czekają, aż wyjdiesz!

- W tym także możesz mi pomóc. Wiedzą, że idziemy do Athabii, więc tam nie pójde, załatwimy to...

- Nie!

I znowu nastąpiła chwila milczenia, podczas której zmagali się bezgłośnie.

- Lal. Posłuchaj. Teraz mnie także będzie łatwiej - powiedział w końcu Marek, który zaczął tracić cierpliwość. - Nikt im nie pomoże. Skoro już nie żyję, kto powiadomi wigilów, jeśli zobaczy kogoś podobnego do mnie? Jeśli dasz mi dokumenty, pójde tam, gdzie zechcę.

- Tu nie chodzi o dokumenty, nie będziesz miał nawet okazji, żeby z nich skorzystać - odparła znużona.

- Będę. Muszę. - Gwałtownie odwrócił głowę, zacisnął zęby, wzdrygnął się, jakby uskakiwał przed rzuconym kamieniem. Przypomniał sobie Gemellę osuwającą się na posadzkę. - Gemella i Wariusz byli małżeństwem. Ona nie żyje, ktoś już stracił przeze mnie życie.

- Nie możesz o to winić siebie.

- Nie winię. Nie wiedziałem, że tak się stanie, nie mogłem temu przeszkodzić! Ale po czymś takim...!

Tym razem Lal głęboko westchnęła. Usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach.

- Niewykluczone, że zawsze będziesz miał wyrzuty sumienia. Może słusznie. Zapewne będziesz musiał... - ledwie było ją słychać, wolałaby, żeby to powiedział ktoś inny -...się z tym pogodzić. Bo w tej chwili są ważniejsze sprawy od twoich uczuć.

Spojrzała na niego z niepokojem, przestraszona, że go uraziła, jak pewnie uraziłaby każdą przyzwoitą osobę. Wzdrygnął się, ale nic nie po-

wiedział, mimo woli dostrzegł, ile kosztowały ją te słowa. Odchrząknął, ale mógł tylko wymamrotać:

- Ale Wariusz...
- Wysłał cię do nas? - spytała ciszej. - Żebyś był bezpieczny?
- Tak.
- Co by ci teraz kazał zrobić?

Zawahał się. Niechętnie powiedział:

- Chyba kazałby mi zostać. - I zamilkł, oboje zamilkli, żadne się nie poruszyło. Potem rzekł cicho: - Tak jak Delir, tak jak ty, choć Dama miał rację. To ja sprowadziłem tu wigilów, to ja narażam wszystkich. Dlaczego? Dlaczego wszyscy tyle dla mnie robią?

- Bo chcemy, żebyś został cesarzem.

- Tak. Ale jak mogę nim zostać, jeśli nawet nie spróbuję? Jeśli tylko pozwolę, żeby inni mnie bronili, a sam nic dla nich nie zrobię.

- Zrobisz. Kiedy nadejdzie pora.

- A skąd wiesz, czy nadejdzie? Kto sprawi, że nadejdzie? Nie jestem następcą tronu, jeszcze nie. Jeśli wuj uzna, że nie żyję, wyznaczy kogoś innego. - Biedny wuj Tytus! - pomyślał w przyływie współczucia. Najpierw mój ojciec, teraz ja! - A na wiosnę chorował, może jego także zabią. Wówczas wszystko, co zrobili dla mnie Wariusz, Delir, Una, Sulien...

Nie powinien o nich wspominać. Poczul rozpacz, kiedy po raz pierwszy uświadomił sobie, że chce odejść, nie zobaczywszy się z nimi, nie zamieniwszy słowa, bez pożegnania, że chce się odgradzić od Uny setkami mil. Lal to widziała, zobaczyła, że się zawahał.

- Wówczas nie mam już po co wracać. Cesarzem zostanie Druzus, nie ja. Dlaczego? Proste. Pozwoliłem się tu odesłać, ukrywam się. Czy zrobiłem coś, co dowodzi, że powinienem być cesarzem? Wariusz był jedyną osobą, która wiedziała, co się dzieje. Jeśli teraz zginie, a ja tu będę tylko czekał, to jak w Rzymie ma się coś zmienić? Muszę tam być. Muszę wrócić do domu.

Lal nie całkiem rozumiała, dlaczego nie znalazła na to żadnej odpowiedzi. Nie uznawała jego racji, ale wszystkie jej argumenty wydały się słabe, jej zdanie nie miało już znaczenia. Uważała jednak, że powinna go przekonać, mogła też po prostu odmówić mu pomocy lub powiedzieć ojcu.

- Co z Uną? - spróbowała podstęp.

Do tej pory patrzył jej w oczy, ale teraz spuścił wzrok, zapomniał języka w gębie. Nie miał pojęcia, że Lal wie.

- Wyjaśnij jej - wymamrotał. - Powiedz, że się pożegnałem.
- To wszystko?

Uśmiechnął się krzywo.

- Wszystko inne już wie. - Zastanowił się i dodał: - Powiedz, że nasza umowa co do pieniędzy i wolności jest nadal aktualna. - Przestraszyło go zimne brzmienie tych słów. - Powiedz, że po wszystkim chcę się z nimi zobaczyć, że powinni przyjechać do Rzymu. Sulienowi też to powtórz.

Ale nie potrafił sobie tego wyobrazić. Gdy to mówił, wiedział, że już nigdy ich nie zobaczy, nie zobaczy już Uny.

Gdyby ktoś, zwłaszcza Una, chciał go w tym momencie powstrzymać, pewnie by się zawahał i w końcu poddał. Delir na pewno uniemożliwiłby mu odejście, choćby przemocą, jeśli wszystko inne by zawiodło.

- Powiem. Stań tam - rzekła Lal.

Powiesiła na drzwiach prześcieradło, stanowiące tło dla jego twarzy.

Miała gotowe czyste formularze, ale czas, który zajęło zrobienie i wycięcie zdjęcia, przyklejenie go, wpisanie nowego imienia, miejsca, i daty urodzenia oraz przyłożenie pieczęci, strasznie się Markowi dłużył. Kiedy rozstał się z Uną przy wodospadzie? Pewnie z pół godziny temu.

- Gnejuusz Nemetoriusz Kariusz może być?
- Tak, tak.

Zostało niewiele godzin do zmroku. Przynajmniej nie miał kłopotów ze znalezieniem mapy, bo były wszędzie, wszyscy mieli znać góry wokół wąwozu, nauczyć się na pamięć zaznaczonych tras ewakuacyjnych. Przyjrzał się mapie i westchnął na widok tej pustki, która chroniła osadę. Na północy w odległości siedemnastu mil znajdowało się niewielkie miasteczko Iluro, stamtąd mógł złapać pociąg do Tarby, a z Tarby do Rzymu. Z żalem uznał, że każdy, kto by spojrzał na tę okolicę, bez trudu przewidziałby taką trasę. Lepiej iść w niewłaściwym kierunku, do Hispanii. Ale w tę stronę przez jakieś trzydzieści, trzydzieści pięć mil ciągnęły się pustkowia. Ponuro zaczął liczyć: w drodze z Nemausus czasami przemierzał pieszko i dwadzieścia mil dziennie, ale kiedy przestał sypiać, schudł i osłabł, następnego dnia nie mógł na ogół utrzymać takiego tempa. W lesie, w drodze z Wilczego Kroku, nie forsowali się. Jednak tym razem, gdyby się nie oszczędzał, gdyby szedł za dnia i nocą, nie myślał o na-

stępnym dniu, bo nie byłoby takiej potrzeby - mógłby pokonać trasę w jeden dzień, nawet szybciej. W Panticosie, małym uzdrowisku, też jest stacja kolejowa, powiedziała Lal, a miasteczko leżało na południowym wschodzie. Nie miał pewności, co dalej, czy ma wracać prosto przez Galię, czy najpierw pojechać do Pompaelo lub Cezaraugusty. Doszedł do wniosku, że może się znaleźć w Rzymie pojutrze wczesnym rankiem, choć trudno było w to uwierzyć, bo wydawało się, że to tak daleko.

Pozostawała kwestia pieniędzy. Lal prawie nie miała własnych, a on potrzebował... dwieście, trzysta sestercji?

- W porządku, mój ojciec ma mały sejf, potrafię go otworzyć - powiedziała Lal.

- Oddam.

- Wiem.

- Wystarczy?

- Tak.

- Ale żeby wam zostało... nie możecie się bez nich obyć.

- Nie przejmuj się tym, to już naprawdę...

Marek skinął głową, nieszczęśliwy, ale nie wypadało się wahać w takiej sprawie, byłoby to coś w rodzaju namawiania Lal, żeby wzięła na siebie część odpowiedzialności za tę kradzież, żeby zachęcała go do odejścia.

Lal wmaszerowała dziarsko do pokoju Delira. Liczyła, że go nie zastanie, ale pod drzwiami usłyszała głosy i zawahała się.

- Nie chcę, żeby ktoś czekał na próżno w Athabii.

- Możemy zostawić wiadomość Palbenowi, powie im, którądy iść.

To był głos Ziyę.

- Ale jeśli nie będą w stanie iść dalej? Pomyśl o Pyrre, o Chilo, pamiętasz?

Lal zachmurzyła się, ale i tak weszła. Delir uśmiechnął się zaskoczony, z nadzieją, ponieważ od wielu dni go unikała.

- Iris mówi, że Pyrre znowu się rozgadała. Wzywa cię - powiedziała Lal lodowato. Nie chciała się teraz zachowywać przyjaźnie, bo potem by odkrył, iż padł ofiarą podstęp.

Delir natychmiast wstał.

- To może poczekać - odezwała się Ziyę.

- Nie, nie może. Lal, idziesz?

- Jeszcze nie skończyłam rozkładu zajęć- odparła.

Delir spojrział na nią z zalem. Och, ty paskudny, użalający się nad sobą człowieczku, pomyślała Lal, rozdarła między rozdrażnieniem i współczuciem. Niepokoiła się, że Ziyee nie pójdzie za Delirem, ale ona uśmiechnęła się do niej nieufnie i natychmiast wymknęła się z pokoju. Boi się zostać ze mną, dotarło do zaskoczonej Lal. To dobrze.

Odciągnęła zasłonę skrywającą łóżko Delira. Sejf znajdował się pod nim.

Pod nieobecność Lal Marek nerwowo bawił się dokumentami i mapą. Niecierpliwość i niepokój go rozpierały. A jeśli Delir tam będzie, jak Lal zabierze pieniądze? A jeśli go nie będzie, ktoś może mu powiedzieć o dalwizji i Wariuszu. Usiłował napisać do niego list, ale nie przyszło mu do głowy nic oprócz: „Przepraszam. Dziękuję”.

Zerknął na siebie w lustrze. Włosy miał nadal krótsze niż w Rzymie, ale nie był to już język, wyglądały zwyczajnie. Chyba trochę urosłem, pomyślał. Niepewnie dotknął palcem szczęki, wydawało mu się, że twarz też jakoś zmieniła kształt. Te zmiany, jeśli ich sobie nie wyobraził, zaczęły go cieszyć, ale pomyślał z dreszczem niedowierzania: niedługo będę się modlił, żeby ludzie mnie rozpoznali, wkrótce to mi będzie potrzebne.

Lal wróciła i w milczeniu podała mu plik pieniędzy.

- Możesz się zamienić z tym, kto ma dyżur przy monitorach? - spytał.
- Bo mnie zobaczą. Spróbuj to ukrywać, jak długo się da.

Lal jęknęła cicho.

- Ale wpadłam, ale wpadłam...

Marek uścisnął jej dłoń.

- Nie zapomnę ci tego.

Pocałowała go lekko w policzek. Wyszedł. Nigdy jej nie zobaczy, nigdy nie zobaczy Delira... otrząsnął się. Dlaczego tak myśli? Nie zginie. Dlaczego nie miałby tu wrócić po wszystkim?

Potrzebował płaszcza, ubrania na zmianę. Pakując się, zrozumiał, że nie ma nic własnego. Te ubrania kupił mu Sulien w Wilczym Kroku, wpychał je do torby Suliena. (Wydawało mu się, że była gdzieś inna torba, ale nie mógł jej znaleźć). Reszta drobiazgów należała do Wariusza bądź też były to rzeczy zostawione w osadzie przez mężczyzn i chłopców, których nie poznał, którzy dokonywali prawdziwych czynów, podróżowali naprawdę. Tyle że pewnie już zginęli.

Chwycił płaszcz i znalazł pod nim niebieskoszary kapelusz, który dostał od Uny. Pakował się w rozpaczliwym pośpiechu, ale na kapelusz popatrzył z uwagą, jakby zapomniał, co robi, jakby miał przed sobą arcydzieło. Złożył go delikatnie i schował do kieszeni torby.

Lal, która siedziała przed szarymi monitorami, obserwowała go, gdy szybko mijał windę i zmierzał do najbliższej drabiny, wspinał się na ścieżkę, wchodził w bukowy las.

Ale na szczycie góry, poza zasięgiem jej wzroku, Marek się zatrzymał. W dole, przed nim, rozciągała się wielka naga połać zimnych traw, które skubały chude owce. Stał na skraju tego pustkowia i zagryzał wargę. Widział siebie jakby z daleka - ruchomy kolorowy punkt, mały, lecz wyraźnie rozpoznawalny jako jedyny człowiek na zboczu góry. Z powietrza, a nawet z wioski na innym górskim zboczu natychmiast go dostrzegą, kiedy wyłoni się spomiędzy drzew. Ale jeśli zacznie się przedzierać przez las, by poszukać innej drogi na południowy wschód, jak długo to potrwa?

Ogrom tego pustkowia początkowo napełnił go obawą. Teraz go prawie sparaliżował. Idioto, pomyślał. To dalej, niż sądziłeś, nie możesz iść przez góry w linii prostej.

Pozwolił, żeby imię Uny przebiło się przez jego myśli w rytm kroków. Przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie, ten niezdarny pocałunek, jej pokorę i milczenie, jakby stała się kimś zupełnie innym. I jak się teraz poczuje, kiedy się dowie, że odszedł?

Stał tam i zupełnie się nie rozglądał, nie nasłuchiwał! Nagle wyobraził sobie, że ktoś skrada się za jego plecami, ujrzał to z taką wyrazistością, jakby sam był mordercą. Odwrócił się. Nikogo nie zobaczył.

Zastanowił się, czy nie wrócić. Idź, idź, ponaglał się w myślach, i nie mógł.

Grupa mężczyzn, oddalonych o dwie mile na północ, wiedziała, gdzie się znalazł. Zamierzali odczekać, aż wyjdzie poza pole widzenia kamer, tam gdzie nikt mu już nie przyjdzie z pomocą. Wiedzieli, że wyruszył z wąwozu na wschód, potem skręcił na południe, wiedzieli, kiedy się zatrzymał. Ruszyli.

Muszę wybrać moment powrotu, pomyślała Una. Nie ma co czekać, aż będę miała na to ochotę, bo nie będę.

Wybrała, wybierała raz za razem, aż w końcu wstała zdecydowanie i ruszyła wózkiem ku chatom. Gdy tylko na mnie spojrzę, wszystkiego się domyśla. Ponieważ łzy, które napływały jej do oczu, nie chciały w nic wsiąkać, musiała je starannie wycierać.

Wszystko zepsułam, pomyślała. Nie potrafiła znaleźć żadnej pociechy, żadnej obietnicy, że tylko dzięki temu wszystko będzie dobrze. Nie mogła nawet wymyślić, czego pragnie teraz, jak powinny ułożyć się jej stosunki z Markiem. Chciała tylko, żeby nie musiała decydować teraz.

Nie miała ochoty z nikim się spotykać, a jednak nie chciała być też sama. Może odnajdzie Suliena i pomoże mu w tym, co teraz robi, niczego nie tłumacząc. Z łagodnym zaskoczeniem przyłapała się także na myśli o Lal - mogłaby usiąść wśród kobiet z fresków i zająć się rozkładem zajęć, żeby Lal mogła jej opowiadać o Sulieniu. Ale Lal potrafiła wydobywać z człowieka informacje, lubiła to robić - była zbyt niebezpieczna.

Oczywiście ona także umiała wydobywać z ludzi informacje, ale to co innego. A przez wzgląd na Marka powinna teraz zrobić obchód obozu i posłuchać, co się mówi i myśli. Była mu winna chociaż tyle.

Na granicy osady, na zboczu, znalazła Damę, który gwałtownie ciągnął za sznur uczepony młodej gałęzi; obracał zgiętymi w łokciach rękami, raz za razem. Sznurek oplątywał jego palce i przegub, bo nie potrafiłby go utrzymać.

Pozałowała, że nie może sprawdzić, czy widział wracającego Marka. Była pewna, że zdoła powiedzieć przyjaźnie: „Cześć, co robisz?”, bez żadnego drgnienia głosu ani twarzy.

- Sulien powiedział, że powinienem to robić, albo coś podobnego, prawie bez przerwy. Moje ramiona, te mięśnie tutaj. Faktycznie pomaga.

Ale znieruchomiał i wyplątał się ze sznurka ze spojrzeniem pełnym

obrzydzenia.

- To pewnie idiotycznie wygląda, że tak zwisam na drzewie.

- Skąd.

Nie zaczął od nowa, ruszył obok niej.

- Wszystko w porządku? - spytał. - Jesteś smutna?

Zaskoczył ją, nie zdołała się przygotować na ten przejaw współczucia.

- Nie! - odparła.

- Nie? Myślę, że tak. - Chciał, żeby pozwoliła mu się pocieszyć, ale nie wiedział, jak to zrobić, i bał się, że Una zacznie mówić o Marku rzeczy, których nie chciałby usłyszeć.

- Nic mi nie jest! - Wiedziała jednak, że widać, iż stara się robić dobrą minę do złej gry. - Jestem... zmęczona.

Dama uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Świetnie, tobie nic nie jest, a ja nie jestem śmieszny.

- Nie jesteś - syknęła. To, że w ogóle przyszło mu to do głowy, jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi. - Czemu tak myślisz?

- Czy chodzi o to... - wymamrotał nieśmiało -...że kiedyś wiedziałś, że musisz odejść, uratować Suliena, coś osiągnąć, a teraz...?

Westchnęła, zaczęła się osuwać w pewien rodzaj smutnego transu i z ulgą przyjęła, że nie wspomniał o Marku. Nie zwracała sobie głowy kontrolowaniem głosu.

- Tak... tak, zastanawiam się, co teraz. - I rzeczywiście, niepokój o Marka jakby rozlał się po całym jej ciele. Ponieważ Marek ją zostawił, nieustannie przyłapywała się na myśleniu: co ja teraz zrobię, co mam robić?

- Mogłabyś tu zostać, pomóc nam. - Skinęła cierpliwie głową. - To za mało?

- Och, wiesz... - Pomyślała, że pewnie uraziła go jej mina.

- Tak czuję.

Szli w milczeniu jakiś czas, zanim wyszeptała:

- Skąd wiedziałeś?

- Chyba pod pewnymi względami jesteśmy podobni.

- Tak - odparła, wciąż oszołomiona.

- Ale nie wolno ci myśleć, że zmarnujesz życie. Wiem, że to niemożliwe. Żadne z nas nie zmarnuje, skoro mamy tyle pracy, tyle walki: z Rzymem, niewolnictwem.

- To zadanie Marka - rzekła z żalem.
- Nie, to nasze zadanie. Tak czujesz, przecież wiesz.
- Tak, bo ci, co pozostają bierni, w zasadzie pomagają Rzymianom.

Dama, tak jak wtedy, kiedy powiedziała, że nie jest już niewolnicą, ucieszył się, jego twarz na chwilę się rozpromieniła. Ale Una rzekła:

- Tak, tak czuję, ale nie wiem, co mamy z tym zrobić, nie mogę...

Byli już wśród chat. W oczach Uny stały się jakieś płaskie i puste, czegoś im brakowało, jakby widziała je tylko jednym okiem. Wydało się jej to naturalne.

- Jeśli twój Nowiusz... - Dama usłyszał szorstki ton swego głosu i zrozumiał, że popełnił błąd. Poprawił się szybko: - Jeśli do tego dojdzie, wszystko się zmieni, trzeba się będzie przygotować do pomocy. Do dopilnowania, żeby nikt nie przeszkodził, nie zatrzymał tego procesu. Jeśli nie... jeśli nie, wtedy... to musimy i tak być gotowi.

- Nie jest mój - odparła, po raz pierwszy z pewnym chłodem.

Delir dreptał rozdrażniony chodnikiem po prawej stronie, wraz z Ziyę.

- Widzieliście Lal? Albo Pyrrę? - Ziyę krzyknęła do nich z daleka.

Una pokręciła głową.

- Co za kobieta! - powiedział Delir z rzadko u niego spotykanym rozgoryczeniem. - Jeśli znowu dostała szału, to przysięgam, ja też dostanę i zobaczymy, jak jej się to spodoba.

Ale Una zatrzymała się i prawie nie zauważyła, że Delir i Ziyę pośpiesznie zbiegają po drabinach, spieszą przez most, mijają ją.

To poczucie chłodu spotęgowało się i stało bardziej natarczywe. Tak jakby weszła do znajomego pokoju, w którym zmienił się układ cieni, bo znikło jedno źródło światła. Dama patrzył na nią z niepokojem.

- O co chodzi, coś powiedziałem?

- Nie - rzuciła z roztargnieniem i stała jeszcze chwilę, zapraszając to uczucie, ponagłając je, by prędzej zrozumieć, czym jest. Odwróciła się powoli, automatycznie. - Nie wolno mu opuszczać wąwozu...

Zrobiła to, czego dotąd unikała, pobiegła do chaty, którą Marek dzielił z Sulienem, wpadła do środka. Dama kuśtykał za nią.

- Co robisz? - spytał.

Spojrzała na nieporządny pokój. Nie orientowała się, jak powinien wyglądać. Widziała skłębione rzeczy, ale mogły to być ubrania Suliena. Po tym skromnym dobytku nie mogła ocenić, czy Marek odszedł.

Nie przyszło jej do głowy szukać wełnianego kapelusza, nie miała pojęcia, jaką moc zakłęła w tym drobiazgu.

Szarpnęła szufladę, która wysunęła się ze skrzypieniem, tam musi być jakiś dowód. Nie mogła znaleźć Marka i z każdą chwilą nabierała pewności, że go nie znajdzie. A jeśli nie opuścił wąwozu, a Tiro lub Marinus, lub ktoś jeszcze naprawdę chciał go zamordować, a ona tego nie dostrzegła?

Dama stał, obserwując ją czujnie.

- Gdzieś poszedł?

- Płaszcz! - krzyknęła nagle. - Sulien miał nasze torby, nie ma ich! - Uniosła ręce do twarzy, ale przez chwilę poczuła gniewną ulgę. Jeśli swobodnie opuścił wąwóz, to tylko głupio naraził się na niebezpieczeństwo, ale przecież Pyrry nie spotkała w lesie żadna krzywda, tylko taka, jaką sama na siebie ściągnęła. Poza tym łatwo ją odnaleźli.

Chyba nie odszedł z jej powodu, nadąsany? Ta myśl była przerażająca i żenująca, ale jednocześnie obudziła kpinę, która zawsze ją wzmacniała jak alkohol. Można byłoby uznać całe zajście za komiczne.

- Delir powinien się dowiedzieć... - zaczął Dama głucho.

Dziwne, nie wpadła na to, instynkt podsunął jej tylko, żeby powiedzieć Sulienowi. Sulien i Delir właśnie wychodzili z sali z dalwizorem. Helena powiedziała w pralni Sulienowi, że ci z wiadomości chyba uważają, iż Marek Nowiusz już dawno został zamordowany, i że przez cały dzień nie puszczają nic innego, a Delir poszedł szukać Lal i ujrzał małe osłupiałe grono, wpatrzone w żałobny cykl przewijający się na ekranie.

Zbliżając się, Una i Dama usłyszeli, jak Delir gniewnie pyta Tobiasza:

- Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?

- Myślałem, że już wiesz. Myślałem, że rozmawiałeś o tym z Markiem Nowiuszem.

- Marek to widział?

Nie rozumiała, dlaczego są już tak zdenerwowani, ale poczuła znowu zakradający się chłód, pomyślała: to coś gorszego, dużo gorszego.

- Odszedł - odezwał się Dama niespodziewanie.

Sulien i Delir odwrócili się do niego z nieco urażonym, karcącym spojrzeniem ludzi, którzy jeszcze nie mieli czasu zrozumieć, co usłyszeli.

- Co, Marek? - spytał Sulien. - Jak to?

Wiadomości najwyraźniej stanowiły próbę uzasadnienia nieobecności Marka, ale Sulien i Delir uznali je za wstęp do jakiegoś nowego ataku,

nie od razu stało się dla nich jasne, że celem było wywabienie Marka z kryjówki.

- Co to było? To o Wariuszu...? - szepnęła Una.

Chciała wpaść do chaty z dalwizorem i zobaczyć to, co oni. Jednak coś ją zatrzymało, ktoś stojący blisko, kogo gnębiły wyrzuty sumienia. To Lal.

Una rzuciła się po schodkach do chaty z monitorami.

Lal, skulona w blasku ekranów, tuliła się do ściany, jakby spodziewała się, że Una się na nią rzuci. Odkąd Marek zniknął, ciągle wpatrywała się w ekrany po prawej stronie. Czasami się wierciła lub przytupywała, gdy niepewność stawiała się nieznośna. Słyszała głosy na dworze, kroki biegnące do drzwi i skuliła się jeszcze bardziej, kiedy Una wpadła niczym furia, ze strasznym spojrzeniem i pobladłą twarzą. Lal odezwała się spokojnie, nie czekając na pytanie:

- Tak, postanowił wrócić do Rzymu z powodu Wariusza. Powiedział, że mam ci to wyjaśnić.

Inni wpadli za Uną i Lal przygotowała się na jakiś wybuch, przynajmniej ze strony Delira, jeśli nie Uny, ale nikt się nie odezwał, a Una nadal wpatrywała się w nią z napięciem, tyle że pozbawionym wyrazu wzrokiem.

- Lal! - zawołał Delir. - Co ty mówisz?

Una nie czuła, że Dama się jej przygląda, ciekaw, jak to przyjmie. Oznajmiła spokojnie:

- Czyli są tuż obok. Chcieli go wywabić i udało się.

Odniosła wrażenie, że nie ma już czego szukać w tym pomieszczeniu. Poczowała, jak przygniata ją ogromny ciężar. Tylko ona i Dama milczeli.

- Siedziałaś tutaj i nic nie mówiłaś? Lal! - krzyknął Delir. - Nie rozumiesz, że musieli dokładnie się orientować, gdzie jesteście? Nie uznależ, że powinienem o tym wiedzieć?

- No i stało się - mruknęła Ziyee. - Nie ma już problemu, czy tu zostaniemy, czy nie.

Tobiasz zaczął przeklinać pod nosem.

- Musiałam. - Ale teraz, gdy Marek odszedł, Lal nie potrafiła sobie przypomnieć, co jej powiedział, dlaczego zrobiła to, co chciał. - Musiałam mu pomóc.

- Chciałaś mu pomóc, ale go wypuściłaś, naprawdę nie pomyślałaś, co robisz? - Delir aż się zachłysnął. - Nawet specjalnie mnie okłamałaś,

dłaczego?

- Żebyś wyszedł, bo musiałam wziąć dla niego pieniądze - odparła śmiało Lal, gdyż nie chciała nic ukrywać.

Podawała mu list od Marka, ale Delir prawie tego nie zauważył.

- Ukradłaś...? - zaczął, ale Sulien, widząc znękaną minę Lal, stanął między nimi.

- Delir, przestań, to nie jej wina. Marek musiał wiedzieć, co robi.

Lal była wzruszona, ale nie pocieszona, bo spojrzała szybko na Suliena i dostrzegła w jego oczach rodzące się przerażenie. Wziął od niej karteczkę. Te dwa słowa na niej wyglądały tak blado i ostatecznie.

- Uważał, że zdoła się przedrzeć, kierował się na południowy wschód, to nie jest najprostsza trasa... to było wykonalne...

Delir spojrział na Lal i Suliena z goryczą i zrozumieniem.

- A! Więc to dlatego, tak chciałaś się odegrać?

- Nie! - wrzasnęła Lal i poderwała się, po raz pierwszy spowodowana do kontrataku. Rozglądała się za czymś, czym mogłaby w niego cisnąć. - To nie ma z tamtym nic wspólnego, jak możesz? A zresztą co z Wariuszem?

Delir zamilkł na jedną bolesną chwilę.

- Nie możemy... rozwiązać wszystkich problemów, wszystkich broń...

Una znowu zaczęła słyszeć rozmowę, podniosła wzrok, na Suliena, nie na Damę.

- Nie można tak sobie zniknąć... tak długo z nami szedł - rzekł Sulien przepełniony bólem. - Można by pomyśleć, że przynajmniej coś powie.

Una pokręciła głową.

- Nie. Zatrzymalibyśmy go.

Lal przestała się kłócić z Delirem i powiedziała do niej prosząco:

- Nie chciał. Kazał was pożegnać, macie go potem odwiedzić w Rzymie.

Słowo „potem” cisnęło Uną.

- Och! Jaki on głupi. Przecież go zabijają. Dlaczego mówię „zabijają”. Kiedy to było? Może już nie żyje.

Znowu wszyscy umilkli. Lal zrobiła wdech, dzieląc go na trzy etapy, jak trzy kroki, jakby chciała coś powiedzieć albo krzyknąć, ale tylko się

skuliła.

Sulien też wzdrygnął się z poczuciem winy, że stał jak skamieniały tak długo - w rzeczywistości ledwie przez minutę.

- Nie - oznajmił twardo. - Możemy go dogonić. Lal, gdzie to?

Lal zaczęła coś mamrotać, ale Una chwyciła ją gwałtownie za nadgarstek.

- Pokaż - syknęła.

I Lal dała się pociągnąć.

- To był on?

Dama, z kamienną miną, zamierzał się im usunąć z drogi. Sulien niemal się z nim zderzył. Teraz wszyscy czworo, Lal zwisająca jak lalka za Uną, zatrzymali się w drzwiach, tworząc kłębowisko ciał.

Tobiasz stuknął palcem w jeden z niższych ekranów.

- Zobaczyłem kogoś na obrzeżach.

Una popędziła, żeby spojrzeć. Dostrzegła tylko drzewa.

- Co? Nie. - Lal odwróciła się rozdygotana do monitorów i wbiła w nie wzrok. Wskazała przeciwny kąt. - Nie, był tam. Szedł w kierunku Panticosy, to w Hispanii. - Dopiero teraz dotarło do niej, że posłusznie zdradza trasę Marka, choć prosił ją o dochowanie tajemnicy. Przeraziła się, zachowywała się tak, jakby nie wierzyła, że mu się powie. Krótko mówiąc, popełniła coś strasznego.

- Jesteś pewna? Ktoś nadchodzi? - Delir wpatrzył się w ekran, zawałał się. - Lal, chyba przynajmniej pilnowałaś?

- Nie mogłam się skupić - wyznała niemal ze szlochem.

- Nie - powiedział Tobiasz, już całkiem spokojnie. - On się oddalił, w przeciwnym razie byśmy go widzieli.

- Może postanowił j ednak iść inną drogą, może wraca... ?

- Nie stójmy tak! - wściekła się Una, boleśnie świadoma mijających sekund.

Wypadli z chaty, przecięli wąwóz, wyszli poza obóz. Nie podzielili się formalnie na grupy. Tobiasz poprowadził ich w stronę wioski i cienia, który widział na ekranie, a Delir, idąc w kierunku, który wskazała mu Lal, rzucił drażliwie, gdy ruszyła za nim:

- Nie, na Boga, wracaj, nie narażaj się.

- Nie mogę! - krzyknęła Lal.

Kiedy Delir ją zostawił, pobięła za pozostałymi, Tobiaszem, Ziye i

Uną. Spodziewała się, że Ziyę przynajmniej spróbuje ją odesłać, ale ta rzuciła jej dziwne spojrzenie, ani gniewne, ani współczujące, lecz przyjaźnie rzeczowe, i maszerowała dalej, uważnie obserwując okolicę.

Una nie miała pojęcia, dlaczego postanowiła iść w tę stronę, przypuszczalnie dlatego, że postać, którą zobaczył Tobiasz, przynajmniej oznaczała kogoś konkretnego, żywego. Nie zostawiliby jego ciała, pomyślała, nigdy się nie dowiem, co mu zrobili, miną miesiące, zanim zyskamy pewność, iż naprawdę nie żyje.

W tym samym momencie podświadomie zdała sobie sprawę, że tych, co ścigają Marka, nie jest wielu. Wprawdzie można wysłać na jego poszukiwanie wszystkich wigilów, ale ilu ludziom naprawdę można powierzyć zadanie zamordowania Nowiusza i mieć pewność, że dochowają tajemnicy? Trzeba wybierać ostrożnie. Pewnie są zdesperowani. W takim górzystym terenie, porośniętym lasem, nie wystarczy mniej więcej wiedzieć, gdzie szukać, można przejść obok celu pół mili, ćwierć mili, i nie dostrzec go. Marek rzeczywiście miał szansę się wymknąć.

Wspięli się na sztuczne osypisko strzegące wejścia do wąwozu, zawahali się i ruszyli tyralierą, wzdłuż rzeki, pod górę, ale nie minęło parę minut, a Una i Lal, które bez tchu przeczesywały las, usłyszały krzyk Tobiasza. Obie stanęły, przez chwilę oszołomione rodzącą się nadzieją. Lal, zapominając, że Uny nie należy dotykać, ścisnęła jej rękę. A Una nie zaprotestowała, nie miała czasu ani przytomności umysłu, żeby o tym myśleć. Pędem ruszyły w stronę wioski.

U stóp wzgórza spotkały Ziyę; jednocześnie Una poczuła ukłucie rozczarowania, bo przed Tobiaszem ujrzała kogoś innego, nie Marka. Były to dwie osoby, które rzuciły się do ucieczki, jakby zrozumiały, że zostały dostrzeżone.

Gdy tylko Ziyę je zobaczyła, puściła się w pogoń. Wiedziała, że straciła kondycję, ale pozostali ujrzeni zdumiewający, piękny, wilczy sprint, przerażająco szybki. Lal, pomimo całej rozpaczki, mimo woli pomyślała z iskierką podniecenia, że wreszcie zobaczą jej umiejętności. Nie zobaczyli, nie całkiem. Zamiast zadać jakiś tajemniczy, misterny cios, Ziyę po prostu przepięknie skoczyła i przewróciła Pyrrę z tak drapieżnie zwierzęcą elegancją, że przestała wyglądać jak człowiek, a bezwładne stworzenie, które złapała, wydało się łupem, królikiem, wróblem czy innym strachliwym zwierzęciem. Nie zdziwiliby się, gdyby Ziyę obnażyła kły.

Oczywiście tylko przytrzymała Pyrrę na ziemi, unieruchomioną.

Lal nie rozumiała z początku dlaczego, myślała, że Pyrra znowu ucieka w ataku paniki. Pyrra natychmiast zaczęła zawodzić i łkać, Iris zaś, wrzeszcząc z wściekłości i strachu, małymi piąstkami bębniła w plecy i głowę Ziyę, a kiedy ta jednym skutecznym ruchem strzepnęła ją z siebie, wróciła z patykiem. Tobiasz przez chwilę stał oszołomiony, lecz zaraz pobiegł i chwycił dziewczynkę. Iris wierzgała nogami w powietrzu, plując przy tym.

- Iris, Iris - zawodziła Pyrra.

Iris wiała się i drapała Tobiasza, ale kiedy cicho podeszły Lal i Una i kiedy dziewczynka przekonała się, że przeciwnicy mają przewagę liczebną, nagle jakby straciła zainteresowanie i zwiśla tak bezwładnie, że Tobiasz pozwolił osunąć się jej na ziemię. Wówczas odeszła i spojrzała obojętnie na matkę, nie starając się jej pomóc i najwyraźniej dystansując się od wszystkiego, co się wydarzyło. Oparła się zmęczona o drzewo.

- Una - odezwała się Ziyę przez zaciśnięte zęby - powiedz, czy mam rację.

Una wychyliła się w przód - czuła się jak duch, jak lekkie zagęszczenie wilgotnego chłodnego powietrza - wciąż ściskając dłoń Lal. Wbiła wzrok w Pyrrę i szepnęła:

- Sprzedałaś go.

- Nie, nie sprzedałam, i tak by go dopadli! - załkała Pyrra. - Znaleźliby nas, zabraliby Iris, tak jest lepiej. No puście mnie, puście.

- A Marek i Delir, i my wszyscy, którzy ci pomagaliśmy? - syknęła Ziyę z niesmakiem.

- Jak się z nimi umówiłaś? Co mieli zrobić? - spytała Una.

Ale nie zdołali już wydusić z Pyrry żadnej konkretnej informacji, gdyż ta była tak przerażona, że tylko jęczała:

- Dla Iris, dla Iris, dla jej dobra, ja jestem na nic, już nigdy nie będę lepsza, nic nie potrafię, co miałam zrobić?

- Możecie ją puścić. Teraz to już bez różnicy - rzekła Iris, która z roz-targnieniem obdzierała gałązkę z kory.

Była tego tak pewna, że Una zadygotała.

- Nie rozmawiaj z nimi - odezwała się błagalnie Pyrra.

Iris ją zlekceważyła.

- To się stało tego dnia, kiedy uciekłaś - powiedziała Una, nadal bez

tchu. - Poszłaś do wioski.

Przez chwilę nie rozumiała, dlaczego wtedy tego nie zobaczyła, a potem, widząc Iris wpatrującą się w nią z drżeniem, zrozumiała z goryczą: bo tam w ogóle nie poszły. Bo się ukryły przede mną. Skąd wiedziały, jak to zrobić? Przez kolejną chwilę z wysiłkiem usiłowała sobie przypomnieć i już miała odpowiedź: powiedziałam Tirowi, skąd się dowiedziałam o Tasjuszu, a Iris to słyszała. To po to było to udawanie chorej i trzymanie nas z daleka!

Nie chciała już nigdy więcej widzieć Iris i Pyrry.

- To nie tak, niejednocześnie, to było straszne... - zakwiliła Iris żałośnie. - Wicie, jak się bała. Nie chciałam z nią iść, ale musiałam. A potem nie wiedziała dokąd, a ja powiedziałam, że powinniśmy wracać, i zostawiłam ją, bo pomyślałam, że wtedy pójdzie za mną. Ale nie poszła, więc to ja musiałam wrócić, a ona zrobiła sobie to w ręce. Chociaż... patykami, to żałosne. - Spojrzała na Pyrrę z pogardą. - I minęło tyle godzin. I było zimno. - Zadrżała.

- Musimy iść, dlaczego nas zatrzymujecie, oni na nas czekają - zajęczała Pyrra.

- I ciągle powtarzałam: musimy wracać, nie możemy się błąkać, nie mamy pieniędzy. I w końcu pomyślałam, oczywiście możemy zarobić.

Tobiasz wpatrywał się w nią przerażony jak jeszcze nigdy.

- To był twój pomysł? Dziecko! - A do Pyrry: - A ty popełniłaś morderstwo, bo córka ci kazała?

- To nie było morderstwo, i tak by do tego doszło - zakwiliła Pyrra, a Iris westchnęła.

- Nie wiem, nie pamiętam, było tak ciemno i strasznie. Chyba tak nie powiedziałam. Może pomyślałyśmy o tym jednocześnie. Po prostu... - Znowu spojrzała na Pyrrę, tym razem tęsknie. - Kiedy uciekłyśmy, polepszyło się jej. Wiedziała, co robi. Powiedziała: uciekamy, idziemy do Athabii. Była taka, dopóki nie ruszyłyśmy z powrotem, a wtedy... znowu zaczęła się martwić. - Wzruszyła ramionami. - No cóż, poszłyśmy do wioski. Powiedziałyśmy - ona powiedziała, że wie, gdzie... gdzie on jest. - Nie chciała wymieniać żadnego z imion Marka.

Pyrra kwiliła już ciszej. Odezwała się zbolałym, błagalnym głosem, jakby miała nadzieję, że jeszcze ich do siebie przekona:

- A oni chcieli, żebym zabiła... żebym... uważali, że potrafię, ale oczy-

wiecie nie mogłam, nie mogłam! - Podniosła na nich oczy pełne błagania.
- Prosimi, żebym zaczekała, spotkała się z nimi i wzięła coś od nich. To wszystko, naprawdę.

- Co wzięła? - warknęła Ziyę, co sprawiło, że Pyrra znowu zaczęła zawodzić i kręcić głową, a Una niemal zobaczyła, co to było, lecz nie miała siły woli, by spojrzeć. A kiedy Iris zaczęła mówić, Una chciała zasłonić sobie uszy.

- Coś, co byśmy mu podrzuciły do kieszeni albo torby, żeby wiedzieli, gdzie go znaleźć, kiedy odejdzie - oznajmiła Iris. - Takie coś do namierzania. Powiedzieli, żebym to zrobiła rano. - Spojrzała na nich i dodała, siląc się na uśmiech: - No i już! Nic nam nie przyjdzie z kłótni!

Lal zobaczyła samą siebie, jak wchodzi do pokoju ojca, ale zamiast go okraść, mówi: „Pomóżcie, Marek chce odejść”, i wydało się jej to tak prawdopodobne i klarowne, jakby nadal mogła to zrobić. Z oczu polały się jej gorące strumienie łez. Puściła dłoń Uny, ukryła twarz w dłoniach, bo teraz bała się Uny, bała się każdego, kto słusznie odgadnie, że to jej wina - ale zwłaszcza czuła strach przed Uną... i Sulienem.

Una zamknęła oczy, z tępym, nieomylnym wrażeniem, że wreszcie stanęła na twardym gruncie.

- Kiedy to było? - spytała głośno.
- Nie... nie wiem - wyszeptowała Lal.
- Ale nie mniej niż godzinę temu?

Niemożliwe, żeby zabójcy zwlekali tak długo.

Una pokiwała głową; z niej także los kpił, podsuwając pragnienie zmiany tego, co się tak niedawno wydarzyło, kiedy to stali razem przy rzece. Ale czuła, jakie to odległe i niemożliwe do zrealizowania. Nie pomyślała: gdybym mogła to zmienić, ale chciała jakoś usunąć samą siebie ze wspomnień i zastąpić kimś innym, kto by pokręcił głową, kiedy Marek spytał: „Mam sobie iść?”, i pocałował go jak należy albo przynajmniej coś powiedział.

Niemal pomyślała, że zamiast tego mogła się po prostu na niego rzucić, nie zwracając sobie głowy okazywaniem czułości, po prostu go przygniść do ziemi, tak jak tego pierwszego dnia na ulicy.

W miejscu, którego dotknął, zapiekła ją skóra.

Ziyę postawiła Pyrrę na równe nogi, z takim grymasem na zrytej bliźniami twarzy, że Iris krzyknęła cicho, ale Pyrra trwała jak ogłuszona w

lęklwym milczeniu.

- Co ze mną będzie? - wyjąkała cicho.

- Powiem ci, bo masz dziecko, w przeciwnym razie nie marnowałamby na ciebie ani sekundy - odparła Ziye powoli. - Zadaj sobie pytanie, czy wypuściliby cię żywą, skoro wiedziałybyś, że zabili Nowiusza. - Po tych słowach odepchnęła Pyrrę i splunęła. - A teraz idź, gdzie chcesz, byle daleko ode mnie.

Odwróciła się i zostawiła Pyrrę stojącą w milczeniu, dygoczącą.

Lal westchnęła z bólem i niedowierzaniem.

- To nie one. Nie wiedziały, co robią. To ja. Tak łatwo mogłam go zatrzymać. Och, Una... strasznie cię przepraszam.

Una spojrzała na nią twardo.

- Nie mogłaś wiedzieć - rzekła Ziye.

Ale Lal nie pozwoliła na to, pokręciła głową z rozpaczą. Nie chciała się bronić.

- Ale powinnam i to nic nie zmienia... wiedziałam tyle, że powinnam.

- Przypomniała sobie wszystkie słowa, które wtedy wypowiedziała: oni chcą cię do tego zmusić, istnieją ważniejsze sprawy od twoich uczuć... dlaczego nie posłuchała samej siebie? Tylko dlatego, pomyślała, że to wydało mi się słuszne.

Potem Una powiedziała do niej:

- On zdecydował. Nie ty. I dla niego to było słuszne. Ale dla nas słuszne było po niego iść... - Urwała, słysząc czas przeszły, nieubłagane sięgający po Marka, choć jeszcze go nie zagarnął. Wbiła spojrzenie w Lal, pociągnęła ją za rękę, wykrzesła z siebie irracjonalną nadzieję.

- Nie, jeszcze tego nie wiemy. Możemy go dalej szukać. Chodźcie, nadal jest szansa.

Tasjusz niósł mały przenośny ekran, na którym iskierka, Marek Nowiusz, zaczęła znowu płynąć na południe, jakby czując ich nadejście.

Tasjusz na ogół nie lubił zabijać, zdawał sobie jednak sprawę, że jest do tego zdolny. Miał świadomość, że gdy raz to zrobił, zmienił się tak bardzo, że nic go nie zaskoczy. Ale to było jednak coś nowego: tym razem, choć wiedział, że myśli o zamordowaniu chłopca, którego nigdy nie widział i który nie zrobił mu żadnej krzywdy, żarliwie pragnął to uczy-

nić. Szybko, ze znanstwem, tak jak zaplanował. Chciał udowodnić to, o czym sam wiedział - że jest subtelniejszy i lepszy od tych dwóch mężczyzn,

którzy mu teraz towarzyszyli, Enniusza i Ramia. Trochę się nawet bał intensywności tego uczucia, tego pragnienia zamordowania dziewczyny i starszego chłopaka, ukarania ich, choć nie mieli nic wspólnego z obecnym zadaniem.

Nie potrafił o tym zapomnieć, nieustannie płonął z wściekłości, bo jego obecne zadanie, podążanie za światełkiem na monitorze, nie wymagało prawie żadnych kwalifikacji. Enniusz i Ramio też go doprowadzali do szału, bo ich nie cenił. Wydawali mu się zbyt swobodni, za dużo gadali, za wiele czasu marnowali na głupie żarty. (Nie przyszło mu do głowy, że nie zauważał tej ich cechy, dopóki nie żartowali z niego).

Czy w ogóle potrafili strzelać? No nie, to nierozsądne, naturalnie, że tak, i to dobrze, nie ma co do tego wątpliwości. Także byli pretorianami i byłymi żołnierzami jak on, a przynajmniej tak ich ocenił. Oczywiście nie zawiodą. Ale nie byłby zdziwiony, gdyby roztrzaskali chłopcu ramię, zanim trafiliby w głowę. Rzecz jasna nie ma to wpływu na efekt końcowy, ale wziął sobie do serca instrukcję, że chłopiec ma prawie nic nie czuć, i nadal o tym pamiętał pomimo niepokojąco dojmującego pragnienia, by powoli wydusić z niego życie. Jeśli to nie on ma strzelać, wolałby się znaleźć w innej grupie i tego nie widzieć.

Rzecz jasna nie było to wojsko, nie miał stopnia, więc nie został zdegradowany, ale wiedział, że jego status się pogorszył. Enniusz, Ramio i pozostali od czasu do czasu odnosili się do niego z nieukrywanym szyderstwem. Nieustannie dręczyło go upokorzenie. Teraz żałował, że kiedy w końcu dobrnął, wyczerpany i wściekły, do małej bazy w lesie dziesięć mil na północny wschód od Athabii, nie wymyślił jakiegoś kłamstwa. Mógł powiedzieć, że niewolnicy mają lepszą technikę albo że sprawdzają wszystkich dokładniej, niż się spodziewał. Chciałby, żeby Dama i Una naprawdę znaleźli jego igły. Tak się wściekł na własną bezradność, że mógł tylko opowiedzieć, co się wydarzyło naprawdę, że wszystko zrobił jak należy, a ta dziewczyna i tak się zorientowała.

Nie uwierzyli mu, uznali, że na pewno zrobił coś tak bezdennie głupiego, iż nawet te zaszczute ofiary musiały się zorientować, a potem zabrakło mu nawet umiejętności, by poznać położenie obozu. Co za szczę-

ście, ślepy traf, że tak szybko znaleźli informatora. Dziś Ramio, wręczając mu naprowadzacz, spytał:

- Potrafisz to obsługiwać?

Nie wiedział, jaki wpływ będzie miała nieudana misja na jego żołądek. Będą musieli sobie zapewnić jego milczenie. Przez dzień czy dwa chodził z nieprzyjemną świadomością, że to akurat można zapewnić w inny sposób, ale na początku tej operacji przestał się martwić. Nie mógł się doczekać, kiedy znowu zobaczy tamtych, miał już tego dość.

- Prosto przed nami, znowu kieruje się na południe - odezwał się sucho.

- Co on wyprawia? - mruknął Ennius do siebie, nie czekając na odpowiedź, bo Marek zataczał małe kręgi, a jeszcze minutę temu zmierzał na północ ku drzewom. Tasjusz nie odpowiedział, choć to pytanie go zirykowało. Chaotyczna trasa Marka wydawała mu się całkiem naturalna. Kretynie, pomyślał, on nie wie, który kierunek jest najbezpieczniejszy. Boi się. Chce wracać.

Pokrzepiła go myśl: on doprowadzi ich do Marka, a Ennius i Ramio zajmą się resztą. Mimo to on także miał broń i bardziej mu odpowiadała niż te zatrute igły, które przyniósł do Athabii. Coś może się wydarzyć. Jeszcze miał szansę.

Dotarli na szczyt i przykucnęli, spoglądając w dół nagiego zielonego zbocza i wypatrując Marka.

Do zachodu słońca zostało jeszcze parę godzin, ale przez nisko wiszące szare chmury między drzewa przesączało się naprawdę niewiele światła. Sulien zorientował się, że Delir i Dama zostali za nim. Zatrzymał się na chwilę, uznał, że pewnie lepiej będzie, jeśli się rozproszą, a potem zastanowił się, czy idzie we właściwym kierunku. Szedł dalej i myślał, co zrobi, jeśli spotka Marka, jak go przekona do powrotu. Przedzierał się zdecydowanie. Marek będzie musiał zrozumieć, że popełnił błąd.

Obiecował sobie, że przekona Marka, powie o tych milionach osób, włącznie z Wariuszem, którym nie będzie można pomóc, jeśli Marek zginie. Jednak zawsze kończył mniej logicznie, a bardziej, jak mu się wydawało, błagalnie: „Na pewno można uratować Wariusza inaczej, wróć, a ja ci pomogę”. W pewnym momencie niedaleko między bukami zobaczył

jakąś ludzką postać przemykającą między pniami.

Na szczęście nie krzyknął natychmiast „Marku!”, bo po chwili zorientował się, że to niewielka grupa skradających się mężczyzn. Sulien zniechęcił się, po czym schował się, za pnem zbyt smukłym, by go całkiem ukryć, a w wyobraźni zobaczył natychmiastowy szczegółowy raport z własnego pojmania, przesłuchania, zastrzelenia - i za chwilę stracił ich z oczu.

Nie rozumiał, dlaczego wszyscy przemieszczali się zwartą grupą, zamiast oddzielnie przeczesywać lasy, dlaczego się nie rozglądali, bo gdyby tak czujnie obserwowali otoczenie jak on, z pewnością by go dostrzegli. A jednak szli w konkretnym kierunku, z jakąś misją. Czy śledzili Marka? Zaczął się zastanawiać, czy może byli to tropiciele umiejący odnajdywać ludzi po śladach, złamanych gałązkach, ukraszonych liściach, bo słyszał, że Terranowianie i Afrykanie tak potrafią, a przynajmniej kiedyś potrafili.

Nie wiedział, co robić. Jeśli zmierzali ku Markowi, to jak ma ich wyprzedzić? Zastanowił się, czy można jakoś odwrócić ich uwagę - wśród drzew mogliby go bez trudu pomylić z Markiem - i zaprowadzić w przeciwną stronę. Ale przypomniał sobie, co Una mu opowiedziała o szpiegu goniącym ją przez zarośla do samochodu, i wiedział, że znalazł się zbyt blisko nich i za daleko od bezpiecznej kryjówki, nie zdążyłby uciec. To by się mogło skończyć tylko w jeden sposób, i to niemal natychmiast.

Bał się także, że Delir i Dama na nich wpadną. Ale gdyby wrócił, żeby ich ostrzec, całkiem straciłby ślad zabójców.

Bezwiednie się skradał, wzdrygając się, gdy trzasnęła mu gałązka pod stopą. Przecież i tak ich nie powstrzymam, przeszło mu przez myśl. Usiłował kombinować, zaklinać, snuć przypuszczenia, że to sfuszerują, że tylko go ranią, wtedy można by...

I tak jak Wariusz w Rzymie - choć Sulien o tym nie wiedział - nabrał przekonania, że skoro może tylko obserwować, to powinien. Zapomniał o urazie do Marka, nie zniósłby widoku, jak chłopak umiera.

Enniusz spoglądał w dół przez lornetkę, Ramio trzymał karabin pewnie oparty na ramieniu, obaj byli całkowicie opanowani. Tylko Tasjusz czuł ściskanie w żołądku.

- Coś nie tak - mruknął.

Tamci pewnie uznali, że Marek ukrył się za zakrętem doliny.

Zerknęli na niego, bardziej pogardliwie niż pytająco, tak jak się spodziewał. Odchrząknął, spróbował usunąć z twarzy gniew, dezorientację i przerażenie.

- Powinniśmy go już widzieć.

- Trzymasz to do góry nogami? - syknął Ramio.

- Czterysta kroków - odpowiedział Tasjusz cicho. - Wprost przed nami.

Ramio wyrwał mu urządzenie z rąk, wbił w nie wzrok z tępyim zdumieniem.

- Skala jest właściwa? - spytał z powątpiewaniem.

Ale Tasjusz nie odpowiedział, bo nagle wszystko zrozumiał. Odebrał przyrząd i wyszedł zza drzew na sztywną trawę. Na jego widok spłoszyło się małe stado chudych owiec o wystraszonych oczkach i uciekło panicznym truchtem, który z wolna zmienił się w dreptanie. Tasjusz stał i śmiał się z nich, a w głowie mu się kręciło. Jedna owca uciekła od niego niezdarne, coś wlokąc: długą, cienką, ciernistą gałąź, która zaczepiła się o jej runo, gałąź upstrzoną podartą wełną i ciągnącą się po ziemi. I było coś jeszcze: uwiązany do gałęzi szarawy węzeł skręconego materiału. Tasjusz miał ochotę rzucić o ziemię ekranem, a jednocześnie czuł coś w rodzaju rozbawienia, prawie satysfakcji, która wkrótce zapewne rozplynie się w autentycznym strachu i niepokoju. Słyszał przekleństwa Enniusza i Ramia, gniewnie przedzierających się w ślad za nim. Tym razem nie mogą mieć do niego pretensji.

Nie musiał sprawdzać ponownie, by się upewnić, że to owca była tym poruszającym się światełkiem na ekranie, a nadajnik znajduje się w związanej koszuli.

Una biegła pod górę i czuła ból, jak ostry cierń wbity w bok; w głowie jej tętniło, ale biegła, nawet zwolnienie, by nabrać tchu, mogło się skończyć tragicznie. Przypomniała sobie ten tydzień, kiedy zaplanowała ocalenie Suliena, tę noc swojej ucieczki. Gdy postanowiła, że nie pozwoli im go zabić, że nie cofnie się przed niczym, wówczas strach o Suliena dawał się powstrzymać, mogła choć częściowo nad nim zapanować. W Londy-

nie wiedziała, co się stanie i kiedy, tu będzie wiedzieć, że nie zawiodła, że Marek żyje, dopóki nie rozlegną się strzały.

Ale nie potrafiła dotrzymać kroku Ziye, która znikła jej z oczu; Lal pędziła koło niej, dysząc i wciąż płacząc - i nagle, tuż nad obozem, pojawiła się Ziye, stała nieruchomo, czekając na nie, z Delirem, Damą i Sulienem. Lal rozpląkała się na ich widok pod wpływem nowego ataku wyrzutów sumienia. Zrozumiała, że coś się stało, wpadła w przerażenie na widok ich przygnębionych twarzy.

- Nie możecie iść dalej - powiedział Dama. - To zbyt niebezpieczne.

- Nie, to Pyrre, oni go namierzają, nie rozumiesz - wydyszała Una i spróbowała się przepchnąć między nimi.

Sulien chwycił ją łagodnie.

- Nie, czekaj. Jak go namierzają?

Delir był spokojniejszy i jakby pełen nadziei, ale teraz, gdy dręczył go niepokój, jakby się skurczył, a zmęczenie wyryło bruzdy na jego twarzy.

- Sulien uważa, że jeszcze go nie znaleźli. Może go jakoś zgubili.

- Na pewno nie znaleźli - dorzucił Sulien twardo i spróbował wyjaśnić, co widział.

W pewnej chwili wydawało mu się, że widzi podwójnie: z gwałtownych, ożywionych ruchów mężczyzn na dole zbocza odgadł, że wydarzyło się coś, czego nie oczekiwali, ale było mu w to równie trudno uwierzyć jak w jakąś katastrofę; oczy usiłowały go przekonać, że wydarzyło się to, czego się bał, usiłowały ujrzeć w kawałku płótna i długiej gałęzi zwłoki Marka.

Jeden z mężczyzn mówił chyba do radiodictionarya. A kiedy się rozdzielili, ruszył po szorstkim zielonym zboczu, z powrotem między drzewa, w dolinę, obserwując okolicę przez czarną lornetkę. Dopiero chwilę potem, gdy Ramio znowu zanurzył się w las od zachodniej strony, Sulien, leżący w bagnie i na ostrych patykach, odważył się drgnąć. Gdy usłyszał trzaśnięcie gałęzi za plecami, omal nie dostał zawału, ale to byli Dama i Delir, starannie przeczesujący las.

Początkowo nie wspomniał o tamtym kawałku materiału, bo był zbyt daleko, by rozpoznać w nim koszulę, cóż dopiero koszulę Marka. Powiedział jedynie, że tamci się rozdzielili. Trudno było mu wyjaśnić, skąd ma pewność, iż byli rozgoryczeni i rozgniewani.

Una słuchała, licząc w myślach umykające sekundy; płuca i gardło ją

paliły, ale powoli zaczął wracać jej oddech.

- A może się tylko rozdzielili, żeby go otoczyć - odezwała się. Ku jej zaskoczeniu zabrzmiało to nieprawdopodobnie.

- To urządzenie namierzające, takie jak miał Tasjusz.

- To wina Pyrry, i trochę też Iris - dodał Tobiasz cicho, stając za plecami Lal, która wyszeptała ponownie:

- To przeze mnie.

- Pyrra! - Delir próbował się z tym choć trochę pogodzić, lecz czuł się zdradzony.

- Czyli Marek znalazł urządzenie - rzekł Sulien z przekonaniem.

I tak jak wtedy, gdy Lal po raz pierwszy opowiedziała, co się stało, wszystkim zabrakło słów.

Nie mamy pewności, pomyślała Una. Jeśli to prawda, to i tak grozi mu niebezpieczeństwo. W Rzymie będzie jeszcze gorzej. Zdała sobie sprawę, że musi działać. Podniosła wzrok.

- Znowu potrzebny nam samochód. Spotkamy się z nim w Pantico-sie.

Choć tak zdecydowana i surowa, Delirowi wydała się bardzo młoda, i niemal instynktownie ją napomniał:

- Może nie być aż tak łatwo. Nie wiesz, jak go odnaleźć.

- Jeśli go tam nie będzie, pojedziemy do Rzymu - rzucił zdecydowanie Sulien.

Zanim Delir zdołał się znowu odezwać, Dama przemówił cicho:

- Umiem prowadzić.

- Tak? - spytał Delir z powątpiewaniem. - Tak daleko?

- Mogę - uparł się Dama, trochę rozzłoszczony. Zwrócił się do Uny: - I znam Rzym. Przydam się wam, jak się tam znajdziecie.

Lal na tyle doszła do siebie, że pomyślała przebiegle: och, na pewno o to chodzi?

- Znasz Rzym? - zdziwiła się Una.

- Tam się urodziłem i wychowałem - rzucił niecierpliwie. I dodał do Delira: - Może mamy powiedzieć, że to jego sprawa? Czemu nie? Niech on dba o swoje, a my o swoje, nie będziemy czekać tu na niego ani innych do niego podobnych. Mnie to pasuje. Może jednak chcesz, żeby ktoś teraz za nim pojechał? Bo jeśli tak, to powinienś powiedzieć.

Pytał z natarczywością jednocześnie pełną szacunku i nieznacznie

wrogą, przygotowany na każdą odpowiedź Delira.

- Tak - rzekł Delir, jakby przyznawał się do błędu.

- Zatem to zrobię - powiedział Dama.

Delir mrugał oczami, jakby za chwilę miał zasnąć.

- Będziecie potrzebowali pieniędzy. - Spojrzał karcąco na Lal.

Gdy Una zbierała swoje rzeczy, dokumenty, lampy elektryczne, zauważyła, że Lal także się w milczeniu pakuje; brała wszystkie te jaskrawe sukienki, które w Rzymie wreszcie przestałyby się rzucać w oczy.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Stała i patrzyła przez chwilę, ale Lal się nie odzywała. Una zastanowiła się i pomyślała: nie, nie powinna jechać, ale czuła, że nie ma prawa jej zatrzymywać.

- Musisz się chociaż pożegnać - powiedziała w końcu.

- Oczywiście - rzuciła Lal z rozdrażnieniem.

Dama i Sulien czekali na zewnątrz. Lal spokojnie podeszła do Suliena.

- Muszę jechać z tobą. - Sulien ucieszył się i zmartwił zarazem, ale zanim odpowiedział, zjawili się Delir i Ziyę z kopertami pełnymi pieniędzy, a Delir z przerażeniem ujrzał Lal z torbą na ramieniu.

- Zupełnie oszalałaś? - spytał, a niepokój dodał mu trochę energii.

- Nie - odparła Lal.

- Zachowujesz się ostatnio dziecinnie... te głupie tajemnice... a teraz chcesz uciec z domu?

W chwili gdy te słowa wyszły z jego ust, miał ochotę siebie spoliczkować. Wszyscy tu obecni opuścili jakiś dom.

- Nie uciekam - oznajmiła Lal spokojnie. - Wrócę, kiedy się dowiem, co z Markiem.

- Może nie być tak, jak sądzisz - zaczął Delir i dodał jękliwie: - Nie możesz... Ja nie... - Jak miał jednak powiedzieć, kiedy Una, Sulien i Dama stali tak blisko: „Nie możesz zrobić czegoś tak niebezpiecznego” albo „Nigdzie cię nie puszcę z tym chłopcem”, skoro tak naprawdę nie miał nic przeciwko Sulienowi. Czasami myślał zażenowany o tym, co mu powie dział. - Nic takiego nie zrobisz!

Lal patrzyła na niego cierpliwie. Na coś takiego nie było rozsądnej odpowiedzi.

- Nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz! Ale ja mam, wydaje ci się, że to będzie wycieczka do Rzymu!

- Skoro tak uważasz... - zaczęła wściekła Lal, ale z wyraźnym wy-

siłkiem zapanowała nad sobą i trwała w milczeniu.

- Tak, tak uważam! - krzyknął Delir. Zdawał sobie sprawę, że piekli się bezsensownie, ale nie potrafił się pohamować. - Więc daj już spokój i zacznij się zachowywać rozsądnie.

- Jeśli mnie nie zamkniesz na klucz, to mnie nie powstrzymasz - powiedziała Lal z przekorą, którą pewnie w nieuchronny sposób okazują rodzicom miliony dzieci. Spojrzała twardo na swojego malutkiego ojca, mniej więcej jej wzrostu, i dodała bez złości: - Nawet to nie będzie łatwe.

- Och, Lal, co ty wygadujesz!

- Samą prawdę - odezwała się Ziyee spokojnie.

Delir i Lal spojrzeli na nią z zaskoczeniem, a po chwili Lal przeszła obok ojca i niepewnie dotknęła jego ramienia:

- Do widzenia - powiedziała.

Delir stał bez ruchu; dopiero kiedy była w połowie drogi, ruszył za nią.

- Lal. Dobrze. Jedź, jeśli chcesz, ale wolałbym, żebyś zmieniła zdanie. Proszę, nie jedź.

Lal podskoczyła z niecierpliwości.

- Och! Przepraszam, ale... no, nie zaczynamy znowu.

- Słuchaj. Dobrze. Wiem, że nie jesteś głupia i zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wiem, że twoim zdaniem tak trzeba, ale proszę, zmień decyzję.

- Nie mogę; sam powiedziałaś, że powinnam go powstrzymać.

- No tak - ustąpił łagodnie, ujął jej dłonie - starałaś się. Na pewno się starałaś. A on poszedł i tak, i proszę, jak się czujesz. Co mam zrobić, żebyś została?

Lal zmięła trochę i zaczęła się wahać. Spojrzała na Suliena, ściągając usta i brwi w grymasie błagania lub żalu.

- Chcesz, żebym pojechała? - szepnęła.

- Oczywiście - odparł natychmiast z naciskiem, ale tak, że zrozumiała, iż to nie jest rada.

- Ojej - szepnęła. Znowu zapiekły ją oczy. - Chyba nie pojedę.

Sulien skinął głową i ponieważ wybierał się w długą drogę, pocałował ją otwarcie, bez ostrzeżenia, nawet bez przeproszającego spojrzenia na Delira. Był to gwałtowny, uparty pocałunek, mocne zderzenie ust i zę-

bów. Lal puściła torbę i objęła jego głowę.

No cóż, pomyślał Delir, wzruszając w duchu ramionami, upojony cudowną ulgą.

- Proszę, niech ci się nic nie stanie - powiedziała Lal, a Sulien szepnął:

- Wrócę.

Lal szybko objęła Unę, a potem znowu Suliena, i niechętnie odwróciła się od niego. Potem oparła głowę - delikatnie, lecz gniewnie - na ramieniu Delira.

Sulien milczał prawie przez całą drogę, ale tuż przed wioską odezwał się nieśmiało do Uny:

- To chyba ma sens.

- Oczywiście - odparła.

- Ale mnie chodzi nie tylko o... - Urwał, szukając słów. - Pamiętasz, jak powiedziałeś: dlaczego to, co robimy, ma mieć sens? Ja myślę, że ma, a przynajmniej może mieć.

- Żeby powstrzymać handel ludźmi - dokończyła cicho Una. - Możemy powiedzieć, że po to nas stworzono.

- Tak, możecie tak powiedzieć - niemal zaskrzeczał Dama. Ale po chwili milczenia Una spytała sceptycznie:

- Jak?

- To dopiero początek. Myśmy go mieli zrobić - powiedział Sulien.

Dama znowu przerwał ostro:

- Kto was zesłał? Los? Bóg?

- Nie. - Sulien nie dbał o to, czy to ma sens. - No tak, los, zapewne, jednak tylko dlatego, że tak postanowiliśmy, nie odwrotnie.

Dama zmarszczył brwi, ale wymamrotał tylko:

- To pewnie bez różnicy.

Szli dalej, a Sulien zmarszczył brwi, pomyślał: dlaczego on to robi? Nadal nie znosi Marka. Nie powinien iść z nami.

Jednak w Athabii musiał przyznać, że obecność Damy okazała się pomocna, bo Palben, co zrozumiałe, nie chciał się rozstać z samochodem, nawet za pieniądze, po ostatnim razie musiał go wymieniać w wielkim pośpiechu. Nie chodziło tylko o to, że Dama władał na tyle euskerą, żeby

prowadzić rozmowę. Po prostu jakoś tak czekał bezlitośnie, aż Palben się podda, co w końcu nastąpiło.

Una obserwowała Damę i pomyślała, tak jak parę razy przedtem, że on naprawdę potrafi nakłaniać ludzi do posłuszeństwa. I nie wiedziała, czy to równie dziwne jak czytanie myśli albo naprawianie chorego ciała, czy to jedynie siła woli. Zresztą co za różnica.

Marek mógł dotrzeć do Panticosy najwcześniej w pierwszych godzinach następnego dnia. Jednak czekali dużo dłużej, aż do wieczora, kręcąc się po stacji, usiłując robić wrażenie kuracjuszy, a Una ukradkowo i nerwowo badała pasażerów i wigilów. Marek się nie zjawił.

Przedział był pogrążony w mdłym świetle, otoczony ścianami szybkości i mroku, a pociąg ciął miasta i pola jak skalpel, śmigał po śliskim, naelektryzowanym powietrzu. Do następnego przystanku jestem bezpieczny, myślał Marek sennie. Nikt się nie dosiędzie. Głowa opadła mu na oparcie i nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby ją podnieść; każdy staw i napięty mięsień obolałego ciała rozluźniały się stopniowo, powolutku. Czuł się rozbity na pył, rozproszony.

Dziergany kapelusz, wciąż złożony w miękką kostkę, spoczywał na jego dłoni. Tak go niósł, albo w kieszeni płaszcza, jak talizman, począwszy od tamtej chwili w górach, kiedy odkrył to coś. Zatrzymał się na skraju lasu, zdjął torbę i poszukał mapy, potem gapił się w nią niewidzącym wzrokiem. Sięgnął po kapelusz, myśląc: ale jestem sentymentalny.

Kiedy go wyjmował, musnął palcami krawędzie małej dziurki, rozdarłej, nie, wyciętej od strony kieszeni w podszewce torby. Pomiędzy dwoma warstwami tkaniny coś było, najpierw myślał, że moneta, i chciał ją zostawić. Miała średnicę monety, lecz była grubsza. Początkowo w tym pośpiechu idiotycznie założył, że to element torby, jakieś tajemnicze, lecz konieczne obciążenie, jak łożysko kulkowe. A potem już wiedział, że nie. I wiedział, co to.

W pierwszym odruchu zamierzał to wyrzucić, pozbyć się tego jak najszybciej, jak czegoś odrażającego, gnijącego, zakaźnego. Drżąca dłoń uniosła się jakby z własnej woli. A gdyby się nie zatrzymało, gdybym potrafił to wprowadzić w ruch, przemknęło mu przez głowę.

Wydawało mu się, że minęło mnóstwo czasu od chwili, kiedy stał od-

słonięty na pastwisku i myślał, że nigdy nie zdoła się zbliżyć do tych głupich owiec, kiedy kręcił się za cholernymi zwierzakami i rzucał w nie niezdarnie koszulą niczym lassem. Prawie go to śmieszyło. I przez cały czas krzyczał na siebie: zostaw to, zostaw, uciekaj! Zdołał wymyślić tylko tyle, żeby obwiązać szyję którejś owcy skręconą koszulą z tym urządzeniem w środku. Realizacja pomysłu wydawała się dość łatwa. Ale kiedy zobaczył wlokącą się kolczastą gałąź, cisnął w nią koszulą, choć nie wierzył, że zaczepi się o ciernie, a potem że się utrzyma. I rzucił się pędem.

Myśląc o swej trasie na południowy wschód, zatoczył łuk na zachód i desperacko przebiegł dwadzieścia mil lasu, kierując się do Iluro. Wciąż usiłował zostawiać fałszywe tropy. W Iluro stał w cieniu, obserwując jasno oświetlone wejście na stację. Ktoś pewnie już na niego czekał. Żywił nadzieję, że jeszcze nie odkryli jego zamiarów, ale mieli czas, żeby wymyślić coś innego, jakoś mu odciąć drogę. Znowu mogli rozstawić wigiłów. Szukajcie samotnego chłopca, podobnego do zmarłego Marka Nowiusza. Będzie usiłował wrócić do Rzymu.

Czekał w cieniu, aż trafiła mu się grupka wychodzących na zabawę młodzieńców. Byli o parę lat starsi, ale mimo to zawołał do nich, jakby witał starych przyjaciół, i zanim okazali zdziwienie, podbiegł, spytał o godzinę, żeby sprowokować jakąś reakcję, a następnie gadał i gadał, wciśnięty między nich, a kiedy dotarli do okienka, rzucił od niechcenia: „To samo” i ruszył z nimi do pociągu. Oni wciąż byli tak zdezorientowani, że go nie odpędzali. Okazało się, że kupił bilet do Aquensium, na północnym zachodzie, całkiem nie na trasie, i dobrze. Już w pociągu, ku uldze swych nowych przyjaciół, opuścił ich zaledwie po paru milach, w Bene- arnum, i wymienił bilet na bilet do Tarby. Dopiero wówczas ruszył bezpośrednio do Italii.

Żałował, że nie może powiadomić Wariusza, co się dzieje, że nie może powiedzieć: czekaj, lecz nie na śmierć, patrz, już jestem w Nemausus.

Zdumiewające, że można pokonać tak daleką drogę w tak krótkim czasie. Pociąg zatrzymał się ze świstem w Tolosie i Marek zeszywniał, bo wszyscy wiedzieli, że już tu był, i ponieważ miasto kojarzyło mu się z Uną. Ale był tak zmęczony, że myślenie o niej działało hipnotyzująco. Bezmyślnie gładził wełnę kciukiem, aż zasnął.

XVIII

JASKINIA RĄK

Una uświadomiła sobie, że nabrała zwyczaju myślenia w kółko, wzorem Damy: „Boże, proszę”. I rzeczywiście instynktownie myślała o jednym Bogu, którym podszyte jest wszystko, cała przestrzeń, jak prawami fizyki. Tyle że o fizyce nic nie wiedziała. Podobała się jej jednak wiara w Boga, było w niej coś ostatecznego. Ten załączek modlitwy powtarzała nieświadomie, choć zdawała sobie sprawę, że każda potęga, która uratowałaaby Marka tylko dlatego, że ją o to poproszono, nie jest lepsza od tych wiecznie kłócących się bogów z Panteonu, którzy zawsze wydawali się jej lichym oszustwem. Chciała o to zapytać Damę, ale nie odpowiedział jasno i pomyślała, że mogła go obrazić.

W Panticosie było okropnie, bo nie mieli nic do roboty, nie mogli czekać na nic konkretnego, nawet na znak, że czekanie nie ma sensu. Zastanawiali się nerwowo: chodźmy, nie, mógł odpoczywać, mógł się zgubić, zaczekajmy jeszcze godzinę.

A potem znowu ruszyli i choć decyzja sprawiła im ulgę, Una odniosła niemiłe wrażenie, że jedynie odgrywają historię, którą sami sobie opowiadają, jak gdyby wydawało im się, że zachowując się, jakby Marek żył, sprawią, że tak się stanie. Panticosa została za nimi i jakoś trudniej było im rozmawiać. Una i Sulien nie mieli odwagi wspomnieć, że decyzję o wyjeździe podjęto arbitralnie, że Marek mógł się zjawić w mieście parę minut po ich odjeździe i, co gorsza, że może już jest za późno, by mogli znaleźć Marka żywego; żaden inny temat nie przychodził im do głowy.

Dama był szczególnie milczący. Jechał z bolesnym wysiłkiem, ponuro, wśród gołych zboczy gór na wschód, by w końcu skręcić na północ między sosny. Co godzina musieli robić krótki postój, żeby dać odpocząć jego rękom i by Sulien mógł rozproszyć gromadzący się w nich ból.

- Nie wiem, czy powinieneś to robić - rzekł Sulien.
- Teraz na to za późno - odparł Dama. - Poza tym nic mi nie jest.

Dla Uny był jeszcze bardziej nieodgadniony niż zwykle, to, co zaczęła uważać za lśniący pancerz ochronny jego myśli, jakby nabrało grubości. Choć jednak milczał, a ona siedziała z zamkniętymi oczami, nie mogła ani

na minutę zapomnieć o jego obecności. Częściowo chodziło o to, że wiedziała o jego bólu, ale nie tylko. Dama jakby wywierał nacisk na strukturę wszystkiego, działał siłą, szokiem, który odczuli przy pierwszym spotkaniu. Tak jakby jego atomy były cięższe niż inne.

W końcu znaleźli się tuż za pociągiem towarowym i przejechali przez sam środek Wilczego Kroku; Una mogła albo odwrócić głowę w lewo i spojrzeć na forum i oberżę z żółtą markizą nad wejściem, albo wpatrywać się przed siebie i tego nie widzieć. Spojrzała, z premedytacją, zimno, i wstrząsnął ją słaby dreszcz, a potem potrzeba odnalezienia Marka stała się jeszcze dotkliwsza, podobnie jak wspomnienie jego pogardliwego głosu, z wprawą z niej szydzącego.

Było już dobrze po północy. Parę mil za Wilczym Krokiem Dama odezwał się:

- Powinniśmy gdzieś się zdrzemnąć. Nie mogę już dziś prowadzić.

Nie, nie, jedźmy, chciała powiedzieć Una, ale skinęła głową w milczeniu.

- Znam pewne miejsce - powiedział. - W górach jest wiele jaskiń, myśleliśmy, czy tam się nie osiedlić, ale to za blisko ludzi. Nie mogliśmy im ufać.

- I słusznie - mruknął Sulien, którego w Wilczym Kroku także przeszedł dreszcz.

- Jednak dadzą nam spokój, bo myślą, że tam straszy - dodał Dama z szyderstwem.

Prowadził samochód wśród płaskich zielonych równin, teraz krzywiąc się już całkiem jawnie. Kiedy znaleźli się między wzgórzami, nagle się zatrzymał. Niezdarnie ujął za pasek lampę elektryczną i zaprowadził ich po zboczu niewielkiej, porośniętej lasem góry, przez szczelinę w skale, w głęboką czerń. Na jej dnie znajdowało się kilka płaskich wgłębień, jakby odwróconych mebli, a skalne wyrostki zwisające i wznoszące się w głębi groty, bardziej podobne do fałdów sutej draperii i grubych związanych kotar niż do kamiennych kolumn, jakby się kołysały i powiewały wraz ze światłem. Były też wyrastające ze sklepienia mineralne palce i delikatne szpikulce. Cała jaskinia była spora, jak mały dom.

- Za zimno, żeby spać - odezwał się Sulien, który dygotał. Widział w powietrzu swój skraplający się oddech.

Dama nie odpowiedział.

- Patrzcie.

Zatoczył lampą krąg, nieprecyzyjny, bo ręce znowu mu się trzęsły.

Początkowo w tym rozedrganym świetle zobaczyli tylko krwiste plamy, jak naturalne osady na jasnych ścianach, zlewające się rdzawe kleksy i obłoczki. Potem dostrzegli w tej czerwonej mgłę liczne puste obrysy: kształty rąk, rozpalone do czerwoności dłonie.

- Tysiącletnie - wyszeptał Dama. - Dlatego ludzie myślą, że tu straszny.

- O, coś takiego widziałem kiedyś w czasopiśmie... - zaczął zainteresowany Sulien, a Una przerwała:

- Palce.

Wszystkie ręce były okaleczone, obok smukłych zdrowych kciuków widać było kikuty ucięte przy pierwszym stawie.

- Tyle ich - dodał Dama tym samym zafascynowanym głosem. - Patrzcie. Ręce kobiet. Jest jedna dziecięca, ale zdrowa. Cała reszta jest okaleczona. Niektórym zostało parę palców. Jak mogli przeżyć? W tamtych czasach? Musieli przymierać głodem. Patrzcie. To prawa ręka.

Wyciągnął własną, na ile mógł, przyłożył do jednego z otoczonych czerwoną aureolą kształtów.

- Może ktoś im pomagał - odezwała się Una z niepokojem.

- Nikt nikomu nie pomagał - uciął cicho Dama, jakby tam był i wszystko widział.

- Może te palce nie są obcięte - rzekł Sulien cicho. - Mogli je podwinąć, o tak. - Podniósł dłoń i pokazał. Zainspirowała go dłoń Damy na skale, przykurczone palce.

Dama skrzywił się surowo, z irytacją. Czuł, choć nie potrafił tego wyjaśnić, że Sulien skrytykował albo wtrącił się w coś, do czego tylko on miał prawo. Wracał do tych rąk na ścianach z takim samym dziwnym uczuciem triumfu i przyjemności jak wtedy, gdy zobaczył je po raz pierwszy.

- Niby po co? To kara. Albo tortura. I chcieli pokazać, co zrobili. Dalej jest ich więcej.

Nie mieli pojęcia, że ta jaskinia ciągnie się dalej. Sulien się cofnął.

- Dalej nie idę.

Dama spojrzał na niego z lekką pogardą.

- Nie boję się ich - dodał Sulien niecierpliwie, wskazując ślady dłoni.

- Ale skąd wiesz, że ta jaskinia się nie zawali?

I choć wszedłby chętnie, gdyby dostrzegł taką potrzebę, odstraszyła go prastara czerń, nad którą znajdowały się pokłady ziemi.

- Wszystko w porządku, już tu byłem - powiedział Dama. Ale tak naprawdę nie chciał, żeby Sulien z nimi szedł, chciał porozmawiać z Uną na osobności.

- Poza tym - dodał Sulien - strasznie tu zimno, lepiej zostańmy w samochodzie.

- Wyłączyłem silnik, więc samochód wkrótce się wychłodzi. Rozpalimy ognisko. A tutaj nie będzie widać ognia.

Nie odwrócił się jednak do wyjścia, nie poszedł po drewno, ruszył ku ślepej czerni. Miał lampę i chyba tylko dzięki instynktowi ciągnącemu ją do światła Una postąpiła zgodnie z jego wolą i poszła za nim.

- Una - odezwał się Sulien ostrzegawczo.

- Wszystko w porządku - rzuciła.

Sulien przez chwilę czekał w ciemnościach. Potem wrócił do samochodu, by sprawdzić, czy pamiętali o zapalniczce, a także dlatego, że nocne niebo w porównaniu z tą klaustrofobiczną ciemnością wydawało się jasne.

Dama podał Unie lampę, żeby mogła wybierać, na co chce patrzeć, i ponieważ bolała go już ręka. Zbliżyli się do krawędzi tej czarnej równiny; wilgotny sufit, niski i najeżony szpikulcami, które zwisały tuż nad ich głowami, ciągnął się jak okiem sięgnąć; ściany znajdowały się poza zasięgiem wzroku, więc było tak, jakby znaleźli się pod kamiennym niebem, na jakimś pustkowiu o wielu warstwach, jednej nad drugą, albo pomiędzy kartami skamieniałej księgi. Wilgotna podłoga była pofałdowana jak piasek na plaży.

Una szła za Damą w dół, małym lochem czy świątynią, w której wznosiły się smukłe miniaturowe kolumny, a ściany były jeszcze gęściej znaczone czerwonymi i ciemnymi dłońmi, bezpalcymi obrysami w łukowatej alkwie, w której mógłby stać posążek domowego bożka - kciuk i dłoń delikatne, kobiece, wyłaniały się powoli z czarnego cienia.

- Dlaczego lubisz tu przychodzić? - spytała.

- Lubię? - Zaskoczyła go, nie zdawał sobie sprawy, że lubi, czuł jedynie, że to miejsce jest i powinno być ważne. - Nie wiem. Chyba... jeśli to widziałas, to wiesz... przecież wiesz... - Nie potrafił tego wyrazić słowami,

a jego uczucia nie nadawały się do wyrażania, trzeba je było brutalnie wciskać w słowa. - Bo ludzie są właśnie tacy. Zawsze byli. - Światło; poraziła nim jego tęczówki, a kiedy czarne źrenice skurczyły się i znikły, czysty kolor zalśnił jeszcze jaskrawiej niż dotychczas, jak okrągłe turkusowe płytki. Cienie w dziwny sposób nadały jego twarzy ostrzejszy i klarowniejszy wygląd niż światło słoneczne, była piękna i niedziedzina.

- Z tobą jest inaczej - powiedział. - Ty to pewnie wiedziałś od zawsze.

Czy naprawdę zawsze to wiedziała? Uśmiechnęła się niepewnie.

- Byłoby łatwiej nie wiedzieć.

- Może łatwiej, ale nie lepiej, bo kiedy już to wiesz i mówisz: tak, dobrze, tak to już jest... to stajesz się... niebezpieczna, nie fizycznie... ale zdolna do różnych rzeczy. Do rzeczy, których inni nie potrafią. Ty uratowałaś Suliena. To nieprawdopodobne. I oszukałaś tego człowieka.

- Oboje oszukaliśmy, myślałam, że się zorientuje... - zawahała się, ale dodała: - Nie zdradziłaś się, że bolą cię ręce.

- No, obojgu nam się udało, bo wiemy. Ciebie nic nie może powstrzymać. Nawet ty sama. Możesz bardzo wiele, jeśli się na tym skupisz.

- Urwał, a potem spytał: - Dlaczego to robimy?

Te słowa ją poruszyły, cofnęła się nieco wylękłona.

- Wiesz, bo byś nie przyjechał.

- Zrobiłem to, bo tak powiedziałem - odparł natychmiast.

- Nikt ci nie kazał.

- Powiedziałem, że pomogę, bo Delir tego pragnął, a ja zawdzięczam mu wszystko. I ponieważ ty miałaś odjechać.

Zapadła dźwięcząca w uszach cisza.

- Słyszałaś, co powiedzieliśmy, ja i Sulien - rzekła. - Dla wszystkich takich jak my. Oto powód.

- Tak, ale ten Nowiusz nie jest jedyną szansą, nikt nie jest. Istnieje tyle szans, ilu ludzi.

- Ale jest pierwszą szansą.

Dama pokiwał głową, nie tyle się zgadzając, ile dopuszczając taką możliwość. I zaraz spytał:

- I tylko dlatego chcesz mu pomóc?

Una westchnęła. Zaczęła się czuć jak zaszczuta.

- Dlaczego pytasz? Wiesz, ile czasu z nim spędziłyśmy w drodze do

Holzarty. To naturalne, że pragnę wiedzieć, czy wszystko z nim dobrze.

- Nie przebywałaś z nim tak długo.
- Całymi dniami - wiesz, jak to jest. Ma się wrażenie, że to długo.
- Czyli się zaprzyjaźniliście?

Una znowu przypomniała sobie Marka w Wilczym Kroku, tak doskonale udającego jej właściciela, i pomyślała znękana: jak bym mogła.

- Nie wiem - odparła.
- Ale... nie kochasz go?
- Nie - odpowiedziała błyskawicznie.

- Dobrze - rzekł Dama, równie szybko. Oczywiście to chciał od niej usłyszeć, ale nie wiadomo dlaczego czuł przymus mówienia. - Bo to by ci na dobre nie wyszło, nawet gdybyśmy go odnaleźli i upewnili się, że jest bezpieczny. Nie wiem, co do ciebie teraz czuje, ale kim byś przy nim była? Kimś gorszym, kimś dla zabawy, rozrywką, rzeczą. Czy rodzina pozwoliłaby mu na coś innego? A to by nie było wiele lepsze od tego, kim byłaś, prawda?

Nie odezwała się, nie poruszyła. I zrozumiał, że niepotrzebnie to powiedział. Ale przecież powinna wiedzieć, iż nie zamierzał jej obrazić - jak by mógł, jak by mógł? Pospieszenie zmienił temat.

- A co zrobisz potem?
- Nie potrafię myśleć o „potem”. Muszę myśleć o „teraz” - odparła automatycznie.

- Nie, musisz pomyśleć - zaprotestował. Ostrożnie podszedł bliżej. - Wróć ze mną. Pomóż mi. Możemy pomóc sobie nawzajem. Może najpierw w Holzarcie, ale później możemy jechać, gdzie tylko zechcemy, gdzie będą nas potrzebowali. Tak jest słusznie. Tak być powinno...

Chwycił ją za ramię, najpierw tylko zdrowszą ręką, i przyciągnął do siebie. Una nagle poczuła napór tych wszystkich skał wokół siebie, ich moc, trwałość. Ale w samym jej środku rozpałał się gniew, wokół którego coś wirowało, płonęło. Nie chciała stać bezwolnie, skoro nie była zmuszona.

Uniosła jego rękę, odsunęła od siebie.

- Nie. To nie jest dobry pomysł.
- Dobrze - rzekł martwo. Cofnęli się od siebie. Po paru sekundach spytał, spoglądając na blizny na swoich przegubach. - To dlatego?
- Jeśli naprawdę tak myślisz, to nie powinienesz ze mną rozmawiać.

- Zatem przez Marka Nowiusza.
- Nie znasz go. Nie powinienes o nim mówić - rzuciła gwałtownie.
- Przez niego? Powiedz.
- Tak - warknęła, jakby impulsywnie podpisując się pod czymś, czego nie przeczytała.

- Dobrze - powtórzył. Odwrócił się od światła, ukrył twarz. - No tak. Cóż. Powiedziałem, że pomogę wam w Rzymie, więc pomogę. Ale kiedy już sobie poradzicie, odejdę, rozumiesz? Nie ma sensu zwlekać.

- Wrócisz do Delira?

- Może - mruknął tępo, a potem dodał przez zaciśnięte zęby: - Nie. Nie, nie ma potrzeby, bym tam wracał. A on na pewno nie będzie tęsknił.

Dama był urażony, a Una poczuła niepokój i żal. Co to ma znaczyć? O czym my rozmawiamy? - pomyślała z niedowierzaniem.

- Nie chcę, żebyś to zrobił.

- Nie ma znaczenia, czego chcesz.

Spojrzała na niego i tylko pokręciła głową, nie mogła przeprosić, zostawiła mu lampę i po omacku wróciła w zupełnych ciemnościach, odnajdując drogę bez myślenia, dotykiem, na pamięć. Na chwilę pojawił się gniew albo to, co nazywała gniewem, i to ją zaskoczyło.

Nie chodziło o to, co jej powiedział, ani o to, o czym jej przypomniał. Chodziło o sposób, w jaki mówił o Marku - jakby to, co Marek do niej czuł, było jedynie leniwą żądzą. Może nawet tego nie zauważył.

Czy tylko dlatego potwierdziła? Bo była zła? Dama tak nie uważała, a ona nie wyprowadziła go z błędu. Zresztą dlaczego miałyby się unosić takim gniewem z powodu niesprawiedliwości, która nie mogła zranić Marka? Czy jeszcze przed chwilą nie wspominała głosu i zachowania Marka w austerii, czy nie wmawiała sobie, że nie mogą być prawdziwymi przyjaciółmi? Czy nie chodziło o ten sam - jeśli nie słuszny, to rozsądny - pogląd na sytuację?

Był niesłuszny, absolutnie, i co ją obchodzi rodzina Marka, nic do niej nie mają.

Nie, doskonale zdawała sobie sprawę, że Dama spytał ją: „Czy kochasz Marka?”. Nie pomyślała, co mówi, te słowa powinno się cofnąć, ale to było niemożliwe.

Można by pomyśleć, że ujawnienie czegoś, nadanie mu właściwej nazwy, o którą aż wyło, przyniesie spokój, ułatwi wszystko. Ale kiedy Ma-

rek tak uczynił, przekonała się, że jest dokładnie odwrotnie, że wszystko, co do niego czuła od tego pierwszego wieczoru w namiocie, a przede wszystkim ten okropny strach, że nigdy więcej go nie zobaczy, rzuciło się łakomie na słowo „miłość”.

Zamknęła oczy i zobaczyła biel, białe powietrze przy wodospadzie, chłodny pocałunek. Nadal pamiętała, co wtedy myślała, że kolejny krok unicestwiłby ją, nie potrafiła zapomnieć, że mniej więcej tak się czuła, patrząc na niego na ulicy Tolosy.

Wiedziała, że odwzajemnia jej uczucia; zdumiewające, ile osób dowiaduje się o czymś takim.

A potem, w nieunikniony sposób, jakby jaskinia naprawdę zwała się jej na głowę czarną, miażdżącą lawiną nie skał, lecz mokrej ziemi, przytłoczył ją strach i żal. Nie chciała wracać do tej sceny nad wodą, chciała zapomnieć o wszystkim; nadal nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mu to wszystko powie, ale przecież on nic nie wie, a jak ma się dowiedzieć, skoro może już nie żyje.

Ostrożnie wyciągała w ciemnościach palce i zaciskała, jakby potrafiła go tu przywołać. A czarne powietrze nagle chwyciło ją w kleszcze; nie potrafiła sobie uświadomić, czy zapamiętała, czy wymyśliła tę drogę powrotną. Niewykluczone, że poszła w zupełnie złą stronę. Nie mogła pójść do Damy po lampę. Odwróciła się i natychmiast tego pożałowała, w żaden sposób nie potrafiła ocenić, w którą stronę trzeba iść. Strach zajrzał jej w oczy.

- Sulien! - krzyknęła w panice.

- Co? - zawołał z daleka, ale to wystarczyło. Więc jednak się nie pomyliła. Pobiegła, potykając się, w stronę tego głosu, do pierwszej jaskini, gdzie nie widziała dłoni na ścianach ani nic z wyjątkiem bladego mżenia światła. Sulien szedł ku niej; znalazł zapalniczkę, ale nie było suchego drewna. Myślał o Lal. - Co się stało?

- Nie możemy tu czekać godzinami - rzuciła cierpko. - Na pewno i tak nikt tu nie zaśnie.

Gniewnie chwyciła go w objęcia i zaczęła płakać.

Sulien zakotłosał się razem z nią, wprawnym ruchem przesunął ręką po jej plecach, jak zawsze gotowy do współczucia. Wcale się nie zdziwił, nie musiał pytać, o co chodzi.

- Na pewno nic mu się nie stanie - powiedział. - Na pewno znowu się

z nim zobaczymy.

Wszędzie miasto, wszędzie tyle ulic. Marek spędził noc i wydał ostatnie pieniądze, jakie mu zostały po kluczeniu po Galii, w nędznym hoteliku w Suburze, gdzie jeszcze nigdy nie był.

Właściciel przyjrzał mu się raz i drugi.

- Pewnie wszyscy ci to mówią... ale wyglądasz całkiem...

- Jak Marek Nowiusz, wiem - rzekł spokojnie. Przyszło mu do głowy, żeby się pochylić i dodać: „Powiem ci, co się wydarzyło”, ale to by było zbyt skomplikowane, a on nie miał siły snuć opowieści. W pokoju wielkości szafy zasnął w trakcie ćwiczenia swojej przemowy, skracania jej, bo wiedział, że nie będzie miał wiele czasu. Obudził się z wielkimi, wściekle swędzącymi ukąszeniami na skórze. W łóżku roіło się od pluskiew, których ze zmęczenia nie zauważył.

Trasa przez Rzym także była zawiła; ominął wielką, gwarną stację Pola Watykańskiego i dotarł do Ostii, gdzie złapał tramwaj wracający na rzymskie przedmieścia. Przez całą drogę zadawał sobie pytanie, jak zdoła się spotkać z Faustusem sam na sam, nie natknąwszy się na strażników, i odpowiadał sobie z coraz większą, bezwzględną pewnością: nie zdołasz. Nie chodziło nawet o spiskowców, gotowych go zatrzymać, choć na pewno tam są. Nie można tak po prostu się przebić do tej lśniącej przestrzeni, w której mieszkał jego wuj, choć miało się ją na wyciągnięcie ręki.

Ale już wiedział, co zrobi, a skoro podjął decyzję, mógł prawie przez cały dzień wędrować po Rzymie jak turysta, trochę utykając po wczorajszym marszu. Strach o siebie i Wariusza dopadał go znienacka, nieregularnie. Kiedy postanowił, że działać będzie dopiero następnego dnia, nagle przyszło mu do głowy, że dla Wariusza to może być za późno: tamci zorientują się, że sytuacja jest zła, że Marek opuścił Holzartę, nie znajdą go. Wariusz zginie. Będzie to upozorowane samobójstwo, wypadek lub zabije go inny więzień - patriota doprowadzony do furii jego atakiem na rodzinę cesarską. To się może wydarzyć lada chwila.

Nie, usiłował przekonać sam siebie, na pewno nie tak szybko.

Jednak przez większą ~~część~~^{XIX} tego dnia, zamiast się bać, chodził w sensym przeświadczeniu, iż powrót tutaj powinien być niemożliwy, że zła-

mał nie tylko ludzki zakaz, ale prawa fizyki. Widział Rzym jakby w innej skali, jakby z innej perspektywy, jakby nawarstwiły się na nim pokłady czasu - o wiele dłuższego niż tych kilka miesięcy jego nieobecności. Choć każdy widok - szklana kopuła Koloseum, lśniące nad nią złote pałacowe wieże, Tyber - szarpał jego serce, nic nie wydawało się takie jak kiedyś, wszystko było powiększone lub przekrzywione, widziane pod dziwnym kątem, kipiące od jeżdżących samochodów, zabieganych ludzi, nóg gniewnie tupiących o chodniki. Orientował się, że jego miasto jest najruchliwsze na świecie, a jednak do tej pory nigdy go tak nie widział, a przynajmniej nigdy aż do dziś nie unosił się tak samotnie na fali jego mieszkańców. No bo jak by mógł? Kiedy tylko tu przybywał, ruch zamierał. Teraz sunął Świętą Drogą wśród przechodniów o dzikich spojrzeniach, niemal niepokojąc się o to, że zacznie się rzucać w oczy przez ten powolny krok, bo pomimo wszystko szedł zafascynowany. Nieustannie czuł potrzebę dotykania przedmiotów, kolumn, ścian, ciągnął ręką po gładkiej balustradzie mostu na Tybrze, gładził ją.

Jeszcze nigdy dotąd nie rozumiał z taką klarownością, jak te odmienne, a jednak znajome miejsca pasują do siebie; teraz zdał sobie sprawę, że miał skłonność do uważania ich niemal za wyspy, połączone nie odległością, lecz minutami potrzebnymi, by samochodem przejechać od jednej do drugiej: małe tunele czasu. Ale to właśnie tak trzeba było iść Via Ostia, przez Awentyn do Forum i stóp Palatynu. To było jak nagłe zrozumienie równania matematycznego, przyniosło olśnienie i zachwyty.

Nigdy więcej nie będzie mógł tego zrobić.

Wszędzie widział Unę: biorąc pod uwagę bezwzględna moc jej widma, zdolnego krystalizować się z drzew i powietrza, powinien się przygotować na fakt, że tu będzie ją dostrzegał w prawdziwych dziewczętach i kobietach, setkach, tysiącach natrętnych sylwetek, które będą mieć włosy o odpowiedniej długości czy odcieniu. To wystarczyło. Przecież tak naprawdę nikogo nie przypomina, pomyślał. Mimo to głupio, raz za razem, nawiedzała go myśl, że Una przyjechała za nim, że naprawdę jest w Rzymie.

W dodatku sam też czuł się jak duch. Stał przed ogromnym, oświetlonym centrum handlowym Saepa, patrzył na największy publiczny dalwizor świata, opinający półkolistą zewnętrzną ścianę, jarzący się kolorową pianą reklam, a potem wyświetlający wielkie jak wieżowce tancerki, roz-

pasane, a jednak zbolełe, po czym oznajmiający klientom i turystom, że następnego dnia cesarz wygłosi mowę na temat zabójstwa swego bratanka. Wszędzie wisiały czarne sztandary, jacyś nadgorliwi zwolennicy monarchii chodzili nawet w żałobie, co było dla Marka najdziwniejszym widokiem świata.

Wyszedł z oberży wcześniej, żeby na pewno dotrzeć do Forum i znaleźć dobre miejsce stojące. Do rozpoczęcia zostały jeszcze dwie godziny, ale były tu już setki osób, które wpadły na ten sam pomysł i napierały na pretorianów, by podejść do mównicy, tyle że nie za blisko, bo był to sektor zarezerwowany dla arystokracji i senatorów. Strażnicy i wigilowie stali gęsto wokół areny, zajęli miejsca na dachach okolicznych świątyń i oszklonej bazyliki. Obrzucili Marka szybkim i ponurym spojrzeniem i pchnęli go w głąb kordonu wraz ze wszystkimi, nie patrząc mu w twarz. Marek przemierzył całe Forum, starając się nie rzucać w oczy, i zawędrował do posągu skrzydlatej kobiety, utrwalonej w trakcie szarży na mównicę - Wiktorii.

Operatorzy kamer włączyli się w tłumie znudzeni. Gdzieś jakaś rodzina urządziła sobie wczesny piknik. Wnętrze wypełniało się systematycznie, aż Marek prawie stracił podium z widoku. Cesarz bardzo się spóźniał, Marek zapomniał, że ta opieszałość jest dla niego charakterystyczna, i prawie dygotał z niecierpliwości i zdenerwowania. Oparł się o cokół Wiktorii, lekko drżąc. Jak wszystko, myśl o posągu, jego skupionej minie, przypomniła mu o Unie, choć tak naprawdę bogini uśmiechała się spokojnie, mimo że uchwycono ją w ruchu.

Tym razem, z powodu zadania, które przed nim stało, ta myśl przebiła się przez skorupę rezygnacji, jaką zdołał opancerzyć się przeciwko Unie; och, przybądź, pomyślał.

Faustus nie zdawał sobie sprawy, że się spóźnia. Siedział w samym środku szeregu samochodów sunących w stronę Forum. Jakoś zapomniał, że podróż jest taka krótka, i zirytowało go, że zaraz znowu będzie musiał wsiąść.

Za świątynią Saturna, po obu stronach drogi postawiono ekrany z czarnego brokatu, osłaniające cesarską rodzinę podczas przejścia na mównicę. Makaria stała przez jakiś czas samotnie po wyjściu z samocho-

du, z roztargnieniem poprawiając udrapowany na głowie czarny szal. Gdybym miał gorszy wzrok, pomyślał Faustus, albo zapomniał, co to za okazja, pewnie bym się ucieszył, że się wystroiła i wygląda choć trochę kobieco, nawet wdzięcznie: ten szal okrywał jej sterczące krótkie włosy i maskował wojskową sztywność ramion. Ale Makaria poruszyła się i nieświadomie odwróciła, a on dostrzegł jej twarz - zapadniętą, znękaną.

Miała powody, żeby tak wyglądać. Przez cały ten czas zachowywała się - nie potrafił znaleźć odpowiednich słów - cudownie. Zadbła o wszystko, prawie nie sypiała. Kiedy on robił awanturę nieszczęsnemu pisarzowi o nieporadny pierwszy szkic jego mowy, ona spokojnie notowała jego życzenia i sama przepisała przemówienie, zanim zdołał się zorientować i warknąć, że to absurdalny wysiłek. Tak by zrobił.

Druzus starał się równie gorliwie, ale miał do zaoferowania jedynie życzliwość. Był skuteczny, tak, w usuwaniu ludzi z drogi Faustusa, i niemal nieustannie wysuwał różne propozycje, ale potem jakoś sam sobie podstawił nogę. Faustus pozwalał mu przewodniczyć różnym zebra-
niom - z wydziałem prasy, z komitetem senatorów. Druzus poinformo-
wał senatorów, że Faustus jest zbyt zajęty, by się z nimi spotkać, i że nie
dostaną pieniędzy, bo w gruncie rzeczy o to im chodziło, ale nawet nie
chciało mu się odegrać komedii z wysłuchaniem ich i zostawił ich peł-
nych urazy

i niezadowolonych, tak że Faustus musiał się spotkać niemal z każdym z nich na osobności, by jakoś naprawić sytuację, a nawet prosił o to czasem Makarię. Druzus był jednocześnie zbyt spokojny i niespokojny, albo na zmianę spokojny i niespokojny, zawsze w niewłaściwym momencie.

Faustus przyjrzał mu się i pomyślał po raz pierwszy: a teraz będziesz musiał zostać cesarzem. Jak sobie poradzisz? Nie żeby mógł z całym przekonaniem powiedzieć, iż podjął już nieodwołalną decyzję na rzecz Marka, choć przypuszczał, że tak byłoby uczciwiej przez pamięć o Leonie. Prawdę mówiąc, od śmierci brata wzdragał się przed poruszaniem tej kwestii. Wystarczyła mu świadomość, jak wiele innych osób musiało o tym rozmyślać.

Druzus najwyżej denerwował się tą małą chwilą zwłoki, kiedy zbierali się za ekranami, i - igraszka genów - bębnił i rysował palcem skomplikowane wzory na samochodzie, tak jak czasami Marek, gdy irytował się lub niecierpliwił. Ani Leon, ani Lucjusz nie mieli takiego zwyczaju. Faustus usiłował sobie przypomnieć, czy to może być cecha przekazana przez jego rodziców, ale nic nie pamiętał.

No tak, nie ma co nad tym dumać, chyba że wybierze jakiegoś senatora i przerwie linię rodzinną, lecz nie było takiej potrzeby.

Druzus trącił Makarię, najwyraźniej dla dodania jej otuchy, a ona wzięła się w garść z wyraźnym trudem.

- No tak. Trzeba to zrobić, prawda?

Powiedziała to, spoglądając na Tulliolę. Przez te ostatnie dni starała się być wobec niej uprzejma - przychodziło jej to niełatwo - i musiała przyznać, że te trudności wynikały przynajmniej częściowo z winy Tulliolii. Nie żeby Tulliola zachowywała się czy mówiła niegrzecznie, ale skąd, ale cofała się przed każdą próbą zbliżenia, prezentowała jej pełną przesadnej rezerwy wersję samej siebie. Być może Tulliola, która zawsze wychodziła z taką inicjatywą, poczuła się trochę zmrożona, widząc zachowanie Makarii. Tę można zrozumieć. Teraz stała, trzymając Faustusa pod ramię, trochę błada w tej czerni. Nie brała aktywnego udziału w przygotowaniach do... do tego czegoś, bo nie był to pogrzeb. Faustus był zadowolony, ona chyba zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo go cieszyła obecność osoby, która nie chciała rozmawiać z nim o Marku, która otaczała go spokojem nawet w tej chwili.

Powoli podeszli do mównicy, a Tulliola uściśniła dłoń Faustusa, za-

nim zostawił ją i wszedł na podium. Spojrzał w dół, gdzie - w prostokącie wolnego miejsca - powinno leżeć ciało, lecz oczywiście zobaczył tylko kolejnych widzów.

Zaczął natychmiast czytać i po wymamrotanym wstępie odezwał się w nim instynkt; zaczął interpretować przemowę Makarii, nadawać jej odpowiednie pauzy i rytm dla efektu. Nie przyszłoby mu do głowy nazwać tego wystąpienia nieszczerym, zgadzał się z tymi słowami i z im większą mocą mówił, tym bardziej nabierał przekonania, że o to dokładnie mu chodziło, że brzmia właśnie tak jak trzeba.

Marek zauważył tę zmianę i uświadomił sobie, że sam robi niemal dokładnie to samo: czeka na właściwy moment tego przemówienia, na chwilę, kiedy zaaplikowany wstrząs wywrze największy efekt.

- Nie muszę powtarzać wam straszliwych wieści, które dotarły do nas przed trzema dniami. Chciałbym móc powiedzieć, że ulgę przynosi nam świadomość, iż nie tylko moja rodzina, lecz cały rzymski świat podziela naszą rozpacz i wstrząs. Spieszę wyrazić wam wdzięczność, że wraz z nami staracie się pogodzić z zaistniałą sytuacją. Tak trudno jest zrozumieć, że takie tragedie mogą następować jedna po drugiej. Nie można pojąć, że osoba zdolna odebrać nam Marka Nowiusza w tak młodym wieku, a jemu wydrzeć przyszłość, która niewątpliwie byłaby...

Marek wzdrygnął się, słuchając tych słów. Sięgnął na skraj cokołu, poczuł dreszcz autentycznej, niekłamanej tremy, podciągnął się na piedestał posągu, przywarł do brązowego ramienia, brązowej jedwabnej draperii.

Faustus ciągnął jeszcze przez chwilę, uparcie odczytywał tekst z kartki, nie spoglądając na chudą postać, wyłaniającą się na skraju jego pola widzenia jak robak z ziemi, wspinającą się po posągu jak po drabinie, wierzgającą i kołyszącą kończynami jak dziecko czy akrobata. Poczul zainteresowanie: Co to znowu za głupie figle? Czy chce we mnie wymierzyć broń? Bardziej zajmował go jednak palący rumieniec na własnej twarzy, kiedy usiłował gwałtownie opanować skrępowanie tą sytuacją, podjąć decyzję, czy przerwać i zaczekać, aż ochrona rozwiąże problem, opanować gniew na niestosowność tej sytuacji.

Mężczyzna, czy może chłopiec, krzyczał coś, co nie od razu przebiło się przez jego przemówienie.

- Wuju!

W chwili gdy Marek znalazł się nad głowami gawiedzi, oddział wigilów zaczął się przedzierać w jego stronę, pewnie wyłącznie po to, by pochwycić wrzeszczącego młodzika, chuligana, ściągnąć go na dół i odprowadzić. Marek niezdarnie wspiał się jeszcze wyżej, wczepił się w twarde, rozłożone skrzydła bogini.

- Jestem Marek Nowiusz Faustus! Wuju! Spójrz na mnie.

Faustus nie usłyszał od razu. Prawdę mówiąc, to reakcja ludzi wokół i za jego plecami sprawiła, że usłyszał te słowa wiele sekund po tym, kiedy naprawdę rozbrzmiały. Obejrzał się, znowu spojrzął na chłopca na posągu i zobaczył, że Druzus unosi rękę do ust, Makaria kręci głową i szepcze: to niemożliwe. Odwrócił się ponownie, spojrzął na... na co? Właściwy wiek, właściwy kolor włosów... powierzchowne podobieństwo, które nie musi nic znaczyć.

- Kiedy miałem dziesięć lat, przekupiłeś mnie, żebym nie mówił ojcu, iż to ty stłukłeś tę maskę z Meksyki.

Faustus nie zauważył własnej ręki, która sztywno zmiotła z mównicy papiery.

Ale Marek nie tylko z Faustusem chciał rozmawiać. Wychylił się niebezpiecznie z ramion posągu, by spojrzeć w oczy ludziom poniżej.

- Hej! Odwróćcie kamery w tę stronę. Rzymianie! - Jakie to dziwne, użyć tego słowa z wykrzyknikiem, ale zadziałało, wigilowie nie mogli do niego dotrzeć, bo nie tylko oni parli w stronę posągu, cały tłum zaciskał się wokół niego.

- Rzymianie! Spójrzcie na mnie, bo jestem dowodem na to, że was okłamano. Prawdą jest, że ludzie, którzy chcą, byście uważali Wariusza za mordercę, to zabójcy moich rodziców i Gemelli Pauliny... musiałem się przed nimi przez ten czas ukrywać. Wuju, oni cię otaczają...

- Marku! - krzyknął Faustus w chwili, gdy wigilowie zaroiłi się wokół cokołu. Chciał zbiec z mównicy, ale pretorianie go przytrzymali - być może słusznie, bo tłum oszalał, a jego okrzyk jeszcze bardziej rozpalil to szaleństwo. Zerwał się pełen niedowierzania ryk, miejscami przechodzący niemal w radosne okrzyki, a także protesty, kiedy funkcjonariusze zaczęli odrywać Marka od posągu, tak że jeśli nie ześliznąłby się do ich stóp, musiałby runąć na ziemię.

Kiedy znalazł się na dole, omal go nie stratowano, tak żarliwie gapie pragnęły go zobaczyć, dotknąć, jakby był złudzeniem wzrokowym czy

hologramem. Klepano go radośnie, chwymano za ręce, mierzwiono mu włosy. Nie opierał się, nawet prowokował te gesty, ścisnął dłonie, wyrwał się wigilom, by spoglądać w kolejne twarze.

- Zapamiętajcie Wariusza. Pamiętajcie, że mnie widzieliście.

Wszyscy usiłowali uspokoić Faustusa.

- Panie, twoje bezpieczeństwo...

Nie widział już Marka, usiłował śledzić ruchomy tłum, ale nie mógł, przeszkadzała mu własna gwardia. Odrzucił ich, ryknął:

- Co robicie, do pioruna! Czy nie mogę chodzić, dokąd chcę? Myślałem, że jestem cesarzem!

Wtedy falujący tłum ludzi znikł. Na zewnątrz nadal trwały wrzaski i tupot, ale w chwili gdy drzwi furgonetki trzasnęły, Marek poczuł się zmieniony, pomniejszony w tym niewielkim pojeździe. Tak jakby przed chwilą był starszy, sławny i miał władzę, a teraz znowu stał się zmarnięty, bezsilny, młody. Liczył na to, że nie widać dreszczy, które go przeszywały. Patrzył w milczeniu na funkcjonariuszy, którzy gapili się na niego okrągłymi oczami, i przekonywał siebie: teraz tego nie zrobią, zapobiegłem temu, nie mogą mnie zabić. Wszystko potoczyło się mniej więcej zgodnie z jego oczekiwaniami.

Ale otoczył się ramionami, jakby zrobiło mu się zimno. Jeśli postanowią teraz coś mu zrobić, to jest sam, zamknięty z nimi, i cokolwiek się wydarzy, nie będzie miał na to wpływu. Nie pozostało mu nic do zrobienia. Wykonał cały plan.

Wigilowie nie wiedzieli, co z nim począć. W końcu zaczęli się do niego zwracać „panie”, szorstkim tonem, lecz pełnym ostrożności, który można było odczytać także jako ironiczny, zależnie od rozwoju sytuacji. Furgonetka ruszyła.

Faustus, sfrustrowany i przejęty odrazą, gwałtownie zszedł z podestu i ruszył między ścianami czarnych ekranów.

- Co to ma być? - warknął. - Dokąd go zabrali?

Przez chwilę nikt nie wiedział. Pretorianie i wigilowie byli zajęci oprowadzaniem tłumy: z Forum rozprzestrzeniały się już fale chaosu, płynęły też do środka, gdy zaczęli sunąć ludzie, którzy właśnie zobaczyli wszystko na publicznych dalwizorach. Niepohamowane fale ciekawskich. Już aresztowano kilka osób, odjechała niejedna furgonetka.

Makaria musiała odejść i na chwilę oprzeć się o jeden z samochodów.

Twarz ukryła w zgiętym ramieniu.

Glaukon rozmawiał z kapitanem pretorianów.

- Czy cesarz może bezpiecznie wrócić? Czy to pomoże? Najjaśniejszy panie, gdybyś wrócił i przemówił...

- Nie zrobię nic, dopóki ktoś mi tego nie wytłumaczy - warknął Faustus i założył ręce na piersi. - Ty! Wiesz, dokąd go zabrali, czy nie?

- Muszą go zawieźć na posterunek - odpowiedział kapitan z wahaniem - i sprawdzić... a jeśli... - Zmarszczył brwi i nie skończył zdania. - No, jeśli to był żart, pewnie przetrzymają go przez noc i wypuszczą.

- Co proszę?

- Ale to nie mógł... - szepnęła Tulliola. - Nie wiemy, kto to był...

Faustus powiódł po nich spojrzeniem. Potem odezwał się powoli i złowrogo:

- Sprowadzić tu Marka. Chcę go natychmiast zobaczyć.

I tak jak sobie życzył, wszyscy ucichli.

- Oczywiście - powiedział Glaukon.

Marek myślał, że zatrzymali się na posterunku, ale nikt nie otworzył drzwi, a po chwili znowu ruszyli.

- Dokąd jedziemy? - spytał.

- Do szpitala.

- W porządku. - Zaniepokoił się trochę bardziej, choć zabrzmiało to nawet sensownie.

Potem wigilowie zaczęli sprawdzać, czy naprawdę jest Markiem Nowuszem Faustusem Leonem. Po tak długim ukrywaniu się Marek miał wyjątkowe opory przed wyjawieniem im czegokolwiek, ale nie było powodu, dla którego miałby milczeć. Spokojnie opisał komnaty w pałacu, we własnym domu, opowiedział im o cesarskiej wizycie w Terranowie sprzed dwóch lat. Poczuł, że brzmi wiarygodnie.

- W porządku. - Nie mieli żadnego sposobu, żeby stwierdzić, czy nie zmyślił wszystkiego. - A gdzie byłeś? - Znowu ten agresywno-uprzejmy ton.

Tego nie mógł już wytrzymać.

- Najpierw wolałbym opowiedzieć o tym wujowi - wymamrotał.

W Eskulapii oczywiście wszyscy pytali go o to samo. Wąska wyspa była z obu stron połączona mostami z miastem i wydawało się, że bardziej ją osłaniają przed olbrzymim Rzymem pinie niż sama rzeka. Esku-

lania była małym, eleganckim i lśniącym szpitalem, przeznaczonym dla zamożnych obywateli. Ludzie chorzy i kalecy wydawaliby się tutaj nie na miejscu, i rzeczywiście, choć musieli się tu znajdować, Marek ich nie dostrzegł. Zaprowadzono go na piętro do gabinetu, a potem do pomieszczenia wyglądającego jak zwykła sypialnia, z trzema wyściełanymi krzesłami i biurkiem. Łóżko wyglądało, jakby znalazło się tu przypadkiem. Markowi wydawało się, że słyszy niemal nieustanny zgrzyt przybywających pojazdów. Zamykał się w sobie. Coraz trudniej było mu się nie wycofywać w nieprzyjazne milczenie, nie odmawiać wszystkim prośbom. Nie chciał przyjąć żadnego pożywienia ani napoju. Pielęgniarki namawiały go, żeby się położył lub przynajmniej usiadł, ale on stał, dystansując się od wszystkich i obejmując się rękami.

Personel uwierzył bez oporu, że Marek naprawdę jest Markiem Nowiuszem. Jego obecność nie wytrąciła tu nikogo z równowagi tak jak wigilów, a przynajmniej wszyscy umieli się zachować. Pielęgniarka i doktor naradzali się nad nielicznymi zdjęciami jego twarzy, a także Faustusa, Leona i Druzusa, porównywali rysy.

Te zdjęcia nie pochodziły z arkuszy wiadomości... skąd je wzięli, z pałacu?

- Czy cesarz wie, że tu jestem? - spytał.

- Na pewno - odpowiedziała kojąco pielęgniarka. Przyglądała się dolnej części jego twarzy, co go wytrącało z równowagi, a potem przenosiła wzrok na zdjęcia. - W twoim wieku twarz potrafi się tak szybko zmienić.

- Jak długo to potrwa?

- Proszę, usiądź. To trudne, kiedy tak krążysz. - Marek nieufnie zbliżył się odrobinę, ale nie usiadł. - To bardzo ważne, żebyś wyjaśnił, gdzie byłeś tak długo.

- Wyjaśnię to potem. Nie chcę narażać ludzi, którzy mi pomogli. - Przestraszył się, że nawet tego nie powinien był mówić.

- Na co miałbyś ich narażać?

Nie odpowiedział.

Te przesłuchania ciągnęły się w nieskończoność. W przerwie, kiedy go zostawiono, wykradł się na korytarz, początkowo tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie został zamknięty na klucz. Dotarł do podestu, gdzie znajdowało się okno wychodzące na drogę przed budynkiem. Tak, funk-

cjonariusze, którzy go tu przywieźli, nadal stali na dworze, i przybyli kolejni, kręcili się przy moście. Na jego oczach podjechała furgonetka pretorianów. Przypomniał sobie, że jeśliby Faustus miał przyjechać, takie postępowanie byłoby konieczne - zwłaszcza gdyby uwierzył w to, co Marek wykrzyczał do niego na Forum. Ale nie sądził, żeby mógł uciec, zresztą po co. Wrócił na korytarz i zapuścił się trochę dalej. Mijał inne pokoje i w końcu przez uchylone drzwi zobaczył jakiegoś pacjenta, staruszka w haftowanym złotem szlafroku. Siedział na łóżku, kaszląc i łypiąc spod łba. Marek znalazł następne okno, z boku. Drzewa zasłaniały ziemię, więc nie dostrzegł, czy stoją tam jacyś funkcjonariusze. Na próbę, tylko dla sprawdzenia, czy to możliwe, pociągnął za klamkę. Okno się nie otworzyło. Zresztą po czym miałby zejść na ziemię?

Pielęgniarka, która porównywała jego twarz z fotografiami, dostrzegła, co robi. Marek odskoczył nerwowo od okna.

- Możesz zaczekać w swoim pokoju?

Odprowadziła go. Po chwili do pokoju wszedł inny, być może ważniejszy lekarz, mający zjeżone włosy ufarbowane w borsucze czarno-białe pasma.

- Czy przez całą swoją nieobecność byłeś zdrowy? - Marek skinął głową. - Nie chcesz powiedzieć nikomu, dlaczego zniknąłeś?

- Powiedziałem wszystkim.

- Wierzysz, że twojemu życiu zagrażało niebezpieczeństwo?

- Tak.

- Ale nie ze strony Kajusa Wariusza?

- Nie! - Już to przerabiali.

- A Leon i Klodia Aurelia... wyrazi współczucia... powiedziałeś, że twoim zdaniem zostali zamordowani.

- Tak.

Lekarz pokiwał głową machinalnie.

- Czy kontaktowałeś się z kimś chorującym na poważną chorobę, powiedzmy tyfus czy suchoty?

- Nie sądzę. Wiem, że nie jestem chory. Już to komuś mówiłem. Dwa razy. Czy mogę odejść, czy też cesarz do mnie przyjedzie?

Lekarz coś zapisał.

- Tak, przyjedzie. Czy brałeś udział w bójkach?

- Tak, ale przed wieloma miesiącami.

- A urazy głowy podczas walki?
- Nie. To znaczy na twarzy, ale to się zagoiło wieki temu - rzucił niechętnie.

Lekarz wstał; Marek instynktownie się cofnął, żeby zachować dystans.

- Muszę zmierzyć ci puls - wyjaśnił doktor cierpliwie.
- Nie - sprzeciwił się Marek. - Już to zrobiono.
- Trzeba zrobić znowu. - Postąpił krok naprzód.
- Nie - rzucił Marek. Nieufność, którą czuł od chwili przybycia do szpitala, nagle buchnęła jak płomień. Spojrzał na drzwi, ale przez jedną decydującą sekundę obezwładniła go myśl, że nie zachowuje się racjonalnie, nic się przecież nie stało, nie można uciekać z pokoju ani rzucać się na ludzi tylko dlatego, że nas zdenerwowali. Doktor skoczył, już nie spokojny ani przymilny, całym swoim ciężarem przygniół Marka do ściany, a potem błyskawicznie odgiął nadgarstek i coś ukrytego pod mankietem wysliznęło się, gotowe do użytku. Marek szarpnął się w bok, starając się wyrwać rękę, wierzgnął, odepchnął dłoń doktora - ale nie było czasu, to nie była prawdziwa walka, tylko jeden mały ruch, który - poczuł to z zimnym niedowierzaniem - już został wykonany. Lekarz puścił go i znikł z pokoju, a Marek stał dalej pod ścianą, przyłożywszy dłoń do miejsca, gdzie zimna igła przebiła się przez rękaw, przez skórę.

Pomimo gniewnego zniecierpliwienia Faustusa czekali całą godzinę. Wszyscy byli prawie chorzy ze zdenerwowania. Nie mogli uwierzyć, że ktoś, kto miał być martwy, tak naprawdę żyje. To było uczucie silniejsze i bardziej osłabiające, niż Faustus sobie wyobrażał. Tylko upór nie pozwalał mu zwątpić, że ten chłopiec to rzeczywiście Marek. Wszyscy byli szarzy na twarzach i zbolali. Zebrali się w gabinecie w Złotym Domu, gdzie personel i rodzina cesarska pospołu wisieli na daldictorach i miotali się gorączkowo, tym bardziej że Faustus nieustannie mówił:

- Przysięgam, lada chwila zacznę wydawać wyroki śmierci...

Bo wydawało się, że Marek albo nie dojechał do żadnego posterunku, albo jeśli dojechał, ktoś natychmiast odesłał go gdzieś indziej. Dotarcie do ludzi, którzy mogliby to ustalić, musiało potrwać - zupełnie normalna, dająca się przewidzieć procedura - ale ponieważ nadal zajmowali się

chaosem panującym na Forum, byli niedostępni.

Makaria zatrzymała się w pędzie od jednego daldictora do drugiego.

- Tatusiu, pogarszasz tylko sytuację! Nawet jeśli to on, skąd wigilowie mogą to wiedzieć, co mogliby zrobić?

- Dlaczego ciągle powtarzacie, że to może nie być on? - Faustus zastanowił się. - I o czym on krzyczał... czy ktokolwiek sprawdził, czy ten, jak mu tam, oskarżony o jego zamordowanie jeszcze żyje?

- Nie wiem! - Makaria uciekła do prywatnego gabinetu.

- Powiedział, że ktoś zabił Leona i Klodię - dodał Faustus.

Wówczas Tulliola, wstrząśnięta jak nigdy dotąd, zawołała przez cały pokój:

- Znaleźliśmy go, Tytusie! To naprawdę on.

- Wiem - rzucił Faustus bez zastanowienia.

- Na wyspie, w Eskulapii. - I dodała niemądrze, chcąc go uspokoić: - Tam jest bardzo przyjemnie.

- To niespełna miłą stąd, dlaczego tak długo się tego dowiadywali?

I dlaczego jest w szpitalu? Czy coś mu dolega? - dopytywał się Faustus, choć prawdę mówiąc, nie widział zbyt wyraźnie Marka, a teraz przypomniał sobie, że chłopak sprawiał wrażenie wynędzniałego.

- Chyba musieli się upewnić, czy wszystko z nim w porządku - rzekła Tulliola słabo. - Prawdopodobnie musieli go gdzieś zabrać. Ale przypuszczają zapewne, że to on.

Faustus znalazł się w Eskulapii w ciągu kilku minut.

Gdy wbiegał po schodach, pretorianie trzymali się z boku. Do doktora o kasztanowej brodzie, który wyszedł mu na powitanie, rzucił:

- Jest zdrow, prawda?

Doktor uklonił się, być może dla zatuszowania chwili milczenia. Faustus i tak ją zauważył.

- Wydaje się... bardzo niespokojny. Najjaśniejszy pan powinien się z nim spotkać, zanim porozmawiamy. Oczywiście dołożyliśmy wszelkich starań, by ustalić jego tożsamość, gdyż nie chcieliśmy marnować czasu najjaśniejszego pana, gdyby nie był to jego bratanek.

- Wiem, że to Marek.

Doktor skinął głową z żalem, który Faustus dostrzegł, i zaprowadził go na górę.

Marek stał sztywno na środku pokoju. Zwrócił twarz ku drzwiom, ale

nie spojrzął na wchodzącego Faustusa, tylko powiódł niewidzącym wzrokiem i znów spojrzął w dół i w lewo, nie w podłogę, nie na coś konkretnego.

- Wuju - odezwał się sztywno.

- Marku - szepnął Faustus. - Co się stało, gdzieś ty był?

Objąłby go i początkowo nie wiedział, co go powstrzymało.

Marek cofnął się, usztywnił ciało, jakby chciał się cofnąć ze wstrętem. Cesarz dostrzegł, że Marek drży, jeszcze nie widział, żeby ktoś tak dygotał, a jednocześnie na jego zbielełej twarzy malował się wystudiowany spokój, zachowywany dzięki jakiemuś przerażającemu wewnętrznemu napięciu.

- W Galii - rzucił Marek zwięźle. - Możemy pojechać gdzieś indziej?

Ku jego przerażeniu zza pleców Faustusa wyłonił się doktor o borsuczych włosach.

- Najjaśniejszy panie - powiedział - niestety, pielęgniarka widziała, jak usiłował się wymknąć przez okno.

Po paru pierwszych minutach jakiegoś hipnotycznego oczekiwania, podczas którego nie mógł się ruszyć, Marek znowu rzucił się bez tchu po schodach. Spoglądał na mijanych lekarzy jak przez grubą szybę, nie wiedział, do kogo może się zwrócić, jak ma wyrazić, co się stało.

Inna pielęgniarka, tym razem starsza, rzuciła:

- Jeśli łaska, tu są pacjenci - a potem, na widok jego twarzy: - Co się stało?

- Proszę - wyszeptał - proszę, pomóż mi, ci lekarze, ten z siwymi włosami...

- Który?

- To nie może być prawdziwy lekarz. Proszę, on mi zrobił zastrzyk...

- Tak - powiedziała rzeczowo, pomijając kwestię nieprawdziwego doktora. - O, czujesz się trochę dziwnie? Nic takiego. Na pewno zaraz zacznie działać. Może teraz wrócisz i się położysz?

- Nie, nie rozumiesz, to nie lekarstwo... - Usiłował zaczerpnąć oddechu i opowiedzieć wszystko jak najspokojniej - okazało się, że zaskakująco trudno jest powiedzieć „to chyba była trucizna...”. - Nie - rzekł Marek, widząc jej spojrzenie, słysząc swój słaby głos. Spróbował jeszcze raz. -

Słuchaj... proszę... to chyba ktoś, kto nie powinien tu być. Jest... wysoki, nie ten z brodą. Włosy ma nie siwe, tylko takie... jakby w pasy... - Usiłował opanować myśli, sporządzić wierny opis, ale nie potrafił przypomnieć sobie wyglądu tamtego człowieka.

- No, tak wygląda wielu lekarzy - odparła.
- Ale on nie był, nie mógł...
- Wracajmy na górę - powiedziała.

Rozejrzył się w desperacji za jakąś drogą ucieczki. Nie widział sposobu ubrania swych podejrzeń w takie słowa, żeby zabrzmiały wiarygodnie, na pewno nie tutaj. Dziwne, że ludzie na Forum mu uwierzyli, ale tu światło i te ceglane ściany wysysały wiarygodność z jego słów. Jeśli zacznie się opierać, jeśli ucieknie ze szpitala, jeśli postanowi powiedzieć komuś innemu, nic nie zyska. Nie rozumiem, dlaczego do tego doszło, pomyślał. Za chwilę będzie mi musiała uwierzyć.

Pielęgniarka zmierzyła mu temperaturę, która najwyraźniej była w normie. Kiedy zrobi się gorzej, kiedy stanie się jasne, że jego stan się pogorszył, albo może jeśli Faustus przybędzie szybko, nadal będzie miał szansę. Chciał błagać pielęgniarkę i lekarza, którego wezwała, żeby nie zostawiali go samego. Wspomnieli, że mogą mu dać coś na uspokojenie, ale na razie nie chciał. Obiecali, że wrócą szybko, i poszli.

Marek usiadł, znowu czekał i cały czas dygotał.

Wybacz, Wariuszu...! I ponownie ogarnęło go niedowierzanie, czy naprawdę... czy naprawdę będzie musiał już umrzeć. Wtedy stanie się jasne, że mówił prawdę, tylko co to za pociecha. Nie wiedział, czy to brzęczenie, to dygotanie serca, było pierwszym objawem działania narkotyku, czy tylko skutkiem przerażenia.

Ściany, a raczej ślady po pędzlu w kremowej farbie, zaczęły go jakoś fascynować, stały się tak zaskakująco wyraziste, aż rzucały cień. Potem się rozkołysały, delikatnie i regularnie, jakby wietrzyk wiał przez jasne łany albo kołysał piórkami jakiejś organicznej tkanki, jak rząski w drogach oddechowych.

Przez krótką chwilę wydawało mu się, że to mniej więcej normalne, miał zbyt wiele innych zmartwień. A ponieważ to samotne czekanie było nie do zniesienia, zaczął myśleć o Sulenie, z żalem: to było co innego, stanowiliśmy parę prawdziwych przyjaciół. No cóż, żegnaj.

A potem w następnym spazmie protestu - ależ to nie ma sensu - po-

myślał przez sekundę, że zgubił ten wełniany kapelusz, którego pilnował przez całą drogę. Ale kiedy sobie uświadomił, że nadal ma go w kieszeni płaszcza wiszącego na jednym z krzesel, nie odważył się na niego spojrzeć, bo wspomnienie Uny wyciskało mu łzy z oczu. Przypuszczalnie zdołałbym to znieść, pomyślał, gdybym mógł o tym komuś powiedzieć.

Potem znowu spojrzął na ściany, początkowo z roztargnionym zainteresowaniem, które pojawiło się oprócz przerażenia. Im dłużej patrzył, tym bardziej ruch ścian wydawał się okropny, Marek nie potrafił odróżnić swojej awersji do tych rozkołysanych linii od strachu przed śmiercią, który z każdą chwilą narastał.

Usiłował wykrzesać z siebie odrobinę oporu. Pomyślał: no dalej. Dopóki wiesz, że to nie dzieje się naprawdę, dopóki pamiętasz, co się wydarzyło, nic ci się nie może stać. Skupił się na ścianie, na niewiarygodności faktu, że farba i gips mogą się kołysać. To było tak, jakby usiłował poruszyć wzrokiem przedmioty, te dygoczące linie nie miały z nim nic wspólnego, nie było powodu, dla którego miałyby spełniać jego wolę. Zamknął oczy, a jednocześnie opanowały go mdłości jak przy chorobie morskiej. Uniósł powieki i zrobiło się dziesięć razy gorzej.

Ściany zrzucały malowaną skórę, spod której wyłaniały się obdarte mięśnie. Skóra kleiła się, opierała, ale coś ją bezlitośnie zdierało. To czerwone mięso było żywe, pulsowało i ociekało krwią.

To nieprawda, wiedział, że nie. Drżał od gwałtownych mdłości. Przez sekundę sądził, że może nawet zemdleć. Zacisnął zęby: nie będzie tak słaby i przerażony, z całą pewnością stać go na coś więcej. Zmusił się, żeby podejść do ściany i położyć na niej rękę, co było straszne, dotarł tam tylko dzięki potwornemu wysiłkowi woli, dzięki obiecaniu sobie, że jeśli dojdzie, pod dłońią poczuje tylko chłodny gips.

Poczuł to coś, ciepłe i kleiste od krwi, co gorsza, wzdrygnęło się od jego dotyku i zadrżało z bólu. Usłyszał cichy oddech umierającego zwierzęcia.

Cofnął się i musiał pochylić głowę, zaczął spazmatycznie łąpać oddech. Miał wrażenie, że już nigdy nie odzyska tchu ani siły, że te kilka kroków, ten dotyk, odebrały mu wszystko. Nie zaczął wierzyć, że to rzeczywistość, ale przestało to mieć dla niego znaczenie. Nie miał na to wpływu; może zawsze już taki zostanie. Po tak długim czasie wreszcie się dowiedziałem, pomyślał, jak to jest. Zaczął sądzić, że skoro nie umrze,

to oszaleje, być może ten lek ma takie działanie, może obudził klątwę Nowiuszów. Jeśli będzie do końca życia widywał takie rzeczy... ta myśl była nie do zniesienia, wołałby już truciznę.

Podłoga także zaczęła się robić gąbczasta i poraniona, trudno było na niej ustać, ale nie chciał już niczego dotknąć. Jeszcze nigdy nie włożył w żadną czynność tak strasznego wysiłku, jak teraz w zachowanie pozorów normalności, choćby na tyle, by można go było wysłuchać. Ale z tego powodu nie potrafił spojrzeć na Faustusa - wiedział, że gdyby zobaczył skórę zdzieraną z żywego człowieka, pewnie zaczęłyby krzyczeć, to by była normalna reakcja, żadna siła woli by tego nie zmieniła.

- Nie mogę z tobą rozmawiać przy nim, czy możemy iść gdzie indziej?

- Co? - spytał Faustus.

- To nie doktor. Pewnie przyszedł z którejś furgonetki. Dał mi narkotyk, żebyś nie uwierzył w moje słowa. Słuchaj... - zniżył głos, ale nie ośmielił się zbliżyć do Faustusa. Powiedział z niewiarygodną ostrożnością: - Wygląda to tak, jakby się mi przydarzyła, prawda? Klątwa. Tak ci powiedzieli.

- Nie, skąd - odrzekł Faustus łagodnie, z niezmierną litością.

Marek westchnął, zniecierpliwiony.

- Na razie nic mu nie podaliśmy - powiedział doktor agent półgłosem - ale wszędzie wyczuwa zagrożenie. Robi się z nim coraz gorzej. Powiedział coś o truciznie. Już wspominał coś podobnego, prawda?

- Odejdź, wyjdź stąd - rozkazał Marek cicho, ale jego słowa i tak brzmiały jak zduszony krzyk czy skowyt. Przełknął ślinę, znowu zdobył się na olbrzymi wysiłek. - Początkowo nie rozumiałem, ale skoro wszyscy uważają, że jestem... jak wujek Lucjusz... to są prawie tak bezpieczni, jakbym nie żył. Rozumiesz?

- Rozumiem - odparł Faustus, znowu z tą łagodnością, która wycisnęła Markowi z oczu łzy bezsilności. Ściany tętniły, spływały krwią.

- Proszę, jedźmy stąd. Proszę, przynajmniej... przynajmniej powód, dla którego wróciłem... Wariusz...

- Tak, pojedziemy. Dowiem się o los Wariusza - obiecał Faustus.

Zatem się stało, pomyślał Marek. Nie ma nic więcej. Na korytarzu

rozległ się hałas, odgłosy walki, tupot. Jakaś pielęgniarka krzyknęła bez tchu, jakby się z kimś siłowała.

- Co to ma znaczyć! Nie możesz tam wejść, niech ktoś wezwie wigiłów!

- Nie, zostaw mnie, i tak tam wejdę! - rzucił ten drugi głos.

Drzwi się otworzyły. Weszła.

Początkowo nie mógł na nią spojrzeć, bo bał się, co zobaczy, ale potem nie potrafił się powstrzymać i choć nadal widział drgające wokół niej, obdarte ze skóry mięso, ona się nie zmieniła, jej twarz, jej piękne czarno-czerwone oczy.

Rzuciła się na niego, o mało się z nim nie zderzyła, ale zatrzymała się o krok, wbiła w niego spojrzenie. Potem nawet zerknęła na ścianę, na tę krwawiącą tkanekę, której oczywiście nie mogła widzieć.

- To nie jest rzeczywiste - powiedziała.

- Wiem.

- Ale nie potrwa długo - szepnęła. Odwróciła się do Faustusa i oznajmiła spokojnie: - Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale spróbuj. To podstęp; jeśli go weźmiesz do siebie, przejdzie mu. Ja to wiem.

- Skąd się tu wzięłaś? - wyszeptał.

Faustus patrzył na bratanka rozmawiającego z pustką i miał ochotę wybuchnąć płaczem. Mężczyzna o najeżonych włosach przebrał się znowu w mundur wigila, w którym tu przybył, i odjechał pół godziny temu, choć Faustus nie mógł o tym wiedzieć. W pokoju był tylko Marek i on.

Parę godzin później Agelast powiedział:

- Musimy się zastanowić, jak powiadomimy o tym naród.

- Później, na bogów - rzucił Faustus.

- Ale on mówił bardzo wywrotowe rzeczy. Martwię się, że opinia publiczna nie zrozumie, iż Marek nie odpowiada za siebie. Może... gdyby zobaczyli go w takim stanie... oczywiście tylko przez chwilę.

Faustus momentalnie go odprawił.

Dama był zły i zawstydzony, ale nie chciał się do tego przyznać. Nigdy nie powtarzał sobie tego, co wtedy powiedzieli, by sprawdzić, czy rzeczywiście się ośmieszył. Jeśli nie potrafił zapobiec samoistnemu wyświetlaniu się tego wydarzenia, to przynajmniej je kompresował, wycinał z niego dźwięk, zmieniał w miniaturowy niemy film: Una i on, w jaskini tak małej, że można by ją zmieścić w dłoniach, rozkołysane światło i ciężkie powietrze. W końcu upraszczał to jeszcze bardziej, do wymiany gestów, kiedy ona odsunęła jego dłonie, ruchami sztywniejszymi, niż zrobiła to naprawdę.

Jechał z zaciśniętymi zębami. Prawie się cieszył, że cierpi, chciał, żeby ta jazda wymagała więcej wysiłku i poświęcenia, ale kiedy zaczęła go solidnie męczyć, oczywiście złościł się na samochód, drogę i swoje ciało.

Późno dowiedzieli się o zajściu na Forum Romanum. Kiedy Marek wspinał się na posąg, masywny czarny samochód był jeszcze na nadbrzeżnej drodze z Arelas do Nicaei. Una wpatrywała się w szare morze i jechali nieświadomi niczego.

Czasami na powierzchni wody pojawiały się białe lub platynowe świetliste kręgi i jakby świeciły własnym blaskiem. Una, która od wyjazdu z Brytanii ledwie dostrzegała morze, znowu drgnęła z zaskoczenia, jakby to światło miało jakiś związek z Markiem i z nią.

A potem znowu - natłok wspomnień i domysłów, spoglądanie w morze wydawało się zbrodniczą beczynnością. Była, podobnie jak Dama, niczym odbezpieczona bomba, która zaraz eksploduje. Siedziała zupełnie nieruchomo, jakby samo poruszenie ręką mogło doprowadzić do katastrofy. Od czasu do czasu robili krótkie postoje, ale po godzinie od przekroczenia granic Italii stało się jasne, że Dama, patrzący coraz mniej przytomnie, potrzebuje dłuższego odpoczynku.

Sulien, siedzący obok Damy na miejscu, które do tej pory zajmowała

Una, czuł napięcie i ból własnych ramion; ten samochód przypominał puszkę cierpienia. Zaczął prosić, początkowo tylko z troski o Damę, potem coraz pewniejszy, że się rozbiją, jeśli ktoś nie zainterweniuje:

- Dama, stań. Proszę cię. Nie przespaliśmy jak należy ani tej nocy, ani poprzedniej, już dość przejechałeś. Stań, stój!

Czuł obecność Uny za plecami, słyszał, jak powoli wypuszcza powietrze, jak chce się sprzeciwić i sama sobie zabrania. Przez kolejne pół godziny Dama nie zwracała uwagi na Suliena, a potem na przedmieściach Genui nagle się poddał i zatrzymał na pustym zwirowanym parkingu koło portu.

- Nic mi nie jest - rzekł normalnym, przyjaznym tonem i zaraz potem zasnął. Una westchnęła z ulgą.

Wysiadła razem z Sulieniem.

- Jestem pewna, że któreś z nas mogłoby prowadzić - oznajmiła.

- No dobrze, może i tak, lecz najpierw coś zjemy.

Wiedziała, że ten postój jest nieunikniony, ale pomyślała: a jeśli właśnie w tym momencie zaprzepaścimy wszystko albo on umrze, bo zabraknie nam dokładnie tyle czasu, ile zmarnujemy tutaj? Musiała jednak wziąć pod uwagę, że być może nic się nie da zrobić. Kiedy znajdą się w Rzymie, jak mają go znaleźć?

- W porządku. - Uśmiechnęła się do niego. Czuła jednak żal.

Nie wiedzieli, dlaczego tak wiele sklepów jest zamkniętych. Unie wydawało się, że w całym mieście roi się od przeszkód, które mają ich zatrzymać. I początkowo, z powodu jakiegoś nieuzasadnionego solipsyzmu, nie zdziwiła się, że Marek jakby jest obecny na ulicach, jak pogoda albo plotka, że ludzie o nim myślą.

Wreszcie znaleźli otwartą piekarnię. Staruszek, wpatrzony ponuro w bułki, myślał nieustannie „okłamano cię”. Były tam też fragmenty pewnej sceny czy opowiadania, nie konkretne obrazy czy słowa, lecz gruzły wspomnień zbite z trzech składników: posągu, Forum Romanum, Marka! - wszystko to ciążyło ku sobie, ale nie potrafiła z nich na razie nic zrozumieć, a potem staruszek skupił się na tym, co zje, i myślał, że to niesprawiedliwe, że musi sobie sam przygotować posiłek. Una się wściekła. Miała ochotę pazurami wydrzeć mu tę myśl, ale odwróciła się, zapomniała o nim, jakby mogła znaleźć Marka w tym sklepie. Ta atmosfera była wszędzie, kłębiła się w domach, i zbyt przypominała jej własny nastrój, żeby

Una natychmiast ją rozpoznała. Było to jakieś napięcie, rozdygotanie, które pamiętała sprzed wielu tygodni, miesięcy, z dni, kiedy ogłoszono wiadomość o zniknięciu Marka Nowiusza. Jakaś kobieta biegła ulicą, żeby porozmawiać z sąsiadką, rozemocjonowana, ale i gniewna, jakby ją oszukano, i jednocześnie myślała - te myśli płynęły do Uny jak na skrzydłach - ale chudy, ale wychudł.

Una sięgnęła głodnym ruchem ku tej uldze, ale wszystko to było jak połamane, nikt nie był pewien, co się właściwie wydarzyło.

Sulien też wyczuł tę atmosferę, zanim mu o niej powiedziała. Piekarnię otworzono niedawno, ale mężczyźni na zapleczu, ładujący bochenki do pieca i ugniatający ciasto, nie spieszyli się z wyjściem do klientów ani nawet z zapełnianiem półek; chłopak, którego od czasu do czasu wysyłałi, wracał pędem do nich, do toczonych tam rozmów.

- Chyba żyje - szepnęła Una - albo żył... chyba pokazywali go w dalwizji. Wszyscy coś wiedzą.

Sulien przez chwilę na nią patrzył, a potem wszedł i zawołał do piekarzy ze śmiałością, która wstrząsnęła Uną:

- Jesteśmy od wczoraj w podróży, coś się wydarzyło?

W Rzymie, miał dodać, ale natychmiast zrozumieli. I ucieszyli się, jakby niewiedza Suliena była darem, na ich twarzach pojawiły się szerokie uśmiechy. Ruszyli ku niemu, odpychając się nawzajem z drogi, niemal gotowi walczyć o dostęp do chętnego słuchacza.

- Nie wiesz? A wiesz, że dziś była ceremonia?

- Nie - wyznał Sulien przyjaźnie. Una słuchała ich rozdarta, instynktownie czuła, że powinni być ostrożniejsi, ale pragnęła wyrwać informacje z tych mężczyzn.

- To gdzieście byli? No dobrze, pokazywali w dalwizji i ktoś wyskoczył z tłumu...

Pomocnik piekarza wpadł mu w słowo:

- Ale najpierw tego nie było widać, tylko rozległy się krzyki.

Znowu rozpętała się walka o prawo do opowiadania; w końcu zwyciężył zwierzchnik.

- Słyszało się te jego krzyki i odwrócili kamerę, i na podeście stał jakiś chłopak - to znaczy na posągu - i cesarz chyba uznał, że to Marek Nowiusz, ale... - Podniósł ręce z drapieżnym uśmiechem, kiedy Una i Sulien wymienili spojrzenia pełne nieskrywanej, niespokojnej nadziei. - Nikt nic

nie powiedział, nikt niczego nie wyjaśnił, nie wiem, jak to załatwić.

- Jak to? Co było potem? - spytała Una głośno.

- Skończyło się. Puścili muzykę.

Młodszy, którzy stali za plecami starszego piekarza, zaczęli krzyczeć oburzeni.

- Udają, że nic się nie stało! Coś się wydarzyło, a oni nie dali mi powiedzieć, o co chodzi. Wstrętne. Powiedział, że Leon i Klodia zostali zamordowani. Zawsze tak uważałem.

- No, a może to nie on - powiedział chłopiec, który do tej pory się nie odzywał.

Pozostali odwrócili się do niego, znowu jakby z radością.

- Nawet nie widziałeś. Dlaczego skończyli przemówienie? Cesarz zawołał do niego „Marku”!

- Też się mógł pomylić.

Zaczęli dyskutować z takim zapałem, że Una i Sulien mogliby wyjść niezauważeni, gdyby zechcieli. Czas strawiony na gorączkowych poszukiwaniach publicznych dalwizorów okazał się stracony, znajdowali się zbyt daleko od centrum, a kiedy w końcu odkryli jeden, mały i prywatny, w kącie cukierenki, okazało się, że tamtych wypadków nie pokazano już ani razu.

Una miała ochotę stłuc ekran, który nie chciał jej udostępnić informacji. Miliony innych ludzi widziały Marka. Oczywiście sekwencji z pogrzebu także już nie pokazywano, choć ostatecznie zdołałaby się zadowolić nawet tym, bo przynajmniej mogłyby coś ujawnić, gdyby im się przyjrzała odpowiednio wnikliwie, gdyby mogła zobaczyć jego twarz.

A jednak nie mogli się dokładnie dowiedzieć, co się wydarzyło. I choć po jakimś czasie usłyszeli kilka relacji z wystąpienia Marka na Forum, każda była inna. Wrócili do samochodu z bardzo niepewną wizją wydarzeń.

- Dotarł tu - odezwała się powoli Una - i jeszcze cztery godziny temu żył. I jeszcze... musi żyć, bo kto by go zabił po tym, co powiedział? Właśnie dlatego to zrobił. Ale z drugiej strony... dlaczego nie ogłaszają: tak, zdarzył się cud, on żyje?

- Bo to dopiero cztery godziny - odpowiedział Sulien, choć opieszałość w nadchodzeniu wiadomości trochę przygasiła optymizm, który rzecz jasna starał się z siebie wykrzesać. Mógł teraz ją zapewnić, że Ma-

rek najprawdopodobniej jest bezpieczny, ale sam nie do końca w to wierzył. - To w niczym nie zmienia naszych planów, tyle tylko, że już wiemy, iż warto jechać do Rzymu. Chciał, byśmy go tam odwiedzili. No i świetnie, tak właśnie zrobimy.

Una przyłapała się na myśleniu z żalem, że jeśli Marek naprawdę odniósł sukces, to będzie już niedostępny. Może nawet go zobaczy: zaprowadzą ją do jakiejś wielkiej komnaty - nie potrafiła jej sobie dokładnie wyobrazić - gdzie Marek będzie czekać i gdzie nie będzie można powiedzieć nic szczerze. I omal się nie rozpląkała z obrzydzenia, że tak ją drażni myśl o bezpieczeństwie Marka.

Dama jeszcze spał, ale gdy nadeszli, obudził się czujnie. Błysnął białkami oczu, a piegi na kredowobiałej skórze znowu wydały się rojem małych ciemnych ran.

- Jak długo spałem? Mogę znowu ruszać.

- Czterdzieści minut albo mniej, i nie możesz - odparł Sulien. Zaczął dzielić jedzenie. Dama przyjął swoją porcję z ociąganiem. Jego twarz skamieniała, a Sulien przypomniał sobie, że Dama nie lubi być oglądany przy jedzeniu. Jednak teraz umiał się posilać, nie zdradzając swojego kalectwa, tyle tylko, że trzymał chleb w zagłębieniu dłoni, nie między palcami, a lewy łokieć podpierał prawą ręką. Mimo to milczał i nie spoglądał na nich. Siedział sztywno, jakby postawił barykadę mającą go bronić przed wszelkimi komentarzami, choć Sulien bardziej z desperacji niż życzliwości miał ochotę powiedzieć: „Nikt by nie zauważył, gdyby nie wiedział, chyba że miałbyś taką minę”.

Opowiedział Damie, czego się dowiedzieli, bo Unie przyszłoby to z trudnością. Wyglądało na to, że ona i Dama zgodzili się rozmawiać ze sobą, ale nigdy sam na sam, zawsze tylko wówczas, gdy towarzyszył im Sulien.

Dama wysłuchał go i rzekł spokojnie:

- Cztery godziny to dużo. Powinniśmy jechać.

Sulien westchnął, bo ręce Damy zdrętwiałyby z bólu i zmęczenia zaledwie po półgodzinie i myśl o siedzeniu obok tak cierpiącego człowieka była nawet gorsza od ryzyka wypadku.

- Ja to zrobię - powiedziała Una z napięciem i przesadnie rozsądnym tonem. - Przyglądałam się. W przeciwnym razie stracimy resztę dnia, prawda?

- O cholera - mruknął Sulien ze strachem. Przeniósł wzrok z Uny na Damę, niepewny, które ma większą szansę, żeby ich wszystkich zabić, i czując, że żadne nie da się powstrzymać.

- No bo ile to jeszcze potrwa? To nieskomplikowana droga, tu skręca, a potem znowu prosto. Muszę tylko jechać.

Oznajmiła to im obu, ale Dama spojrział na nią zbyt otwarcie, gwałcąc warunki układu. W końcu powiedział:

- Pokaż, czy potrafisz objechać parking.

Samochód początkowo trochę kaszłał, potem potoczył się z wolna, niepokojącymi zrywami. Sulien jęknął.

- Cicho - warknęła Una upokorzona, ponuro i z zaciśniętymi zębami pochylając się nad dźwigniami.

- Wszystko gra - odezwał się Dama spokojnie. - Nie trzeba tak mocno naciskać, tylko trzymać. Rozluźnij się.

Una westchnęła, zmieniła chwyt na dźwigniach i przejechała wokół parkingu, tym razem bez przeszkód.

- Jeszcze jedno kółko - rozkazał Dama.

Una westchnęła znowu i ruszyła.

- Co robisz? Nie! - krzyknął Sulien, a Dama jednocześnie powtórzył:

- Jeszcze raz w kółko.

- Już umiem - oznajmiła twardo Una, sunąc w stronę drogi. Sulien bezradnie spojrział przed siebie, czekając na nieuchronną katastrofę.

Dama popatrzył spokojnie na Unę i na drogę, po czym powiedział, równie ostrożnie jak poprzednio:

- Dobrze, ale będę cię obserwować, a ty masz mnie słuchać.

Teraz, gdy Una i Dama znowu znaleźli się obok siebie, stało się całkiem oczywiste, że Dama ma okazję się odegrać, ukarać Unę. Dama okazał się - przynajmniej dla Uny - zaskakująco dobrym nauczycielem, uważnym, cierpliwym, sprawiedliwie udzielającym rad lub powstrzymującym się przed ich dawaniami. A Una także reagowała jak trzeba, najdrobniejszy dygot samochodu pod jej dłońmi szybko ustawał. Bała się jechać szybko, ale Dama powiedział:

- Tutaj jest gorzej jechać powoli. Nie stracisz panowania nad samochodem.

Toteż ruszyła z właściwą prędkością, ufnie, choć przy tym pobladła. Nadal dobrze im szło - ile daje współdziałanie. Sulien to dostrzegł i miał

ochotę błagać Damę, żeby przestał.

Po czterech godzinach Sulien zauważył - zbyt późno - że powinien się przygotować na ostatnią milę drogi do Rzymu, ale kiedy tylko uspokajał się na tyle, żeby zapomnieć, iż to Una kieruje samochodem, zaczynał się ze smutkiem zastanawiać, jaka by była ta podróż, gdyby towarzyszyła im Lal, czy złagodziłaby tę klaustrofobiczną atmosferę, którą wytwarzał Dama.

Teraz lampy i reflektory zaczęły ukazywać krzyże, cienie spłaszczone niebieskim światłem. Można by je niemal uznać za jakąś niewinną strukturę, za elementy płotu, miniaturowe pylony - lecz Sulien śledził je nie tylko z chorą fascynacją, lecz także z poczucia obowiązku. Jedynie na kilku krzyżach, tych najbliżej miasta, wisiały ciała, jak szarfy. Chyba w żadnym nie tliło się już życie.

Obrzydzenie go osłabiło. Jeszcze bardziej brakowało mu Lal - pamiętał, jak pocałowała jego nadgarstek - a jednocześnie cieszył się, że jej tu nie ma, bo wciąż jemu i Damie groziło niebezpieczeństwo. Już raz zatrzymali się na kontrolę, lecz Una pewnie odciągnęła uwagę wigilów albo od fałszywych dokumentów, albo od dziwnego widoku, jaki musieli sobą przedstawiać. Ciągłe cieszyli się wolnością.

Una miała świadomość, że wkrótce będzie musiała znaleźć jakieś miejsce, w którym przekaze samochód Damie, żeby mógł wykonać wszystkie manewry stawania i ruszania na mniejszych drogach. Sama nie czuła się jeszcze zbyt pewnie. Żałowała, że nie zrobiła tego wcześniej, chciała spojrzeć na Suliena.

- Za minutę je miniemy - rzekła cicho.

Sulien nie odpowiedział z powodu Damy, którego obecność komplikowała jego uczucia, a także z powodu troski o niego. Wiedział, choć nie patrzył, że Dama przygląda się krzyżom nieruchomym wzrokiem, nie tak zdruzgotany jak on, lecz przepełniony wstrętem. Jak to robisz? - pomyślał.

Dama, jakby w odpowiedzi, odwrócił się i spojrzał na niego przelotnie, z dziwnym uśmiechem. Częściowo było to spojrzenie przyjazne, jakby pytające: jak sobie radzisz? Lecz także wyczierała z niego lekka wyższość, jakby patrzył na nowicjusza i zdawał sobie sprawę, że wie więcej o tym, co zrobiono tamtym ludziom.

Pomimo mdłości Dama poczuł satysfakcję, że wraca do Rzymu po-

między krzyżami, że wraca tu, gdzie nie chciał się znaleźć już nigdy w życiu, jakby przybył spalić to miasto do fundamentów.

Ogarnięty mdłościami Sulien zamknął oczy i pomyślał: czy potrafiłbym tak na nie patrzeć, gdyby mnie to spotkało, czy na tym polega cała różnica? Ale oczywiście Dama kogoś zabił, i to nie jedną osobę. I Sulien pomyślał, wspominając Wilczy Krok, ja też bym to zrobił, nigdy się o to nie podejrzewałem, ale tak: wszyscy troje bylibyśmy zdolni to zrobić, ale tylko Dama...

Udawał, że wierzy, iż Marek nie byłby do tego zdolny albo że przynajmniej długo by się opierał. Jednak kiedy zostanie cesarzem, będzie musiał, nie własnymi rękami, co prawda, ale będzie musiał, nie zdoła się przed tym wybronić.

Pamiętał także, jak myślał o zabijaniu, że potem nie mógłby pozostać taki sam, i znowu zerknął na Damę, choć już nie widział jego twarzy, bo Dama spokojnie polecił Unie wprowadzić samochód w boczną uliczkę. Una przesiadła się na miejsce obok Suliena, uśmiechnęła się do niego nerwowo, a Dama powiózł ich przez przedmieścia.

Później Rzym połąkł samochód jak pigułkę. Una i Sulien sądzili, że przywykli do dużych miast, ale Rzym już na przedmieściach - choć były takie stare, i choć ta starożytność lśniła ciepłem w marmurach i rdzawych kamieniach - tętnił drapieżnym wigorem i świeżością, której Londyn nie miał; stare przedmioty były tak wypolerowane i powleczone tyłoma warstwami lakieru, że nadal lśniły.

Zostawili samochód i ruszyli piechotą do centrum, nad którym rozpięto tak gęsty namiot świateł elektrycznych, że ciemność trzymała się z dala od ziemi, a ludzie nadal roili się tłumnie jak w środku dnia.

Wszystko to uderzyło Sulienowi do głowy. Wiedział, że Una nieustannie musi myśleć: Marek tu był, Marek tu jest. Wydawało im się, że znają Forum od zawsze, ze zdjęć i dalwizji, więc zdumiało ich, że jest to również prawdziwe, namacalne miejsce. Una przyglądała się mu szeroko otwartymi oczami, zastanawiając się, gdzie stanął Marek. Dama prowadził ich, roztaczając wokół siebie aurę pogardy, którą obdarzał także Suliena i Unę, gdy przyłapywał ich na zwalnianiu przy posągach czy wieżach Złotego Domu. Czy to naprawdę element tej samej całości, te krzyże i to? - pomyślał Sulien, a Dama, maszerujący w milczeniu ku pałacowi, właściwie jakby krzyczał, że każdy kamień i szyba są winne temu

wszystkiemu. A jednak Rzym był taki piękny, tak pełen życia, że byłoby nieuczciwe tego nie przyznać. Sulien patrzył na wszystko jakby oczami Lal, myślał - choć Delir tak nieżyczliwie zarzucił córce, że chodzi jej tylko o zwiedzanie Rzymu - że byłoby nie w porządku, gdyby tu nigdy nie przyjechała, że bardzo by jej się tu spodobało.

Koloseum było mniejsze niż na zdjęciach, ale i tak potężne.

I znowu przegapili ogłoszenie wiadomości. Una zorientowała się, że rozgorączkowanie z powodu Marka, aczkolwiek wciąż obecne, przygasło, jakby przysnęło, tylko gdzieniegdzie wykwitwały gorące ogniska niezadowolenia i podejrzeń. Tym razem nawet nie starała się tego sobie wytłumaczyć, pędem ruszyli do najbliższego dalwizora.

Ekran na ścianie Koloseum zwykle wyświetlał jedynie reklamy i relacje z rozgrywek toczących się wewnątrz, nie informacje, lecz dziś pojawił się na nim tekst obwieszczenia, od dwóch godzin nadawanego regularnie w całym cesarstwie.

- Żadne okoliczności nie mogą zmącić radości cesarza z powodu na razie niewytłumaczalnego powrotu jego bratanka. Mimo to zdrowie Marka Nowiusza budzi zaniepokojenie i przez jakiś czas będzie wymagał opieki lekarskiej. Udział Wariusza w tej sprawie poddawany jest szczególnemu śledztwu.

Tylko na taką formę komunikatu zgodził się Faustus. Stali zaskoczeni, zapatrzeni.

- Jego zdrowie...? - wymamrotała Una niepewnie, przełykając strach, który już podchodził jej do gardła. - Co oni mu zrobili?

Czy tak by powiedzieli, gdyby nie żył? By potem wyjawić prawdę?

Dlaczego cesarz miałby pozwolić na coś takiego po tym, co Marek powiedział na Forum?

Sulien odczytał obwieszczenie z takim samym niepokojem. Co się Markowi stało? Potem na chłodno przyjrzał się słowom, jakby były objawami choroby.

- To znaczy, że oszalał - powiedział.

Dama marszczył brwi, wpatrzony w tekst.

- Skąd możesz wiedzieć, że o to chodzi?

Sulien pokręcił głową.

- Tak by to wyrazili. To jest zawarte w każdym słowie. Patrzcie: okoliczności. Tylko to chcieli powiedzieć, a to w zasadzie nic nie znaczy.

- On ma rację - odezwała się Una cicho. - O co innego mogłoby chodzić?

Zastanowiła się i zwróciła do Suliena:

- Umiąłbyś to zrobić... czy są substancje, które miałyby takie działanie?

- Tak - przyznał Sulien.

Una pokiwała głową i zamilkła. Po chwili dodała cicho:

- On się bał, że oszaleje.

- Wiem - rzekł Sulien.

Una jeszcze raz odczytała uważnie komunikat. Myślała o Marku bez emocji, opierając się współczuciu i żalowi.

- Świetnie - rzuciła cierpko. - Nie szkodzi. Musimy go odnaleźć.

Ale kiedy odwrócili się od Koloseum, Rzym rozjarzył się wokół nich - ogromny i nieprzyjazny. Marek wcale nie musiał tu przebywać.

- Co będzie, jeśli to potrwa dłużej? - szepnęła Una.

Sulien uciekł wzrokiem.

- Nie wiem, co zastosowali ani ile. Nie sądzę, żeby to go zabiło.

- Ale może nigdy nie dojdzie do siebie.

- Nie wiem! - powtórzył.

Jej usta ściągnęły się boleśnie na tę myśl, ale skinęła głową.

- A zatem Złoty Dom.

Wspięli się na Palatyn, podeszli aż do fasady z łukami, gdzie oczywiście roiło się od pretorianów w mundurach, z bronią. Sulien patrzył na nich i dostawał mdłości ze strachu.

A jednak nie tylko oni napierali na bramy, na tyle, na ile pozwalali pretorianie, nie tylko oni spoglądali na oświetlone latarniami pinie przed Złotym Domem. Znowu trudno było uwierzyć, że to miejsce istnieje rzeczywiście, a tym bardziej że zamieszkuje je ktoś znany i realny. Sulien usiłował sobie wyobrazić, jak Marek tu wchodzi i stąd wychodzi - i nie mógł. A jeśli Marek tu teraz jest, pomyślał, to jak się tu dostaniemy?

Una spoglądała na złoty budynek z pewną bezradnością. Był za duży i za wielu ludzi kręciło się w środku.

- Chyba go tu nie ma - oznajmiła. Badała pretorianów. - Wiedzieliby, prawda?

Ale jeśli jest, pomyślała, to się dowiem i wejdę tam, na pewno.

- Mógłby mieć dla siebie całe piętro - odezwał się Dama z niesma-

kiem. - Tylko patrzcie, jakie to wielkie!

Od razu zawrócili, jakby mieli dokąd pójść. Ale nie mieli. Szli ku Forum, lecz czuli się odsłonięci, bezbronni pomiędzy tymi gładkimi powierzchniami i tłumem. Zawędrowali trochę dalej - Una i Sulien nie wiedzieli gdzie - i przez jakiś czas siedzieli przygnębieni u stóp długich kręconych schodów. Od czasu do czasu Una z nowym ukłuciem strachu uświadamiała sobie, że ktoś się im przygląda, nie dlatego, że grupa młodych ludzi odpoczywających na schodach była tu zupełnie nie na miejscu, ale ponieważ siedzieli w bezruchu i cicho, podczas gdy wszyscy się ruszali. Wyglądali, jakby się pokłócili: ona i Sulien siedzieli obok siebie, Una z twarzą ukrytą w dłoniach, a Dama krążył wokół nich, ale trwali tak jak zakłęci, co było nienaturalne.

- Ktoś musi wiedzieć, gdzie on jest - odezwała się. - Wiele osób. Musimy się do nich zbliżyć.

- Gdzie mieszka Lucjusz Nowiusz? - spytał w końcu Sulien. - Czy mogli go tam zabrać?

Una podniosła głowę.

- Czy ludzie wiedzą, gdzie mieszka?

- Chyba na Celusie - powiedział Dama.

- A możesz się dowiedzieć?

- Ja tam... śpiewałem... parę razy. - Dama zaczerwienił się, jakby było to zajęcie absurdatne i żenujące, którego nadal powinien się wstydzić. - Ale nie w samym domu, tylko na zabawach w okolicy. Pamiętam, jak ludzie o nim mówili. Chyba jeszcze pamiętam, jak tłumaczyli, którądy się tam idzie. I nie ma tam za gęstej zabudowy, tylko parę willi.

Sulien i Una nie wiedzieli o Celusie nic, znali tylko tę nazwę. Una nie zdawała sobie nawet sprawy, że to wzgórze. Nie musieli iść daleko, a jednak kiedy dotarli na miejsce, mroczne ogrody miejskie stłumiły hałasy i światło jak miękki koc i trudno było uwierzyć, że Forum i cyrk są tak blisko. Między dębami i cyprysami biegło parę pięknych, oświetlonych latarniami ulic i ścieżek, ale gęsta cisza zalegała wszędzie, wypływała z rzadko rozstawionych za wysokimi murami willi.

Serce Damy zabiło z irytacji, kiedy przekonał się, że wszystkie ścieżki wyglądają w ciemnościach podobnie. Zaczął mamrotać coś pod nosem, jakby usiłował zwabić dom, w którym kazano mu śpiewać. Było trudniej, niż się spodziewał, o tej części swego życia myślał z obrzydzeniem.

Potem minęli podjazd przed małą ozdobną willą z bramą kutą w delfiny i muszle. Otóż to, muszle, pomyślał Dama i roześmiał się szyderczo.

- Zapamiętałem ją sporo większą. Wygląda jak rozdęty tort, no nie? - Odwrócił się i spojrzał na wschód, w dół zbocza. - Zgadza się. To w tamtą stronę.

Kiedy dotarli do willi Lucjusza, zobaczyli przed nią dwóch pretorianów, którzy zniknęli w ponurej stróżówce przy bramie. Doszli do wniosku, że znaleźli się we właściwym miejscu, nie dlatego, że wystrój domu był wystawny, lecz ponieważ taki nie był. Willa w przeciwieństwie do pałacu niczego nie zdradzała. Były tylko wysokie mury, od wewnątrz porośnięte jakimś gęstym i kłującym żywopłotem, widzieli jedynie czubek dachu i nieliczne korony drzew. Pomimo wszystko willa nie wydawała się szczególnie chroniona, a mury można było pokonać - ale na dachach i ścianach dostrzegli kamery, skierowane nie tyle na ogród, ile na pas ochronny ziemi między ogrodzeniem i budynkiem.

Cofnęli się do północnego muru i stanęli między drzewami.

- Co o tym sądzicie? - spytał Sulien.

Una nie chciała myśleć, że Marka tam nie ma, bo co innego im pozostało? Ale nie czuła go w tych murach, przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Gdybyśmy znowu podeszli od frontu, mogłabym przynajmniej zbliżyć się do pretorianów - wymamrotała ze smutkiem.

Obserwowali strażników wchodzących na teren posiadłości od wschodniej strony i zamierzali podkraść się wzdłuż muru zachodniego, ale Una rzuciła:

- Ktoś jest po tej stronie... idzie!

Na razie nie złamali prawa, ale strażnicy nie powinni się dowiedzieć, że ktoś czai się przed willą, a nie było czasu, żeby podbiec do dalszych drzew. Instynktownie skulili się w cieniu u stóp muru.

- Pretorianie? - szepnął Dama.

- Tak. Możliwe. Chyba, ale...

Ktoś starał się nie rzucać w oczy, zakradał się jak oni, szukał czegoś - ich, intruzów? Una westchnęła z wysiłkiem i zaczęła go sondować, szukając miejsc, które mogła nacisnąć, by powiedzieć mu: rób tak dalej, myśl o tym, jaki jesteś zły - prefekt, Lewinus, tak, to dyshonor. (Najwyraźniej był pretorianinem albo oficerem wigilów, nie do końca rozumiała różnicę). Tak, już teraz trudno mu było myśleć o czymkolwiek innym, ta

straszna kłótnia z Lewinusem, jego kariera w gruzach...

Wstrzymała oddech zafascynowana: wyczuła myśl o Marku, Marku wewnątrz tego domu.

Już go widzieli, wysoki cień, mężczyzna w ciemnym stroju, nie mundurze, szedł wolno, posuwicie, tak jak oni, nie spuszczać wzroku z latarni. Ale był taki zły! Dlaczego się tak wścieka?

Zaraz na nich wpadnie. Fakt, był pograżony w ponurych rozmyśleniach o kłótni z szefem, tak że mógłby ich minąć o parę kroków, ale wciąż machinalnie się rozglądał. Nawet gdyby się nie poruszyli, nie stanęli mu na drodze, mógłby ich dotknąć, odgarniając przeszkadzającą mu gałąź.

Una czuła, że Dama zeszywniał i dygocze, i była pewna, że w równym stopniu ze wstrętu jak ze strachu; możliwe, że wystarczyła mu tylko świadomość, iż jest to wigil lub pretorianin.

Potem mężczyzna zawahał się, oparł o mur, uniósł rękę do twarzy. Co ja robię? - pomyślał. Niewiarygodne, powędrował w głąb parku.

Mężczyzna był nieszczęśliwy, pełen wyrzutów sumienia i wściekłości.

- Nie przejmujcie się - szepnęła Una pokrzepiająco. - Jego tu nie powinno być, musimy z nim porozmawiać.

Te słowa zdumiały Suliena nie mniej niż drapieżność, z jaką Dama w milczeniu rzucił się powstrzymać Unę. Rozpaczliwie usiłował chwycić ją prawą ręką za ramię, zbyt przerażony, by pamiętać, że jego palce się nie zaciskają.

Mężczyzna wzdrygnął się z poczucia winy, zrozumiawszy, że go dostrzeżono, a potem opanował ten ruch, zmienił go w niezdarne wzruszenie ramion. Zobaczył kobietę, nie... ledwie dziewczynę, jeśli się spojrzęło w jej twarz - wyłaniającą się z mroku obok dwóch innych postaci, które niechętnie ruszyły w ślad za nią.

Mogli jeszcze nic nie zdziałać, ale najwyraźniej nie powinni tu być. Dziewczyna włócząca się nocą z dwoma chłopcami wokół prywatnej posiadłości? Co na to rodzice? Instynktownie chciał ich przepędzić, poczuł nawet złość, że musi wyręczać pretorianów, a potem przypomniał sobie, po co tu przyszedł, i zamarł w rozterce. Przecież też włóczył się tutaj w podejrzanym celu, nawet przyszły mu do głowy myśli, których teraz, z bezbrzeżnym niedowierzaniem, nie potrafił uznać za własne: że mógłby się tam dostać, gorzej, że mógłby się wspiąć na mur. Nie chciał uwierzyć, że czai się pod cesarskim domem jak włamywacz, że rozmyślnie w tym

celu ubrał się na ciemno, wygrzebał skądś kapelusz, by zakryć zbyt jasne włosy.

Ale nawet gdyby to nie była prawda, nie wiedział, czy ma jeszcze prawo - inne niż każdy obywatel - by przeganiać stąd te niechlujne dzieciaki. Nie wiedział, czy jeszcze ma pracę.

Kleomenes miał ochotę zadać cios - nie człowiekowi, nawet nie jego wyobrażeniu - ale przedmiotowi, i nie mógł. Od wielu dni jego pięść podnosiła się z rozmachem, a stopa cofała, gotów był atakować ściany i stoły i cały czas wściekle przy tym stękał. Ciosy nie padały. Paraliżowała go myśl, że przez te cienkie ściany przedostanie się odgłos uderzeń (nawet w meble). Oczywiście praktyczniej byłoby zadać ból sobie, mógłby przecież zniszczyć przedmioty, których nie zdołałby nigdy odkupić. Żałował, że nie stać go na zniszczenie swojego dobytku. Jednak nie martwiło go to podczas katastrofalnego (bo przecież było katastrofalne) spotkania z Lewinusem tego popołudnia, kiedy pragnął co najmniej zrzucić z biurka jakieś dokumenty - bo wyszedł w gniewie i nie zanościło się, żeby mógł wrócić.

Nie mógł. Pomimo targającego nim oburzenia przez cały czas uważał, że popełnia straszny błąd, wiele strasznych błędów. Sytuacja nie mogła wyglądać tak, jak mu się zdawało - był o tym coraz bardziej przekonany. Co ty wyprawiasz? - pytał ze zgrozą sam siebie.

Jeśli miał rację - jeśli to, co mu sugerował Wariusz, było prawdą - to wkrótce mogło nad nim zawisnąć niebezpieczeństwo, pewnie już zawisło, i było to tak idiotyczne, że właściwie niemożliwe. A jednak miał.

- Idźcie stąd, nie macie tu żadnego interesu - rzekł do trojga dzieciaków.

Chłopcy natychmiast usiłowali go usłuchać. Ten niższy, co odciągał dziewczynę, warknął: „My tylko, my chcieliśmy zobaczyć dom...” - ale bez tej niedbałości, z którą powinny zostać wypowiedziane takie słowa... nie, z intensywną, nadmierną nienawiścią. Muszą mieć poważne kłopoty.

- Mamy interes. Chcemy znaleźć Marka - powiedziała dziewczyna.

Kleomenes otworzył usta. Po chwili usłyszał własny głos, powtarzający:

- Marka?

Wiedział, kogo dziewczyna ma na myśli, ale uraziło go użycie samego imienia.

- Możemy tak do niego mówić. Znamy go. Przez cały czas był z nami.

Twarz Kleomenesa z wolna przybrała pytający wyraz, ale tym razem się nie odezwał.

- Uważamy tak samo jak ty: że musi tu być. A ty przyszedłeś, bo chcesz się dowiedzieć o Wariusza, tak?

- Kto ci powiedział? - Zachłysnął się, nie tylko oszołomiony, lecz przerażony; od dawna mgliście bał się, że jego zamiary, choć niesprecyzowane, wyjdą na jaw i coś się z nim stanie. Te zabłąkane dzieci nie mogły mieć jednak nic wspólnego z... z kim, jego kolegami, ludźmi, których znał? Wszystko mu się pomieszało, naprawdę.

- Nie możemy z nim wchodzić w układy, co ty sobie wyobrażasz? - syknął Dama z furją.

Una nie ustąpiła.

- Kiedy poznaliśmy Marka, był od dwóch tygodni w drodze. To było w Tolosie. Słyszałeś? I masz rację, wszystko, co powiedział na Forum, to prawda. Wariusz nie chciał go zabić - ani Gemelli.

- Zatem kto? - spytał cicho Kleomenes.

- Pałac. Moźni. Wigilowie.

Kleomenes już otworzył usta, ale się nie odezwał, mimowolnie uświadomił sobie, że pogardliwe parsknięcie lub zawołanie „bzdura” nie wchodzi w grę. Spuścił wzrok.

- Chcę tam wejść - oznajmiła dziewczyna. - Możesz nam pomóc.

- Nie! - wykrzyknął. Przeraził go własny pomysł, wypowiedziany na głos. Zaczął się wycofywać na oślep, tyłem, jakby przed natrętnym żebrakiem. A oni, niczym żebracy, poszli za nim.

- Ale masz rację, miałaś rację, co innego mógłbyś zrobić?

- Co to ma znaczyć, Una, kto to jest? - spytał wysoki chłopiec, a ta straszna dziewczyna pociągnęła Kleomenesa za łokieć i spytała:

- Może nam powiesz? Dlaczego nam nie powiesz?

- To nie ma z wami nic wspólnego - odpowiedział uparcie.

- Więcej niż z tobą! - krzyknęła z tak przeraźliwym gniewem, że spojrział na nią zainteresowany. - Mówiłam ci, znamy Marka. Nie przyszedłeś tutaj dowiedzieć się, co się dzieje? Dlaczego nie chcesz nas dopuścić do tej sprawy, skoro wszystko o niej wiemy?

Kleomenes zatrzymał się, później zrobił parę niezdecydowanych kroków.

- Musisz nam powiedzieć, czy Marek tu jest - rzucił Sulien.

- Nie wiem - jęknął Kleomenes i stanął. - Przyszedłem tu tylko po to, żeby...

- Żeby?

- Nie wiedziałem, gdzie mógłbym pójść. - Wrócił do domu i pośpiesznie zdjął mundur i włożył inne ubranie, a jakiś cichy głos ostrzegał go monotonicznie: nie zostawaj tu, szybko stąd wyjdź. I wyszedł, zabierając ze sobą służbową przepustkę i broń. - Chcę porozmawiać z Wariuszem, ale nikogo do niego nie wpuszczają. Dla mnie nie uczynią wyjątku. Jeszcze przed całym tym zamieszaniem powiedział, że może dojść do czegoś takiego. Przeniesiono mnie z jednego końca miasta na drugi. A gdy tylko go aresztowałem - stało się. Ale on tak kłamał i nigdy mi nic nie mówił! Co mam teraz zrobić?

Nowe zadanie, dowodzenie oddziałem walczącym z gangami w Suburze, nie było właściwie awansem, ponieważ stopień i płaca Kleomenesa się nie zmieniły, ale jeszcze nigdy dotąd jego praca nie wymagała w takim stopniu myślenia strategicznego. Znalazł się wśród bardziej interesujących ludzi, a takie specyficzne, poważne zadanie było bardziej prestiżowe i fascynujące. Jasne, że stwarzało okazję do prawdziwego awansu. Wszystko wydarzyło się dość niespodziewanie, ale przecież zmieniło się dowództwo, więc cóż w tym dziwnego.

Kleomenes nie mógł przestać myśleć o tym, co Wariusz powiedział mu o pani Makarii, ani o zachowaniu Wariusza, jego braku wiary w to, że naprawdę go podejrzewał. Został też poinformowany, że ponieważ sprawa dotyczy rodziny cesarskiej, nie wolno mu o niej z nikim rozmawiać aż do czasu jej zamknięcia. Nie podważał tego rozkazu. Ale niepokoił się na tyle, że nadal pilnował tej sprawy.

I tak, choć spisał w raporcie wszystko, o czym powiedział mu Wariusz, pewnego popołudnia zajrzał do willi Tusculum i przekonał się, że roi się w niej od wigilów i pretorianów, którzy nie życzyli sobie jego obecności. Nie narzucał się, ale potem odszukał kamerdynera i ustalił, że pani Makaria rzeczywiście podarowała Markowi słodycze, jak zawsze. Swoją drogą Wariusz z pewnością miałby mnóstwo czasu, żeby nasaczyć je trucizną. Kleomenes spisał to zeznanie i załączył do raportu, a następ-

nie wysłał do swojego dawnego przełożonego. Nie dostał odpowiedzi. Niby nic dziwnego, a jednak ciągle czekał i od czasu do czasu, gdy troska zaczynała go delikatnie uwierać, dzwonił i dopytywał się. Powiadamiano go tylko, że Wariusz nadal milczy, a poszukiwania Marka skupiają się na przyjmowaniu raportów od osób, które go rzekomo widziały. Gdy wreszcie się dowiedział, że Wariusz zaczyna zeznawać, poczuł rozczarowanie, że go to ominęło.

Teraz, w mroku Celiusa, spojrzął na młodych ludzi i wzdrygnął się, jakby się budził.

- Kim jesteście? - spytał. - Co tu robicie?

- Mówiłam - odparła Una cierpliwie. - Chcemy odnaleźć Marka.

- A tak, spotkaliście go w Tolosie - powiedział Kleomenes sarkastycznie. - Czy tam był przez cały czas?

- Nie. Nie przez cały czas. - Dama spojrziała na Unę. Wiedziała, że nie przestał się bać centuriona, i postanowiła, że nie wspomni o Holzar - cie, nawet o niewolnictwie, jeśli się uda.

- Aresztowałeś Wariusza - odezwał się Sulien. - Jesteś wigilem czy pretorianinem?

Kleomenes znowu wychwycił ten ton, tym razem usłyszał strach i jeszcze raz przyjrzał się młodzieńcowi, który stał zdenerwowany w niewielkiej odległości. Wyglądało, jakby chciał uciec, ale powstrzymywała go niewidoczna smycz.

- Wigilem, mniej więcej. Na razie jednak bym się tym nie przejmował - odpowiedział z cichym, ponurym parsknięciem.

- Chcieliśmy się ubiegać o nagrodę, ale powiedział nam, co się stało - ciągnęła dziewczyna. - Wiemy o zatrutych słodyczach, a od kogo mieliśmy się dowiedzieć. - Kleomenes znowu drgnął z zaskoczenia. - Zabili Gemellę, ale oczywiście chodziło o niego. Też tak uważasz, prawda?

Przez dwa i pół dnia Kleomenes usiłował znaleźć kogoś, komu mógłby to wyjaśnić, ale w międzyczasie działał, nie pozwalając sobie na żadne wnioski, niezdolny do uwierzenia we własne wątpliwości. Niestworzona historia, ale czemu nie miałyby być prawdziwa?

- W zeznaniach nie było nic o truciznie - rzekł powoli. - Nie miałem dostępu do tych słodyczy ani nawet do swojego raportu. Wszyscy... usiłowali mi przeszkadzać. No tak, to naturalne. Nie wykonywałem zadania jak należy, odkąd to przeczytałem. Lewinus powiedział: „Nie ty określasz

przyczynę zgonu, to nie twoje zadanie”. Ale widziałem Gemellę.

Lewinus wyjaśnił mu dość przyjaznym tonem: „Kleomenesie, tą sprawą zajmuje się dobry zespół, a ty masz masę własnej roboty. Raz na jakiś czas musisz wierzyć, że inni jakoś sobie poradzą”.

Wówczas Kleomenes przez parę minut siedział przy swoim biurku zamyślony. Następnie napisał wiadomość dla Renatusa, prefekta miasta i bezpośredniego przełożonego Lewinusa.

- Właściwie samego zadania nie wykonywałem. Poszedłem do więzienia. I do rodziców obojga. Lewinus, Segestes i Buteo powtarzali mi: daj spokój, naprawdę. Wczoraj wydawało mi się, że brzmi to jak... groźba... no, niedokładnie! - poprawił się natychmiast i zamilkł. - Ostrzeżenie. Tak. Groźba. Nieważne...

Podjął opowiadanie dopiero po chwili. Tak jakby założył, że kiedy zacznie o tym mówić, jego słowa zabrzmiały idiotycznie, i zaniepokoił się, bo nie zabrzmiały.

- I nikt nie powiadomił jego rodziców - powiedziała. - Nawet nie wiedzieli, że został aresztowany, dowiedzieli się z dalwizji.

Przypomniał sobie ten komunikat, pojawił się w tygodniu poprzedzającym obwieszczenie, że zdobyto zeznanie, a rodzice Wariusza byli już na tym etapie, że otwarcie się kłócili, czy on jeszcze żyje. Ojciec leżał niemal bez ruchu w fotelu, ledwie dostrzegł obecność Kleomenesa; z kolei matka bez przerwy zrywała się z miejsca i biegła, a łzy miarowo spływały jej po twarzy.

- Patrzcie na niego. Co oni z nim zrobili? - mówiła żarliwie i dodała: - Wariusz nigdy by czegoś takiego nie uczynił. Byli tacy szczęśliwi! A nawet gdyby nie byli, to nigdy...

Oczywiście Kleomenes słyszał już takie rzeczy i zdawał sobie sprawę, że matka po prostu nie powie nic innego. Wiedział także, że powinien zlekceważyć to wspólne zdjęcie Wariusza i Gemelli, które mu pokazała. Ponieważ Wariusz wydawał mu się nerwowy i wybuchowy, wyobrażał sobie, że Gemella była podobna, pomyślał o nich: Tak, może byli zakochani, ale pewnie ciągle się awanturowali, aż pierze leciało. Ale na tym zdjęciu tak nie wyglądali, stali ramię w ramię, w ogrodzie, jak zwykłe małżeństwo, w aurze zupełnego spokoju. To zdjęcie nic nie znaczyło, tylko że udowadniało słuszność słów matki Wariusza, Wariusz w dalwizorze wyglądał gorzej, gorzej niż podczas ostatniego spotkania z Kleome-

nesem.

Miał nadzieję, że Wariusz powiedział rodzicom coś o tym, co się wydarzyło i co zamierza, ale się zawiódł. Odwiedził także rodzinę Gemelli i jej matka powiedziała tępo:

- Człowiek myśli, że kogoś zna... - Zamilkła, wpatrzona w dygoczące kolana. Ale mąż krzyknął:

- Nie, nie, to musi być pomyłka. Dlaczego miałby się do tego przyznać? Rozmawiał ze mną. Ja bym to poznał.

- W jaki sposób? - spytała żona przez zaciśnięte zęby. - Zresztą mówiłeś, że prawie nic nie wyjaśnił.

- Ja bym poznał - powtórzył uparcie Paulinus.

Kleomenes wrócił na posterunek, nie wiedząc, czy się czegoś dowiedział, i mając świadomość, że teraz będzie się musiał jakoś wytłumaczyć, dlaczego nie przyszedł na zebranie. Na wewnętrzny dziedziniec posterunku wjechało kilka furgonetek, prawdopodobnie powracających z ceremonii na Forum. Mimo całego zamieszania z Markiem Nowiuszem w budynku panował spokój, Kleomenes skrył się jednak w swoim gabinecie. Natychmiast w drzwiach pojawiła się jego sekretarka Antonia i krzyknęła:

- Przed chwilą Marek Nowiusz pojawił się na Forum!

Kleomenes przez jakiś czas stał, mrugając oczami i powtarzając: „Co?”, po czym wypadł za Antonią do ogólnego pomieszczenia, gdzie znajdował się dalwizor.

Miał więcej szczęścia niż Una i Sulien - jego koledzy nagrywali wiadomości. Usiadł i puścił nagranie parę razy, żeby się upewnić, iż właściwie zrozumiał słowa. I przez chwilę siedział oszołomiony. No jasne, pomyślał i wstał, ale nie miał pojęcia, jak pokieruje nim wściekłość. Uczynił daremny wysiłek, by skontaktować się z Renatusem, niemal pewny, że nie ma co tracić czasu na Lewinusa. W końcu jeszcze raz pojechał do więzienia i ponownie usłyszał odmowę. Wrócił i dowiedział się - parę godzin przed resztą świata - o stanie Marka. Zaraz potem Lewinus wezwał go na górę do swojego gabinetu.

Był blady i spocony z gniewu.

- Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego usiłowałeś się skontaktować z Renatusem za moimi plecami? Mam nadzieję, że potrafisz.

Kleomenes był już tak wściekły, że nie okazał upokarzającej skruchy,

jakiej spodziewał się po nim Lewinus.

- Dlaczego nie wolno mi się zobaczyć z Wariuszem?

- Nie masz żadnej sprawy do Wariusza. Masz stu legionistów i ważny projekt, który zaniedbujesz, w dodatku mnie zawiodłeś. Coraz trudniej mi sobie przypomnieć, dlaczego powierzyłem ci tę funkcję.

- Kiedy go wypuszczą? Bo chyba teraz mamy sobie spokój z tą sprawą.

- Kilka razy cię ostrzegałem, ale ty z premedytacją zlekceważyłeś moje słowa...

- Bo chyba mamy spokój, prawda? Nie mamy specjalnego wyboru.

Lewinus popatrzył na niego jadowicie, ale powiedział:

- Za wcześnie o tym mówić. Nadal pozostaje jedynym podejrzanym o morderstwo.

- Jak może być podejrzany o morderstwo?

- Jego żona z całą pewnością nie żyje, a alibi nie trzyma się kupy, sam to ustaliłeś.

- Ale wydaje się, że mamy nowego świadka, którego samo istnienie stawia zeznania Wariusza w bardzo dziwnym świetle, delikatnie mówiąc.

1 ten świadek upiera się, że Wariusz nie jest mordercą.

- Czy coś sugerujesz? Bo nie podoba mi się twój ton.

Kleomenes przyjrzał się Lewinusowi i poczuł słaby, niespodziewany chłód. Po raz pierwszy przybrał pokorną postawę, stosowną w tej sytuacji, spuścił przepaszająco wzrok. Nie odpowiedział.

Lewinus trochę się udobruchał i wyjaśnił:

- Być może przesłuchujący go funkcjonariusze posunęli się za daleko. Pewnie sądził, że to właśnie chcemy usłyszeć. Nie oznacza to jednak, że większa część jego zeznań mija się z prawdą. Mógł z wielkim prawdopodobieństwem dopuścić się zamachu na Marka Nowiusza, który, mówię to z bólem, nie jest całkiem poczytalny. Zdaje się sądzić, że wszyscy na świecie z wyjątkiem Wariusza zamierzają go zabić, w tym także nieistniejący ludzie. Słyszałem to od pretorianów. Mówi do ścian i przedmiotów. Tragiczne. Cóż, nie jestem lekarzem, ale jeśli pomyślisz o tym, co go spotkało, jak został zdradzony...

Kleomenes wysłuchał tylko pierwszej części tej przemowy, ale rozważył ją wnikliwie, jakby za chwilę miało pojawić się lepsze, bardziej złożone znaczenie. W końcu spytał cicho, z niedowierzaniem:

- Uzyskiwanie zeznań torturami?
- Dajże spokój. Nie wspomniałem o „torturach”.
- Więc co innego...
- Powiedziałem: Zastosować. Większy. Nacisk - rzekł Lewinus, uderzając dłonią w biurko przy każdym słowie, jakby Kleomenes był uprzykrzonym dzieckiem. - Wydawało się to słuszne.

Kleomenes zastanowił się także nad tym i spytał:

- Co to znaczy?

Lewinus przez chwilę się nie odzywał.

- Funkcjonariusze zostaną pociągnięci do odpowiedzialności - rzekł w końcu. - Jednak jeśli się rozniesie, że przestępca musi tylko fałszywie zeznać, a wyjdzie na wolność...

- Ale przecież jest wolnym obywatelem, nie możemy... poza tym co ze słodyczami?

- Jak to co?

- Przecież były zatrute, prawda? Omal sam się nie otruję, prawda? Jeśli nie wykorzystał ich do zamordowania żony ani nikogo innego, to dla kogo były przeznaczone?

Lewinus znowu westchnął.

- W chwili obecnej nie mam żadnych informacji o truciznie.

- Wszystko jest w moim raporcie.

- Obecnie nie dysponuję twoim raportem. Ktoś się tym zajmie. W każdym razie dlaczego niewinny człowiek miałby się włóczyć po mieście z trucizną i usiłować popełnić samobójstwo, zamiast wszystko wytłumaczyć?

To pytanie przez wiele tygodni utrzymywało Kleomenesa w przeświadczeniu o winie Wariusza i nadal nie znalazł na nie odpowiedzi. Mimo to chciał powiedzieć: te słodycze pochodzą z pałacu, wiemy o tym - ale kiedy zaczerpnął tchu, znowu poczuł ten chłód i pomyślał: dlaczego marnuję czas i przekonuję go do czegoś, o czym on i tak wie? Lewinus maczał w tym palce.

Wytrzeszczył oczy, jakby nie znajdował słów. Nagle zaczął się bać, że by Lewinus nie przypomniał sobie o czymś. W końcu powiedział z wahaniem:

- Chcę się spotkać z jego prawnikiem.
- Tylko nie w godzinach pracy - warknął Lewinus.

- Oczywiście - odparł wściekły Kleomenes i nagle znalazł się przed budynkiem, na ulicy. Nie wiedział, nie wtedy, czy sam zrezygnował, czy też raczej powinien się uważać za wyrzuconego z roboty.

Trochę czasu przesiedział w oberżach z daldictorami, starając się złąpać prawnika, który rzekomo reprezentował Wariusza. Wreszcie połączono go z kimś, kogo zupełnie nie interesowało, co miał do powiedzenia.

- Ale to ja aresztowałem twojego klienta - powtarzał uparcie Kleomenes. - I sądzę, że mam dowody na jego niewinność.

- Proszę zostawić imię i adres, a skontaktuję się z tobą później.

- Doprawdy? - wściekł się Kleomenes, lecz prawnik przerwał połączenie.

Po czymś takim przyszło mu do głowy tylko tyle, by sprawdzić, czy Marek Nowiusz naprawdę mówi do nieistniejących osób. Poszedł na wzgórze Celius, gnany, podobnie jak Sulien, myślą o Lucjuszu Nowiuszu. Dwie godziny wcześniej wdał się w pogawędkę o wydarzeniach dnia z portierem w jednej z mniejszych willi, który tego popołudnia widział dwa ogromne ciemne samochody, sunące z północy w dół wzgórza. Teraz wymamrotał:

- To wszystko o Leonie i Klodii... i wszyscy kłamią, ludzie z otoczenia cesarza... i Wariusz...

- Już wiesz, że to prawda - powiedziała twardo Una. Kleomenes pokijał głową.

- Cholerny... Wariusz! Dlaczego mi nie powiedział?

- Bo miał rozum - wymamrotał Dama mimo woli.

- O co ci chodzi? - rzucił Kleomenes, marszcząc brwi.

Dama wzruszył ramionami i odwrócił się, znowu tuląc do piersi rękę. Kleomenes poddał się i powiedział do Uny:

- Ale musiał... on wiedział, że nie brałem w tym udziału.

- Nawet jeśli, mógłbyś się wygadać.

- I tak zrobiłem - szepnął Kleomenes. - Co, myślisz, że to, co się wydarzyło... że to pogorszyło sprawę? - Przez chwilę wyglądał, jakby paraliżowało go przerażenie. Potem nagle powiedział: - Świetnie - i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę willi. Znowu za nim pobiegli. - Zaczekajcie tutaj - rozkazał.

- Nie! - rzucił Sulien, odciągnął go, przygotowany na długą kłótnię,

ale Kleomenes tylko przyglądał mu się przez chwilę i znowu powtórzył ponuro:

- Świetnie.

Poszli za nim, ale Dama mruzczał gorzko do Uny:

- To straszny błąd, że się z nim wiążemy. Oni są gorsi od innych. Pomyśl, co robią. - Gorszi nawet od cesarza, pomyślał, który przynajmniej nie ma wielkiego wyboru.

Kleomenes ruszył do budki strażnika, jakby prowadził oddział. Zdjął kapelusz, podniósł przepustkę i krzyknął:

- Wigilowie. Kontrola.

W czarnej bramie otworzyły się małe drzwiczki i wyłonił się młody legionista.

- Co?

Kleomenes wcisnął mu w dłoń przepustkę, jakby była wyjątkowo ważna. Jego wyższa ranga była respektowana w innej formacji, nawet jeśli mnie wylali, pomyślał, pretorianie raczej o tym nie wiedzą.

- W świetle ostatnich wydarzeń - przemówił głośno, władczo - jest oczywiste, że gwardia cesarska nie spełnia wymagań. Dokonuję kontroli. Przede wszystkim macie luki w kordonie. Za mało funkcjonariuszy.

Młodziak patrzył na nich lękliwie.

- Nie poinformowano mnie...

- Co - zdumiał się Kleomenes głosem ociekającym pogardą - czyżby w niespodziewanej kontroli chodziło o to, żeby działać z uprzedzeniem?

- Ale nie jesteś pretorianinem.

- Ha, cóż, najwyraźniej o wpadkach pretorianów stało się głośno, ktoś musiał się zjawić, żeby wam pomóc. Słuchaj, to nie jest prośba. Przyspieszmy to, dobrze? Muszę się przyjrzeć rozmieszczeniu kamer, a następnie sprawdzić, czy postępujecie zgodnie z procedurą.

Strażnik, choć wpadł w rozterkę, nie ustępował.

- Kto to?

- Słuszne pytanie. Podejrzana młodzież przeskakuje mury, jak chce, a nikt palcem nie kiwnie. Na szczęście dla was to młodzież Renatusa, pomagają mi - prawda?

Położył dobrotliwie ręce na ramionach Suliena i Uny, instynktownie ominąwszy Damę. Uśmiechnęli się.

- Renatus? - powtórzył poblady pretorianin.

Kleomenes poczuł ukłucie wyrzutów sumienia i litości.

- Właśnie - oznajmił.

- Aha - wymamrotał strażnik bezradnie. - No to w porządku.

Przeprowadził ich przez strażnicę, uspokajając gestem dwóch innych młodych pretorianów. Wysoka willa stała na końcu podjazdu, w głębi mrocznego ogrodu, mimo wszystko bardziej zwyczajna, niż można by się spodziewać po cesarskiej rezydencji. Kleomenes rozejrzał się, odchrząknął krytycznie. Pożałował, że nie ma ze sobą notesu, to byłby dobry rekwizyt. Mógł tylko mieć nadzieję, że pretorianin jest zbyt przestraszony, by to zauważyć.

Strażnik usiłował - instynktownie i przepraszająco - dotrzymać im towarzystwa, nawet oprowadzić, ale Kleomenes warknął:

- Wracaj do roboty. Ja ci się przyglądam. Już ci się przyjrzałem. - Na to pretorianin, zgodnie z oczekiwaniami, wystraszył się i wpuścił ich do domu.

Ledwie znaleźli się za drzwiami, Kleomenes oparł się o nie bezwładnie i lekko stuknął czołem w gładkie, malowane drewno.

- Co ja robię? - szepnął. - Biedny chłopak. Co ja zrobiłem?

Una i Sulien nie całkiem rozumieli, o co mu chodzi.

- Chodź, wszystko dobrze - rzuciła Una energicznie.

- Powiedziałaś „Tolosa”? - spytał Kleomenes i przez chwilę przyglądał się im, mrużąc oczy, a potem z gwałtownością, która nimi wstrząsnęła, chwycił rękę Damy i odsunął rękaw.

- O do diabła - powiedział.

Dama wyrwał się; pobladł i zaczął dygotać.

- Nie waż się... nigdy więcej... mnie dotykać.

Ale Kleomenes już jęczał, z nutą przerażonego rozbawienia:

- O do diabła. Jesteście niewolnikami, oczywiście! - Chwycił Sulie- na za ramiona i spojrzał mu w twarz. Zawołał niemal triumfalnie:

- To ty! Znam cię, uciekłeś, tak? Na Jowisza! Co ja robię?

Znowu osłabł, a Sulien powiedział:

- Słuchaj... tak, wszyscy jesteśmy niewolnikami i byliśmy bezpieczniejsi tam, gdzie przebywaliśmy. Ale uznaliśmy, że ta sprawa jest na tyle ważna, że należy zaryzykować i tu przyjechać. I tak samo było z Markiem, wiedział, że jeśli wróci, mogą go zabić, zrobił to, żeby wyjawić prawdę. I zrobił to, komuś w końcu powiedział - tobie.

Kleomenes westchnął zrezygnowany.

- Tak. Teraz nie ma co o tym myśleć - rzekł. - Ale jego tu nie ma. Nie udałoby mi się, gdyby tu był.

I Una, z ciężkim sercem, przyznała mu rację. Nie tylko dlatego, że nie mogła się dłużej łudzić, iż nie wyczuła obecności Marka w tym samym domu. Gdyby go tutaj przewieziono, oznaczałoby to zaaferowanie, pośpiech i zamieszanie wśród strażników i... niewolników. To napięcie by tak szybko nie wygasło, nadal by je czuła.

Bo teraz zaczęła wyczuwać niewolników, sprzątających, gaszących światło, zamykających dom.

Stanęli niezdecydowani. Tymczasem Dama z trudem oddychał. Oparł się o stół, na którym stał wazon z liliami. Una przestraszyła się, że mógłby zemdleć, ale odgrodził się od nich murem, nie mogła mu nic powiedzieć.

- Chyba ktoś wie, gdzie on jest - odezwała się w końcu. - Wspominałeś, że ktoś tu dzisiaj przyjechał.

- Co? Chcesz tu pomyszkować, bo może coś znajdziesz? Bo wpadniemy na jakiegoś Nowiusza? - spytał Kleomenes i znowu jęknął. - Wszystkich nas aresztują, a potem... to chyba jakiś żart.

- No, a dlaczego nie - rzekła. - Pomyślą, że jesteśmy w porządku, bo strażnicy nas przepuścili.

Nieco zdenerwowani ruszyli w głąb domu. Kiedy dotarli do kolumnady wokół ogrodu, z pobliskiej jadalni wyłoniła się dziewczyna z wiadrem pełnym ścierek i płynów do czyszczenia. Na ich widok odruchowo się cofnęła przestraszona, jakby przeproszała, że ją zobaczyli. Kleomenes machnął do niej przepustką, ale nie było potrzeby, nie ośmieliła się ich niepokoić.

Dama, kuśtykający chwiejnie, oszołomiony furją i zszokowany, rzucił jej przeciągłe spojrzenie, miał ochotę nią potrząsnąć, nie potrafił oddzielić bezradnego współczucia od zgrozy, którą budził w nim ten dom. Miał ochotę z niego uciec, położyć się na chłodnej trawie. Nadal miał kłopoty z oddychaniem. Te lilie w wazonie, te dywany wydawały się odrażające, obraźliwe.

Kleomenes zaczął się wstydzić wrażenia, jakie wywarł na Damie, ale powiedział:

- Lepiej szukać ludzi, niż żeby ludzie szukali nas. - Zaczął otwierać

drzwi salonów, lśniących polerowanym drewnem i mozaikami, biblioteki, drugiej jadalni. Zaskoczył kamerdynera, który najwyraźniej sprawdzał, czy wszystkie meble stoją w idealnym porządku.

- Przepraszamy za kłopot, kontrola - rzucił Kleomenes.

Kamerdyner uwierzył mu bez trudu, bo choć był starszy od młodego pretorianina, przywykł wypełniać rozkazy. Ale nadal był poruszony, prawie przestraszony, choć nie tak jak tamta dziewczyna, która bała się kontaktu z każdym, kto nie był niewolnikiem. Chodziło o coś innego.

- Powinni mnie ostrzec - oznajmił bojaźliwie.

- To nie było możliwe.

- Tak, rozumiem. Tylko szkoda... to wszystko.

- Nie ma się czym przejmować - zapewnił go Kleomenes nieco zaskoczony. - Muszę ci teraz zadać parę pytań. Dziś mieliście gości z pałacu, tak? Możesz powiedzieć, z których pokojów skorzystali?

- Prawie wszyscy adiutanci czekali tutaj i w holu. Cesarz i cesarzowa poszli prosto na górę, do Lucjusza Nowiusza. Nie zabawili długo.

- W porządku - powiedział Kleomenes. Podeszedł do okna i udał, że je sprawdza. Usiłował nadać tej rozmowie niedbały ton, choć czuł, że nie najlepiej mu to wychodzi. - Czy... przypuszczam, że personel coś wspominał o dzisiejszym dniu? O sprawie Marka Nowiusza. Coś nadzwyczajnego.

- O nie, może rozmawiali ze sobą, ja bym tego nie słuchał - zapewnił zdenerwowany kamerdyner. - Ale to niewiarygodne, tak, bardzo smutne.

Rozmowa ciągnęła się niezdarnie jeszcze przez chwilę. Una była już pewna, że kamerdyner nie wie nic przydatnego, ale nie mogła tego przekazać. Oczywiście wszyscy już kiedyś spotkali takich niewolników jak kamerdyner - szczerze oddanych swoim panom. Sam Sulien taki był i do tej pory musiał się starać, żeby wspominać to ze wstrętem, tak jak by to zrobili Dama i Una. Teraz Una starała się wyglądać nijako, a Dama krył się w drzwiach, w cieniu.

- No cóż - poddał się w końcu Kleomenes. - Trzeba skończyć tę robotę.

- Mogę się zaopiekować młodymi - zasugerował kamerdyner bez zachwyty. - Coś im przyniosę.

- To miłe, ale nie ma takiej potrzeby, za kilka minut skończymy - oznajmił Kleomenes szczerze, bo nie wydało mu się możliwe, żeby inni

niewolnicy coś dostrzegli, skoro kamerdyner nic nie widział.

- Ale nie będziecie niepokoić Lucjusza Nowiusza? Jeśli to będzie konieczne, najpierw powinienem do niego zajrzeć ja... albo pielęgniarka.

- O, to chyba nie będzie konieczne - rzucił Kleomenes i wypędził Unę, Suliena i Damę z komnaty.

- Jest mu ciężko! - zawołał za nimi kamerdyner, a Una znowu pomyślała: tu się dzieje coś dziwnego.

W korytarzu Kleomenes odezwał się ponuro:

- Zbierajmy się, zanim ktoś się zorientuje.

- Nie, zajrzyjmy do Lucjusza Nowiusza - szepnęła Una i ruszyła cicho po schodach.

- Nie, nie. - Kleomenes się przestraszył. - Wracaj. Nie. Poza tym, czy on w ogóle... mówi?

- Chyba tak - odezwał się Sulien. - A jeśli nie, to przecież nie każe nas aresztować, prawda?

- Biedny staruszek - powiedział Kleomenes, który uważał, że to bezduszność.

- Może nawet nie będę musiała z nim rozmawiać - dodała Una. Kleomenes pokręcił głową, ale ruszył za nimi bezradnie.

Okna na pierwszym podeście wychodziły na ogród pełen ziół i rododendronów. Wszędzie otaczał ich zbytek, ale mroczny, brzydki - w tym domu panował jakiś niezdrowy zaduch. Ściany w kolorze starego wina były ozdobione malunkami zwykłych ciemnych liści. Szli cicho po miękkim śliwkowym dywanie, a spłoszone niewolnice uciekły w zupełnym milczeniu na mroczne piętro powyżej.

Zza masywnych drzwi sączyło się światło i dobiegała muzyka.

- Ktoś tam jest, to musi być on - szepnęła Una. Podeszła cicho do ściany na podeście, oparła się o nią i powtórzyła: - To na pewno musi być on, ale... - Grymas, który pojawił się na jej twarzy, z wolna przemienił się w niedowierzający, kpiący uśmieszek i, ku przerażeniu Kleomenesa, otworzyła drzwi.

Zobaczyli małego staruszka - bo tak wyglądał, choć liczył sobie tylko pięćdziesiąt pięć lat - otulonego obszerną togą. Podniósł na nich zamglone oczy i spojrzął ponad palcami, a jego pielęgniarka, ładna trzydziestoletnia kobieta o miękkich miodowobrazowych kędziarach, stała oszołomiona na środku pokoju.

- Nie wzywaliśmy nikogo... - krzyknęła Ulpia ze złością i zaskoczeniem.

- On nie jest szalony - oznajmiła Una sucho.

- Co, kto to, każ im odejść! - Głos był cienki, łamiący się, a zmarszczki na twarzy, choć głębokie i od dawna utrwalone, także jakby się załamywały. Nadawały tej twarzy stały wyraz chytrości, zaskoczenia i strapienia.

- Nie jesteś wariatem - powtórzyła Una, tym razem z obrzydzeniem, i weszła śmiało do pokoju.

Lucjusz mrugał, ale na jego twarzy nie zaszła żadna zmiana, szarozielone oczy pozbawione wyrazu wciąż były zasnuwane mgłą.

- Nie jesteś? Nie jestem? - powiedział ze smutnym, przestraszonym chichotem.

I przez sekundę Una nie miała już tej pewności. Trudno go było rozgryźć, jego myśli wyślizgiwały się i łamały jak jego głos, gubiły znaczenie, zanim do końca się ukształtowały. Ale uważała, że sam im na to pozwala, że specjalnie zapomniał, jak nad nimi panować, i można by powiedzieć, że nie ma gorszego losu - choć ta niepamięć przynosiła mu ulgę. Nie był szalony w sensie, którego Marek się obawiał, ale nie wydawał się także normalny.

- Kim jesteście! Wynocha! - krzyknęła Ulpia i chciała przebiec między nimi, żeby wezwać pomoc, ale potem przypomniała sobie o dzwonku na ścianie i runęła ku niemu.

- Zrób to, a wszystkim powiem - poinformowała ich Una.

Gestem zaprosiła do pokoju Suliena, Kleomenesa i Damę i zamknęła drzwi.

- Nie, o nie - odezwał się Lucjusz, gdy zbита z tropu Ulpia się poddała.
- Czego chcecie, jesteście włamywaczami?

Dopiero wówczas zaczęli wierzyć własnym oczom, a Kleomenes, instynktownie zwracając się najpierw do Ulpii, spytał:

- Czy on naprawdę nie... czy jesteś...

- Ale dlaczego? - dodał Sulien.

- Denerwujecie go, natychmiast wyjdźcie - odezwała się Ulpia żałośnie. Lucjusz wzdrygnął się i zasłonił dolną część twarzy. Jego skóra nad palcami poczerwieniała aż po gęste siwe włosy.

- Chcemy się zobaczyć z cesarzem.

- Z Tytusem? Jego tu nie ma - zaprotestował Lucjusz żałośnie.
- Wezwij go.

Zdumiony Lucjusz oderwał ręce od twarzy.

- Nigdy. Nie mogę.

Una zgrzytnęła zębami z wściekłości, ta słaba kreatura stała jej na drodze do Marka.

- Więc każ komuś to zrobić, wszystko jedno!

- Nie! - pisnął Lucjusz i skulił się. - Nie pomogę wam. Chcecie zabić mojego brata? Zawsze wiedziałem, że do tego dojdzie.

Sulien podszedł bliżej.

- Już doszło.

Czerwień spleźła ze skóry Lucjusza, a on powoli położył ręce na kolanach. Po raz pierwszy jego zamglone spojrzenie oczyściło się nieco i na twarzy zamajaczył smutny cień świadomości, jakby - dziwne, bo Una miała pewność, że tak nie było - już o tym myślał.

- Leon - powiedział cicho. - Och... biedny Leon.

- Nie tylko Leon, także Marek - dodał Sulien. - Jeśli sprowadzisz tu brata i nakłonisz go, żeby nas wysłuchał, możemy temu zapobiec.

Lucjusz jakby odetchnął.

- Marek nie umarł. Tak myśleliście? Wszyscy uważali, że nie żyje, ale nikt mi nie powiedział, dzięki niebiosom, dopóki się wszystko nie wyjaśniło. Zaopiekują się nim, nic mu nie będzie.

- Nie potrzebuje opieki, nic mu nie dolega! - krzyknęła Una.

Dama odezwał się głucho, zaskakując pozostałych, bo milczał od dawna:

- Może przez jakiś czas będą się o niego troszczyć. Potem powiedzą, że wyskoczył przez okno albo utonął podczas kąpieli.

Una zadrżała, ale Lucjusz już zapomniał, co powiedzieli i czy im uwierzył. Pokręcił głową.

- Nie, tak nie zrobią. To niemożliwe.

- Powiedzcie, kim jesteście - zażądała Ulpia, która już się otrząsnęła z zaskoczenia. - Nikt wam nie uwierzy.

Znowu ruszyła do dzwonnika, ale Kleomenes rzucił się przez pokój, chwycił ją za ramiona i odsunął, a ponieważ zamierzała krzyknąć, oburzona i przestraszona, zasłonił jej usta ręką. Lucjusz poderwał się zaniepokojony. Kleomenes odezwał się twardo do obojga:

- Przepraszam. Nie rozumiem, co zamierzasz, panie... - potem spochmurniał, usłyszawszy to słowo we własnych ustach -...lecz to idiotyczne. Lepiej tego poniechaj. Chcemy, byś zrobił coś pożytecznego, i nikt nie dotknie tego dzwonnka, póki się nie upewnię, że osiągnęliśmy w tej kwestii porozumienie.

- Ale ja nie mogę, nie wierzę wam i nie mogę... to już dwadzieścia lat - rzucił Lucjusz żałośnie. - Chyba nie zrobicie krzywdy Ulpii, prawda?

- Nie - odparł Kleomenes - ale musisz zrozumieć, że jest to coś znacznie poważniejszego niż... gra czy cokolwiek tu robiliście.

Lucjusz znowu wydał przenikliwy, chichotliwy odgłos i powiedział nieśmiało, bełkotliwie:

- Ale wiesz, ja tak naprawdę nie muszę nic robić, kiedy ludzie raz uwierzą, to już samo idzie, nie trzeba pomagać. Czasami myślę, że nawet gdybym chciał, to nic już nie zrobię. Robię, co mi się podoba, po prostu sobie niczego nie odmawiam i to mi zupełnie wystarcza.

- Ale po co, na bogów? - spytał Kleomenes z desperacją pełną niesmaku. Pchnął Ulpię na krzesło, ale stanął nad nią gotowy w razie czego działać.

Lucjusz znowu się zarumienił. Wyszeptał konfidencjonalnie:

- Myślałem, że to się naprawdę stanie. Że oszaleję. Straszliwe lata. Tytus prawie nie bywał w Italii, Leon był w wojsku, a ja miałem wszędzie jeździć i organizować to wszystko - festiwale, zebrania, a najgorsze były przemowy, nie mogłem spać na wiele tygodni przedtem! Po prostu nie mogłem. A Tytus jechał do Indii i pomyślałem, że gdyby coś mu się tam stało, albo gdzieś indziej, i musiałbym tak już zawsze... A Druzylla i ja w ogóle nie powinniśmy się pobierać, to był straszliwy błąd, namówili mnie. Druzus był... doprowadzał mnie... zawsze się tak bałem, wszyscy się baliśmy, ojciec, ciotki i Tytus. I Leon. Ale kiedy do tego doszło... pomyślałem... e tam. Będzie dobrze. Ktoś inny się tym zajmie... a mnie dadzą spokój.

- Ale, na Boga - powiedziała Una - nikt nie powinien cieszyć się aż takim spokojem. Nie masz prawa.

- Och... - zaczął Lucjusz nerwowo, ale chyba nie całkiem ją zrozumiał. - Tytus sobie poradził, a... a Druzus był mały i właściwie nigdy się z nim nie spotykałem.

- Jak możesz to znieść? - wybuchnął Sulien. - A ludzie?

- Mam Ulpię - powiedział Lucjusz, siląc się na uspokajający uśmiech.
- A kamerdyner Sorex wie, ale nikomu nie powie. Jest wart tyle złota, ile waży. - Dama parsknęła jadowitym śmiechem, ale Lucjusz tego nie zauważył i kontynuował: - Czasami... czasami miewam dobre okresy. Tytus... nigdy nie był samotny. Myślę, że teraz może będzie... dziś bardzo się zdenewrował... ale nie wiedziałem, że do tego dojdzie. - Przymknął oczy. - Biedny Leon - powtórzył.

- Ale twój syn... - zaczął Sulien i pokręcił głową bezradny, niczego nie rozumiejąc. - Czy Druzus Nowiusz wie?

- Druzus... - Oczy Lucjusza załśniły od łez. - Och... - szepnął. - Zrujnowałem go. Tak, tak... dowiedział się. - I zerknął na Ulpię takim wzrokiem, że Sulien pomyślał z równą pewnością jak Una: Druzus Nowiusz przyłapał ich razem i nie mieli czasu od siebie odskoczyć - tak to było. Ale dlaczego ona to robi?

- Zresztą minęło sześć lat i nie wydał mnie - dodał Lucjusz. - To chyba nie znaczy dla niego zbyt wiele - nigdy tak nie sądziłem - a to takie niebezpieczne być w tej rodzinie, ja się o to nie prosiłem... Zdajecie sobie sprawę, jakie to niebezpieczne?

Una odpowiedziała płonąącym, pogardliwym spojrzeniem, a Kleomenes, próbując zachować cierpliwość, powiedział:

- Dlatego usiłujemy coś na to poradzić. Pomóż nam.

Lucjusz pogrążył się w zadumie, cicho ocierając łzy z oczu. Ale nagle przeszedł go dziwny dreszcz - wyprostował się i wrzasnął ochryple, w histerycznej parodii władczości Nowiuszów:

- Nie! Nie macie prawa tu przebywać! Macie mnie zostawić! Wezwijemy gwardzistów, Ulpia im powie, że tu wpadliście i mi groziliście... i wtedy nieważne, co powiecie, nikt was nie będzie słuchał... wszyscy skończycie na krzyżu...

Wstrząsnęło to nimi - niemal w równym stopniu dlatego, że zachowywał się tak okropnie i żenująco jak rozkapryszone dziecko, jak z powodu tych słów i faktu, że znaleźli się w pułapce.

- Cicho bądź - rzucił Kleomenes, a gdy Lucjusz i Ulpia rzucili się do dzwonka, sięgnął po broń i wymierzył w Lucjusza.

Wtedy oczywiście ucichli, a Ulpia zaczęła popłakiwać, ale szepnęła:

- Nie bądź głupi. To na nic. Tak nie sprowadzisz tu cesarza. Tyle zwojujesz, że cię zabiją. Wiesz o tym.

- Cicho - powtórzył Kleomenes, lekko dygocząc, bliski paniki na myśl o tym, co zrobił, i usiłując już tylko znaleźć jakąś drogę ucieczki. Ulpia miała rację. Poza tym sama myśl o wiązaniu i kneblowaniu cesarskiego brata była dostatecznie okropna, choć jeszcze gorszy był fakt, że nic by Kleomenesowi z tego nie przyszło.

Ale Una podeszła, jakby nie dostrzegając beznadziei sytuacji, i spojrzała na Lucjusza.

- Czy cesarz ci powiedział, gdzie jest Marek? - spytała łagodnie.

- Nie - wydyszał Lucjusz, zezując w stronę broni. - Dlaczego miałby mi mówić?

Una tylko się w niego wpatrywała i jakby nie reagowała, ale Sulien zdrzął z rozczarowania. Przez chwilę on także stał jak skamieniały, wpatrzony w broń i Kleomenesa, który miał tak nieszczęśliwą minę, jakby broń wycelowano w niego. Być może stracili szansę ucieczki, a nic nie zyskali. Sulien odwrócił się, gwałtownie czegoś szukając, przesunął ręką po drzwiach i znalazł klucz sterczący z zamka. Wyrwał go i jednocześnie zawołał:

- Nóż! Kleomenesie, masz nóż?

Lucjusz i Ulpia pobledli ze strachu, a Dama odezwał się tak samo cicho jak poprzednio:

- Ja mam.

Wyplątał go z kieszeni, stary, tępy, bezkształtny, z jednym ostrzem osadzonym na zawiasach na zwykłym metalowym trzonku, i Una zrozumiała, że to ten nóż, którym miała zabić Tasjusza. Trzymał go w lewej ręce, kciukiem i palcem wskazującym, ale to najmniejsze palce podtrzymywały cały jego ciężar. Trudno było nie dostrzec, że w jego ręce nóż nie jest niebezpieczny. A jednak jakoś jej ulżyło, kiedy znalazł się w dłoni Suliena.

Przewód dzwonka biegł w ścianie, wyłaniał się z niej tylko przy podłużnej, płytkiej wnęce, w której był osadzony. Sulien ostrożnie wyminął Kleomenesa, Ulpię i Lucjusza i starannie przepiłował kabel. Puścił go powoli, modląc się, żeby dzwonek się nie rozjazgotał. Wiedział, że Ulpia się w niego wpatruje i modli o coś przeciwnego. Kabel zniknął we wnęce.

- To jeszcze mało - odezwał się Kleomenes sucho.

- Musi wystarczyć, idziemy - rzucił Sulien, pociągnął Kleomenesa i Unę i wycofali się do drzwi. Sulien przekręcił klucz w zamku. Schodząc

po schodach, słyszeli, jak Ulpia dobija się do drzwi i wzywa pomocy, a skoro oni to słyszeli, to niewolnicy także - i rzeczywiście, Sulien i pozostali znajdujący się na centralnej klatce schodowej spojrzeli w górę, gdzie rozległy się gwałtowne kroki. Przyspieszyli; kamerdyner także usłyszał hałas i biegł ku schodom; mijając go, Kleomenes rzucił:

- Tak, lepiej tam idź, chyba mają jakiś problem... my tu już skończyliśmy...

Przeszli przez ogród do strażnicy, a kiedy pretorianie wyszli im na przeciw, Dama poczuł łomotanie serca, ale pozostali omal się nie rozśmiali, kiedy na widok strapionych, pełnych szacunku min strażników zrozumieli, że żołnierze boją się stracić fason z powodu obecności centuriona.

- Wkrótce się odezwiemy - burknął Kleomenes i minęli ich.

Una chwyciła Suliena za ramię; na jej twarzy pojawił się dziki uśmiech.

- Kłamał! - szepnęła. - Dowiedziałam się, że jakiś szpital albo sanatorium... Wiem, gdzie to jest!

W strażnicy rozległ się przenikliwy jazgot dzwonka. Kleomenes trącił ich pospiesznie.

- Za mną, uciekać...

Dama wiedział, że właśnie podczas biegu ta resztką sztywności stóp może mu przeszkadzać; mógł biec, ale nie za szybko, a kiedy zaczął zostawać w tyle i zrozumiał, że drzwi strażnicy znowu się otworzyły i wysypują się z nich pretorianie, olśniło go: to prawo natury, stworzenie, które nie umie uciekać, ginie.

Później przeżył chwilę upokorzenia, bo Kleomenes zorientował się, co się dzieje, chwycił go za ramię i pociągnął. Wpadli między szpalery drzew, które za dnia nie stanowiłyby żadnej osłony, bo pretorianie strzelali, na szczęście w ciemnościach nie widzieli wyraźnie celu. Kleomenes ciągnął Damę i kierował Unę i Suliena w dół zbocza, za inny dom, który zasłonił ich, gdy biegli do miejsca, gdzie zostawił samochód. Kleomenes myślał, że przy tym kiepskim świetle nigdy nie zdoła wystukać znajomego szyfru, ale drzwi wyprysnęły w górę po drugiej próbie. Wskoczyli do środka i samochód ruszył z piskiem cichą uliczką.

- Dokąd jedziemy? - wydyszał Sulien.

- Nie wiem - warknął Kleomenes. Skręcił w gęściej zabudowaną ulicę

i, wbrew instynktowi, zwolnił do umiarkowanej, nie przyciągającej uwagi prędkości. Usiłował dojść, skąd nadjadą wezwane samochody wi- gi- lów.

- Tivoli - rzuciła Una bez tchu. - Marek jest w Tivoli.

Kleomenes potrząsnął głową.

- Dobra, tym zajmiemy się później - wymamrotał i skręcił na południe, ku Awentynowi, szukając ludzi i samochodów, wśród których mógł zniknąć.

Nareszcie wszystko się rozstrzygnęło, pomyślał z entuzjazmem Kleomenes. Nie ma się co martwić o pracę albo zastanawiać, czy ktoś go ściga albo czy popełnił błąd. Na razie jedynym poważnym problemem było, gdzie i kiedy pozbyć się tego samochodu, bo wigilowie go znali, a pretorianie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Nie mógł zaprowadzić tych niewolników do siebie ani do brata, nie mógł się od nich uwolnić, stał się taki sam jak oni i nie było na to rady.

Pomyślał, że Lucjusz miał jednak rację: kiedy katastrofa się wydarzy, później nie jest już tak źle. W pewnym sensie.

Zostawili samochód w cichej uliczce na Awentynie i w końcu położyli się na podłogach i siedzeniach samochodu Palbena, w wielkim mrowisku samochodów wokół stacji Janikulum. Przynajmniej niewolnicy mieli kocy, ale było zimno, ciasno i strasznie i chociaż dawno minęła północ, Kleomenes zdziwił się, widząc, jak szybko i głęboko zasnęli. Dziewczyna i jej brat leżeli naprzeciwko siebie na siedzeniach z tyłu; jasne włosy Uny udrapowały się jak szal na jej twarzy, przytrzymała je ręką, jakby chciała, by ją grzały lub zasłaniały oblicze. A młodzieniec z bliznami na przegubach leżał bez ruchu pomiędzy nimi na podłodze. Kleomenes przypomniał sobie chyba jego sprawę, uratował go jakiś kupiec i obaj znikli. Był niemal pewien, że Dama kogoś zamordowała.

Prawdę mówiąc, choć Sulien padł na siedzenie wyczerpany po tych dwóch nocach i leżał nieruchomo, początkowo czekając na sen, a potem go wabiąc, strzały obudziły w nim dreszcz, który teraz pełził przez jego ciało i nie chciał zniknąć. Aż go dziwiło, że ktokolwiek jest zdolny dożyć starości, skoro ciało jest tak podatne na rozdarcia i złamania. Jednocześnie uparte bicie serca nie pozwalało mu zasnąć. Wzdrygnął się na myśl, że jeśli ich złapią, trzeba będzie walczyć i uciekać, inaczej zginana miejscu. Kleomenes przewracał się i wzdychał na siedzeniu z przodu. W końcu Sulien usiadł i spytał cicho:

- Myślisz, że się uda?
- Co? - mruknął Kleomenes, usiłując przekonać sam siebie, że śpi.
- Że uratujemy Marka i... i dotrzemy do Faustusa Augusta.

Kleomenes otworzył usta, ale uciszyła go myśl, która mu się nasunęła: że tak, właśnie na to się odważą, i że jeśli czeka go jeszcze jakaś przyszłość, to całkowicie od tego zależy.

Sulien ciągnął niepewnie:

- Właściwie to nie bardzo... ważne. Wiem, że i tak zrobiłbym dokładnie to samo, już zdecydowałem. Widzisz, chcemy, żeby został następnym cesarzem, to bardzo ważne, to warto... zresztą... nie mógłbym go tak zostawić. Jest tak, jak mówi Dama, oni go zabiją. Wystarczy już to, co zrobili. A poza tym, jeśli się nie uda, to...

Zamierzał powiedzieć coś o śmierci, ale spojrzał na Unę, która leżała z zakrytą twarzą, i stało się jasne, że myśli także o jej śmierci i Damy, i poczuł, że gdyby to powiedział, wywołałyby demony, jakby z góry się poddał. I był też Kleomenes, który nagle obudził w nim wyrzuty sumienia i żal.

- Nie musisz się w to mieszać - powiedział.

- Nie wiem. Co innego mogę zrobić? Sprawę Wariusza trzeba wyjaśnić. Jestem mu to winien. Poza tym... ukrywać się do końca życia? Nie mógłbym. To by nie było życie.

Sulien pomyślał o Lal i mógłby powiedzieć: byłoby, ale zamiast tego tylko pomyślał: No, nieważne, kogo poznałeś, nie tam chciałbyś ich poznać i nie możesz sprawić, żeby sytuacja przedstawiała się tak, jakbyś chciał.

Tylko pokiwał głową.

- W każdym razie, jeśli się nie uda, to będę wiedział, że to koniec. I pewnie dobrze, nie powinno tak być, ale niech będzie. Tylko... tylko zastanawiam się, czy według ciebie istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że nam się uda. Bo potem nie zdołamy się już nigdzie tak wkraść. I wykraść... tak jak przed chwilą, bez użycia broni. - Urwał i dodał cicho: - Choć oczywiście to by było lepsze niż...

Kleomenes ujrzał, że chłopiec otacza dłonią nadgarstek, i odgadł, co może znaczyć ten gest. Ucieczka przed niewolnictwem była zbrodnią samą w sobie i przyszło mu do głowy, że Sulien ma na sumieniu pewnie coś gorszego. Ale to smutne, że ktoś tak młody usiłuje się oswoić z myślą

o własnej śmierci.

Kleomenes znowu pomyślał o Lucjuszu. Sam czuł się trochę obłąkany, uwierzyłby każdemu, kto by mu to wmawiał.

- No cóż - usłyszał własny głos. - Tak. Mamy na głowie pretorianów i wigilów, ale to tylko ludzie. I wiesz... często się przecenia naszą skuteczność w rozwiązywaniu zagadek zbrodni, co dopiero w zapobieganiu im. Zresztą sam musisz o tym wiedzieć. - Sulien parsknął. - Tak - dodał Kleomenes. - To jest... to nie jest beznadziejne, nie jest niemożliwe.

Uspokojenie tego chłopca było tak ważne, że sam przez chwilę uwierzył we własne słowa, choć potem... prawdę mówiąc, kiedy wyobraził sobie to wszystko, pomyślał: no nie, to jakaś bzdura.

Una przespała niemal dwie godziny, ale nie była świadoma, że śpi. Wydawało się jej, że przez cały czas się zastanawia, rozważa problemy, myśli o strażnikach, kamerach, miejscu postoju samochodu - i przez cały czas wiedziała, że tak naprawdę to nie ma znaczenia, dopóki nie zobaczy szpitala w Tivoli. I czuła, jakby się tam już przeniosła, przemierzała schody i piwnice, a jednocześnie widziała dom w Londynie, z którego uciekła, choć rozciągnął się i wyrosły mu nowe zakurzone podłogi i dobudówki, jak nowotwory, i tam się ukrywała, bo nieustannie ktoś ją ścigał. Jednak znalazła okno, przez które się wyczołgała. To dobrze, że przez nie wyszła, bo w takim miejscu Marek na pewno nie powinien się znaleźć, ale nie mogła go odszukać, a później go znalazła i... przerwano jej, zanim zdążyli się dotknąć. Zrozumiała, że to sen, bo czuła, że zbliża się do Marka tylko samą mocą pragnienia, jakoś oszukała strukturę snu, który zamierzał w nieskończoność zmuszać ją do poszukiwań.

Jakiś czas potem odgarnęła włosy z twarzy i leżała wpatrzona w sufit, zastanawiając się nad oknami, myśląc o tym, jak właściwie działa alarm. Ogarnęła ją mdła gorycz po tej fali radości ze snu, jakby ktoś ją ośmieszył. Przez sekundę widziała Marka z najdrobniejszymi szczegółami, rzęsy przechodzące od jasnego do ciemnego blond, asymetryczne usta. Nadal się jej zdawało, że czuje pod dłońmi jego włosy, choć nigdy ich nie dotknęła. Zaczęła się natykać na pierwsze wyrwy w rozumowaniu, tam gdzie była uwikłana w miłość. To straszne, naprawdę, jak tak można, było jej lepiej, kiedy go nie знаła, nawet zanim się przyzwyczaiła do Suliena. Czy nie była wtedy bardziej kompletna? Ale możliwe, że znowu się taka stanie, jeśli nie zdoła ocalić Marka, a sama jakimś cudem przeżyje.

Na tę myśl musnął ją strach. Nie, to na pewno się nie wydarzy.

Poczuła dreszcz zniecierpliwienia. Dlaczego ma tu leżeć i czekać? Znosiła to, póki mogła, bo nie chciała obudzić pozostałych, ale w końcu nie potrafiła już tego wytrzymać, musiała przyjrzeć się temu budynkowi.

Wymknęła się z samochodu jak najciszej, opuściła drzwi i podeszła do zamkniętej stacji elektrycznej. Stała pod ścianą, wychylając się zza niej, sprawdziła okna. Przypuszczała, że gdyby je wybiła, rozdzwoniłby się alarm, ale nie dostrzegła go. Poczuła się trochę lepiej, usiłując rozwi-
kłać tę zagadkę.

Przeszedł ją słaby ostrzegawczy dreszcz, jakby ktoś przeniknął za jej plecami. To Dama szedł od samochodu.

- Wracaj - powiedział. - Na nic się nie przydasz, jeśli się nie wyśpisz.
- Una odsunęła się nerwowo i zaczęła mówić, jakby się go spodziewała:

- Musimy zacząć bardzo szybko. Właściwie już teraz, zanim się lepiej przygotowują, dopóki mają tylko te zabezpieczenia.

I choć mówiła tak oficjalnym tonem, Dama wiedział, że myśli o tych godzinach, które Marek spędził w zamknięciu oszołomiony narkotykiem. Musi wytrwać przez resztę tej nocy i cały następny dzień, zanim w ogóle będą mogli mu pomóc. A Una widziała, że Dama to rozumie. Dziwne, ale odkąd wyszli z groty, znowu odzyskała tę łatwość wglądu w jego myśli, choć przez cały czas miała nadzieję, że od tego ucieknie.

W każdym razie czuła się tak, jakby pragnienie Marka nietaktownie wysączało się przez jej skórę, tworząc obrzydliwe wyziewy. Splotła ręce na piersi, jakby chciała to ukryć, powstrzymać choć częściowo.

- Nic im nie przeszkodzi postawić tylu strażników, ilu zechcą - zauważył Dama. Kiedy Kleomenes spał, czuł się trochę spokojniejszy.

- Tak, ale ja mówię o kamerach i... i takich rzeczach.

- Nie możemy wdrzeć się zbyt szybko. Musimy się przyjrzeć, to trzeba zaplanować. Zadanie będzie wyjątkowo trudne.

- Wiem. Już się zastanawiam.

- No jasne.

Odwróciła wzrok i znowu przyjrzała się oknu.

- Czy można przeciąć szkło?

- Oczywiście - powiedział z lekkim zniecierpliwieniem w głosie, którego nigdy dotąd nie okazywał, gdy czegoś nie wiedziała.

Wzdrygnęła się.

- Czy to coś, co przecina szkło, można kupić bez trudu? - spytała.
- Tak - powiedział, tym razem łagodnie, i dodał: - Znam się na alarmach, zakładałem je w Holzarcie. Przynajmniej potrafię odgadnąć, gdzie się mogą znajdować.

- Dobrze. Do tej pory powstrzymywałam ludzi przed patrzeniem na mnie. Ale nie mogę tego robić ciągle. Pomyślałam... może by iść w stronę rogu budynku.

- Strażnicy na pewno się zmieniają. Może podczas zmiany warty... ale ostrzegam, na pewno to przewidzieli. A co z innymi pacjentami?

I tak przez jakiś czas dyskutowali, starając się rozwikłać problemy, o których już wiedzieli lub które mogli przewidzieć, a kiedy się na tym skupili, napięcie między nimi zaczęło ustępować. Una poczuła wdzięczność za to, że Dama tu jest i że wyszedł z nią porozmawiać, bo pomagały jej takie praktyczne rozważania. Dama wspierał ją w myśleniu.

- To musi być o bardzo późnej porze, bo tak będzie mi łatwiej; wtedy ludzie nie myślą zbyt jasno.

- Nie? A ty, teraz?

- To co innego. Czuję się świetnie. Spałam i chyba mam już dość.

- Raczej nie, przecież wiesz.

Wrócili do samochodu, Sulien jęknął cicho, przelotnie wyrwany ze snu otwarciem i zamknięciem drzwi. I choć Una nie wierzyła, że to możliwe, znowu zapadła w nerwową, intensywną drzemkę. Dama patrzył na jej włosy, zupełnie zwyczajne, wcale nie piękne. I tak bardzo chciał ich dotknąć - niekoniecznie zmysłowo, po prostu musnąć szybko palcami. To drobiazg, nie dowiedziałyby się, ale właśnie dlatego wydało mu się to nieuczciwe, leżał więc i tylko patrzył. Ogarnęła go czułość, jakby zależało mu jedynie na jej szczęściu. Z całą świadomością rozkoszował się tym uczuciem.

Podróż zajęła tylko pół godziny.

- Chyba nikt nas nie śledził - powiedziała Una, ale Kleomenes i tak nieustannie zerkał do tyłu, choć przyszło mu do głowy, że gdyby był konsekwentny, uwierzyłby jej na słowo, przecież jechali do Tivoli tylko dlatego, że tak powiedziała. Usiłował przestać o tym myśleć, ale to go nurtowało. Skąd u niej to przeświadczenie, czy powinienem jej słuchać? Ale

wszystko to było zbyt dziwaczne i niewiarygodne; gdyby zaczął się zastanawiać, musiałby się zatrzymać, a nie wolno mu było, czas naglił.

Pozostali starali się zachować spokój; Sulien nadal miał mdłości ze strachu przed tym, co może nastąpić - to coś już czeka, na wyciągnięcie ręki - ale jakoś zdołał się nieco opanować. Siedział i patrzył na zbliżające się lasy na wzgórzach tyburtyńskich, patrzył sennie - w końcu się nie wyśpał.

W Rzymie Kleomenes pospiesznie kupił mnóstwo przedmiotów w różnych sklepach: sznur, przecinak do szkła, nożyce do drutu, mocna taśma klejąca, młotek (choć to akurat było głupie, to tylko dodatkowy balast, gdyby go użył, z całą pewnością by go usłyszano). Jakoś nie umiał sobie przypomnieć, do czego oprócz popełnienia przestępstwa można by ich użyć. Przynajmniej arkusze grubego papieru prezentowały się dość niewinnie. Śrubokręty. Dłuta. Gips. Czuł się spokojniejszy, choć przypuszczał, że kupił więcej, niż to było konieczne.

Rzecz jasna ciągle miał przy sobie broń, ale liczył na to, że nie będzie musiał jej użyć, bo nie sądził, żeby przeżył strzelaninę.

Kiedy dotarli do Tivoli, odnieśli wrażenie, że pogrążyło się ono w błogim spokoju i zapomnieniu; zabudowa składała się z wdzięcznych domków o rozmaitych odcieniach łagodnie ogorzalej skóry. Zjedli śniadanie na ulicy, przed oberżą, niemal w spokoju, choć z trudem cokolwiek przechodziło im przez gardło. Było zimno, ale wyczuwało się czystość powietrza. Una i Sulien zauważyli obłok kurzu nad Rzymem. Tivoli tuliło się do gór, częściowo zanurzone w drzewa oliwne i cyprysy. Teraz rozumieli, dlaczego ludzie uciekają tu z Rzymu i dlaczego bogacze ukrywają tu swoich szaleńców. Przejrzyste powietrze i kąpiele siarkowe mogą im wynagrodzić, że budzą wstętność.

Ale kilka nabijanych ćwiekami i zdobionych samochodów czekało już pod forum, a rozzłoszczeni ludzie stali wśród swoich niewolników w liberjach; na pewno nie przyjechali tu na wakacje ani wypoczynek. Niewolnicy popychali jakąś młodą kobietę, rozczochraną, zaczerwienioną z wściekłości, do samochodu zdobionego kutym brązem, a ona się darła:

- Nie, nie chcę, nie, nie jadę z wami, nie chcę, nie chcę!

A starsza kobieta, być może matka, o włosach skręconych w sztywne złote loki, ubrana w eleganckie burgundowe szaty, przyglądała się temu z założonymi rękami. Twarz miała wykrzywioną w grymasie obrzydze-

nia albo krańcowego smutku. Wstydziła się ludzi na forum, którzy bezczelnie gapili się na to widowisko.

W sanatorium Galena nie było już innych pacjentów, Faustus kazał wszystkim wyjechać. Ci, których nie można było natychmiast odesłać do domu, spędzili noc we wspianych zajazdach w pobliżu, a ich rodziny pilnie wezwano. Krewni nie mieli pewności, ile gniewu mogą okazać. Bądź co bądź wciśnięto im kłopotliwych bliskich, a zapłacili za ich pobyt. Paru pracowników sanatorium nadal doglądało swoich byłych pacjentów w mieście, reszta - a nieustannie zjeżdżali się nowi - już zajęła się Markiem, jakby samą swoją liczebnością mogli go uleczyć.

Dlatego nie było trudno odnaleźć sanatorium, które nie znajdowało się w granicach samego Tivoli, lecz w dyskretnym oddaleniu, o cztery mile na południe, na zboczu porośniętej lasem góry. Gdy przejechali obok, dostrzegli strażników przed masywnymi wrotami, a za nimi długi podjazd biegnący wśród dębów i kasztanów. Samego budynku nie widzieli.

- Nie możemy zostawić samochodu w okolicy. Nie wiem, jak damy radę się zbliżyć - powiedział Kleomenes, z sykiem wciągając powietrze przez zęby. - A jeśli naprawdę się niepokoją, to pewnie rozstawili ludzi wokół góry, nie tylko na samym terenie.

- Nie zobaczą nas - oznajmiła Una.

- Dobrze, świetnie, nie zobaczą - rzekł, lekko wzruszając ramionami.

- Ale co z tym samochodem? Na pewno ich zainteresuje, dlaczego samochód stoi przez wiele godzin na drodze tuż pod ich nosem. - Niebo zaczęło ciemnieć już przed godziną, nagle rozpadał się gęsty, dokuczliwy deszcz. Kleomenes westchnął.

Objechali górę, zapuścili się w pustą alejkę, gdzie samochód zapewne mógłby stać niezauważony przez wiele dni, ale Kleomenes nadal się niepokoił, dopóki nie znaleźli zarośniętej ścieżki biegnącej w las rosnący z dala od sanatorium. Powoli zaczęli się wspinać po mokrym zboczu. Una czuła narastający, drażniący niepokój.

Także zaczęła się lękać, że zostawili samochód zbyt daleko. Do terenów sanatorium było jakieś osiemset kroków, a kolejne dwieście przez ogrody, gdzie rośla lawenda i sztywne migdałowce. Samo uzdrowisko wznosiło się między nimi jak góra lodowa.

Osiem lub dziewięć minut biegu w ciemnościach? Oczywiście nie-

ważne, jak to daleko, skoro aż do rana nikt się nie dowie o ich obecności. Ale Kleomenes miał rację, górę przeczesywali dwaj inni mężczyźni - na razie żaden nie zbliżył się na tyle, żeby ich Una rozpoznała. Raz spojrzeli przez parkan na teren sanatorium i zaraz uciekli, i ukryli się wśród drzew, bo pojawił się dozorca w pelerynie przeciwdeszczowej.

Od wewnętrznej strony ciągnął się szpaler drzew, kryjących brzydotę metalowego ogrodzenia, gęstwina zapewniała dobrą kryjówkę. Una zatrzymała się i powiedziała:

- Chyba nie zobaczą, jak idziemy w te zarośla... a tam jest ten mały budynek. - Za kępą wawrzynów, wysokich i pękatych, kryła się mała świątynka, prawie w połowie drogi do murów sanatorium. Pomiędzy wawrzynami i świątynią był otwarty teren, a dalej niskie krzaki, które osłoniłyby ich przed okiem strażników spoglądających ponuro z balkonów. Z tej odległości Una mogła stwierdzić tylko tyle co wszyscy: że tam ktoś jest. Nie mogła naprzec na myśli strażników, tak jak nie mogła się do nich odezwać.

Marek nadal był niewyczuwalny.

Dama ledwie zwracał uwagę na wartowników, przyglądał się samemu ogrodzeniu.

- Jeśli je przetniemy, ten człowiek w pelerynie się zorientuje, po to go tu postavili - mruknął. Ale nie było powodu, żeby przecinać ogrodzenie: było zwyczajne, z siatki - Una miała rację, nie mieli czasu zorganizować nic lepszego. Ogrodzenie miało około dziesięciu stóp wysokości i było dość wytrzymałe, a przy odrobinie pomocy nawet Dama mógłby się po nim wspiąć.

- Do tej pory bardziej dbali o to, żeby nie można było stąd wyjść, wchodziło się bez problemu - mruknął, niemal do siebie. - Chyba jeszcze nie założyli kamer...

Ukląkł, zajrzał przez oczka siatki, przy samej ziemi.

- A teraz zamierzam... pamiętacie, co powiedziałem, kiedy zjawiliście się w wąwozie? Tam zamontowałem czujniki na słupach albo tuż pod ziemią...

Spojrzał w deszcz i raptem rzucił się całym ciałem na płot, który zaklekotał i zadrżał.

- Co robisz? - krzyknął Kleomenes.

- Sprawdzam, czy jest podłączony do alarmu - wyjaśnił Dama, szyb-

ko opierając się o ogrodzenie, żeby przestało drżeć.

- A jeśli jest? - Z tego miejsca nic nie słyszeli.

- Musimy się ukryć - oznajmił Dama z wyraźną satysfakcją, która przstraszyła Kleomenesa. Rzucił się w dół zbocza, w las.

I najwyraźniej alarm był włączony. Znowu zanurzyli się w zarośla, przypadli do ziemi, ukryli się za pniami, i wtedy na skraju ogrodu zjawiał się idący szybkim krokiem strażnik, trochę wyprzedzający dozorcę, który musiał co chwila podbiegać, żeby go dogonić. Widział ich tylko Sulien, oparty plecami o drzewo, z nogami ukrytymi w suchych liściach. Obserwował, jak gwałtownie sprawdzają teren wokół ogrodzenia, czasami szarpiąc coś z irytacją. Sulien słyszał rozdrażnione, czujne mamrotanie, ale słowa tonęły w deszczu.

Mężczyzna w mundurze pretorianina wyjrzał przez siatkę i Sulien poczuł się nieswojo.

Una, która obserwowała pretorianina, zorientowała się, że nie był taki jak dozorca ani strażnicy z willi Lucjusza, którzy tylko wykonywali swoje zadanie, bronili terenu przed intruzami. Pomyślała, że jest jak Tajsusz. Zabije Marka natychmiast, kiedy dostanie pozwolenie, lecz na razie miał go pilnować. Wiedział, że Marek nie oszalał.

Ale minął ich. Zdyszana Una przedarła się przez zarośla.

- Musimy odejść. Chyba nadchodzą ci, co się schowali w lesie.

Kleomenes wyłonił się z lasu wściekły i zwrócił się do Damy.

- Dlaczego, do pioruna... nie mogłeś poczekać? Już i tak jest kiepsko, bez twojej pomocy...

Ale Dama go zlekceważył. Patrzył z rozpromienioną twarzą na ogrodzenie.

- Lepiej byłoby czymś w nie rzucić. - Wywłókł na otwarty teren kawał gnijącego drewna, usiłował go wcisnąć Sulienowi. - Tobie wyjdzie to lepiej, ja nie mogę.

Sulien cofnął się.

- Oni kogoś szukają...

Wówczas Una, która przyglądała się Damie z dziwnym grymasem, powiedziała:

- Nie za dnia. - Potrząsnęła głową i syknęła: - Szybko, za wzgórze.

Wiedzieli, skąd nadchodzą strażnicy, toteż bez trudu ich uniknęli.

Przedarli się znowu na tyły domu i Dama kazał Sulienowi rzucić w ogro-

dzenie kawałem drewna. Tym razem poryw wiatru przyniósł do nich cichy odgłos dzwonienia w domu.

- Mogą pomyśleć, że alarm włącza wiatr - wyjaśnił Dama - albo jest jakieś zwarcie. Będziemy tak robić częściej, więc albo się przyzwyczajają, albo go wyłączą. A nawet jeśli nie i za każdym razem będą tu przychodzić w deszczu, to przestaną wierzyć, że ktoś tu jest. Zdołamy przynajmniej dobiec do tamtych wawrzynów, damy radę. Nie wiem, co zrobimy potem, ale...

- Wejdziemy, dopóki jest jasno - powiedziała Una. - I zaczekamy w ogrodzie.

Widziała, że strażnicy na balkonach sanatorium nie zareagowali na alarm, co stanowiło zły znak. Ale rzeczywiście, skoro było tak oczywiste, że nikt nie może zbliżyć się niedostrzeżony do budynku, i skoro sanatorium było zajęte i wszyscy skupiali uwagę tylko na jednym pacjencie, strażnicy i lekarze nie uwierzą, że ktoś się ośmielił tu wejść.

To, co wyprawiali tego dnia, przypominało różne nierozsądne dziecięce zabawy. Przez jakiś czas naprawdę ich to bawiło. Sulien i Una śmiały się półgłosem, kiedy rzucali w ogrodzenie różnymi przedmiotami i wywabiali wściekłych pretorianów na deszcz. Bo strażnicy byli sumienni, za każdym razem się zjawiali, nawet kiedy stało się oczywiste, że prawdopodobieństwo znalezienia kogoś jest bardzo niewielkie. Najwyraźniej mieli rozkaz wszystko sprawdzać, gdy alarm się włączył.

- Dajmy im odsapnąć - powiedział Sulien z udawaną litością.

I zostawili ogrodzenie w spokoju prawie na godzinę, tak żeby strażnicy nabrali nadziei, że usterka sama się naprawiła. Potem znowu rozpoczęli bombardowanie, ledwie dając ochronie czas na ponowne nastawienie alarmu, choć sami byli już zmęczeni i mieli dość deszczu.

Ale deszcz powoli ustawał.

- Może lepiej wejdźmy, zanim całkiem przestanie padać - powiedział Dama. - Wtedy będą pewni, że to przez pogodę. Robi się ciemno.

Nie było późno, ale rzeczywiście na dworze zaczęło szarzeć. Zawahali się. Zanim będziemy mogli coś zrobić, minie z dziesięć godzin, pomyślała Una.

- Dobrze - odparła.

Wycofali się na zachodnią stronę ogrodu.

- Najpierw przierzucimy ciebie - zwrócił się Sulien do Damy.

Kleomenes przyjrzał się chłopcu z powątpiewaniem.

- Na pewno nie chcesz poczekać w samochodzie? - spytał, starając się zachować delikatność. - Może nie musimy wchodzić wszyscy?

Dama spojrzała na niego z niechęcią.

- Nie zostawię tego tobie. - Potem zerknął szybko i opiekuńczo na Unę i Suliena i znowu pomyślał: zrobię to pierwszy. Upewnię się, że nic im nie grozi.

- Una i ja musimy iść - wymamrotał Sulien.

- Dobrze, podsadź mnie - polecił Dama.

Sulien oparł stopę o słup ogrodzenia i znowu usłyszeli ciche dzwonienie w sanatorium. Sulien podsadził Damę, który z trudem przerzucił rękę nad ogrodzeniem i niezdarnie opadł po drugiej stronie. Kleomenes przyglądał się temu z wyraźnym strachem, myśląc, że przy wyjściu to się nie uda. Dama odwrócił się i popędził ku wawrzynom. Sulien skoczył za nim, trochę zawstydzony swoją sprawnością.

Za ścianą liści pod drzewem znaleźli kryjówkę, obłą i nieregularną, na tyle wysoką, że wszyscy mogli stać, aczkolwiek niewygodnie, oparci o konary. Poniżej znajdowały się inne, mniejsze, pękate nisze.

Una zanurzyła się między liście i rozejrzała.

- W porządku. Tam może być toaleta, jeśli będzie potrzebna.

Trzej mężczyźni spojrzeli na nią i odwrócili wzrok zażenowani.

- Dziesięć godzin - przypomniała. - Lepiej od razu postawić sprawę jasno.

Usłyszeli strażnika, który raz jeszcze obszedł ogrodzenie.

- Powinni tu zajrzeć - szepnął Kleomenes.

Ale po tylu fałszywych alarmach pretorianin i dozorca człapali gniewnie wokół ogrodu, a Una nawet nie musiała odciągać ich zainteresowania od wawrzynów.

Zanim deszcz ustał, raz czy dwa uruchomili jeszcze alarm, niemal dla zabicia czasu. Una usiłowała, tak jak już się jej zdarzało, wprowadzić się w stan jakby hibernacji, dopóki znowu nie nadejdzie pora działania. Czas rozpaczliwie się im dłużył. Początkowo za bardzo się bali, żeby rozmawiać. Potem Kleomenes i Sulien zaczęli cicho gawędzić, dziwiąc się za razem, że w ogóle rozmawiają w takich okolicznościach. Una dołączyła do nich, żeby nie oszaleć od świadomości, że Marek jest tak blisko.

Ujrzeni w oknach sanatorium zbliżające się, a potem oddalające świa-

tła, niebo poszarzało, a później wokół domu rozbłysła silna cytrynowa poświata, od której liście wawrzynów zmieniły się w zielone błyszczące tafle.

Przygnębiony Kleomenes westchnął.

- To szaleństwo. Nie mamy szans. Po co przeskakiwaliśmy ogrodzenie, skoro dalej nie dotrzemy?

Una zacisnęła zęby. Wawrzyny znajdowały się naprzeciwko prawego krańca zachodniej ściany sanatorium, toteż gdyby strażnik z południowej ściany odwrócił się w tę stronę, widziałby je - tyle że widok zasłaniała niska owalna świątynia, a raczej jej obła ściana, która sterczała też poza ścianę sanatorium, wrzynając się w ogród od frontu. Una przypuszczała, że gdyby zbliżyli się od strony świątyni, choć znaleźliby się w polu widzenia dwóch strażników, niejednego, byłiby na samym jego skraju, co mogłoby jej pomóc. Ale teren między wawrzynami i świątynią był dość widoczny dla pretorianina przy ścianie zachodniej, i choć wyraźniej dostrzegała kształt jego myśli, nie miała do nich dostępu.

- Może kiedy się zmienią - wymamrotała.

- Nic nam z tego nie przyjdzie - oznajmił Kleomenes. Una miała ochotę wrzasnąć na niego, ale miał rację, bo parę godzin później, gdy wyglądała spomiędzy liści, zobaczyła, jak strażnik wychodzi na balkon i staje obok kolegi, który nie odwrócił się, dopóki tamten nie zajął pozycji. Nie rozmawiali ze sobą, nie zdekoncentrowali się ani na moment. Nie było ani chwili, kiedy ogród pozostawałby bez dozoru.

Una wtuliła twarz w dłonie i spojrzała przez trawy na małą białą świą- tyńkę.

- Chyba dam radę - powiedziała do Suliena. - Jeśli będę dostatecznie blisko.

- Nie pozwolisz, żeby nas zobaczył? - spytał szeptem. - Ale jak się tam dostaniesz?

Oboje spróbowali zmierzyć pustą przestrzeń dzielącą ich od świątyni i wyszło im około czterdziestu kroków. W oczach obojga był to wielki pusty teren, zalany jaskrawym światłem.

Sulien spojrzał na mężczyznę z bronią stojącego przy ścianie sanatorium.

- Una, nie - wyjącał.

Po co się jednak fatygował? Nie mógł jej powstrzymać. Mieli wrócić

do ogrodzenia?

- Chyba widzę tyle, że będę wiedziała, kiedy to zrobić.
- Przynajmniej... może coś zrobimy? - spytał, gorączkowo szukając jakiegokolwiek innego pomysłu. - Odciągniemy ich uwagę. Znowu uruchomimy alarm.
- Ale tamten się nie rusza, kiedy alarm dzwoni. Mógłby nawet zacząć bardziej uważać. I wszystkich postawimy na nogi. Nie, zaczekam, aż się znudzą i zmęczą. - Uśmiechnęła się, starając się go pocieszyć. - Na razie tego nie zrobię.

Sulien niemal by wolał, żeby poszła od razu, skoro tak postanowiła, byłoby mniej czasu na wyobrażanie sobie, co się stanie, na gorączkowe i nieskuteczne poszukiwania lepszego pomysłu, powtarzanie w myślach tysiące razy: nie, nie wolno jej pozwolić, muszę jej zabronić. Siedzieli razem u stóp drzewa i milczeli.

I stało się, żołnierz lustrował wzrokiem ogród i coś w głębi przykuło jego uwagę, jakiś kształt nie przypominający człowieka, nie będący zagrożeniem... ale czy to dziwnie sterczący krzak, czy też jakiś śmieć, którego dozorca nie sprzątnął? Jedna, dwie sekundy - muszę wyruszyć teraz, pomyślała Una, więc odetchnęła głębiej i szepnęła do Suliena:

- Zamacham. Przychodźcie po kolei. - Nie mogła się ruszyć, nogi jej zeszytywniały, gdy czekała na sygnał i na to, że żołnierz podniesie wzrok, znowu spojrzy na ogród, bo nic nie mogło go powstrzymać. Zmarnowała sekundy, w trakcie których mogłaby dotrzeć do świątyni. Powiał wiatr, kształt się poruszył. To chyba krzak, pomyślał strażnik i odwrócił wzrok. Una wydała cichy, bolesny jęk porażki. Pomyślała o Marku i ogarnął ją wstyd i zdumienie, że okazała się takim tchórzem.

- Powinam iść... to naprawdę niedaleko - powiedziała ochryple.
- Miałaś rację - odparł Sulien - to nie tak daleko. - Odchrząknął. - Teraz będzie łatwiej.

Minęła dobra godzina - tak, zdarzały się momenty, kiedy strażnik tracił koncentrację, ale zawsze zachowywał coś w rodzaju czujności, był gotowy wyrwać się z odrętwienia. Tak bardzo jej zależało, żeby nie przegapić okazji, że za każdym razem, kiedy spoglądał na przeciwną stronę ogrodu, myślała rozpaczliwie: czy to odpowiedni moment?

Zobaczyli, jak pociera twarz, opuścił rękę, westchnął, uniósł wzrok, bo na niebie się przecierało, pokazało się parę gwiazd, i wydawało mu

się, że zobaczył przelatujący daleko spiralot, a jednocześnie nawet nie zwrócił uwagi, że o nim myśli. Choć musiał spać w dzień, żeby się przygotować, zmęczenie ogarnęło go tylko na chwilę, co Una momentalnie wyczuła.

- Chyba teraz - szepnęła.

- Ruszaj - powiedział Sulien pewnym tonem i wiedziała, że z trudem wykrztusił to z siebie, ale udała, że tego nie zauważa. Wypełzała w to żółte światło, najpierw powoli, by nie poruszyć liści.

Nie myśl o niczym, nakazała sobie, biegnąc wpatrzona w jasną ścianę. Ale nie mogła przestać myśleć, choć czuła, że to wysysa zwinność z jej ciała, ta biel, którą sobie wyobraziła, była ledwie widoczna. Zorientowała się, że ściana nie zbliża się wystarczająco szybko, zaczęła liczyć sekundy tego pędu, usiłowała oszacować, czy nie oszukuje, nie liczy zbyt powoli, czy się nie łudzi, że ma więcej czasu. Dręczył ją niepokój i świadomość, że Sulien i Dama wpatrują się w nią bez tchu, i jak zawsze pomyślała o Marku - a wtedy strażnik drgnął i uświadomił sobie, że w dole coś się porusza, coś ciemnego, po lewej, śmigłe jak strzała. Odwrócił się w stronę świątyni, podniósł broń.

Una upadła w cieniu świątyni, a padając na trawę, usiłowała jednocześnie wykonać skok przez przestrzeń dzielącą ją od strażnika, żeby zadziałać szybciej i gwałtowniej niż kiedykolwiek. Wartownikowi zdawało się, że coś zobaczył, nie umiał jednak ocenić co. To ptak, to ptak, to na pewno tylko ptak - Una napała na tę myśl, wcisnęła mu ją. Długo wpatrywał się w przestrzeń wokół świątyni. Nie, nic tam nie było.

Una miała świadomość, że serce jej łomocze, a jednak, tak oddalona od siebie, leżała nieruchomo, jak czasami we śnie, w którym bezsilnie ześlizgiwała się z dachu.

Bardzo długo pozwalała strażnikowi się rozglądać, czujnie i ostrożnie, starała się tylko nieustannie wmuszać w niego myśl o ptaku w nadziei, że za chwilę zacznie wierzyć, iż naprawdę widział ciemne skrzydła. Sulien i Dama obserwowali ją ze zgrozą; leżała oparta o ścianę, całkiem nieruchomo, a kiedy podnieśli wzrok na balkon sanatorium, przekonali się, że strażnik spogląda w jej stronę. W końcu Una westchnęła i przypomniała sobie o sprawdzonej metodzie gładzenia, uciszania, koncentrowania sennego nastroju, który musiała wywołać. Dopóki jeszcze jest sama, rozpocznie ten sam proces w drugim pretorianinie na południowej ścianie -

to było trudne i wyczerpujące, choć możliwe. Pomachała ręką wolno, na oślep, nie patrząc na wawrzyny.

Sulien natychmiast rzucił się ku niej. Una zaciskała, a potem rozluźniała chwyt na myślach obu mężczyzn, tworząc ledwie wyczuwalne parosekundowe przerwy, choć pretorianom wydawały się nawet krótsze, jak mrugnięcie.

Dama dołączył do nich ostatni, nadal rozdygotany po jej biegu, wciąż pamiętał, jak uciekała przed Tasjuszem.

Razem skulili się pod obłą ścianą, zdyszani - nie z wysiłku, lecz zaskoczenia, że w ogóle im się udało. Po tej stronie byli bezpieczni, nikt ich nie widział. Powoli ruszyli wzdłuż ściany, przez mroczne drzwi widzieli posąg jakiegoś młodego boga, Apollina lub Bachusa - medycyna i szaleństwo, pomyślał Sulien - ale nie potrafili rozpoznać, który to. Tym razem szli parami, najpierw Sulien i Una, którzy zostawili Damę i Kleomenesa w kałuży mroku pod świątynią. Kleomenes ze zdumieniem ujrzał, że Una ponownie odwróciła uwagę pretorianów. Biegł wraz z Damą przez zalany światłem ogród, wystawiony na spojrzenia, a pretorianie nawet nie drgnęli.

Miał świadomość wrogości Damy i nawet był pewny, że młodzieniec jakoś doprowadził do tego, by znaleźli się w parze - żeby mieć na niego oko, chronić przed nim przyjaciół. Kleomenes przyjrzał mu się w desperacji i nawet wymamrotał:

- Co twoim zdaniem mógłbym zrobić? Wydać cię, teraz?

Ale Dama nie odpowiedziała. A Kleomenes pomyślał, że nawet gdyby raptem postanowił wezwać pretorianów, to czy Dama by coś zrobił.

Una i Sulien popędzili po przekątnej do rogu budynku, a potem skryli się w ozdobnych krzewach, nagle znikli im z oczu. Ku swojej radości Kleomenes pojął, że wzdłuż ściany sanatorium musi biegnąć wykop, przynajmniej po tej stronie, żeby światło mogło wpadać w okna pomieszczeń w piwnicy. I bardzo dobrze się stało, tam będą bezpieczni, nikt ich nie zobaczy.

Ale kiedy on i Dama ruszyli, Kleomenes nadal powtarzał sobie: to musi być sen, to niewykonalne. A jednak im się udało, dotarli do wykopu. Zeskoczyli na wilgotny beton przy ścianie.

Kleomenes podszedł do najbliższego okna, parę kroków z lewej strony, bliżej strażnika na balkonie. Zajrzał do środka, żółte światło z ogrodu

wpadało do mrocznego pomieszczenia, niewiele widział, ale pokój czy korytarz w głębi także musiał być pogrążony w mroku, pod drzwiami nie dostrzegł smugi blasku.

I tak jak sądził, w szkło wtopiony był cieniutki drucik, który biegł wokół framugi. Miał pęknąć, gdyby ktoś wybił szybę, i uruchomić kolejny alarm. Kleomenes zmarszczył lekko brwi, otwór, który musi wyciąć, nie będzie zbyt duży.

Najpierw wyjął taśmę, oderwał zębami kawałek i nakleił na szybę, wzdłuż przewodu tworzącego prostokąt. Una, która nadal tłumiała czujność strażnika, spojrzała na niego niemal sennie. Nawet Dama, który widział, co robi Kleomenes, poczuł podziw dla sprawności, z jaką ten ciął szybę z przykrym dla uszu zgrzytem. Kleomenes dokładnie pamiętał, gdzie jest wszystko, nieomylnie znajdował w plecaku Suliena gips i papier. Możliwe, że zawsze pragnął zrobić coś takiego.

Rozsmarował gips na prostokacie szkła, ale nie był zadowolony z jego gęstości; nabrał garść mokrej ziemi z grządki, zmieszał ją z packą.

- Pomóż - rzucił krótko. Sulien usłuchał, starannie rozprowadził kleistą papkę na oknie, bo czuł kruchość gromadzącą się w wyżłobionych kreskach.

Kleomenes przyłożył papier do papki, przez chwilę się wahał, bo łatwo mógł się pomylić, cios musiał być mocny, żeby szkło pękło wzdłuż nacięć; pomimo iż taśma przytrzymywała szybę, pęknięcia mogły sięgnąć wyżej i przerwać drucik, i choć papka i papier miały scalić szkło i stłumić dźwięk upadającej szyby, na pewno nie da się uniknąć hałasu. Puknął w gąbczasty papier raz, delikatnie. Potem przebił go pięścią na wylot, a prostokąt szkła obrysowany taśmą upadł z wilgotnym chrupnięciem, bez brzęku.

Ale i tak wszyscy się skrzywili i przez parę minut siedzieli nieruchomo.

Kleomenes przyglądał się z niepokojem, jak dziewczyna prześlizguje się prawie bez trudu przez otwór. Chłopcom poszło niewiele oporniej. Jej brat, choć wzrostem dorównywał Kleomenesowi, był od niego dużo smuklejszy. Masywny Kleomenes musiał skorzystać z pomocy; niezdarnie wykręcał się na boki i raz zamarł, gdy ramieniem lekko musnął oklejona taśmą krawędź szyby, wciąż przytrzymującą delikatny drucik. Nic się nie wydarzyło, więc wpełzli do środka.

Zapaćkane szkło zgrzytnęło i pękło im pod nogami. Znaleźli się w infirmerii sanatorium. Mocny, czysty zapach uderzył Suliena z niespodziewaną siłą, a widok kozetki dla pacjenta i małych szafek przywołał wspomnienia.

Una wydała cichy, przenikliwy dźwięk. Odwrócił się do niej.

- Wiesz, gdzie jest?

Skinęła głową.

- Tak - powiedziała cichutko, z wysiłkiem. - Ale nie jest, nie...

Teraz, gdy ośmieliła się powoli porzucić strażników na balkonach, znalazła Marka, ledwie wyczuwalnego, dwa piętra nad nią, daleko po drugiej stronie domu - z trudem uwierzyła, że dopiero od czterech dni znajduje się poza jej zasięgiem.

- Kiepsko z nim? O co chodzi?

Pokręciła głową.

- Nie wiem. Jest strasznie. To prawie nie on... - I tak naprawdę było, a jednak niezupełnie. Musiało się wydarzyć coś przerażającego, wydawał się bardzo oddalony, jakby znajdował się na groźnej, stromej górze, z dala od wszystkich.

- No, tak myśleliśmy - rzekł Sulien cicho. Przez chwilę nikt się nie odzywał. - Te drzwi pewnie są zamknięte na klucz.

Miał rację, ale zamek był prosty, w pomieszczeniu trzymano tylko pacjentów, których dla ich własnego bezpieczeństwa należało izolować. Kleomenes rozkręcił go na części, niezadowolony tylko ze straty czasu.

- To jest nasza droga ucieczki - mruknął - musimy tędy wracać.

Ruszyli korytarzem, wymacując drogę jak ślepcy, nie ośmielając się zapalić żadnego światła. Korytarz był kręty, gwałtownie i niespodziewanie przechodził w schody. W końcu dotarli na klatkę schodową i wyszli na parter, gdzie przynajmniej było coś widać, bo żółte światło z ogrodu wpadało przez nieosłonięte okna, kładło się w szerokim pustym holu, lśniło na posadzce pogrążonej w ciszy jadalni. Nagle poczuli się odsłonięci i uciekli pod ściany.

W głębi holu wznosiły się potężne schody.

- On tam jest - szepnęła Una, którą przytłaczała bliskość Marka. - Ale otaczają go ludzie. Nie można... nie można nawet się zbliżyć do tego pokoju, są na szczycie tych schodów, wszyscy czuwają.

- Jak to? Gdzie to jest? - spytał Kleomenes.

Una skrzywiła się i ruszyła cicho przez hol. Skradała się po schodach, z których dostrzegła podest. Po chwili wróciła do swych towarzyszy.

- Tam jest galeria, szklane drzwi i korytarz z sypialniami, ale oni siedzą przed drzwiami, wszędzie palą światła, nie można się przekraść. I są inni ludzie, śpią w głębi korytarza, pewnie lekarze. Całe piętro...

- Ale do tej pory nikt cię nie widział, nie pozwoliłaś! - odezwał się Sulien

- Tak, ale drzwi są zamknięte. Nie potrafię zdobyć klucza i przeprowadzić całej naszej czwórki - oni stoją nam na drodze.

Kleomenes pokiwał głową.

- Tak myślałem - powiedział.

Przez głowę Uny przemknęła absurdalna myśl: to niesprawiedliwe, strażnicy nie mieli prawa tak blokować całego piętra.

- A piętro wyżej? - spytał Kleomenes.

Una odetchnęła, zastanowiła się, skupiła.

- Tam powinni być inni pacjenci. Nie, tam jest pusto. Ale te schody...

Z miejsca, w którym stali, widzieli światła na pierwszym piętrze.

- Jest inna droga - odezwał się Sulien, nagle uświadamiając sobie z niepokojem, że w takim budynku muszą być niewolnicy do sprzątania, a oni poruszają się ukrytymi korytarzami, takimi jak w domu Catavignusa - przeznaczonymi dla niewolników.

I znaleźli wąski korytarzyk wijący się za jadalnią, ale Una potrząsnęła głową i pociągnęła ich w tył, bo tam na podeście pierwszego piętra także stał strażnik, a schody były tak wąskie, że gdyby tamtędy weszli, musieliby na niego wpaść.

- W takim razie w drugą stronę - zaproponował Dama.

Stali przez chwilę, jakby zbierali siły przed dźwignięciem ciężaru.

- Dobrze - rzekł Kleomenes, wyjął broń i ruszyli korytarzem ku schodom.

Jedna rzecz pomagała Unie: strażnicy raczej się nie spodziewali intruzów na podeście. Już się nieco poddali nocnej ospałości, raczej siedzieli, niż stali, czasami czytali, niekiedy nawet trzymali twarz w dłoniach i zamykali oczy, choć nie pozwalali sobie na drzemkę. Una przycupnęła na czwartym schodku, przytuliła twarz do balustrady, zamknęła oczy. Wymamrotała coś bezgłośnie do Suliena i choć nie był pewien, czy dobrze zrozumiał, i nie chciał opuszczać jej pierwszy, pomknął schodami, oparty

mocno o balustradę, żeby schody nie trzeszczały pod jego ciężarem. Dotarł na górę, naprzeciwko drzwi prowadzących na korytarz, i ujrzał strażników, bardzo blisko, jednego wpatrującego się w gazetę przekrwionymi oczami, drugiego spoglądającego jakby prosto na niego, co zatrzymało go na straszne pół sekundy; kiedy nie dostrzegł schodów wiodących na drugie piętro, nie wiedział, w którą stronę pójść. Una chyba usiłowała mu powiedzieć „w prawo”, więc niemal na oślep skoczył ku kątowi galerii, gdzie znajdowały się następne schody, węższe i ciemniejsze.

Una zjawiła się ostatnia, wyczerpana tym wysiłkiem, ale ledwie spojrzała na strażników, dopóki nie dotarła do bezpiecznych ciemności drugich schodów. Nie zatrzymała się, od razu na nie weszła.

Poprowadziła ich, pchnęła podwójne drzwi, weszła w czarny korytarz, gdzie nieliczne otwarte drzwi ukazywały opustoszałe sypialnie. Szła coraz szybciej, prawie biegła, aż na koniec korytarza, gdzie raptem rzuciła się do jednego z nieoświetlonych pokoiów. Znaleźli ją klęczącą na podłodze.

- Tu - rzuciła. Dama spojrział na jej rękę, nieświadomie przyciśniętą do dywanu, niemal go pieszczącą.

Kleomenes przeciął dywan, powoli podważył deski, odbił tynk. Pokoje miały wysokie sufity i w ciemnościach ledwie widzieli podłogę, ale z trudem powstrzymali Unę, która chciała od razu prześliznąć się przez otwór. Kleomenes chwycił ją za ramiona; zawisła w powietrzu. Opuścił ją spadła, przykucnęła w kręgu gipsowych okruchów na podłodze.

- Marek - szepnęła.

Pokój wypełniał mrok, znaleźli się w zbiorniku mroku, oddychali nim, spoglądali na siebie poprzez niego. Marek był cieniem na łóżku, ona cieniem na środku pokoju. Nie widzieli swoich twarzy. Minęła chwila, zanim Una zdała sobie sprawę z panującego dokoła bałaganu, wywróconych mebli, pościeli leżącej jak ciemny kopczyk u jej stóp. Pewnie ją tam rzucił. Choć było tak późno i leżał, to nie spał. Tak jakby - zdarzały się chwile, kiedy sądził, że tak może naprawdę być - pozbawiono go zdolności zasypiania. Serce mu łomotało, jakby przed chwilą skończył długi bieg.

Podniósł się na łokciu. Powoli uniósł oczy do dziury w suficie. Wzdrygnął się, kiedy hałasowali, patrzył zaniepokojony na tynk sypiący się na podłogę, ale jakoś nie poczuł zaskoczenia. Do pokoju wsypywał się gęstszy, bardziej namacalny mrok, jak czarny piasek.

W samym jego środku stała żywa kolumna mroku, lekko dygocząca, chłonąca całe światło. Przybrała kształt Uny. To już się zdarzyło, ciągle się zdarzało. Nie wiedział, jak długo to stworzenie tu przebywało, czas był taki rozciągliwy.

Ale pamiętał, że podano mu narkotyk, teraz już parę razy, że tak się ciągnęło latami, całe życie, dłużej - stuleciami. Pewne sprawy uderzały go z mocą objawienia: wiedział, co się przydarzyło czasowi, dlaczego odnosił wrażenie, że znalazł się poza jego granicami - już raz umarł (pamiętał ten wstrząs). Poza tym zdawał sobie sprawę, że jego rodzice nie żyją, a przecież tu przyszli. Nie widział ich, ale byli blisko. Czasami sądził, że są w sanatorium, w pokoju piętro niżej albo za ścianą; niekiedy nawet zbliżali się bardziej, ukryci za fałdą przestrzeni. Słyszał, jak się za nią poruszają.

Ani przekonanie, że oszalał, ani wspomnienie zastrzyków nie pasowało do tej myśli. Wszystko wydawało się jednakowo prawdopodobne.

- Marku - odezwała się Una znowu i przez chwilę odniosła wraże-

nie, że jeśli się do niego przytuli i pocałuje go, to wystarczy. Ale ku jej przerażeniu obezwładnił ją nagły paraliż; podniosła wzrok i - co było do przewidzenia - zobaczyła Damę pochyloną nad otworem w suficie.

Powoli podeszła do łóżka, a Marek... cofnął się! Był do niej zwrócony twarzą, ale się wzdrygnął, usiadł sztywno na materacu, nie odrywając od niej wzroku.

Stworzenie o głosie Uny brnęło do niego przez zmarszczoną taflę sięgającego kostek mroku. Czerni nadal się przelewała, małe ulotne obłoczki unosiły się znad jej wzburzonej powierzchni. Znowu obudziła się w nim zgroza, już nie strach przed śmiercią, po prostu zgroza nie dająca się wyjaśnić, nieopanowana, nieskończona.

- Odejdź, wyjdź - powiedział.

Una cofnęła się, niezdolna zapanować nad nagłym bólem. Stała bezradnie i zobaczyła to wszystko, jadowitego mrocznego przebierańca sunącego przez pokój - siebie; poczuła ten bezkształtny czas, dotyk rozlewającej się na skórze czerni.

Otrząsnęła się i spojrzała ze strachem w górę. Kleomenes i Sulien coś robili ze sznurem; gdyby postawiła przewrócony stół, mogłaby stanąć na nim z Markiem i wspiąć się, ale Marka w tej chwili do tego nie zmusi. Już teraz sytuacja wyglądała groźnie. Una nie widziała innego wyjścia, w oknach były kraty, zresztą gdyby spróbowali go przepchnąć na zewnątrz, spadłby bezwładnie.

Nie ośmieliła się włączyć światła.

Znowu się ostrożnie zbliżyła, a Markowi ten skradający się cień wydał się rozpalony, dymiący, jak metal rozgrzany niemal do czerwoności. Wzdrygnął się, kiedy postać ostrożnie wyciągnęła ręce. Ale te palce były chłodne, a ona zbliżyła się tak, że dostrzegł jasne włosy w świetle sączącym się przez okno, i naprawdę wydawało mu się, że to twarz Uny.

- Marku, proszę cię... widziałeś mnie cztery dni temu, pamiętasz? Ja...
- Urwała, zawahała się. - Słyszeliśmy, co zrobiłeś, widziały to miliony osób. Wszystko przygotowałeś, teraz trzeba to skończyć. To nadal możliwe.

Marek spojrzał na dłonie, które trzymały go za ręce. Nie mógł opanować podejrzliwości. Czuł, że zaraz zostanie jakoś ośmieszony, i zgadzał się na to, był aż tak głupi.

- Schodzę - odezwał się Sulien, zsuwając się niezdarnie w czarny

strumień.

Marek znowu się wzdrygnął, zrozumiał, że zjaw jest więcej.

Ale ten głos...

- Sulien? - zaryzykował.

- Tak. - Sulien wyłonił się z czarnego wodospadu, nieświadomie przeszedł przez gęsty cień na podłodze. Przyjrzał się ostrożnie Markowi. Jak długo ta substancja się neutralizuje? Może dzień? Marek dostał narkotyk pewnie dwa lub trzy razy, podali mu go strażnicy albo jakiś nowy doktor; personel sanatorium nie mógł zobaczyć, jak Marek spontanicznie odzyskuje świadomość. Czuł na sobie nieufny wzrok Marka i powiedział:

- Jesteś zdrowy, naprawdę, nie zawsze taki byłeś. To nie potrwa długo.

- Możesz coś poradzić? - spytała Una.

- Tak - odparł, patrząc na Marka. - Nawet muszę, prawda?

Sulien się niepokoił. Zawsze najpierw musiał dokładnie zrozumieć, co jest nie tak, a tutaj bał się, że nie zdoła. Podszedł do łóżka jeszcze wolniej niż Una, choć obawiał się, że ta ostrożność pogorszy sprawę, że wygląda, jakby się skradał, czaił. Usiadł i usiłował wyjąć rękę Marka z dłoni Uny, by sprawdzić mu puls. Marek wzdrygnął się i wyrwał rękę.

- Dobrze - powiedział Sulien kojąco, mimo że przez chwilę nie wiedział, co dalej. Postanowił, że w ogóle nie będzie dotykać Marka, choć tak było mu o wiele trudniej. Musiał wymyślić coś innego.

Zaczął cicho mówić:

- Słuchaj. To nie ma z tobą nic wspólnego. To tylko substancja, działa niezależnie od ciebie. Ale ja... - Głos mu zamarł.

Odnalazł właściwy cichy ton i rytm, a słowa miały nie tylko przynieść Markowi ukojenie, były jak substancja nośna. Zaczął dostrzegać (nie całkiem oczami) wrzenie i iskrzenie w komórkach o kształcie gwiazd, wyrzających się z ciemności ciała. Ale to było bardzo skomplikowane, nie wiedział, czy da radę pomóc.

I już czuł, że nie pomaga.

Marek się nie uspokajał.

- Co? - spytała Una, niezdolna wytrzymać w milczeniu. Przyglądała im się w napięciu. I zbyt późno dostrzegła narastający niepokój Marka, zamierającą pokusę, by im zaufać, kiedy usłyszał, jak o nim rozmawiają, jak rozstrzygają, co z nim zrobić.

- Nie jestem pewien... - zaczął Sulien.

Marek nagle odepchnął go tak mocno, że Sulien, nieprzygotowany na atak, upadł, uderzył w meble. Marek podniósł się chwiejnie, stanął na łóżku, choć ono także musiało wkrótce zatonać w ziarnistej czerni chlupoczącej już na poziomie kolan. Nie wiedział, co się stanie, jeśli jej dotknie; w przeciwnym razie popędziłby do drzwi, załomotał w nie pięściami. Demony czy duchy udające jego przyjaciół...

- Nie - powiedział jego głos, głośny i władczy, choć Marek wiedział, że się nie odezwał: - Ich tu po prostu nie ma, i tyle.

Zrezygnowana Una odwróciła się, sprawdziła, czy Sulien nie ucierpiał. Sulien wstał, cały i zdrowy, ale zaskoczony choć wiedział, że Marek nie jest niczemu winny. Spojrzeli na siebie z Uną, nieszcześliwi. Bali się, że jeśli znowu podejda do Marka, mógłby krzyknąć albo ponownie się na nich rzucić, a wtedy ktoś usłyszy hałas.

- Na Boga - odezwał się Dama do Kleomenesa - zejdz tam i go ogłusz. Musimy go wynieść.

Marek wzdrygnął się. Musiał stawić czoło tej możliwości. Choć była straszna. Może w ogóle ich nie spotkał. Jeśli nie było ich w tym pokoju, to pewnie w ogóle nie istnieją.

- Nie, nie rób tego - zaprotestowała Una. Oczy ją zapiekły. Z rozpacz, impulsywnie, chwyciła gwałtownie Marka za rękę, zapominając o powolnych, ostrożnych ruchach. - Marku, wiem, że w to nie wierzysz.

Stęzał, ale nie wyrwał ręki. Nie, to prawda, poczuł to z bezbrzeżną ulgą, ale nie potrafiłby wymyślić Uny i Suliena ani żywić do nich takich uczuć, i to trochę go pocieszyło, jednak istnieją, albo gdzieś istnieli, w jakimś niedostępnym rejonie świata. Una...

Kleomenes siedział z nogami spuszczoneymi w otwór, niezdecydowany. Dama miał rację, choć wysiłki Suliena chyba na nic się zdały. Ale bał się to zrobić, myśl o uderzeniu, które mogło kogoś pozbawić przytomności, a przy tym nie spowodować trwałych obrażeń, nie przychodziła mu tak łatwo jak Damie. W dodatku to Marek Nowiusz. Zresztą nie wyobrażał sobie, jak mogliby przeciągnąć bezwładne ciało przez otwór w suficie.

- Czekaj - mruknęła Una.

Marek uspokoił się odrobinę. W końcu - tak też można na to spojrzeć - lepsze to niż nic. Słyszał głosy Uny i Suliena, nawet jeśli ich tu napraw-

dę nie było, nawet jeśli te sobowtóry mają złe zamiary. Zaszydził z własnej głupoty, płochości, ale pomyślał, że właściwie może dać im spokój - nie wiadomo, co zrobią, ale już nic gorszego go nie spotka.

Sulien znowu zbliżył się do Marka, tym razem nie zwalnając ruchów, tak jak podszedłby do każdego, ale spojrzał na niego niepewnie i przez chwilę nic nie robił.

- Dalej - mruknęła Una - chyba zdołam...

Pomyślała, że jeśli przyczyni się do tego, że Marek usłucha Suliena, jeśli zmusi go do tego choć odrobinę - nawet to może się liczyć. Spojrzała nieruchomo w ciężką czerń, podnoszącą się ku krawędziom łóżka.

- Nic ci nie jest - powiedział Sulien. - Ta substancja i tak by przestała działać. Już teraz traci moc.

Marek i Una powoli spojrzeli na niego, przez czarne bagno, a Una pomyślała, że Sulienowi też można jakoś pomóc.

Przyglądanie się mu przy pracy było niezwykle; czuła, że nigdy nie zdoła tego pojąć - manipulowanie tak niewyobrażalnie małąkimi, ukrytymi cząstkami było niesamowite, ale teraz dostrzegała je nawet wyraźniej niż Sulien. Pomoże bratu, uzmysłowi mu, co jest nie tak.

Nie chciała ukrywać przed nimi, że tu jest, że patrzy. I wiedziała, jak z wielkim wysiłkiem przekierowywać bieg myśli, ale po raz pierwszy odniosła wrażenie, że mogłaby zrobić coś więcej.

Westchnęła, jakby zasypiała; problemy z Markiem oderwały ją od rzeczywistości; przez sekundę nie mogła sobie przypomnieć, co zamierzała - niczego nie pamiętała.

Sulien mówił do Marka:

- Ale ja przyspieszę jej działanie, bo musisz iść z nami; pomóż mi, będzie łatwiej, jeśli zaczniesz mnie słuchać. - Coś w tym głosie nakazywało go słuchać. Kleomenes, siedzący niezdecydowanie nad ich głowami, wpatrywał się w dół zafascynowany.

Potem Sulien zdusił cichy jęk. Przez jedną straszną chwilę wydawało mu się, że mrok w pomieszczeniu zgęstniał, że się porusza, zbija w opary. A potem wszystko znikło i kiedy przeminął dreszcz ulgi, zrozumiał, że właśnie to musi usunąć.

Wtedy właśnie małe pęknięcie w szybie wybitej przez Kleomenesa drgnęło, powiększyło się, zaczęło pełznąć dalej, przerwało cienki drucik i w całym sanatorium ryknął alarm. Ryczał, ryczał i ryczał.

Tak jakby każdy atom obecny w powietrzu się rozdzwonił i ich zaatakował. Z początku tylko jęknęli, pragnęli jedynie uciec jak najdalej od tego dźwięku. Atakował całe ciało, nie tylko uszy. Una z trudem usłyszała własny głos:

- Idą...

Dama krzyknęła boleśnie, wyciągając bezradnie rękę przez otwór:

- Uciekajcie, szybko!

Una i Sulien rozpaczliwie szarpnęli Marka, ale sami byli niemal sparaliżowani tym hałasem, zgrozą i niedawnym wysiłkiem, a on zareagował jeszcze gorzej. Przez chwilę pełną nadziei Sulien zastanowił się, czy nie zdołają się jakoś schować, ale jak ukryć tę dziurę w suficie? A kiedy zaczęli błagać: „Marku, proszę, chodź”, Sulien pomyślał z rozpaczą: jak teraz mamy się wydostać - przez sufit, po schodach? Trzy osoby nie zdążą przejść przez dziurę w suficie, nawet gdyby Marek nie potrzebował pomocy. Strażnicy biegli korytarzem, Sulien słyszał ich mimo jazgotu alarmu.

Kleomenes zeskoczył do pokoju, uderzył dłonią w kontakt. Czerń zniknęła z podłogi, wymiotło ją z powietrza. Marek zobaczył - w bolesnym skurczu źrenic - Unę i Suliena, wstrząśniętych, niezdecydowanych, wciąż obecnych, choć powietrze było pełne wycia, równie namacalnego jak tamten mrok.

Kleomenes jedną ręką zgarnął Marka z łóżka i cisnął na bok, zawlókł łóżko przez pokój, postawił na boku, zablokował nim drzwi. Sulien usłyszał szcęk otwieranego zamka, zobaczył, że drzwi stuknęły o łóżko, i rzucił się ku barykadzie, z Kleomenesem naparli na nie z jękiem. Una przez chwilę stała koło Marka, który zatrzymał się niepewnie przy oknie, wciąż rozdarty wątpliwościami, czując ten hałas, który wił się jak wąż, ale widząc taki sam pokój, jaki widzieli oni. Potem Una rzuciła się do drzwi, usiłując siłą woli dodać sobie więcej masy.

- Nie, pomóż mu, ja przytrzymam! - rzuciła do Suliena.

Sulien zawahał się, ale popędził do Marka, znowu spróbował wyciągnąć gorączkę z jego nerwów. Wtedy Una krzyknęła, drzwi zadygotały, napały na łóżko, i ponownie musiał podbiec do barykady, podtrzymać.

Nad ich głowami Dama spuścił przez otwór linę - Sulien wcześniej przywiązał ją do krat w oknie - ale wiedział, że to na nic. Nie zdoła nikogo wciągnąć, tamci nie mogą odejść od drzwi. Chciał skoczyć na dół, do-

łączyć do nich, ale zwlekał, nie rozumiał, co go powstrzymuje.

Głos z zewnątrz powiedział:

- Odejdźcie od drzwi.

- Nie - odparł Kleomenes. - Jestem uzbrojony. Cofnijcie się, bo zabiję Marka Nowiusza. - Ale Una szepnęła z przerażeniem: - Im to obojętne, nawet chcą, żebyś to zrobił.

Drzwi znowu się zakołysały.

Pomyślała: i tak zrobią, zabiją nas, także Marka, powiedzą, że to nasza wina. Bo tak jest, daliśmy im pretekst. Och, nie pozwól im. Nie, jeśli tak ma być, muszę coś wymyślić. Proszę, daj mi pomyśleć.

To myśl, powiedziała sobie.

Odwróciła się, oparła o łóżko plecami, powiodła spojrzeniem po nieporządnym pokoju, podłodze, po kratkach w oknach.

Wybiegła na środek i krzyknęła:

- Dama! Zejdź, znieś wszystko.

Dama zawahał się. Zrzucił sprzęt Kleomenesa, ale sam nie zszedł. Una nie traciła czasu na zastanawianie się dlaczego, zaczęła grzebać wśród rzeczy, które przez chwilę wydały się jej nieznanne, przez pośpiech straciła bezcenne sekundy, ale znalazła krótkie ostrze, którym Kleomenes przeciął dywan.

- Tam gdzie łóżko - odezwał się Dama.

Posłuchała, nie myśląc, przykucnęła w pustym kącie, wbiła ostrze w dywan, rozdarła go, zgrzytając z wysiłku zębami. Marek przyglądał się jej nieufnie.

- Co robisz? - wymamrotał niepewnie, a ona odpowiedziała:

- Parter... nie ma krat...

Znowu ktoś szarpnął drzwi, a przytrzymywali je tylko Kleomenes i Sulien. Sulien zapał się w miejscu, krzyknął:

- Dama, pomóż!

Dama wydał dziwne, bolesne westchnienie, niesłyszalne w zamieszaniu, i ani drgnął.

- Będą strzelać przez drzwi, już, chcą strzelać przez drzwi, Sulien! - krzyknęła Una.

Przez chwilę kuliła się nieruchomo; Sulien i Kleomenes rzucili się na podłogę; wówczas szarpnęła Marka, ściągnęła go w dół, i znowu rozległ się hałas i trzask drewna.

Drzwi bryznęły drzazgami, kule wbiły się w łóżko, uderzyły w ściany, stłukły szyby w oknie. Una i Marek leżeli, tak więc nie zrobiły im krzywdy. Pogładziła go po włosach.

- Przepraszam - wyszeptła. - Wszystko na nic. Ale... musiałam po ciebie przyjść, musiałam cię zobaczyć.

I musnęła palcami jego twarz, przesunęła nimi po skroni i kości policzkowej.

Drzwi otwały się szerzej. Kleomenes rozpaczliwie strzelił w szparę, leżący na podłodze Sulien kopnął łóżko i z wysiłkiem zamknął drzwi, przetoczył się, by naprzeć na nie z całych sił. Kleomenes dźwignął się, wyprostował, stanął plecami do ściany i znowu strzelił przez drzwi.

Zatrzymał się zdyszany; nic nie słyszał, żadnego krzyku świadczącego, że kogoś zabił czy zranił. Tamci musieli się naradzać; opóźnił atak najwyżej o moment. Zaczął obmacywać ubranie w poszukiwaniu zapasowego magazynka - poprzedni już wystrzelał. Sulien zdołał się podnieść na kolana, przytrzymując drzwi, choć na moment nacisk z tamtej strony zniknął. Wiedział, że to chwilowe, strażników było co najmniej trzech, nadejdą nowi, a Kleomenes nie ma dużo naboii. Una cięła podłogę, ale nie dotarła jeszcze do desek.

Marek patrzył na Unę niepewnie, narkotyk działał coraz słabiej.

- Una - powiedział. - Nie wiem, czy tu jesteś, ale pójdę, gdzie mi każesz.

Wycie alarmu ucichło. Ich krew jakby z wolna stygła, przestała tętnić im w skroniach. Tak jakby wszystkich porwał jakiś wir, a teraz, kiedy ustał, mocniej odczuli, jak bardzo był gwałtowny. Zaraz potem tamci zaczęli krzyczeć przez postrzelane drzwi. Marek i Una leżeli jakby na ciepłej trawie w ciszy zalegającej pomiędzy wrzaskami.

Jakiś głos, przerażająco blisko Suliena, krzyknął:

- Cofnij się! Broń ci się na nic nie przyda. Nadciągają posiłki. Wyważymy drzwi, wszyscy w pobliżu zginą.

- Nie odpowiadaj - powiedział bezgłośnie Kleomenes, choć Sulien miał zamiar wrzasnąć wyzywająco, że w pokoju są ładunki wybuchowe i to strażnicy znaleźli się w niebezpieczeństwie.

- To wasza ostatnia szansa, poddajcie się, a nie strzelę.

I nagle, zanim te słowa przebrzmiały, kolejny potężny cios w drzwi wstrząsnął Sulienem. Kleomenes, który wciąż ładował broń, rzucił się, by

podeprzeć łóżko. Drzwi się uchyliły, zatrzasnęły, znowu uchyliły.

Marek jakby dopiero teraz zobaczył Suliena, wyczerpanego, mocującego się z drzwiami, które nieustannie go atakowały. Podszedł chwiejnie, przez kłębiące się echa, przez rozkołysaną podłogę, i nie wiedząc właściwie, czego nie chcą wpuścić do pokoju i z jakiego powodu, niewprawnie oparł się o zabarykadowane drzwi, obok Suliena.

- Marku, ty głupi draniu, ty idioto - wydyszał bezsensownie Sulien, kiedy siedzieli obok siebie. Prawie nie zdawał sobie sprawy, że coś mówi.

Una znowu zaatakowała podłogę, gwałtownie wbiła ostrze między deski, syknęła z furją, kiedy się nie poruszyły. Uderzyła młotkiem, podważyła i oddarła pierwszą deskę, przebiła się przez tynk pod spodem, szarpnęła za deskę obok - pewnie wystarczy, nie, jeszcze za mało. Musiała krzyknąć, ostrzec tamtych. Kolejna salwa przebiła drzwi, a Una, leżąc w dziurze, nadal szarpała i podważała, choć powietrze trzęsło się od huku. Górne płyty drzwi nad łóżkiem zmieniły się w strzępy, już było widać tamtych, pretorianom będzie łatwiej celować. Kleomenes znowu strzelił, ponownie nastąpiła chwila spokoju.

Una obluzowała trzecią deskę, a Sulien znowu zawołał:

- Dama, zejdź!
- Nie - szepnął przepraszająco Dama, tak że Sulien ledwie go słyszał.
- Nie mogę... nie zdążę się podciągnąć na czas...
- Co?

Dama powiedział pewniejszym głosem:

- Oni nie wiedzą, co tu się stało. Postawcie łóżko na miejsce. Zamasukujcie wszystko. - Una zagapiła się na niego, przestraszona, zagubiona. - Natychmiast!

Początkowo wydało im się to niemożliwe. Kleomenes kolejnym strzałem przepłoszył strażników; Sulien usłyszał nagle własny głos:

- Daj to mnie... jesteś cięższy, przytrzymaj drzwi.
- Nie.
- Nie bądź głupi.

Kleomenes warknął cicho, z rozdrażnieniem, i posłuchał, wcisnął broń w dłoń Suliena, a sam zajął jego miejsce pod drzwiami. Sulien zważył pistolet w dłoni z niepokojem, jakby to nie on o niego poprosił.

- Już - powiedział.

Wycofał się w głąb pokoju i choć nie wierzył w bogów, poprosił Apol-

la: nie pozwól mi nikogo zabić. Strzelił w środek drzwi. Huk wydał mu się rozdzierająco głośny, obudził w nim straszny, narastający dygot, ale zdołał go opanować na chwilę, tylko...

Przykucnięty Kleomenes napał na drewno, Una tymczasem przyciągnęła łóżko na środek pokoju i zostawiła je tam. Kleomenes sięgał po krzesła, usiłował zbudować wokół siebie barykadę. Sulien znowu strzelił, powtarzając:

- Już!
- Chodź ze mną - poleciła Una.

Marek zanurzył się w ślad za nią w rozszarpaną dziurę w podłodze, na oślep skoczył w czerni.

- Już, odstaw łóżko na miejsce - rzucił Sulien, strzelając.

Kleomenes odskoczył od drzwi i kiedy chroniła ich już tylko barykada z krzesel, zaciągnął łóżko pod ścianę, wśliznął się pod nie i zeskoczył. Sulien znalazł się sam w pokoju.

Chciał strzelić znowu, lecz przekonał się, że skończyły się naboje. Dama krzyknął do niego z góry i czymś zaszurał, ale Sulien nie słyszał: rzucił się na podłogę i wpełził pod zwisające prześcieradła, a wtedy roztrzaskane drzwi otworzyły się gwałtownie, przewracając meble.

Kleomenes znalazł Marka na podłodze gabinetu lekarskiego, posiniaczonego i obolałego, z kostką skręconą podczas upadku. Una trzymała go za rękę.

- Ruszajmy - rzucił Kleomenes ochryple. Musieli zaczekać na Suliena. Lecz on się nie pojawił, usłyszeli krzyki i szamotaninę.

Sulien leżał na zniszczonej podłodze i nie mógł się poruszyć. Prześcieradła go ledwie zasłaniały, dziura znajdowała się o krok. Nie miał czasu się obrócić, a teraz każdy szelest by zdradził, gdzie znikli, mógł jedynie wśliznąć się w otwór głową naprzód. Cicho oparł policzek o drewno, dziwną przyjemność sprawiła mu gładź wewnętrznej strony powiek, puls stukający w deski pod jego ciałem, nawet drzazgi w dłoniach.

Dama owinął liną prawą rękę, krzywiąc się z bólu, opuścił dolną część tułowia w otwór, zawisł na sznurze, część ciężaru przenosząc na pierś i lewą rękę.

Pomyślał: no to jazda.

Wierzgnął, szarpnął się, znowu pomyślał o Unie uciekającej przed Tajsuszem i krzyknął w pusty pokój u swoich stóp:

- Uciekajcie, ratujcie się, idą!

Strażnik wszedł ostrożnie do sypialni i zobaczył Damę, wczołgującego się przez dziurę w suficie.

- Zabrali go! - krzyknął. - Są piętro wyżej!

Ruszyli! Biegli po schodach! Dama roześmiała się bez tchu, gdy strażnik szarpnął go za nogi, gdy do nich przywarł i zaczął ciągnąć. W lewej ręce Dama trzymała śrubokręt, którym Kleomenes podważał deski podłogi. Dama spadł na ramiona żołnierza i zamachnął się bezmyślnie śrubokrętem. Nie spodziewał się, że go zabije, ale liczył, że przynajmniej wywalczy cenne sekundy.

Z całej siły wbił śrubokręt w pretorianina. Z niedowierzaniem patrzył na bąble krwi między palcami. Kiedy obaj runęli na podłogę, Sulien widział tylko ręce Damy, ale strażnik bezwładnie odwrócił głowę na bok, spojrzał prosto w oczy Suliena, zachłysnął się, zarzęził. Nie mógł krzyknąć. Śrubokręt sterczał mu z krtani. Dama opierała się o niego, także rżąc, naciskał całym ciężarem. Krew tryskała, buchała, bulgotała.

Sulien patrzył zahipnotyzowany. W końcu Dama wstał.

- Uciekaj, Sulien - powiedział.

Ale nie podszedł do otworu w podłodze, ruszył z hałasem przez poprzewracane krzesła, wyszedł na korytarz.

Sulien nie miał pojęcia, skąd Dama wiedział o jego obecności.

Przez chwilę nie potrafił oderwać wzroku od tego mężczyzny. Strażnik był... jeszcze przed chwilą... pełen życia. Sulien zastanowił się, ile mógł mieć lat. Patrzył na niego, mężczyzna jeszcze żył. Sulien pomyślał, że pewnie nawet mógłby go uratować.

Krew wypłynęła pretorianinowi z ust. Mógł zabić Suliena albo jego siostrę, albo jego przyjaciela, ale to jednak on umierał. Miał przed sobą parę minut samotności, zanim utonie we własnej krwi, a Sulien przyglądał mu się z litością i okropną, przejmującą wdzięcznością, że to nie on musiał go zabić. Ten dygot, który udało mu się powstrzymać, teraz wyrwał się spod kontroli.

Podniósł się, czując na sobie spojrzenie zamglonych oczu żołnierza, odwrócił się i wśliznął w otwór.

Dama wybiegł zdyszany na korytarz, gdzie nikt na niego nie czekał, już popędzili na górne piętro. Roześmiała się. Pognał po schodach znajdujących się z tyłu. Wydawało mu się, że się zorientowali i biegną za nim,

ale wpadł do jadalni i nic się nie wydarzyło. Zatrzymał się przez chwilę, obejrzał się na hol, spróbował odgadnąć, gdzie są Una i Sulien. Już w ogrodzie, na zapleczu sanatorium, biegną na dwór? A gdzie on trafił? Zszedł po schodach dla niewolników, za sobą miał kuchnię, pralnię, znowu się roześmiał, chrypliwie, boleśnie, i wiedział, co musi dalej zrobić.

Wbiegł do pralni, włączył światło, bo dlaczego nie, i wiedząc, czego szuka i gdzie najprawdopodobniej znajdzie, podszedł do skrzynki z bezpiecznikami, jakby sam ją tam zamontował. Znajdowała się wysoko na ścianie, ale wszedł na szafkę i zerwał ją, prawie nie zauważając krwi, którą zostawił na metalu. Szarpnął gwałtownie, uderzył przełączniki, zerwał przewody. Światło zgasło - tak, w ogrodzie także - ale można było je włączyć ponownie, na pewno się zorientują, dlaczego nagle wysiadło. Słyszał już tupot stóp nad głową. Dlaczego nie wziął młotka? Wypadł do kuchni, nalał wody do miednicy, wrócił biegiem, chlusnął na skrzynkę. Przewody zaskwierczały, bluznęły iskrami niebieskiego światła. Dama uśmiechnął się urzeczony i wypadł do holu, na schody prowadzące do piwnicy. W tej samej chwili strażnicy stanęli na szczycie wielkich centralnych schodów i dostrzegli go.

Strzelali, ale Dama pędził jak pocisk, potknął się w ciemnościach, z ostatnich schodków spadł. Zastanowił się obojętnie, czy go trafili, czy to możliwe, że nie zauważył - ale podniósł się, płynnie pomknął, na pamięć, przez mroczny korytarz. - Uciekajcie! - ryknął znowu do wyimaginowanych towarzyszy z przodu i zaniepokoił się, czy ścigający go żołnierze nie usłyszą szaleństwa w jego głosie. Wpadł na ścianę, odbił się, wskoczył przez otwarte drzwi do infirmerii. Nie spodziewał się, że dotrze tak daleko. Wyczołgał się przez zębate resztki okna, wspiął się po niskiej ścianie wykopu i sztywnym krokiem ruszył przez mroczny ogród.

Tak jak się spodziewał, wokół niego ze świstem przelatowały kolejne pociski, ale dopadł ściany świątyni i ze szczerym zdziwieniem stwierdził, że nadal nic mu nie jest. Dostał lekkich mdłości. Zastanowił się, kiedy znajdzie trupa w sypialni Marka. Teraz zabił już czterech...

Ruszył dalej, kule znowu świsnęły. Sądził, że strzelają tylko za nim i że skoro on, z tą sztywną nogą, dotarł tak daleko, to Una i Sulien musieli być o wiele dalej. Udało mu się - prawdopodobnie. Pędził w stronę ogrodu i zdał sobie sprawę, że go nie przesadzi, zdziwiło go, że to w ogóle trwa tak długo, ale skoczył, jakby chciał na nie wbiec, i choć siatka go

zadrapała i ukłuła, zdumiony spadł na mokrą ziemię po drugiej stronie.

Nie miał ochoty się ruszać. Chciał leżeć tam, gdzie upadł. Nagle odkrył, że jest wykończony, nigdy w życiu nie był tak wyczerpany. Załkał, nakazał sobie wstać i pokuśtykał w dół wzgórza. Co teraz zrobią pretorianie? Biegli, omiatając las promieniami latarek. Dama skulił się cicho za odłamana gałęzią, co za ulga tak sobie poleżeć, zwinąć się w kłębek, zniechęcić. Zaszlochał, ale nie z żalu, to było konieczne, dobre! Ocalał im życie, Sulienowi... Unie...

Strażnicy ciągle go nie znaleźli! Jeszcze raz wytarł dłonie o ziemię i ruszył w otępieniu przed siebie. Krew to nic, najgorsze, że nadal czuł ciepło ciała tamtego mężczyzny, szorstkie włosy na jego karku. Musiał go dotknąć, długo dotykać, to taka intymna czynność, zabić kogoś w taki sposób, inaczej niż tamtych trzech...

Wcale nie był bezpieczny, będą go szukać i wiedział, że nie może wrócić do samochodu, teraz dotarło do niego, że od początku nie zamierzał tego robić. Nie miał żadnego środka transportu i tylko trochę pieniędzy od Delira, a tak go bolały ręce i nogi. Szedł, i będzie tak szedł, dopóki go nie zabiją.

Dlaczego do tego jeszcze nie doszło? To było niewłaściwe, rozczarowujące, będzie musiał umrzeć teraz, kiedy czuje się tak słaby, zziębnięty, bezużyteczny, a nie jeszcze przed chwilą, gdy czuł się taki pewny siebie i podekscytowany. Dlaczego, Boże? Czuł, że musi istnieć jakaś przyczyna, i pomyślał: może coś mnie chroni, może ocalałem, bo mam jakąś inną, ważniejszą misję do wypełnienia. Na chwilę rozgrzał go płomyk spokoju i dumy, ale był zbyt zmęczony, by go utrzymać, a wiara, że Unie nic się nie stanie, także w nim przygasła - nawet jeśli udało im się dobiec do samochodu, nie miał pojęcia, gdzie mogliby się teraz skierować. Zrobił wszystko co w jego mocy.

W końcu znowu pokuśtykał w mrok.

Marek biegł, nie zważając na palący ból w skręconej kostce. Mogli biec, wspinać się po tej siatce, znowu biec - godzinami. Czas się dziwnie rozciągnął. Poczucie, że to wszystko nieprawda, już mu nie doskwierało, nie darło pazurami, po prostu leżało cicho wśród innych spraw. I już nie przychodziło mu do głowy, żeby pytać, gdzie jest. Jedno miało sens i to

mu wystarczyło - Una była przy nim - znaleźli się w lesie - w Pirenejach...

Una zagryzała wargi z żalu. Mrok zakrył ogród tak nagle, jakby stał się cud, właśnie w chwili, gdy mieli w desperacji runąć prosto w to ostre światło. Z przeciwległej strony domu dobiegły ich strzały i mogły oznaczać tylko jedno. Ale strzały powtarzały się nieustannie i choć nie można było się z tego cieszyć, po co by marnowali amunicję, gdyby trafili Damę.

W końcu przestali strzelać, a ona nie wiedziała dlaczego. Może będzie przy samochodzie, może pojeździmy i go poszukamy, myślała przez chwilę. Nie ma czasu, ale przecież mówił, że odejdzie, i jeśli nie zginął, to już odszedł.

Rozdygotany Sulien w końcu wysliznął się przez otwór z sufitu, cały i zdrowy, a Marek... Czasami się potykał przez tę skręconą kostkę i wszechobecne wertepy. Una potykała się razem z nim, ciągnęła go za rękę. Kiedy musiała go puścić, żeby wspiąć się na ogrodzenie, własne palce wydały się jej zimne i chude. Przez to nieznanne uczucie, pragnienie dotykania kogoś przez tak długie minuty, straciła trochę czasu, bo po drugiej stronie zwolniła, żeby znowu wziąć go za rękę. Ale potem pobiegli i zapomniała o ogrodzeniu i że w ogóle się rozdzielili.

Wyszli na jezdnię, przebiegli ją. Sulien bał się, że nie zdążą znaleźć samochodu, nadal nie potrafił jasno myśleć, nie mógł sobie przypomnieć drogi. Ale Kleomenes pamiętał, zaprowadził ich na zarośniętą drogę. Czarny samochód wciąż tam stał.

- Dama - odezwał się Sulien z rozpaczą, bo samochód był pusty, a on znów zobaczył ręce Damy, naciskające śrubokręt.

- Trudno. Wsiadać - rozkazał Kleomenes i popchnął go do samochodu.

Potem Markowi wydało się, że wszystko jakby skoczyło, zadygotało - i znowu było tak samo, on i Una biegli przez las, ale to nie miało sensu. Ból znowu rozgrzewał mu kostkę, tym razem mniej zamglony, prawdziwy ból prawdziwego ciała. Rozdęte sekundy skłęśły. Spojrzał na swoje ręce, zobaczył, co trzyma.

Przez chwilę niemal się ociągał ze spojrzeniem na Unę - bo przecież wcześniej jego zmysły padły ofiarą jakiegoś wyrafinowanego podstępu. Ale ostrożnie odwrócił głowę i zobaczył ją. Odebrało mu głos.

Więcej niż głos - oddech, zdolność ruchu - to było coś więcej niż niemożność mówienia, bolało, i to bardzo.

Znowu spojrział na ich połączone ręce i ostrożnie się wyswobodził, przypomniał sobie jej sztywność, kiedy obejmował ją nad rzeką w wąwozie. Nie musiała go już za sobą wlec.

- Wsiądź - poprosiła.

Wsiadł. Zajęła miejsce obok niego. Samochód ruszył. Kleomenes wycofał auto na jezdnię, nie włączając świateł, i oddalił się od wzgórza. Una i Marek wpatrywali się w siebie. Za każdym razem, kiedy zaczynało mu świtać, jak to się stało - przebili się do niego z wyższego piętra - nie mógł wykrztusić słowa, a myśli się rwały. Nie mógł nawet jej spytać: Jak długo znajdowałem się pod wpływem narkotyków? Jak się do mnie dostaliście? Pamiętał, jak leżał na podłodze obok niej, był niemal pewny, że powiedziała mu wtedy: musiałam cię zobaczyć, ale jak mógł w to wierzyć, kiedy widział także namacalny, chlupoczący na podłodze mrok i ociekające krwią ściany. Przez jakiś czas wyglądało na to, że będą tak jechać w nieskończoność, posiniaczeni, oniemiałi.

Una pocałowała go i odsunęła się, żeby móc na niego spojrzeć, i znowu go pocałowała.

Oddał pocałunek; pamiętał z poprzedniego razu tę rzeźbioną precyzję jej małych warg i nie rozumiał, dlaczego teraz jest inaczej. Zachwyty wdarł się w zdumienie: jak? Co się stało? Przyciągnął ją, a potem zawahał się. Nie wątpił w jej obecność, ale - pomyślał z lękiem - czy ona uważa, że ma obowiązek to robić? Chwyciła go jednak w gorący uścisk i pocałowała niemal gniewnie. Pewnie się zorientowała, co pomyślał, ale nie przeszkadzało mu to.

Na jedną sekundę odsunął ją, ujął jej twarz w dłonie. Szepnął ze śmiechem:

- Zatem zmieniałaś zdanie?

- Zamknij się - burknęła i znowu pochyłili się ku sobie. Nawet nie byli sami, powinni rozmawiać, powinni przestać się całować. Wydawało się jej, że jego skóra jest dziwnie ciepła, coraz cieplejsza, choć nierozgrzewana, a na jego zębach i wargach zapalały się płomyki, przeskakiwały ulotnie w jej usta, nie gasnąc. Pewnie przeświecają przez skórę; gdyby otworzyła oczy, zobaczyłaby je.

- Wariusz - odezwał się Marek z nagłym przerażeniem. - Chyba nie... Chyba żyje, prawda?

- Mam nadzieję, panie - powiedział Kleomenes, co zaskoczyło Unę i Suliena - jakby zapomnieli, że można się i tak zwracać do Marka.

- Co to znaczy? - spytał Marek, spoglądając z zaskoczeniem na Kleomenesa, powoli przyjmując do wiadomości, że ten rudowłosy istnieje naprawdę.

- Wczoraj po południu żył, na to wyglądało. Lewinus uznał, że mogą się z nim rozprawić, chociaż żyjesz.

- Wczoraj? - powtórzył Marek. - Ile czasu minęło?

Siedzący z przodu Sulien potarł oczy.

- Cały wczorajszy dzień, poprzednia noc... i jeszcze pół dnia. Około czterdziestu godzin.

- Tylko tyle? - Marek znowu umilkł i wymamrotał: - A wydaje mi się, że... - Pokręcił głową na wspomnienie tego, co się wydarzyło w sanatorium. Zaczął się domyślać, ile musieli dokonać. - Sulien... nie wiem, co powiedzieć... tak się cieszę, że cię widzę.

Sulien wciąż miał przed oczami człowieka z ustami pełnymi krwi i bardzo pragnął opowiedzieć komuś o umierającym pretorianinie, chciał się z nimi podzielić swoimi odczuciami. Widział, że Una jest zbyt zajęta Markiem, by coś do niej dotarło. Tuliła się do niego, brodę oparła na czubku jego głowy, trzymali się za ręce, jakby od tego zależało ich życie. Jeszcze nie widział, żeby któreś było tak szczęśliwe, a z tego zdziwienia, skrzepowania i poczucia winy starali się to ukryć. Uśmiechnął się do Marka.

- Zawsze nokautujesz ludzi, których widok cię cieszy?

- O... - mruknął zażenowany Marek, przypomniawszy to sobie. - Chyba nie zrobiłem ci krzywdy?

- Kto, ty? - zakpił Sulien.

Pędzili wśród gór, ku głównej szosie. Marek zwrócił się do Kleomenesa:

- Przytrzymałaś drzwi. Przepraszam... nie znam cię.

Kleomenes przedstawił się krótko.

- Dziękuję, że mi pomagasz - powiedział Marek. Znowu poczuł oszołomienie.

- Za wcześnie - mruknął ponuro Kleomenes. - Martwię się, że odetną nam drogę u wylotu szosy.

Zobaczył, że Una i Marek się całują. Z jednej strony był rozbawiony i zadowolony z siebie, bo domyślił się poprzedniej nocy, że coś ich łączy, z drugiej - pomyślał, że jeśli oboje wyjdą z tego cało, pojawi się problem.

- A mieli czas? - spytała Una. - Musieliby dotrzeć na podjazd, a nie wiedzą o tym samochodzie.

- Pewnie zaalarmowali pałac. Bo sądzę, że tam jedziemy.

- Nigdzie indziej nie możemy - powiedziała Una.

- Ale oni tego nie wiedzą - odezwał się Sulien. - Może pomyślą, że się przyczaimy. Ten narkotyk powinien działać jeszcze parę godzin.

- W każdym razie - rzekł Kleomenes z uporem - powiadomią kogoś.

- Wiem - zgodził się z nim Marek. - Przede wszystkim nigdy bym tam nie poszedł. Ale teraz jest inaczej. Mój wuj wie, że żyję, wszyscy o tym wiedzą. Nie mogą powiedzieć, że jestem kimś obcym, zawlec mnie gdzieś i udawać, że nic się nie wydarzyło. Wy jesteście świadkami.

Dlatego nas także zabiją, pomyślał Kleomenes, ale rzeczywiście, nie mogli iść nigdzie indziej. Marek szepnął do Uny:

- I jesteś ty... nie wiem, kto jest kim, ale ty będziesz wiedzieć, ciebie nie oszukają.

- Nie - odparła. - Będzie dobrze. - Uśmiechnął się, bo prawie nigdy nie mówiła takich rzeczy. Ale potem znowu przeszył go niepokój i spytał Kleomenesa:

- Myślisz, że już zabili Wariusza?

Kleomenes zwlekał z odpowiedzią.

- Byłoby to duże ryzyko po czymś takim - powiedział w końcu i nie dodał nic więcej, choć zdanie było wyraźnie niedokończone.

Marek westchnął. Zaczął czuć zmęczenie. Włosy Uny pod jego policzkiem były gładkie, jego kciuk leżał pod mankietem jej rękawa. Znowu pomyślał o śmierci Wariusza; nie mógłby pocałować Uny... ale nie poca-

łować także było niemal niemożliwe, chciał zetrzeć troskę z ust, chciał być z nią sam na sam albo po prostu tak zasnąć, nawet jeśli nie będzie mu wolno nic więcej.

Niebo się rozjaśniło, nie blaskiem świtu, do którego zostało jeszcze parę godzin, ale łuną miasta. Żłoty Dom górował nad nim spokojny i lśniący.

- Oddaj mi broń - odezwał się nagle Kleomenes.

- Jest pusta - powiedział Sulien.

- No tak. Nie mów nikomu. - Uśmiechnął się. - Marku Nowiuszu, czy znasz... mniej strzeżone wejście?

- Tak - rzekł Marek - ale nie jedź tam. Wjedź od frontu.

Marek był nadal w nocnym stroju. Mogli mu dać tylko ubranie, które Sulien nosił przez parę pierwszych dni po opuszczeniu Holzarty. Było nędzne, ale potrzebne, przypomniał sobie oberżę w Wilczym Kroku - pewnego tonu nie sposób przybrać, kiedy się nie ma ubrania. Uśmiechnęli się do siebie niemądrze, on i Una, porozumiewawczo i z zakłopotaniem zarazem, a potem niezdarnie się przebrał. Una odwróciła się lekko, ale ukradkiem zerknęła spod opadających włosów na jego ramiona, plecy...

Wysiedli z samochodu, ruszyli ku obłej fasadzie bramy Palatynu. Czterej pretorianie strzegli żelaznych skrzydeł osadzonych w rzeźbiowym kamieniu, sześciu czy ośmiu innych, niewzruszonych, stało na tle pałacowej ściany. Tyle pistoletów, pomyślał Sulien z obawą.

Marek napiął zmęczone mięśnie pleców i karku i ziewnął. Spojrzał na strażników i pomyślał: dobrze, im ich więcej, tym lepiej, i ruszył naprzód.

- Wiecie, kim jestem - oznajmił. - Otwórzcie bramę.

Wytrzeszczyli na niego oczy. Nie przyszło im do głowy, że mógłby nie być Markiem Nowiuszem.

Jeden zawahał się i krzyknął, nie do Marka, lecz Kleomenesa i reszty:

- Dlaczego go tu przyprowadziliście? Odsuńcie się.

Una, Sulien i Kleomenes stali wokół Marka i nawet nie drgnęli, nie odezwali się.

- Nie ważcie się więcej tak do nich zwracać - przemówił w końcu Marek.

Strażnik, zbity z tropu, wymamrotał przepaszająco:

- Ale przecież... panie... nie powinieneś, powinieneś być...

- W sanatorium w Tivoli - dokończył Marek głośno, zawstydzając go.
- Myślisz, że tam moje miejsce? Wydaje ci się, że tego mi potrzeba?

Stał i pozwalał się oglądać. Do świtu zostały dwie godziny. Palce miał mocno splecione z palcami Uny, włosy rozczochrane, jego ubranie wyglądało jak pożyczzone i pospiesznie włożone w ciemnościach, był bosy i utykał. Strażnik spuścił oczy.

- Nie - przyznał cicho.

Marek powstrzymał westchnienie ulgi.

I ta odpowiedź - nie - zmieniła sytuację, stało się po prostu oczywiste, że Marek nie powinien być wysłany do sanatorium.

- Zatem otwieraj bramę - rozkazał Marek.

Wówczas z szeregu za ogrodzeniem wyrwał się żołnierz.

- Otworzyć bramę! - zawołał, a jednocześnie jego ręka instynktownie spoczęła na broni. Nie wiedział, co robić, czekał na instrukcje - jedyne było pewne: chłopca należy oddzielić od reszty.

Wcisnął guzik w murze i brama się rozsunęła.

- Pójdź ze mną, panie - powiedział - twoi przyjaciele mogą poczekać, sprawdzimy ich, kwestie bezpieczeństwa...

Una zacisnęła rękę, ale Marek nie potrzebował tego ostrzeżenia.

- Nie. Oni idą ze mną, przez główne wejście, głównymi schodami. Chcemy się widzieć z moim wujem.

- O tej porze?

Strażnik zacisnął zęby, przestraszony porażką i bezsilnością. Inni pretorianie już na niego spoglądali ze zdziwieniem.

- Nie, panie, proszę ze mną - powtórzył ochryple.

- Jak ci się zdaje, co mi się może przydarzyć w drodze stąd do drzwi?
- spytał Marek z uśmiechem i nagle wrzucił ramionami. - Dobrze - rzekł ugodowo. - Pójdę z tobą. A wy dwaj chodźcie z nami i miejcie oko na moich przyjaciół, jeśli was niepokoją. - I skinął na dwóch strażników. Una poczuła lekki pytający nacisk na dłoń. Są w porządku? Skinęła głową.

Ale kiedy dotarli do drzwi, pretorianin, który otworzył bramę, uciekł za róg pałacu, pozostawiając pozostałych zdezorientowanych i złych.

- Powiadomi kogoś w środku - mruknęła Una.

- Będzie dobrze - odpowiedział Marek.

I weszli. Za wielkimi błękitnymi oknami ogromne schody spływały ku marmurowej posadzce, rozmigotane kwiatami i liśćmi z zielonych, nie-

bieskich i złotych płytek. Marek, nagle uświadamiając sobie, jak brudne i pomięte jest jego ubranie i jak długo go tu nie było, zatrzymał się na sekundę oszołomiony. Ale przecież wiedział, dokąd ma iść.

Una i Sulien, ostrożnie stawiając nogę za nogą, doznali dziwnego, pełnego rewerencji uczucia, nie całkiem przyjemnego. To tak wygląda wewnątrz Złoty Dom! - pomyśleli. I przekonali się, że Marek nie czuje się tu obco, szedł przez tę strzelistą złotą przestrzeń i trudno było uwierzyć, że ten, którego znali tak dobrze, przemierzał tę trasę setki razy. Weszli do podłużnej komnaty pełnej malowideł, popiersi na cokołach i złotych lamp. Sulien i Una spoglądali z podziwem na emalię i złoto, a Una pomyślała: chyba tego nienawidzę.

Mężczyzna, którego Marek znał - główny zarządca domostwa, odpowiedzialny za zakup niewolników - wypadł, potykając się, nieprzytomny, ubrany - tak jak Marek - w pośpiechu. Odezwał się głosem ochrypłym od snu:

- Panie, musisz być zmęczony. Czy mam cię zaprowadzić do zwykłego pokoju?

- Najpierw chcę się widzieć z cesarzem.

- Oczywiście - powiedział zarządca cierpliwie, po chwili milczenia. - Ale jest tak wcześnie... Trzeba go będzie obudzić, wytłumaczyć mu...

- Biorę to na siebie.

Usiłował go wyminąć, ale zarządca markotnie stanął mu na drodze.

- Musisz poczekać, naprawdę. Twoje ubranie, nie masz butów... Cesarz się rozgniewa, że go obudzono. Czy zdajesz sobie sprawę, która godzina? - I chwycił Marka za ramię, co było zaskakujące, bo nie wolno mu było tego robić. Jesteś tylko dzieckiem, nieważne z jakiej rodziny, poradzę sobie z tobą, myślał zarządca.

A jednocześnie Una krzyknęła, bo strażnik, który otworzył bramę, zjawił się z kolegą i skoczyli na nich, usiłując pochwycić Marka.

Byli zdesperowani i przestraszeni, musieli zawlec Marka Nowiusza do jakiegoś zamkniętego pomieszczenia, jak najdalej od cesarza, przytrzymać go za wszelką cenę - narkotyk dostarczą za dwadzieścia minut, tylko tyle było im trzeba. Tamtych należy zabić, a ciała wynieść; strażnikom, którzy ich widzieli, powie się, że szajka przestępców omamiła biednego chłopca. Odnieśli błędne wrażenie, że widzieli osobę przy zdrowych zmysłach, dostaną nagane, powie się im, żeby dziękowali losowi, jeśli ce-

sarz nie dowie się o ich głupocie...

Ale było ich tylko trzech, nie mieli czasu zebrać więcej ludzi. A ich broń była równie bezużyteczna jak broń Kleomenesa - choć zarządca się jej bał - bo strzały zniweczyłyby ich ostatnią szansę. Ale ta szansa już leżała w gruzach, zbyt wiele osób należałoby uciszyć. Marek uskokzył, zadał cios, a potem powłókł za sobą Unę, żeby jej nie dopadli, nie uciszyli jej krzyku: „Obudźcie się, chodźcie tutaj!”. Zresztą krzyczeli już wszyscy, wzywali Faustusa Augusta. Sulien nagle przestał walczyć i pchnął najbliższej stojące popiersie. Upadło ze straszliwym łomotem, głowa potoczyła się jak ścięta i natychmiast pałac zaczął się budzić przerażony. Marek i pozostali wyrwali się i popędzili w głąb sali, a zarządca, trzęsąc się koło przewróconego popiersia, zrozumiał, że pretorianie, zamiast ich ścigać, uciekli, byle dalej.

Drzwi, które otwierali z rozmachem, były wykonane z rzeźbionego pachnącego drewna lub malowane w ptaki i wzgórza.

Biegli po mozaikach, lśniących dywanach, a potem z prywatnych apartamentów wyszedł im na spotkanie, wśród gęstniejącego tłumu zaspanych służących, sam Faustus, ponury, z zapuchniętymi oczami i twarzą nabrzmiałą od snu.

Wszyscy z wyjątkiem Marka zatrzymali się na jego widok - cesarz we własnej osobie. Był wysoki, ale nie aż tak bardzo. Mimo że dopiero się obudził, był podobny do swojego wizerunku na zdjęciach, a Marek był podobny do wuja. Una zerknęła na Marka, a on znowu chwycił ją za rękę.

- Marku - wymamrotał Faustus - co tu robisz? - A potem, przypomniawszy sobie, że Marek prawdopodobnie nie będzie potrafił tego wytłumaczyć, powtórzył ze smutkiem: - Marku... - i zmierzył pozostałych podejrzliwym, gniewnym spojrzeniem. Rzucił z furią do otaczającego go tłumu: - Co to za ludzie? Jak się tu dostali?

Marek odezwał się pospiesznie:

- Już mi nic nie dolega. Widzisz to, prawda?

Faustus wbił w niego zdumiony wzrok.

- Wuju, to wszystko prawda, wszystko, co mówiłem, ale w szpitalu, zanim tam dotarłeś, podano mi narkotyki. Kiedy ze mną rozmawiałeś, byłem... miałem omamy, ale teraz już nie i nie będę ich miał, chyba że... - Czuł, że nigdy nie zapomni tej skóry odłóżącej ze ścian, tego duszącego przerażenia. - To mnie jeszcze nie spotkało, tak jak nie spotkało ciebie.

Faustus zmarszczył brwi, usiłował się zastanowić, czy to może być podstępne działanie choroby, czy Lucjusz kiedykolwiek przemawiał tak jasno i klarownie. Słyszał o przekonujących szaleńcach, ale nie tych dotkniętych klątwą Nowiuszów - i nie takiego Marka zobaczył w szpitalu.

- Moja siostra i ja jesteśmy przy nim niemal bez przerwy - odezwał się Sulien. - A ja jestem... jakby lekarzem. On nie oszalał.

August pokręcił głową zdezorientowany. Chłopiec nie wyglądał na lekarza. A przy tym zdumiało go i uraziło, że ta nędzna dziewczynina, która bezczelnie trzymała Marka za rękę, przyglądała się jemu samemu bez najmniejszego szacunku, ale... Marek z pewnością nie wzięłyby sobie żadnej dziewczyny, gdyby był w stanie, w którym go widział..

- Nie pojmuję - jęknął.

- Panie - dodał Kleomenes - mogę potwierdzić, że usiłowano zabić Marka Nowiusza. Jestem świadkiem. Jestem centurionem wigilów, przynajmniej byłem jeszcze parę dni temu. Myślę, że można powiedzieć, iż prefekt miasta bierze w tym udział, a także paru moich kolegów i ludzie, którzy występowali w mundurach pretorianów.

- I Gabiniusz, i... - dodał Marek i urwał. Trudno mu to było wydusić z siebie, bo Faustus pobladł, osłabł z przerażenia. Marek niemal miał wyrzuty sumienia. - I ludzie z pałacu, wuju - dodał. - Zabili moich rodziców.

Niespodziewanie rozpacz go zalała, chlusnęła jak z przewróconej szklanki. Una przysunęła się, tak że przez materiał poczuł jej ciepło.

- Nie pojmuję - powtórzył Faustus. Te słowa, własny ton przejął go niesmakiem, zachowywał się jak żaloszny tępak. Cesarz nie powinien mówić takich rzeczy, a jednak nie potrafił się wziąć w garść. - Co mówisz? Jak... jak się tu dostałeś? - Wprawdzie usiłował znaleźć lepsze pytania, ale wykrztusił jedynie to.

Marek zdobył się na wysiłek, bał się, że jeśli się rozklei, Faustus znowu uzna go za szaleńca. Chciał powiedzieć: oni mnie przywieźli, to jest Una, to Sulien, nie masz pojęcia, przez co przeszliśmy. I tak zamierzał powiedzieć, ale na razie nie nadszedł odpowiedni czas.

- Proszę, sprowadź tu natychmiast Wariusza i nikogo nie uprzedzaj, nie dawaj im szansy. Nawet teraz mogą go zabić.

- To ja muszę pójść po niego - wtrącił Kleomenes.

- Tak - potwierdził pospiesznie Marek. - I to szybko. Proszę, daj mu pismo, w którym zagroziysz każdemu, kto będzie chciał go zatrzymać. Al-

bo skrzywdzić Wariusza.

Faustus poruszył głową w geście, który nic nie oznaczał, pocłapał do prywatnego pokoju za złoconymi drzwiami i dał im znak, żeby szli za nim.

Wariusz uważał, że w więzieniu, z dala od Gabiniusza, jest łatwiej. Przebywał tu od pięciu dni i pod pewnym względem było mu tu lepiej niż dotychczas. Światła zapalały się i gasły w normalnych porach, Gabiniusz przysłał mu nawet kilka książek z domu. Ich obecność niepokoiła go, przeszkadzały mu udawać, że Gabiniusz nie istnieje. Teraz, kiedy ogarnęła go nowa gorączkowa ciekawość, co się dzieje, przekonał się, że wróciła mu umiejętność odczuwania nudy, ale nie chciał korzystać w żaden sposób z uprzejmości Gabiniusza. Książki leżały więc w celi, a on zerkał na nie gorączkowo, a potem złościł się na siebie. Trzymano go w samotności, za co był ogromnie wdzięczny; nie sądził, żeby potrafił znieść towarzystwo innych, zwłaszcza gdyby było ich wielu, chyba że mogliby mu coś powiedzieć. Odkąd Gabiniusz się z nim pożegnał, nikt go o niczym nie informował. Zżerało go napięcie, nie zapadał w sen, tylko miał chaotyczne zaniki świadomości.

Kiedy drzwi się otworzyły, przemknęło mu przez głowę, zanim jeszcze otworzył oczy: wiem, że nadal jest noc. Zmienili decyzję, stanie się: broń, pałka? Usiadł i ujrzał mężczyznę w ciemnym złachmanionym stroju, nie mundurze, mężczyznę o rudych włosach.

Kleomenes zobaczył zaskoczenie i przebłysk nadziei na twarzy Wariusza, który znieruchomiał i tylko spoglądał na przybysza z grzecznym zainteresowaniem.

- Witaj, Kleomenesie - powiedział formalnie.
- Przepraszam! - wybuchnął Kleomenes.

Wariusz wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi.
- Chodź - powiedział Kleomenes, otwierając drzwi szerzej.
- Dobrze. - Kleomenes dostrzegł jego rzeczowe zachowanie, Wariusz był wyraźnie wycieńczony. Wyszli z celi. - Dokąd idziemy?
- Do pałacu.

Wariusz na chwilę zwolnił, ale się nie zatrzymał. Spytał spokojnie:

- Czy to znaczy, że Marek tam jest?
- Tak.

Wariusz milczał przez chwilę. Kleomenes spodziewał się licznych pytań, czegokolwiek, ale Wariusz tylko powiedział łagodnie:

- Dobrze.

Dziwne. Wariusz wydawał się własne oswobodzenie przyjmować z obojętnością. Milczał, ale nie był bezwolny, zbyt wstrząśnięty czy osłabiony, żeby naprawdę zrozumieć, co się dzieje. Przemierzał więzienne korytarze dość energicznie. Kiedy Kleomenes do niego mówił, odpowiadał uprzejmie i bez wahania, ale nie odzywał się z własnej woli. Milczał, w samochodzie rozglądał się, wyglądał przez okno, podchodził do tej sytuacji z łagodnym sceptycyzmem. Z jakiegoś powodu skojarzył się Kleomenesowi z nauczycielem, co wtedy wydało mu się bezsensowne, ale potem pomyślał: tak, było tak, jakby Wariusz był nauczycielem słuchającym przemówienia ucznia - kiwał głową bez zainteresowania, niekiedy lekko zaskoczony, od czasu do czasu mówiąc: „Och, więc tak to zrobiłeś?”.

Kleomenes zastanawiał się, czy Wariusz podejrzewa jakąś pułapkę. Czy spodziewa się, że go zabiję? Ale przecież wie, że nie biorę w tym udziału, a nawet gdybym brał, nie musiałbym go najpierw okłamywać. Poczul się trochę zawiedziony.

Wariusz nie miał tak konkretnych podejrzeń. Nie wiedział dlaczego, odkąd Kleomenes powiedział, że Marek żyje, wzdragał się przed zadawaniem pytań, ale wydawało mu się, że nie ma sensu o tym myśleć. Wszedł po pałacowych schodach, starając się o niczym nie myśleć.

Marek siedział senny na kanapie, jakaś dziewczyna leżała u jego boku i spała. Inny chłopiec leżał skulony w fotelu, też prawie zasnął. Zjawiała się również Tulliola. Choć Faustus wyglądał dość niechlujnie w szlafroku, ona ubrała się starannie, jedynie ciemne włosy nie były ułożone jak zwykle w piramidę, tylko spływały miękko.

Marek natychmiast wstał.

- Wariuszu.

Wariusz spojrział na niego i na długą chwilę zaparło mu dech. Poza tym w wyrazie jego twarzy nic się nie zmieniło.

- Powiedziałem im, gdzie cię szukać - wyznał.
- Jak cię zmusili? - spytał Marek.

Ale Wariusz odwrócił wzrok - nie dlatego, że to było zbyt straszne, ale po prostu stracił zainteresowanie tematem.

- Nieważne.

- Ależ ważne - odezwała się Tulliola. - Przykro mi, Wariuszu. Chciałam wierzyć, że to nie ty, lecz nie mogłam zrozumieć... żałuję, że nie powiedziałeś mi więcej.

Wariusz skinął głową obojętnie. Marek podszedł do niego, ale on usiadł naprzeciwko Faustusa, opanowany, gotowy do pomocy.

- Nie wiem, ile ci powiedziano.

- Wszystko - rzucił Marek. Był zaniepokojony.

- Nie chcę się powtarzać. Gdyby nadal istniały jakieś wątpliwości, wyjaśnię bez zwłoki. - Nie spojrział na Marka, tylko ciągnął beznamiętnie: - Doszliśmy do wniosku, że Leon i Klodia zostali zamordowani. Moja żona została zabita omyłkowo zamiast Marka. Truciznę przysłano z pałacu, więc odesłałem Marka, on będzie musiał powiedzieć dokąd. Tylko tyle przyszło mi do głowy. Następnego dnia usiłowałem cię powiadomić, ale mnie aresztowano.

Urwał, założył ręce na piersi. Uważał, że to powinno wystarczyć, choć wiedział, że nie wystarczy.

- Co się wydarzyło po aresztowaniu? - spytał Faustus, zmęczonym ruchem odgarniając włosy. - Czy zmuszono cię do złożenia tego zeznania?

Wariusz był zaskoczony i nieco rozbawiony.

- Co? Nie. To by nie było konieczne. Pewnie uznali, że po prostu napiszą je sami.

- Ale wyszłoby na jaw, że to fałszerstwo.

Wariusz skrzywił się mimowolnie i kpiąco.

- Nie sędzę. I tak bym się nie sprzeciwił... - Nagle podskoczył na miejscu i spojrział na nich z przerażeniem. Zacisnął pięści. - Zapiszę te nazwiska i adresy... proszę, sprawdźcie, czy te osoby są zdrowe. Na pewno w tej chwili to nie jest konieczne, nie mieli czasu, ale...

- Co to ma wspólnego z...

- Zrobicie to? - spytał Wariusz.

- Tak - powiedział Faustus. Wariusz zadygotał i znieruchomiał. - Dlaczego są w niebezpieczeństwie?

- Och... - Wariusz pokręcił głową odrobinę zaniepokojony. - Gabi-

niesz groził, że ich zabije. Dopiero niedawno powróciłem do więzienia. Trzymano mnie w domu Gabiniusza.

- Gabiniusz - powtórzył Faustus. - Ale dlaczego?

Zaczął się czuć lepiej, znowu panował nad sytuacją, lecz Wariusz zaczął się zachowywać jak zaszczuty.

- Powiedziałem mu, gdzie jest Marek - przyznał niechętnie.

- I aby temu zapobiec, próbowałeś popełnić samobójstwo?

- Co? - szepnął przerażony Marek. - Wariuszu, chyba nie... czy ty...?

Zażenowany Wariusz spochmurniał, łypnął spode łba na Faustusa i zrobił kolejny wymijający gest. Jego ciało jakby się zacisnęło w odruchu obronnym.

- Wydawało się to... rozsądne - wymamrotał.

- Rozsądne? - Marek zamrugał. Zapiekły go łyzy. - Tak cię przepraszam...

- Tak było poprawnie politycznie - dodał Wariusz trochę wyraźniej. Podniósł głowę i zmusił się do sztucznego przelotnego uśmiechu. - To nie twoja wina. Już ci mówiłem. Nie przejmuj się. - I znów odwrócił się od Marka. Wyprostował się i spytał energicznie Faustusa: - Czy pani No- wia przebywa w Rzymie?

- Makaria? Tak. - Nadal była w pałacu z powodu ceremonii ku czci... wspaniale się zachowywała...

- Powinna się tu znaleźć. Natychmiast.

W jego tonie Faustus usłyszał pewność, która od jakiegoś czasu w nim narastała. Powtórzył szeptem błagalnie:

- Makaria?

Tulliola dostrzegła zmianę wyrazu jego twarzy. Zaczęła ze smutkiem:

- Och... dajmy jej spokój do rana...

Faustus jakby jej nie usłyszał, nadal wpatrywał się błagalnie w Wariusza.

- Nie, musisz się mylić, nie zniosę tego - wymamrotał. Ale natychmiast przyszło mu do głowy: to przeze mnie, moja wina, i poczuł, że to prawda i że to jego wina. Nigdy nie lubiła - wzdrygnął się - a nawet nie-nawidziła Leona, bo się z niej wyśmiewał, kpił z jej staropanieństwa... czy to wystarczyło? Nie wiedział. Ale nie mogło chodzić o Leona ani Marka, tylko o niego. O jej matkę, o rozwód - z jego winy. Nie wiedział o niej nic, zwyczajnie nic, biedna mała... nigdy nie miał powodu uważać, że

ją zna.

Nagle się otrząsnął i rzucił ostro:

- Nie, to nie może czekać. Tulliolo, zechcesz powiedzieć Aleksjonowi, by poszedł po Makarię.

Tulliola westchnęła i zwróciła się do niewolnika, i tym razem ruch obudził Unę, która otworzyła oczy i z obawą spojrzała na Marka. Przez chwilę patrzyła na haftowane ważki na obiciu kanapy. Nie całkiem zapomniała, gdzie jest, po prostu nie mogła uwierzyć, że zasnęła w cesarskiej komnacie. Usiadła prosto, ujrzała mężczyznę wynędzniałego, ale młodszego, niż się spodziewała. To musiał być Wariusz - siedział naprzeciwko Faustusa, zachowując się bardzo rozsądnie pomimo całego wysiłku, jaki go to kosztowało, jakby przestał już być taki nieufny i ostrożny.

Nieszczęśliwy Marek snuł się nieopodal, ale teraz znowu usiadł obok niej.

Zjawiła się Makaria, skulona i rozdrażniona, ale bez tego nieprzytomnego spojrzenia osoby raptem wyrwanej ze snu. Pewnie obudził ją hałas.

- Co się stało, tatusiu, jesteś zdrow? - zaczęła i urwała na widok zebranych, najpierw dostrzegłszy Wariusza, potem Marka.

Stała samotnie po jednej stronie komnaty, wszyscy na nią patrzyli, jakby znalazła się na scenie. - Co się stało? - spytała.

Faustus dźwignął się z miejsca, podszedł do niej.

- Cóż, Makario, oto bardzo dobre wieści. Marek jest zdrow.

- To wspaniale - powiedziała obojętnie.

- Mówię o jego umyśle. Nie powinniśmy go wysyłać do sanatorium.

Makaria szybko przeniosła spojrzenie z Marka na Wariusza. Zniżyła głos konfidentycznie.

- Skąd wiesz?

- Nic mi nie jest, Makario - odezwał się cicho Marek.

Makaria otworzyła szeroko oczy, a na jej twarzy powoli rozkwitł uśmiech.

- Marek! - zawołała.

Wariusz nie mógł na nią patrzeć, spuścił wzrok na biurko i powiedział powoli:

- Moja żona została otruta słodyczami, które pani Nowia dała Markowi.

- Co... tymi? - Makaria zatrzepotała rzęsami. - Ależ to absurd. -

Zmarszczyła brwi, coraz bardziej zaniepokojona. Odezwała się znowu, podejrzliwie: - Tatusiu, dlaczego wolno mu... co tu robią ci ludzie?

Wariusz zmusił się, by wstać i spojrzeć jej w twarz.

- Przepraszam, najjaśniejszy panie. To ona nie pozwoliła mi do ciebie dotrzeć. I natychmiast po spotkaniu z nią zostałem aresztowany.

Makaria pokręciła głową.

- Tak, pewnie tak, i co z tego?

Faustus spytał łagodnie:

- Czy kontaktowałaś się z Gabiniuszem... w jakiegokolwiek sprawie?

- Z Gabiniuszem? Jest odrażający. Dlaczego miałabym z nim rozmawiać? - Makaria na chwilę odetchnęła, niemal poweselała, jakby znalazła się na bezpieczniejszym gruncie, ale potem znowu ogarnęły ją obawy. - Co chcesz powiedzieć? Że chciałam... że zamierzałam skrzywdzić Marka?

- I Leona, i Klodię - powiedział Wariusz.

- No, to dopiero idiotyzm - parsknęła Makaria z dużą pewnością siebie, czekając, aż inni potwierdzą. Ale Faustus odwrócił wzrok, podobnie jak wszyscy inni. Wówczas, bardzo gwałtownie, krew odpłynęła jej z twarzy. Makaria musiała się czegoś przytrzymać, żeby nie upaść, lecz nie znalazłszy żadnej podpory, oparła się o Faustusa.

- Tatusiu! Chyba nie wierzysz, no wiesz, wiesz...

- Nie wiem, Makario, kochanie - wymamrotał Faustus niemal przepaszająco. Nigdy jej tak nie nazywał i było mu jej żal, bardzo żal.

Makaria cofnęła się, zatoczyła ku Markowi.

- Przecież to nie... Marku, chyba nie sądzisz, że zrobiłabym coś takiego? Te słodycze... lubisz je! Martwiłam się, chciałam cię poprosić, żebyś wyjechał do Grecji. I co... kazałam aresztować Wariusza? Nieprawda. Naturalnie nie sądziłam, że go tam zastanę, nie przeszkodziłam Tullioli zawołać...

- Makario - zaczęła Tulliola cierpliwie ze współczuciem, ale nie potrafiła się powstrzymać, gniew znowu rozświetlił jej twarz, Wariusz widział ją taką po raz drugi. - Gdybym zdawała sobie sprawę, co spotka Wariusza, sama bym cię powstrzymała. Wiedziałam, że się co do niego nie myślę, ale taki ze mnie tchórz! Nie powinnam się ciebie bać.

Makaria patrzyła na Marka, prawie nie dostrzegając Tullioli. Teraz powoli odwróciła głowę, a Wariusz przytaknął szorstko, potwierdzając

słowa Tulliolii.

- Dlaczego to mówisz? - spytała.

- Och, Makario... - powtórzył Faustus.

- Ale to nie tak... o co ci chodzi? - Widząc, że Tulliola odwraca się od niej ze smutkiem, Makaria krzyknęła: - To ona! Nawet nie wiem, o co chodzi, ale to ona, tatusiu!

- Och... nie pogarszaj sprawy - rzekła Tulliola, wytrącona z równowagi.

Una, wciąż skulona w kącie kanapy, wyprostowała się, potarła twarz, żeby pozbyć się zmęczenia, skupiła się, a potem wstała i wymamrotała do Marka:

- To prawda.

Marek wzdrygnął się zaskoczony, zamiast patrzeć na Makarię i Tulliolę, zagapił się na nią. Pytanie „na pewno?” było nie na miejscu. Wiedział, że Una się nie myli.

Wariusz do tej pory nie przyjrzał się dobrze tej bladej dziewczynie i teraz zdumiała go jej pewność siebie.

- Kim jesteś? - spytał. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Widział też, że Marek jej wierzy, i nie tylko Marek, ale i tamten drugi chłopiec i, co najdziwniejsze, również Kleomenes. Marek spojrzał na Tulliolę i wymamrotał jakby przez sen:

- Ty to mogłaś zrobić. Zapomniałem. Ty przysłałaś, kiedy Makaria dała mi słodycze. Ty powiedziałaś, że wuj mnie wzywa. Nie poszłaś za mną. Wtedy miałaś okazję.

Chciał zobaczyć choć raz jej zaskoczenie: początkowo nic nie zdradziła. Zmarszczyła brwi, ale jej mleczone czoło było jedwabiste jak u dziecka. Zmarszczki się nie pojawiły. Roześmiała się ze zdziwieniem i bólem.

- Ależ Marku, jak bym mogła... wiem, jesteś zdenerwowany... to takie straszne...

Wariusz zaczął znowu, spoglądając dziko na Marka, po raz pierwszy otwarcie.

- Powiedziałem jej, że żyjesz - wykrztusił. Zrobił krok w stronę Tulliolii, a potem się cofnął, dygocząc ze wstrętu, gniewu na siebie, wściekłości i żalu. - Dlatego do mnie wyszłaś, prawda? Tak bardzo się starałaś, żeby to ze mnie wydobyć. I powiedziałaś pani Nowii. Sam ci to

wyjawiłem.

Faustus patrzył na niego oszołomiony.

- Dlaczego mi o tym nie wspomniałaś?

- Z powodu Makarii - oznajmiła Tulliola z naciskiem. - Nie wiedziałam, czy to prawda... zaufałam wigilom. A Makaria...

Wariusz nie słuchał dłużej.

- Mówiłaś o mojej żonie. Jak ci jej żal... a ją zabiłaś!

Tulliola cofała się z drzeniem, przerażona, ku mężowi, ale Faustus rzekł:

- Wstałaś przede mną... z kim rozmawiałaś? To ty zaproponowałaś sanatorium...

- Tytusie!

- Dlaczego za mnie wyszłaś?

- Tytusie, co to za pytanie. - I rzeczywiście, było to głupie pytanie. Spójrzcie na nią, niby dlaczego go poślubiła? A jednak jęknęła: - Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłam... Kocham cię.

Na jej twarzy pojawiły się oburzenie i zgroza. Ale wciąż była piękna. Oczy jej błyszczały, piękne jak oczy foki lub żyrafy, na rzęsach, ciężkich i miękkich, osiadły łzy.

Faustus popatrzył badawczo na żonę, a potem szybko podszedł do Makarii, zamknął ją w objęciach, osłonił, jakby Tulliola mogła się na nią rzucić albo do niej strzelić.

- Och, kochanie, tak cię przepraszam, spróbuj mi wybaczyć... tak cię przepraszam...

- Jak mogłeś? - wyjąkała Makaria, dygocząc w jego ramionach.

- Przepraszam... przepraszam...

Tulliola zaczęła krzyczeć i płakać.

Faustus nie wypuścił Makarii z objęć.

- Wyprowadzić ją - rozkazał szorstko. - Dopilnować, żeby ją dobrze traktowano. Ale zabierzcie ją stąd natychmiast.

Załatwiono to zaskakująco szybko i bezwzględnie, z wprawą, choć wszyscy jeszcze bardzo długo słyszeli krzyki i łkania Tullioli.

Makaria w końcu osunęła się w objęcia ojca, spazmatycznie łapała oddech. Faustus miał nadzieję, że wybaczy mu, że zabraknie jej energii, żeby wyjść stąd w oburzeniu, że będzie potrzebowała kogoś, kto ją pocieszy. Zdrada i ból przeszywały go na wylot jak dreszcz w chorobie, obez-

władniały jego mięśnie, już teraz czuł, że nie wyjdzie z tego bez szwanku. Ale Makarii nic się nie stało, to było najistotniejsze. Najważniejsza była ulga, którą czuł. Wariusz poszedł energicznie na koniec komnaty, jak najdalej od innych, i osunął się na krzesło. Przez chwilę krył twarz w dłoniach, potem się wyprostował, znowu czujny i opanowany.

Po jakimś czasie Faustus, odzyskawszy nad sobą kontrolę, wymamrotał:

- No tak. Wariuszu, porozmawiamy potem, ale czy możemy coś dla ciebie zrobić już teraz?

Wariusz wstał.

- Tak. Muszę się zobaczyć z rodzicami.

- Oczywiście. Załatwię to - powiedziała ponuro Makaria, ocierając twarz i prostując ramiona. - W niebieskim gabinecie jest daldictor.

Wariusz poczuł lekki opór przed pójściem za nią, ale go stłumił. Kiedy był przy drzwiach, Marek ruszył za nim, czując, że musi coś powiedzieć, coś bardzo ważnego, choć nie wiedział co.

- Wariuszu - odezwał się znowu zboląłym głosem.

Wariusz odwrócił się gwałtownie i położył mu czule rękę na ramieniu, ale go odepchnął.

- Słuchaj - rzucił, starając się zapanować nad sobą. - Nie do wiary, że nic ci się nie stało. To cudowne i chcę z tobą porozmawiać. I dziękuję ci, bo przypuszczam, że wróciłeś z mojego powodu. Nie wiem, jak tego dokonałeś, chcę, żebyś mi o tym opowiedział, i pewnie ja ci opowiem... co porabiałem. Ale jeszcze nie teraz. Nie martw się o mnie, nic mi nie jest, na razie nie mogę się z tobą spotkać, to wszystko.

Uniósł rękę i znowu ją opuścił, jakby go poklepywał, a potem wyszedł.

A jeszcze później, kiedy Kleomenes także odszedł, Faustus pomyślał: teraz nie ma co wracać do łóżka, nie do tego łóżka, nie po tym wszystkim.

- Chodź, Marku - rzekł - musisz mi opowiedzieć więcej. Trzeba to sobie poukładać. - Pospiesznie go wyprowadził.

Una i Sulien czekali w mrocznej komnacie. Zjawili się niewolnicy, by zaprowadzić ich do kąpieli i sypialni, wskutek czego oboje poczuli się nieswojo i niewłaściwie, ale nie chcieli odejść, dopóki Marek nie wróci. Próbowali rozmawiać ze sobą o tym, jak dziwnie się tu czują, ale byli zbyt zmęczeni, bo od wielu tygodni nie odpoczywali. Una położyła się znowu

na haftowanej kanapie, nie zdając sobie z tego sprawy. Sulien osunął się z fotela na jedwabny dywan, oparł głowę na siedzeniu fotela, na złożonych ramionach.

Wrócił Marek i pocałował Unę w policzek. Poderwała się, obudziła z cichym krzykiem, ale zaraz potem oboje się roześmiali. Marek powiedział, prawie podnosząc ją w ramionach:

- Chodź, nie możesz tu przespać całej nocy.

- Właściwie już rano, prawda? - Usiadła i przekonała się, że niebo rzeczywiście nabrało odcienia żółtawej szarości. - Gdzie Sulien?

- Już mu znalazłem pokój. Wróciłem po ciebie. Chciałem... jeszcze nie byliśmy sami.

Poszli korytarzem o ścianach malowanych w złote drzewa, po posadzce barwionej cynobrem i malachitem.

- Nie chcę zasnąć w pałacu, tu jest okropnie - rzekła od niechcienia.

- Wiem - przyznał ze smutkiem. - Nigdy mi się tu nie podobało.

- Naprawdę? - spytała, a potem spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Stało się coś złego?

- Nic złego. Dobrego, mam nadzieję.

Zrozumiała.

- Och - powiedziała cicho. - Cesarz.

Westchnął, w milczeniu obiecał sobie i jej: jeszcze bardzo długo nie. Choć wuj wyglądał tak staro, dojdzie do siebie, ma jeszcze bardzo dużo czasu.

- Tak, zmienił testament.

- I jesteś następcą?

Marek skinął głową.

- Ty oczywiście jesteś wolna. I Sulien. Już mu powiedziałem.

Zamilkła, w zamyśleniu przesunęła palcami po jego dłoni, zmarszczyła brwi. Być może była zbyt zmęczona, żeby zrozumieć, co to znaczy. Czuła pałacowych niewolników, którzy budzili się w swoich kwaterach, śmiali niezauważeni korytarzami jak myszy. Tak dalece się od nich teraz różniła. Kim się stała?

- I nagroda - dodał Marek. - Ale to pieniądze wuja, nie moje, bo obiecał, a wyście zrobili o wiele więcej, niż tylko dostarczyli informacji. Myślałem, że o tym wiesz, bo...

Skinęła głową.

- Dziękuję. Tak. - Spojrzeli na siebie, niemal jakby to ich zasmuciło, i znowu się pocałowali.

- A Dama? - spytała nagle Una.

- Dama? Nie wiem... był tam? Nie zdawałem sobie sprawy. Spróbuję.

Una przypomniała sobie, że nie znaleźli się w pokoju razem, Marek nie mógł zrozumieć, co się dzieje, kiedy w ogrodach sanatorium zgasło światło. Biedny Dama - powinna o nim myśleć częściej. A teraz prawie o nim zapomniała, gdyż byli w pałacu, Marek powiedział jej to wszystko, znowu się do siebie tulili i smutek znikł. Tym razem pomyślała, że ciepło jest jak płyn, jak syrop, że mogłaby je całe wypić i nic by mu nie zostało.

- Nie. Czekaj - powiedziała i cofnęła się. - Nie jesteś bezpieczny. A Druzus Nowiusz? Jest w pałacu?

- Nie.

- To go sprowadź. Ona o nim myśli, a Lucjusz... teraz widzę, jak to było. Nie chciał o tym myśleć, ale kiedy mu powiedzieliśmy, był niemal pewien, że Druzus bierze w tym udział. Dlatego nie chciał nam pomóc.

- Wujek Lucjusz?

Musiła mu wytłumaczyć. Był tak zdumiony, że minęło sporo czasu, zanim zdołali dotrzeć do Druzusa.

- Wuj będzie musiał jutro poprosić senat o zgodę - rzekł w końcu. - Ale chodzi głównie o to, żeby Druzus nie był następcą, nawet gdyby coś się ze mną stało.

- Jak to, więc go podejrzewa?

- Nie całkiem. Mówi, że nikt nie może wykorzystać Druzusa jako przykrywki, ale chyba jest taki jak wujek Lucjusz, nie chce się dowiedzieć.

- Co... a ty też nie? Nie możesz tego zostawić, to się nie godzi, to zbyt niebezpieczne. Sprowadź go tutaj.

Marek pokręcił głową.

- Nie mogę. Zrozum, nawet jeśli to prawda, teraz nie może mi nic zrobić. Nic by na tym nie zyskał, a sam za bardzo by się naraził. Po dzisiejszej nocy, skoro mój ojciec nie żyje, mojemu wujowi jest ciężko. Uno, chybaby tego nie zniósł. Rozumiesz... zostało nas tak niewielu.

Una mruknęła z dezaprobatą.

- To błąd.

Postanowiła, że przekona go, gdy się porządnie wyśpi, teraz to było

zbyt męczące.

- Nie mogę uwierzyć, wujek Lucjusz! - powtórzył Marek. - Nie wiem, co z tym zrobić. Może nic. Nie mogę powiedzieć wujkowi Tytusowi, byłby zdruzgotany, gdyby się dowiedział. - Pokręcił głową. - Ale klątwa nie dała o sobie znać od dziesiątków lat. Nie wiem, czy to dobry znak. Może już nie działa.

- Zastanów się - rzekła. - Wystarczyłoby, gdyby jakaś żona Nowiusza wzmówiła mężowi, iż dziecko jej kochanka jest jego, i klątwa straciłaby moc.

- A ja nie byłbym Nowiuszem i w ogóle nie powinienem zostać cesarzem. - Uśmiechnęli się.

- No, nie masz wielkiej konkurencji.

- Och, nie, nie, przysięgam, nie mógłbym tak żyć, zrezygnowałbym. A ty i ja... moglibyśmy... moglibyśmy wyjechać i zamieszkać na wyspie, coś w tym rodzaju.

- Nie wiem, gdybyś ty nie był z rodu Nowiuszów, a ja tak... to może wymyśliłabym coś lepszego.

Ale takie żarty trochę bolały. Pomyślała znowu o Ziyie, Tobiaszu i Damie.

- Mimo to - odezwał się cicho - sądzisz, że jest jakaś szansa?

- Nie, niewielka. Na tych zdjęciach wywieszonych w oknach jesteś bardzo podobny do siebie. Z wyjątkiem włosów. - Pamiętała je jako krótką szczecinę. Pogłaskała go po głowie.

Otworzył drzwi do sypialni, całej miedzianozłotej i szarozielonej. Łóżko było niemal zbyt ogromne, żeby uważać je za łóżko. Otoczył ją ramionami, przypomniała sobie widok jego nagich pleców, poczuła jednocześnie pożądanie i ogłupiającą nerwowość, strach przed rozebraniem się - tak czasami skóra nie odróżnia ukropu od zimna, a palce zanurzone w gorącej wodzie czują ukłucia lodowych igieł.

- Nie mogę, wiesz... jeszcze nie, ja ciągle... po prostu...

- Ćśśś... wydaje ci się, że jestem niezadowolony? Myślałem, że nigdy więcej cię nie zobaczę.

Wtoczyli się do pokoju, jedno po drugim padli na błyszczącą narzutę jak nieżywi i ledwie zdążyli się przytulić, zasnęli w ubraniach.

Gabiniusz mawiał, że nikt tak naprawdę nie potrzebuje więcej niż sześć godzin snu, a i to za dużo. Sam obywatel się coraz krótszym wypoczynkiem. Lubił stan czuwania, traktował to jak rodzaj sportu, w którym osiągał wybitne wyniki. Choć otyły, uważał swoje ciało za wyjątkowo sprawne, skoro wystarczał mu krótki wypoczynek. Kiedy więc niewolnik obudził go przed świtem i wezwał do daldictora, oczywiście musiało to oznaczać, że stało się coś złego, lecz nie niebywałego. Lepsze niedospanie niż niedoinformowanie.

Domowy gabinet urządził blisko sypialni, oddzielony jedynie pokojem śniadaniowym, żeby żona się nie budziła, więc nie było obawy, że usłyszy jego słowa.

Zbliżył daldictor do ucha i zeszywniał z konsternacji i niedowierzania, bo sądził, że tę sprawę w końcu zamknął.

- Milcz - rzucił. Rozmówca opowiadał mu o martwym agencie w pokoju Marka, co w tej chwili nie miało znaczenia, liczyły się jedynie dwie informacje, które chciał uzyskać. - Kiedy się to stało i kiedy wróci do normalnego stanu?

Zadzwoił do Lewinusa.

- Zakładam, że wiesz, co się wydarzyło. To ten centurion, zgadza się? - spytał. Powstrzymywał się, już wyładował wściekłość. - Jak mogłeś być tak niekompetentny? Powinieneś dokładnie przewidzieć, kto tam się znajdzie, nie tylko gadać: „Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem”. - Ponowne roztrząsanie tej sprawy miało się z celem.

Mniej więcej to samo powiedział Tullioli, tyle że łagodniej. Lewinus miał zduszony głos.

- Działamy, ale musisz pamiętać, że on o tym wie. Nie zjawił się w domu, a jego samochód znaleźliśmy po południu na Awentynie.

- Znajdź jego przyjaciół, krewnych. Musi dokądś pójść, musi odczekać dwanaście godzin, jeśli zamierza cokolwiek udowodnić.

- Działamy.

Gabiniusz wyłączył daldictor, miał złe przeczucia. Lewinus się bał, ale nie bał się jego.

Gabiniusz czasami powtarzał dla żartu, że w całym cesarstwie nie ma tak naprawdę niczego, czego on nie zrobiłby lepiej. I poniekąd wierzył w ten żart. Myślał dobrodusznie: patrzcie, jaki jestem zarozumiały - ale to prawda.

Skontaktował się z Renatusem i umówił się na natychmiastowe spotkanie w kwaterze głównej wigilów. Chciał dokładnie sprawdzić, co właściwie robią, na co wydają tyle jego pieniędzy. Renatus rozmawiał z nim niechętnie i to go zmartwiło. Jeśli dranie myślą, że teraz umyją ręce...

Ale jeszcze mieli czas, zajęli się nim od razu, gdy się pojawił na Forum. Sytuację nadal da się uratować.

Ledwie zdążył się ubrać, kiedy znowu musiał podejść do daldictora.

- On tu jest. Muszę iść - szepnęła przestraszona Tulliola.

- Co?

- Jest tutaj.

- Już?

- Staralam się go zatrzymać, ale nie było czasu. Sprowadzają Wariusza.

- Przecież nie ma jeszcze godziny... - szepnął Gabiniusz zdumiony, ale wyłączył daldidctor. Nie potrzebowała jego pomocy, nawet gdyby mógł jej udzielić. Wariusz na pewno nie wiedział o udziale Tullioli.

Stał, wydymając usta, zastanawiał się niechętnie: ile można zyskać na usunięciu Wariusza, i to na usunięciu go w porę? Zawahał się, znowu połączył się z Renatusem, powiedział z większą nieśmiałością niż zwykle:

- Chodzi o Wariusza. Możemy znaleźć w więzieniu kogoś, kto...

Tym razem Renatus nie ukrywał, że chce go spławić.

- Niby kogo, według ciebie? - warknął. I przerwał połączenie. To wstrząsnęło Gabiniuszem bardziej niż słowa.

Oparł się o biurko, jakby chciał je przepchnąć przez pokój, zaklął. Nie był głupi, opracował plan działania na wypadek takiej sytuacji, zawsze miał pod ręką pieniądze. Ale tak trudno było się nauczyć przegrywać: wrodzony optymizm spowolnił jego działanie. Nadal uważał, że wszystko da się załatwić, jeśli włoży się w to odpowiednio dużo energii i uwagi. Rozejrzał się po pokoju i pomyślał: zostań, niech będzie nawet proces, wytrzymasz, to tylko kwestia pieniędzy.

Ale nie, nie, powiedział sobie. Kiedy nadchodzi taki czas, trzeba umieć go rozpoznać. Położył głowę na biurku, tylko na moment, nie przypomniał sobie, żeby kiedykolwiek tak się zachowywał. Oczywiście musiał chronić własne cesarstwo, rzecz jasna chciał się dostać do senatu, ale przyszłość, przyszłość... Ogarnęła go wściekłość na Rzym i jednocześnie litował się nad nim. Miasto zginie, zginie, nikt już o nie nie dba.

Przywołał niewolnika.

- Spakuj moją torbę i przygotuj samochód do drogi.

Pomimo wszystko czuł niewielką ulgę na myśl o Wariuszu.

Naprawdę miał nadzieję, że uda się ocalić mu życie, i poczuł żal, kiedy wydawało się, że to niemożliwe. Nie lubił, kiedy ludzie umierali bez powodu. A chodziło nie tylko o to: oczywiście wiedział, że Wariusz nigdy mu do końca nie wybaczy, ale miał nadzieję, że z czasem, może na starość, przynajmniej zrozumie, jak to naprawdę było. I lubił myśleć, że to on dał Wariuszowi szansę. Szybko podszedł do sejfu i opróżnił go. Łagodnie obudził Helwię.

- Miałem pilne wezwanie, jadę do Comum. Wrócę za parę dni.

Spojrzała na niego w milczeniu. Pewnie zgadła, pomyślał, za bardzo się boi, żeby się odezwać, i nagle to go zirytowało. Nieważne. W porywie czułości zapragnął się pożegnać z dziećmi, ale nie zrobiłby tego, gdyby naprawdę wybierał się w podróż w interesach, nie było sensu ich niepokoić. Lepiej będzie im przez jakiś czas bez niego, to nie potrwa wiecznie. Sprowadzi je, kiedy się urządzi. Jednak przez jakiś czas stał na podeście, spoglądając tęsknie na schody prowadzące do ich pokoiów. Potem dzwignął dwie walizki i zszedł.

Zostawił zaskoczonych szofera przy schodach domu. Przejeżdżając przez bramę, obudził pawie, które wrzasnęły. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio sam prowadził, chyba wtedy był szczuplejszy, bo teraz było mu niewygodnie. Oczywiście nie wybierał się do Comum, jechał zawiłą trasą wzdłuż wybrzeża, z rozdrażnieniem myśląc o swoim ciecie, trudno mu będzie wmieszać się w tłum z taką posturą. Terranowa, pomyślał, wielkie przestrzenie. Może nawet po nioniańskiej stronie byłoby bezpieczniej; sądził, że są tam rejony, gdzie rzymskie cnoty przyjęły się na tyle, żeby czuł się jak w domu.

Zatrzymał się w Ostii i pobiegł do portu. Otworzył swoją łódź, wniósł na pokład walizki pieniędzy i ubrań, które położył na pluszowych siedzeniach w kabinie. Uruchomił potężny silnik. Gabiniusz lepiej radził sobie z łodzią niż z samochodem. A łódź oczywiście była dobra, mógł szybko przemierzyć długą drogę.

Ledwie ruszył po migotliwej czarnej wodzie, kiedy łodzie wigilów zaroily się przed dziobem i rozległy się krzyki, żeby się zatrzymał i wyszedł, bo mają go na muszce. Przeklął Lewinusa i Renatusa, i innych, któ-

rzy go opuścili. Przeklął samego siebie. Niemal wpadł w rozpacz, ale nawet w takiej chwili jeszcze żywił odrobinę nadziei.

Wyłączył silnik i powoli wyszedł, z szeroko rozłożonymi ramionami, ale i tak do niego strzelili. Pierwsze kule zaryły się w jego ciele i ogarnęło go bezbrzeżne zdumienie, następne dwie strzaskały mu czaszkę i cisnęły go do morza.

I

WARIUSZ

Wariusz szedł pieszo przez Rzym. Był grudzień, lecz tego dnia zimne powietrze wydawało się niebieskawe i szkliste, a w granicach miasta dziwnie czyste. Wariusz dostrzegał wszystkie szczegóły, jakby były bardzo delikatne, tak że nawet patrzeć należało na nie ostrożnie - ostrożnie, lecz nie powoli. Tak jak w dniu aresztowania. Szedł pieszo częściowo dlatego, żeby się zmęczyć i jeśli szczęście dopisze, później zasnąć, ale także dlatego, że mógł, że chciał pokazać, iż nic go nie zatrzyma.

Ojciec udał się do jego mieszkania po niektóre ubrania i przedmioty. Wariusz nadal nie chciał tam iść, tak jak nie mógł się spotkać z Markiem, rodzicami Gemelli i Rosą, która też będzie chciała wziąć udział w pakowaniu i decydowaniu, co zrobić z rzeczami jego żony. Miał świadomość, że pewne wydarzenia toczą się bez jego udziału, już sobie wyobrażał, które przedmioty Gemelli zatrzyma, przynajmniej na razie; inne trafią do pudeł, nawet jeśli jeszcze nie wiedział, dokąd trafią pudła.

Zamierzał wyjawić rodzicom jak najmniej, żeby ich oszczędzić, ale w końcu opowiedział im wszystko. Matka wypytywała się o najdrobniejsze przemilczenia, kiedy usiłował wymyślić wiarygodne kłamstwa, miał pustkę w głowie. Tym samym stwarzał wrażenie, że wydarzenia mogły się potoczyć tylko w jeden sposób. Nie przyszło mu do głowy, że może to i dobrze. Wciąż złościł się na siebie, myślał, że powinien być bardziej zdecydowany i pomysłowy. Mieszkał u rodziców, odkąd wrócił przed świtem z pałacu; powitały go okrzyki zdumienia i ulgi.

Od tego czasu ojciec prowadził z nim długie, ostrożne rozmowy o polityce zagranicznej; usiłując ukryć badawcze spojrzenie, karmił go monologami o statusie Azteków lub działaniach Siny podczas ewentualnej

wojny. Matka chodziła za nim krok w krok, mówiła, gotowała, rozpaczała z powodu złamanego zęba syna, aż posłusznie poszedł i kazał go wyleczyć, choć po zabiegu niemal natychmiast przestał na niego zwracać uwagę. Prawdę mówiąc, nigdy nie zostawał sam. Zaczęło go to nużyć; kolejny powód, żeby wychodzić na dwór. Nie zostanie z nimi długo.

Następnego dnia po powrocie usłyszał po południu o śmierci Gabiniu-
sza.

Przeszedł przez Pole Marsowe. Gdyby chciał, mógłby wyjść z miasta, opuścić kraj. Ale kiedy o tym pomyślał, usłyszał Gabiniusza zachęcającego go, żeby zrobił sobie wakacje, i poczuł pogardę, nie mógł postąpić tak, jakby kierował się jego radami.

A jednak będzie musiał. Nadal miał pieniądze od Gabiniusza. Zakładał i miał nadzieję, że ktoś je skonfiskuje. Prawnicy, którzy jeszcze przetrząsali wszystko, zaskakująco powoli przyjmowali do wiadomości, że nie ukradł tych pieniędzy Markowi. Wyglądało na to, że naprawdę należą do niego. No cóż, będzie musiał się ich pozbyć, ogarniało go obrzydzenie na myśl, że miałby korzystać z pieniędzy uzyskanych w taki sposób. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Logicznie byłoby zainwestować je w klinikę dla niewolników, nawet jeśli czuł się skrępowany faktem, że Gabiniusz przewidział ten jego ruch - to głupie, będzie musiał to przezwyciężyć. Tylko od niego zależało w tej chwili, czy klinika w ogóle powstanie; od śmierci Leona i Klodii i jego uwięzienia plany budowy leżały nie-
tknięte. Jeszcze nie teraz, teraz nie mógłby tego zrobić, ale w końcu trzeba będzie coś postanowić. Wiedział, że w Złotym Domu może się znaleźć praca dla niego, lecz jej nie chciał.

Śmierć Gabiniusza nie budziła w nim takich uczuć, jakich by pragnął. Chciał być brutalnie, bezwstydnie zadowolony, a tymczasem czuł się nieswojo. Mówił sobie, że to przez brak procesu - pamiętał, co powiedział Kleomenes w więziennym szpitalu - to nie jest sprawiedliwość, a Gabiniusz nie będzie się mógł wytłumaczyć. Prawdę mówiąc, nie chciał sły-
szyć jego wyjaśnień i brak procesu przyjął z wdzięcznością, opisywanie swojego udziału w tym wszystkim byłyby przykre. Gabiniusz został ukarany, umarł. Czegóż więcej mógłby chcieć Wariusz?

Trochę mu było żal Gabiniusza, tak po prostu, tylko dlatego, że rozmawiali. Czy to możliwe, skoro wiedział, co zrobił i co zamierzał zrobić Gabiniusz, i nigdy nie przestał go nienawidzić? To nie miało sensu, nie-

mal wolałby uwierzyć, że łaknie krwi, że jest zły, iż Gabiniusz nie cierpiał bardziej.

Wszedł na wzgórze Janikulum. Nie zależało mu szczególnie na życiu; w najlepszym razie mógł się na nie niechętnie zgodzić. Mimo to był gotów spotkać się dziś z Kleomenesem i podziękować mu za ratunek, albo za udział w ratunku, w imieniu tego Wariusza z przyszłości, który będzie się z tego naprawdę cieszył.

Tyber lśnił jak wypucowany. Wariusz wpatrywał się w niego zbyt długo, aż zimne łyzy podrażniły mu oczy. Bał się tego wszystkiego, tego wędrowania po Rzymie i stopniowego wykonywania zadań, z którymi nie potrafił się zmierzyć, bał się myśli o klinice i tego, że zapomni, iż nic mu nie wróci Gemelli. Wchodził w ślepy zaułek; kiedy znowu zacznie żyć jak normalny człowiek, w pełni do niego dotrze, że Gemella powinna być przy nim, a przecież ją utracił. Na co mu wtedy to wszystko?

Ale... było wcześniej, zostały mu jeszcze dwie godziny do spotkania z Kleomenesem. Na razie te spacerunki były zawsze nieplanowane, bezcelowe, lecz teraz przyszło mu do głowy, że jednocześnie mógłby zrobić coś pożytecznego. Nie chciał znowu zamieszkać w tamtym mieszkanku, będzie musiał zacząć się rozglądać za innym. Splótł ramiona, broniąc się przed zimnem, i zszedł z Janikulum w stronę Zatybrza, mostu Emiliańskiego i platanów.

II SULIEN

Palben okazał flegmatyczne zadowolenie na widok pieniędzy za samochód i machnięciem ręki opędził się przed przeprosinami, choć teraz odnosił się do Marka z pewną podejrzliwością. Zerkał niespokojnie na strażników, którzy mu towarzyszyli, i wymamrotał:

- Jesteś... nie bratem cesarza, nie pamiętam... jakimś krewnym? To co tu robiłeś?

Marek usiłował mu wytłumaczyć, ale nie potrafił ocenić, na ile Palben zna łacinę, i ten po chwili zmarszczył brwi i porzucił wysiłki, żeby zrozumieć.

- Był problem?
- Tak.

Palben pokiwał głową.

- Tak myślałem.

Podszedł bliżej, zniżył głos i skinął nieznacznie głową w stronę gór.

- Bardzo cicho siedzą.

Najwyraźniej obawiali się dalszego biegu wydarzeń.

Góry były bielsze niż poprzednio, drobny śnieg prószył między pniami nagich drzew. Strażnicy nie byli zbyt służbiści, dlatego Marek ich wybrał. Nie powinni spuszczać go z oczu, ale spuszczali. Ich nieustanna obecność nie była tak uciążliwa, jak spodziewali się Una i Sulien, ale Sulien pomyślał: jak można tolerować nieustanny nadzór? Una na razie nie zwracała na to uwagi, prawie ich nie zauważała, ale dobrze i dziwnie było znaleźć się z dala od nich, znowu w niezatłoczonej przestrzeni.

W tym lesie wyczuwało się niepokojącą obecność Damy, tak jakby szedł trochę przed nimi, pokazywał im drogę, jak w dniu ich przybycia. Una starała się wierzyć, że znajdą go bezpiecznego w obozie, choć tak naprawdę nie sądziła, żeby naprawdę mógł wrócić. A jeśli nie wrócił, bała się, że Delir, gdy pozna prawdę, uzna Damę za zmarłego, a wtedy ona sama mogłaby zacząć tak myśleć. A jeśli tam był, to kiedy zobaczy ją z Markiem, jak się poczuje? Co będą mogli sobie powiedzieć?

- Chciałbym... - mruknął Marek. - Takie zwykłe szastanie pieniędzmi po dokonaniu tak trudnych rzeczy... chciałbym być bardziej użyteczny.

- Pieniądze nie są złe. Lepsze pieniądze niż nic - odparła. - Tak naprawdę Marek nie myślał o Palbenie. Wolałby pójść do Delira i powiedzieć; nie musisz się o nic więcej martwić, wszyscy jesteście bezpieczni. I myślał, że to będzie łatwe, że po tym wszystkim Faustus będzie musiał zrozumieć, że Delir nie jest przestępcą, nie powinien być ścigany.

Ale Faustus powiedział uroczyście:

- Posłuchaj, Marku. Uniewinnienie to jedna rzecz. I jeśli to wszystko, nie wahałbym się... ale czy przestanie to robić?

Marek przeraził się. Faustus westchnął.

- Przecież nie zrobię tam nalotu. Rozumiem, wierzę w to, co o nim powiedziałaś. Ale nie mogę usprawiedliwić wszystkich jego czynów, a tym bardziej czynów ludzi, którzy z nim przebywają. Niektórzy mogą nawet nie być niewolnikami. Nie wiesz, co mają na sumieniu - on sam może nie wiedzieć. Nawet jeśli mógłbyś poręczyć za wszystkich, których tam poznałeś, sam mówiłeś, że bez przerwy przybywają nowi...

- Ale... on nie może przestać - powiedział Marek cicho. - Musi działać. Chcę, żeby to miejsce było schronieniem dla potrzebujących. Chcę mu pomóc.

Znajdowali się w zielonym cesarskim gabinecie, wśród malowanych winorośli i kwitnących drzew. Faustus pokiwał głową.

- Wiem. A ja chcę, żebyś został cesarzem. Pragnąłem tego dla Leona. Wiem, co sobie zamyśliłeś. Ale ja tego nie zrobię, nie wyrzucę wszystkiego przez okno, nie... - Westchnął i milczał tak długo, że Marek niemal się przestraszył, czy wuj nie zgubił wątku. - Nie nadaję się do tego. A dopóki jest to przestępstwo...

Jednak bez względu na smutek i żal Marek i Una nie mogli się przestać uśmiechać do siebie - oszołomieni, słabi i niemal nieczuli na wszystko inne.

- Biedni ludzie, pochorują się na wasz widok - powiedział im Su- lien w Athabii. Był spięty, chciał jak najszybciej znaleźć się w wąwozie.

Tydzień wcześniej spotkał się z Tancorix.

Spotkanie zaaranżował Glaukon; był delikatny i dyskretny, nikt by się nie zorientował, że wszystko to wydawało mu się żałosne. Dopóki proces trwał, Sulien wściekał się o tę delikatność, o to, że Tancorix należało słodkimi słówkami skłonić do powiedzenia prawdy. Glaukon odnalazł ją w Novomagus w Germanii, gdzie mieszkała z mężem. Rozmawiał z nią uspokajająco, miała jedynie powiedzieć, co zdarzyło się naprawdę, a kiedy on to zanotuje, podpisać. Sędzia na to rzuci okiem, i tyle, nic się jej nie stanie. Choć w normalnych okolicznościach w jej imieniu wystąpiłby ojciec lub mąż, można było to ominąć, rodzina nie musiała nic wiedzieć.

- Dobrze - powiedziała, co zdumiało Glaukona. - Dobrze. Przyjadę.
- Jak to? Nie ma potrzeby, byś opuszczała dom.
- Muszę przyjechać i spotkać się z Sulienem - oznajmiła wojowniczo.
- Nie, to wcale nie jest konieczne.
- Jeśli się z nim nie spotkam, to nic z tego.
- Ale nie możemy dopuścić do sytuacji, kiedy można by powiedzieć, iż cię zastraszył.

- Przecież jest młodszy - wyjaśniła po dziecinnemu zdumiona Tancorix.

Przyjechała więc do Rzymu, a Sulien spotkał się z nią w gabinecie sędziego na Wzgórzu Kapitolińskim.

Nie wyglądała na matronę. Wydawała się niemal młodsza niż podczas ostatniego spotkania, o jakiś rok bliższa swojej naburmuszonej, trzynastoletniej wersji. Jej skórę i żółte włosy powlekła jakby jakaś przezroczysta warstewka, sinawy, tłusty połysk; włosy miała ściągnięte do tyłu i widać w nich było ślady grzebienia. Przez chwilę wydawało mu się, że znowu się trochę zaokrągliła, a potem dostrzegł w nagłym przebłytku olśnienia i niepokoju coś nadal niemal ukrytego, czego nie zauważyłby nikt nie mający medycznego doświadczenia.

- Nie przejmuj się - powiedziała kwaśno, dostrzegłszy jego minę. - Jak najbardziej z prawego łóża. Nie twój problem.

Jednak jej świeże kolory nie znikły, były w niej, cofnęły się tylko i przyczaiły. Sulien już zaczął jej współczuć. A ona dygotała, ale zmusiła się, by podnieść głowę.

- No i tak - odezwała się niepotrzebnie głośno. - Więc jesteś. Mogłam powiedzieć, ale nie zrobiłam tego... Powiedziałam rodzicom, że mnie zgwałciłeś. Sytuacja była raczej niedwuznaczna, prawda? Matka zrobiła to, żeby nas ukarać. Albo może nie nas. Twierdziła, że to wina mojego ojca, bo tak cię traktował. Powiedziała, że powierzyła mu mnie i takie są rezultaty, bo pozwalał ci na wszystko, bo dbał o ciebie bardziej niż o mnie.

Spojrzeli na siebie, oboje zranieni i opuszczeni. Sulien cierpliwie pochylił głowę. Po prostu musiał przez to przebrnąć. Kiedy wyjdzie z tego pokoju, kiedy Tancorix podpisze dokument, wszystko minie.

- Potem zamknęła mnie w pokoju - ciągnęła Tancorix - zanim cię areztowali. Ciągle mnie gdzieś zamykała, a sama dogadywała się z Epimachusem.

- Och - powiedział Sulien.

Tancorix zirytowała się.

- Nie. Nie mów „och”, jakby to coś zmieniało. Nie możesz być zawsze taki łagodny. Tak, zamykała mnie, ale ciebie chcieli ukrzyżować. Nie sądzisz, że powinnam się trochę bardziej postarać?

- No, nie wiem - wymamrotał Sulien cicho.

- Ojciec nie chciał, żeby do tego doszło. Gdybym się z nim sprzymierzyła, mógłby zadziałać w twojej sprawie. Nie przyszło mi to do głowy. Ciągle prosiłam, ale tak samo jak płakałam, nie przykładając się. Strasznie się wstydziłam, miałam poczucie, że choćby się wydarzyło nie

wiadomo co, nie będę miała na to wpływu. Mogłam krzyknąć z okna, powiedzieć komuś. Ale naprawdę uwierzyłam, że nikt się nie może dowiedzieć, że świat by się zawalił... stchórzyłam. Wszystko zrobiłam nie tak. Postąpiłam tak samo źle jak on.

- A on nigdy nic nie powiedział? - spytał szeptem Sulien.
- Chciał spokojnie żyć - oznajmiła z goryczą.
- Miał więcej możliwości niż ty. Ale ty przyjechałaś, jesteś inna niż on.

Tancorix jęknęła zaskoczona i przewróciła kpiąco oczami, choć załśniły w nich łzy.

- No tak, wielkie dzięki, jesteś zupełnie... beznadziejny, ale to bardzo miłe. - Przełknęła ślinę i opanowała się, lekko drżąc. - W każdym razie dobrze, że uciekłeś, oczywiście bardzo się ucieszyłam.

Wydano ją za mąż za karę, w pośpiechu, a kandydata wybrano spoza kręgu znajomych. Epimachus był starym kolegą Catavignusa, wyraził zainteresowanie ożenkiem przed wieloma miesiącami, ale Prisca uważała, że Novomagus jest zbyt obce dla Tancorix, a Epimachus za stary - aż do tamtego dnia.

- Jak ci tam jest? - spytał Sulien cicho.

Tancorix westchnęła i wzruszyła wytwornie ramionami. Jej twarz przybrała figlarny i zmęczony wyraz, który przez chwilę podkreślił jej urodę.

- Cóż, zdecydowanie bardzo nudno i nie znoszę tego. To prowincja, zimno. I to. - Wskazała gniewnie na swój brzuch. - Ciągłe wymiotuję. To chyba jasne, że nie znoszę mego męża.

- Ile ma lat?
- Czterdzieści jeden.

Mniej więcej tego się spodziewał, ale i tak spojrział na nią ze współczuciem. Znowu zerknął na jej brzuch i pomyślał, że to straszne, i jeśli do tej pory skąpił jej jeszcze jakiejś odrobiny wybaczenia, to teraz wybaczył jej wszystko.

- No właśnie - powiedziała Tancorix, rozbawiona i zrozpaczona. - Nie wie o tobie; oczywiście nie wie, że był ktoś przed nim, wykonałam ten numer z czerwonym atramentem na prześcieradle. Matka mi kazała.

Glaukon odchrząknął. Zniżyła głos, ale wyłącznie dla zachowania pozorów. Nadal słysząc ją było bardzo wyraźnie. Odwróciła się do Glauko-

na niezrażona.

- Myśl, że nikt się nie dowie... nie wiem, czy w to wierzę. Tak realistycznie rzecz ujmując, ile osób to usłyszy?

Glaukon usiłował pohamować rozdrażnienie.

- Nikt nie wspomniał publicznie twojego imienia. I skoro już przyznałaś, że...

Ale Tancorix nie pozwoliła mu skończyć. Skrzywiła się gwałtownie.

- Nie obchodzi mnie to, nie obchodzi, możesz powiedzieć, komu chcesz! Nie obchodzą mnie ci ludzie, nie dbam o swoje małżeństwo!

Sulien się zasmucił.

- Słuchaj, nie musisz robić nic więcej niż...

- Chcę! W końcu chodzi o prawdę! Mój mąż może myśleć, co chce, a jak mu się nie spodoba, to świetnie! A co do moich rodziców...

Sulien przestąpił z nogi na nogę, z jakiegoś powodu poczuł się zobowiązany udzielić rozważnej rady:

- Wiem, że nie jesteś szczęśliwa, ale musisz być ostrożna...

- Nie - odpowiedziała z promiennym uśmiechem. - Uważam, że powinnam.

- Ale kiedy wrócisz...

Westchnęła ze zdziwieniem.

- Ja nie wrócę. Nikomu nie powiedziałam, że przyjeżdżam. Miałam powiedzieć, że składam wizytę komuś w Narbo, koleżance ze szkoły. Ale nie powiedziałam, tylko przyjechałam, nie wiem dlaczego.

- I co teraz zrobisz?

Roześmiała się.

- Nie wiem! Urodzę dziecko! A potem się zobaczy.

- Ale nie chcę, żebyś cierpiała.

- O, niebiosa! - krzyknęła z niedowierzaniem. - Mną się nie przejmuj! Ludzie chyba bez przerwy ci włożą na głowę, co?

- Właściwie nie - rzucił nagle, niespodziewanie słysząc drżenie własnego głosu. - Nie sądzę. Prawie kogoś zabiłem.

Tancorix przycichła. Przyjrzała się mu.

- Ty? - spytała cicho. - Tych żołnierzy na promie? Oczywiście słyszałam o twojej ucieczce.

- Nie, chyba że to też się liczy...

- Nie liczy się.

- Nie zabiłem tylko przez przypadek.
- Założę się, że to nieprawda - powiedziała.
- Prawda. - Z jakiegoś powodu nie potrafił się powstrzymać. - I dlatego musiał to zrobić ktoś inny. A jednak nie mogłem pomóc temu człowiekowi, był bliżej niż ty w tej chwili patrzył na mnie i... - nieświadomie dotknął dwoma palcami szyi z boku -...i w ustach zbierała mu się krew. A ja się nawet... nie przejąłem...

- Ale teraz się przejmujesz.

- No tak, ale on by nas zabił, więc nie wiem dlaczego... no, wiem, ale... Tancorix pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia, co wygadujesz. Ale nie jesteś zły. Każdy to widzi.

Sulien westchnął, pokręcił głową, ale uśmiechnął się do niej ostrożnie.

- Dziękuję. - Za co właściwie jej dziękować? - Dziękuję, że to dla mnie robisz.

- Nie powinieneś mi dziękować. - Patrzyła na niego z wyraźną tęsknotą. - To nie na miejscu, ale brakowało mi ciebie.

Nie spodziewała się odpowiedzi, i dobrze, bo nie potrafił jej znaleźć. Chciał jej powiedzieć, że on też tęsknił - żeby zrobić jej przyjemność - ale nie powiedział, bo jak? Nie wiedział, dlaczego opowiedział jej o człowieku, którego zabił Dama.

Potem zdziwił się, jak powoli docierało do niego uniesienie i ulga, kiedy zrozumiał, że się stało: już po wszystkim, już nikt nie będzie go ścigał, mógł powiedzieć Delirovi. Czuł jednak przede wszystkim niepokój. Chciał uciec od Tancorix, choć z zaskoczeniem i zakłopotaniem przekonał się, że nie tylko mu jej żal, ale że znowu ją lubi. Bardzo chciał zobaczyć się z Lal.

Te prośące płatki śniegu spływały powoli i nikły w rwącej wodzie i mokrej trawie. Ścieżka prowadziła od rzeki w górę, gdzie Sulien, Una i Marek nie widzieli nic prócz drzew. Ale kiedy zbliżyli się do obozu, Una spochmurniała, ruszyła szybciej, a gdy wspięli się po leśnym zboczku do pierwszej drabiny, szepnęła:

- Och, nie.

- Co? - spytał Sulien. Odgadł, ale nie czekał, aż usłyszy to od niej.

Przepchnął się pomiędzy nimi, zbiegł, zeskoczył z drabiny i wpadł na mały drewniany mostek prowadzący do obozu.

Znikli.

Una i Marek szli za nim; potykali się na kamieniach zalegających w wąwozie, zdrętwiali ze strachu, że na podłogach chat znajdą nieruchome ciała. Ale nie znaleźli, choć Tasjusz i pozostali, z wściekłości lub desperacji, roznieśli osadę na strzepy, zerwali podłogi, szukając ukrytych schowków, rozbili monitory, które musiały ostrzec Delira i innych o nadejściu wroga. Rozłupane drewno od dawna nasiąkało wodą, od tamtej chwili minęły tygodnie. To się mogło wydarzyć parę godzin po tym, jak opuścili osadę, by szukać Marka.

Marek i Una spojrzeli na siebie bezradnie, a potem na Suliena. Marek jęknął:

- Nie powinienem tu przychodzić.

Tyle pracy, pomyślała Una. Żywiła nadzieję, że Dama tego nie zobaczy.

Malowane drzwi Lal zwisały. Sulien przyskoczył do nich, bo przyszło mu do głowy, że mogła mu zostawić wiadomość - właściwie był o tym przekonany. Agenci nie szukaliby listu, on tu gdzieś mógł być. Wprawdzie nie mogłaby napisać w tym liście wyraźnie, dokąd odchodzą, jakoś by jednak przekazała zaszyfrowaną informację, albo może nawet nie, po prostu by przeczytał i zrozumiał, gdzie jej szukać.

Ale nawet jeśli gdzieś tu był list, zniknąłby w tych nierozpoznawalnych mokrych szmatach, przemoczonych deszczem, który wpaadał przez otwarte drzwi przez wiele tygodni. Z mokrych ścian bił okropny odór pleśni. Początkowo wstrząsnęło nim, jak niewiele swoich rzeczy zabrała - a przecież je kochała - jak wiele ich zostało w chacie, porozrzucanych, zniszczonych. Pomyślał o niej, bezbronnej w górach, schwytanej, przesłuchiwanej, zamordowanej.

Nie - przypomniał sobie o mapach, planach Delira - w pokoju z monitorami czekały plecaki przygotowane na czarną godzinę. A Lal spakowała jeszcze torbę, kiedy postanowiła z nimi pojechać.

Ale na podłodze leżała zwinięta w kłębek, przemoczona sukienka w kolorze wina, żałośnie podobna do zwierzątka o mokrej sierści, martwego, rzuconego na pobocze drogi. Lal miała ją na sobie w dniu, kiedy Tasjusz zjawił się w Athabii, w dniu, kiedy Sulien opowiedział jej o krzyżu i

Tancorix. Sukienka była wtedy tak samo przemoczona, ale pamiętał ciepło ciała dziewczyny, kiedy się dotykali. I położył rękę na przegubie, nie po to, by go osłonić przez widmowymi kolcami, lecz by zachować jej pocałunek.

- Och, Lal - odezwał się głośno.

Dotknął sukienki, ale poczuł jej ciężar i nie uniósł jej z podłogi. Jeszcze bardziej posmutniał, gdy ujrzał odłamki i okruchy szkła wokół przewróconego biurka - zniszczono jej narzędzia. Pochylił się nad nimi zrozpaczony, to tu klęczał przed nią, całując ją po raz pierwszy. Chciał zabrać ze sobą coś, co należało do niej, i w końcu znalazł pędzelek i małą buteleczkę z tuszem, nietknięte, delikatnie je podniósł. Potem położył je na dłoni i przez jakiś czas tylko się w nie wpatrywał.

Marek i Una znaleźli coś w rodzaju pożegnania: znak. Ponad innymi graffiti Tobiasz napisał „TĘDY” i otoczył to słowo płomienistymi strzałami wskazującymi we wszystkich kierunkach, jak promienie słońca.

III DRUZUS

Faustus uznał za wykluczone, by Tulliola miała czekać na proces w zwyczajnym więzieniu, więc umieszczono ją w maleńkiej ślicznej willi w Kampanii, lecz w zamknięciu, nie wolno jej było nawet wychodzić do ogrodu. Willa należała do Faustusa, a Druzus wiedział, po co cesarz ją kupił: między rozwodem a drugim małżeństwem sprowadzał tam kobiety. Tulliola też mogła tam z nim być, może już wcześniej pływała w tym małym jeziorze wśród wierzb. Druzus spochmurniał na tę myśl. To niesmaczne, że ją tam teraz odesłano.

Tulliola siedziała przy oknie, grube zasłony były obrysowane kwadratami światła. Nie wiedział, dlaczego kazano je zaciągnąć. Czy to w ramach kary, czy Faustus był aż tak okrutny? A może nie chciała się pokazywać, nie miała ochoty nawet wyglądać? To już bardziej prawdopodobne, sądząc po tej zmianie, jaka w niej zaszła. Strój koloru kości słoniowej, który na sobie miała, był równie piękny jak zawsze, z nawyku włożyła nawet biżuterię, ale wszystko było rozchełstane, zmięte, jakby ubierała się zupełnie oszołomiona. Gracja jej sylwetki znikła; aż do dziś nigdy by się nie pozwoliła zaskoczyć w tej przygarbionej, rozpaczliwej pozie, z bez-

władnie rozchylonymi nogami.

Upięta włosy, choć było to tylko niezdarne naśladownictwo tej gładkiej ciemnej wieży, i trochę się rozczarował, bo lubił rozplątywać te długie pasma, uwalniać je z tej nieskalanej budowli, nigdy nie rozumiał, jak ją wyczarowywała.

Na jego widok poderwała się z krzykiem:

- Druzusie! Musisz mi pomóc. Ty mi pomożesz!

Podbiegli do siebie, oboje we łzach.

- Usłyszają... - odezwała się, ale odpowiedział:

- Nieważne, nieważne.

Całował ją desperacko i razem osunęli się na dywan. Zadawali sobie mimowolnie przelotny ból zębami i paznokciami, jęcząc, łkając, sięgając do nagiej skóry przez pokłady ubrań, pospiesznie zrywanych lub odsuwanych. Wszystko działo się szybko i nie potrafił odróżnić rozkoszy, kiedy się pojawiła, od bólu, jaki zbierał się w każdym jego mięśniu, dopiero potem to coś ustało i nastąpiła pustka i spokój. A na chwilę przedtem przyszła mu do głowy myśl o zwierzęciu miotającym się po śmiertelnym ciosie, o rybie skaczącej na pokładzie łodzi.

Potem razem usiedli rozdygotani na podłodze.

- Nic nie powiedziałaś? - spytał.

- Oczywiście, że nie - szepnęła. Chwyciła go za rękę. - Uwolnisz mnie, Druzusie.

Zaczął wygładzać swoje ubranie, a po chwili - jej.

- Jak myślisz, co mogę zrobić? - spytał cicho, poprawiając szatę wokół szyi. Brosza, która spinała ją na ramieniu, wydarła trochę białego materiału, ale poprawił ją i rozdarcie nie rzuciło się w oczy.

- Powiedz Tytusowi...

Nie lubił, kiedy wspominała o jego wuju. Zaciśnął usta.

- Co? Żeby zapomniał? Oczywiście chciałbym, ale jak?

- Przekonaj go, musisz. Ja nie mogę, nie potrafię... nie pójdę na proces. Nie pójdę na stracenie. Druzusie!

Znowu zaczęła płakać.

- Ćśśś - szepnął, pogłaskał ją, pozwolił się jej przytulić, ukoił ją po prostu ciepłem ciała, aż wypłakała wszystkie łzy i znowu się uspokoiła.

- Słyszałam o Gabiniuszu - szepnęła.

- Był głupi, powinien się poddać.

- Dlaczego? - spytała, wycierając oczy. - Na to samo by wyszło. Może uznał, że tak będzie lepiej.

- Pewnie masz rację - zgodził się. Tulliola zawahała się i szepnęła:

- A może ty tak uznałeś?

Druzus nie odpowiedział. Dalej gładził jej włosy.

- Wszedłeś - powiedziała równie cicho. - Któryś strażnik to twój człowiek.

- Nigdy mnie tu nie było - powiedział z naciskiem.

- Właśnie. Więc ja też mogę stąd wyjść, prawda? Prawda? Muszę tylko mieć się gdzie schronić. Mogę zniknąć. - Zawahała się. - Nie musimy się rozdzielać. Mógłbyś pójść ze mną.

- Przykro mi... to niemożliwe, zbyt niebezpieczne.

Nie odsunęła się, ale jej dłoń na jego piersi stężała, znowu poczuł napór jej paznokci.

- Co zatem zamierzasz? Nie możesz pozwolić, żeby to mnie spotkało, jesteś mi coś winien...

Druzus cofnął się lekko.

- Co ci jestem winien? - spytał cicho. - Co na tym zyskałem? Mam jeszcze mniejszą szansę na zostanie cesarzem niż poprzednio.

Tulliola wyprostowała się, wpatrzona w niego.

- Ale to ja ryzykowałam, ja wszystko załatwiłam. Dla ciebie. Dlaczego mam za to zapłacić. Za to, co dla ciebie zrobiłam?

- Wszystko runęło w gruzy - szepnęła - i nie ma już sensu. Powiedziano mi...

- Wiem - rzuciła z jękiem.

- Była taka pewna. Myślałem, że to jakiś podstęp, ale powiedziała... kiedy nikogo nie było...

Miała obsesję na punkcie Tullioli, zaczęła się na jej ślubie i z każdym dniem się zwiększała. Coraz bardziej dokuczała mu też idiotyczna tajemnica ojca i wściekłość, jaką czuł z jej powodu. Bo, mówił sobie, to zawsze będzie świadczyć przeciwko mnie. A jednak nie potrafił się zmusić, żeby wydać Lucjusza. Nawet gdybym to zrobił, myślał, to już za późno, on nigdy nie będzie taki jak Leon. A popularność Leona wydawała mu się ostentacyjna, bezczelna, niepotrzebna. Nie musisz się tak wszystkim podlizywać, myślał z goryczą, kiedy Klodia znajdowała mężowi kolejnych słuchaczy do oczarowywania. Już dostałeś, czego chciałeś.

Nie zawsze tak myślał, nie wiedział, dlaczego codziennie ogarniała go taka panika, to okropne, gorączkowe, pozbawiające tchu uczucie. Czasami wydawało mu się, że to początki szaleństwa. Nie wiedział, czy uwierzył Pytii, ale chciał, żeby ktoś na niego spojrzął i odgadł, co z nim nie tak, ktoś musiał mu coś powiedzieć, boby chyba umarł.

Wyobrażał sobie sybille jako zaniedbane wariatki. Ta, przycupnięta w mroku, wysoko na pajęczym trójnogu, była stateczna i pulchna, lecz i tak groźna, o wilczych, żółtozielonych oczach w okrągłej, żółtawej twarzy.

Najpierw poczuł ulgę, gdy się dowiedział, że ojciec jednak nie zmarł - nowa nadzieja! A potem się przeraził, bo odpowiedziała jakby na tę niewypowiedzianą myśl, która już się do niego zakradała: że jednak może coś zrobić, jego sytuację da się zmienić. Wiedział, że znajdują się ludzie, którzy zechcą mu pomóc. Nie wszyscy lubili Leona.

Sybilla powiedziała, jednym tchem - zanim jeszcze spojrzała przez opary w jego twarz i go rozpoznała - donośnym monotonnym głosem, bez przerw między słowami, tak że początkowo trudno było z nich wyłuskać znaczenie:

Jeśli nie zostaniesz nikim, będziesz miał co chcieć - ostatni
Nowy cesarz Rzymu.

I niemal natychmiast zaczęło się sprawdzać. Obiecano mu to, czego chciał. Zaledwie parę tygodni po powrocie z Delf znalazł się sam na sam z Tulliolą przy fontannie w pałacowym ogrodzie.

- Jak było w Grecji, Druzusie? Spotkałeś się z Makarią? - spytała, niewzruszenie spokojna, uśmiechnięta. A on właściwie od razu zaczął jej opowiadać, co usłyszał od sybilli, i skończył - nerwowo - bo wtedy trochę go peszyła, miała tyle naturalnej godności i była parę lat starsza od niego.

- Oczywiście, poszedłem z ciekawości, rozumiesz, nowe doświadczenie. Wtedy byłem pod wrażeniem, ale to wszystko na pewno nic nie znaczy.

Spojrzeni na siebie w milczeniu, a ona powiedziała:

- Nie. Jestem pewna, że coś znaczy. - Wtedy już się jej nie bał, już wiedział, że może ją pocałować. Przyjęła pocałunek chłodno, bez komentarza, odpłynęła nieskalana, ale wiedział, że za nią pójdzie, poszedł za nią

do gościnnej sypialni, gdzie wyszła mu na spotkanie z drapieżnym podnieceniem, tak samo gwałtowna jak on.

- Powiedziałaś komuś? - spytał teraz ponownie.

- Nie! - krzyknęła, ale z szorstką nutą, której się spodziewał i którą zrozumiał. Powie, jeżeli jej nie pomoże, nawet jeśli nie będzie nic z tego miała.

- Dobrze. - Przyciągnął ją do siebie. Gładził jej włosy, usiłował je ułożyć, ale był bezradny wobec tych cienkich sznureczków i szpilek, nie potrafiłby nawet zapleść warkocza, choć tak często rozpuszczał te gęste pukle.

Na jego kolanie spoczywała złota szpilka. Była długa, miała ostry szpikulec, a na drugim końcu koralik z niebieskiego turmalinu, unieruchomiony w krążku złotych ząbków, nad rzędem maleńkich perełek i paciorków z lapis-lazuli.

Raz zostawiła ją w jego sypialni, a on jej nie oddał, nie z roztargnienia, lecz ponieważ lubił tę szpilkę. To jedno miał naprawdę, zbyt dobrze wyobrażał sobie kochankę w łóżku Faustusa. Zazdrość czasami zbijała go z tropu. Wiedział, że Tulliola nie kocha Faustusa, a nie mógł się spodziewać, że go zostawi, to by wszystko zepsuło. Byli bardzo ostrożni. Ale wolałby, żeby nie wyglądała zawsze tak spokojnie. On nieustannie czuł napięcie, straszliwe - czy dla niej to nic nie znaczyło, nic nie zmieniało? Kiedy Faustus ją całował albo kładł rękę na jej biodrze, chciałyby widzieć zmianę na jej twarzy - tylko on, niechby nie widział jej nikt inny - jakiś cień obrzydzenia, żeby wiedział, iż dotyk Faustusa jest jej wstrętny, że pragnie tylko jego, że miłość z kimkolwiek innym jest dla niej udręką. Nigdy nie zyskał pewności, czy Tulliola naprawdę kogoś pragnęła. Myślał - niesłusznie - że tę zdobną w klejnoty szpilkę mogła dostać od Faustusa, a teraz on ją miał i nikt o tym nie wiedział. Tak jakby ta złota drzazga była totemem, który dawał mu władzę nad nią. I tak było.

- Och - odezwała się słabo, widząc szpilkę. - Tu jest.

Początkowo sądziła, że ozdoba przed chwilą wypadła jej z włosów, potem uświadomiła sobie, że nie widziała jej od wielu miesięcy, prawie od roku. Jej oczy rozszerzyły się lekko, a on znowu wyszeptał kojąco:

- Ćśś... - Pocałował ją, zanim zdążyła się zaniepokoić, przełknął jej krzyk, kiedy wbił jej tę szpilkę w serce.

Gdy wyciągał złote ostrze, Tulliola usiłowała się na niego rzucić, ale

wstrząs ją zanadto osłabił. Przekłute serce szamotało się, krwawiło, siły ją opuszczały - położył się z nią znowu na podłodze, na niej, stłumił krzyki i trzepotanie rąk, wymamrotał:

- Już, już, cicho, ćśśś. Kocham cię, przepraszam, musiałem, ćśś...

Jeszcze nigdy nikogo nie zabił, nie własnoręcznie. Czekał, kiedy poczuje w sobie jakąś wielką zmianę, ale nic się nie wydarzyło. Nie czuł, przynajmniej na razie, żadnych wyrzutów sumienia, tylko zaskoczenie i żal, bo Tulliola umarła. Tak jakby zabił ją ktoś inny, jakby sama się zabiła. Zacisnął jej palce wokół szpilki, położył jej ciepłą rękę na piersi obok rany. Dziś rano lekko wyostrzył czubek ozdoby, nie trzeba było wiele, a metal był tak miękki, że to nie było nic trudnego, każdy by mógł, ona też. Znowu ją pocałował, jej szyję, czubki piersi, nadal takie ciepłe i miękkie - niemal tak jakby nic się nie zmieniło, ciągle była taka sama - żadne z nich się nie zmieniło. Ułożył ją trochę inaczej, przez chwilę leżał cicho, głaskał jej włosy, szeptał do niej, jakby nadal płakała, a on wciąż ją pocieszał.

W końcu wstał i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Zostawił tam ubranie na zmianę, a kiedy się przebierał, jeszcze bardziej poczuł, że to się nie mogło zdarzyć naprawdę.

Spakował zakrwawione ubranie do torby. Do strażnika w korytarzu powiedział:

- Dopilnuj, żeby do kolacji nikt jej nie przeszkadzał.

Ten sam strażnik był w sanatorium, Druzus już mu zapłacił. Wkrótce będzie go trzeba dyskretnie usunąć, trzymać z dala od śledztwa, które obejmuje szeregi wigilów i pretorianów. Druzus pomyślał ze znużeniem, że zawsze będzie sprawiać kłopoty, mimo tych pieniędzy, które otrzymał, choć nie ma żadnych dowodów. Ale coś się wymyśli, żeby zyskać pewność. Na razie nie trzeba się nim przejmować. Odjeżdżając samochodem, spoglądał na świat jakby ze znużeniem. Co za marnowanie czasu, pomyślał. Ale co innego mógł zrobić z tym czasem, jak go teraz wypełnić?

W willi na Kwirynale, która chwilowo stanowiła jego dom, spalił ubranie i zanurzył się w kąpieli, oszołomił się gorącą wodą.

Faustus wezwał go potem, by mu powiedzieć, co się stało. Głos miał schrypnięty, słaby:

- Oczywiście powinni jej zabrać te drobiazgi do włosów. Ale nie potrafię się pozbyć wrażenia, że to lepsze niż publiczny proces: więc jednak zostało jej trochę honoru, ale...

- Wuju, musisz bardzo cierpieć - powiedział Druzus. - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo ci współczuję.

Gdy wrócił do domu, posiedział trochę na dole. Marek niedługo przyjedzie do Rzymu. To będzie nie do zniesienia. Nigdy dotąd nie musiałem długo przebywać poza tym miastem, pomyślał, no cóż, ta pora nadeszła.

Potem zaciągnął w domu zasłony, choć nadal było jasno, i poszedł do łóżka, jednym ruchem zagarnął pościel w objęcia, przytulił się do niej i płakał tak długo, aż zasnął.

OD AUTORKI

NASTĘPCA TRONU

Oficjalnie każdego nowego cesarza wyznaczał senat, w rzeczywistości rola senatorów ograniczyła się do akceptowania decyzji aktualnego cesarza lub uzurpatora. W związku z tym automatyczne prawo dziedziczenia nie istniało; przed okresem bizantyjskim władza rzadko przechodziła z ojca na syna, na ogół dlatego, że władca nie miał syna albo władzę usuwano przemocą. Cesarz, gdyby mógł, z pewnością wolałby, by to ktoś z jego rodu - choćby brat lub bratanek - został cezarem, który to tytuł zaczął oznaczać mniej więcej następcę tronu.

DATY

Rzymianie datowali czas od założenia miasta ab urbe condita, czyli od 753 roku przed Chrystusem. Tak więc 2005 AD = 2758 AUC.

NAZWY MIEJSC I IMIONA

Pisząc tę książkę, chciałam znaleźć równowagę między tym co znane i nieznanie, i z tego powodu w moim nazewnictwie mogą się znaleźć niekonsekwencje. Na przykład „Londinium” brzmi archaicznie i nieporęcznie, przynajmniej według mnie, a ponieważ w języku współczesnym przyjęło się mówić „Rzym” zamiast „Roma”, uznałam za stosowne po-

zwolić sobie na tę swobodę. Podobnie zachowałam współczesną wersję nazwy miasta Tivoli, by uniknąć zbliżonego brzmienia Tibur - Tyber. Jednak zachowałam inne łacińskie nazwy, czasami dla nich samych, czasem dlatego, że moim zdaniem współczesne francuskie czy hiszpańskie miana zakłóciłyby wizję łacińskojęzycznego świata, stąd Tolosa i Nemausus, nie Tuluza i Nimes. Przetłumaczyłam Passus Łupi (fort z czasów pompejańskich, teraz wioska St Beat) na Wilczy Krok.

Musiałam także podjąć decyzję w sprawie nazw, z którymi starożytni Rzymianie nigdy się nie spotkali, z Dalekiego Wschodu i Ameryki. Na przykład pierwsza sylaba Kyoto stanowi dźwięk niewystępujący w łacinie, choć Rzymianie mogliby sobie z tym poradzić, wprowadzając literę „n”, stąd Kynoto. Japonia występuje jako Nionia - łacińska wersja japońskiego słowa.

Czasami wydawało się, że rozbieżności między językiem angielskim a łaciną w nazewnictwie miast czy ludów byłyby nieistotne. Czasami zmieniałam dźwięk „cz”, niewystępujący w łacinie, na „x” lub „ts”. Czasami po prostu stosowałam alternatywną nazwę (Meksyka). Łacińskie słowo oznaczające Chiny wywiedziono z chińskiej dynastii Qin lub Ts'in - Sinae. Angielska nazwa Chin pochodzi z tego samego źródła, stąd Sina.

Uznałam, że starsze, nierzymskie imiona mogłyby występować wśród niewolników i ludzi urodzonych daleko poza centrum cesarstwa. Imię Una ma łacińskie brzmienie, lecz pochodzenie celtyckie, podobnie jak Sulien. Delir i Lal to, oczywiście, imiona perskie.

Naturalnie w miarę upływu stuleci każdy język musiałby się zmieniać - co, mam nadzieję, usprawiedliwi wszystko, co w przeciwnym razie mogłoby się wydawać błędem.

KRÓTKA HISTORIA CESARSTWA RZYMSKIEGO
OD 933 AUC DO CZASÓW DZISIEJSZYCH (180 AD - 2004 AD)

Miłym, a zarazem smutnym zadaniem Pertynaksa było wy-
goić o tyle,
o ile to było możliwe, rany zadane ręką tyranii.

Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego, Edward Gibbon*

* Tłumaczenie Stanisław Kryński.

18
2 945 W wyniku krwawych i rozrzutnych rzą-
dów' Rzym podupada, toczony korupcją. Kommodus
ginie, zamordowany przez spiskowców, wśród któ-
rych znajduje się pokojec Eklektus, konkubina i
Letus, prefekt pretorianów (miejskiej gwardii, której
formalnym zadaniem była ochrona cesarza). Spi-
skowcy twierdzą, że Kommodus zmarł w wyniku
apopleksji, i osadzają na tronie
sześćdziesięciosześcioletniego Publiusza Helwiusza
Pertynaksa, syna wyzwolenca, który zdobył rangę
generała, prefekta stolicy i konsula.

DYNASTIA HELWIAŃSKA

192-204 945-957 We wczesnym okresie panowania

Pertynaksa Letus, zaniepokojony jego niezależnością, inspiruje spisek gwardii pretoriańskiej. Spisek zostaje odkryty*, a Letus wygnany. Pertynaks rozwiązuje niemal całą gwardię pretoriańską i osobiście wybiera wierną sobie gwardię przyboczną. Jednocześnie powiększa liczebność i siłę wigilów w celu stworzenia równoważnej organizacji policyjnej, dochodząc do wniosku, że w przyszłości obie te organizacje będą nawzajem wykrywać w swoich łonach spiski przeciw cesarzowi. Pertynaks znosi dotkliwe podatki Kommodusa. Ogranicza wydatki pałacu cesarskiego, przyznaje ulgi podatkowe rolnikom i znosi restrykcje handlowe. Nakłada na miejską arystokrację większe podatki, lecz dzięki kwitnącym gospodarstwom rolnym miasta zaczynają się bogacić. Cesarz przyznaje senatowi pewną część utraconej władzy.

* W tym miejscu moja wersja historii Cesarstwa Rzymskiego różni się z historią standardową. W rzeczywistości spisek się powiódł. Utalentowany i uczciwy Pertynaks (który zaplanował wiele wymienionych tu reform) został zamordowany zaledwie po osiemdziesięciu sześciu dniach panowania, a pretorianie sprzedali tron temu, kto zaproponował największą stawkę. Dydusz Julian kupił sobie tytuł cesarski, ale wkrótce potem został zdetronizowany i skazany na śmierć decyzją Septymiusza Sewera, który wrócił z Panonii, by pomścić Pertynaksa.

Sewer rozwiązał wiele problemów Rzymu i przez pewien czas jego rządy wydawały się sprawiedliwe. Jednak pozbawił senat władzy i dopuścił do korupcji i rozluźnienia dyscypliny w armii, co podkopało stabilność cesarstwa. Gibbon pisze o Sewerze: Potomność, która doświadczyła fatalnych skutków jego maksym, słusznie uznała go za głównego spraw-

cę upadku Cesarstwa Rzymskiego.

204	957	<p>Śmierć Pertynaksa.</p> <p>Po katastrofalnych rządach Kommodusa Pertynaks zwlekał z ogłoszeniem swojego syna, Publiusza Helwiusza Pertynaksa II Venedicusa, cesarzem i następcą tronu. Uczynił to dopiero na łożu śmierci. Senat zaaprobował jego decyzję.</p>
204-220	957-973	<p>Pertynaks II kontynuuje reformy ekonomiczne swojego ojca, stopniowo odbudowując bogactwo cesarstwa. Kiedy warunki ekonomiczne zaczynają na to pozwalać, przystępuje do przebudowy armii, oddziela legiony z granicznych garnizonów i tworzy nowe oddziały. Wprowadza rewaloryzację żołdu w stosunku do inflacji, stabilizuje zarobki żołnierzy, dzięki czemu stają się oni mniej podatni na przekupstwo, a jednocześnie podwyższa standardy rekrutacyjne.</p>
225	978	<p>Ardaszir, król Persji, zabija ostatniego</p>
238		<p>władcę Partii i tworzy cesarstwo perskie Sasanidów, w którym religią państwową jest zaratusztrianizm.</p>
230-240	991	<p>Ponowne ataki plemion germańskich</p> <p>znad Renu i Dunaju. Odnowiona armia stawia opór i odpiera barbarzyńców. By skuteczniej pozbyć się zagrożenia, pomimo protestów ze strony rzymskich Brytów, Pertynaks II wycofuje legiony z Brytanii i prowadzi potężną armię na Germanię i Sarmację.</p>
	983-993	<p>Ardaszir najeżdża Indie i rzymskie tereny w Syrii. W 240 jego syn Szapur zasiada na tronie</p>

Persji.

- 238-242 973-978 Pertynaks II podbija Germanię i Wenedię, robi postępy w Fennii i Gocji.
- 242-256 978-992 Konflikt z Persją o Armenię. Rzym odzyskuje Syrię.
- 256 992 Śmierć Pertynaksa II, objęcie rządów przez Lucjusza Helwiusza Pertynaksa Sarmaticusa. Rzym nadal odnosi zwycięstwa nad plemionami z Europy Wschodniej w Sarmacji i Alanii.
- 260-265 996-1009 Nadal na fali uniesienia po zwycięstwie w Germanii żołnierze rzymscy, zasileni ogromną liczbą germańskich barbarzyńców oraz posiłkami z Palmyry, atakują i podbijają cesarstwo perskie Szapura.
- 265-291 1009-1044 W Persji wybuchają sporadycznie powstania i zamieszki na granicach z rzymską Persją, ale panowanie Rzymu pozostaje zasadniczo niewzruszone.
- 291-313 1044-1066 Rządzony przez adoptowanego syna Sarmaticusa, Gajusza Flawiusza Sulpicianusa, Rzym traci Persję i Mezopotamię.
- 313-345 1066-1098 Marek Flawiusz Sulpicianus Cruenrus ponownie podbija Persję i Mezopotamię. Rzeź i zniewolenie tysięcy Persów. Prześladowania chrześcijan, zaratusztrian i żydów w całym cesarstwie. Inwazja i podbój Arabii. Cruenrus propaguje rzymską religię bądź romanizację miejscowych bóstw, w rozszerzonych granicach Cesarstwa Wschodniego.

347-447

1100-1200 Od tego momentu najwygodniej będzie przedstawiać ogólne zyski, straty i technologiczne osiągnięcia każdego stulecia.

DRUGA DYNASTIA FLAWIUSZÓW

1066-1234 AUC

Ponowny podbój Brytanii, wraz z Hibernią

i Kaledonią. W owych czasach kultura celtycka przeżywała rozkwit, ale wciąż żywa nostalgia Brytów za rzymskim panowaniem znacznie ułatwiła zwycięstwo.

Sporadyczne najazdy Hunów, odpieranych lub zagarnianych przez Rzym, skutkują stopniową, niesystematyczną ekspansją Rzymu w głąb Scytii.

447-547

1200-1300 DYNASTIA ACYLINÓW 1234-1618 AUC

Systematyczny podbój Scytii.

Ekspansja przez terytorium Persji do Indii.

547-647

Przewlekłe wojny o umocnienie panowania rzymskiego. Romani-zacja bóstw indyjskich.

647-747

1300-1400 Tłumienie powstań i buntów w Indiach

i wynikająca z tego niestabilność regionu bez reszty zajmuje siły militarne - brak podbojów.

747-847

1400-1500 Nieudana próba podboju Siny (Chin),
nieustające problemy w Syrii, Persji i Indiach.

1500-1600 Utarczki graniczne z Sina. Kruchy pokój
z Indiami i Persją, ale przez następne stulecia jakakolwiek
oznaka słabości cesarstwa prowokuje ponowne wybuchy konfliktu.
Niegdyś licząca się sekta chrześcijan zasadniczo przestaje
istnieć.

Nieustanne prześladowania żydów

i zaratusztrian słabną, choć wyznawcom tych religii nadal odmawia się pełnych praw obywatelskich.

847-947 1600-1700 DYNASTIA KORDIAŃSKA 1618-1836 AUC

Libia i inne rzymskie państwa Afryki

Północnej usiłują pokojowo oddzielić się od cesarstwa, ale Afryka odgrywa zasadniczą rolę w dostarczaniu żywności światu rzymskiemu. Wprowadzenie silniejszej kontroli wojskowej.

947-047 1700-1800 Pod rządami dynastii Song Sina jednoczy się

i stabilizuje. Rzym początkowo jest zaniepokojony rosnącą potęgą Siny, ale cesarz uważa, że Rzym jest niezwyciężony, ponowny atak na Sine byłby kosztowny i daremny i dlatego nie ma potrzeby narażać przynoszącego zyski układu handlowego z Sina. Związki między krajami pozostają serdeczne, zwłaszcza odkąd Sina zaczęła popierać rzymskie panowanie w Indiach.

1047-1147 1800-1900 DYNASTIA BLANDIAŃSKA
1836-2176 AUC

Rzymianie udzielają dynastii Song pomocy przeciwko powstaniu Dżurdzeńów.

Rzym przejmuje sinoańskie innowacje, na przykład papierowe pieniądze, bankowość, rzymską wersję pewnych fasonów ubrań - oraz proch.

1147-1247 1900-2000 Rzym, bardziej skłonny do stosowania nowego odkrycia podczas działań

1247-1347	<p>wojennych niż sami sinoańscy odkrywcy, jednoczy się z Sina przeciwko Mongołom, czym ratuje dynastię Song. Pierwszy rzymski kontakt z Nionią (Japonią), mile widzianym nowym źródłem pożądaných orientalnych towarów, lecz na razie Rzym nie jest politycznie zainteresowany tym archipelagiem wysp, wstrząsanych wewnętrznym podziałem i wojnami.</p>
1347-1447	<p>2000-2100 Uzbrowieni w działa Rzymianie napadają Etiopię. Sina obserwuje z niepokojem tę nową fazę podbojów.</p> <p>2100-2200 Go-Daigo przewodzi Restauracji Kemmu, wykorzystując broń palną przeciwko potężnemu regentowi Hojo. Odzyskuje władzę cesarską i jednoczy Nionię.</p> <p>Dalsze wyprawy badawcze i podboje Afryki napotyka ją trudności, kiedy afrykańskie państwa rzymskie niespodziewanie buntują się przeciwko Rzymowi.</p> <p>Rzymscy badacze przerywają próbę opłynięcia kuli ziemskiej z wieściami o krótkim pobycie na ogromnym kontynencie na Zachodzie. Nazywają go Terranową, ale nie jest to dobra pora na militarne wyprawy.</p> <p>Zaraza w Europie i częściowo w Sinie.</p> <p>Cesarz Rlandiusz Postumus umiera niespo-</p>

1447-
1547 2200-2300 Pierwsza maszyna elektrosta-
tyczna. Po szeregu efemerycznych cesarzy
senat osadza na tronie Sekstusa Wincjusza
Sacerdosa.

2204-2509 AUC

Sacerdos usiłuje jeszcze umocnić swoją
pozycję, kiedy Nionia atakuje Koreę i wkra-
cza na terytorium Siny. Sina zwraca się do
Rzymu o pomoc, ale prośba ta przychodzi w
najgorszym momencie. Rzym walczy o prze-
trwanie podczas własnych wewnętrznych
konfliktów, afrykańskich problemów, od-
zywających się na nowo indyjsko- perskich
zatargów i dziesiątkującej naród zarazy. Ce-
sarz nie ma możliwości udzielenia wsparcia.
Sina walczy z Nionią samotnie, ale musi od-
dać wielkie połacie swoich ziem.

Zaognienie stosunków Rzymu z Siną i Nionią.

Rzym stara się naprawić straty ostatniego
stulecia. W ramach próby odbudowy rzym-
skiej solidarności Sacerdos przydziela pełne
prawa obywatelskie wszystkim wolnym
mieszkańcom cesarstwa, niezależnie od na-
rodowości i wyznania, zabraniając wyzwo-
leńcom jedynie sprawowania urzędu.

1547-
1647 2300-2400 Tymczasem rozkwit Nionii trwa.
Nio niańscy
zdobwvcv badaia teren nołudniowej wvsnv

wrażenie poważnego rywala cesarstwa.

Rzym wywiera nacisk na Nionię, by zaprzestała dalszego zdobywania ziem, od Siny wymaga tego samego, ale Sina, będąca państwem buforowym między Rzymem i Nionia, nabiera skłonności do zamykania się w sobie i rząd sinoański odmawia angażowania się.

Trwa rzymski podbój Afryki.

Kolejne eksperymenty wykorzystujące elektryczność i magnetyzm.

Rzym rozpoczyna w końcu poważną inwazję na środkową i południową Terranowę, czyniąc ostrożne postępy w głąb Meksyki, Mai i Arawacji.

Nionia idzie w jego ślady, atakując Terranowę od północy. Rzym jest wyjątkowo zaniepokojony i rozpoczyna poważne debaty nad rozpoczęciem wojny, ale na razie, ku niezadowoleniu wielu osób, nie podejmuje decyzji. Pomiędzy dwoma potęgami nadal znajduje się ogromny teren, na którym żyją ludy tubylcze.

1647-1747 2400-2500 Nionia uderza na południe, budząc strach

Rzymu, że nie tylko zdobędzie cenne terytorium, lecz także że rzymskie prowincje w Terranowie zostaną zagrożone. Konflikt jest nieunikniony; zdominuje on całe następne stulecie.

Dwie armie suną ku sobie przez cały kraj - Rzymianie prą na północ z południowego wybrzeża północnego kontynentu, po drodze usiłując siłą lub pochlebstwem skłonić tubylców do współdziałania.

Ciąg kolejnych konfliktów, aczkolwiek różniących się stopniem intensywności i przedzielonych krótkimi, niepomyślnymi

rokowaniami pokojowymi, wyróżnia się brutalnością i często chaosem, nie wyłączając bitew morskich na Atlantyku i wokół Nionii. Ziemię kilkakrotnie przechodzą z rąk do rąk, ginie wielu Rzymian, Nionian i Terranowian.

Meksykański Półwysep Kamijski miał znaczenie szczególne, bo gdyby Rzym pozwolił Nionianom go zagarnąć, oznaczałoby to życie w nieustannym oblężeniu.

Cesarz Wincjusz Arkadiusz umiera w niejasnych okolicznościach, a jego brat Nasenniusz przejmuje władzę.

Rzymska armia i gospodarka doznały uszczerbku. Podczas krótkiej przerwy w konflikcie rzymsko-nioniańskim, w ostatnich latach XXV wieku, rozpoczyna się pierwsze powstanie afrykańskie w prowincji Lundae.

Pierwsze bardzo powolne pojazdy

elektryczne zaczynają kursować po torach magnetycznych.

1747-1847

2500-2600 Pierwszy przypadek szaleństwa w rodzie

Nowiuszów. Powstanie afrykańskie czasowo stłumione. Podczas drugiego powstania afrykańskiego w 2503 w okolicy Wodospadów Musitania (Mosi- oa-Tunya) dochodzi do masakry źle uzbrojonego legionu rzymskiego. Za tę klęskę powszechnie obwinia się Nasenniusza.

Oppiusz Nowiusz, szwagier Nasenniusza, zyskuje poparcie w senacie.

Po wybuchu epidemii ospy w Rzymie Nasenniusz popełnia samobójstwo. Nie pozostawia potomka. Władzę przejmuje Oppiusz Nowiusz.

DYNASTIA NOWIUSZÓW 2509 AUC - CZASY

OBECNE Rzym umacnia swoje panowanie

w północnej Afryce. Afryka Południowa osiąga niepodległość.

Mimo iż zakończenie konfliktu i zachowanie północnego terytorium stanowią istotne sukcesy Rzymu, jest to dla cesarstwa pierwsza poważna utrata ziem od stuleci. Jedność cesarstwa zaczyna się kruszyć; w Terranowie wybuchają konflikty, dawne zadrażnienia w Indiach znowu ożywają.

W 2512 brat Oppiusza, Serwiusz, ulega dziedzicznemu obłędowi.

Oppiusz stara się odbudować stabilność kraju. Udaje mu się odnieść sukces w Terranowie, gdzie Rzymianie posuwają się na północ. Zadanie to jest ułatwione dzięki nowym wynalazkom, na przykład dalskryptowi - opracowanej w 2511 metodzie przesyłania wiadomości poprzez impulsy elektryczne. Umożliwia ona precyzyjne zarządzanie terytorium

położonym po drugiej stronie morza. Kable dalskryptowe zostają przeciągnięte po dnie Atlantyku i przez całą Afrykę. Trzydzieści lat później pojawiają się daldictory. Rzym zyskuje możliwość o wiele szybszej reakcji na wszelkie przyszłe niepokoje.

Trwają wzmożone prace nad znalezieniem godnej zaufania postaci podróży powietrznych.

Wojsko rzymskie góruje - w niewielkim stopniu - nad Nioniańskim, lecz wydaje się, że zupełne wyparcie Nionian z Terranowy będzie niemożliwe. Dlatego Rzym w końcu zawiera niechętny układ z Nionią i północna

Terranowa zostaje podzielona pomiędzy cesarstwa. Na mocy traktatu miksigańskiego- wzdłuż kontynentu staje ogromny mur. Stosunki handlowe Nionii i Rzymu zostają wznowione, lecz daje o sobie znać nieustanna nieufność i rywalizacja. Rzym opracowuje nowe materiały wybuchowe. Nionia nieustannie pozostaje o krok w tyle. Rzym zaczyna zdobywanie Terranowy Południowej.

Rzym rozpoczyna unowocześnianie sieci dróg, jednocześnie budując potężny system dróg magnetycznych w całym cesarstwie.

1847-1947 2600-2700 Rozwój lotnictwa dzięki wynalezieniu

śmigieł - pierwszy spiralot.

Dalsza kolonizacja północnej i południowej Terranowy. Trwa wojskowa rywalizacja z Nionią.

HISTORIA WSPÓŁCZESNA

- | | | |
|------|------|---|
| 1943 | 2697 | Narodziny Tytusa Nowiusza Faustusa. |
| | 2702 | Narodziny Lucjusza Nowiusza Faustusa. |
| 1949 | 2711 | Narodziny Tercjusza Nowiusza Faustusa. |
| 1958 | 2722 | Tytus poślubia Julię Sabinę. |
| | 2724 | Julia rodzi Nowie Faustynę (Makarię). |
| 1969 | 2730 | Lucjusz poślubia Druzyllę Terencję. |
| 1971 | 2732 | Druzylla rodzi Druzusa Nowiusza Faustusa. 2734 Lucjusz zapada na dziedziczny obłąd. |
| 1977 | | |
| 1981 | | |
| 1979 | | |

2735 Umiera Gajusz Nowiusz Faustus Riksa. Tytus zostaje cesarzem. Tercjusz Nowiusz zostaje przeniesiony do środkowej Terrano- wy. Opanowuje powstanie Azteków i dzięki odwadze nadane mu zostaje imię Leon (łac. *Leo* - Lew). Zostaje uznany za bohatera, ale widzi zniewolenie setek dotychczas wolnych Azteków i to doświadczenie wywiera na niego wstrząsający wpływ.

- 1983 2736 Faustus rozwodzi się z Julią.
- 1984 2738 Leon poślubia Klodię Aurelię.
 Za aprobatą senatu Faustus wyznacza Leona
 na cezara i następcę tronu.
- 1988 2741 Klodia rodzi Marka Nowiusza Faustusa Leona.
- 1996 2749 Faustus poślubia Tullię (Tulliolę) Marcjanę.
 2757 W połowie sierpnia Leon i Klodia giną w wypadku samochodowym w Alpach Galijskich.

Wkrótce kolejna część trylogii ROMANITAS

RZYM PŁONIE

Zajrzyj na stronę

www.romanitas.com